



TIM
WEAVER

Zanurzyć się w mrok

Tim Weaver

Zanurzyć się w mrok

O książce

Siedemnastoletnia Megan Carver, dobra dziewczyna ze szczęśliwej rodziny, nie ma chłopaka ani żadnego innego powodu, żeby uciec z domu. A jednak znika bez śladu, a po prawie siedmiu miesiącach intensywnego i nagłośnionego przez dziennikarzy śledztwa nie zostaje odnaleziona. Dochodzenie utyka w martwym punkcie.

Prywatny detektyw David Raker, specjalizujący się w poszukiwaniu osób zaginionych, doskonale wie, czym jest ból po utracie najbliższej osoby. Niedawno sam musiał się z nim oswoić. Kiedy zrozpaczeni Carverowie proszą go o pomoc w odszukaniu córki, daje im wyraźnie do zrozumienia, że szanse na jej bezpieczny powrót do domu są znikome. Dziewczyna najprawdopodobniej nie żyje. Przyjmując zlecenie, Raker nie wie jeszcze, że poznanie tajemnic Megan może kosztować go życie. Stopniowo zdaje sobie sprawę, że wszystko, co wiąże się ze sprawą zniknięcia, jest kłamstwem. Osoby blisko związane z Megan zostały zamordowane albo są zbyt przerażone, by mówić. Zmowa milczenia nie przeszkodzi Davidowi w dotarciu do prawdy, doprowadzając go do zrujnowanej fabryki i lasu na peryferiach miasta. Miejsca o przerażającej historii, związanej z seryjnym zabójcą, który przed kilkudziesięcioma laty pogrzebał tam wiele swoich ofiar - młodych kobiet. Okoliczni mieszkańcy nazywają je Torowiskiem Umarłych...

TIM WEAVER

Pisarz brytyjski, z zawodu dziennikarz. Jako „wolny strzelec” współpracował z wieloma dziennikami i czasopismami, m.in. „The Guardian” i „Sports Illustrated”, pisując o filmach, telewizji, sporcie i grach komputerowych. Wydanie pierwszej książki zajęło mu prawie 10 lat: po kolei odrzucali ją wszyscy wydawcy. Weaver jest autorem czterech thrillerów o prywatnym detektywie Davidzie Rakerze, zajmującym się poszukiwaniem osób zaginionych: **Ścigając umarłych**, **Zanurzyć się w mrok**, *Vanished Never* i *Never Coming Back*. Uwielbia powieści Lee Childa i Michaela Connelly’ego.

www.timweaverbooks.com

Mamie i tacie

*Przed nim narody lęk odczuwać będą,
wszystkie twarze pobledną.*

Księga Jonasza 2,6, Biblia Tysiąclecia

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Spotkaliśmy się w restauracji Boneacres nad Tamizą. Siedzieli w boksie z tyłu sali. Strugi deszczu spływały po szybach, a oni gapili się na ludzi czekających na przejażdżkę londyńskim Eye, ogromnym diabelskim młynem. Pierwsza podniosła wzrok kobieta. Caroline Carver. Zauważyłem, że płakała. Miała zaczerwienione oczy, a część makijażu zmyły łzy. Była szczupła i elegancko ubrana. Miała czterdzieści parę lat, ale postarzała się ponad swój wiek. Spostrzegłem zmarszczki, grube i ciemne, jakby namalowano je olejną farbą albo wycięto skalpelem. Chociaż uśmiechnęła się na mój widok, w wyrazie jej twarzy nie było serdeczności. Zrezygnowała z udawania, podobnie jak większość rodziców, z którymi miałem do czynienia. Im dłużej oczekiwali na powrót zaginionych dzieci, tym grubsza warstwa lodu skuwała ich serce.

Wyszła z boks, żeby uścisnąć mi dłoń, a następnie przepuściła mnie, żebym przywitał się z jej mężem. James Carver był potężnym mężczyzną. Przypominał niedźwiedzia. Nie podniósł się na mój widok, wyciągnął tylko rękę nad stołem. Moja dłoń zniknęła w jego łapsku. Wiedziałem o nich to i owo, głównie z telefonicznej rozmowy, którą odbyłem z Caroline kilka dni wcześniej. Powiedziała, że mieszkają w starym kościele przerobionym na dom z czterema sypialniami. Carver miał tam biuro swojej firmy budowlanej, którą tworzył piętnaście lat. Sądząc po ocenianej na dwa miliony funtów nieruchomości, ciuchach, które nosili, i znanej klienteli, działalność budowlana pozwalała im żyć na przyzwoitym poziomie.

Carver uśmiechnął się do mnie bardziej szczerze od żony i wskazał miejsce z drugiej strony stołu. Wślizgnąłem się do środka. Przede mną leżało otwarte menu. Widząc ceny, ucieszyłem się, że to oni zaproponowali miejsce spotkania.

- Dziękuję, że pan przyszedł - powiedziała pani Carver.

Skinąłem głową.

- Ładny lokal.

Rozejrzeli się dokoła, jakby wcześniej o tym nie pomyśleli. Carver się uśmiechnął. Caroline odwróciła wzrok, udając, że przegląda menu.

- Przychodziliśmy tutaj przed ślubem - wyjaśnił. - Wtedy serwowali tu steki i owoce morza. - Żona spojrzała na niego, a Carver ujął jej dłoń. - Caroline powiedziała, że był pan kiedyś dziennikarzem.

- Dawno temu.

- Pewnie było to ciekawe zajęcie.

- Tak, całkiem zabawne.

Rzucił okiem na moją lewą dłoń. Dwa paznokcie były wklęsłe i połamane. Środkiem płytki biegła biała blizna - tam, gdzie rogowa warstwa nigdy nie odrośnie.

- Wojenne blizny? - spytał.

Spojrzałem na paznokcie.

- Nie, te są całkiem świeże.

- Czemu pan rzucił tę robotę?

Popatrzyłem na niego, a później przeniosłem wzrok na Caroline.

- Moja żona była umierająca.

Idealny sposób na przerwanie rozmowy. Przesunęli się niezręcznie na krzesłach. Caroline utkwiała wzrok w blacie, a później wzięła menu. Carver odchrząknął. Gdy cisza stała się zbyt długa, sięgnął do kieszeni i wyciągnął fotografię. Coś mignęło w jego oczach. Fala smutku. Odwrócił zdjęcie i położył przede mną.

- To Megan - wyjaśnił.

□ □ □

Kiedy Caroline zadzwoniła pierwszy raz, wyjaśniłem jej, jak trafić do mojego biura. Uparła się na spotkanie w bardziej neutralnym miejscu, jakby złożenie u mnie wizyty stanowiło potwierdzenie faktu, że ich córka zniknęła na dobre. Po ustaleniu czasu i miejsca opowiedziała mi trochę o Megan. Dobra dziewczyna ze szczęśliwej rodziny. Nie miała chłopaka ani żadnego powodu, żeby uciec z domu.

Zniknęła niemal siedem miesięcy temu.

Co roku w Wielkiej Brytanii ginie bez śladu dwieście tysięcy osób. Trzydzieści tysięcy w samym Londynie. Oczywiście, zaginięcie młodej białej dziewczyny z klasy średniej, mającej oboje rodziców, było dla mediów najlepszą sensacją. Poświęciły sprawie sporo miejsca - pisano o niej w prasie lokalnej i krajowej, krótkie wzmianki ukazały się nawet za granicą. Dziennikarze drążyli temat tygodniami, zamieszczając jeden nagłówek po drugim. Przed domem Megan stały wozy transmisyjne wszystkich stacji telewizyjnych w kraju. Poruszenie zniknięciem Megan i śledztwo prowadzone w pełnym świetle reflektorów należały do spraw określanych mianem SZBK.

Syndrom Zaginionej Białej Kobiety.

Na fotografii, którą mi pokazali, Megan siedziała z mamą na plaży. Piasek był biały, usiany małymi kamykami i gałązkami, niknący w szafirowym morzu. Za plecami Caroline

i Megan bawił się mały chłopiec. Mógł mieć ze cztery lata. Był odwrócony bokiem do aparatu, zaabsorbowany kopaniem dołka.

- To nasz syn, Leigh - wyjaśnił Carver, wskazując chłopca. Spojrzał na mnie, jakby wyczuł, o czym myślę. Między ich dziećmi było trzynaście lat różnicy. - Leigh był dla nas. - rzucił okiem na żonę - bardzo miłą niespodzianką.

- Kiedy zrobiono to zdjęcie?

- Osiem miesięcy temu.

- Tuż przed zniknięciem córki?

- Tak, podczas naszych ostatnich wspólnych wakacji na Florydzie.

Megan była córeczką tatusia. Podobna twarz, podobne linie wokół oczu. Jego budowy ciała, duża, ale nie otyła. Atrakcyjna siedemnastoletnia dziewczyna. Długie, zadbane jasne włosy i oliwkowa cera, która pod wpływem słońca nabrała odcienia brązu.

- Proszę mi opowiedzieć o dniu, w którym zaginęła.

Oboje skinęli głową, ale żadne nie podjęło wątku. Wiedzieli, co to oznacza: ból wywołany wspomnieniami, ponowne relacjonowanie tych samych zdarzeń, mówienie o córce w czasie przeszłym. Wyciągnąłem notatnik i długopis, żeby delikatnie ich przynaglić. Carver odwrócił się do żony, ale Caroline dała mu znak, żeby zabrał głos.

- Nie wydarzyło się nic szczególnego - powiedział w końcu. Początkowo jego głos był niepewny, ale po chwili nabrał wyraźnego rytmu. - Zawieźliśmy córkę do szkoły, a kiedy po nią wróciliśmy, nie było jej. Zniknęła.

- Czy rano zachowywała się normalnie? Wszystko było w porządku?

- Tak.

- Nic się nie zdarzyło?

Potrząsnął głową.

- Nie.

- Zrozumiałem, że Megan nie miała chłopaka.

- Tak - ucięła krótko Caroline.

Carver spojrzał na żonę i uściskał jej dłoń.

- Nie miała chłopaka, a przynajmniej nic nam o nim nie powiedziała. Z tego wynika, że z nikim nie chodziła.

- Czy wcześniej się z kimś spotykała?

- Tak. - Caroline skinęła głową. - Z paroma chłopcami.

- Poznali ich państwo?

- Bardzo pobieżnie. Powtarzała, że kiedy przyprowadzi chłopaka do domu na dłużej

niż kilka minut, będzie to znaczyło, że poważnie traktuje tę relację. - Uśmiechnęła się z trudem. - Miejmy nadzieję, że jeszcze dożyjemy tego dnia. Przerwałem na chwilę, bo Carver przysunął się do żony i objął ją ramieniem. Popatrzył jej w oczy, a później utkwiał wzrok we mnie.

- Nigdy nie wspominała, że pragnie dokądś pojechać? Choćby do Londynu? - zapytałem.

Carver pokręcił głową.

- Nie, co najwyżej o wyjeździe na studia.

- A jej przyjaciółki? Rozmawiali państwo z nimi?

- Nie. Nie zrobiliśmy tego osobiście, ale policja wszystkie przesłuchała.

- Czy któraś coś wiedziała?

- Nie.

Podniosłem długopis.

- Mimo to chciałbym zapisać nazwiska i adresy jej najbliższych koleżanek. Warto porozmawiać z nimi jeszcze raz.

Caroline sięgnęła do torebki i wyjęła zielony notes z adresami, dostatecznie mały, aby mógł zmieścić się w kieszeni kurtki. Podała mi go.

- Wszystkie adresy są tutaj. Także adres szkoły, do której chodziła - wyjaśniła. - To jej notes z adresami. Nazywała go Księgą Życia. Nazwiska, numery telefonów, zapiski.

Podziękowałem skinieniem głowy i wziąłem notes.

- Mają państwo kontakt z policją?

- Prawie żadnego. Rozmawiamy z nimi co dwa tygodnie... - Carver urwał i się wzdrygnął. Spojrzał nerwowo na żonę. - Początkowo robili duże postępy. Powiedzieli nam, że mają kilka interesujących tropów. Rozbudzili nasze nadzieje.

- Wyjaśnili, o co chodziło?

- Nie. Byli w kłopotliwej sytuacji. - Zrobił krótką przerwę. - Wyzaczyliśmy nagrodę za informację o miejscu pobytu córki, więc otrzymywali mnóstwo telefonów. Jamie Hart stwierdził, że nie chce nam dawać fałszywej nadziei. Powiedział, że on i jego ludzie przeanalizują zawiadomienia i odwalą papierkową robotę, a później do nas wrócą.

- Czy dochodzenie prowadził Jamie Hart?

- Tak.

Kiedy zapisywałem nazwisko Harta, przy stoliku stanął kelner, żeby przyjąć zamówienie. Słyszałem o Harcie. Za moich czasów w gazecie kierował grupą dochodzeniową tropiącą seryjnego gwałciciela. Wyciągnąłem materiały z archiwum „Timesa” przy okazji

prowadzenia innej sprawy.

- Czy się później odezwał? - spytałem, gdy kelner się oddalił.

Carver pokręcił głową, starając się zaprzeczyć w jak najbardziej dyplomatyczny sposób.

- Nie. Mieliśmy nadzieję na coś więcej.

- Co to znaczy?

- Początkowo wydzwaniali codziennie. Zadawali pytania, brali różne rzeczy do analizy. Później, po kilku miesiącach śledztwa, utknęli w miejscu. Przestali do nas przychodzić. Teraz powtarzają, że nie mają dla nas żadnych nowych wiadomości. - Kąciki jego ust opadły, na twarzy pojawił się grymas bólu. - Chybaby nam powiedzieli, gdyby odkryli coś istotnego, prawda?

- Powinni.

Przerwał na chwilę, sięgając po drinka.

- Kiedy dokładnie zniknęła Megan?

- W poniedziałek, trzeciego kwietnia - odparł Carver.

Był dziewiętnasty października. Od stu dziewięćdziesięciu dziewięciu dni nie mieli wiadomości od córki. Policja traci zainteresowanie sprawą po upływie czterdziestu ośmiu godzin od zaginięcia. Z mojego osobistego doświadczenia wynika, że kluczowe znaczenie mają pierwsze dni. Im dłużej trwają poszukiwania, tym gorsze są statystyki. Czasami zaginionego odnajduje się po pięciu dniach, tygodniu albo dwóch. Zwykle jeśli zaginiona osoba nie znajdzie się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, oznacza to, że zniknęła na dobre i nie ma ochoty wrócić do domu - albo jej ciało gdzieś leży, czekając, aż zostanie odkryte.

- Kiedy widziano ją ostatni raz?

- Trzeciego kwietnia o trzeciej po południu - odpowiedział Carver. - Poszła na pierwsze zajęcia po lunchu, ale na drugie już nie dotarła. Miała się spotkać z przyjaciółką, Kaitlin, przy szafkach, bo obie chodziły na lekcje biologii. Megan już się nie pojawiła.

- Czy tego dnia zajęcia z biologii były ostatnie?

- Tak.

- Czy w szkole zainstalowano kamery telewizji przemysłowej?

- Tak, ale system monitoringu ma bardzo ograniczony zasięg. Jamie powiedział nam, że sprawdzili nagrania ze wszystkich kamer, lecz niczego nie znaleźli.

- Powiedzieliście mu o naszym spotkaniu?

Carver pokręcił głową.

- Nie.

Pomyślałem, że to dobrze. Najlepiej będzie zatelefonować do Harta bez uprzedzenia. Policja ze zrozumiałych względów nie lubi, żeby obcy deptali im po piętach. Szczególnie w przypadku spraw, które nie zostały zamknięte. Gdyby wpadli na nowy trop, zwarliby szyki i ustawili wozy w kręgu tak, że nie zdołałbym się zbliżyć.

- Co dalej? - spytał Carver.

- Chciałbym pomówić z państwem w domu. Obejrzeć sypialnię Megan. Nie spodziewam się znaleźć niczego ważnego, ale muszę to sprawdzić.

Przytaknęli, choć żadne się nie odezwało.

- Później zacznę pracować nad sprawą po swojemu - powiedziałem, kładąc rękę na Księdze Życia Megan. - Czy policja przejrzała notes?

- Tak - odparł Carver.

- Znaleźli coś?

Wzruszył ramionami.

- Oddali go.

Zatem nie znaleźli. Chwilę później wrócił kelner z zamówionym jedzeniem.

- Czy jest jakaś szansa, że jeszcze żyje? - spytała Caroline, kiedy kelner odszedł.

Popatrzyliśmy na nią z Carverem. Odwrócił się i lekko przesunął, jakby był zaskoczony i rozczarowany jej pytaniem. Może nie zadała go nigdy wcześniej. A może nie chciał znać odpowiedzi.

Popatrzyłem na nią, a później na niego, by ponownie przenieść wzrok na Caroline.

- Szansa zawsze istnieje.

- Tak - odparła. - Sądzi pan, że ona żyje?

Wbiłem wzrok w mojego pokawałkowanego homara, nie chcąc, żeby zdradziły mnie oczy. W końcu jednak musiałem na nią spojrzeć, a gdy to zrobiłem, domyśliła się odpowiedzi, bo wolno skinęła głową i zaczęła płakać.

□ □ □

Kiedy wyszliśmy na ulicę, James Carver uściśnął mi dłoń i obaj patrzyliśmy, jak jego żona idzie wolno Nabrzeżem Wiktorii, na tle rysującego się w oddali Westminsteru. Ciemnoszarą Tamizą sunęły łodzie. W końcu jesień dała o sobie znać, wybudzając rzekę ze stanu hibernacji po upalnym i parnym lecie.

- Ile pan chce za tę robotę? - zapytał.

- Pomówimy o tym jutro.

Skinął głową.

- Będę w domu, ale może pan nie zastać Caroline... pracuje w szkole w South Hackney.

- W porządku. Porozmawiam z nią, kiedy będzie miała czas.

Carver pobiegł za żoną, dopędził ją i ujął jej dłoń. Zareagowała chłodno, jej palce były twarde i sztywne. Zaczął coś mówić, ale ona tylko wzruszyła ramionami i szła dalej. Kiedy dotarli do Przystani Westminsterskiej i przeszli na drugą stronę ulicy, zmierzając w kierunku stacji metra, odwróciła się i spojrzała na mnie. Przez chwilę miałem wrażenie, że zataiła coś podczas rozmowy: wyczułem cień skrywanej przed mężem tajemnicy.

Musiałem się dowiedzieć, o co chodzi.

□ □ □

O piątej trzydzięci po południu zaczęło się zmierzchać. W drodze z restauracji zajrzałem do biura. Zostawiłem tam notatki, także te, które rano zrobiłem na temat Megan Carver. Gdy przed siódmą dotarłem do domu, było już ciemno. Nie włączyłem alarmu, więc czujniki cicho piknęły: najpierw w kuchni, a później w salonie, głównej sypialni i korytarzu. Rzuciłem notatki, wziąłem prysznic i na chwilę przysiadłem na krawędzi łóżka, oglądając moje zdjęcia z Derryn.

Na samym dole leżała fotografia zrobiona w Imperial Beach, w okręgu San Diego, kiedy wysłano mnie do Stanów Zjednoczonych, abym śledził przebieg wyborów w 2004 roku. Obejmowałem ją ramieniem. Miałem przeciwsłoneczne okulary i włosy wilgotne od surfowania na desce. W piance wyglądałem na barczystego, dobrze zbudowanego i szczupłego, w każdym centymetrze mego mierzącego ponad metr dziewięćdziesiąt ciała. Stojąca obok Derryn wydawała się niższa niż w rzeczywistości, jakby się na mnie wspierała, szukając ochrony przed czymś spoza kadru. Lubiłem to zdjęcie. Dzięki niemu pamiętałem uczucie wypływające z bycia facetem, którego potrzebowała.

Ubrałem się i schowałem zdjęcia do szafki przy łóżku, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu rzeczy Derryn, które w nim pozostały. Kupiliśmy ten dom, planując założenie rodziny, ale gdy atrament jeszcze nie wysechł na umowie, dowiedzieliśmy się, że ma raka piersi. Od tego momentu wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Walczyła dwa lata, ale czas, który wspólnie przeżyliśmy, był krótki.

Bywają dni, kiedy daję sobie radę, odczuwając wdzięczność i ceniąc każdą wspólnie przeżytą chwilę. Kiedy indziej czuję jedynie samotność i gniew z powodu tego, co ją spotkało. W takie dni staram się stłumić bolesne uczucia, wyprzeć je ze świadomości. Bo w robocie, którą wykonuję, mam do czynienia z ludźmi umiemyymi wykorzystać każdy słaby

punkt.

Zdarzają się również tacy, którzy karmią się słabościami innych.

Dom Carverów w Dartmouth Park był przerobionym starym saksońskim kościołem z oknami wychodzącymi na Hampstead Heath. W oknach od frontu były trzy witraże i dębowe drzwi zwieńczone łagodnym łukiem. Piękny budynek. Winna latorośl pięła się po stalowoszarych ceglach, a dach pokrywała ciemna dachówka i żółty mech. Po obu stronach drzwi stały dwie jodły w doniczkach. Do posiadłości prowadziła imponująca brama wjazdowa i ładny żwirowy podjazd zataczający krąg do tylnego ogrodu. W jednym ze słupów bramy zamontowano interkom, ale James Carver otworzył ją na oścież, najwyraźniej spodziewając się mojego przybycia.

Usłyszawszy zgrzyt kół na żwirowym podejździe, Carver podniósł głowę, gdy mijalem bramę. Stał pochylony nad wiadrem, myjąc tył czarnego rangerovera sport z przyciemnianymi szybami i nieskazitelnymi stalowymi felgami. W podwójnym garażu za jego plecami stała furgonetka marki Ford z materiałami budowlanymi na skrzyni oraz lśniący czerwony motocykl Suzuki.

- Cześć, Davidzie - przywitał mnie, wrzucając gąbkę do kubła.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Ładny wóz.

Skinąłem głową w kierunku rangerovera ociekającego pianą.

Bez słowa spojrział na samochód. Pewnie się zastanawiał, jak osłabić wymowę faktu, że jego podrasowana pięciolitrowa terenówka kosztowała więcej niż niejeden dom. A może przestało się to dla niego liczyć. Forsa traci znaczenie, gdy nie możesz za nią kupić jedynej rzeczy, na której ci zależy.

Weszliśmy do środka frontowymi drzwiami.

Dom był ogromny. Dębowe deski podłogowe i grube dywany. Salon przechodził w jadalnię, a jadalnia w kuchnię. Kuchnia była otwartym pomieszczeniem ze stali i szkła, o kremowych ścianach. Wysokie strzeliste sklepienie i ozdobna faseta. W poprzek trzech wewnętrznych ścian biegł balkon, do którego wiodły schody. Na górze dostrzegłem dwie sypialnie i łazienkę.

- Zaprojektował pan wnętrze?

Skinął głową.

- Balkon i pokoje na górze. Oczywiście, kościół jest tu dłużej niż ktokolwiek z nas.

- Piękny dom.

- Dziękuję. Mieliśmy szczęście. - Przerwał dla wzmocnienia efektu. - Przynajmniej pod pewnym względem.

Ruszyłem za nim do kuchni.

- Napije się pan kawy?

- Dziękuję. Poproszę o czarną.

Wyjął z kredensu dwa kubki.

- Nie wiem, co pan zamierza - powiedział, nalewając. - Pokój Megan jest na górze. Może pan pójść sam i się rozejrzeć. Jeśli pan woli, mogę pana oprowadzić.

- Sam się rozejrzę - odpowiedziałem, biorąc kubek z kawą - ale wpierw chciałbym zadać panu kilka pytań.

- Oczywiście. - Kiedy się uśmiechnął, zrozumiałem, że to jego mechanizm obronny. Metoda ukrycia bólu. - Zrobię wszystko, co trzeba.

Przeszliśmy do salonu. Pod stolikiem z telefonem w drugiej części pokoju syn Carverów, Leigh, bawił się na czworakach plastikowym samochodem. Na nasz widok podniósł głowę, a kiedy ojciec się z nim przywitał, mruknął coś pod nosem i wrócił do przerwane zajęcia.

Wyjąłem notatnik i długopis.

- Chciałbym porozmawiać o trzecim kwietnia.

- Wtedy zaginęła.

- Właśnie. Czy zawsze odwoził ją pan do szkoły?

- Zwykle tak.

- Ale czasami pan tego nie robił?

- Czasami podwoziła ją Caroline. Jeśli mam robotę gdzieś dalej, wolę być na miejscu przez pierwsze tygodnie. Później zostawiam wszystko brygadziście i wykonuję papierkową robotę w domu. Wtedy zawoziłem... - przerwał. - Wtedy odwożę Megan do szkoły, a Leigh do przedszkola.

- Zatem trzeciego kwietnia był pan na budowie?

- Tak.

- Dlatego Caroline ją odwiozła?

- Właśnie.

- Czy żona pojechała odebrać córkę ze szkoły?

- Nie, ja to zrobiłem.

- I co się stało?

- Zaparkowałem samochód na zewnątrz - wyjaśnił. - W tym samym miejscu co

zwykle, ale Megan nie przyszła. Po prostu się nie zjawiła. Poszła do szkoły i nie wróciła.

Zapisałem kilka obserwacji.

- Jakich przedmiotów się uczyła?

- Interesowała ją nauki przyrodnicze. Fizyka, chemia, biologia.

- Czy rozmawiał pan z jej nauczycielami?

- Kilkakrotnie.

- Co to za ludzie?

- Wyglądali na sympatycznych. Megan była dobrą uczennicą.

Podał mi nazwiska nauczycieli, a ja zapisałem je w notatniku. Postanowiłem zmienić kierunek rozmowy, żeby Carver nie stał się nadmiernie emocjonalny.

- Czy Megan pracowała gdzieś po szkole?

- Tak, w sklepie ze sprzętem wideo. Co drugi tydzień.

- Lubiała tę robotę?

- Tak. Mogła trochę zarobić.

- Kto oprócz niej tam pracował?

- Pyta pan o nazwiska? Nie mam pojęcia. Będzie pan musiał tam pójść i zapytać.

- W jakich miejscach bywała?

- Chodzi panu o puby i kluby?

- Wszystko - odrzekłem. - Jakie miejsca lubiała odwiedzać?

- Proszę spytać jej przyjaciół, gdzie się bawili w weekendy. Kiedy dostawali wypłatę, często szli do miasta, ale nie jestem pewien, jakie miejsca odwiedzali.

- A pan dokąd ją zabierał?

- Zwykle jeździliśmy na wieś, do Peak District, Lake District i Yorkshire Dales. Caroline i ja kochamy tamtejsze szerokie przestrzenie. W Londynie po jakimś czasie człowiek zaczyna się dusić. Zabieraliśmy Meg na północ od czasu, gdy nauczyła się chodzić.

- Myśli pan, że mogła pojechać do któregoś z tych miejsc? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy mogła pojechać na północ. Czemu miałyby uciekać z domu?

Wczoraj zapytałem o jej chłopaków, ale chciałem to zrobić jeszcze raz podczas rozmowy w cztery oczy. Szukając zaginionej osoby, człowiek szybko odkrywa, że każde małżeństwo ma swoje tajemnice, że jeden z małżonków zwykle wie więcej od drugiego, szczególnie na temat dzieci.

- Wspomniał pan, że nie słyszał, aby miała chłopaka.

- O ile wiem, nie miała.

- A co podpowiada panu instynkt?

- Instynkt podpowiada mi, że mogła się z kimś spotykać. - Drgnął na krześle, przesuając się na skraj siedziska. - Sądzi pan, że to nasza największa nadzieja?

- Trzeba sprawdzić ten trop. Dzieci w wieku Megan znikają zwykle z dwóch powodów: nie są szczęśliwe w domu lub z kimś uciekają, najczęściej z osobą, której nie akceptują rodzice. Nic nie wskazuje na to, żeby Megan była nieszczęśliwa, dlatego pytam o jej chłopaków. Może się okazać, że z nikim nie uciekła... - przerwałem i spojrzałem mu w oczy - albo że właśnie tak się stało.

- Czy nie oglądała konferencji prasowych z naszym udziałem, skoro z kimś uciekła? Megan, którą znałem, nie zignorowałaby czegoś takiego.

Spojrzałem na niego i odwróciłem wzrok, ale domyślił się odpowiedzi. Nie takiej, jakiej pragnął. Że nie wróci do domu żywa.

□ □ □

Pokój Megan był pięknie urządzone, prawie nietknięty od czasu jej zniknięcia. Duże wykuszowe okno wychodziło na Hampstead Heath, a po obu stronach znajdowały się szafy. Po prawej stała biblioteczka z trzema półkami, pełna książek przyrodniczych. Naprzeciwko okna, przy drzwiach, znajdowało się małe biurko, na którym stał otwarty najnowszy model macbooka. Komputer otaczały fotografie. Megan z przyjaciółmi. Megan trzymająca Leigh, kiedy był niemowlęciem. Megan z mamą i tatą. W rogu pokoju zauważyłem bujany fotel i pluszowe zabawki, i plakat przedstawiający jakiegoś hollywoodzkiego przystojniaka z kwadratową szczęką.

Włączyłem macbooka i spojrzałem na monitor. Pulpit był właściwie pusty, wszystkie pliki schludnie umieszczono w folderach. Prace domowe. Dokumenty programu Word. Prospekty różnych uniwersytetów w formacie PDF. Kliknąłem przeglądarkę Safari i przejrzałem jej ulubione strony, historię odwiedzanych witryn, *cookies* i pliki pobrane z internetu. Oprócz kilku nielegalnie ściągniętych piosenek nie zauważyłem niczego podejrzanego. W przeglądarce zauważyłem link do jej profilu na Facebooku - adres e-mail i hasło załadowały się automatycznie - ale jedyną czynnością wykonaną w ciągu siedmiu ostatnich miesięcy okazało się utworzenie grupy poświęconej jej pamięci. Sądząc po treści wpisów, większość ludzi uważała, że już nie wróci do domu.

Obie szafy były pełne ubrań i butów, ale z tyłu drugiej znalazłem kilka plastikowych pudełek. Wyciągnąłem jedno z nich i zdjąłem wieko. W środku były zdjęcia. Zauważyłem, że jako dziecko bardziej przypominała ojca. Miała nieco jaśniejszą cerę i piękne jasne włosy. Nie występowały na nich inne cechy podobieństwa, które ujawniły się na bardziej aktualnych

zdjęciach. Nowsze fotografie były mniej zniszczone upływem czasu, jej rodzice starsi, a na twarzy Megan zaczęły się pojawiać charakterystyczne rysy ojca.

Otworzyłem drugie pudełko.

W środku był aparat cyfrowy. Wyjąłem go, włączyłem i zacząłem przeglądać zdjęcia. Dwadzieścia osiem fotografii, głównie Leigh. Na końcu było kilka fotografii Megan z przyjaciółmi. Na ostatniej stała przed budynkiem przypominającym blok mieszkalny. Odnalazłem zoom i powiększyłem obraz. W wejściowych drzwiach były szklane panele, w których w słonecznym świetle odbijały się dwa kremowe bloki i fragment ceglanoego muru po prawej stronie. Nic więcej.

Wróciłem do jej macbooka i uruchomiłem program iPhoto, mając nadzieję, że znajdę powiększenie fotografii, ale żadne ze zdjęć z karty aparatu nie zostało skopiowane na twardy dysk. Nie zdążyła ich załadować. Sprawdziłem datę wykonania zdjęcia w aparacie. Szósty marca. Zrobiła je dwadzieścia osiem dni przed zaginięciem. Użyłem zoomu i ponownie przeanalizowałem fotografię, w jasnym szklanym odbiciu szukając wskazówki, gdzie się wówczas znajdowała. Później przeniósłem wzrok na jej twarz i coś przykuło moją uwagę.

Jej uśmiech.

Uśmiech, jakiego nie widziałem na innych fotografiach Megan. Pierwszy raz nie wyglądała jak dziewczyna, ale kobieta.

Czy dlatego, że pozowała komuś, kogo lubiła?

- Znalazł pan coś?

Odwrociłem się. W drzwiach stał Carver.

- Nie jestem pewien - odpowiedziałem, podnosząc aparat i pudełko. - Mogę to zabrać?

- Oczywiście. - Wszedł do pokoju. - Oglądałem te zdjęcia setki razy. Policja też.

Bywają dni, kiedy człowiek ma poczucie, że coś przeoczył. Że coś przepuścił między palcami. Później, kiedy ogląda je ponownie, okazuje się, że znalazł to samo, co poprzednio. Z drugiej strony może trzeba, żeby ktoś spojrział świeżym okiem.

Podszedł i sięgnął po jedną z wczesnych fotografii Megan. Obserwowałem go, kiedy przesuwiał wzrok po zdjęciu, przywołując dawne wspomnienia. Gdy w końcu podniósł głowę, zauważyłem, że z trudem powstrzymuje łzy.

- Wie pan, gdzie zrobiono to zdjęcie? - spytałem, podając mu aparat.

Spojrzał na nie, zbadał je uważnie i potrząsnął głową.

- Nie.

- Pan go nie zrobił?

- Nie.

- Kto mógł ją sfotografować?

Wzruszył ramionami.

- Może jedna z przyjaciółek.

Na dole zadzwonił telefon. Carver przeprosił mnie i zniknął. Przejrzałem pozostałe pudełka. Kolejne zdjęcia, kilka listów i stara biżuteria.

Jedynie ślady, jakie pozostawiła po sobie Megan.

□ □ □

Kiedy opuszczałem dom Carverów, dochodziła pora lunchu. Słońce zaszło za chmurami, które rozpierchły się po niebie. Od strony miasta w oddali nadciągał deszcz.

Otworzyłem swoje stare bmw serii 3, rzuciłem notatnik na fotel pasażera i odwróciłem się do Carvera, który mnie odprowadził.

- Chciałbym porozmawiać z pańską żoną - powiedziałem. Sam.

- Oczywiście. Niestety, jutro jadę na budowę...

- Nic nie szkodzi. Jeśli to możliwe, chciałbym pchnąć sprawy do przodu. Byłoby wspaniale, gdyby powiedział pan żonie, że jutro do państwa wpadnę.

- Jasne. Nie ma problemu.

Odjeżdżając, obserwowałem go w lusterku wstecznym, znikającego za bramą swojego domu. Wyglądał na załamane. Pomyślałem, że za kilka tygodni może wyglądać tak, jakby wydarto mu serce.

Kilometr za szkołą Megan była tania restauracja. Usiadłem przy oknie, zamówiłem kanapkę z bekonem i wyciągnąłem Księgę Życia Megan. Wczoraj wieczorem, kiedy przeglądałem notes, nie mogłem się w tym wszystkim połapać. Sześćdziesiąt kartek z pozornie przypadkowymi zapiskami. Notes był podzielony na części według liter alfabetu, ale żaden z wpisów nie pasował do wybranej litery. Tam, gdzie powinny być nazwiska, wpisano numery telefonów, a w miejscu przeznaczonym na telefony widniały nazwiska.

Otworzyłem pierwszą stronę. Na samym początku skreśliła czerwonym kulkowym piórem: *Księga Życia Megan. Zadzwoń, jeśli ją zgubię!* Pod spodem nagryzmoła dwa numery: telefonu, który rozpoznałem jako domowy, i swojej komórki. Policja z pewnością przejrzała numery telefonów oraz sprawdziła rozmowy przychodzące i wychodzące. Przejrzeli również e-maile. Musiałbym użyć swoich znajomości, żeby uzyskać wykaz rozmów, ale policja przekazała pocztę Megan jej rodzicom, przypuszczalnie na prośbę Carverów. Ci natomiast przekazali ją mnie. Gdyby znajdowało się tam coś cennego, coś ważnego dla śledztwa, trudno uwierzyć, by policja przekazała pocztę nawet jej rodzicom, ale - podobnie jak w przypadku wykazu rozmów - chodziło o to, żeby odhaczyć kolejny punkt na liście.

W połowie notesu spostrzegłem imię, które wydało mi się znajome. Kaitlin. Dziewczyna, z którą Megan miała się spotkać przed zajęciami biologii. Tylko że Megan się nie pojawiła. Imię Kaitlin otoczono dużym sercem, podobnie jak nazwisko Lindsey Watson. Zapisałem ich nazwiska i telefony.

Kiedy skończyłem, do stolika podeszła kelnerka o twarzy pochmurnej jak dzisiejsza pogoda i głośno postawiła przede mną talerz, nie odzywając się ani słowem. Odeszła również bez słowa, a ja ugryzłem kawałek kanapki, oglądając telewizyjne wiadomości na ekranie odbiornika umieszczonego w rogu sali. Kamera przesunęła się po Tamizie, która przypominała port lotniczy Londyn-City.

-...została przewieziona na oddział intensywnej opieki medycznej z powodu hipotermii. Jej stan, określany początkowo jako krytyczny, stopniowo się polepsza. Personel szpitala powiedział reporterowi Sky News, że przypuszczalnie jutro zostanie wypisana. Policja nadal nie ustaliła tożsamości kobiety, nasi informatorzy twierdzą, że zdaniem śledczych może ona mieć od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Za chwilę reportaż o farmerze z...

Dokończyłem kanapkę i ponownie przejrzałem notes. Było w nim mnóstwo nazwisk. Ze trzydzieści, ale tylko sześć nazwisk chłopców. Dodałem je do mojej listy, a następnie zapłaciłem i ruszyłem do szkoły Megan.

□ □ □

Szkoła średnia Newcross mieściła się w ogromnym wiktoriańskim gmachu z czerwonej cegły, w połowie drogi między Tufnell Park i Holloway Road. Zaparkowałem przed wejściem i ruszyłem do drzwi. W środku nie było nikogo. Minąłem kilka klas i zauważyłem, że zajęcia już się rozpoczęły. W salach siedziały dzieciaki, które wyglądały tak, jakby nie pały szczególnym entuzjazmem do nauki. Recepcja znajdowała się na końcu długiego korytarza z oknami wychodzącymi na szkolne boisko do piłki nożnej. Wystrój wnętrza sprawiał wrażenie, jakby człowiek cofnął się w czasie do 1974 roku. Kilka cienkich przesuwanych szklanych paneli na kontuarze z imitacji granitu oddzielało trzy sekretarki od świata zewnętrznego. Panie siedziały za biurkami z tekowego drewna, na wyblakłych krzesłach barwy szpitalnej zieleni.

Zapukałem w szybkę. Wszystkie trzy wyglądały groźnie. Dwie nie zwróciły na mnie żadnej uwagi, ale trzecia podniosła głowę. Zmierzyła mnie wzrokiem, a następnie uznała, że warto ruszyć dla mnie tyłek. Odsunęła szklany panel i spojrzała na mój notatnik. Jej oczy - podobnie jak oczy Carvera wczorajszego dnia - zatrzymały się na moich paznokciach. Żadne nie zauważyło innych, jeszcze gorszych blizn, które pozostały mi po poprzedniej sprawie. Chociaż od tamtej pory minęło niemal dziesięć miesięcy i całkowicie powróciłem do zdrowia, czasami nadal czułem ból w miejscach, gdzie mnie bito i torturowano. Plecy. Dłonie. Stopy. Nie wykluczałem, że ćmiący ból będzie mi towarzyszył do końca życia, przypominając, jak niewiele dzieliło mnie od śmierci, i skłaniając, żebym zadbał, by taka sytuacja nie powtórzyła się nigdy więcej.

Wyciągnąłem wizytówkę i położyłem na blacie przed kobietą.

- Nazywam się David Raker. Pracuję na zlecenie rodziców Megan Carver.

Natychmiast rozpoznała nazwisko. Kobiety siedzące z tyłu podniosły głowy.

- To znaczy?

- Próbuję ustalić, co się z nią stało.

Skinęły głową, jak na komendę. W jednej chwili zdobyłem ich uwagę.

- Czy mógłbym porozmawiać z dyrektorem?

- Jest pan umówiony?

Pokręciłem głową.

- Nie.

Zmarszczyła brwi, ale wzmianka o Megan najwyraźniej ją udobruchała. Przesunęła palcem po kalendarzu szefa.

- Proszę usiąść. Zapytam.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością i usiadłem w ciasnej poczekalni na prawo od recepcji. Kolejne krzesła barwy szpitalnej zieleni i plakaty ostrzegające przed braniem narkotyków. Wazon ze sztucznymi niebieskimi kwiatami. Korytarzem przeszło kilkoro dzieci, z zaciekawieniem spoglądając w moją stronę. Wszystko wokół pachniało pastą do czyszczenia mebli.

Zadzwoił telefon. Długim, nieprzerwanym sygnałem. Jedna z recepcjonistek podniosła słuchawkę. Szklany panel był zasunięty, ale prowadząc rozmowę, spoglądała na mnie.

- Rozumiem - powtórzyła kilka razy i odłożyła słuchawkę. Pochyliła się do przodu i odsunęła szklaną płytkę. - Dyrektor przyjdzie za pięć minut.

Po piętnastu minutach w końcu się zjawił.

Ruszył prosto do recepcji z niespokojną, poczerwieniałą twarzą - jakby biegł całą drogę. Podążył wzrokiem w kierunku wskazanym przez sekretarki, do miejsca, w którym siedziałem na końcu korytarza. Podeszedł do mnie.

- Steven Bothwick.

Wstałem i uścisnąłem mu dłoń.

- David Raker.

- Miło pana poznać - powiedział, odsuwając włosy z twarzy. Łysiał i nieporadnie próbował ukryć ten fakt.

- Przyszedłem do państwa z powodu Megan Carver - wyjaśniłem.

- Rozumiem - odrzekł. - Była wspaniałą dziewczyną.

Wskazał ręką drzwi, na których widniała tabliczka z jego nazwiskiem. Dyrektorski gabinet był mały, zagracony książkami i teczkami. Duże okno za biurkiem wychodziło na boisko do piłki nożnej. Bothwick przysunął krzesło spod ściany i ustawił po drugiej stronie swojego biurka.

- Chce się pan czegoś napić?

- Nie, dziękuję.

Skinął głową, odsuwając na bok kilka teczek i chowając je pod biurkiem. Chociaż miał pięćdziesiąt kilka lat i mierzył nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, promieniował siłą i determinacją, a jego twarz wyrażała skupienie i powagę. Sięgnąłem do

kieszoni i podałem mu wizytówkę.

- Zacznę od wyjaśnienia, że nie jestem funkcjonariuszem policji. Kiedyś byłem dziennikarzem.

Bothwick zmarszczył czoło.

- Dziennikarzem?

- Tak, wykonywałem ten zawód. Od dwóch lat zajmuję się poszukiwaniem zaginionych osób. Taką pracę wykonuję obecnie. Carverowie zwrócili się do mnie z prośbą o odnalezienie córki.

- Dlaczego?

- Bo policyjni śledczy zabrnęli w ślepią uliczkę.

Skinął głową.

- Żał mi jej rodziców. Megan była zdolną uczennicą, miała przed sobą wspaniałą przyszłość. To samo powiedziałem policji. - Podniósł moją wizytówkę i uważnie ją przestudiował. - Zdecydował się pan na radykalny zwrot w karierze zawodowej.

- Nie jest tak duży, jak mogłoby się wydawać. - Obserwowałem, jak czyta wizytówkę:

DAVID RAKER, PRYWATNY DETEKTYW,

POSZUKIWANIE OSÓB ZAGINIONYCH

Spojrzał na mnie ponad biurkiem.

- Czym mogę służyć? - zapytał, oddając wizytówkę.

- Chciałbym zadać panu kilka pytań.

- Słucham.

Wyjąłem notatnik i położyłem na biurku.

- Rodzice Megan powiedzieli mi, że trzeciego kwietnia odwieźli ją do szkoły, ale gdy przyjechali po południu, już jej nie było. Czy uczniowie muszą się meldować przed wyjściem?

- Tak, sprawdzamy obecność rano i po lunchu, ale kontrolujemy wyłącznie uczniów od siódmej do jedenastej klasy.

- Czyli od jedenastego do szesnastego roku życia, prawda?

- Tak.

- Zatem nie dotyczyło to Megan?

- Tak. Staramy się traktować najlepszych uczniów jak dorosłych. Zachęcamy ich, żeby przychodzili na zajęcia, ale nie odnotowujemy nieobecności.

- Czy ktoś zauważyłby, że uczeń opuścił kilka dni szkoły? Kto zostałby o tym powiadomiony? Pan?

- Tak. Jeśli uczeń ustawicznie opuszcza lekcje, nauczyciel powinien o tym zawiadomić.

- A kilka nieobecności...?

Wzruszył ramionami.

- Mogliby o tym zawiadomić albo nie. To zależy od ucznia. Niektórzy są tak mało aktywni na lekcji, że ich nieobecność mogłaby nie zostać dostrzeżona. Wówczas nauczyciel nie zorientowałby się tak szybko, ale Megan... od razu byśmy wiedzieli, gdyby zaczęła opuszczać zajęcia.

- Była dobrą uczennicą?

- Tak, należała do trzech procent najlepszych uczniów.

- Czy nigdy nie stwarzała kłopotów wychowawczych?

Potrząsnął głową.

- Absolutnie nie.

- Jak rozumiem, ostatnimi zajęciami tamtego dnia były fizyka i biologia. Czy pojawiła się na fizyce?

- Tak.

- Czy jej nauczyciel to potwierdził?

- Tak. Nauczyciel i piętnastu innych uczniów obecnych na zajęciach.

- Jaka odległość dzieli pracownię fizyczną i biologiczną?

- Praktycznie żadna. Są w tej samej części budynku. Pracownia chemiczna jest na ostatnim piętrze, fizyczna na drugim, a biologiczna na parterze.

- W tej części budynku nie ma kamer, prawda?

- Niestety, nie. Zainstalowaliśmy kamery, ale nie stać nas na umieszczenie ich w każdym miejscu. Dysponujemy bardzo skromnym budżetem. - Odwrócił się w fotelu i wskazał schemat na ścianie, plan szkolnego kampusu z maleńkimi ikonami oznaczającymi kamery. - To jedyne kamery, które mamy. Jedna została zainstalowana przy wejściu, jedna na parkingu, jedna w recepcji, jedna przed pracowniami języka angielskiego i matematyczną oraz jedna na boisku.

- Czemu tylko przed salą do angielskiego i matematyki?

- Bo znajdują się w najbardziej oddalonej części gmachu.

- Czy szkoła ma kilka wejść?

- Nie, w każdym razie nie są to wejścia oficjalne. Niektórzy uczniowie mieszkają za

boiskami do piłki nożnej, więc przełazą przez ogrodzenie i wracają do domu polami. Jest też tylny parking za budynkiem szóstego roku, gdzie parkują niektórzy uczniowie jedenastej i dwunastej klasy, jeśli mają szczęście posiadać samochód. Parking jest ogrodzony, ale siatka sięga jedynie do pasa.

- Zatem gdyby Megan chciała niepostrzeżenie opuścić teren szkoły, tak by nie zarejestrowały jej kamery telewizji przemysłowej, mogłaby przeskoczyć tylne ogrodzenie parkingu za budynkiem szóstego roku.

- Tak. Myślę, że policja doszła do podobnego wniosku.

Sięgnąłem po Księgę Życia Megan.

- Czy mógłbym porozmawiać z kilkoma uczniami?

- Przyjaciółkami Megan?

- Tak. - Zajrzałem do notatnika. - Z Lindsey Watson i Kaitlin Devonish.

Bothwick skinął głową, sięgnął po słuchawkę i wprowadził czterocyfrowy numer. W recepcji po drugiej stronie drzwi rozległ się dzwonek.

- Lindo, proszę, przyślij do mnie Lindsey Watson i Kaitlin Devonish. - Odłożył słuchawkę. - Chciałby pan mówić z kimś jeszcze?

Zajrzałem do notesu, odwróciłem go i podsunąłem Bothwickowi.

- Sześć nazwisk u dołu - powiedziałem, wskazując nazwiska chłopców. - Czy któryś z nich chodzi do państwa szkoły?

Wyjął okulary z górnej kieszonki marynarki, wsunął na nos i przyjrzał się nazwiskom.

- Tak.

- Wszyscy?

- Z wyjątkiem jednego.

- Którego?

- Anthony'ego A.J. Granta.

- Nie przypomina pan sobie tego nazwiska?

- Nie - odparł, zdejmując okulary. Wstał i podszedł do segregatora w tylnej części pokoju. Szafka miała trzy szuflady wypełnione identycznymi szarymi teczkami z zakładkami indeksującymi. Pewnie lubił prowadzić kartotekę po staremu. Doszedł do litery G, ale niczego nie znalazł.

- Zdecydowanie nie jest naszym uczniem.

- Czy każdy ma swoją teczkę?

- Tak, każdy obecny uczeń.

Przysunąłem notes i umieściłem znak zapytania obok A.J. Granta.

- Czy pozostali... - ponownie podsunąłem mu notatnik - są z tego samego roku co Megan?

- Tak.

- Czy będę mógł z nimi porozmawiać?

- Oczywiście... ale dziś są tylko Lindsey i Kaitlin. Czterech chłopców wyjechało na wycieczkę szkolną do Normandii. Piąty... cóż, szczerze mówiąc, nie wiem, gdzie jest Charles Bryant. Rok temu zmarła jego matka, chłopak opuścił wiele zajęć. W tym tygodniu mija pierwsza rocznica jej śmierci, więc nie pokazał się w szkole. Próbowałem się skontaktować z jego ojcem, ale bez powodzenia. Wysłałem nawet nauczyciela do jego domu, ale nikogo nie zastał. Nie mam pojęcia, gdzie przebywa. Sądzę, że w tym tygodniu najlepiej zostawić go w spokoju.

- Czy mógłbym dostać jego adres?

- Obawiam się, że to niemożliwe. Nie jestem do tego upoważniony.

Ktoś zapukał do drzwi. Bothwick podniósł głowę.

- Wejść!

Do gabinetu dyrektora weszły dwie dziewczyny. Przysunęły się bliżej, szurając butami i popatrując to na mnie, to na Bothwicka. Jedna była piękna, drobnej budowy ciała, smukła i kobieca, miała delikatny makijaż. Druga bardziej pospolita, większa, skromniej ubrana, ale za to uśmiechnięta.

- Kaitlin, Lindsey, to pan Raker. Pan Raker zajmuje się sprawą zaginięcia Megan na prośbę jej mamy i taty.

Wstałem.

- David.

- Lindsey. - Twarz większej dziewczyny rozpromieniła się uśmiechem.

Druga się zawahała.

- Kaitlin - powiedziała cicho, z wyraźnym akcentem.

Odwrociłem się do Bothwicka.

- Czy mógłbym je gdzieś zabrać, żeby spokojnie porozmawiać?

Wydawał się kompletnie zaskoczony pytaniem, jakbym zagroził, że podpale szkołę.

- To znaczy?

- Czy mógłbym zaprosić Kaitlin i Lindsey na kawę?

- W jakim celu?

- Chciałbym pomówić z nimi prywatnie.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Wolałbym, abyście zostali na terenie szkoły.

- Oczywiście. Czy mają państwo pomieszczenie, w którym nikt nam nie będzie przeszkadzał?

- Możecie iść do stołówki.

- Nie będzie tam innych dzieci?

- Mieliliśmy już lunch.

Spojrzałem na zegarek. Była druga trzydzieści.

- Dobrze, pójdziemy do stołówki.

Stołówka była długa i wąska, z podłogą ze starych drewnianych desek. Wysoki rzeźbiony strop pokryto białym tynkiem. W jednej ze ścian znajdowały się cztery ogromne okna, przez które wlewały się do środka promienie słońca, chociaż o szyby zaczęły bębnić krople deszczu. Po drugiej stronie, w kuchni, rosłe kobiety w białych fartuchach szorowały ogromne gary.

W drodze do stołówki Lindsey bez przerwy gadała. Ostatni raz widziała Megan przed wyjazdem Carverów na Florydę.

- Wydawało się, że u niej wszystko w porządku - powiedziała, odwracając się do przyjaciółki. - Prawda, Kay?

Kaitlin spojrzała na mnie i na Lindsey, a później skinęła głową.

- Jak to możliwe, że nie widziałas Megan od powrotu do jej zaginięcia? - spytałem Lindsey.

- Wyjechałam do Włoch, w ramach programu wymiany.

- A ty, Kaitlin?

Kaitlin rzuciła mi przelotne spojrzenie. Sprawiała wrażenie podenerwowanej, jakby znajdowała się w kłopotcie. Policja była pewnie w jej domu, zadając pytania, starając się wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Czasami przynosi to odwrotny skutek. Silna presja powoduje, że ludzie się zamykają, bo czują się nieprzydatni. Może w jakimś sensie Kaitlin czuła się winna, bo gdyby zamiast przy szafkach zaczekała na Megan przed salą, w której tamtego dnia odbywały się przedostatnie zajęcia, jej przyjaciółka by nie zaginęła. Zamiast tego pożegnała się z nią po lunchu i nigdy więcej jej nie ujrzała.

- Możesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło tamtego dnia? - zapytałem, kiedy usiedliśmy.

- Już powiedziałam policji.

- Wiem. Wiem, że bardzo im pomogłaś. Próbuje sprawdzić, czy nie przeoczyli jakichś szczegółów. Nie masz żadnych kłopotów. Jestem tutaj, aby pomóc rodzicom Megan ustalić, co się z nią stało.

Skinęła głową, ale wciąż sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Położyła dłonie na kolanach, jedną z nich lekko pocierając górną część uda.

- Przy okazji, skąd jesteś?

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Z Tufnell Park.
- Chodziło mi o to, gdzie się urodziłaś.

Nadal patrzyła na mnie nachmurzona.

- W Republice Południowej Afryki.
- Tak sobie pomyślałem. Piękny kraj. Kiedyś tam mieszkałem.

Po raz pierwszy dostrzegłem nieznaczną zmianę mimiki: napięcie i bezruch zastąpiło lekkie rozluźnienie mięśni.

- W jakiej części? - spytała.
- W Johannesburgu.

Poruszyła głową, ale tym razem nic w jej twarzy nie drgnęło, jakby mnie nie słuchała. Obserwowałem ją chwilę - wyraz twarzy, rękę na nodze - zastanawiając się nad przyczyną jej małomówności. Czy wynikała z nieśmiałości? A może powód był całkiem inny?

- Kaitlin?

Odwróciła się i spojrzała mi w oczy.

- Możesz mi opowiedzieć, co się stało tamtego dnia?

- Zjadłyśmy razem lunch - powiedziała cicho. - Później była pierwsza lekcja. Ja miałam historię, ona fizykę. W przerwie między lekcjami miałyśmy się spotkać przy szafkach obok pracowni nauk przyrodniczych. Czekałam na nią, ale się nie pojawiła.

- Czemu umówiłyście się przy szafkach?

Zmarszczyła czoło i spojrzała na Lindsey.

- Zawsze tak robiłyśmy.

- Przed biologią?

- Tak. Chyba że miałyśmy wolną godzinę. Wtedy Linds, Meg i ja chodziłyśmy do biblioteki lub do budynku szóstego roku.

- Czy tamtego dnia Megan zachowywała się normalnie?

- Tak.

- Nie była czymś podenerwowana, nie martwiła się o coś?

- Nie.

- Była normalna? Taka jak zawsze?

- Mniej więcej.

Przerwałem na chwilę.

- Mniej więcej?

Kaitlin wzruszyła ramionami.

- Wspomniała, że od kilku dni boli ją głowa. Powiedziałam to policji. Nic poważnego.

Po prostu ćmiący ból głowy.

Zapisałem jej słowa, a później zaczęliśmy rozmawiać o Megan. Jaka była, jaki miała charakter, dlaczego dostała same piątki na egzaminie GCSE. Lindsey zdominowała rozmowę, ale nie dowiedziałem się właściwie niczego nowego. Większość informacji pasowała do tego, co powiedzieli mi Carverowie: Megan miała poważny stosunek do nauki i przyszłej kariery zawodowej, nie chciała, żeby cokolwiek jej w tym przeszkodziło. Zupełnie inaczej niż typowe dziecko, które ucieka z domu.

- Jak jej się układało z nauczycielami?

- Kto się zadaje z nauczycielami? - spytała Lindsey.

- Nie była zaprzyjaźniona z któryms z nich?

Lindsey zmarszczyła czoło.

- Staram się znaleźć przyczynę jej zniknięcia.

Rozdziawiła buzię, jakby nagle zrozumiała, do czego zmierzam. Pokręciła głową.

- Nie sądzę. Poza tym przedmiotów przyrodniczych uczą głównie kobiety.

Przytaknąłem.

- Tata Megan powiedział mi, że pracowała w sklepie ze sprzętem wideo...

- Tak - potwierdziła Lindsey. - Dwa weekendy w miesiącu. Myślę, że zamknęli go dobre dwa miesiące temu.

- Rozumiem. Czy spotykała się z kimś, gdy tam pracowała?

- Nie sądzę... - Przerwała i rzuciła okiem na Kaitlin. Gdy nie uzyskała od niej wsparcia, odwróciła się do mnie ponownie. - Z nikim oprócz Charliego... ale Charliego znała już wcześniej.

- Kim jest Charlie?

- To Charlie Bryant.

- Charles Bryant?

Lindsey skinęła głową.

- Chłopak, któremu umarła matka?

- Tak.

- Czy Megan i Charlie się przyjaźnili?

- Jakiś czas ze sobą chodzili.

- Długo?

- Nie mam pojęcia... kilka miesięcy.

- Kiedy to było?

- Po śmierci jego matki.

- Rok temu?

- Tak, ale Charlie był nieznośny... - Przerwała na chwilę, jakby dopiero teraz zrozumiała dlaczego. - Wie pan, niedawno stracił matkę. To rozumiałe.

- Czy dlatego się rozstali?

- Megan powiedziała, że żałuje Charliego, ale przestała go lubić. Po kilku tygodniach z nim zerwała.

- Jak to przyjął?

- Był wściekły. Bardzo ją lubił. Ale w końcu się pozbierał.

- Czy pracował w sklepie wideo w czasie, gdy Megan zniknęła?

- Chyba tak.

- Zatem w dalszym ciągu ze sobą rozmawiali?

- Tak.

- Czy ich stosunki dobrze się układały?

- Tak, powiedziałabym, że tak... - Spojrzała ukradkiem na Kaitlin. - Co myślisz, Kay? Kaitlin popatrzyła na mnie i skinęła głową. Podkreśliłem nazwisko Charlesa Bryanta.

- Czy mówi wam coś nazwisko A.J. Grant? - Puste spojrzenie powiedziało mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Zmieniłem taktykę. - Miałyście ulubione puby i kluby, do których zaglądałyście?

- Tiko - odpowiedziała bez chwili wahania Lindsey.

- Tak. Tiko na West Endzie.

Zapisałem nazwę.

- Jakież inne?

Spojrzały na siebie.

- Chyba nie - podjęła Lindsey. - Wie pan, odwiedzałyśmy wiele miejsc, ale w Tiko grali najlepszą muzykę.

Wyciągnąłem aparat cyfrowy Megan i wyświetliłem zdjęcie, na którym stała przed blokiem mieszkalnym.

- Czy zrobiła je któraś z was?

Lindsey ujęła aparat i obie przyjrzały się fotografii.

- Co to za miejsce?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam pojęcia. Rozpoznajecie je?

- Nie - odpowiedziała Lindsey, kręcąc głową.

Skinąłem, odbierając aparat i rzucając przelotne spojrzenie

Kaitlin. Odwróciła wzrok i ponownie stała się chłodna. Zamknięta.

Coś było wyraźnie na rzeczy.

□ □ □

Kiedy wróciłem, Bothwicka nie było w gabinecie. Rzuciłem okiem w kierunku recepcji. Jedna z sekretarek rozmawiała przez telefon. Szybko wszedłem do jego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Miałem mało czasu.

Na krawędzi biurka leżały dwie teczki, tam gdzie je zostawił. Teczka Kaitlin i teczka Lindsey. Zostawiłem teczkę Lindsey i otworzyłem teczkę Kaitlin. Jej szkolna fotografia, przypuszczalnie sprzed kilku lat. Poniżej wykaz przedmiotów, które studiowała, i lista obecności. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało prawidłowo. Żadnych dłuższych nieobecności, żadnych uwag. Na następnej stronie widniał jej domowy adres w Tufnell Park, a na ostatniej ocena semestralna. U dołu dostrzegłem ocenę bardzo dobrą z dramatu.

Zatem nie była nieśmiała.

Zamknąłem teczkę, odłożyłem ją na biurko i wysunąłem górną szufladę szafki na dokumenty. Teczka Bryanta była ósma z brzegu. W środku znajdowała się jego fotografia. Ładny dzieciak. Ciemne włosy, jasne oczy. Mieszkał z ojcem w pobliżu Highgate Wood.

Usłyszałem kroki na korytarzu.

Bothwick.

Zamknąłem teczkę, włożyłem ją do szafki i cicho wsunąłem szufladę. Chwilę później dyrektor stanął w drzwiach.

- Ach! - powiedział. - Przepraszam, musiałem wyjść.

- Nic się nie stało.

- Dostał pan wszystko, czego pan potrzebował?

Uśmiechnąłem się, spoglądając kątem oka na teczki, aby upewnić się, że leżą tam, gdzie je pozostawił. Później uściśnąłem mu dłoń i przytaknąłem.

□ □ □

Lindsey miała rację. Sklep ze sprzętem wideo, w którym pracowała Megan, został zamknięty. Nie na parę dni, ale na dobre. Przejechałem obok niego i skręciłem w kierunku Holloway Road. Dom Bryanta w Highgate okazał się trzypiętrową miejską rezydencją z podwójnym garażem i werandą z kutego żelaza.

W środku było ciemno.

Zadzwoniłem i czekałem. Nic. Najmniejszego ruchu.

Najsłabszego dźwięku dolatującego z wewnątrz. Kiedy siąpiący deszcz się nasilił, zszedłem z werandy i ruszyłem bokiem. Równoległe do nieruchomości, za zamkniętą furką biegła ścieżka. Dostrzegłem kawałek ogrodu, ale nic więcej. Wycofałem się do frontowych drzwi i ponownie zadzwoniłem. Także tym razem nikt nie odpowiedział, więc wróciłem do samochodu w strugach deszczu.

Trzy tygodnie po świętach Bożego Narodzenia przed drzwiami znalazłem ulotkę informującą o spotkaniach grupy wsparcia dla wdów i wdowców poniżej czterdziestego piątego roku życia. Wątpię w przeznaczenie, a właściwie w ogóle nie daję wiary takiemu ględzeniu. Z drugiej strony rozumiem, że ludzie mogliby w nie uwierzyć, gdybym im powiedział o ulotce, która pojawiła się na mojej wycieraczce. W tym czasie zakończyłem sprawę, której rozwiązania omal nie przypłaciłem życiem, i spędzałem święta sam, oglądając stare filmy ze mną i Derryn. Byłem w fizycznym i emocjonalnym dołku. Chyba właśnie dlatego w drugim tygodniu stycznia pod wpływem impulsu postanowiłem pójść na spotkanie, nie spodziewając się po nim niczego wielkiego. Od tego dnia minęło dziewięć miesięcy, a ja nadal co tydzień chodziłem na spotkania.

Odbływały się we wtorki, najczęściej w budynku dwuletniego college'u przygotowawczego, w sali pachnącej zwiędziałą kawą. Raz w miesiącu zrzucałiśmy się i szliśmy na obiad. Gdybym się wcześniej nie zgodził, pewnie bym zrezygnował, aby skoncentrować się na sprawie Megan Carver, ale teraz było już na to za późno. Z domu Bryanta pojechałem do swojego biura w Ealing, wziąłem ubranie na zmianę, dezodorant i wyruszyłem do restauracji. Do tajskiej knajpki w Kew, w pobliżu rzeki.

Kiedy wszedłem, z kuchni dolatywało skwierczenie, a w powietrzu unosił się zapach kokosa i sosu sojowego. Czternaście osób siedziało przy wielkim stole ustawionym obok jednego z okien. Naszą grupę prowadziła Jenny, niska, przysadzista trzydziestodwulatka. Jej mąż dostał zawału, biegnąc do pociągu na stacji King's Cross. Zobaczyła mnie, podeszła i cmoknęła w policzek. Polubiłem Jenny od naszej pierwszej rozmowy. Była pełna życia, inteligentna i wesoła, znała się też na ludziach. Potrafiła czytać w myślach i nawiązać osobisty kontakt. Podeszliśmy do stołu. Przeprosiłem wszystkich za spóźnienie, wymieniając uściski dłoni i pozdrowienia ze stałymi bywalcami. Dwa miejsca pozostały puste: jedno na środku, obok księgowego imieniem Roger, który po kilku lampkach czerwonego wina zaczynał opowiadać o potężnej mocy swojej mazdy RX-8. Drugie puste krzesło znajdowało się po prawej, obok dwóch osób, których wcześniej nie widziałem.

- Davidzie, mamy dziś dwie nowe osoby - wyjaśniła Jenny. Nachyliła się ku mnie, gdy szliśmy w ich stronę. - Miałam nadzieję, że się nimi zajmiesz w moim zastępstwie.

Jenny przedstawiła nowych jako Arona Crane'a i Jill White. Oboje stracili życiowych partnerów i poznali się przy porannej kawie w kawiarni. W pierwszej chwili pomyślałem, że

stanowią parę, ale siedzieli oddzielnie i w trakcie rozmowy wspominali swoich zmarłych partnerów w sposób, który czynił oczywistym, że nie byli razem.

Zamówiliśmy jedzenie i spędziliśmy pół godziny na niezobowiązującej rozmowie o pogodzie, miejskim ruchu, miejscowym członku parlamentu przyłapanym w toalecie w Bayswater ze spodniami spuszczoneymi do kostek i męską prostytutką. Oboje wydawali się sympatyczni. Jill była mniej więcej w moim wieku, po gorszej stronie czterdziestki. Miała ciemnoniebieskie oczy - o barwie morza w wakacyjnym miejscu, na które nie możemy sobie pozwolić - drobne niedoskonałości skóry, takie jak blizny po trądziku, oraz niewielkie znamię powyżej brody. Widać było, że jest boleśnie świadoma tego znamienia. Kiedy mówiła, mimowolnie przysuwała dłonie do twarzy, umieszczając jedną pod brodą, a drugą kręcąc kosmyki jasnych włosów za uszami.

On miał ze trzydzieści pięć lat, ciemnobrązowe włosy i oczy tej samej barwy oraz lekko skrzywiony nos, jakby kiedyś złamany i niewłaściwie nastawiony. Nosił skromne ubranie - koszulę z kołnierzykiem, szare spodnie i prostą marynarkę. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że pracuje w City, paląc ogień w diabelskim piecu kierownictwa średniego szczebla. Miał udreżone spojrzenie, jakby nigdy nie mógł do końca wystawić głowy nad powierzchnię wody.

- Czym się zajmujesz, Davidzie? - zapytał, kiedy przyniesiono jedzenie.

- Odnajdywaniem zaginionych osób.

- Jesteś kimś w rodzaju śledczego?

- Tak, można tak powiedzieć - odparłem z uśmiechem. - Tylko nie mam odznaki, którą mógłbym mignąć przed oczami, i nie wyważam drzwi. Innych różnic nie pamiętam.

Aron wybuchnął śmiechem, ale Jill uśmiechnęła się kwaśno, jakbym ją przed chwilą uraził. Może uwagą o policji.

Aron spojrzał na nią, a później zatrzymał wzrok na mnie.

- Mąż Jill był policjantem. On... - Spojrzała na nią ponownie. Skinęła głową, zgadzając się, by kontynuował opowieść. - Zginął na służbie. Został postrzelony... - Przerwał na chwilę.

- Ona nadal stara się ustalić, kto to zrobił.

- Przepraszam. Naprawdę mi przykro - powiedziałem. Uniosła rękę.

- W porządku. Od tego czasu minął prawie rok... powinnam lepiej ukrywać swoje uczucia. - Tym razem uśmiechnęła się naprawdę.

Rozmowa przeszła na bardziej ogólne tematy - film, sport i ponownie pogodę. W końcu zaczęliśmy rozmawiać o tym, co nas wszystkich rzuciło do Londynu. Jill pracowała w marketingu i niedawno przeprowadziła się do miasta, kiedy jej mąż dostał robotę

w londyńskiej policji. Aron potwierdził moje przypuszczenia. Pracował w finansach, w banku inwestycyjnym mającym siedzibę przy Canary Wharf. W końcu rozmowa zatoczyła koło i powróciła do mojego zajęcia.

- Lubisz swoją pracę? - spytała Jill.

- Tak, zwykle lubię. - Podniosłem lewą dłoń i poruszyłem palcami z uszkodzonymi paznokciami. - Chociaż nie zawsze. Czasami po prostu sprawia ból.

- Jak to robisz?

Przerwałem, przyglądając się swoim palcom.

- Niektórzy ludzie wolą pozostać w ukryciu - odparłem lekkim tonem, żeby zbyć kolejne pytania.

Po prostu tak było łatwiej.

□ □ □

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, a część ludzi - w tym Aron - pozostała jeszcze w środku, by podzielić się rachunkiem za kolację, pogadałem z Jill sam na sam. Noc była chłodna. Na krótką chwilę niebo się otworzyło i ukazał się księżyc. Później zniknął ponownie za zasłoną czarnej chmury.

- Dziękuję, że dotrzymałeś nam towarzystwa, Davidzie - powiedziała. - Domyślam się, że zabawianie nowych nie jest ciekawym zajęciem.

- Cieszę się, że mogłem was poznać.

- A ja się cieszę, że posłuchałam Arona i tu przyszłam. Przyznaję, że początkowo nie wiedziałam, czy powinnam to zrobić. Teraz wiem, że podjęłam słuszną decyzję. Kiedy zginął Frank, byliśmy nowi w mieście. Wiesz, mieliśmy wielu przyjaciół na wsi, ale niewielu w Londynie. Przez ostatni rok prawie nie wychodziłam z domu.

- To akurat każdy tutaj zrozumie. - Spojrzałem na Arona, aby po chwili ponownie przenieść wzrok na Jill. - Po prostu wpadliście na siebie?

- Właściwie tak. Aron pija poranną kawę tam gdzie ja. Któregoś dnia powiedziałam „cześć”, a później zaczęliśmy gadać i... no i trafiliśmy tutaj. - Przerwała i spojrzała na mnie, jakby przyszło jej coś do głowy. - Planowaliśmy wyjście na drinka w piątek wieczór. Czuj się zaproszony.

Popatrzyła na mnie, a w jej oczach zatańczyły odbite światła restauracji. Zerknąłem do środka w poszukiwaniu Arona, który śmiał się z czegoś, co powiedziała Jenny, a później spojrzałem na Jill.

- Nie chcę wam przeszkadzać...

Podążyła śladem mojego wzroku.

- Masz na myśli Arona?

Skinąłem głową.

- Ach, nie... jesteśmy przyjaciółmi. Nie jestem gotowa na nową relację. - Odwróciła wzrok. - Podaj mi swój numer telefonu. Wyślę ci SMS-a albo zadzwonię. Dołączysz do nas, jeśli będziesz miał ochotę. Bez żadnych zobowiązań.

Podąłem jej swój numer. Zapisując go, ponownie zajrzała do lokalu, szukając Arona. Może nie była gotowa. Może on też nie był gotów, ale z pewnością coś do siebie czuli, nawet jeśli to jedynie powinowactwo dusz. Nie chciałem wchodzić im w drogę, bo wiedziałem, co to za uczucie. Wiedziałem, co to znaczy ponownie nawiązać relację i pozostawić za sobą mroczne cienie.

Kiedy Derryn odeszła, moi rodzice nie żyli od trzech lat. Nie mam rodzeństwa. Początkowo byłem zdany na przyjaciół, którzy pomagali mi, dzieląc się obowiązkami. Później sytuacja zaczęła się stopniowo zmieniać. Przed śmiercią Derryn żartowaliśmy z kolegami, śmialiśmy się z siebie, prowadziliśmy podsycane piwem sprzeczki o piłkę nożną i kino. Gdy ją pochowałem, piłka i film przestały mieć znaczenie.

Tylko jedna osoba to rozumiała.

Dotarłem do domu po jedenastej. Spojrzałem przez ogrodzenie na frontowy pokój sąsiedniego domu i ujrzałem Liz pochyloną nad laptopem. Liz była inna od ludzi, których znałem, choć nie wiedziałem dlaczego. Wprowadziła się trzy tygodnie po śmierci Derryn i w ogóle mnie nie знаła, kiedy jednak zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że potrafi siedzieć i słuchać - noc w noc, tydzień w tydzień - cofając się wraz ze mną do początku mojego małżeństwa.

Po trzech lub czterech miesiącach zorientowałem się, że coś do mnie czuje. Chociaż nigdy tego nie powiedziała ani nie dała do zrozumienia, wyraźnie to widziałem. Miałem przeczucie, że gdy będę gotów, Liz będzie na mnie czekała. W razie potrzeby Liz udzielała mi także praktycznej pomocy. Była doskonałym adwokatem i miała własną kancelarię w mieście. Kiedy przed świętami Bożego Narodzenia sprawa, którą się zajmowałem, przybrała zły obrót, Liz siedziała razem ze mną w policyjnym pokoju przesłuchań, gdy śledczy próbowali ustalić, co i dlaczego się wydarzyło. A kiedy okłamałem policję, w głębi duszy czułem, że Liz o tym wiedziała. Mimo to nigdy nie doprowadziła do konfrontacji ani o tym nie wspomniała. Rozumiała, że strata żony wywarła wpływ na moją potrzebę zwierzeń, i wydawała się gotowa przeczekać trudny okres.

Wszedłem na werandę, zapaliło się oświetlenie alarmowe. Liz zauważyła ruch. Zmrużyła oczy, a ja wszedłem w pole światła. Uśmiechnęła się i wstała od stołu, pozdrawiając mnie ręką. Skinąłem głową i ruszyłem ścieżką w kierunku drzwi. Były otwarte, a światło oblewało jej postać, gdy szukała czegoś w kuchennym kredensie.

- Witaj, Raker - powiedziała, podnosząc głowę i wyjmując nowoczesny młynek do kawy. Na blacie leżała ziarnista kawa w srebrnej folii.

- Jak się masz, Elizabeth?

Pokręciła głową. Nie lubiła, gdy ją tak nazywano.

- W porządku, a ty?

- Ujdzie. Byłaś dzisiaj w sądzie?

- Idę jutro.

- Ach! Na pewno chcesz, żebym ci przeszkadzał?

- Stanowisz miłą odmianę - powiedziała, uśmiechając się szeroko.

Jej dom był czysty, przeniknięty taką atmosferą, jakby gospodarze „dopiero co się wprowadzili”, choć Liz mieszkała tu niemal dwa lata. W salonie znajdował się wspaniały kominek wykończony czarnym marmurem i otoczony kamiennym murkiem. Szczapy drewna leżały we wnękach z obu stron, a mały drewniany anioł z rozpostartymi skrzydłami stał tam, gdzie powinien płonąć ogień. Reszta wystroju pokoju była minimalistyczna. Dwie czarne kanapy, telewizor w rogu i roślina doniczkowa, a pod frontowym oknem aparatura nagłaśniająca marki Denon. Na jedynej półce wysoko ponad kanapami stały cztery fotografie przedstawiające Liz i jej córkę. Młodo wyszła za męża, by wkrótce urodzić córkę i się rozwieść. Chociaż Liz miała zaledwie czterdzieści trzy lata, jej córka Katie była na trzecim roku uniwersytetu w Warwick.

Usiadłem w salonie. Liz zamknęła młynek i włączyła urządzenie. Do moich uszu doleciał hałas przypominający zgrzyt kół traktora na kamienistej ziemi i dom wypełniła aromatyczna woń kawy. Po chwili Liz wyszła, przymknęła drzwi do kuchni i przysiadła na kanapie naprzeciw mnie.

- Gdzie byłeś?

- Na spotkaniu grupy wsparcia.

- No tak, dziś wtorek. Jak było?

- Całkiem niezłe. W tym tygodniu nie siedziałem obok Rogera.

Uśmiechnęła się.

- To ten facet od mazdy RX-osiem, prawda?

- Prawda.

- Dokąd poszliście?

- Do tajskiej restauracji w Kew.

- Wiem której. Raz zaprosiłam tam klienta. Oskarżono go o nabycie skradzionych towarów. - Przerwała i uśmiechnęła się ponownie. - Gość nie budził zaufania, ale uchroniłam go przed odsiadką, a on skompensował to wysokim rachunkiem przesłanym po zakończeniu procesu.

- Jesteś droga?

- Gdybyś wiedział jak... - Mrugnęła porozumiewawczo. - Jeśli znajdziesz się w posiadaniu podejrzanych odtwarzaczy DVD, będziesz wiedział, do kogo się zwrócić,

Davidzie.

Uśmiechnęła się. Spojrzeliśmy na siebie ponownie w ciszy wypełnionej szumem elektrycznego młynka do kawy.

- Masz nową sprawę?

- Pamiętasz Megan Carver?

Zawahała się. Znała nazwisko, ale nie wiedziała skąd.

- Czy to dziewczyna, która zniknęła w nieznanych okolicznościach?

- Tak.

- O rety! Poważna sprawa.

- Wystarczająco. Próbuję ją odnaleźć.

- Jeśli nadal żyje.

- Tak, choć istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest inaczej.

Przestała mnie wypytywać, choć jej oczy mówiły, że chciałyby dowiedzieć się więcej. Nie wynikało to jedynie z naturalnej ciekawości. Chociaż nasze zajęcia były podobne - oboje mieliśmy do czynienia z poszkodowanymi klientami, kłamstwami, półprawdami i hipotezami - zdawałem sobie sprawę, że kierują nią znacznie prostsze motywy: chciała wiedzieć, dokąd zmierza nasza relacja.

- Ach, niemal zapomniałam - westchnęła i po chwili zniknęła w korytarzu.

Podniosłem głowę i ponownie spojrzałem na jedną z fotografii na półce. Liz zarzuciła rękę na szyję Katie, była ubrana w spódnicę i bluzkę. Wyglądała fantastycznie. Miała ciemne, wesołe oczy, długie włosy barwy czekolady, smukłą, delikatną figurę. Nigdy nie rozmawialiśmy o jej relacjach z mężczyznami, ale wydawało się niemożliwe, aby z nikim się nie spotykała. Była piękna, choć nie dawała odczuć, że zdaje sobie z tego sprawę, co czyniło ją tym bardziej pociągającą.

Wróciła po kilku minutach z kopertą w dłoni.

- Masz - powiedziała, podając mi tajemniczy przedmiot.

- Wystawiłaś rachunek za kawę?

- Ha, ha! Zabawny z ciebie facet, Raker. Nie, jeden z moich stałych klientów otworzył nową restaurację. Nic o niej nie wiem, ale któregoś dnia będziesz mógł zaprosić kilku kolegów z grupy. Jestem prawnikiem, więc nie mam przyjaciół, dlatego pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli oddam je tobie.

Uśmiechała się czarująco.

Zajrzałem do środka. Osiem bonów z nazwą niedawno otwartej włoskiej restauracji w Acton. Za każdy mogłeś dostać darmo główne danie.

- Jesteś pewna? - spytałem.

- Tak, absolutnie.

Spojrzałem na Liz, a później ponownie na bony. Nie zastanawiaj się. Po prostu to zrób. Podniosłem oczy. Znowu wpatrywała się we mnie z tym samym wyrazem twarzy.

- Jesteś wolna w piątek wieczór?

Milczała przez chwilę.

- Nie musisz mnie pytać...

- Zapytałem, bo tego chcę.

Usiadła na kanapie i skrzyżowała nogi, a potem się uśmiechnęła.

- Tak - odpowiedziała. - Jestem wolna.

- Zatem wygląda na to, że pójdziemy coś przekąsić do włoskiej restauracji.

Wszedłem do kuchni. Na blacie nadal stało plastikowe pudło Megan. Zaniósłem je do salonu i usiadłem przy stole, układając jego zawartość na trzy oddzielne kupki. Bizuteria, listy i fotografie.

Najpierw przejrzałem biżuterię. Kilka złotych łańcuszków. Bransoletka. Parę pierścionków. Pośrodku tego wszystkiego ujrzałem naszyjnik. Niezwykły, zupełnie niepasujący do reszty. Kawalek ciemnego szkła, być może obsydianu, zawieszony na długim czarnym sznurku. Przysunąłem go bliżej i wolno odwróciłem w rękach. Z tyłu wyryto inicjały Megan. Odłożyłem naszyjnik z dala od innych przedmiotów i sięgnąłem po listy.

Odręczne listy należą dziś do rzadkości, więc uznałem, że znajdujące się w pudełku pochodzą sprzed przynajmniej dwóch lat. Okazało się, że trzeba było dodać jeszcze dwa. Pięć listów. Żaden nie został wysłany. Wszystkie zaadresowano do jej dziadków w Norfolku. Ostatni napisała tydzień po swoich trzynastych urodzinach.

Później poszedłem do pokoju gościnnego i włączyłem komputer. Aparat fotograficzny Megan miał takie samo wyjście USB używane przez firmę Sony jak mój. Podłączyłem go i skopiowałem zdjęcia na pulpit. Większość przedstawiała Megan taką, jaką znałem, więc wyświetliłem ostatnią fotografię, wykonaną na tle bloku mieszkalnego.

Obraz był teraz znacznie bardziej wyraźny. Podwójne metalowe drzwi ze wzmocnionymi szklanymi panelami. Promienie słońca odbijające się w szybie i cień jakiegoś przedmiotu, być może kontur drzewa. Za plecami Megan po prawej stronie ciągnął się murek z piaskowożółtych cegieł. Dziewczyna miała na sobie czarne dżinsy, czarny sweter w serek, grubą skórzaną kurtkę i czerwoną apaszkę.

Uśmiechała się.

Wyświetliłem jedno z pozostałych zdjęć Megan. Stała obok Leigh na plaży. Różne miejsca i różne uśmiechy. Uśmiech na plaży był ciepły, ale sztuczny. Przeznaczony dla aparatu, sięgający jedynie soczewki. Uśmiech przed blokiem wydawał się całkiem inny. Nie było w nim niczego udawanego. Rozpromieniał jej twarz, przenikał spojrzenie, wywoływał kolory na policzkach. Wiedziałem, że muszę się dowiedzieć, gdzie je zrobiono.

Więcej - że muszę ustalić, kto je zrobił.

□ □ □

Używając hasła, które policja przekazała Carverom, otworzyłem skrzynkę pocztową

Megan. W środku były czterdzieści dwie wiadomości, głównie automatycznie wygenerowane reklamowe biuletyny firm, których towary kupiła w przeszłości. Moją uwagę przykuły trzy inne: dwie od Kaitlin i jedna od Lindsey. Wszystkie napisano zaraz po zniknięciu Megan. Kiedy je otworzyłem, okazało się, że zawierają prośbę, żeby wróciła do domu, a przynajmniej zadzwoniła do rodziców. Policja przypuszczalnie zapytała je o te wiadomości i sprawdziła ich skrzynki pocztowe w poszukiwaniu odpowiedzi.

Na samym dole znajdował się list od organizacji dobroczynnej o nazwie London Conservation Trust. Pismo wydawało się nie pasować do biuletynów modnych butików, barów szybkiej obsługi i kin, więc je otworzyłem. Na ekranie wyświetlił się nijaki tekst wyrażający zatroskanie LCF rozwojem urbanistycznym miasta i wpływem tego zjawiska na życie dzikich zwierząt w miejskich parkach. Podziękowano Megan za dotację w wysokości dziesięciu funtów i poinformowano, że pieniądze zostaną przeznaczone na ochronę przyrody w obliczu nieprzerwanej ekspansji metropolii.

Nagle zadzwonił telefon.

- David Raker.

- Cześć, David, mówi Spike.

Spike był rosyjskim hakerem gnieźdzącym się w małym mieszkanku w Camden Town, którego znałem z czasów, gdy pracowałem dla gazety. W tym okresie często korzystałem z jego usług. Facet potrafił zdobyć adres, numer telefonu, wydruk z karty kredytowej, nawet szczegóły dotyczące rachunku bankowego - w zasadzie wszystko, co chciałeś. Im bardziej ryzykowna była robota, tym więcej brał, ale wówczas - w czasach gdy liczyła się jedynie dobra historia - pomógł mi wysmarować kilka naprawdę niezłych artykułów. Spotkaliśmy się tylko raz, i to przelotnie - wyglądał na chorobliwie chudego i bladego, jakby rzadko wychodził na słońce. Może miało to związek z faktem, że od upływu ważności studenckiej wizy, czyli od pięciu lat, prawie nie opuszczał mieszkania.

Zadzwoniłem do niego tego wieczoru, przed wyjściem do tajskiej restauracji, prosząc o wykaz rozmów telefonicznych Megan z trzech miesięcy przed jej zaginięciem.

- Dzięki, że oddzwoniłeś, Spike.

- Cześć, żaden problem. Przepraszam, że tak późno. - Usłyszałem, jak wystukuje coś na klawiaturze. - Mam to, o co prosiłeś. Bardzo dużo rozmów.

- Ile?

- Dwieście siedemdziesiąt cztery. Do tego czterysta dziewięćdziesiąt dwie wiadomości tekstowe.

- Rozumiem, że miałeś zabawny wieczór. Znalazłeś coś po trzecim kwietnia tego

roku?

- Uhm... - Przerwał na chwilę. - Nie. Ani jednej. Jak to możliwe?

- Próbuję to ustalić. - Wylogowałem się ze skrzynki pocztowej Megan i otworzyłem własną. - Mógłbyś przesłać mi informacje na e-mail? Uda ci się zapisać plik w formacie PDF, JPEG albo czymś innym?

- Tak. Będziesz to miał w PDF-ie. Wyślę za kilka minut.

- Fajnie. Dzięki, Spike.

- Dostałeś namiar na moją nową dziuplę?

Z wiadomych powodów Spike operował wyłącznie gotówką. Miał szafkę w siłowni niedaleko swojego mieszkania i dawał klientom hasło, które codziennie zmieniał. Szafka pełniła funkcję jego banku.

- Tak. Być może niebawem znowu będziesz mi potrzebny.

- Nie krępuj się. Wiesz, że nie tyram od dziewiętej do siedemnastej.

Przerwałem połączenie. Zanim zdążyłem wpisać nazwę użytkownika i hasło mojego konta na stronie Yahoo, e-mail i plik w PDF-ie już na mnie czekały. Przeciągnąłem PDF na pulpit i otworzyłem. Na każdej stronie było trzydzieści połączeń. Razem nabierało się tego trzydzieści pięć i pół strony.

Poszedłem do kuchni i nastawiłem ekspres do kawy.

□ □ □

Dwie godziny później, około drugiej nad ranem, zawęziłem wykaz połączeń do osiemnastu numerów. Kilka z miejsca rozpoznałem: stacjonarny telefon domowy, numery komórek mamy i taty oraz kilka innych z jej Księgi Życia. Reszty nie widziałem na oczy.

Ponownie wprowadziłem numer Spike'a.

- Za chwilę prześlę ci listę osiemnastu numerów telefonów - oznajmiłem, gdy podniósł słuchawkę. - Dowiedz się o każdym tyle, ile zdołasz, dobrze?

- Jasne.

- Chciałbym mieć nazwisko i adres każdego, z kim rozmawiała. Jeśli znajdziesz coś więcej, dołącz do rachunku.

- To trochę potrwa.

- W porządku. Zdobądź, co się da, i oddzwoń. Jutro... - spojrzałem na zegarek - dziś mnie nie będzie, więc zadzwoń na komórkę, zgoda?

- Zgoda.

Rozłączyłem się i spojrzałem ponownie na Megan wpatrującą się we mnie z ekranu.

Zawsze odnajdywałem zaginione osoby. Myślę, że mam do tego dar, rodzaj magnetycznego przyciągania, które mnie prowadziło, nawet jeśli po człowieku pozostało jedynie ciało. Przypatrując się jej twarzy i rysom, miałem nadzieję, że będzie miała więcej szczęścia. Jak zawsze. Bo najgorszą rzeczą był powrót do domu zaginionej osoby i oznajmienie rodzicom, którzy mnie wynajęli, że dziecko, które wydali na ten świat, zostało z niego zabrane.

Tiko - ulubiony nocny lokal Megan, Kaitlin i Lindsey - znajdował się przy Charing Cross Road, wciśnięty między klub dla gejów o nazwie Captain S i studio tatuażu. Kiedy przekroczyłem drzwi ozdobione maskami Azteków, uderzyła mnie ogłuszająca linia basów rhythm and bluesa i oślepiło tysiąc telewizyjnych monitorów bijących po oczach krzykliwym programem MTV. W środku był jeden barman i jeden gość. Przed gościem stały dwie butelki piwa, obie opróżnione. Przed chwilą minęła jedenasta rano.

- Dzień dobry - powiedział barman, gdy ruszyłem w jego stronę.

Przy barze wisiał znak informujący, że w lokalu serwują śniadanie.

- Dzień dobry. Co jest w menu?

- Wszystko, co zechcesz. - Spojrzał za siebie, opróżniając szklankę. - Szef kuchni nie jest szczególnie zabiegany.

- W takim razie poproszę o jajecznicę, bekon, kilka grzanek i czarną kawę.

- Nie ma sprawy - odparł. - Usiądź sobie.

Przycupnąłem przy barze, pięć stołków od faceta z opróżnionymi butelkami piwa. Podniósł wzrok i spojrzał na mnie mętnymi, nabiegłymi krwią oczkami. Skinąłem mu głową.

Odpowiedział tak samo. Później spuścił wzrok i utkwił go w pustych flaszkiach.

Rozejrzałem się wokół. Klub składał się z dwóch pięter połączonych krętymi schodami. Ponad barem i parkietem wznosił się ciasny balkon. Może istniały gorsze sposoby spędzenia sobotniej nocy, ale nie byłem tego pewien.

Kilka minut później barman zjawił się ponownie. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było sięgnięcie do jednej z lodówek i wyjęcie kolejnej butelki piwa.

- Żarcie zamówione, kawa się parzy - oznajmił, otwierając butelkę i podając ją drugiemu facetowi. - Chcesz się czegoś napić przed jedzeniem?

- Tak. Poproszę sok pomarańczowy.

Skinął głową. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem fotografię Megan, którą zabrałem z jej pudełka. Pozowała do niej w domu, w mundurku szkolnym. Fotografię zrobiono pewnie kilka lat temu, ale wygląd Meg nie uległ większej zmianie w porównaniu z najbardziej aktualnymi zdjęciami. Czasami twoja praca procentuje. Im młodsza ofiara, tym więcej można wzbudzić sympatii i uzyskać większą pomoc. Podniosłem zdjęcie, kiedy barman przyniósł sok i postawił go przede mną.

- Nie wpadłem tylko na śniadanie - poinformowałem. - Pracuję na zlecenie rodziny

zaginionej dziewczyny, która często tu przychodziła. - Położyłem zdjęcie na blacie i podsunąłem facetowi. - Poznajesz ją?

Spojrzał na fotografię.

- Sądząc po szkolnym mundurku, w ogóle nie powinno jej tu być.

- Nie zaprzeczę.

Skinął głową i lekko się uśmiechnął.

- Nie poznaję jej.

- Myślę, że policja o nią wypytywała. Jakies pół roku temu.

Uniósł brwi.

- Policja?

- Ta mała przychodziła tutaj z dwiema innymi dziewczynami w jej wieku.

- Zaginęła?

- Nazywa się Megan Carver.

Źrenice barmana rozszerzyły się na chwilę. Nazwisko sprawiło, że coś sobie przypomniał.

- To dziewczyna z wiadomości? Ta, która zaginęła?

- Właśnie.

Spojrzał ponownie na zdjęcie, jakby próbował dostrzec coś, czego w pierwszej chwili nie rozpoznał. Później pokręcił głową i przesunął zdjęcie w moją stronę.

- Pamiętam wiadomości w telewizji, ale siedziałem wtedy na plaży w Tajlandii. Pracuję tu dopiero od czterech miesięcy.

Skinąłem głową i schowałem fotografię.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak poczekać na śniadanie.

Dostałem je kilka minut później i okazało się zdumiewająco smaczne. Jajecznica była w sam raz, bekon chrupiący, a oba kawałki grzanki przysmażone na maśle. Kiedy skończyłem, odsunąłem talerz po barze, zabierając się do kawy i soku. Barman sprzątał stoliki w innej części sali. Pięć stołków dalej mój towarzysz właśnie dopijał trzecią flaszkę.

Spojrzałem na niego. Wpatrywał się w puste butelki jednym okiem, przymknawszy drugie. Jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost, a włosy wyglądały tak, jakby kilka tygodni nie widziały szamponu. O dziwo, miał na sobie dobre ciuchy: spodnie marki Diesel, sweter od Teda Bakera, ocieplaną kamizelkę Quicksilver, a spod rękawa wystawał mu zegarek od Gucciego. Gość mógł być najlepiej ubranym pijakiem w Londynie.

- Smaczne śniadanie? - zapytał, nie podnosząc głowy.

- Tak, całkiem smaczne.

- Wyglądasz na zaskoczonego - zauważył cichym głosem.

- Bo jestem.

- Nie powinieneś. W tej knajpie serwują dobre śniadania.

- Wiem - odrzekłem. - Przed chwilą się przekonałem.

Wyciągnąłem dwudziestkę z portfela.

- Ta twoja dziewczyna... - powiedział, odwracając się na taborecie i odsuwając od siebie butelki, jakby chciał zapomnieć, że na śniadanie wypił trzy piwa - Megan... wygląda na miłą dziewczynę.

W jednej chwili zdobył moją uwagę.

- Znałeś ją?

- Nie, nie znałem. - Sięgnął po jedną z butelek, oddzielając ją od pozostałych. - Nie znałem, ale gliny mnie wypytywały kilka dni po jej zaginięciu.

Przyjrzałem mu się uważnie. Siedział zwrócony w moją stronę, wyprostowany i uśmiechnięty. Wiedział, że próbuję poskładać sobie wszystko w głowie. Czyżby właścicielem klubu był pijak?

- Jesteś menedżerem?

- Właścicielem. Zatrudniam menedżera.

- O co pytała policja?

- Zadawali takie same pytania jak ty. Czy tu przychodziła? Czy ją rozpoznaję? Czy miała kłopoty? - Przerwał, przysuwając flaszkę do pozostałych. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na mnie. - Nie miałem dla nich żadnej odpowiedzi, podobnie jak nie będę ich miał dla ciebie. Mogłaby tu przychodzić całymi latami, ale dla mnie miałaby takie samo znaczenie jak człowiek, który wstąpił tu pierwszy raz. - Wzruszył ramionami z lekkim żalem w oczach.

- To natura takich miejsc.

- Czy policja coś zabrała?

- Nagrania z kamer telewizji przemysłowej.

- Dużo?

- Wszystko, co mieliśmy.

- Czyli ile?

- Z ostatniego roku. Tyle, ile doradzili nam trzymać prawnicy i ochrona, w razie gdyby w lokalu doszło do awantury i trzeba byłoby pójść do sądu. Przechowujemy nagrania z dodatkowego roku, ale tylko jedną kopię. Jest w skrytce banku obok katedry Świętego Pawła. Materiał sprzed dwóch lat został zniszczony.

- Zabrali nagrania z całego roku?

- Nie. Z sześciu miesięcy przed jej zaginięciem, z uwzględnieniem dnia zniknięcia i miesiąca po tej dacie.

- Znaleźli coś?

- Musisz ich o to spytać - odpowiedział. - Ale skoro płyty leżą w szufladzie mojego biurka na piętrze, chyba nie.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie, a później na jego twarzy pojawił się uśmiech podobny do pęknięcia na szybie. Zrozumiałem, że picie nie sprawiało mu przyjemności, że nie był uzależniony ani nie robił tego dla zabicia czasu. Szukał ucieczki w alkoholu. Przez krótką chwilę, w której patrzyliśmy na siebie ponad barem, miałem wrażenie, jakbym oglądał w lustrze własne odbicie.

- Wszystko w porządku?

Skinął głową i odwrócił wzrok.

- Może będę mógł ci pomóc.

Kiedy spojrzał na mnie ponownie, miał wilgotne oczy. Wstał ze stołka i dał znak, żebym poszedł za nim na drugie piętro.

□ □ □

Nazywał się Paulo Janez, a okna jego biura wychodziły na wąską londyńską uliczkę pełną jednorodzinnych domów i budynków z przestrzenią biurową do wynajęcia. Na jednej ze ścian wisiał ogromny czarno-biały obraz Tony'ego Montany. Na drugiej dostrzegłem szereg fotografii. Paulo był na większości z nich z kimś, kogo uznałem za jego ojca. Wyglądali identycznie: ciemna skóra, ciemne włosy, brązowe oczy, nienaganne ubranie. Zauważyłem, że patrzę na zdjęcia.

- To mój ojciec - wyjaśnił cicho i usiadł za biurkiem. Otworzył jedną z szuflad i zaczął przeglądać jej zawartość. Przysiadłem naprzeciw niego i obserwowałem w milczeniu. W końcu wyciągnął siedem płyt DVD przewiązanych dwiema elastycznymi opaskami. Zamknął szufladę i położył płyty na blacie przede mną.

- Proszę bardzo - powiedział, wskazując płyty.

- To nagrania z siedmiu miesięcy, które zabrała policja?

- Tak.

Wyjąłem wizytówkę i przesunąłem po biurku. Moja gwarancja, że zwrócę nagrania. Wziął ją do ręki i przestudiował, a następnie skinął głową na znak, że zrozumiał.

- Jesteś żonaty? - spytał.

- Już nie.

- Rozwiedziony?

Milczałem chwilę. Może coś we mnie wyczuł, jak ja wyczułem w nim. Łączącą nas więź. Smutek pulsujący pod powierzchnią skóry.

- Moja żona zmarła na raka - powiedziałem w końcu.

Skinął głową niemal z ulgą, jakby zwątpił w swoje pierwsze przeczucie.

- Mój ojciec odszedł dwa miesiące temu. Był jedyną osobą, na której mi w życiu zależało.

- Przykro słyszeć.

Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech. Zamilkł na chwilę.

- Weź te płyty. Może coś znajdziesz. Mam nadzieję, przez wzgląd na jej rodzinę.

Tuż przed piętnastą Caroline Carver otworzyła bramę i patrzyła, jak wjeżdżam na żwirowy podjazd. Uśmiechała się, ale jak kilka dni wcześniej w restauracji, był to uśmiech jedynie z nazwy. Pomyślałem, że przed zniknięciem córki musiała zwracać na siebie uwagę wielu mężczyzn, ale gdy prowadziła mnie do środka, wydawała się wymizerowana i wycieńczona.

Przeszliśmy do kuchni, gdzie na podłodze siedział Leigh, bawiąc się samochodzikami.

- Chce pan coś do picia? - zapytała.

- Wystarczy woda.

Skinęła głową, nie podejmując wysiłku, żeby coś powiedzieć. Kiedy napełniała szklankę wodą z kranu, zdałem sobie sprawę, że trudno mi ją rozszyfrować. Zwykle znam się na ludziach. Wiem, co ich kręci. Nie jestem pewien, czy to wrodzony dar, czy umiejętność nabyta w ciągu wielu lat obserwacji polityków kłamiących bezwstydnie. Tak czy owak, Caroline Carver była inna. Zachowywała się, jak przystało na rodzica pogrążonego w żalobie: daleka, krucha, cierpiąca z bólu. Czasem jednak dostrzegałem w niej kogoś innego - kobietę ze stali, która potrafi ukryć swoje uczucia tak głęboko, jak trzeba.

- Jak tam poszukiwania? - spytała w końcu, gdy przeszliśmy do salonu. Po drodze musnęła głowę Leigh, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Usiadłem naprzeciw niej.

- Sprawdzam te same tropy co policja. Muszę się upewnić, że niczego nie przeoczyli.

Położyłem notatnik na stoliku między nami i go otworzyłem. Spojrzała na kartkę i na mnie, a następnie skinęła głową, widząc, że jestem gotowy.

- Proszę mi opowiedzieć o kilku ostatnich tygodniach przed zniknięciem córki.

Zawahała się i wzruszyła ramionami.

- Niewiele jest do opowiadania. Jim był na budowie w Enfield, u nowego kontrahenta, więc w ciągu ostatnich dwóch tygodni to ja odwoziłam Megan do szkoły. Na pewno zrobiłam to w dniu jej zaginięcia.

- Czy tego dnia zachowywała się normalnie?

- Tak - odpowiedziała. - Zupełnie normalnie. Była bardzo optymistyczna. Nie wiem, po kim to miała, bo Jim i ja... ulegamy nastrojom. - Uśmiechnęła się słabo. Pierwszym prawdziwym uśmiechem od czasu, gdy ją poznałem. Ale uśmiech szybko zgasł. - Pewnie dlatego była taką dobrą uczennicą. Cały czas sterowała równym kursem. Nigdy nadmiernie

się nie ekscytowała ani nie ulegała depresji. Była niezwykłą dziewczyną.

- Co pani wie o Charlesie Bryancie?

Spojrzała na mnie. Nie byłem pewien, czy chce powiedzieć, że nigdy go nie lubiła, czy jest zaskoczona, że zacząłem właśnie od niego.

- Megan chodziła z nim jakiś czas.

- Spotkaliście się?

- Tylko raz.

- Jak długo ze sobą chodzili?

- Krótko. Dwa, może trzy miesiące.

- Jaki był?

Wzruszyła ramionami.

- Wydawał się w porządku. Przechodził wtedy trudny okres.

- Megan go nie kochała?

- Zdecydowanie nie - odpowiedziała Caroline, kręcąc głową. - Właśnie na tym polegał cały problem. Spotykała się z nim, bo mu współczuła. Było jej przykro, że stracił matkę. Megan była dobrym człowiekiem. Widziała, że on potrzebuje pomocy, aby przejść okres żałoby.

- Jak przyjął zerwanie?

- O co panu chodzi?

Spojrzałem na nią. Nie grała ze mną w kotka i myszkę, choć wiedziała, dokąd zmierzam. Może nie miała ochoty rozmawiać o tym, że jej córka się z kimś spotykała, szczególnie jeśli mogło to mieć wpływ na jej zniknięcie.

- Chcę wyjaśnić wszystkie wątpliwości - odrzekłem.

- Był zmartwiony.

- Próbował ją przekonać, żeby do niego wróciła?

- Niezupełnie. Myślę, że w głębi serca wiedział, że ich związek nie wytrzyma próby czasu. Wiedział, czemu Meg dotrzymywała mu towarzystwa. Zdecydowanie coś do niej czuł, było to bardzo silne uczucie, ale wydawał się rozsądny. Moim zdaniem... - Przerwała i popatrzyła mi w oczy. - Jeśli sądzi pan, że zniknięcie córki mogło mieć coś wspólnego z Charliem Bryantem... to jest pan w błędzie.

- Czy policja z nim rozmawiała?

- Tak. Myślę, że przyjęli podobną hipotezę do pańskiej.

- Czy później Megan zaczęła się spotykać z kimś innym?

Lekko się zawahała.

- Nie - zaprzeczyła, ale odwróciła wzrok. - Rozmawialiśmy z nią razem z Jimem. Zasugerowaliśmy, że lepiej, aby skupiła się na nauce. Od dostania się na Cambridge dzieliły ją trzy dobre oceny. Sprawa była warta małego poświęcenia.

Skinąłem głową, ale nic nie zanotowałem.

Wyczułem jakieś niedopowiedzenie.

- Czy mówi pani coś nazwisko Anthony Grant lub A.J. Grant?

Pokręciła głową.

- Nie.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem odbitkę fotografii, którą znalazłem na karcie aparatu Megan. Wykonałem powiększenie na komputerze.

- Rozpoznaje pani to zdjęcie?

Wzięła odbitkę do rąk.

- Tak, to z jej aparatu.

- Właśnie. Domyśla się pani, jak się tam znalazło?

Przysunęła zdjęcie bliżej.

- Nie. Pamiętam, że oglądaliśmy to zdjęcie zaraz po jej zaginięciu, bo Jamie Hart zadał nam to samo pytanie.

- Zdołał się czegoś dowiedzieć?

- Nie. Policja przejrzała wszystkie zdjęcia Meg, wszystko, co wpadło im w ręce. - Przerwała na chwilę. W oku błysnęła łza. - Niczego nie znaleźli.

- Zatem nie dowiedzieli się, kto je zrobił?

Ponownie spojrzała na fotografię i podniosła wzrok.

- Nie. Czemu pan pyta?

- Nie sądzi pani, że jej twarz wygląda na nim inaczej?

- Twarz?

Wskazałem fotografię.

- Uśmiech.

- Pod jakim względem?

- Do końca nie wiem. Pani znała ją najlepiej, ale ten uśmiech... wydaje się inny od uśmiechu na pozostałych zdjęciach.

- Jak, to inny?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jestem pewien. Może to nic ważnego. Po prostu pomyślałem, że byłoby warto ustalić, kto zrobił to zdjęcie. To wszystko.

Jej twarz drgnęła.

- Nic pani nie jest? - zapytałem.

Zmarszczyła brwi.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego pan zapytał?

Bo coś jest z tobą nie tak, pomyślałem.

- Wydaje się pani lekko... rozkojarzona.

- Wszystko jest w porządku.

Zrezygnowałem z dalszego drażenia sprawy.

- Cofnijmy się nieco w czasie. Czy jest pani absolutnie pewna, że z nikim się nie spotykała po Charlesie Bryancie?

Kolejna chwila wahania.

- Caroline?

- Tak.

- Nigdy o nikim nie wspomniała?

Jej oczy drgnęły niespokojnie.

- Nie, jestem pewna, że...

- Caroline.

Przerwała i spojrzała na mnie.

- Chcesz, żeby twoja córka się odnalazła?

- Oczywiście. Co to za pytanie?

Spojrzałem na fotografię Megan w ramce, stojącą na małym szklanym stoliku koło kanapy.

- Zapytałem, bo mam wrażenie, że czegoś nie rozumiem.

- Czego?

- Nie jestem pewien, czy jesteś ze mną zupełnie szczerą. Powinnaś mi wszystko powiedzieć. Nawet jeśli to tylko podejrzenie, choćby najsłabsze przeczucie.

Zamilkła. Spojrzała na mój notatnik i potarła palcem oko. Jeśli się pomyliłem, będę zmuszony ją przeprosić, ale musiałem mieć pewność. Nie mogłem się zajmować tą sprawą, jeśli jedno z dwojga ludzi, którzy znali Megan najlepiej, nie było gotowe udzielić mi wszelkich informacji.

W końcu, pod dłuższej chwili, która wydawała się ciągnąć całymi minutami, Caroline podniosła głowę. Dostrzegłem w jej oczach smutek i rozczarowanie. Odwróciła się i spojrzała na fotografię Megan, której się przyglądałem przed kilkoma minutami. Później odzyskała pewność siebie i powiedziała cicho:

- Myślę, że powinieneś już iść.

Kiedy wróciłem do domu, było niemal ciemno. Jesień nadchodziła dużymi krokami. Słońce zgasło na niebie i nadciągnęła noc, a wraz z nią chłód. Włączyłem telewizor w salonie i nastawiłem transmisję meczu, a później udałem się do kuchni i włączyłem radio.

Wziąłem prysznic i podreptałem do kuchni, żeby przygotować coś na kolację. Znalazłem paczkę warzyw do usmażenia na patelni i porcję siekanego kurczaka. Obserwując, jak mięso nabiera brązowej barwy, powróciłem myślami do Caroline Carver. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że coś przede mną ukrywa. Chociaż nie potrafiłem czytać w jej myślach tak wyraźnie, jak bym tego chciał, wiedziałem, że się nie pomyliłem. Coś nas dzieliło, już od chwili spotkania w restauracji. Jakaś tajemnica. Półprawda. Kłamstwo. Coś.

Usiadłem przed telewizorem i zacząłem oglądać mecz, który trwał już od dwudziestu minut, kiedy zadzwonił telefon. Odstawiłem talerz i odebrałem.

Dzwonił James Carver.

- Caroline powiedziała, że oskarżyłeś ją o kłamstwo - z miejsca przeszedł do rzeczy. - Sądysz, że mogłaby ukrywać coś ważnego? Że byłaby do tego zdolna? Na jakiej planecie żyjesz?

- Zaczekaj...

- Nie, to ty zaczekaj. - Ściszył głos. Musiał być w innym pokoju, próbując ukryć przed nią naszą rozmowę. - Nigdy nie oskarżaj mojej żony, że utrudnia odnalezienie Meg.

- Nie oskarżyłem jej...

- Nie chrań. Wiem, co zrobiłeś. Płacę ci za prowadzenie dochodzenia, a nie za odgrywanie roli psychologa amatora.

- Pozwól, że ci wyjaśnię.

- Naprawdę myślisz, że Caroline nie chce, aby odnaleziono naszą córkę?

- Jasne, że tak nie myślę.

- A więc co to za gra?

Odczekałem chwilę, pozwalając mu ochłonąć.

- Odniosłem wrażenie, że się waha.

- W jakiej sprawie?

- We wszystkich.

- Nasza córka zaginęła przed sześcioma miesiącami. Wiesz, co to za uczucie? Co robi z człowiekiem? Nie wiesz. Nie masz zielonego pojęcia.

Nie odpowiedziałem. Chciałem, żeby pomyślał, że udało mu się odnieść zwycięstwo.

- Posłuchaj, James. nie znam dobrze żadnego z was, ale poszedłem za głosem instynktu. Jeśli okaże się, że byłem w błędzie, przeproszę ją.

- Obraziłeś moją żonę. Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?

- To się więcej nie powtórzy.

- Rzeczywiście, nie powtórzy. - Odchrząknął. - Myślę, że powinniśmy dać sobie spokój.

- Co to znaczy?

- Chcę, żebyś przestał się zajmować tą sprawą. Powierzyliśmy ci najdroższą rzecz na świecie, daliśmy pieniądze. Miałeś tylko wykonać swoją robotę. Straciłem do ciebie zaufanie, Davidzie. Na dodatek obraziłeś moją żonę. Nie pozwolę na to. Nie pozwolę ci z nią rozmawiać w taki sposób.

- To śmieszne.

- Włóż rzeczy Megan do koperty i wyślij na nasz adres. Jeśli się czegoś dowiedziałeś, zapisz to na kartce i dołącz do przesyłki. Ostatnią rzeczą, której Caroline teraz potrzebuje, jest ponowne ujrzenie cię w naszym domu. Zapłacę za trzy dni twojej pracy i dodam jedną dniówkę w geście dobrej woli, choć nie sądzę, abyś na nią zasługiwał.

- Nie sądzisz, że odrobinę przesadzasz?

Odłożył słuchawkę.

O drugiej nad ranem coś mnie zbudziło. Przez chwilę hałas wydawał się daleki i zniekształcony, jak stłumiony dźwięk na krawędzi snu. Kiedy otworzyłem oczy, stwierdziłem, że moja komórka delikatnie wibruje na szafce przy łóżku. Sięgnąłem po nią i otworzyłem klapkę.

- Słucham?

- David?

Potarłem oko.

- Tak.

- Mówi Jill.

Potrzebowałem kilku sekund, aby zdać sobie sprawę, że to Jill z grupy wsparcia.

- Przepraszam, że cię obudziłam o tej porze.

- Uhm... - Ponownie spojrzałem na zegarek. Faktycznie zadzwoniła o drugiej nad ranem. - Nie ma sprawy...

- Próbowałam zadzwonić do Arona, ale nie odbiera. Pewnie wyjechał w podróż służbową. Zatelefonowałam do dawnego przyjaciela Franka, ale też nie podnosi słuchawki. Nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić. Pomyślałam, że z powodu twojej pracy możesz wiedzieć, co... co zrobić...

Usiadłem na łóżku, próbując oprzytomnieć.

- Wszystko w porządku?

- Przepraszam, że cię obudziłam.

- Nie martw się.

- Widzisz... nie znam nikogo innego, kto mógłby...

- Naprawdę się nie przejmuj - powiedziałem, zapalając lampę na nocnym stoliku i gorączkowo myśląc, co mogło ją skłonić do zatelefonowania o tak dziwnej porze. - Co się stało?

- Ja... - Przerwała. Im bardziej byłem przebudzony, tym bardziej zrozpaczona się wydawała. - Tam...

- Co?

Kolejna pauza.

- Myślę, że ktoś obserwuje mój dom.

- O czym ty mówisz?

- Ktoś jest po drugiej stronie ulicy. Siedzi w samochodzie cały wieczór, obserwując mój dom. Nie wiem, co robić.

- Czy nadal tam jest?

- Tak.

- Rozumiem - powiedziałem, przekręcając się na łóżku i odrzucając prześcieradła. Chce, żebyś do niej przyjechał. - Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

- Ach! Dziękuję!

Jej głos drżał. Była przerażona.

- Gdzie mieszkasz? - Podała mi adres. - Sprawdź, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte. Jeśli nie będziesz pewna, czy wszystko w porządku, w każdej chwili dzwoń na policję. Przyjadę tak szybko, jak to możliwe.

□ □ □

Noc była chłodna. Włączyłem ogrzewanie na pełny regulator, a krople deszczu całą drogę uderzały o szybę. Uliczka, przy której mieszkała, była wąska, z samochodami zaparkowanymi po obu stronach. Powiedziała mi, że ma czarne drzwi, ale w ciemności wszystkie drzwi były czarne. Znalazłem wolne miejsce w połowie uliczki, wysiadłem i zorientowałem się, że jestem w odległości dziesięciu domów od jej posesji. Rozejrzałem się, szukając znaku, że ktoś obserwuje jej dom, ale trudno było cokolwiek zobaczyć w strugach deszczu. Studzienki ściekowe były pełne wody. Krople deszczu lały się jak z cebra po szybach i karoserii.

W jej domu nie paliły się światła. Zapukałem dwukrotnie, a następnie obejrzałem się i rzuciłem okiem na ulicę, ukryty pod daszkiem jej werandy. Dużo samochodów; nie wyglądało na to, żeby w którymś z nich ktoś siedział.

Drzwi się otworzyły.

Jill miała na sobie dres i duży workowaty polar. Spojrzała gdzieś za mnie, daleko w prawo. Odwróciłem się i podążyłem za jej wzrokiem. Nikogo tam nie było. Później ponownie popatrzyłem na Jill i dostrzegłem zakłopotanie na jej twarzy.

- Odjechał - powiedziała cicho.

Jeszcze raz rzuciłem okiem na ulicę.

- Na to wygląda.

- Był tam całą noc. - Popatrzyła na mnie, a później na ulicę. - Siedział w czerwonym samochodzie. Chyba to był ford.

Nic nie powiedziałem. Nie była wariatką, wątpiłem, by miała przywidzenia. Z drugiej

strony samotność zmienia perspektywę. Chodzi o drobne rzeczy. Świadomość, że w domu jest druga osoba, dostarcza poczucia bezpieczeństwa, nawet jeśli - w ostatecznym rozrachunku - jesteś tak samo bezbronny jak przedtem. Spojrzała na mnie. W kąciach oczu błysnęły łzy.

- Niepotrzebnie zmarnowałam twój czas.

- Nie - zaprzeczyłem. - Nie sądzę.

- Pewnie oszalałam.

- Nie - powtórzyłem, dotykając jej ramienia. - Nie zwariowałaś. Facet mógł obserwować inny dom. Mógł być gliniarzem albo agentem rządowym. Może sądzą, że jesteś terrorystką.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Dzięki, czuję się znacznie lepiej.

Spojrzała na mnie i przysunęła rękę do twarzy, a następnie popatrzyła na siebie. Napięcie w jej oczach zniknęło. Zauważyłem, że się zastanawia: Czemu, do diabła, otworzyłam drzwi w takim stroju?

- Wejdiesz na herbatę? Kawę albo coś innego?

- Jasne - odpowiedziałem. - Kawa to świetny pomysł.

□ □ □

Jej dom był mały, ale nowoczesnie urządzone. Chata na pokaz, jakby ze stron jakiegoś magazynu. Piękna drewniana podłoga sięgała do salonu, gdzie na grubym dywanie stał stolik z buki i szkła, na którym leżały książki w lśniących okładkach. Na jednej ze ścian dominował oryginalny kominek z cegieł, z piecykiem opalonym drewnem. Na przeciwległej ścianie, po obu stronach czarnego płaskiego telewizora, stały dwa regały z książkami pełne klasycznych dzieł literatury. Pod telewizorem leżały sterty płyt DVD, których nie oglądałem. Nie zapowiadało się jednak, żebyśmy w najbliższym czasie mieli dyskutować o scenach z *Predatora*. Wskazała jedną z dwóch kremowych skórzanych kanap i zniknęła w kuchni.

Zdjęcia jej męża stały na półkach i gzymsie kominka. Podszedłem i wziąłem do ręki jedną z fotografii. Byli na jakimś spotkaniu dla policjantów. Jill miała na sobie letnią sukienkę w kwiaty i włosy upięte do góry. Mąż otaczał ją ramieniem, ubrany w galowy mundur z dwoma srebrnymi gwiazdkami na pagonach. Odstawiłem fotografię na kominek, kiedy Jill wniosła dwa kubki kawy i postawiła na stoliku. Przysiadła na kanapie.

- Twój mąż był inspektorem? - spytałem.

- Widzę, że się znasz na policyjnych stopniach.

- Pracował jako detektyw?

- Tak, w Thames Valley. Zanim przeniósł się do londyńskiej policji. Później przeprowadziliśmy się do Londynu.

- Przez cały czas waszego małżeństwa pracował w policji?

- Tak - odpowiedziała, dolewając sobie mleka. Następnie sięgnęła do swojego naszyjnika. Był to łańcuszek z wisiorkiem, małym srebrnym aniołkiem z długą włócznią. - To święty Michał.

- Patron policjantów.

- Właśnie. - Uśmiechnęła się. - Jestem pod wrażeniem.

- Jako dziennikarz miałem kontakt z policjantami.

- Należał do Franka. Chciałam go pochować razem z nim, ale ostatecznie doszłam do wniosku, że wolę mieć go przy sobie. Tak wydawało się... - Wolno wymieszała kawę. - Tak wydawało się bardziej właściwie.

Skinąłem głową na znak, że zrozumiałem.

Na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Czasami nadal kupuję jego ulubione jedzenie w supermarkecie. Nadal zostawiam klucz w otworze w ścianie z tyłu domu, na wypadek gdyby wrócił. Chyba... chyba nie potrafię się pogodzić z tym, że odszedł.

- Mogę spytać, co się z nim stało?

Zmarszczyła brwi, przyglądając mi się chwilę. Później zamrugnęła powiekami i w jej oczach błysnęły łzy. Otarła je i usiadła wygodniej na kanapie, oplatając kubek dłońmi.

- Powiedzieli mi, że należał do zespołu zwalczającego rosyjskie gangi. To miało jakiś związek z... SOCA, krajowym wywiadem kryminalnym.

Przytaknąłem. SOCA była agencją do spraw zwalczania przestępczości zorganizowanej. Pracując jako dziennikarz, miałem kilku znajomych w NCIS (National Criminal Intelligence Service), które później stało się częścią SOCA. Na początku 2006 roku media nazywały ją „brytyjskim FBI”, ale tylko niewielu funkcjonariuszy mogło dokonywać zatrzymań. Większość ich roboty sprowadzała się do inwigilacji i koordynowania działań, co czyniło ją bliższą MI5.

Jill zeszywniała, a w jej oczach pojawił się smutek.

- Kilka tygodni po pogrzebie odwiedził mnie jeden z jego przyjaciół.

- Pewnie nieoficjalnie.

- Oczywiście. Myślę, że było mu mnie żal. Sposób, w jaki powiadomiono mnie o śmierci męża... Przez kilka tygodni próbowałam ustalić, jak do tego doszło, ale oficjalna

wersja przekazana przez jego przełożonych nie była...

- Nie była przekonująca.
- Miałam poczucie, że nie powiedzieli mi wszystkiego.
- Jak to?

Wzruszyła ramionami.

- Podobno namierzali jakąś grubą rybę z rosyjskiej mafii, dostali cynk, że facet może być w magazynie w Bow.

- Faktycznie tam był?
- Nie wiem.
- Nie powiedzieli ci?

Pokręciła głową.

- Nie.
- Nie chcieli upubliczniać tej historii?

- Wiedziałam dość o policyjnej robocie, żeby to rozumieć. Nie pytałam o szczegóły śledztwa. Chciałam jedynie ustalić, co spotkało Franka. Kto go zabił. - Potrzebowała kilku chwil, żeby się uspokoić. - Powiedzieli mi tylko, że on i inny funkcjonariusz zostali postrzeleni w klatkę piersiową.

- Przez kogo? Jakiegoś Ruskiego?
- Powiedzieli, że wszystko stało się bardzo szybko.
- Dlatego nie wiedzieli?

Jej głos zadygotał.

- Taka była oficjalna wersja.
- A nieoficjalna?

- Przyjaciel Franka powiedział, że gruba ryba, którą tropili, nazywa się Akim Gobulew.

Gobulew. Duch.

Spojrzała na mnie uważnie.

- Słyszałeś o nim?

- Facet figurował na liście najbardziej poszukiwanych przestępców od początku istnienia SOCA.

- Czemu nazywali go Duchem?
- Bo nikt nie był pewny nawet tego, czy facet rzeczywiście istnieje.
- Och!
- W NCIS żartowali, że Gobulew został gdzieś pochowany albo potrafi stać się

niewidzialny. Oskarżali go o mnóstwo rzeczy... paserstwo, prostytutkę, handel narkotykami, pranie brudnych pieniędzy... ale od lat nikt go nie widział. Jedynym dowodem jego istnienia była notatka na komputerze w Heathrow, sporządzona niemal dziesięć lat temu. Gość przyleciał samolotem z Moskwy i rozpląnął się w powietrzu.

- Przyjaciel Franka powiedział, że byli bliscy jego zatrzymania.

- Naprawdę?

- Tak twierdził.

- Czy ten facet w magazynie był Gobulewem?

Ponownie podniosła kubek z kawą.

- Nie, nie sądzę. Powiedział, że słyszał od kogoś z zespołu, że Gobulew miał operację.

- Jaką?

- Nie jestem pewna, ale znaleźli jego chirurga.

Pochyliłem się w jej stronę.

- To on był wtedy w magazynie?

- Tak.

- Czy Franka zabił chirurg Gobulewa?

- Tak - potwierdziła. - Przyjaciel Franka powiedział, że niewiele o nim wiedzieli, ale poszli do tego magazynu, żeby go zgarnąć, a później przy jego pomocy dopaść Gobulewa.

- Powiedział coś jeszcze?

- Myślę, że więcej nie wiedział.

- Znał nazwisko tego chirurga?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

Szybko otarła łzę palcem, ale po niej pojawiła się kolejna i spłynęła po policzku.

- Naprawdę mi przykro, Jill - powiedziałem delikatnie.

W końcu podniosła głowę i spojrzała na mnie z przepaszającym wyrazem twarzy. Wiedziała, że wprawia mnie w zakłopotanie, ale nie mogła powstrzymać płaczu. Obserwowałem ją chwilę, zastanawiając się po cichu.

- Słuchaj, zadzwonię w kilka miejsc i sprawdzę, czy nie da się dowiedzieć czegoś więcej. Nie mogę ci niczego obiecać...

- Davidzie, nie musisz...

- W porządku. Prowadzę inną sprawę, która ma pierwszeństwo, ale kiedy skończę, obiecuję, że się rozejrzę. Zgoda?

Skinęła głową, dławiąc się łzami.

- To, czego się dowiem... może się okazać bolesne.

- Wiem. - Cicho westchnęła. - Nie będzie bolało bardziej od niewiedzy.

□ □ □

Kiedy wróciłem od Jill, była czwarta rano. Kubeł na śmieci, który stał przed domem, został przewrócony, czarne torby leżały rozrzucone na ścieżce, a rozsuwane drzwi prowadzące na frontową werandę były odsunięte. Sprawdziłem drzwi.

Okazały się zamknięte.

Wycofałem się i szybko obszedłem dom. Wszystko było w porządku. Żadnego niepokojącego śladu. Często zostawiam drzwi na werandę otwarte, nawet tego nie zauważając. Gdy wróciłem przed dom, z cienia wyskoczył kot, przebiegł po trawniku i wypadł na ulicę. Trzymał w pyszczku jakieś jedzenie wyciągnięte z dziurawej torby. Włożyłem śmieci do kubła i ruszyłem do łóżka.

Ponieważ położyłem się spać dopiero o czwartej nad ranem, obudziłem się bardzo późno. Kiedy wziąłem prysznic i zjadłem śniadanie, dochodziło południe. Wyruszyłem do biura.

Nie korzystałem z niego nawet w połowie tak jak kiedyś. Początkowo wynajęcie biura było sposobem na oddzielenie życia zawodowego od prywatnego. Sposobem na potwierdzenie mojej kariery. Gdy Derryn odeszła, stało się kosztowną niedogodnością, a dziś od wygaśnięcia umowy najmu dzieliło mnie tylko trzydzieści dni. Kiedy to nastąpi, będę prowadził działalność w domu i kolejna część dawnego życia odpłynie w dal.

Kołysząc się w fotelu, spojrzałem na korkową tablicę za plecami. Ściana zaginionych. U góry widniała fotografia Megan Carver. Wstałem i odpiąłem zdjęcie, a następnie usadowiłem się wygodnie i zacząłem mu się przyglądać. Co się stało, Megan? Co ukrywa twoja mama? Odwróciłem się lekko w fotelu, analizując jej twarz i uwalniając myśli.

Kilka sekund później mój telefon ożył.

Spojrzałem na wyświetlacz.

NUMER ZASTRZEŻONY

Przysunąłem aparat i włączyłem tryb głośnomówiący.

- David Raker.

Żadnej odpowiedzi.

- David Raker - powtórzyłem nieco głośniej.

Żadnego dźwięku. Żadnego statycznego trzasku ani odgłosów w tle.

Pochyliłem się do przodu.

- Słucham.

Cisza.

- Słucham.

- Panie Raker. - odezwał się cichy głos. Kobięcy. - Mówi Kaitlin.

- Kaitlin?

- Powiedział pan, żeby zadzwonić, gdyby...

Spojrzałem na fotografię Megan. Sytuacja uległa zmianie, miałem ochotę dopowiedzieć. Kiedy przypomniałem sobie dziwne zachowanie Kaitlin w szkole, zapragnąłem się dowiedzieć, co ma do powiedzenia.

- Ja... jest coś...

- Słucham, Kaitlin.

- Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

- Rozumiem.

- Chodzi o Megan. - Kolejna pauza. Tym razem długa. - Mam dość kłamania.

Ponownie cisza. Przez chwilę słyszałem jedynie lekki szmer jej oddechu.

Później w końcu przemówiła.

□ □ □

Kiedy przyjechałem na miejsce, brama przed domem Carverów była zamknięta. Próbowałem ich uprzedzić, ale nikt nie odpowiadał. Zamknąłem bmw, podszedłem do interkomu i nacisnąłem dzwonek. Urządzenie miało małą kamerę w klawiaturze. Spojrzałem w obiektyw. Kamera przesunęła się w lewo i w prawo, a następnie zatrzymała na mojej twarzy. Interkom zatrzeszczał.

- Czego chcesz?

James Carver.

- Musimy porozmawiać.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Jestem pewny, że chcesz to usłyszeć.

Kamera zaszumiała. Widziałem, jak przysłona się otwiera i robi zbliżenie na moją twarz. Spojrzałem prosto w obiektyw.

Chwilę później brama się otworzyła z cichym trzaskiem.

Carver powitał mnie w drzwiach, ale nie zaproponował niczego do picia. Nawet nie zaprosił do środka. Stał na progu razem z żoną, z rękami skrzyżowanymi na piersi, czekając na to, co mam do powiedzenia. Zasłaniał żonę, jakby ją ochraniał, jakby się obawiał, że mogę sprowokować sprzeczkę.

- Dostałem telefon dziś rano - powiedziałem, spoglądając mu w oczy. - Od Kaitlin, przyjaciółki Megan. Czy policja w ogóle powiedziała wam, co zeznała?

- Co to ma do rzeczy?

- Powiedzieli wam?

W jego oczach błysnął gniew.

- Była ostatnią osobą, która widziała Megan. - Przerwał, jednocześnie zasmucony i poirytowany. - To wszystko.

Pierwszy raz popatrzyłem na Caroline. Utkwiła we mnie spojrzenie, ale w jej oczach

nie było niechęci, jak u Jamesa.

- Jest coś jeszcze - powiedziałem, wyczuwając słaby lęk Caroline.

- O czym ty mówisz, do licha?!

- Przed zniknięciem Megan zwierzyła się Kaitlin.

- Co jej powiedziała? - spytał Carver.

- Myślę, że mogła się zwierzyć także twojej żonie.

Carver lekko otworzył usta, jakby nie mógł uwierzyć, że miałem czelność tu przyjść i ponownie znieważać jego żonę. Później, kiedy Caroline nie zareagowała, kiedy nawet nie podjęła próby ukrycia odrazy, spojrzał na nią przez ramię.

- Caroline? - spytał. - Co jest grane?

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- James - powiedziałem, czekając, aż zwróci na mnie wzrok. Kiedy to zrobił, z jego twarzy zniknął gniew. - Megan była w ciąży.

Sona

Sona się obudziła. Mark leżał obok niej na brzuchu, z prześcieradłem zwiniętym na krzyżu. Oddychał tak cicho, że ledwie go słyszała. Na podłodze wały się ich rozrzucone ubrania: bluzka, spódniczka, dżinsy, T-shirt, kurtka. Buty stały przy drzwiach. Bielizna zwisała z kołdry.

Usiadła i zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Była naga. Nadal czuła się nieco skrępowana tym faktem, choć spotykali się od pół roku. Wstyd zaczął powoli słabnąć. Jak niewielu mężczyzn, Mark umiał sprawić, że czuła się dobrze w swoim ciele. Nie dlatego, że często prawił jej komplementy, choć wzięła na to poprawkę. Był bardzo nieśmiały, zupełnie inny od mężczyzn, których знаła. Lubiła go za to. Jej poprzedni partnerzy mieli skłonność do przesadnych reakcji. Najpierw mówili jej, że jest piękna, a później rozdierali serce. W cichym sposobie bycia Marka - w jego spokoju - odkryła coś nowego, ekscytującego i dającego poczucie bezpieczeństwa.

Poszła do łazienki, zamknęła drzwi i ponownie spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jako dwudziestolatka pracowała w agencji reklamowej i choć dawno przekroczyła trzydziestkę, nie straciła zgrabnej figury. Jasne włosy, niebieskie oczy i wysokie kości policzkowe nadal przyciągały uwagę mężczyzn, nawet jeśli w pewnych miejscach pojawiło się trochę zmian.

Może faktycznie ważyła ciut za dużo. W kąciakach oczu miała kilka zmarszczek. Jej brzuch nie był już taki płaski jak kiedyś. Za dwa dni skończy trzydzieści sześć lat. Wiedziała, że jej figura nie jest już tak doskonała, ale znalazła faceta, który nie zwracał na to uwagi.

Faceta, którego pokochała.

□ □ □

Jechali dwadzieścia minut, kiedy Mark powiedział jej, że może zdjąć przepaskę założoną na oczy. Sona wyciągnęła rękę i zerwała krawat. Głowa ją lekko bolała. Nie była pewna, czy to początek migreny, czy efekt nagłego przejścia z ciemności do światła. Słońce wlewało się do samochodu, kiedy rozglądała się wokół. Zauważyła, że są na parkingu wąskiej uliczki mieszkalnej. Po obu stronach biegły identyczne szeregowe domy. Większość sprawiała wrażenie zaniedbanych. Od parapetów odpadała farba, rośliny więdły w małych przydomowych ogródkach otoczonych betonem, a popękane rynny luźno zwisały.

- Będzie lepiej - powiedział, odwracając się w jej stronę. - Obiecuję.

- Gdzie jesteśmy?

- Kiedyś często tu przychodziłem... - Wskazał palcem małą alejkę biegnącą między domami. Był to jedyny wyłom w ścianie szeregowców w zasięgu wzroku. - Do lasu.

- Do lasu?

Mark wyłączył silnik.

- Podczas drugiej wojny światowej produkowali tu amunicję. W fabryce, która stoi nieopodal. Cały rejon był kiedyś ważnym ośrodkiem brytyjskiego przemysłu. Spójrz tam... - Odwrócił się w kierunku domów po drugiej stronie. Po chwili popatrzył na Sonę i się uśmiechnął. - Cholera, gadam jak mój stary.

Roześmiała się. Uśmiechnął się ponownie, sięgając po przedmiot leżący po lewej stronie fotela. Chwilę później podał jej czerwoną różę.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Sono - powiedział cicho.

Wzięła różę ozdobioną kremową wstążką. Przez jego twarz przemknęło lekkie drgnięcie, jakby pragnął jej wyznać coś ważnego.

Chce powiedzieć, że mnie kocha, pomyślała.

Odczekała chwilę, a gdy żadne słowa nie padły, pochyliła się i delikatnie pocałowała go w usta.

- Dziękuję, kochany - powiedziała. Kiedy się odsunęła, dostrzegła ten sam wyraz twarzy. - Wszystko w porządku?

Spojrzał w kierunku alejki, a następnie odwrócił się ku niej.

- Ja tylko... - Przerwał. - Naprawdę...

Jestem w tobie zakochany, dokończył w myślach. Uśmiechnęła się, ścisnęła jego nogę i cmoknęła go w policzek. Skinął głową w kierunku tylnego siedzenia.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Odwróciła się. Słyszała, jak kładzie coś na tylnym siedzeniu, kiedy zawiązał jej przepaskę na oczach i zaprowadził do samochodu. Teraz spostrzegła, że to piknikowy kosz z przykrywką.

- Mogę cię zaprowadzić na miejsce naszego pikniku? - spytał.

- Oczywiście - przytaknęła lekko drżącym głosem. - Z przyjemnością.

Mark ruszył przodem, niosąc koszyczek. Skręcili w alejkę i szli nią aż do betonowego placu, na którym wznosiło się kilka na wpół zwalonych ceglanych ścian. Zdała sobie sprawę, że to ruiny fabryki, o której mówił Mark. Po lewej i prawej stronie pojawiło się więcej pochylonych ścian niczym relikty minionych czasów. Niektóre nadal stały, inne zamieniły się w sterty cegieł i kurzu, z trawą i chwastami wpełzającymi między fundamenty. Wszędzie

walały się śmieci: butelki po piwie, puszki po napojach, puste opakowania po chipsach, opakowania po słodyczach, pojemniki na śmieci pełne gnijącej żywności. Smród był obrzydliwy.

- Nie zwracaj na to uwagi - powiedział. - Niedługo będzie lepiej.

Przed nimi pojawiło się wejście do lasu, o którym wspomniał, wycięte niczym usta w ścianie ogromnych jodeł. Całą okolicę porastały zarośla. Kiedy przeszli pod wygiętą, pękniętą bramą i ruszyli ścieżką, drzewa pochyliły nad nimi gęste ciemne liście. Wokół pni rosła sięgająca pasa trawa, wypuszczając pędy przez szpary w żwirowej ścieżce. Z każdym krokiem ścieżka stawała się mniej wyraźna, aż żwir zamienił się w twarde klepisko.

- Ale gęstwina - zauważyła.

- Tak. Tutaj nic nie umiera.

Sona spojrzała w prawo. W przerwie między drzewami spostrzegła ogromny napis widniejący z boku innej fabryki. AMUNICJA. Ujrzała rzędy powybijanych, ziejących mrokiem okien, z odłamkami szkła sterczącymi w ramach.

- Te okna zawsze przypominały mi oczy - powiedział Mark.

Skinęła głową.

- Cóż za upiorny stary budynek!

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Nie martw się. Obronię cię przed tą potworną fabryką.

Roześmiała się i klepnęła go żartobliwie po ramieniu.

Trzask.

Usłyszała jakiś hałas za plecami. Zamarła. Mark zrobił kilka kroków, puszczając jej ramię, a następnie przystanął i spojrzał na nią.

- Co się stało?

Obejrzała się za siebie. Wiatr wiejący między drzewami powodował, że liście trzepotały o gałęzie, wydając odgłos przypominający cichy szept.

- Sono? - Zrobił krok w jej stronę. - Wszystko w porządku?

Ujęła jego wyciągniętą rękę.

- Sono?

W końcu na niego spojrzała.

- Tak, chyba tak.

Ruszyli dalej. Ścieżka skręciła lekko w lewo. Po chwili stwardniała ziemia zniknęła i pod stopami pojawiła się trawa. W odległości trzydziestu metrów Sona ujrzała polanę. Baldachim drzew nie był tak gęsty, a promienie słońca przenikały gałęzie i liście, tworząc

setki prostokątów wypełnionych kwiatowym pyłkiem. Widok zapierał dech w piersi.

- O rany! - zawołała. - Spójrz na to!

Uśmiechnął się do niej.

- To miejsce naszego pikniku.

Kiedy dotarli na polanę, zaczął rozpakowywać koszyk, wyjmując krakersy i ser.

Rozłożył koc w trawie sięgającej kolan.

Sona rozejrzała się wokół.

- Jak znalazłeś to miejsce?

- Przychodziłem tutaj jako chłopak.

- Jesteśmy daleko od domu?

Podniósł głowę.

- Nie.

- Tak tu cicho...

Trzask.

Ten sam dźwięk przypominający odgłos gałązki pękającej pod butem. I coś innego. Jakiś dźwięk oprócz trzasku. Co to takiego? - pomyślała Sona.

Spojrzała na koniec polany, w prawą stronę, gdzie z ziemi wyrastała ściana drzew. Setki pni stopniowo niknęły w ciemności. Gęste, splątane konary zagradzały dostęp padającemu z góry światłu.

- Słyszałeś?

Nie przestał rozpakowywać kosza.

- Co?

Popatrzyła na niego.

- To przypominało...

Spojrzał w miejsce, któremu się przyglądała, i przeniósł na nią wzrok.

- Co?

Popatrzyła w kierunku drzew, mrużąc powieki.

Coś się poruszyło.

Ciemna plama przemknęła między pniami drzew. Sona zrobiła krok przed siebie, lekko się pochylając, próbując dostrzec coś za pierwszym rzędem drzew. Kształt poruszył się ponownie, przemykając między dostarczającymi kryjówki pniami.

- Tam! - krzyknęła. - Widziałeś?!

Podniósł się i stanął obok niej.

- Coś się poruszyło!

Odwrócił się do niej.

- Zwierzę?

Nie odpowiedział.

- Mark? - I tym razem nie udzielił odpowiedzi. Spojrzała na niego. - Mark?

Coś błysnęło w jego oczach, dostrzegła ten sam wyraz, który widziała wcześniej. Znowu chciał jej powiedzieć coś ważnego, ale nie to, że ją kocha. Nagle zdała sobie sprawę, że wcześniej nie zamierzał jej tego wyznać. Jego spojrzenie nie wyrażało miłości.

Raczej żal.

- Przykro mi, Sono.

- Czemu...

Chwył ją za szyję i przyciągnął do siebie. Oplótł gardło ramieniem i zatkał usta dłonią. Próbowwała krzyknąć, ale mocniej zacisnął palce, aby nie wydobył się żaden dźwięk. Pociągnął ją za sobą na ziemię. Zaczęła gwałtownie wierzgać, przewracając się na trawę. Popatrzyła błagalnie w górę, w poszukiwaniu mężczyzny, z którym spotykała się od pół roku, ale on cofnął ramię i uderzył ją w skroń.

Potoczyła się ogłuszona. Upadła na plecy.

Gdy otworzyła oczy, ciągle nad nią stał.

- Więcej nie dam rady - jęknął, patrząc na coś z boku.

Później wszystko ogarnął mrok.

CZEŚĆ DRUGA

Kiedy późnym popołudniem opuszczałem dom Carverów, na szarym niebie pojawiła się ciemna chmura. Otworzyłem samochód i rzuciłem notatnik na fotel pasażera. Usiadłem za kierownicą i zamknąłem drzwi. W milczeniu ponownie przeanalizowałem wszystko, co zaszło.

Wszystkie kłamstwa, które usłyszałem.

I te, które zostały wypowiedziane w przeszłości.

□ □ □

Carver zaprosił mnie do środka i wskazał kanapę. Popatrzył na Caroline. Jego spojrzenie było aż nadto wymowne. Był wściekły i zakłopotany. Z jej powodu.

- Napijesz się czegoś, Davidzie? - zapytał cicho.

- Wystarczy łyk wody, dzięki.

Skinął głową i zniknął w kuchni. Caroline okrążyła kanapy i przysiadła na oparciu. Wiedziałem, że próbuje przeanalizować sytuację, zanim mąż wróci. Powtórzyć w myślach, co wiedziała. Co powinna była zrobić. Dlaczego nic nie powiedziała. Kiedy w końcu na mnie spojrzała, zauważyłem, że słaba więź, która się między nami pojawiła, niemal pękła.

Carver wrócił, podał mi ogromną szklankę wody, a następnie usiadł w pewnej odległości od żony.

- Czy Kaitlin jest tego pewna? - spytał.

Opadłem na jedną z kanap.

- Tak.

- Czemu nie powiedziała policji?

Wyciągnąłem notes i ołówek i położyłem przed sobą na stoliku. U góry kartki napisałem: *Megan - cięża*. Podniosłem głowę i spojrzałem na Carvera.

- Powiedziała mi, że miała zamiar to zrobić... ale w końcu uznała, że lepiej będzie zachować milczenie.

- Dlaczego?

- Nie była pewna, czy powinna rozmawiać o tym przez telefon. Będę musiał spotkać się z nią osobiście. Pogadam z Kaitlin i dowiem się, jaki był powód.

- Kto był ojcem dziecka?

- Nie wiem. - Przerwałem na chwilę, zastanawiając się nad tym faktem. - Przyjaciółki

Megan nie wspominały o żadnej poważniejszej relacji. Wy również. Jeśli z kimś sypiała, trzeba przyjąć, że nikt z was go nie znał.

Carver się lekko skrzywił, jakby myśl o tym, że jego córka z kimś sypiała, była niczym cios w żołądek. Później pierwszy raz spojrzął na żonę.

- Wiedziałaś o tym?

- Nie - odpowiedziała.

- Powiedz prawdę.

- To prawda - odrzekła głosem, w którym zabrzmiała nutka rozpacz. Spojrzała na mnie i przesunęła się na kanapie, odwracając twarz w stronę męża. - Nigdy nie wspomniała mi o tym, że jest w ciąży. Przysięgam.

- Mimo to wiedziałaś.

- Wiedziałam, że coś się święci. Skarżyła się na bóle głowy, cały czas czuła się zmęczona. Początkowo myślałam, że za dużo się uczy. Wiesz, jaka była Meg. Jednak kiedy zaginęła, zaczęłam przeglądać jej rzeczy... - przerwała i ponownie na mnie spojrzała - i znalazłam testy ciążowe ukryte w jednej z szuflad.

- Do licha, Car. i nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?

- Nie wiedziałam, co robić.

- Nasza córka była w ciąży.

- Wiem.

- Powinnaś była powiedzieć policji.

- Wiem! - wykrzyknęła.

- Czemu tego nie zrobiłaś?

- Pudełko nie zostało otwarte - odparła. - Nadal było w celofanie. To nie musiało niczego oznaczać.

- Miała siedemnaście lat, Caroline.

Nie odpowiedziała.

- Od kiedy siedemnastolatki na wszelki wypadek kupują testy ciążowe? Do założenia rodziny zostało jej dziesięć lat. Powinnaś była mi powiedzieć. Powinnaś była komuś o tym wspomnieć. - Spojrzął w moją stronę, a później przeniósł na nią wzrok. - Bronilem cię...

- Wiem.

Opadł na kanapę. Oboje pograżyli się w milczeniu. Dałem im kilka sekund na uspokojenie, myśląc, co mogłoby się stać, gdyby teraz powiedziała o tym policji.

- W porządku - przerwałem, przysuwając się ku nim. - Musimy ustalić kilka rzeczy. Po pierwsze, policja nie może się o tym dowiedzieć, a przynajmniej nie mogą się dowiedzieć,

że Caroline coś podejrzewała. Gdyby usłyszeli, że zataiłaś informacje, byłoby po sprawie. Przekażę im to dopiero wówczas, kiedy będziemy gotowi. Powiem, że sam się tego dowiedziałem. Dzięki temu zyskamy trochę czasu, żeby dokładniej wszystko zbadać.

Carver skinął głową.

- Co jeszcze?

- Kaitlin nic nam nie powiedziała. Musimy ją chronić tak, jak będziemy chronili Caroline. Trzeba się dowiedzieć, co zaszło i dlaczego milczała. Nie zdołamy tego ustalić, jeśli Hart ponownie zacznie się zajmować tą sprawą.

Tym razem oboje przytaknęli. Spojrzałem pomiędzy nich.

- Na koniec chcę, abyście powiedzieli mi absolutnie wszystko, co wiecie o Megan. Muszę znać każdy szczegół. Każdy fakt. Nie jestem tu, żeby osądzać waszą córkę, ale ją odnaleźć. Nie obchodzi mnie, co zrobiła, z kim się spotykała i jakie błędy popełniła. Zależy mi wyłącznie na tym, żeby ją odszukać. Jeśli powinienem wiedzieć o czymś jeszcze, powiedzcie to teraz...

Carver odwrócił się do żony. Odpowiedziała spojrzeniem, jakby zrozumiała jego gest. Kiedy pokręciła głową, spojrzał na mnie ponownie.

- To wszystko - rzekł cicho. - Proszę, znajdź naszą córkę, Davidzie.

Kiedy wyszedłem od Carverów, było już za późno, żeby zadzwonić do Kaitlin. Szczególnie pod domowy numer. Minęła piąta po południu, więc jej rodzice pewnie byli w domu, a ja nie chciałem niepotrzebnie wzbudzać podejrzeń. Z drugiej strony musiałem się z nią rozmówić. Ustalić, co dokładnie powiedziała jej Megan. Oprócz tego musiałem ustalić, czy Charlie Bryant pasował do tego scenariusza.

Po powrocie do domu wziąłem prysznic, zjadłem obiad i zaniósłem do salonu płyty DVD z klubu Tiko. Umieściłem pierwszą w odtwarzaczu. Zapis z siedmiu miesięcy, czyli dwustu czternastu dni. Po dziewiętnaście godzin dziennie. Oznaczało to, że do przejrzenia były ponad cztery tysiące godzin nagrań wideo. Nawet gdybym miał do dyspozycji dwudziestu ludzi, każdy potrzebowałby na to dwustu godzin. Byłoby łatwiej zadzwonić do Kaitlin lub Lindsey i spytać, w które wieczory tam przebywały, ale - skoro nie wchodziło to w grę do następnego rana - postanowiłem zacząć od weekendów, a szczególnie od piątkowych i sobotnich wieczorów. Od wieczorów, które Megan mogła spędzić na mieście.

Wcisnąłem przycisk odtwarzania.

Na ekranie pojawił się zapis z października, sześć miesięcy przed zniknięciem Megan. Obraz był barwny, całkiem przyzwoitej jakości, ale trzysekundowe odstępy filmu poklatkowego sprawiały, że zapis miał dziwny, urywany charakter.

Materiał rozpoczynał się od środy, więc szybko przewinąłem nagranie do przodu, do piątku. Lokal był otwarty cały dzień, ludzie stale wchodzili i wychodzili. Młodszy - starsze nastolatki i dwudziestolatki - zaczęli się pojawiać po ósmej wieczorem. Dotarłem do trzeciej nad ranem, kiedy zamykano klub, ale nie dostrzegłem ani śladu Megan i jej przyjaciół.

Pomyślałem o przejrzeniu nagrań ze środka tygodnia, w październiku, bo mogłem coś przeoczyć, ale na drugiej płycie z listopada w Tiko zjawily się Megan, Kaitlin i Lindsey. Był pierwszy piątek miesiąca, jedenasta wieczór.

Przedzierały się gęsiego przez tłum. Kaitlin szła przodem. Mężczyźni odprowadzali je wzrokiem. Patrzyli głównie na nią, ale kilku przyglądało się Megan i Lindsey. Stały przy barze, rozmawiając ze sobą. Na jednym z kadrów Megan pochyliła się i szepnęła coś Lindsey. Na kolejnym Lindsey odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. Zamówiły drinki, a później weszły krętymi schodami na piętro.

Kamera nie była ustawiona w najlepszym miejscu, ale nadal je widziałem. Ich głowy wyróżniały się w tłumie. Zapis poklatkowy powodował, że migające dyskotekowe światła

drgały urywanym staccato. Ludzie tańczyli wokół nich. Dziewczęta stały w tym samym miejscu, obok trzech kanap, zajęte rozmową. Trzy razy wróciły do baru po kolejne drinki, a później zeszły na dolny parkiet i pozostały tam aż do wyjścia o drugiej nad ranem.

Przewinąłem nagranie dwadzieścia cztery godziny do przodu, ale w sobotę się nie pojawiły. Wtedy przypomniałem sobie słowa Jamesa Carvera: „Kiedy dostawali wypłatę, często szli do miasta”. Zakładając, że płacono im pod koniec miesiąca, oznaczało to ostatnie dni jednego i pierwsze drugiego miesiąca.

Opuściłem trzy tygodnie, przechodząc do ostatniego weekendu listopada.

W piątek nic się nie wydarzyło, ale w sobotę przyszły do Tiko. O jedenastej wieczorem, jak wcześniej. Postępowały według niezmiennej rutyny. Przedarły się przez tłum gości i stanęły przy barze, a później weszły na piętro i zajęły to samo miejsce obok kanap. Potem nastąpiło pięć wycieczek do baru i zakończenie wieczoru na parkiecie. Identyczny scenariusz powtórzył się na pozostałych płytach z grudnia, stycznia, lutego i marca.

Szósta płyta zaczęła się zapisem z soboty pierwszego kwietnia. Czterdzieści osiem godzin przed zniknięciem Megan. Dziewczęta weszły do klubu przed jedenastą, podeszły do baru, a następnie wdrapały się na piętro spiralnymi schodami. Rozmawiały chwilę, a później, gdy zegar w rogu kadru pokazał północ, Megan lekko się odwróciła, żeby kogoś przepuścić. Nagle coś mnie tknęło.

Zatrzymałem nagranie. Megan spoglądała w kamerę, w otoczeniu przyjaciółek. Wtedy coś dostrzegłem. Coś wartego uwagi, choć trudno było dokładnie zobaczyć w ciemności. Przynuram się bliżej ekranu i za pomocą pilota zacząłem powoli przewijać nagranie. W pierwszym kadrze Lindsey pochylała się ku Megan. W drugim Kaitlin zrobiła krok wstecz.

Wtedy go zobaczyłem.

Uświadomiłem sobie, że widziałem go już wcześniej, na innej płycie, ale nie zwróciłem na to uwagi. Pojawiał się tylko przelotnie, podobnie jak na obecnym nagraniu. Ukryty za płataniną ciał, siedział na kanapie najbardziej oddalonej od dziewcząt. Ciemne włosy. Czarna kurtka. Czarna koszula. Dżinsy. Czarne buty.

Przypatrywał się Megan.

Siedział nieruchomo, chociaż film przeskoczył do następnej klatki. Jakby zastygł w bezruchu. Lekko skłonił głowę, niemal przyciskając brodę do krtani, i patrzył spode łba. Miał jasną skórę i niewiarygodnie ciemne oczy. Linie skanu nagrania powodowały, że przypominały otwory w głowie.

Kiedy Lindsey poruszyła się ponownie, zniknął za jej plecami.

Przejrzałem dalszy materiał, skacząc od klatki do klatki. Na piętro weszli kolejni

goście. W pewnym momencie obok Megan, Lindsey i Kaitlin stanęła grupa ośmiu lub dziewięciu mężczyzn. Dwanaście minut później ponownie zmienili miejsce.

Nieznajomy zniknął.

Przewinąłem nagranie do momentu, w którym dziewczyny wychodziły z klubu pół godziny przed zamknięciem, o czwartej nad ranem. Facet więcej się nie pojawił. Cofnąłem do początku nagrania z tego wieczoru, do chwili gdy wchodziły schodami na piętro. Nie czekał na nie. Przypominał ducha, który wyłonił się z tłumu, by po krótkiej chwili ponownie zniknąć.

Znowu włożyłem do odtwarzacza płytę z marca. Przewinąłem nagranie do pierwszego piątkowego wieczoru miesiąca. Minęło półtorej godziny. Kiedy zegar na ekranie wskazywał trzydzieści siedem minut po północy, tłum za plecami dziewcząt się przerzedził i znów go dostrzegłem. Chociaż nie zauważyłem go za pierwszym razem, teraz widziałem wyraźnie. Przez pięć i pół minuty obserwował Megan. Jak na nagraniu DVD z kwietnia. To samo ubranie. Ten sam wyraz twarzy. Ciemne oczy nie opuściły jej ani na chwilę.

Ani razu.

Przejrzałem ponownie wszystkie obejrzone nagrania. Przychodził tam miesiąc w miesiąc z wyjątkiem października. Na krótko. Nie krócej niż pięć i nie dłużej niż osiem minut. Przeoczenie jego obecności było niewiarygodnie łatwe - prawdopodobnie dlatego umknął uwadze policji. Pewnie sprawdzili wszystkie cztery tysiące godzin; przejrzeliby każdy dzień tygodnia; przeanalizowali nagrania każdej doby z ostatnich sześciu miesięcy. Żeby mieć pewność. Oprócz poranków w klubie cały czas panował tłok. Mnóstwo ludzi i mnóstwo zamieszania. Facet był w kadrze trzydzieści sześć minut na bite cztery tysiące godzin. Ułamek czasu podzielony na jeszcze mniejsze odcinki oddalone od siebie o miesiąc. Zauważyłem go niemal przypadkowo. Fuksem.

Ale tam był.

Był w Tiko i obserwował Megan.

Piątek. Wstałem o ósmej, zaparzyłem kawę i usiadłem przy oknie w salonie. Spoglądałem na ogród i studiowałem fotografię faceta z Tiko. Zrobiłem zdjęcie ekranu telewizora, zatrzymawszy kadr z najlepszym obrazem jego twarzy, a później wydrukowałem odbitkę na komputerze. Powiększenie sprawiło, że jakość znacznie się pogorszyła.

Mimo to była zadowalająca.

Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Niewiarygodnie blady, o kruczoczarnych włosach zaczesanych w staromodny przedziałek z boku. Kanciasta twarz. Widoczne kości. Lekko zapadnięte policzki. Cienki, prosty nos. Wydatne wysokie brwi redukowały oczy do dwóch punkcików światła. Nadawało mu to dziwny, nieziemski wygląd człowieka namalowanego jedynie bardzo ciemnymi i bardzo jasnymi barwami. Nie był dobrze zbudowany. Miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu. Żadnych wydatnych mięśni, a przynajmniej niczego, co by na nie wskazywało.

Mimo to w jego wyglądzie było coś dziwnego. Coś złowieszczonego.

Patrzył na Megan jak myśliwy, który obserwuje zdobycz. Z głębokim skupieniem. Cierpliwie. Jego oczy nieprzerwanie śledziły ruchy dziewczyny. Wydawał się lekko zgarbiony, jakby cały czas starał się wydać mniejszy. Wywoływało to poczucie zagrożenia, sugerowało, że budowa i rozmiary jego ciała nie mają większego znaczenia, bo gdyby zaszła potrzeba, nic nie zdołaloby go powstrzymać.

□ □ □

Zadzwoiłem do Kaitlin i umówiliśmy się o jedenastą, podczas wolnej godziny między lekcjami. Później miałem zamiar zatelefonować do detektywa nadinspektora Jamiego Harta. Chciałem podjąć próbę pogodzenia naszych interesów. Potrzebowałem jego pomocy, bo musiałem ustalić, czego się dowiedzieli, zanim sprawa Megan została odstawiona na boczny tor. Z drugiej strony nie chciałem, żeby Hart zbyt się zaangażował lub ponownie zainteresował zniknięciem dziewczyny. Może już zlokalizowali mężczyznę z klubu Tiko i rozpoczęli jego obserwację? Bardziej prawdopodobne było jednak to, że zupełnie przeoczyli tego faceta. Nie chciałem, aby o nim usłyszeli, zanim ustalę, kim jest.

Kiedy dotarłem do szkoły, zajechałem na parking obok budynku szóstego roku, nieopodal ogrodzenia, przez które musiała przejść Megan, żeby nie zostać zarejestrowana przez kamery przemysłowe w głównym wejściu. Kaitlin już na mnie czekała. Jej torba leżała

na dachu sfatygowanego forda fiesty wraz z notatnikiem i kilkoma podręcznikami. Wysiadłem z mojego bmw. Ranek był suchy, choć zanosilo się na deszcz. Po niebie sunęły ciężkie ciemne chmury. W oddali za dachami domów otaczających szkołę wisiała mgła, szara i przytłaczająca, jak koc narzucony na miasto.

Uśmiechnąłem się do Kaitlin.

- Cześć.

Odpowiedziała uśmiechem, ale wyczułem, że się waha. Może oczekiwała, że palnę jej kanzanie, że powinna była powiedzieć policji wszystko, co wiedziała.

Podniosłem rękę.

- Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś.

Lekko się rozluźniła i zaproponowała, żebyśmy poszli do kawiarni oddalanej osiemset metrów od szkoły. Lokal miał dwa piętra. Na górze były okna od podłogi do sufitu i małe okrągłe stoliki z przodu sali. Kupiłem Kaitlin kawę z mlekiem i usiedliśmy przy jednym ze stolików, jak najdalej od pozostałych gości. Wyjąłem długopis i notatnik i odwróciłem się do niej. Spoglądała w dół na ludzi przechodzących chodnikiem.

- Wszystko w porządku?

Popatrzyła niepewnie, jakby obawiała się, że zwabię ją w pułapkę.

- Tak - odpowiedziała w końcu.

- Kiedy dowiedziałas się, że Megan jest w ciąży?

- Na tydzień przed jej zniknięciem.

- Jak to się stało?

- Przyszłam do niej, żeby popracować nad wspólną pracą z biologii. Po godzinie powiedziała, że chce jej się rzygać.

- Pierwszy raz tak się czuła?

- Nie. Mówiła, że od rana ma mdłości. Że wymiotuje cały tydzień. Stwierdziła, że musiała się czymś zatruć.

- Ale jej nie uwierzyłaś?

- Nie.

- Wtedy ci powiedziała?

- W końcu. Powiedziała, że po tygodniu zrobiła sobie test ciążowy, gdy mdłości i bóle głowy nie minęły.

- Zapytałaś ją, kto jest ojcem?

- Tak.

- Co odpowiedziała?

Kaitlin spojrzała na mnie.

- To trochę skomplikowane.

- Rozumiem.

- Właśnie dlatego skłamałam.

Skinąłem głową, żeby kontynuowała opowieść.

- Megan zawsze pomagała ludziom. Wie pan, działalność dobroczynna, coś takiego. Latem udzielała się w klubie młodzieżowym w okolicy. Był to ośrodek dla ludzi z porażeniem mózgowym albo czymś w tym rodzaju. - Przerwała i wyjrzała przez okno. - Tak czy owak, powiedziała, że kogoś tam poznała.

- W klubie młodzieżowym?

- Tak.

- Zdradziła, jak miał na imię?

- Nie.

- Dlaczego?

Ponownie zamilkła, tym razem na dłużej.

- Był kilkanaście lat starszy od niej. Dziesięć albo piętnaście. Uważała, że on może mieć problemy z tego powodu.

- Z czyjej strony?

- Megan miała siedemnaście lat. Co powiedzieliby jej rodzice, gdyby usłyszeli, że chodzi z trzydziestoletnim facetem?

Rozsiadłem się na krześle.

- Coś o nim mówiła?

- Że jej zdaniem jest inteligentny i sexy... że są w sobie zakochani. - Wzruszyła ramionami. - Nigdy nie słyszałam, żeby tak mówiła o facecie. Megan... ona nie miała wielu chłopaków. Kiedy szłyśmy się zabawić, nigdy nie była nikim zainteresowana.

- Opisała go? Jak wyglądał?

- Nie.

- Ani słowem?

- Tak.

Ponownie pomyślałem o facecie z klubu. Czy to on? Nie był w żadnym sensie atrakcyjny, ale musiał być przynajmniej piętnaście lat starszy od niej. Chociaż wiek z grubsza pasował, nie wydawał się odpowiednim kandydatem. Jeśli go znała, czemu miałby się czaić w cieniu? Czemu w ogóle miałby chodzić do klubu? Sięgnąłem do kieszeni kurtki i wyciągnąłem fotografię. Przesunąłem ją Kaitlin po stole.

- Poznajesz go?

- To zdjęcie z klubu Tiko?

- Tak.

Przyciąłem zdjęcie, żeby usunąć dziewczęta, ale Kaitlin spojrzała na mnie, a później na fotografię, próbując poskładać wszystko w głowie.

- Poznajesz go? - powtórzyłem.

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Wziąłem fotografię i złożyłem na pół.

- Powiedziała ci, ile razy się kochali?

Lekko się zaczerwieniła.

- Nie wstydz się.

Przekręciła się na krześle.

- Cztery razy.

- W którym była miesiącu?

- Cięży?

- Tak.

- Na początku. W piątym lub szóstym tygodniu.

- Czy facet, z którym sypiała, o tym wiedział?

- Tak.

- Powiedziała mu?

- Tak.

Zapisałem jej słowa. Kiedy podniosłem głowę, spojrzała na mnie. Pierwszy raz ujrzałem dziewczynę, która do tej pory ukrywała się za zasłoną.

- Co się stało?

- Żałuję, że skłamałam. Może gdybym tego nie zrobiła, policja by ją odnalazła. Myśli pan, że z nim uciekła? Myśli pan, że on... - Nagle urwała.

- Posłuchaj, Kaitlin - powiedziałem. - Jeśli z jakiegoś powodu policja zacznie cię ponownie wypytywać, nie mów o ciąży. Nie wiem, czy do ciebie wróca. Wszystko wskazuje na to, że śledztwo utknęło w martwym punkcie, trafiło na boczny tor. Jeśli odkryją, że weszę, mogą się ponownie zainteresować sprawą. Najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo. Jeśli cię spytają, powiedz im o klubie młodzieżowym. Wspomnij, że mogła się spotykać z kimś stamtąd, ale na tym koniec, rozumiesz?

Skinęła głową.

- Dobrze. Jak się nazywa ten klub?

- Barton Hill.

- Jest niedaleko od domu Megan?

- Tak.

- Czy kiedyś tam byłaś?

- Nie. Meg kilka razy mnie zapraszała, ale... to mnie nie kręci.

Zabębniłem palcami po stole, zastanawiając się po cichu.

- A zatem postanowiłaś nie mówić policji o ciąży Megan, bo... właśnie, dlaczego to zrobiłaś...? Bo Megan chciała ukryć tożsamość tego faceta?

Popatrzyła na mnie. Jej oczy stały się niespokojne.

- Nie - powiedziała w końcu. Zatem chodziło o coś innego.

- Dlaczego skłamałaś?

- Bo... - Przerwała i ponownie na mnie spojrzała. - Bo w dniu jej zniknięcia, zanim przysłała policja... ktoś do mnie zadzwonił.

- Kto?

Kolejna przerwa, nieco dłuższa od poprzedniej.

- Charlie Bryant.

Tym razem to ja zamilkłem. Przyglądałem się jej chwilę.

- Czy on wiedział, że Megan była w ciąży?

- Tak.

- Skąd?

- Musiała mu powiedzieć albo sam się tego domyślił. Zadzwonił do mnie i ostrzegł, że nie możemy powiedzieć policji.

- Dlaczego?

- Bo będziemy w niebezpieczeństwie.

- Co mogłoby wam grozić?

- Nie wiem.

- Nie spytałaś go?

- Nie pisał ani słowa. Mówił tylko, że lepiej, abym nie wiedziała. - Przerwała. -

W pierwszej chwili pomyślałam, że znowu mu odbiło.

- Nie rozumiem.

- Że się ponownie zadurzył w Megan. Bez reszty. Czasami dostawał świra i wszystkie miałyśmy pietra.

- Mówił jej dziwne rzeczy?

- Tak. I dziwnie się przy niej zachowywał. Czasami za nią łąził. Nie jak prześladowca, ale... sama nie wiem. Po prostu ją śledził. Rozumie pan? Rysował dla niej rysunki, malował, pisał wiersze, takie tam bzdety. Stale powtarzał, że zawsze może na niego liczyć. Potrafił być prawdziwym dziwadłem.

- Czemu w takim razie mu uwierzyłaś?

Pociągnęła długi łyk kawy, a później spojrzała na mnie nerwowo.

- Tego dnia wydawał się inny. Miał zmieniony głos. Nie obchodziło go, co o nim myślimy. W szkole się z niego nabijaliśmy, ale się tym nie przejmował. Śmiał się razem z nami, ale tamtego dnia... sama nie wiem. Miał jakiś inny głos. Kiedy powiedział, że znajdziemy się w niebezpieczeństwie, jeśli powiemy policji, uwierzyłam mu bez wahania. - Wzięła głęboki oddech. - Był naprawdę przerażony.

□ □ □

Wyjeżdżałem z bramy szkolnego parkingu, gdy zadzwoniła moja komórka. Podniosłem ją z fotela i umieściłem w gnieździe zestawu głośnomówiącego. Dzwonił Spike. Zdobył nazwiska i adresy posiadaczy osiemnastu numerów, z którymi łączyła się Megan. Poprosiłem, żeby mi je przesłał e-mailem. W odległości kilometra od domu Charliego Bryanta była internetowa kafejka, więc pomyślałem, że tam je odbiorę.

Znalazłem puste miejsce przy Holloway Road, naprzeciw nowych apartamentowców, i ruszyłem w kierunku Highgate. W kącie kafejki o pozbawionej ironii nazwie „Przejdźmy na cyfrę!” spostrzegłem komputer, którego ekranu nie mógł zobaczyć żaden z obecnych. Zalogowałem się na moją skrzynkę na Yahoo.

Plik w PDF-ie od Spike'a już na mnie czekał. Otworzyłem dokument.

Osiemnaście numerów i nazwisk uporządkowanych alfabetycznie. Przypominało to kopię rachunku telefonicznego - z tą różnicą, że oprócz numerów były dane osobowe i adresy. Przypuszczalnie informacje zostały uzyskane z baz danych firm telefonicznych, a następnie przekształcone w dokument. Spike cieszył się dużym wzięciem nie tylko z powodu umiejętności pokonywania zapór programów zabezpieczających. Facet przywiązywał wagę do takich szczegółów, jak umieszczenie nazwisk w porządku alfabetycznym, co jeszcze silniej przemawiało do klientów.

Przejrzałem listę.

Nie znalazłem tam wielu niespodzianek. Numery komórkowe i służbowe Jamesa i Caroline Carver, które już znałem. Numery komórkowe i stacjonarne Kaitlin i Lindsey.

Numery komórkowe i stacjonarne czterech przyjaciółek, których nazwiska zanotowano w Księdze Życia Megan. Pozostały dwa. Pierwszy numer był komórką Charliego Bryanta, a drugi numerem stacjonarnym na peryferiach Londynu. Bez nazwiska i nazwy ulicy. Jedynie numer skrytki pocztowej. Spike napisał obok: *Pracuję nad tym. Zadzwoń, kiedy ustalę adres.*

Wyciągnąłem komórkę i wprowadziłem numer. Aparat kliknął i rozległ się dźwięk połączenia. Po czterech sygnałach w słuchawce ponownie coś kliknęło i włączył się pobrmiewający echem, daleki głos automatycznej sekretarki. „Proszę nagrać wiadomość po usłyszeniu sygnału”, powiedział znudzony męski głos. Niewiele mogłem zrobić, dopóki Spike nie zdobędzie adresu.

Mogłem jednak zrobić coś w sprawie Charliego Bryanta. Wiedziałem, gdzie mieszka. Przyszedł czas, żeby ustalić, ile wiedział.

Dotarłem do domu Bryanta o drugiej trzydzieści. Zadzwoiłem i przytknąłem twarz do szklanej szybki w drzwiach. Krople deszczu ciężko bębniły o plastikowy dach werandy, wydając taki dźwięk, jakby ktoś wysypywał gwoździe z wiadra. Nie zdołałbym usłyszeć odgłosów dolatujących z wnętrza, nawet gdyby ktoś był w domu, ale tam nikogo nie było. Dom stał ciemny i milczący. Otaczała go chłodna, pozbawiona życia atmosfera, która spowija opuszczone miejsca. Żadnego światła, ciepła, śladu zamieszkania.

Powiodłem wzrokiem wzdłuż bocznej ściany, a następnie zlustrowałem podjazd. Budynek był dobrze osłonięty od strony ulicy. Przed wejściem ogrodzonej z jednej strony działki rosły drzewa. Najbliższa posesja znajdowała się w przyzwoitej odległości, za ceglany murkiem średniej wysokości. W Londynie niewiele domów stało na tak dużej parceli. Zaciekawilo mnie, z czego utrzymuje się ojciec Charliego Bryanta.

Deszcz w końcu osłabł, zmieniając się w mżawkę.

Wtedy poczułem ten zapach.

Zszedłem z werandy i ruszyłem w kierunku bocznej bramy. Zapach się nasilił. Dostrzegłem kilka foliowych worków na śmieci z wystającymi na zewnątrz źdźbłami trawy. Trawa zamieniła się w mierzwę, pełznącą po betonie i zabarwiającą ceglane ściany domu. Obok zauważyłem więcej toreb na śmieci, rozerwanych przez zwierzęta, i resztki żywności walające się na ścieżce. Solidna dębowa brama była ciężka, z grubym drewnianym skoblem. Z drugiej strony zwisała olbrzymia kłódka widoczna przez otwory między listwami.

Rozejrzałem się wokół, aby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, a następnie podciągnąłem się i przesadziłem ogrodzenie. Stałem chwilę nieruchomo, spoglądając wzdłuż domu i czując, jak mokra trawa ugina się pod moimi stopami.

Smród się nasilił.

Z boku domu były dwa okna i drzwi. Pierwsze okno wychodziło na kuchnię. W półmroku dostrzegłem kredensy i metalowe wykończenia. Na mikrofalówce w zielonej ramce stała fotografia matki Charliego Bryanta. Wszystko wydawało się w największym porządku. Kolejne okno należało do toalety. Na parapecie stał odświeżacz powietrza. Matowe szkło sprawiało, że trudno było dostrzec cokolwiek innego. Podeszedłem do drzwi i przez szybkę zobaczyłem korytarz prowadzący do ciasnego pomieszczenia gospodarczego, w którym stała pralka, suszarka bębnowa i zamrażarka. Rozpoznałem stojak na wino wypełniony butelkami oraz buty i kalosze ustawione obok półki z psim jedzeniem. Wtedy

doleciało mnie bzyczenie owadów.

Szybko przeszedłem na tył domu.

Ogród był mały, otoczony wysokim drewnianym ogrodzeniem. Wzdłuż tylnej ściany rosły ogromne jodły. Jednym słowem, spokojne i zaciszne miejsce. W tylnej części znajdowało się okno i drzwi wychodzące na taras. Osloniłem oczy dłońmi i zajrzałem do środka przez szklane drzwi. Dostrzegłem jedynie długi pokój sięgający frontu domu. Skórzane kanapy. Półki z książkami. Nowoczesne obrazy na ścianach. Telewizor, DVD

i podłączona u dołu konsola do gier. Kiedy odsunąłem się od szyby, drzwi lekko drgnęły. Były otwarte.

Sięgnąłem do klamki i otworzyłem je na oścież.

Uderzył mnie potworny smród.

Odór wydostawał się z salonu na taras niczym fala niszcząca wszystko na swojej drodze. Poczulem dreszcz przerażenia. Przytknąłem dłoń do ust i wszedłem do środka. W domu było cicho, jak na cmentarzu. Żadnych dźwięków z wyjątkiem szumu lodówki dochodzącego z kuchni.

- Panie Bryant?

Zamarłem, choć nie spodziewałem się odpowiedzi. I faktycznie jej nie otrzymałem.

- Charlie?

Żadnej reakcji. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku.

Ruszyłem w kierunku schodów. Z każdym stopniem smród stawał się silniejszy. Na szczycie usłyszałem kapanie wody z kranu. Nie zauważyłem niczego podejrzanego w pokojach. Tylko czwarte drzwi były zamknięte. Nad framugą w pozbawionym powietrza domu ospale bzyczały muchy plujki. Opuściłem rękaw kurtki, ujmując klamkę palcami owiniętymi tkaniną.

Powoli otworzyłem drzwi.

Znalazłem się w małym pokoju o wymiarach trzy na trzy metry. Zastony były częściowo zaciągnięte, ale przez szparę dostrzegłem bok domu. W środku było ciepło i duszno. O szybę uderzała chmara owadów, a stado robaków wędrowało po dywanie. Pies leżał w rogu pokoju z ziejącą raną w boku. Przed nim, ułożeni jeden obok drugiego, spoczywali Charles Bryant i jego ojciec.

Obaj nie żyli.

Ojciec leżał zwrócony twarzą do podłogi, z rękami związanymi na plecach taśmą klejącą. Pod nim widniała kałuża krwi, która dawno zaschła, powodując, że włókna dywanu zeszytniały. Skóra denata miała zielonkawe zabarwienie, a pod jego twarzą wiły się robaki.

Obok Bryanta spoczywał jego syn.

Charlie leżał twarzą do sufitu, z zakrwawioną klatką piersiową.

Jakimś sposobem śmierć sprawiła, że nie wyglądał na swoje siedemnaście lat. Wszedłem nieco głębiej. Nogi chłopaka wygięte na bok, w kształcie litery A, były związane w kolanach i kostkach. Lekko otworzył usta, jakby chciał zawołać o pomoc. Podobne wrażenie sprawiały oczy.

Patrzyły tak, jakby błagał zabójcę, żeby przestał.

Wezwałem policję i czekałem przed domem. Przyjechali po dziesięciu minutach. Kiedy cały dom opasano policyjnym kordonem, funkcjonariusz sprawujący nadzór nad miejscem popełnienia przestępstwa poprosił, żebym odtworzył swoje kroki podczas wchodzenia na teren posiadłości Bryantów i jej opuszczania. Po wytyczeniu drogi, którą się poruszałem, rozstawiono namioty w tylnej części podwórka i wszyscy zaczęli nią wędrować. Nikt z niej nie schodził. Mimo deszczu chcieli zabezpieczyć jak najwięcej śladów.

Policjant w mundurze zaprowadził mnie przed dom, gdzie czekał drugi oficer z podkładką do pisania, notując wszystkich wchodzących i wychodzących. Na bramie łopotała policyjna taśma smagana przez wiatr.

- Proszę tutaj - powiedział jeden z funkcjonariuszy i podał mi parasol. Rozłożyłem go.

- Ktoś za chwilę do pana przyjdzie.

Pięćdziesiąt minut później z domu wyszli dwaj funkcjonariusze wydziału kryminalnego, CID. Jeden z nich dobiegał czterdziestki, miał ciemne włosy, był gibki i szczupły. Miał na sobie elegancki czarny płaszcz przeciwdeszczowy, czarny garnitur i łososiowy krawat. Drugi był roślejszy, starszy i bardziej siwy. Po pięćdziesiątce. Nie przywiązywał takiej wagi do stroju jak kolega. Był ubrany w brudną brązową kurtkę, džinsy, gruby czerwony wełniany sweter i białe adidas. Młodszy ruszył w moją stronę, zachowując się tak, jakby tu dowodził.

- Pan Raker?

Skinąłem głową. Facet był Szkotem.

- Jestem detektyw nadinspektor Phillips - powiedział i wskazał partnera. - A to sierżant Davidson. Musimy porozmawiać. Możemy zrobić to tutaj, pośrodku tego całego zamętu, albo na komendzie, gdzie będę mógł poczęstować pana kawą i czymś do jedzenia.

Mówił spokojnie, panując nad tonem głosu, z dłońmi splecionymi przed sobą w geście niemal wyrażającym szacunek. Jego palce od czasu do czasu przesuwaly obrączkę na serdecznym palcu lewej ręki. Domyśliłem się, że była to gra. Starał się dać do zrozumienia, że jest rozsądnym, godnym zaufania człowiekiem, któremu mogę się zwierzyć, ale pod powierzchnią krył się ktoś zupełnie inny.

- Panie Raker?

- Czy jestem aresztowany?

Davidson, który stał obok Phillipsa, prychnął ze zniecierpliwieniem. Spojrzałem na

niego. Nie był takim dobrym aktorem jak kolega. Trzymał się nieco z tyłu, przyjąwszy bardziej agresywną postawę. Niski, ciemne oczy, ręce splecione na piersi. Głowa lekko pochylona, jakby przypatrywał mi się nosem.

- Aresztowany? - zdziwił się Phillips i przelotnie spojrzał na partnera. - Czemu mielibyśmy pana aresztować? Nie zrobił pan nic złego, prawda?

Kiedy nie udzieliłem odpowiedzi, zdał sobie sprawę, że jego zwykle metody w tym przypadku się nie sprawdzą. Może obaj czytaliśmy te same książki. Całe lata pracowałem nad tym, by lepiej zrozumieć ludzi, przejrzeć ich kłamstwa. Kłamstwa polityków, gwiazd i autorów nagłówków gazet. Przypuszczałem tak samo jak on. Wdzieranie się do wnętrza umysłu najgorszych przedstawicieli ludzkiego gatunku mogło wyczerpać człowieka.

- Proszę za mną, dobrze? - powiedział cicho, spoglądając na mnie badawczym wzrokiem.

Miałem pokusę, aby odmówić i odejść, ale wówczas znalazłbym się w podejrzanym świetle. Nie musiałem z nim iść, ale nie chciałem, żeby zaczęli grzebać w mojej sprawie. Nie chciałem też, by uznali, że mam coś do ukrycia. Pomyślałem, że będą chcieli zabrać ubranie, które miałem na sobie, więc powiedziałem, że się zgadzam, ale wcześniej wezmę z samochodu zapasowe rzeczy.

Potem odbyliśmy milczącą piętnastominutową przejażdżkę na posterunek. Davidson siedział z tyłu obok mnie, a Phillips prowadził. Żaden nie odezwał się ani słowem. Kiedy ruszyliśmy na południe przez Camden, zacząłem układać sobie wszystko w głowie. Obmyślać plan. Sposób podejścia. Próbowałem odgadnąć, jak się do mnie zaborą. Wątpiłem, aby uważali mnie za mordercę, ale w obecnej chwili byłem ich jedynym tropem.

Posterunek znajdował się w starym budynku z lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku, o ohydnych przemysłowym wyglądzie. Ni to fabryka, ni blok więzienny. Phillips zajechał na parking i wyłączył silnik. Dwa miejsca dalej do ściany przybito tabliczkę z napisem:

MIEJSCE DETEKTYWA NADINSPEKTORA

JAMIEGO HARTA

Tego, który prowadził śledztwo w sprawie Megan Carver.

To nie jest zbieg okoliczności.

Mogli odkryć związek łączący Charliego Bryanta i Megan kilka miesięcy temu. Pytanie brzmiało: Co jeszcze wiedzieli?

- Zaczekaj chwilę - rzucił Phillips do Davidsona, kiedy wysiedliśmy. - Zostawiłem telefon w samochodzie. - Davidson skinął głową i obaj patrzyliśmy, jak Phillips idzie przez parking do swojego poobijanego czerwonego mondeo. Otworzył drzwi, pogrzebał w schowku na rękawiczki i po chwili wrócił z komórką. - W porządku - powiedział. - Chodźmy.

Zaprowadzili mnie do małej, ciasnej poczekalni z wysokim kontuarem, zza którego rozciągał się widok na całą salę. Za kontuarem siedział oficer dyżurny - sześćdziesięcioletni mężczyzna o siwych włosach i w okularach połówkach na nosie - odwalając jakąś papierkową robotę. Na nasz widok zamrugął oczami.

- Jeszcze żyjesz, stary? - powitał go Davidson, odzywając się pierwszy raz od chwili naszego spotkania. Mówił z szerokim akcentem z East Endu.

Twarz sierżanta wykrzywił uśmiezek.

- Umrzesz przede mną, Eddie. Tylko spójrz na siebie. Nie ma sposobu, żeby to się przyjęło jako policyjna moda.

Phillips wybuchnął śmiechem.

- Kogo tu mamy? - spytał Eddie, przypatrując mi się z zaciekawieniem.

- Facet przyszedł pogadać - wyjaśnił Phillips.

Sierżant skinął głową i nacisnął przycisk pod biurkiem, a następnie wrócił do przerwanej pracy. Zamek magnetyczny w drzwiach zabrzączał i weszliśmy do wąskiego korytarza. Po prawej stronie była duża otwarta przestrzeń biurowa. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: „Wydział kryminalny”. Nieco dalej, przede mną, były cztery pokoje przesłuchań. Phillips wskazał pokój oznaczony numerem jeden.

Kiedy otworzył drzwi, na suficie zapaliły się dwie jarzeniówki. Pusty pokój miał surowy wystrój. Białe ściany, ciemnogrnatowy dywan, żadnych okien. Stół i dwa krzesła z obu jego stron. Wszystko przytwierdzone do podłogi. Do połowy wysokości ścian biegła antypaniczna dźwignia, na wypadek gdyby coś poszło źle i jeden z funkcjonariuszy musiał podnieść alarm. Obok drzwi umieszczono interkom i tylko za jego pomocą można było wyjść po zamknięciu się drzwi. Nie zanosilo się na sympatyczną rozmowę, którą obiecał Phillips.

- Chce pan coś do picia? - spytał.

- Czarną kawę.

Skinął głową i zniknął.

Davidson stał w otwartych drzwiach, obserwując, jak siadam. Nie wyglądał na gościa, z którym można sobie uciąć miłą pogawędkę, więc zabębniłem palcami o blat, czekając w milczeniu. Wydawał się wkurzony, co mnie rajcowało. Phillips wrócił po dziesięciu minutach z trzema kubkami. Pociągnął za sobą drzwi, ale sprężyna była stara, więc upłynęły

wieki, zanim zamek się zatrzaskał. Żaden nie drgnął, dopóki nie rozległo się charakterystyczne kliknięcie. Kiedy drzwi się w końcu zamknęły, usłyszeliśmy ciche buczenie. Wtedy obaj usiedli i zaczęli przesłuchanie.

W języku fachowym nazywają to „dobrowolnym uczestnictwem”. Nie byłem aresztowany, więc nie potrzebowałem adwokata. Mogłem wstać i wyjść, kiedy chciałem, ale nawet w takiej sytuacji obowiązywały pewne reguły. Pierwsza nakazywała chronić własny tyłek. Phillips zaczął od podsunięcia mi tekstu oświadczenia, że przyszedłem tu z własnej woli. Przeczytałem i podpisałem dokument. Davidson rozwalił się na krześle, opierając kubek kawy na brzuchu.

- W porządku - powiedział Phillips, kładąc dłonie płasko na stole. - Zaczniemy do ustalenia kilku podstawowych rzeczy, aby nie było żadnych niejasności. Nie jest pan aresztowany, o nic pana nie oskarżamy. Pomaga nam pan w prowadzeniu śledztwa. Nie mamy obowiązku poinformowania prawnika o tej rozmowie, ale jeśli pan chce, może pan do niego zadzwonić.

Spojrzeni na mnie pytająco. Phillipsowi było szczerze obojętne, czy zadzwonię, jakby nie miało to wpływu na opinię, którą sobie wyrobił na mój temat. Natomiast Davidson zachowywał się tak, jakby brał wszystko osobiście. Gdybym wezwał adwokata, natychmiast utwierdziłby się w przekonaniu, że jestem w coś zamieszany.

- Chce pan prawnika, panie Raker?

Pokręciłem głową.

- Nie, niczego mi nie trzeba.

- Świetnie. - Phillips oplótł dłońmi klubek. Z oleistej powierzchni unosiła się para. - Zaczniemy od początku. Co pan robił w tym domu?

- Zajmowałem się sprawą.

Davidson prychnął.

- Jaką sprawą?

Spojrzałem na niego, a później ponownie skierowałem wzrok na Phillipsa.

- Zajmuję się poszukiwaniem zaginionych osób, także dzieci, które zniknęły. Charlie Bryant miał związek ze sprawą, którą obecnie prowadzę.

- W jaki sposób?

- Znał dziewczynę, którą próbuję odnaleźć.

Phillips skinął głową i zaczął obracać obrączkę na palcu. W jego oczach mignął stalowy błysk, jakby wiedział, co nastąpi.

- Kogo pan szuka?

Odczekałem chwilę, spojrzałem między nich i pochyliłem się do przodu.

- Megan Carver.

Davidson prychnął ponownie.

- Pieprzysz pan. - Siedzący obok Phillips ani drgnął. Davidson pochylił się ku mnie, stawiając przed sobą kubek. - Od kiedy?

- Od pięciu dni.

- Czemu przyszli do ciebie?

Wzruszyłem ramionami.

- Rodzice uznali, że policyjne śledztwo utknęło w martwym punkcie. Chyba wiecie o tym lepiej ode mnie.

Davidson zmrużył oczy.

- Jak to?

- Detektyw nadinspektor Hart urzęduje w pokoju obok. Spytałem go - odpowiedziałem, patrząc na niego.

Krótką pauza.

- Znalazłeś coś? - podjął ponownie Phillips.

- To i owo. Niewiele. Poszedłem śladem Harta i jego zespołu, drogą, którą pokonali w ciągu ostatniego pół roku.

- Co sprawdziłeś?

- Wszystko. Rodzinę, przyjaciół, szkołę.

- Przyszedłeś do domu Bryanta, bo...?

- Bo, jak pan wie, Charlie Bryant chodził z Megan.

I wiedział, że dziewczyna była w ciąży, dodałem w myślach.

Phillips siedział nieruchomo, wpatrując się we mnie uporczywym wzrokiem. Nie wydawał się zaskoczony niczym, co powiedziałem, choć jego partner był podenerwowany i agresywny. Stukał palcami o plastikowy kubek i wiercił się niespokojnie na krześle.

- Sytuacja musiała być poważna - powiedział w końcu Davidson. Spojrzałem na niego, marszcząc brwi. - Wie pan, człowiek nie włamuje się do cudzego domu, jeśli nie robi się gorąco.

- Mówi pan z własnego doświadczenia?

Davidson spąsował. Zauważyłem, że w kąciku ust Phillipsa pojawił się lekki uśmiech.

- Nie zrobiło się gorąco - powiedziałem.

- Dlaczego włamał się pan do ich domu?

- W domu Bryantów nie ma żadnego śladu włamania. Wie pan, że tylne drzwi były otwarte. Jedynie przesadziłem furtkę.

- Wtargnął pan na teren cudzej posesji?

- Co by pan wołał? Żeby dwa ciała leżały tam kolejne dwa tygodnie? Miesiąc? Rok?

- To pana nie usprawiedliwia.

- Tak, ma pan słuszość. Lepiej, żeby tam leżeli, aż pokój zrobiłby się czarny od much. - Sięgnąłem po kawę. - Lepiej, żeby policja nigdy się nie dowiedziała, dlaczego ktoś zamordował siedemnastolatka.

Gęba Davidsona ponownie spłoszyła.

- Dlaczego ktoś miałby zamordować siedemnastoletniego chłopaka? - zapytał Phillips.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Spojrzał mi w oczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Przecież powiedziałem. Prowadzę tę sprawę niecały tydzień.

- I przez tydzień siedział pan na dupie?

Znowu Davidson. Czerwień zaczęła znikać z policzków, ale nadal wyglądał na wkurzonego. Obserwowałem go uważnie. W końcu westchnął, jakby moje milczenie utwierdziło go w tym, co powiedział. Skierował uwagę na kubek z kawą oparty na brzuchu.

- Charlie nie wydawał się kandydatem na ofiarę morderstwa - powiedział Phillips.

- Zgadza się.

- W takim razie czemu ktoś go zabił?

- Nie wiem.

- I jego ojca.

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem.

- Sądzi pan, że te morderstwa mają związek z Megan Carver?

Było jasne, że już sobie odpowiedział. Pomyślałem, że nad śledztwem w sprawie Megan Carver ponownie załopotana czerwona flaga. Mógłbym ich okłamywać, udając, że do domu Bryanta nie zwabiło mnie zniknięcie Megan, ale żaden by w to nie uwierzył. Nie miałem również wątpliwości, że spotkają się z Jamiem Hartem, kiedy tylko wyjdę z komisariatu.

- Nie wiem, czy ta sprawa ma związek ze zniknięciem Megan - powiedziałem w końcu.

Davidson ponownie prychnął.

- Jasne, że nie wiesz.

- Mam coś wymyślić na poczekaniu?

- W porządku - odparł spokojnie Phillips, kładąc dłoń na ramieniu partnera. - Sierzancie Davidson, moglibyście wyjść na pięć minut.

Davidson zmierzył mnie wzrokiem, a następnie wstał i opuścił pokój. Phillips odczekał, aż drzwi klikną, i spojrział na mnie.

- Był pan dziennikarzem, prawda?

Popatrzyłem na niego uważnie i pomyślałem: Teraz rozumiem, dlaczego zaparzenie kawy zajęło ci tyle czasu. Zasięgnął informacji na mój temat. Po zakończeniu ostatniej sprawy przesiedziałem dwa dni na posterunku, udzielając wyjaśnień. Wszystko, co im powiedziałem podczas tych czterdziestu ośmiu godzin, znajdowało się w policyjnej bazie danych. Miał informacje o mnie, mojej karierze i sprawach, które prowadziłem.

- Czemu zmienił pan zawód?

Wzruszyłem ramionami.

- A czemu nie?

- Praca dziennikarza przestała pana bawić?

- Cieszyła mnie, dopóki żona nie zachorowała na raka.

- Nadal z panem jest?

Pokręciłem głową.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział cicho. Odczekał chwilę, a następnie ponownie oparł dłonie na stole. - Wie pan, że śledztwo w sprawie zniknięcia Carver nadal trwa, prawda? Spodziewam się, że rodzice Megan panu powiedzieli.

- Obawiam się, że to dla nich bez znaczenia.

- Tak?

- Nie udało się odnaleźć Megan, a tylko na tym im zależy.

Nie odpowiedział.

- Proszę posłuchać, nie wiem, jaką grę pan prowadzi... ale nie walczę przeciwko panu. Przeciwko komukolwiek. Próbuję jedynie odnaleźć Megan Carver, tak jak detektyw nadinspektor Hart.

- Czy rozumie pan, że pana obecność komplikuje sytuację?

- W jaki sposób? Hart przestał dzwonić do Carverów, kiedy śledztwo zabrnęło w ślepią uliczkę. Powinien pan porozmawiać z nim, a nie ze mną.

Phillips potarł czoło palcami, jakby próbował przemówić dziecku do rozsądku.

- Widzisz, Davidzie... świadomie czy nieświadomie... znalazłeś się w bardzo niepożądanym miejscu.

- O czym pan mówi?

- Powinieneś zrezygnować z prowadzenia sprawy Megan Carver.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

Westchnął ciężko.

- Proszę cię o przysługę.

- Przysługę? - Wyprostowałem się i spojrzałem na niego. Wpatrywał się we mnie ciemnymi, skupionymi oczami. - Wpadliście na jakiś trop?

- Nie mogę o tym mówić.

- Nie zrezygnuję z prowadzenia sprawy tylko dlatego, że człowiek, którego poznałem przed godziną, poprosił mnie o przysługę. Czy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy ktoś z was pofatygował się, by porozmawiać z Carverami?

- Oczywiście.

- Nie miałem na myśli telefonu z informacją, że w śledztwie nie pojawiło się nic nowego. Może byście do nich wpadli i zobaczyli, w jakim są stanie. Czekali cztery miesiące na to, żeby Hart odnalazł ich córkę, i dwa kolejne, by w ogóle zadzwonił telefon. Jeśli macie nowy trop, powinniście podjąć działania.

- Chce nas pan uczyć, jak wykonywać policyjną robotę?

- Nie, przypominam jedynie, że macie do czynienia z ludzkimi uczuciami. Musicie dać im coś, czego mogliby się uchwycić. Zwrócili się do mnie, bo pragnęli, aby sprawa posunęła się naprzód. Chcieli wiedzieć, że odnalezienie córki jest coraz bliższe, nawet gdyby było inaczej. Powinniście podzielić się z nimi tym, co wiecie.

Uśmiechnął się.

- To nie takie proste.

- Nic nie jest proste - odrzekłem. - Czy pojawił się jakiś nowy trop?

- Śledztwo nadal jest w toku.

- Może mógłbym pomóc?

- Nie sądzę.

- Skąd pan wie?

- Wiem, i już! - powiedział, a jego głos pierwszy raz zakipiał ze złości. - Powiem wprost, Davidzie. Chcę, żebyś zrezygnował z tej sprawy. Jedynym powodem, który mogę podać, jest to, że wścibiając nos, narażasz na szwank równoległe śledztwo.

- Prowadzicie inną sprawę związaną z zniknięciem Megan?

Pochylił się w moją stronę.

- Wiem, do czego zmierzasz, Davidzie, ale jest inaczej, niż sądzisz.

- Zaginęła kolejna osoba?

- Nie.

- W takim razie co się stało? - Nie odpowiedział, więc westchnąłem do siebie. - Może powinien pan odświeżyć swoją wiedzę z dziedziny prowadzenia negocjacji, detektywie nadinspektorze Phillips. Wszyscy musimy zarabiać na życie.

- Ostrzegam, że to się źle skończy, Davidzie.

- Czy to groźba?

- Nie - odrzekł Phillips, spoglądając na mnie wzrokiem niewiniątka. - Nie grozimy ludziom, przecież jesteście policjantami. Policjanci reagują na groźby. Mówię ci tylko, że jeśli wejdiesz nam w paradę, nie zawahamy się odsunąć cię na bok.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

Wstał.

- Ułatwię ci sprawę, dobrze? Charles Bryant i jego ojciec są objęci śledztwem w sprawie morderstwa. Jeśli chcesz, możesz dorzucić do tego psa. Mam to gdzieś. Powiem wprost, niech ci nie przyjdzie do głowy zajmować się morderstwem Bryanta. Nie zbliżaj się do nas w żadnej sprawie mającej związek ze zniknięciem Carver, nawet jeśli zazębi się z dochodzeniem prowadzonym w sprawie Bryantów. Zrozumiałeś?

Siedziałem bez ruchu, patrząc mu w oczy.

- Twoja sprawa... - Pokręcił głową. - Zbadaliśmy wszystkie wątki, nad którymi pracowałeś. Zrobiliśmy to lepiej, dysponując większą liczbą ludzi i większym doświadczeniem.

Nie znaleźliśmy niczego. Nie oznacza to, że sprawa jest zamknięta. Oznacza jedynie, że podchodzimy do niej pod innym kątem. Jak powiedziałem, jeśli wejdiesz nam w drogę...

Uśmiechnąłem się do niego.

- Zatem macie nowy trop?

Wzruszył ramionami.

- Zastanów się nad tym, co powiedziałem. Nie mogę ci powiedzieć nic więcej, ale zapewniam, że zabawa w detektywa może cię słono kosztować.

Utkwił we mnie wzrok, gdy próbowałem odgadnąć, co ukrywa. Później odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Po pięciu minutach oczekiwania drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem nie był to Phillips ani Davidson, ale inny mężczyzna - czterdziestokilkuletni, mający co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, szeroki w ramionach. Efekt psuło piętnaście kilogramów nadwagi, potargana ruda czupryna i plamy na skórze. Wyglądał tak, jakby nie spał od miesięcy. Kiedyś mógł być przystojnym facetem, ale coś tak go sponiewierało, że zamienił się w cień człowieka.

W jednej dłoni trzymał kubek kawy. Z kieszeni kurtki sterczał mały kołnotatnik z wetkniętym długopisem. Zatrzymał drzwi w odległości pięciu centymetrów od futryny i zablokował, kładąc kołnotatnik na podłodze. Następnie podszedł i usiadł naprzeciw mnie.

- Pan Raker?

Skinąłem głową.

- Jestem Colm Healy.

Pomyślałem, że pochodzi z południowej Irlandii. Sącył kawę i co chwilę spoglądał w kierunku wejścia. Notatnik pozostał na miejscu, uniemożliwiając zatrzaśnięcie drzwi. Spojrzałem na niego uważnie. Nie chce korzystać z interkomu, aby wyjść z pokoju, zatem jest leniwy albo nie powinien tu być.

- Jak pan się miewa?

- Jestem na posterunku policji - odparłem. - Czy można sobie wyobrazić coś wspanialszego?

Uśmiechnął się.

- Grzecznie się z panem obeszli?

- Jak w pięciogwiazdkowym hotelu.

- To dobrze. - Kolejne spojrzenie w kierunku drzwi. - Nie zamierzam dłużej pana zatrzymywać. Chciałbym zadać jedynie kilka pytań.

- Pana koledzy już to zrobili.

- Wiem - odpowiedział. - Na pana szczęście mam kilka dodatkowych.

- Dlaczego?

- Co „dlaczego”?

- Dlaczego pan tu jest?

- Jak powiedziałem, mam kilka pytań...

- Pamiętam, co pan powiedział.

Przerwał i zrobił poważną minę. Chwilę później wykrzywił twarz w uśmiechu. Nie był rozbawiony, próbował jedynie zakomunikować, że jest miłym facetem.

- Ostro pan gra, prawda, Raker?

- Gdzie jest Phillips?

- Niech pan zapomni o Phillipsie.

- Nie układa się wam, co?

Healy odsunął kubek i sięgnął do tylnej kieszeni. Wyciągnął swoją policyjną legitymację i położył przede mną. Obok fotografii młodego Healy'ego widniał napis:

DETEKTYW SIERŻANT COLM HEALY

- Pracowałem nad sprawą Megan Carver - oznajmił, ponownie spoglądając w kierunku wejścia. - Dlatego chciałbym, żeby odpowiedział pan na kilka pytań. Przestańmy się wygłupiać i spróbujmy odnaleźć ją razem. - Znowu wykrzywił twarz w swoim najlepszym, pełnym samozadowolenia uśmiechu. - Zgoda?

- Powiedziałem Phillipsowi wszystko, co wiem.

Colm Healy ciężko westchnął.

- Będę z panem szczerzy, panie Raker. Ja i Phillips. - Pochylił się, ścisząc głos do szeptu. - Nie układa się nam najlepiej. Po pięciu minutach spędzonych w jego towarzystwie mam ochotę walnąć pięścią w pieprzoną ścianę. Gość działa mi na nerwy. Nie tylko mnie zalazł tu za skórę. Zachowuje się, jakby miał kij w dupie.

- Przynajmniej w jednej sprawie jesteśmy zgodni.

- Sądzi pan, że Megan Carver jeszcze żyje?

Spojrzałem na Healy'ego. W jego głosie wyczułem lekką rozpacz. Przysunąłem się bliżej i poczułem zapach wody po goleniu na kołnierzyku koszuli oraz aromat kawy w oddechu.

- Panie Raker?

- Nie mam pojęcia.

Zmrużył oczy.

- Nie ma pan pojęcia czy nie chce powiedzieć?

- Nie mam pojęcia.

Ponownie rzucił okiem w stronę drzwi.

- Może będziemy mogli sobie pomóc.

- Jak?

- Podrapie mnie pan po jajach, a ja zrobię to samo. Uśmiechnąłem się. Nie przypadł

mi do gustu pomysł, żeby jakiś facet drapał mnie po jajach, ale byłem zaintrygowany jego propozycją. Pięć minut temu Phillips ostrzegł mnie, abym nie zajmował się sprawą Megan Carver, a teraz zjawił się kolejny glina z propozycją, że mi pomoże, jeśli się spotkamy w pół drogi.

- To jak będzie... zatańczymy? - zapytał.

Nie odpowiedziałem.

Healy ponownie zmrużył oczy, jakby starał się odgadnąć moje zamiary.

- Czuję się rozczarowany. - Wstał. - Mógłbym panu pomóc.

- Nawet pana nie znam.

- Nie musi pan mnie znać - odpowiedział. - Nie musimy działać razem. Pan powie nam, co wie, a ja podzielę się naszą wiedzą. Później każdy pójdzie swoją drogą.

- Dlaczego?

- Już panu powiedziałem.

- Nie, nic pan nie powiedział. Powiedział pan, że pracował nad sprawą Carver, ale obaj wiemy, że to nieprawda. - Skinąłem głową w stronę kołonotatnika blokującego drzwi. - Obaj wiemy, że nie powinno tu pana być.

Popatrzyliśmy na siebie wojowniczo. Po chwili facet wzruszył ramionami i wstał, zbierając się do wyjścia. Daj mu coś, pomyślałem. Zobacz, o co mu chodzi.

- Niech pan zaczeka.

Odwrócił się w moją stronę. Sięgnąłem do kieszeni kurtki i wyjąłem złożoną fotografię faceta z Tiko. Położyłem ją na stole i odwróciłem tak, żeby Healy mógł ją zobaczyć.

- Chce mi pan pomóc?

Podszedł do stołu i skinął głową.

- Proszę mi powiedzieć, co to za jeden.

Podniósł fotografię i przesunął wzrokiem od lewej do prawej, starając się objąć nie tylko twarz, ale także miejsce, w którym wykonano zdjęcie. Jednak oprócz rysów twarzy nieznanego niewiele można było zobaczyć. Wykadrowałem fotografię tak ciasno, jak się dało. Kaitlin rozpoznała miejsce jako klub Tiko, ale Healy nie był w stanie tego zrobić.

- Co to za jeden? - spytał.

- Nie trafiliście na jego ślad podczas śledztwa w sprawie zaginięcia Megan Carver?

Healy zamrugał oczami i zmarszczył brwi.

- Czemu mielibyśmy trafić na jego ślad?

Dziwna odpowiedź. Odchyliłem się na krześle.

- Nie wiem - odparłem. - A czemu nie?

- Wie pan, kim on jest?

- Nie, a pan?

Nie odpowiedział.

- Wie pan?

Odłożył zdjęcie na stół.

- Chcesz mojej rady, Davidzie? - zapytał, ignorując pytanie i zwracając się do mnie po imieniu.

- Niekoniecznie.

- Mimo to ci jej udzielę. - Pociągnął ostatni łyk kawy i skinął głową w kierunku zdjęcia. - Powinieneś poświęcać mniej czasu na czytanie książek, a więcej na poszukiwania Megan Carver.

- O czym pan mówi, do licha?

- Ten kutas. - powiedział Healy, wgniatając palcem twarz mężczyzny na fotografii. - Jak ten kutas ma ci w tym pomóc?

- O co panu chodzi?

Spojrzał na mnie, jakby nie wiedział, czy żartuję, czy mówię serio.

- A jak ci się zdaje? Ten gość na zdjęciu... jak on ma ci pomóc w odnalezieniu Megan, skoro od stu lat leży w pieprzonej ziemi?

Spojrzałem na Healy'ego z drugiego końca izby przesłuchań.

- O czym pan mówi, do diabła?

Rzucił okiem w kierunku drzwi, a następnie przeniósł wzrok na leżącą przede mną fotografię.

- Nie słyszał pan o Miltonie Sykesie?

Zmarszczyłem brwi.

- Tym seryjnym zabójcy?

- Tak. To stare dzieje. Ponad sto lat temu facet porywał i zabijał trzynastoletnie dziewczęta. Zakopał je tak dobrze, że do dziś ich nie odnaleziono. Z satysfakcją przyznał, że je zamordował, ale nie zdradził policji, gdzie ukrył zwłoki. Pewnie uważał się za Kubę Rozpruwacza... wszystko wydawało się osnute tajemnicą... ale w rzeczywistości gość był popieprzonym dupkiem.

Spojrzałem na zdjęcie.

- Co z tego?

- Człowiek, który dał panu to zdjęcie, zadrwił z pana.

- To nie jest Milton Sykes.

- Wygląda dokładnie tak jak on.

- To nie Sykes.

- Właśnie że Sykes. Niech pan otworzy oczy.

Pokręciłem głową. Byłem bliski wykrzyknięcia mu prawdy w twarz, ale uznałem, że pewnie i tak by niczego nie zrozumiał.

- Mówię panu, że to nie jest Milton Sykes.

- Proszę się pogodzić z faktami. Ktoś zrobił pana w konia.

- To kadr z nagrania wideo wykonanego sześć miesięcy temu.

Zbliżył się ponownie, przynosząc ze sobą zapach wody po goleniu i aromat kawy. Rzucił okiem na zdjęcie, jakby z satysfakcją stwierdzał, że ma rację, a następnie wzruszył ramionami.

- Posłuchaj pan. Możesz pan wierzyć, w co zechcesz. Mam gdzieś, kim on jest. Tak czy siak, w niczym mi nie pomoże.

- A co panu pomoże?

- Co?

- Pana nie interesuje Megan. O co panu chodzi?

Stanął w drzwiach, oplatając je palcami. Uchylił je nieco szerzej i wyrzał na korytarz. Kiedy upewnił się, że nikt nie nadchodzi, odwrócił się ku mnie. Rzucił okiem na fotografię i bez słowa podniósł kołnотatnik.

- Daj spokój, Healy.

Przy drzwiach zatrzymali się dwaj umundurowani policjanci, rozmawiając ze sobą. Skinęli mu głową, zanim pożegnali się ze sobą i zniknęli z pola widzenia.

- Mam powody - odpowiedział i odszedł.

□ □ □

Kiedy skończyliśmy, kazali mi zaczekać przed biurem CID. Przez uchylone drzwi widziałem Phillipsa i Davidsona stojących w tylnej części sali. Rozmawiali z jakimś mężczyzną przy ścianie pełnej fotografii. Rozpoznałem nadinspektora Jamiego Harta po zdjęciach, które widziałem w gazetach.

Był chudy i wymizerowany, o krótko przystrzyżonych jasnych włosach. Miał zmęczony wygląd człowieka, który większość życia spędził w murach posterunku policji. Jednak jego oczy były inne: szybkie i przenikliwe, żywe, popatrujące co chwila w moją stronę, kiedy siedzący na krawędzi biurka Phillips coś do niego mówił.

Czekając na Jamiego Harta, przyjrzałem się ścianom CID: zdjęciom zbyt małym, aby można było dostrzec szczegóły; mapie miasta z wbitymi pinezkami, wykonanym markerem napisom oraz rzędowi samoprzylepnych karteczek z numerami: 2119, 8110, 44, 127, 410, 3111, 34. Coś obok nich zwróciło moją uwagę. Powiększona czarno-biała fotografia Megan. Było to zdjęcie, które znalazłem na karcie w jej aparacie cyfrowym. Zdjęcie Megan na tle blokowiska. Co o niej wiedzieli?

Spojrzałem na Phillipsa i Harta, a następnie wyjąłem komórkę. Najlepsze w dobrowolnym udziale w śledztwie było to, że nie musiałem oddawać przedmiotów osobistych. Podniosłem telefon tak, jakbym wpisywał wiadomość tekstową, a następnie szybko przełączyłem urządzenie na tryb aparatu fotograficznego, wykonałem zbliżenie i zrobiłem najlepsze zdjęcie ściany, jakie mogłem. Wyszło rozmazane i w połowie oświetlone, ale powinno wystarczyć.

Kilka sekund później Phillips ruszył w moją stronę, prowadząc ze sobą Harta.

- Davidzie - powiedział, gdy do mnie podszedł. - To nadinspektor Hart.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Odegrałem przedstawienie, udając, że wysyłam wiadomość, a następnie przyjrzałem się bliżej Hartowi. Wtedy coś mnie uderzyło: Hart

i Phillips byli nadinspektorami, a mimo to pracowali na tym samym posterunku. W tym samym wydziale. Zwykle był jeden oficer dowodzący oraz kilku sierżantów i posterunkowych. W tym przypadku równowaga wydawała się zachwiana. Maksimum dziesięciu funkcjonariuszy, z czego dwóch w stopniu nadinspektora. Nie widziałem jeszcze tylu szyc w jednym miejscu.

- Powiedziano mi, że pracuje pan nad tą samą sprawą co ja - zaczął Hart, przerywając mój tok myślenia. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Nie znałem go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, czy był szczerzy, ale jakoś w to wątpiłem.

- Tak, na to wygląda.

- Sądzi pan, że ten dzieciak, Bryant, został zamordowany, bo znał Megan? - spytał prosto z mostu.

- Wątpię - skłamałem.

- Jakie są pańskie domniemania?

- Charlie Bryant miał trudny rok. Z tego, co wiem, nie spędzał zbyt wiele czasu w szkole, więc musiał bywać gdzie indziej.

- I?

- Może wpadł w złe towarzystwo.

- Jego ojciec również?

Uśmiechnąłem się do Harta. Facet próbował mnie zapędzić w kozi róg. Nie chciałem mu na to pozwolić, więc wzruszyłem ramionami i nie odpowiedziałem.

- Tam, gdzie mieszkał Charlie Bryant, złe towarzystwo oznacza drobne kradzieże, akty wandalizmu i alkoholizm nieletnich - podjął Phillips. - Ale nie pakowanie człowiekowi dwudziestocentymetrowego ostrza w klatkę piersiową. Nie sądzi pan?

Dla efektu ponownie wzruszyłem ramionami, choć wiedziałem, że Phillips miał rację. Charlie Bryant nie pochodził ze złej części miasta. Nie mieszkał nawet w dobrej części miasta. Północna część Londynu, w której mieszkali Bryantowie, zaliczała się do zamożnych i bezpiecznych. Przy ich ulicy za przestępstwo uznawano rzucanie przekleństw pod adresem starszych pań. Mimo to podjąłem dyskusję.

- Upłynęło trochę czasu, od kiedy byliśmy nastolatkami, nadinspektorze Phillips. Stare dobre czasy minęły. Wystarczy zostawić otwarte tylne drzwi, aby nie mieć do czego wracać.

Phillips przyjrzał mi się uważnie. Skupiony wzrok wskazywał, że gorączkowo myśli. Nie wyglądał na przekonanego, więc postanowiłem bacznie go obserwować. Był znowu aktywny i czujny, co czyniło go niebezpiecznym.

- Czy mogę już iść, skoro skończyliśmy? - spytałem.

- Tak - odpowiedział, a następnie wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją. - Pamiętaj, że zabójstwo Bryantów to sprawa policji, Davidzie. To znaczy, że policja prowadzi śledztwo i że nie chcemy, aby ktokolwiek wchodził nam w drogę. Dodam, że absolutnie, na sto procent, nie podzielimy się żadnymi informacjami, dopóki nie będziemy na to gotowi.

Skinąłem głową.

- To mi wygląda na jakiś plan.

- Właśnie - odrzekł, a następnie wskazał przez ramię wnętrze biura. Davidson siedział przy biurku, obserwując nas z wyrazem twarzy pitbula. - Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Wszystkim nam zależy na tym samym. Wszyscy chcemy ustalić, dlaczego Charles Bryant został zamordowany w taki sposób, i wszyscy pragniemy odnaleźć Megan.

Nagle dostrzegłem Healy'ego z nowym kubkiem kawy w łapsku. Spojrzał w naszą stronę, zatrzymał się na chwilę, a następnie zszedł z pola widzenia.

Tak, wszyscy chcemy ją odnaleźć, pomyślałem. Tylko niektórzy bardziej od innych.

Phillips kazał jednemu z podwładnych odwieźć mnie do samochodu, który zostawiłem przed domem Bryantów. Umundurowany funkcjonariusz nadal stał przed bramą, drugi był na podjeździe, a w salonie paliło się światło. Policyjna taśma lśniła w świetle ulicznych latarni.

W drodze do domu włączyłem zestaw głośnomówiący i wykonałem kilka telefonów. Najpierw zadzwoniłem do Liz. Był piątkowy wieczór, a my mieliśmy iść do nowej włoskiej restauracji, którą jeden z jej klientów otworzył w Acton. Potwierdziłem, że zaproszenie jest aktualne, ale muszę nadgonić robotę i trzeba będzie zmienić rezerwację na ósmą trzydzieści. Zgodziła się. Kiedy skończyłem rozmowę i o tym pomyślałem, poczułem coś w żołądku. Podniecenie? Wątpliwości? A może jedno i drugie?

Stojąc w korku, sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjąłem fotografię faceta z Tiko i zacząłem analizować rysy jego twarzy: linie i wydatne brwi rysujące się niczym półka nad parą smolistych czarnych oczu. To nie był Sykes. Milton Sykes od dawna nie żył, ale podobieństwo było tak duże, że Healy uwierzył, że to on. Postanowiłem, że po powrocie do domu dowiem się czegoś więcej o Sykesie - jego ofiarach, zbrodniach i historii - ale już teraz mogłem przystąpić do wypełniania luk.

Sięgnąłem po telefon i otworzyłem listę kontaktów i przewinałem do litery T.

Terry Dooley.

Dooley był moim dawnym informatorem, z którego usług korzystałem, gdy pracowałem w gazecie. Mało brakowało, a jego kariera byłaby skończona, bo dowiedziałem się, że wraz z trzema detektywami spędzili kilka godzin w nielegalnym burdelu w południowej części Londynu. Zaoferowałem mu ocalenie stołka i rodziny w zamian za informacje, których potrzebowałem. Zgodził się niechętnie, zdając sobie sprawę, że taka wymiana będzie dla niego korzystna. Dooley przechwalał się i udawał chojraka, ale żałował tego, co zrobił. Jediną rzeczą, na której zależało mu bardziej od roboty, były dzieci, a myśl o tym, że po rozwodzie mógłby je widywać raz w tygodniu, była dla niego bardziej przerażająca niż jakiekolwiek miejsce zbrodni.

- Wspaniały wieczór, prawda? - powiedział, kiedy się przedstawiłem.

- Jak leci, Dools?

- Cudownie, od kiedy się odezwałeś, Davey. Czego chcesz tym razem? Umyć ci wóz?

Ostatnio zadzwoniłem do niego, gdy ukradziono mi wypożyczony samochód. Dooley od piętnastu lat nie zajmował się drobnymi przestępstwami. Pracował w wydziale zabójstw.

- Nic takiego, Dools, chociaż przydałoby się odmalowanie kuchni.

Dooley wydał z siebie ciężkie westchnienie.

- Zabawne.

- Nie zajmie ci to dużo czasu. - Spojrzałem na zdjęcie gościa z klubu. - Znasz kogoś z zespołu prowadzącego śledztwo w sprawie zaginięcia Megan Carver?

- Megan Carver? - Przerwał na chwilę. - Nie. To głównie ludzie z posterunków północnego Londynu i okolic.

- Jak to?

- Komendant główny policji chciał, aby wyglądało, że działamy lokalnie. Wiesz, żeby jej rodzina i opinia publiczna myślały, że jesteśmy obecni na linii frontu, że zadajemy właściwe pytania właściwym ludziom. W gazetach lepiej wygląda, gdy sprawę prowadzą lokalne zespoły.

- Ale to był kit?

Dooley prychnął.

- A jak sądzisz? Znam kilku z nich, ale niezbyt dobrze. Widywałem Harta. Facet pracował z jednym z moich ludzi w komendzie operacyjnej londyńskiej policji. Nazywali go Skel. Szkielet. Widziałeś go?

- Tak. Faktycznie chudy.

- Chudy? - Dooley zarechotał. - Nie ufam nikomu, kto wygląda tak, jakby właśnie wypełził na pieprzoną ziemię.

- Znasz kogoś jeszcze?

- Tak, Eddiego Davidsona. Razem awansowaliśmy, ale od kilku lat nie widziałem Burger Kinga. Innych znam... ale tylko ze słyszenia. Mają tam też jakiegoś Szkota, który wystrzelił w górę jak rakieta.

- Phillips?

- Tak, to on.

- Czemu on i Hart pracują na tym samym posterunku?

- O co ci chodzi?

- Ano o to, że facet jest nadinspektorem, podobnie jak Hart. Dwóch nadinspektorów prowadzi mały zespół złożony z ośmiu detektywów. Nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkałem, a ty?

- Rzeczywiście.

- Co o tym sądzisz?

- Co sądzę? Na moje oko to wygląda na bilet w jedną stronę. Na wielkie gówniane

widowisko z polityką w tle i konfliktami osobowości. Wiesz, kto jest SIO¹? Kto ustala zasady polityki?

Starszy oficer śledczy prowadzi dochodzenie i odpowiada za określenie zasad polityki, zestawu reguł specyficznych dla każdej sprawy, które określają, w jaki sposób członkowie zespołu śledczego mają odgrywać swoje role, wypełniać obowiązki, korzystać z systemu komputerowego HOLMES i kontaktować się z mediami. Dooley miał słuszość: kto podejmował decyzje, skoro śledztwo prowadziło dwóch oficerów tego samego stopnia? Coś tu nie pasowało. Trzeba było tylko ustalić co.

- Mogę już odejść? - spytał Dooley.

- Słyszałeś o facecie nazwiskiem Healy?

- O Colmie Healym?

- Tak. Znasz gościa?

- Jasne, Colma znają wszyscy. Kiedyś był dobrym gliną. Jakiś czas pracowaliśmy razem w wydziale zabójstw. Miał węch niczym chart.

- Nie jest już taki dobry jak kiedyś?

- Miał... - Dooley przerwał na chwilę. - Miał problemy natury osobistej.

- Jakie?

- Żona go rzuciła, dzieci szczerze znieawidziły. Cały rok borykał się z tym bez powodzenia. Później musiał wziąć miesiąc zwolnienia, a gdy wrócił, był połową dawnego Colma, za to dwukrotnie przybrał na wadze. Kiedy go ostatnio widziałem, wyglądał jak sterowiec firmy Goodyear.

- Czemu żona od niego odeszła?

- Bo spędzał większość czasu na tropieniu zabójców. Znalazła sobie innego faceta, a gdy Colm się o tym dowiedział, wpadł w szal.

- Co zrobił?

- Walnął ją tak mocno, że straciła przytomność. Osiem tygodni musiała chodzić w kołnierzu ortopedycznym. Dzieci były już do niego wrogo nastawione, więc nie zyskał w ten sposób ich sympatii. O ile pamiętam, mieli trójkę dzieci, dwóch chłopaków i jedną dziewczynę. Ta mała urządziła mu w końcu wielką awanturę. Powiedziała, że nie jest w stanie przebywać z nim w jednym pokoju. Kilka dni później po prostu się wyniosła.

- Jak to, wyniosła?

- Zniknęła.

- Jak to, zniknęła?

- Rozpłynęła się w powietrzu.

- Naprawdę?

- Tak, nie żartuję.

Przerwałem na chwilę. Córka Healy'ego zniknęła podobnie jak Megan. Dlatego był taki zainteresowany. Może podejrzewał, że zniknięcie obu dziewczyn coś łączyło. Albo już odnalazł związek.

- Czy została zarejestrowana jako osoba zaginiona?

- Czemu pytasz? Liczysz, że uda ci się zarobić trochę grosza? - Dooley zarechotał z własnego żartu. - Tak, Healy i jego była dali wtedy ostatni wspólny występ. Próbowali ją odnaleźć. Na parę tygodni Healy ściągnął do pomocy kilku ludzi z policji metropolitalnej, ale nic nie wskórali. Kiedy niczego nie znaleźli, szefowie przesunęli ich do innej roboty.

- Mógłbyś mi przesłać plik z listą zaginionych osób?

- Tak, gdybym chciał zostać ograbiony.

Nic, tylko przechwałki i pozory. Dooley postępował tak, żeby mieć poczucie, że nadal panuje nad sytuacją.

- Prześlij ją na moje konto na Yahoo.

Tym razem jedyną odpowiedzią było milczenie.

W mroku nocy mrugnęły światła stopu, by po chwili zniknąć. Ruszyłem kilka metrów do przodu.

- To wszystko? - zapytał Dooley.

- Jeszcze jedno.

- Przecież jest piątek wieczór.

- Nie spóźnisz się do dyskoteki, Dools. Obiecuję. Co wiesz o Miltonie Sykesie?

- Sykesie?

- Tak.

- Nie wiedziałem, że grzebiesz w starych sprawach, Davey. Zwolniłeś tempo. Kto o niego pyta?

- Facet mnie intryguje.

- Słyszałeś o internecie?

- Tak, ktoś mi o tym wspominał.

- Wpisz nazwisko w Google'u. Dostaniesz trylion trafień.

- Coś, czego nie ujawniono opinii publicznej?

- Wiem, że na to wyglądam - odrzekł Dooley - ale nie jestem taki stary. Skąd, u licha, miałbym wiedzieć? Kiedy Sykes grasował na wolności, ludzie porozumiewali się za pomocą znaków dymnych.

- Daj spokój, Dools. Wiem, jak to działa. Policjanci przekazują sobie wiedzę z pokolenia na pokolenie, jak sekrety rodzinne. Wy, weterani, lubicie gadać o tym, co można było zrobić inaczej.

Dooley zamilkł, by po chwili głęboko westchnąć.

- Co chcesz wiedzieć?

- Mieliście do czynienia z mordercami, którzy go naśladowali?

- Znasz kogoś, kto łązi po mieście i udaje Sykesa? - spytał po krótkiej przerwie.

- Nie, tylko pytam.

- Nie.

- Żadnych naśladowców?

- Nie. Facet należy do starej szkoły. Większość ludzi poniżej czterdziestki nigdy o nim nie słyszała. Sykes to postać z opowieści naszych dziadków. Kiedy ich pokolenie odejdzie, nikt nie będzie pamiętał, czego dokonał.

- Opowiedz o nim.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

Połączenie na chwilę osłabło, jakby Dools się poruszał. Kiedy podjął rozmowę na nowo, jego głos zamienił się w szept:

- W porządku. Chcesz usłyszeć moją teorię?

- Tak, dlatego do ciebie zadzwoniłem.

Kolejna pauza.

- Zakopał swoje ofiary w lesie.

Głos ponownie odpłynął. Dools szedł w ustronne miejsce, żeby nikt nie mógł go usłyszeć. Sięgnął do zestawu głośnomówiącego i nastawił dźwięk na cały regulator.

- Wystarczy, jeśli przedstawiś mi skróconą wersję.

- Skrócona wersja będzie taka sama jak pełna. Facet od początku był popieprzony. Ojciec dał chodu, gdy tylko zapiął rozporek, a matka zmarła na suchoty dwa miesiące po urodzeniu małego Milтона. Sykes zamieszkał u swojej psychopatycznej ciotki i wuja. Baba była z piekła rodem, a jej mąż pił i używał przemocy. Cudownych szesnaście lat tęgiego grzmocenia i zamykania w ciemnej komórce. Jak się pewnie domyślasz, szkoła szybko poszła w odstawkę, a mały Milton zajął się zabijaniem zwierząt. Był dziwakiem i odludkiem, z którym nikt nie rozmawiał i którego nikt nie lubił.

- Co się stało, gdy wyprowadził się z domu?

- Znalazł robotę w farbiarni niedaleko doków East India. Później zaczęły znikać

kobiety. Uważasz, że my kiepsko pracujemy. Tamtejsza policja przez sześć lat niczego nie zauważyła.

- Jak to?

- Wszystkie kobiety były imigrantkami z Indii zatrudnionymi w miejscowych zakładach włókienniczych. Rodziny zawiadomiły o ich zaginięciu, ale słabo znały angielski albo nie znały go w ogóle. Po ujęciu Sykesa policja tłumaczyła się, że nie mogli zrozumieć, co im mówiono. Prawda jest taka, że mieli to gdzieś.

- Jak go złapano?

- Przestał zabijać Hinduski.

- Przerzucił się na białe?

- Tak. Dziewczyna nazywała się Jenny Truman. Dziewiętnaście lat. Jasne włosy, błękitne oczy. Któregoś ranka wyszła do fabryki i więcej nie wróciła.

- Skąd ta zmiana?

- Sykes był sprytny. Wiedział, że policja nie będzie szukała zaginionych Hindusek, więc grał bezpiecznie. Jednak po pewnym czasie nie mógł się powstrzymać i załatwił tę Truman. Dopiero wtedy policja potraktowała sprawę serio. W końcu dotarli do kilku świadków, którzy widzieli ją w towarzystwie faceta odpowiadającego rysopisowi Sykesa. W ten sposób trafili do jego mieszkania przy Forham Avenue. Wiesz, gdzie to jest?

- Nie.

- Nie wiesz, bo zburzyli wszystkie domy w okolicy i zbudowali dzielnicę przemysłową tam, gdzie kiedyś była droga. To na skraju las Hark's Hill. Teraz są tam zarośnięte opuszczone fabryki wschodniego Londynu. Kiedy policja zjawiała się w chacie Sykesa, ten przeprosił ich na chwilę, wyszedł do toalety w tylnej części ogrodu i dał drapak. Zniknął w lesie.

- Dopadli go?

- Nie. Zgubili trop, ale przeszukali jego dom. W kuchennym schowku znaleźli łopatę i zakrwawioną sukienkę należącą do Jenny Truman. Trzy dni później Sykes zgłosił się na posterunek policji w Camberwell.

- Dlaczego?

- Powiedział, że zmęczyło go uciekanie.

- Nigdy nie odnaleziono ciała?

- Nie - odparł Dooley. - Kiedy go powieszono w tysiąc dziewięćset szóstym roku, policja jeszcze raz przeszukała las, ale niczego nie znalazła, podobnie jak wcześniej. Sykes musiał je tam zakopać.

- Czemu tak sądzisz?

- Facet znał las jak ja drogę do baru. Uciekał tam jako dziecko przed swoją popieprzoną rodziną. Podczas przesłuchań na policji opowiadał o pewnym miejscu. Okoliczni ludzie nazywali je Drzewem Wisielca. Rósł tam dziwny dąb w kształcie litery T. Sękaty i pokręcony, przypominał gigantyczną szubienicę. Większość ludzi się go bała, ale nie mały Milton. Tak uwielbiał to miejsce, że zbudował sobie domek na drzewie. Byłeś tam kiedy?

- W Hark's Hill? Nie.

- To dziwne miejsce. Ma w sobie coś... - Dooley przerwał, by po chwili jeszcze bardziej ściszyć głos. - Upiorną atmosferę...

Uśmiechnąłem się.

- Zostałeś medium?

- Możesz się śmiać. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj ludzi, którzy w latach dwudziestych mieli tam zbudować linię kolejową.

- Jak to?

- W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku lokalne władze postanowiły zbudować linię kolejową łączącą zakłady rejonu Hark's Hill z główną magistralą przebiegającą po drugiej stronie lasu. Wysłali ekipę robotników, żeby wykarczować las i przygotować nasyp pod tory, ale... - Dooley przerwał ponownie. - Ale ci się wystraszyli.

- Wystraszyli?!

- Cały czas widzieli i słyszeli dziwne głosy.

- Jakie?

- Nikt nie był do końca pewien, ale wystarczyło, żeby narobili w gacie ze strachu. Całe przedsięwzięcie trwało cztery tygodnie. W końcu robotnicy powiedzieli: basta.

- Rzucili robotę?

- Jak powiedziałem, to miejsce... - Dooley wstrzymał oddech. - Kiedy pierwszy raz o tym usłyszałem, myślałem, że padnę ze śmiechu. Wybierz się tam kiedyś.

- Mówisz serio?

- Pojedź tam - powiedział śmiertelnie poważnym głosem. - Znasz mnie przecież. Jedyną rzeczą, w którą wierzę, jest piwo w piątkowy wieczór. Jeśli człowiek naogląda się miejsc zbrodni, zaczyna wyczuwać życie i śmierć. Czasami...

- Co?

- Od piętnastu lat pracuję w wydziale zabójstw. Czasami człowiek... no wiesz, stoi nad ciałem w dole i po prostu czuje, że to miejsce jest złe. Inaczej nie potrafię tego opisać.

Zaczynasz wyczuwać atmosferę takich miejsc. Dostrajasz się do otoczenia. Sądzę, że Sykes zakopał te kobiety w lesie. Czuję to, gdy tam poszedłem. To miejsce... jest z nim coś poważnie nie tak.

Po powrocie do domu sprawdziłem wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce, a następnie włączyłem telewizor. Reporterka stała nieopodal Royal Docks, na tle Tamizy. Na pasku u dołu ekranu przesuwiał się napis:

LONDYŃSKA POLICJA: KOBIETA WYŁOWIONA Z TAMIZY

POWRÓCIŁA DO RODZINY. BLISCY POPROSIŁI, ŻEBY NIE

UJAWNIAĆ NAZWISK I INNYCH SZCZEGÓLÓW PRASIE.

Przypomniałem sobie, że ta sama reporterka relacjonowała sprawę kilka dni wcześniej, gdy byłem w kawiarni niedaleko szkoły średniej w Newcross. Nie znałem tej historii, ale wiedziałem, że gdyby miała potencjał, nie zostałaby umieszczona na końcu nadawanych co godzinę wiadomości.

Po wzięciu prysznicza zajrzałem do szafy. Wyciągnąłem koszulę i spodnie oraz parę butów, których nie nosiłem od czasu pogrzebu Derryn. Później przycupnąłem na skraju łóżka i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Poczułem znajome motylki w żołądku. Ogarnęła mnie fala wątpliwości, winy i lęku.

Za wcześnie, pomyślałem.

Później zdałem sobie sprawę, że dopóki tego nie zrobię, zawsze będzie za wcześnie.

□ □ □

Dziesięć minut później Liz otworzyła mi drzwi. Wyglądała cudownie. Miała na sobie czarną sukienkę bez pleców, która podążała śladem jej ciała aż do połowy łydek. Jej włosy były zakręcone na końcach, opadały falami na ramiona. Zrobiła sobie dyskretny makijaż, a jej ciemne wesołe oczy mierzyły mnie od stóp po głowę.

- O rany! - wykrzyknąłem.

- Dziękuję. - Żartobliwie zamrugła powiekami i sięgnęła po długi czarny płaszcz leżący na jednej z kanap. - Ty też nieźle się prezentujesz.

Popatrzyłem na siebie. Włożyłem czarną koszulę zapinaną na guziki, eleganckie dżinsy i długą czarną drogą marynarkę od Armaniego, którą kupiłem w lśniącym centrum handlowym w Dubaju, gdy bawiłem tam tydzień, pracując dla gazety. Prezentowała się

wspaniale na wieszaku i jeszcze lepiej na grzbiecie, choć wywarła zły wpływ na stan mojego konta. Od tego czasu miałem ją na sobie trzy razy, przerażony, że kontakt ze świeżym powietrzem może spowodować nieodwracalne szkody.

- Czuję się nie dość elegancko ubrany - odparłem, patrząc na nią z podziwem.

- Ach! To stary ciuch - odrzekła, nakładając płaszcz. - Za to ty świetnie wyglądasz.

Podąłem jej brązową papierową torebkę.

Wzięła i zajrzała do środka. Jej twarz pojaśniała z zadowolenia.

- Kawa z Kona? - spytała. - Teraz ja powinnam powiedzieć „o rany”.

- To tylko kawa.

- Skądże, to kawa z Kona, Davidzie.

- Pijąc ją, będziesz musiała o mnie myśleć.

Uśmiechnęła się.

- To nie będzie nieprzyjemne.

Restauracja znajdowała się w odległości pięciu kilometrów, na skraju parku Gunnersbury. W drodze rozmawialiśmy o tym, jak minął dzień. Kiedy przyszła moja kolej, dyskretnie nie wspominałem, że znalazłem się na miejscu zbrodni, a później spędziłem trzy godziny na posterunku policji. Liz spojrzała na mnie parę razy, jakby wiedziała, że nie powiedziałem wszystkiego, ale nie drażyła sprawy.

Gdy dotarliśmy na miejsce, właściciel restauracji - klient Liz - pocałował ją i przytulił, a następnie znalazł nam zaciszny stolik z tyłu sali, z widokiem na park. Na ścianach wisiały czarno-białe stare fotografie Włoch: brukowane uliczki, okna z okiennicami, wychodzące na małe miejskie place, mężczyźni o kamiennych twarzach, siedzący przed kawiarenkami w towarzystwie kobiet o skórze naznaczonej piętnem wieku, pociemniałej od śródziemnomorskiego słońca. Zamówiłem butelkę białego wina i karafkę wody, a później - kiedy kelner się oddalił - odwróciłem się do Liz i zauważyłem, że mi się przypatruje.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedziała. - Au ciebie?

- Też.

Wyczułem dzielącą nas niepewność. Znaleźliśmy się na zupełnie odmiennej ścieżce od tej, którą podążaliśmy do tej pory. Liz zrozumiała moje obawy, co znalazło odzwierciedlenie w jej postawie. Od śmierci Derryn upłynęły niemal dwa lata. W tym czasie zdarzały się nam wspólne posiłki, kawa i rozmowa po ciężkim dniu pracy. Teraz zanosilo się na początek czegoś więcej.

Podjąłem rozmowę, pytając ją o córkę.

Liz poznała swojego byłego męża na uniwersytecie i wyszła za mąż w wieku dwudziestu dwóch lat. Rok później na świat przyszła Katie. Liz opowiadała mi to i owo o swoim wcześniejszym życiu. Mąż walczył z nią o prawo do opieki nad córką, ale okazał się gorszym kandydatem.

- Potrafił być trochę... - Przerwała i spojrzała na mnie. - Gwałtowny. - Skinąłem głową na znak, że zrozumiałem.

- Nic poważnego. Nigdy nie tknął Katie, ale nasza przyszłość się skończyła, kiedy zaczął zaglądać do butelki.

- Kiedy postanowiłaś go rzucić?

- Kiedy Katie miała dwa lata. Wysłałam ją do rodziców na weekend, a następnie oznajmiłam, że odchodzę. Jak się pewnie domyślasz, źle to przyjął. Myślę, że każdy facet, nawet pijany, czuje się zraniony, gdy słyszy, że nie dba o rodzinę.

- Czy Katie nadal się z nim widuje?

- Przeprowadził się na północ. Nie widziała go osiem lat.

Kilka minut później na stole pojawiły się zamówione potrawy.

- A ty? - spytała, gdy zaczęliśmy jeść.

- Co chciałabyś wiedzieć?

- Czy kiedykolwiek myślałeś o założeniu rodziny?

- Często rozmawialiśmy o tym z Derryn, szczególnie po trzydziestce. Zawsze sądziłem, że praca zawodowa wybije mi z głowy pragnienie posiadania potomstwa... wiesz, wszystkie te tragedie i bolesne przeżycia, których byłem świadkiem z powodu wykonywanej pracy... ale nigdy tak się nie stało. Oboje chcieliśmy mieć dzieci. Pod koniec, kiedy Derryn dowiedziała się, że ma raka i... stało się to mniej ważne. - Uśmiechnąłem się do niej, dając do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Odniosłem wrażenie, że zrozumiała mój gest, choć wiedziałem, że rozmowa zesłała na tematy, których żadne z nas sobie nie życzyło. Postanowiłem skierować konwersację na inne tory. - Mama ciągle powtarzała, że kocha mnie ponad wszystko, ale na całe życie skutecznie zniechęciłem ją do kolejnego dziecka.

Liz się uśmiechnęła.

- Naprawdę? Byłeś niegrzeczny?

- Podobno nie mogli wyczuć mojego tętna, kiedy była w ciąży...

- Czyżbyś był wampirem?

Roześmiałem się.

- Nie, ale musiałem zaleźć jej za skórę.

- Kiedy zmarli twoi rodzice?

- Mama odeszła pięć lat temu. Kiedy byłem mały, chodziłem z tatą strzelać do lasu nieopodal naszej farmy. Ojciec chciał, żebym został snajperem. Gdy zostałem dziennikarzem i zniweczyłem jego marzenia, chodziłem z nim strzelać w niedzielne poranki, jeśli tylko miałem czas. Któregoś ranka wróciliśmy do domu. Mama leżała na ławce przed werandą. Miała wylew. Zmarła kilka miesięcy później.

- Współczuję.

Wzruszyłem ramionami.

- To dziwne, ale zdawałem sobie sprawę, że rodzice się starzeją, jedynie wówczas, gdy rozmawiali o swoim wieku. W każdej innej sytuacji w ogóle tego nie dostrzegałem.

- Musisz za nimi tęsknić.

- To prawda.

- Czy kiedykolwiek uporałeś się z tym uczuciem?

- Chcesz szczerej odpowiedzi?

Skinęła głową.

- Kiedy kogoś kochasz, nie sędzę, aby było to możliwe.

□ □ □

Zostawiłem Liz w towarzystwie właściciela restauracji i udałem się po samochód. Deszcz nieco osłabł, ale w powietrzu nadal czuło się chłód. Zaparkowałem bmw w pobliżu cmentarza, niedaleko autostrady, którą przejeżdżające samochody otoczyły pomarańczową poświatą.

- Davidzie!

Odwrociłem się, zostawiając kluczyk w drzwiach. Z pubu po drugiej stronie ulicy wyszli Jill i Aron. Przeszli na drugą stronę i ruszyli w moim kierunku.

- Ojej! - zawołała Jill, uśmiechając się do mnie. - Cóż za zbieg okoliczności!

Podąłem rękę Aronowi.

- Co u was słychać?

- Wszystko w porządku - odparł Aron.

Jill wyciągnęła komórkę.

- Próbowałam do ciebie zadzwonić, ale nie odbierałeś.

Pomyślałam, że jesteś zajęty.

Wetknąłem rękę do kieszeni w poszukiwaniu telefonu i w tej samej chwili przypomniałem sobie, że zostawiłem go na łóżku.

- To dlatego, że przezornie zapomniałem go zabrać ze sobą.

Aron posłał mi uśmiech.

- Stuknęła ci czterdziestka. Wszystkim się to zdarza.

Jill zachichotała.

- Nieważne. Zadzwoiłam, żeby spytać, czy pójdziesz z nami na drinka. Pamiętasz, wspominałam o tym?

- Oczywiście.

Pewnie, że pamiętałem, ale byłem rad, że zamiast tego poszedłem na obiad z Liz. Chociaż słabo się znaliśmy, było jasne, że przyjaźń Jill i Arona rozwija się w kierunku, który sprawia obopólną przyjemność. Nie chciałem stawać między nimi.

- Naprawdę mi przykro - skłamałem. - Byłoby wspaniale.

- Może następnym razem - skwitowała Jill.

Spojrzałem na Arona. Uśmiechał się i wyglądał tak, jakby było mu obojętne, jakiej odpowiedzi udzielię. Nawet jeśli robił to na pokaz, żebym nie czuł się niezręcznie, był absolutnie doskonały.

- Następnym razem - powiedziałem.

- Chciałbym ci podziękować, Davidzie - wtrącił Aron.

- Za co?

- Przyjechałeś do Jill tamtej nocy. - Spojrzał na swoją towarzyszkę, a ona się uśmiechnęła. - Byłem w Manchesterze, w podróży służbowej, i wyłączyłem telefon na noc.

- To bez znaczenia - odpowiedziała.

- Przeciwnie - odparł cicho i odwrócił się w moją stronę. - W każdym razie chciałem ci podziękować za pomoc.

Podniosłem rękę.

- Nie zrobiłem nic wielkiego.

- To było bardzo miłe z twojej strony.

Skinąłem mu głowę.

- Może was gdzieś podzucić?

- Nie, damy sobie radę - odrzekła Jill.

- Do mojego domu jest zaledwie pół kilometra - dodał Aron, wskazując głową cmentarz, za którym wznosił się rząd nowych domów. - Mógłbyś wpaść któregoś dnia. Uczymy razem nadejście dojrzałego wieku.

Uśmiechnąłem się.

- Lubię żyć w kłamstwie.

- W takim razie obaj w nim pozostaniemy.

Uściskałem jego dłoń. Jill zawahała się chwilę, gdy się ku niej odwróciłem. Obiecałem jej, że wykonam kilka telefonów, choć dodałem, że zrobię to, gdy uporam się ze sprawą Megan Carver. Chociaż od złożenia obietnicy minął zaledwie jeden dzień, rozumiałem jej niecierpliwość. Chciała wiedzieć, co się stało z Frankiem. Nie chciała czekać, teraz, gdy zjawił się ktoś gotowy pomóc. Przekazałem wiadomość mojemu dawnemu informatorowi, który pracował w NCIS, zanim instytucja została wcielona do SOCA. Z drugiej strony nie przynagliłem go do działania.

- Nie zapomniałem o Franku - powiedziałem.

- Jestem ci ogromnie zobowiązana.

Skinałem głową obojgu, pożegnałem się jeszcze raz i wsiadłem do bmw. Wracając do restauracji po Liz, spojrzałem w lusterko wsteczne i zobaczyłem, jak idą ramię przy ramieniu, śmiejąc się z czegoś, i znikają w mroku nocy.

□ □ □

Liz zaproponowała, że zaparzy mi kubek kawy z Kona, którą jej podarowałem, więc po zaparkowaniu samochodu wstąpiłem do niej na chwilę. Na jednej z kanap leżały teczki i prawnicze dokumenty. Usiadłem na drugiej i zauważyłem, że na gzymsie kominka leżą *Słownik prawniczy* i *Podręcznik adwokata*. Liz wróciła po chwili z dwoma kubkami, usiadła obok mnie i spjrzała na książki.

- Fascynujące, prawda?

Wziąłem kubek z kawą.

- Jestem zbyt przerażony, aby to sprawdzić.

- Na szczęście mam fotograficzną pamięć. - Mrugnęła wesoło. - Nie, to nieprawda.

Choć świetnie zapamiętuję mnóstwo naprawdę nudnych, technicznych szczegółów.

- Skoro jestem wampirem, ty jesteś... robotem.

Roześmiała się, ale po chwili zapanowało milczenie.

- Dziękuję za obiad - powiedziała.

- To ja powinienem ci podziękować, moja droga.

- Skądże... - Przerwała, by upić łyk kawy. - Dziękuję, że mnie zaprosiłeś. Wiem, że nie musiałeś tego robić.

- Nie musiałem, ale chciałem...

Skinęła głową.

- Wiem, że było ci trudno.

Spojrzałem w jej ciemne oczy. Podniosła dłoń do twarzy i wsunęła kosmyk włosów za

ucho. Poczulem nagłe pożądanie.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Odstawiłem kawę. Liz podążyła śladem mojej ręki, a następnie spojrzała na mnie ponownie. Położyłem dłoń na jej dłoni, wysunąłem kubek z jej palców i postawiłem obok mojego.

Później pochyliłem się powoli i ją pocałowałem.

W pierwszej chwili lekko się cofnęła, nie odrywając warg od moich ust, jakby nie chciała, żebym źle się poczuł. Później, gdy ująłem jej głowę i przysunąłem silniej ku sobie, zareagowała. Opadliśmy na kanapę. Znalazłem się na niej, czując jej kształty. Kiedy się całowaliśmy, wdychałem jej zapach, czułem jej nogę poruszającą się między moimi. Cicho jęknęła. Miałem wrażenie, jakby wszystkie zakończenia nerwowe mojego ciała ogarnął ogień. Kiedy na nią spojrzałem, wpatrywała się we mnie błyszczącymi oczami.

Wtedy się zawahałem.

Z jej twarzy powoli zniknął wyraz pożądania.

- Przepraszam, Liz.

Uścisnęła moją rękę.

- Nie przepraszaj - powiedziała cicho, ale nie miałem wątpliwości, że jest rozczarowana. Przed moimi oczami mignął korowód obrazów Derryn, aby po chwili zniknąć. Noc naszego poznania, dzień ślubu, wakacje na Florydzie i schyłek jej życia, gdy leżała umierająca na naszym łóżku, przykryta mokrym od potu prześcieradłem. Przysunąłem się bliżej Liz i ponownie przeprosiłem. Między nami pozostało to, co zawsze.

Moje wątpliwości, lęki i poczucie winy.

Kiedy następnego ranka obudziłem się o dziewiątej, w domu panował chłód. Napaliłem w kominku w salonie i nastawiłem kawę. Czekaając, aż się zaparzy, poczłapałem do sypialni po telefon. Na ekranie widniał komunikat o dwóch nieodebranych połączeniach. Pierwszy telefon był od Jill, jak tego oczekiwałem. Zadzwoiła wczoraj o dwudziestej. Wysłała mi także wiadomość tekstową:

Cześć, Davidzie! Idziemy do pubu Lamb w Acton.

O 20.30. Przyjdiesz? Jill.

Drugi nieodebrany telefon był od Ewana Taskera, który zadzwonił o siódmej pięćdziesiąt pięć rano.

Tasker był moim informatorem, o którym wspomniałem przelotnie Jill. Pracował w londyńskiej policji metropolitalnej w charakterze doradcy, ale wcześniej służył w NCIS. Podobnie jak w przypadku innych źródeł z okresu, gdy pracowałem w gazecie, nasza relacja zasadzała się na wzajemnych korzyściach, ale po dziesięciu latach staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Ostatnim razem widziałem go rok temu, na jego sześćdziesiątych urodzinach. Wydał przyjęcie w klubie golfowym w Surrey. Siedzieliśmy przy oknie, spoglądając na pole golfowe i popijając whisky. Ewan opłakiwał przekroczenie sześćdziesiątki, a ja śmierć żony.

Oddzwoniłem, ale nikt nie odebrał, więc pozwoliłem myślom poszybować do Megan, nieznanego mężczyzny w nocnym klubie Tiko i Milona Sykesa.

Włączyłem komputer w gościnnej sypialni, zalogowałem się do internetu i wydrukowałem wszystko, co zdołałem znaleźć na temat Sykesa. Chciałem uzyskać wszelkie dostępne informacje na temat jego życia, dzieciństwa, przestępstw i aresztowania. Nie byłem pewny, czy postać Sykesa ma związek ze zniknięciem Megan, ale nie mogłem zignorować oczywistego fizycznego podobieństwa mężczyzny z Tiko do seryjnego mordercy. Nie mogłem też zlekceważyć hipotezy o naśladowaniu jego morderstw. Zanotowałem najważniejsze fakty i szybko przejrzałem resztę, aby się upewnić, że niczego nie przeoczyłem. Kiedy przeczytałem cały materiał, wróciłem na początek i zrobiłem to ponownie, a później trzeci raz. Po dwóch godzinach nabazgrałem szesnaście stron notatek.

Wróciłem do komputera i zalogowałem się na swoje konto Yahoo. Czekał na mnie e-mail. Wiadomość przesłano z domowego adresu Terry'ego Dooleya. Nie miała żadnego tytułu ani tekstu, a jedynie załącznik w postaci pliku w PDF-ie. Przeniosłem go na pulpit i otworzyłem. Był to plik ze zgłoszeniem zaginięcia, które Colm Healy złożył po zniknięciu

córki, oraz kilka kartek z raportem na temat jej poszukiwań.

Zacząłem czytać.

Leanne Healy zaginęła trzeciego stycznia, trzy miesiące przed Megan. Była starsza od niej, miała dwadzieścia lat, i gorzej się uczyła. W wieku szesnastu lat wyjechała do college'u, żeby studiować kosmetologię i terapię holistyczną, ale zrezygnowała po pół roku. Później dostała robotę w lokalnym supermarkecie, w którym utkwiała na następne półtora roku, by potem wrócić do college'u. Ukończyła naukę po dwóch latach z przyzwoitymi, choć nie imponującymi notami i otrzymała dyplom z przedsiębiorczości. Okres między ukończeniem szkoły i zniknięciem spędziła na wytężonym poszukiwaniu pracy. W końcu, drugiego stycznia, została zatrudniona na stanowisku młodszej asystentki w biurze do spraw rekrutacji. Dwadzieścia cztery godziny później zniknęła.

Pod względem fizycznym nie różniła się znacznie od Megan. Żadna nie miała nadwagi, choć obie nie były szczególnie szczupłe. Miały zgrabną figurę, ale ich wzrost - od metra sześćdziesięciu pięciu do metra siedemdziesięciu - powodował, że mężczyźni nie oglądali się za nimi tak, jak by to robili, gdyby były kilka centymetrów wyższe. Megan wydawała się znacznie bardziej pociągająca. Miała w sobie naturalne ciepło, wyraźnie widoczne na fotografiach, co dodatkowo podkreślało jej atrakcyjność. Leanne wyglądała na bardziej nieustępliwą, mniej skłoną do podjęcia wysiłku, co można było wyczytać z jedynej fotografii w teczce. Na zdjęciu stała przed domem z potarganymi jasnymi włosami zasłaniającymi część twarzy. Światło i brak ostrości zdjęcia powodowały, że jej uśmiech bardziej przypominał grymas.

Co zaskakujące, wersja wydarzeń poprzedzających zniknięcie Leanne przedstawiona przez Healy'ego nie różniła się znacznie od wersji jego żony, Gemmy. Żadne nie wspomniało, że Healy ją uderzył, choć Gemma napomknęła, że był „wściekły i agresywny”, kiedy usłyszał o jej romansie. Na początku przesłuchania Healy próbował zaznaczyć swoją moralną wyższość, mówiąc o świętości małżeństwa, by chwilę później przyznać, że mógł „wystraszyć” żonę, gdy potwierdziła, że go zdradza. Przyznał także, że trochę za mocno ją „przycisnął” i „nawymyślał”. W połowie stenogramu przesłuchania Gemma wyznała prowadzącemu rozmowę: „Gdyby Colm poświęcał tyle czasu rodzinie co pracy, tamtej nocy Leanne pewnie nie wyszłaby z domu”.

Ostatnią osobą, która widziała Leanne, był jeden z jej braci. Trzeciego stycznia oglądali razem film na DVD. W środku filmu Leanne powiedziała, że musi na chwilę wyskoczyć. Wyszła z domu o piętnastej trzydzieści i nigdy nie wróciła. O dwudziestej brat zadzwonił do Gemmy, która była na obiedzie u przyjaciółki, i powiedział, co się stało.

Gemma zatelefonowała do Healy'ego, który w tym czasie przebywał w pracy. Siedem godzin później Healy złożył zawiadomienie o zniknięciu córki i wciągnięto ją na listę osób zaginionych.

Na samym końcu pliku widniał czarno-biały plakat zaginionej z tą samą fotografią Leanne w rogu.

Leanne Healy. Wiek w dniu zniknięcia: 20 lat. Leanne zaginęła w St Albans, w hrabstwie Hertfordshire, 3 stycznia. Miejsce jej pobytu pozostaje nieznane. Rodzina coraz bardziej niepokoi się o jej życie. Leanne ma metr siedemdziesiąt wzrostu, jasne włosy sięgające ramion, błękitne oczy i średnią budowę ciała.

Pod tekstem umieszczono numer telefonu zaufania, a po prawej stronie u dołu kartki listę miejsc, w których najczęściej bywała przed zniknięciem.

Były to w większości puby i kluby oraz college, do którego uczęszczała, a także nazwa kawiarenki w sąsiedztwie, gdzie spędzała większość sobotnich poranków, przygotowując się do egzaminów. Na koniec zauważyłem nazwę i adres, które wydały mi się znajome:

Klub Młodzieżowy Barton Hill przy Chestnut Road 42, Islington, Londyn.

Ten sam klub młodzieżowy, do którego zaglądała Megan.

I miejsce, gdzie poznała mężczyznę, który zrobił jej dziecko.

Dół

Sona się obudziła. Pierwszą rzeczą, którą ujrzała, był pasek światła nad głową, szeroki na dwa i pół centymetra i długi na jakieś dwa metry. Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, zdała sobie sprawę, że leży na materacu w jakimś dole. Za podłogę służyło klepisko, a po ścianach z cegły spływały strużki wody. Wysoko w górze, poza zasięgiem jej rąk, znajdowała się kłapa. Linia światła biegła wzdłuż szpary na krawędzi dołu.

Dół musiał mieć ze dwa i pół metra głębokości. Kłapę wycięto w podłodze, a przez szparę w górze widać było fragment stalowej szafki, zlew i przezroczystą butelkę z jakimś płynem stojącą na blacie.

Pokój przypominał pomieszczenie gospodarcze.

- Ratunku!

Nie rozległ się żaden dźwięk. Żadnej odpowiedzi. Żadnego ruchu. Dźwignęła się na nogi i oparła o ścianę, a następnie zamarła na chwilę. Bolała ją głowa i piekła posiniaczona broda. Zamknęła oczy, próbując wziąć się w garść, a potem zaczęła krążyć dookoła, przechylając głowę, aby lepiej zobaczyć to, co znajdowało się nad kłapą. Widziała jedynie fragmenty tych samych sprzętów: stalowego zlewu i szafki. Niczego więcej. W pobliżu nie przesunął się żaden cień. Ani śladu życia.

- Mark!

Cisza.

- Mark, błagam!

Znowu cisza.

W końcu zaczęła krzyczeć, aż straciła głos, a serce kołatało w piersi, wybijając rytm o żebra. Aż łzy zamazały jej widzenie. Kiedy je otarła, zamknęła oczy i ujrzała go w ciemności - leżącego w łóżku obok niej, a później prowadzącego ją do lasu.

Bzzzzzz.

Otworzyła oczy.

Hałas dolatywał z góry. Wyciągnęła rękę, wbijając palce w ścianę i rozorując paznokciami strumyki wody.

- Ratunku! Zostałam porwana! Ratunku!

Nagle wszystko - jej głos, woda na palcach i cichy szum dolatujący z góry - zagłuszył dźwięk wydobywający się jakby ze ścian pokoju. Był donośny, zniekształcony przez głośniki. Zasłoniła uszy. Chociaż znajdowała się dwa i pół metra pod ziemią, czuła się tak, jakby

przyklejono jej twarz do wzmacniacza wielkości domu.

Nagle dźwięk ucichł równie nieoczekiwanie, jak zabrzmiał.

Ktoś zaczął odsuwać klapę.

Jej serce zadrżało. Nadal huczało jej w uszach, a pierś falowała ze strachu. Kiedy przełknęła ślinę, miała wrażenie, jakby do żołądka dostały się kawałki szkła.

- Jest tam kto?

Kłapa odsunęła się całkowicie i jej oczom ukazał się pokój. Zauważyła stalową szafkę stojącą wzdłuż całej długości ściany, goły mur z ogromnym pęknięciem i zlew. I łazienkowy kredens ze szklanymi drzwiami pełen butelek z pigułkami. I czerwone drzwi ze szklanym panelem, pokryte odpadającą farbą. Były otwarte, ale za nimi rozciągał się mrok. Od klapy zakrywającej dół wił się sznur, ginąc w ciemności.

- Halo! - zawołała.

Z cienia za drzwiami wyleciała mała przezroczysta plastikowa rurka. Upadła na podłogę, potoczyła się i wpadła do dołu. Sona chwyciła ją. Rurka miała około piętnastu centymetrów długości i była owinięta watą. Spojrzała w górę.

- Mark?!

W ciemnym otworze drzwi pojawiło się coś nowego. Przedmiot potoczył się po podłodze, minął krawędź dołu i upadł obok niej z głuchym odgłosem.

Plastikowa butelka.

Podniosła ją. W środku był jasnyniebieski płyn o konsystencji wody. Na butelce nie było etykiety, a jedynie skreślona odręcznie wiadomość: *Nałóż CAŁĄ zawartość na twarz i odrzuć butelkę.*

- Mark - powiedziała, ponownie spoglądając w górę. - To śmieszne, kochany. Czemu to robisz? - Otarła oczy. - Czemu mi to robisz?

Cisza.

- Mark, powiedz mi, czego chcesz. - Przerwała. - To nie w twoim stylu, kochany... - Jej głos zaczął się łamać. - Mark... - Czekwała na jakikolwiek ruch w ciemności. - Mark! - zawołała, czując, że po twarzy płyną łzy. - Mark! Czemu mi to robisz, draniu! Dlaczego...

- Nałóż to na twarz.

Przerwała z bijącym sercem. Z jej ust wydobył się jęk. Poczowała dreszcz strachu, jakby ktoś przesunął jej palcem po kręgosłupie. Przełknęła łzy.

- Mark?

Coś się poruszyło w ciemnych drzwiach. Dostrzegła jedynie małą białą plamę wielkości monety.

Twarz.

Później wyłonił się z ciemności.

Poruszał się wolno, spoglądając w dół i stając na krawędzi dołu. To nie był Mark, ale jakiś inny mężczyzna. Czarne włosy rozczesane na boki, blada cera, przenikliwe czarne oczy. W lewej ręce trzymał coś dużego.

- Gdzie jest Mark?

- Nałóż to na twarz.

Cofnęła się o krok, uderzając plecami o ścianę.

- Mark!

- Nałóż na twarz!

- Mark!

- Nałóż to na pieprzoną twarz!!!

Poczuła kolejną falę strachu wzbierającą pod żebrami. Skuliła się w kącie dołu. Jego głos. Co było nie tak z jego głosem? Wydawał się dziwnie jednostajny i mechaniczny. Oszołomienie sprawiło, że się załamała: łzy zaczęły spływać po policzkach i wargach, tworząc wilgotne strużki na szyi.

Chciała jeszcze raz zawołać Marka, ale tym razem się powstrzymała.

Powstrzymała się, bo mężczyzna na górze uniósł przedmiot, który trzymał w ręku, i wrzucił do dołu. Przedmiot głośno uderzył o ziemię dziesięć centymetrów na prawo od niej. Cofnęła się, próbując odgadnąć, co to takiego.

Po chwili rozpoznała.

Tułów manekina.

Kremowy i sztywny. Podziurawiony i popękany. Pośrodku piersi ziała dziura, a z pustego wnętrza wystawała gaza.

- Widzisz? - spytał z góry, wykręcając palce i uśmiechając się tak, jakby na jego twarzy otworzyła się rana. - Widzisz manekin?

Przerwał. Słowo „manekin” zostało nieznacznie zagłuszone, bo w tym momencie rozległ się niewyraźny dźwięk przypominający zakłócenie statyczne. Sona jęknęła, opadając w kąt dołu.

- Przyszyję do niego twoją pieprzoną głowę.

Odnalazłem numer telefonu klubu młodzieżowego, ale poddałem się po dziesiątej nieudanej próbie. Wykręciłem numer Carverów i spytałem, czy mógłbym do nich wpaść. James powiedział, że będą w domu do dwunastej, bo w soboty po południu zabierają jego matkę na przejażdżkę. Resztę tygodnia spędzała w domu opieki w Brent Cross.

Podróż zajęła mi czterdzieści minut. Wybrałem drogę prowadzącą obok Barton Hill, aby się rozejrzeć w okolicy. Klub był zamknięty. Mosięzna tabliczka informowała, że ośrodek jest otwarty od poniedziałku do piątku, od dziewiątej do dwudziestej pierwszej. Budynek znajdował się w odległości około pół kilometra od domu Carverów - nieopodal stacji kolejowej King's Cross, na niewielkiej trójkątnej działce pomiędzy dwiema głównymi drogami - i odznaczał się estetycznymi walorami kontenera towarowego. Pozbawiony okien, z panelami z blachy falistej sięgającymi wysokości dwóch i pół metra, gdzie rozpoczynała się ceglana ściana. Do tego ogromne zardzewiałe drzwi i potężna kłódka. Może wszystkie pieniądze wydano na wystrój wnętrza.

Wróciłem na Pentonville Road i skręciłem w stronę domu Carverów. Brama była otwarta. Ruszyłem podjazdem i ujrzałem Jamesa Carvera czekającego w drzwiach. Wypełniał je całą swoją potężną sylwetką, obserwując niebo i ciężkie czarne chmury, z których przed chwilą zaczął padać deszcz. Podaliśmy sobie dłonie i weszliśmy do środka.

Caroline była w kuchni. Podniosła głowę i mnie przywitała. Natychmiast wyczułem atmosferę, która między nimi panowała. Carver nadal czuł się oszukany przez żonę. Pewnie dotarło do niego, że nie znał Megan tak dobrze jak żona, a zniknięcie córki dodatkowo wzmocniło to uczucie.

Kiedy usiedliśmy w salonie, Caroline poczęstowała nas kawą. W rogu pokoju Leigh bawił się drewnianym pociągami za naszymi plecami.

- Jak idą poszukiwania? - spytał Carver.

- Robimy postępy. Mam kilka interesujących tropów. Właśnie dlatego postanowiłem was dzisiaj odwiedzić.

James podniósł rękę.

- Pytaj, o co chcesz

Caroline przyniosła tacę z kawą i herbatnikami. Postawiła ją na szklanym stoliku między nami. Podziękowałem i sięgnąłem po kubek.

- Czy któryś z tych tropów ma związek z Charliem Bryantem? - zapytał Carver.

Utkwili we mnie wzrok, czekając na odpowiedź. W drodze na miejsce postanowiłem, że nie wspomnę o wydarzeniach poprzedniego dnia, choć pewnie czytali o nich w porannych gazetach. Teraz spoglądali na mnie pytająco, jakby chcieli zapytać, czy Megan też nie żyje.

- W tym momencie nic nie wskazuje na to, aby ta sprawa miała związek ze zniknięciem Megan. Nic poza tym, że go znała.

Pomyślałem, że w najczarniejszych chwilach przeczuwali, iż podobny koniec spotkał ich córkę. Na polu albo w ciemnej uliczce. Wyobrażali sobie, że stoją w przyćmionym świetle kostnicy, a ciało Megan, nagie i okaleczone, leży sztywno przed nimi.

- Czy mówi wam coś nazwa Barton Hill? - spytałem.

Carver zmarszczył brwi, a Caroline skinęła głową.

- Tak - odpowiedziała. - Megan zaglądała do Barton Hill przed swoim zniknięciem. To klub młodzieżowy, lokalna inicjatywa. Pomagają nastolatkom z porażeniem mózgowym.

- Faktycznie, jest tam klub młodzieżowy - przytaknął ciut za gorliwie Carver.

Nie pomyliłem się. Facet miał poczucie, że znajdował się po niewłaściwej stronie szyby. Siedział, zastanawiając się, jakie jeszcze tajemnice ukrywają przed nim córka i stojąca obok żona.

- Co wiesz na jego temat?

Caroline wzruszyła ramionami. Nadal była podenerwowana. Carver spojrzał na nią kątem oka. Zauważyła jego wzrok i odwróciła się w moją stronę.

- Tylko to, czego dowiedziałam się od Megan. Pomagali rodzinom dzieciaków z porażeniem mózgowym. Próbowali stworzyć im szansę zrobienia czegoś normalnego, jednocześnie dając rodzicom chwilę wytchnienia.

- Dlaczego zaczęła tam chodzić?

- W szkole organizowano praktyki - odparła Caroline, spoglądając na męża. Carver wyglądał tak, jakby i o tym nie miał pojęcia. - Chciała coś zrobić dla chorych i upośledzonych dzieci. Poruszyła ten temat w rozmowie z nauczycielami, a oni przedstawili jej listę miejsc, w których mogłaby zdobyć pewne doświadczenie przez dwa tygodnie.

- Chodziła tam także po zakończeniu praktyk?

Caroline skinęła głową.

- Lubiła tę pracę.

- Czy poznałaś ludzi prowadzących ośrodek?

- Przelotnie. W środowe wieczory Jim zajmował się księgowością firmy, więc odwoziłam i przywoziłam Megan. Poznałam kilku pracowników ośrodka, zawożąc ją na miejsce i odbierając.

- Zapamiętałaś kogoś?

Umilkła na chwilę, zastanawiając się nad moim pytaniem.

- Kierownik ośrodka nazywał się Keith Fletcher. Było też dwóch albo trzech innych, ale dłużej z nimi nie rozmawiałam.

- Czy Megan wspomniała, że kogoś tam poznała?

Carverowie spojrzeli na mnie badawczo. Oczy im zabłysły, a umysł zaczął gorączkowo pracować. Nagle James Carver ponownie włączył się do rozmowy, od której wcześniej się zdystansował.

- Sądzisz, że uciekła z kimś, kogo tam poznała? - zapytał.

- Nie - skłamałem.

Mogłem powiedzieć im prawdę. Miałem powód, aby podejrzewać, że to zrobiła. Że klub młodzieżowy i ktoś, kto tam pracował, mógł mieć związek z jej ciążą i zniknięciem. Wcześniej jednak musiałem się dowiedzieć paru rzeczy. Musiałem znaleźć odpowiedź na kilka pytań. Był też mężczyzna, który wiedział, gdzie była Megan i czy znajdzie ją żywą.

Kiedy godzinę później otwierałem drzwi mojego biura, zadzwonił telefon. Spojrzałem na ekran i zobaczyłem imię Spike'a.

- Cześć, Davidzie. Przepraszam, że zajęło mi to tak dużo czasu.

- Nie ma sprawy. Co dla mnie masz?

Usłyszałem, że wystukuje coś na klawiaturze.

- Posłuchaj, skrytka pocztowa, o którą pytałeś... - przerwał, ponownie coś wystukując
- należy do organizacji charytatywnej... London Conservation Trust.

Przypomniałem sobie, że Megan dostała od nich e-mail. Usiadłem za biurkiem i włączyłem komputer. Zadzwoniłem do nich, gdy Spike dostarczył mi billingi rozmów prowadzonych z komórki Megan. Usłyszałem jedynie krótki komunikat nagrany na automatycznej sekretarce. Żadnej wzmianki o działalności dobroczynnej. Żadnego podziękowania za telefon. Jedynie znudzony głos faceta siedzącego w pustym pokoju.

- Coś jeszcze?

- Adres pocztowy to Piccadilly sto pięćdziesiąt.

- Sto pięćdziesiąt?

- Tak. Budynek nosi nazwę Dom Minotaura.

Przysunąłem notatnik i zacząłem pisać. Nagle przerwałem.

Ulica Piccadilly numer sto pięćdziesiąt.

- Przecież to adres Ritza - powiedziałem cicho.

- Co?

- Piccadilly sto pięćdziesiąt. To adres Ritza.

- Tego hotelu?

- Tak, hotelu.

Komputer zadzwęczał, gdy na monitorze ukazał się pulpit. Zalogowałem się do internetu i wpisałem adres hotelu Ritz. U dołu strony wyświetliła się nazwa ulicy: Piccadilly numer sto pięćdziesiąt. Otworzyłem zakładkę Google'a i wpisałem „Dom Minotaura”, ale niczego nie znalazłem. Wystukałem frazy dotyczące fundacji ochrony przyrody, ale i tym razem wynik był negatywny. Żadnej wzmianki o London Conservation Trust.

Adres był fałszywy.

Fundacja nie istniała.

Podziękowałem Spike'owi i zalogowałem się na Hotmail Megan. E-mail od London

Conservation Trust znajdował się u samego dołu. Wiadomość wysłano dwudziestego siódmego marca. Siedem dni przed zniknięciem Megan Carver. Projekt graficzny listu był prosty, nieprzemawiający do wyobraźni: zielony nagłówek i wyraźne, choć skromne logo. Wszystko w kolorze jasnozielonym. Litera T w słowie „Trust” miała kształt drzewa. Poniżej logo znajdowała się krótka wiadomość zawierająca podziękowanie za darowiznę wysokości dziesięciu funtów i wyjaśnienie, że pieniądze zostaną przeznaczone na ochronę terenów parkowych. Pismo nie zawierało adresu ani numeru telefonu. Nie zauważyłem także żadnych odsyłaczy i załączników.

Przeczytałem wiadomość.

Droga Megan

Dziękujemy za Twoją darowiznę wysokości dziesięciu funtów. Czy chciałabyś jak my chronić miejskie parki i wywierać rzeczywisty wpływ na otoczenie? Nie poprzestawać na wyobrażaniu sobie świata, w którym zwierzęta mogłyby uciec z zamknięcia i żyć na wolności, w naturalnym środowisku, ale ujrzyć to na własne oczy?

Prowadzimy obecnie dziesięć niezależnych kampanii, więc każdy darowany funt pomoże nam chronić parki i tereny zielone w stolicy naszego kraju, aby rośliny, zwierzęta i ludzie mogli żyć razem.

Jeśli pragniesz być na pierwszej linii walki, przyłącz się do naszego marszu pod pałac Westminster, planowanego w następnym poniedziałek. Będziemy próbować skłonić ministrów brytyjskiego rządu, aby w nadchodzącym roku przywiązywali większą wagę do ochrony miejscowej dzikiej zwierzyny. Jeśli pragniesz uzyskać więcej szczegółowych informacji, zajrzyj na naszą stronę internetową lub wpisz swój e-mail z prośbą o przesyłanie cotygodniowego biuletynu i datę, a będziesz go dostawać bezpośrednio na swoją skrzynkę pocztową!

Z poważaniem

G.A. James

Wpisałem do wyszukiwarki „London Conservation Trust”, „LCT”, i nazwisko G.A. Jamesa. „LCT” nie dało żadnych trafień, a osoby o nazwisku G.A. James nie miały żadnego związku z działalnością charytatywną. Dziwny charakter e-maila zwrócił moją uwagę na początku tygodnia, gdy przeczytałem go pierwszy raz. Wówczas uczyniłem to dlatego, że zupełnie nie pasował do innych wiadomości w skrzynce pocztowej Megan. Brzmiał jak typowy biuletyn informacyjny organizacji charytatywnej i nie wzbudziłby podejrzeń większości ludzi. Był może nieco zbyt ogólnikowy i swobodny, ale w pierwszej chwili nic nie rzuciło się w oczy. Spojrzałem na niego ponownie i przeczytałem jeszcze raz. *Jeśli pragniesz*

uzyskać więcej szczegółowych informacji, zajrzyj na naszą stronę internetową.

Sęk w tym, że nie było żadnej strony.

A może była?

E-mail nadano z adresu info@lct.co.uk. Wpisałem „info@lct.co.uk” w kolejnej zakładce wyszukiwarki i wcisnąłem klawisz „enter”. Po chwili załadowała się strona. Była bardzo prosta, zrobiona jakby bez projektu graficznego. Zupełnie bez polotu. Jasnozielona kolorystyka nawiązywała do stylistyki e-maila, ale nagłówek, w którym przypuszczalnie znajdowało się logo, miał jakiś błąd i nie mógł się załadować. U dołu widniały zakładki: DO GÓRY, O NAS, NASZE PRZEDSIĘWZIĘCIA, KONTAKT, DAROWIZNA. Pozostała część strony była pusta, jeśli nie liczyć dużego czarnego napisu W PRZYGOTOWANIU oraz ciągu przypadkowych liter i cyfr. Kiedy zacząłem otwierać zakładki, poczynając od lewej strony, wyświetlał się komunikat: „Błąd 404”, z wyjątkiem ostatniej, zatytułowanej DAROWIZNA. Gdy ją kliknąłem, pojawiło się okienko bezpiecznego logowania z miejscem na login i hasło. Jaka organizacja charytatywna prosi o wpisanie loginu i hasła przed wpłatą darowizny? Miałem wątpliwości, czy ktokolwiek tak postępował. Wszystko wydawało się dziwne, jednak strona musiała zostać stworzona z jakiegoś powodu, musiała służyć jakiemuś celowi.

Na próbę w polu loginu wpisałem adres e-mailowy Megan, a jako hasło - nazwę jej konta na Hotmailu. Okienko drgnęło, a na ekranie pojawił się komunikat: „Niewłaściwy login i hasło”. Chwilę później okienko zniknęło. Ponownie kliknąłem zakładkę DAROWIZNA. Tym razem w polu loginu umieściłem pierwszy człon adresu e-mailowego Megan: megancarver17 i ponownie nazwę jej konta na Hotmailu.

Znowu źle.

Zastanów się.

Policja musiała sprawdzić telefoniczne billingi Megan tak samo jak ja. Z pewnością ustalili, że adres skrzynki pocztowej był fałszywy, podobnie jak nazwa budynku, w którym fundacja miała rzekomo swą siedzibę. Niewątpliwie dotarli do adresu poczty internetowej, a później do witryny fundacji. Ich technicy ominęli zabezpieczenia i ustalili, co się za nimi kryje. Mimo to nie odnaleźli Megan. Może oznaczało to, że za okienkiem logowania nie było niczego. A przynajmniej niczego, co pomogłoby ustalić miejsce pobytu Megan. Czemu ktoś zadał sobie trud stworzenia strony internetowej i adresu e-mailowego, skoro nie było tam niczego wartego zobaczenia?

Zastanów się.

Spojrzałem na przypadkowy ciąg cyfr u dołu strony internetowej:

211337693949512012112212312412612712813513603206. Nie był to komunikat o błędzie, a przynajmniej nie przypominał żadnego, jaki wcześniej widziałem. Chwyciłem długopis i zapisałem w notatniku wszystkie czterdzieści osiem cyfr, a następnie wziąłem w kółko trzy obszary, które zwróciły moją uwagę: 939495, 120121122123124 i 126127128. Od dziewięćdziesięciu trzech do dziewięćdziesięciu pięciu, od stu dwudziestu do stu dwudziestu czterech oraz od stu dwudziestu sześciu do stu dwudziestu ośmiu.

Te ciągi zawierały kolejne liczby.

Cofnąłem się do początku i zacząłem analizować cały ciąg, stosując tę samą logikę. Gdyby założyć, że lista była długą, rosnącą sekwencją liczb, czterdzieści osiem cyfr zamieniało się w siedemnaście liczb: 2 11 33 76 93 94 95 120 121 122 123 124 126 127 128 135 136. Lekko nagiąłem fakty, bo szereg kończył się cyframi 03206. Nie potrafiłem odnieść ich do reszty, więc je pomiąłem. Nawet gdyby zapisać cyfry pojedynczo lub po dwie, nie układały się w żaden logiczny schemat.

Wróciłem ponownie do skrzynki pocztowej Megan i jeszcze raz przeczytałem wiadomość.

Nie było w niej żadnych liczb. Niczego, co łączyłoby list z ciągiem cyfr na stronie internetowej. Ani śladu dowodu, że cyfry mogły coś oznaczać. Czemu więc się tam znalazły? Rozejrzałem się po biurze, szukając natchnienia. Przesunąłem wzrokiem po obrazkach na ścianie, zdjęciach i moich artykułach z pierwszych stron gazet oraz aferach, które wykryłem. Czego nie dostrzegam? Nie znając loginu i hasła, musiałem skorzystać z pomocy Spike'a, aby obejść zabezpieczenia, a to oznaczało stratę czasu. Długie godziny bezczynności. Zmarnowane dni.

Ponownie rzuciłem okiem na cyfry zapisane w notatniku, a później na skrzynkę pocztową Megan. I jeszcze raz na ciąg cyfr. Czego, u licha, nie widzę...

Wtedy zrozumiałem.

Skopiowałem treść e-maila do Worda i zacząłem odczytywać go ponownie. Pierwszą cyfrą ciągu było dwa. Podkreśliłem dużą literą i tłustym drukiem drugie słowo wiadomości. Kolejna była liczba jedenaście. Zazaczyłem dużą literą i tłustym drukiem jedenasty wyraz. Później zrobiłem to samo z trzydziestym trzecim, siedemdziesiątym szóstym, dziewięćdziesiątym trzecim i pozostałymi.

Dwie minuty później wszystko stało się jasne.

Pochyliłem się nad monitorem, przypatrując się badawczo każdej linijce wiadomości. Nagle wszystkie słowa zaznaczone tłustym drukiem ożyły. Trzy minuty wcześniej pismo było zwykłym biuletynem informacyjnym fundacji dobroczynnej. Teraz stało się przyczyną zniknięcia Megan.

Droga **MEGAN**

Dziękujemy za Twoją darowiznę wysokości dziesięciu funtów. Czy **CHCIAŁABYŚ** jak my chronić miejskie parki i wywierać rzeczywisty wpływ na otoczenie? Nie poprzestawać na wyobrażaniu sobie świata, w którym zwierzęta mogłyby **UCIEC** z zamknięcia i żyć na wolności w naturalnym środowisku, ale ujrzeć to na własne oczy?

Prowadzimy obecnie dziesięć niezależnych kampanii, więc każdy darowany funt pomoże nam chronić parki i tereny zielone w stolicy naszego kraju, aby rośliny, zwierzęta i ludzie mogli żyć **RAZEM**.

Jeśli pragniesz być na pierwszej linii walki, przyłącz się do naszego marszu pod pałac Westminster, planowanego **W NASTĘPNY PONIEDZIAŁEK**. Będziemy próbowali skłonić ministrów brytyjskiego rządu, by w nadchodzącym roku przywiązywali większą wagę do ochrony miejscowej dzikiej zwierzyny. Jeśli chcesz uzyskać więcej szczegółowych informacji, **ZAJRZYJ NA NASZĄ STRONĘ INTERNETOWĄ** lub **WPISZ SWÓJ E-MAIL** z prośbą o przesyłanie cotygodniowego biuletynu **I DATE**, a będziesz go dostawać bezpośrednio na swoją skrzynkę pocztową!

Z poważaniem

G.A. James

Przeszedł mnie lodowaty dreszcz. Megan, chciałabyś uciec razem w następny poniedziałek? Zajrzyj na naszą stronę internetową. Wpisz swój e-mail i datę.

Wróciłem na stronę LCT, kliknąłem zakładkę DAROWIZNA

i wstukałem pełny adres internetowy Megan w polu loginu. *Wpisz swój e-mail i datę.* Jaką datę? Dzisiejszą? A może datę wysłania wiadomości? Albo zniknięcia Megan? Próbowałem wszystkiego, ale za każdym razem pojawiające się okienko drgało i zamykało się. Żadna z odpowiedzi nie była prawidłowa.

Potykasz się w ciemności.

Wpisz datę. Datę. Tę datę. Cofnąłem się w myślach do wydarzeń ostatniego tygodnia, starając się przypomnieć coś, co mogłoby mi dostarczyć wskazówki: do Megan i jej

rodziców, szkoły, przyjaciół i klubu młodzieżowego, Charliego Bryanta i nieznajomego z klubu Tiko, tak uderzająco podobnego do Sykesa... Nagle zamarłem.

Sykes.

Ostatnich pięć cyfr ciągu. 03206. Wcześniej nie potrafiłem dostrzec, jak pasowały do reszty. Teraz wiedziałem.

03 2 06. Trzeci lutego tysiąc dziewięćset szóstego roku.

Przewróciłem kilka kartek notatnika, cofając się do miejsca, gdzie zanotowałem uwagi na temat Sykesa. 03 2 06. Trzeci lutego tysiąc dziewięćset szóstego.

Tego dnia go powieszono.

Wpisałem e-mail Megan w polu loginu, a następnie 03206 jako hasło i wcisnąłem klawisz „enter”. Okienko zniknęło i na ekranie zaczęła się wyświetlać nowa strona. Po kilku sekundach na środku ukazała się mała mapka wielkości około dwunastu centymetrów kwadratowych. Została sporządzona odręcznie, czarnym markerem, a następnie zeskanowana. Przypominała parking samochodowy z autami stojącymi z jednej strony - widzianymi z góry - i długą cienką linią z drugiej. Na końcu linii widniał znak X i odręcznie skreślona wiadomość: *Spotkajmy się o drugiej trzydzieści po południu na romantycznym pikniku w lesie!*

Była to mapka parkingu za budynkiem szóstego roku szkoły średniej Newcross.

Facet dobrze wiedział, co robi. W tej części szkoły nie było kamer telewizji przemysłowej. Wiedział również, kiedy Megan skończy lekcje. Przyjechał po nią i zabrał ze sobą tak, że nikt tego nie zauważył.

Cudowne zniknięcie.

A jednak pozostawił ślad, bo choć las, o którym wspomniał, mógł się znajdować wszędzie, dostrzegłem jego samego w klubie Tiko i wiedziałem, jak wygląda. Rozumiałem też znaczenie hasła na jego stronie internetowej.

Wiedziałem, jakie było jego następne posunięcie tamtego dnia.

Zabrał ją do lasu Hark's Hill.

W odległości kilkorga drzwi od mojego biura znajdowała się kawiarenka pełniąca jednocześnie funkcję delikatesów. Zszedłem na dół i zamówiłem kanapkę ze stekiem. Gdy czekałem na jedzenie, mój telefon ożył. Dzwonił Ewan Tasker w sprawie męża Jill. W pierwszej chwili miałem pokusę, aby nie odebrać. Nie dlatego, że nie chciałem z nim gadać, ale dlatego, że nie chciałem mieć na głowie innej sprawy kilka minut po ważnym przełomie w sprawie Carver. Z drugiej strony, gdybym tego nie zrobił, Tasker mógłby pomyśleć, że po prostu nie ma mnie w pobliżu, i wydzwaniać bez przerwy.

Wcisnąłem „odbierz”.

- Wesprzyj staruszka!

Z drugiej strony doleciał przerywany trzaskami śmiech.

- Cześć, Raker.

- Jak się masz, Task?

- Znakomicie, a ty?

- Nie mogę narzekać. Próbowałem się z tobą skontaktować dziś rano, ale uznałem, że polazłeś do pubu. Chyba nie jesteś wstawiony, co?

Zaśmiał się ponownie.

- Jeszcze nie.

O szyby kawiarenki zadudniły krople deszczu, robiąc taki hałas jak maszerujący oddział wojska. Lekko się pochyliłem i zasłoniłem drugie ucho.

- Co masz dla mnie, staruszku?

- Nie dowiedziałeś się tego ode mnie.

- Nie musisz mi o tym przypominać.

Usłyszałem szelest papierów.

- W porządku. Frank Robert White. Czterdzieści jeden lat. Żonaty z Jill. Bezdzienny. Trzy lata przed śmiercią pełnił służbę na stanowisku detektywa inspektora, w tym dziewiętnaście miesięcy w londyńskiej policji metropolitalnej. Wieczorem dwudziestego piątego października ubiegłego roku postrzelony w klatkę piersiową, w okolicy lewego barku, i w głowę, nad grzbietem nosa. Był członkiem grupy prowadzącej śledztwo w sprawie Akima Gobulewa. Słyszałeś o nim, prawda?

- Tak, słyszałem o Duchu.

- Właśnie. Gobulew stoi na czele rosyjskich zorganizowanych grup przestępczych

działających w Londynie, choć nikt go nie widział od czasu, gdy dziesięć lat temu wylądował na lotnisku Heathrow. - Znowu szelest kartek. - Wiesz, co oznacza jego imię?

- Nie.

- "Bóg wywyższy". Jeszcze jak! Facet nie dawał mi spokoju, gdy pracowałem w NCIS. Wygląda na to, że koledzy z SOCA namierzili go dzięki pomocy informatora.

- Czy SOCA współpracowała z zespołem White'a z londyńskiej policji metropolitalnej?

- Tak, gość był z SCD.

Ze Specialist Crime Directorate, wydziału londyńskiej policji metropolitalnej stworzonego do rozwiązywania głośnych spraw dużego kalibru. SCD zajmowało się morderstwami, wojnami gangów, wykorzystywaniem nieletnich, przestępczością internetową i praniem brudnych pieniędzy. Wydział podzielono na jednostki operacyjne. Frank White pracował w SCD7 zajmującej się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej.

- White stworzył grupę operacyjną do współpracy i udzielenia wsparcia SOCA. Byli bliscy ujęcia Gobulewa... Co ja tu, do licha, zapisałem?

- Chirurg plastyczny?

- Tak. Chirurg. - W głosie Taskera zabrzmiała nuta zaskoczenia. - Już wiesz?

- Niewiele, ale coś tam wiem. - Postanowiłem poprzestać na tym wyjaśnieniu. Nie chciałem, żeby Task dostarczył mi tylko streszczenia. Pragnąłem usłyszeć wszystko. - Co o nim wiemy?

- Koledzy z wywiadu kryminalnego sugerują, że gość był kimś w rodzaju cyngla do wynajęcia... z tą różnicą, że łąził uzbrojony w skalpel i strzykawkę pełną botoksu.

- Nie jest Rosjaninem?

- Nie, nasi informatorzy twierdzą, że jest Anglikiem. To on zajął się buźką naszego „Bóg wywyższy”. Całkowicie zmienił jego wygląd. Pewnie dlatego nie znaleźliśmy go przez dziesięć lat, gdy pracowałem w NCIS.

- I dlatego przypadł Gobulewowi do serca.

- Tak. Facet wykorzystywał swoją wiedzę medyczną, pracując jako wolny strzelec... tu nowy nos, tam podniesienie brwi... choć parał się głównie zszywaniem ran klutych i wyciąganiem kul z ciał ostatnich gangsterów. W ten sposób Rosjanie trzymali swoich z dala od szpitalnych oddziałów ratunkowych. Kiedy taki gość trafi do szpitala, ludzie zaczynają zadawać różne pytania.

- Co się wydarzyło tamtej nocy, gdy zginął Frank?

- SOCA dostała cynk, że nasz chirurg będzie w magazynie w Bow. Że będzie pomagał

Gobulewowi w odbiorze jakiejś dostawy broni.

- Ale Gobulewa tam nie było.

Tasker prychnął.

- Gobulew należy do tych, którzy nie przychodzą na własne przyjęcie urodzinowe.

- Czemu w takim razie wysłał chirurga?

- Nie mamy pewności, ale nasz rosyjski informator twierdzi, że w dostawie było coś oprócz broni.

- Co?

- Nie wiadomo. Zespół White'a schrzanił robotę. Dali się namierzyć i zwabić w pułapkę. White i drugi funkcjonariusz, który zginął w czasie akcji, zostali oddzieleni od reszty. Kiedy ich znaleźli, leżeli na podłodze magazynu w kałuży krwi, a chirurg odjeżdżał samochodem z miejsca przestępstwa.

- Co z ludźmi Gobulewa?

- Trzej zginęli. Czwarty zmarł w drodze do szpitala, a piąty milczał jak grób podczas przesłuchania i późniejszego procesu.

- Nie puścił pary z ust?

- Ani słowa w sprawie swojego udziału. Duch to przerażający gość. Może facet uznał, że życie w pierdłu będzie lepsze od tego, co Gobulew mógłby mu zgotować, gdyby zaczął sypać.

- Jakież dowody kryminalistyczne?

- Niewiele. Magazyn nie zaliczał się do miejsc o szczególnej sterylności. Zebrali tony włókien i włosów oraz trochę innych śladów. Nie pasowały do nikogo.

- A odciski palców?

- Całe mnóstwo, głównie ludzi pracujących w magazynie oraz żołnierzy Gobulewa. Żadnych odcisków chirurga. Wygląda, że zespół prowadzący śledztwo się przyłożył. Każdy odcisk palca znaleziony przez SOCA został przepuszczony przez bazę IDENT I.

Oficer sprawujący nadzór nad miejscem przestępstwa wszystkiego dopilnował. Skrupulatnie odnotował wszystko, co się tam działo od przyjazdu pierwszego funkcjonariusza do zgaszenia świateł. Na zakończenie przekazał raport zawierający informacje o odciskach palców. Później wszystkie przepuszczono przez krajowy automatyczny system identyfikacji. Najwyraźniej linie papilarne chirurga nie pasowały do żadnego z sześciu milionów pobranych odcisków palców.

- Facet nie był notowany - zawyrokowałem.

- Nie. Zakładając, że w ogóle pozostawił odciski palców w miejscu przestępstwa.

Odnaleźli odciski palców, których nie udało się z nikim połączyć, ale to nie oznacza, że należały do niego.

- Wszyscy pozostawiamy odciski palców.

- Chyba że nosimy rękawiczki chirurgiczne. Na miejscu zdarzenia technicy kryminalistyczni odnaleźli niewielką ilość mąki kukurydzianej. Podobna historia ze śladami balistycznymi. White zginął od wydrążonego pocisku kalibru osiem milimetrów, a ślady na łusce... - Tasker przerwał. Usłyszałem szelest kartek. - Ślady na łusce pozwoliły określić broń jako GSz-osiemnaście. To rosyjski pistolet samopowtarzalny. Nielegalnie sprowadzony do kraju, dlatego bardzo trudny do namierzenia.

- W porządku, a fizyczny opis tego chirurga?

- Średniego wzrostu, średniej budowy ciała.

- Coś jeszcze?

- Nie, to tajemniczy gość.

- Czy ktoś widział jego twarz?

- To ci się spodoba. Nasz informator powiedział, że chirurg przychodził na spotkania w białej plastikowej masce. Żadnych znaków szczególnych. Tylko otwory na oczy, nos i usta.

- Serio?

- To człowiek bez twarzy.

Przerwałem i rozejrzałem się wokół. Krople deszczu nadal bębniły o szybę. Ludzie zaskoczeni przez deszcz biegli chodnikiem z kurtkami naciągniętymi na głowę.

- Jak go nazywali ludzie Gobulewa?

- Doktor Glass. Doktor Szyba.

- Czy ktoś zna jego prawdziwe nazwisko?

- Wątpię, skoro przychodził na spotkania w masce.

- Przepuściłeś jego ksywę przez systemy HOLMES i PNC?

System HOLMES był bazą danych wykorzystywaną przez policję Wielkiej Brytanii do tropienia ciężkich przestępstw, a w PNC znajdowały się szczegółowe dane każdego samochodu zarejestrowanego w kraju oraz skradzionych rzeczy i wszystkich zaginionych przedmiotów lub czegokolwiek, co miało związek z działalnością przestępczą.

- Niczego nie znaleziono - odparł Tasker.

- Niczego oflagowanego?

- Żadnych danych połączonych z tą ksywą.

Pomyślałem o Jill. Udało się ustalić ksywę człowieka, który zamordował Franka, ale nie wносиło to nic istotnego do tego, co już wiedziała.

- Przykro mi, Raker. Zdaję sobie sprawę, że to niewiele.

- Nie, Tasker. Bardzo mi pomogłeś. Dzięki za pomoc.

- Potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Mógłbyś mi przesłać kopię tej teczki? Obiecałem komuś, że przyjrę się sprawie.

Chcę mieć pewność, że wszystko sprawdziłem.

- Jutro rano jadę na zawody golfowe w Surrey. Zaczynamy o szóstej rano. Zostawię wydruki w twojej skrzynce pocztowej.

- Doskonale, stary. Będę wdzięczny.

Zakończyłem rozmowę i wsunąłem telefon do kieszeni. Teraz moim priorytetem była ponownie Megan.

Wróciwszy do swojego pokoju, usiadłem za biurkiem i zacząłem jeść kanapkę ze stekiem, jednocześnie otwierając mapy w Google'u. Kilka sekund później na ekranie ukazało się zdjęcie satelitarne lasu Hark's Hill. Był to osobliwy pas ziemi. Półtora kilometra kwadratowego gęstego lasu w samym sercu miasta. Na północ od lasu przebiegała nowa droga prowadząca do jakiegoś zakładu przemysłowego zlokalizowanego na jego północno-wschodnim krańcu. Pół kilometra na południe zaczynała się gęsto zabudowana dzielnica mieszkaniowa sięgająca w głąb Londynu, aż do zakola Tamizy. W bezpośrednim otoczeniu lasu, na granicy drzew, widniały ruiny dawnych fabryk - farbiarni, odlewni i zakładów produkujących amunicję. Niektóre nadal stały, choć były zniszczone, ale większość się zawaliła lub znajdowała w opłakanym stanie. Cała okolica z wyjątkiem nowych zabudowań na północy i domów na południu popadła w zupełne zapomnienie po zakończeniu drugiej wojny światowej. Jediną rzeczą, która nie uległa zmianie, było to, że las coraz bardziej się rozrastał, a fabryki pogrążały w coraz większej ruinie.

Dojadłem kanapkę i zacząłem uzupełniać luki. Po wpisaniu lasu Hark's Hill do wyszukiwarki otrzymałem dziewięćdziesiąt osiem tysięcy czterysta trafień, głównie opisujących dokonania

Miltona Sykesa. Na środku trzeciej strony coś zwróciło moją uwagę. Strona z encyklopedii seryjnych morderców.

Otworzyłem ją.

Przeszedłem do litery S i odnalazłem Sykesa. Na ekranie ukazała się lekko zamazana fotografia Milтона i nieporadna historia jego życia: dzieciństwo, ofiary i związek z lasem. U dołu moją uwagę przykuł złożony z dwóch linijek opis zamieszczony w Google'u: *Sykes posługiwał się czasami pseudonimem Grant A. James*. Grant A. James. List, który Megan otrzymała od London Conservation Trust, został podpisany przez G.A. Jamesa. Wtedy przypomniałem sobie, że to nazwisko widniało także w jej Księdze Życia. Nazwisko, na które nikt nie potrafił rzucić światła: A.J. Grant.

Odchyliłem się w fotelu.

Z komputerowego monitora spoglądała na mnie zamazana fotografia Milтона Sykesa, a między nami wisiała w powietrzu seria pytań pozbawionych odpowiedzi. Zabębniłem palcami o blat biurka, starając się połączyć kawałki układanki. Facet z klubu Tiko. Ksywa Grant. E-mail.

Mapa.

„Sądzę, że Sykes zakopał te kobiety w lesie. Czułem to, gdy tam poszedłem. To miejsce... jest z nim coś poważnie nie tak”. Przypomniałem sobie słowa Dooleya, kiedy ponownie otworzyłem satelitarne zdjęcie Hark's Hill. Choć z góry las nie wyglądał szczególnie złowrogo - obszar wielkości półtora kilometra kwadratowego owiany plotkami i legendą - wywierał na ludzi silny wpływ. Budził przerażenie, a później wciągał do swojego wnętrza.

Sześć miesięcy temu wciągnął Megan Carver.

Kiedy odnalazłem Derry Street - ulicę, z której było najbliżej do południowej części lasu Hark's Hill - dochodziła trzecia po południu. Wznosiły się tu żałosne segmenty w zabudowie szeregowej. Okolica wydawała się zaniedbana i opuszczona, co pogłębiał fakt, że nie było tam żywego ducha. Żadnych bawiących się dzieci. Żadnych ludzi rozmawiających na progu domów. Nic, tylko szara jesienna cisza.

Droga pięła się w górę, ponad dachami domów po lewej stronie ujrzałem zrujnowane fabryki ze zdjęć satelitarnych. One również sprawiały wrażenie opuszczonych, w jeszcze bardziej oczywisty sposób: rozpadające się ceglane ściany, ziejące pustką okna, zabite deskami drzwi, a inne otwarte, zapraszające do środka narkomanów, bezdomnych i lubiących dreszczyk emocji nastolatków. Kiedy droga zaczęła opadać, fabryki zniknęły z pola widzenia, ale - jakieś pół kilometra dalej - dostrzegłem małą alejkę w miejscu, gdzie w ścianie szeregowców pojawił się pierwszy wyłom. Stał tu stary sfatygowany znak. Zupełnie nieczytelny. Warstwa farby pokryła się pęcherzykami od słońca, została zniszczona przez deszcz. Jakiś piętnastoletni dzieciak siedział na schodach domu i mnie obserwował. Zaparkowałem, wysiadłem z bmw i włączyłem alarm. Dzieciak nie przestawał się na mnie gapić.

Spojrzałem na niego.

- Dobry wieczór.

Nie odpowiedział. Patrzył w kierunku alejki, jakbym miał zamiar zrobić coś głupiego. Dotarłem do niej. Uliczka wybrukowana do połowy później zamieniała się w żwirową drogę. Dalej zaczynały się betonowe płyty i na pół zwalone mury dawnej fabryki, które buntowniczo stawiały czoło upływowi czasu. Nawet stąd było widać, że to jedno wielkie pobojowisko. Wszędzie walały się śmieci, gdzieniegdzie odgarnięte w narożniki lub porzucone na ziemi, w pustej przestrzeni między murami. Powiew wiatru przyniósł woń resztek zawartości butelek i opakowań, puszek i pojemników na śmieci.

- Chyba nie zamierza pan tam pójść? - spytał nastolatek.

Odwróciłem głowę.

- Czemu nie? To ładne miejsce.

Uśmiechnął się pierwszy raz.

- Nie jest ładne.

- Sam nie wiem. - Zaczerpnałem powietrza. - Czuję świeże górskie powietrze.

Niewiele miejsc ma taki delikatny aromat łączący woń śmietniska ze smrodem publicznej toalety.

Ponownie się uśmiechnął.

Skinąłem głową na pożegnanie i ruszyłem alejką. Obserwował, jak odchodzę, stopniowo opuszczając kącki ust uniesione w uśmiechu.

- Torowisko Umarłych.

Stałem.

- Co?

- Tak to nazywają. - Spojrzał na mnie i powiódł wzrokiem wzdłuż alejki. - Tamten las.

Tak go nazywają. Torowisko Umarłych.

□ □ □

W oddali, po przeciwnej stronie fabryki, ukazało się wejście do lasu. Było całkiem zarośnięte. Przyroda upominała się o to, co kiedyś do niej należało, porastając wszystko wokół, pożerając otoczenie niczym wirus. Z obu stron nad ścieżką pochylały się drzewa, tworząc zielone sklepienie. Nieco dalej promienie słońca przenikały przez listowie, rysując na ziemi kwadraty wodnistego żółtego światła.

Ruszyłem ścieżką.

W miarę jak ścieżka zaczynała się zamieniać w błotnistą kałużę, trawa atakowała coraz silniej. Żdźbła wpełzały na ziemię, wijąc się setkami kłaczy. Im głębiej wchodziłem w las, tym mniej było światła. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła piętnasta trzydzieści. Za półtorej godziny zacznie się zmierzchać.

O szóstej pod drzewami będzie czarno, choć oko wykol.

Krople deszczu skapywały z liści ogromnego jaworu, bębniąc o ziemię niczym dalekie uderzenia bębnów. Nieco dalej dostrzegłem coś na ścieżce: stare tory kolejowe pokryte rdzą, z chwastami pełzającymi między podkładami. Torowisko wrzynało się w trawę po lewej, przecinało ścieżkę i znikало między pniami dwóch ogromnych dębów po drugiej stronie. Pewnie były to tory, o których mówił Dooley. Położono krótki odcinek, ale nigdy go nie dokończono. Kiedy ruszyłem dalej, sklepienie drzew otworzyło się na chwilę.

Trzask.

Przystanąłem.

Co to było, do licha?

Nagły powiew wiatru poruszył drzewami po lewej stronie, smagając ścieżkę gałęziami. Temperatura jakby opadła. Dostałem gęsiej skórki na rękach i plecach. Przeszedł

mnie zimny dreszcz. Po chwili upiorne doznanie minęło równie nagle, jak się pojawiło.

Obejrzałem się za siebie, dygocząc z zimna.

- Hej! Jest tam kto?

Droga pociemniała, jakby gaszono za mną jedno światło po drugim. Nic się jednak nie poruszyło ani nie rozległ się żaden dźwięk. Poczułem się absurdalnie. Stoisz w środku lasu i gadasz do pieprzonych drzew. Weź się w garść, chłopie.

Odwrociłem się i ruszyłem dalej. Po kilku minutach listowie zaczęło się przeredzać i po lewej stronie ukazała się polanka.

Miała około dziewięciu metrów długości i tworzyła półokrąg przylegający do ścieżki. Rosła na niej jedynie sięgająca kolan trawa. Wyglądała pięknie w porównaniu ze ścieżką, która do niej prowadziła. Pomyślałem, że takie miejsce nadawałoby się na obiecany Megan piknik.

Nagle kątem oka dostrzegłem ruch.

Zamazaną smugę tam, gdzie ścieżka opuszczała polanę. Wróciłem na drogę i spojrzałem głębiej między drzewa.

Za plecami rozległ się trzask kolejnej pękającej gałązki.

Odwrociłem się i zerknąłem tam, skąd przyszedłem. Coś przemknęło między drzewami po drugiej stronie w odległości około dziewięciu metrów ode mnie. Wiatr zawiął ponownie, ogarniając polanę lodowatym powiewem. Wpatrywałem się w miejsce między drzewami, ale nic się nie poruszyło. Nie rozległ się żaden dźwięk. Słysząc było jedynie krople deszczu, a później, gdy kapanie na krótko ustało, zapadła brzemienista cisza, jakby coś przyciszało się w milczeniu, czekając, by wydać przeraźliwy krzyk.

Obserwowałem las kilka sekund, a następnie wszedłem na polanę i zacząłem się rozglądać. Nie byłem pewny, czego szukam, ale nawet gdy ludzie znikają, nie znikają bez śladu. Minęło dziesięć minut, a ja nie znalazłem niczego. Światło nieco osłabło, a na niebie pojawiły się stalowoszare chmury.

Trzask.

Odwrociłem się na pięcie. Taki sam hałas jak przedtem, i coś jeszcze. Skomlenie? Przede mną, tam, skąd przyszedłem, poruszyły się drzewa. Konary drgnęły, uderzając o siebie. Krople deszczu zadudniły o ścieżkę.

Wtedy poczułem coś za plecami.

Coś wpadło na polanę w odległości jakichś sześciu metrów ode mnie. Trawa zafalowała w prawo, a później do tyłu. Kimkolwiek był, pozostawał w przysiadzie. Kształt przesunął się kilkadziesiąt centymetrów i ponownie stanął.

Trawa na polanie zamarała.

Cisza.

- Widzę cię - powiedziałem.

Chociaż nic nie widziałem, zrobiłem krok do przodu. Serce zaczęło łomotać mi w piersi, jakby się do czegoś szykowało. Jakby czekało na niespodziankę. Zrobiłem kolejny krok. Trawa zaszeleściła. Ponownie zafalowała z lewej strony na prawą.

- Widzę cię.

Cisza.

Cisza, a po niej skrobanie. Zrobiłem kolejny krok, spoglądając na ścieżkę. Otaczające mnie drzewa nagle wydały się większe i bardziej mroczne, jakby obudziła je bliskość nocy. Znow skrobanie i tym razem wyraźne skomlenie.

Chwilę później na ścieżce pojawił się pies.

Lekko kuśtykał, przedzierając się między dwiema kępami sięgającej do pasa trawy. Był zaledwie konturem na tle jasnozielonej polany. Nadchodził zmierzch, a jasność traw była jedyną rzeczą, która go powstrzymywała.

Pies ruszył niepewnie w moją stronę.

Chociaż widziałem jedynie sylwetkę, rozpoznałem charta: mała, wąska głowa, brzuch wygięty w górę ku zadnim nogom. Ani grama tłuszczu. Zwierzę stanęło w odległości sześciu metrów ode mnie, z łbem ginącym w gęstniejącym cieniu. Przykucnąłem i wyciągnąłem rękę.

- Witaj - powiedziałem cicho. - To ty biegałeś między drzewami?

Uderzenie gromu. Spojrzałem w górę, w prześwit między konarami drzew. W oddali chmury się zamknęły, przysłaniając niebo.

Pies polizał moją rękę.

Spojrzałem na niego.

- Jasna cholera!

Skoczyłem na nogi i cofnąłem się, nie odrywając wzroku od zwierzęcia. Pies zrobił kilka kroków w moją stronę, wlokąc za sobą prawą tylną nogę.

Nagle przestał być ciemnym konturem.

Jedna strona pyska była całkowicie pozbawiona skóry. Żywe ciało błysnęło w słabym świetle. Zaśniły zęby, choć pysk zwierzęcia był zamknięty. Pies zrobił kolejny krok w moją stronę, a wtedy ujrzałem coś z boku pyska - różowy kwadrat niepasujący do czerwonej barwy ścięgien. Przypatrywałem się biedakowi dłuższą chwilę, próbując odgadnąć, co to takiego.

Skóra.

Pies pokuśtykał w moją stronę.

- Kto ci to zrobił?

Cicho zaskowyczał. Teraz usłyszałem inne dźwięki: szmer wiatru między drzewami, bębnienie padającego deszczu, szept falujących traw. Popatrzyłem na ścieżkę pogrążającą się w coraz bardziej gęstniejącej ciemności. Dooley miał rację co do tego miejsca.

Pies ponownie cicho zaskowyczał.

Odwróciłem się do niego i przykucnąłem, powoli wyciągając rękę, aby wiedział, że nie stanowią zagrożenia. Prawie się nie poruszył. Wydawał się daleki, nieobecny, jakby w letargu. Niepewnie i wolno przesunął wzrok z mojej dłoni na twarz.

- Kto ci to zrobił?

Lekko odwrócił łeb, ukazując szarą, wilgotną od wody sierść. Wtedy zauważyłem, że utkwił w czymś wzrok, w czymś ponad moim ramieniem, w miejscu, z którego przyszedłem. Odwróciłem się. Drzewa drgnęły, a krople deszczu zadudniły o sklepienie liści. Z oddali dolatywały ciche dźwięki.

- Co widzisz?

Wstałem, spoglądając na odległość dziesięciu metrów w każdą stronę. Na niebie huknął grzmot. Pięć sekund później ciemności rozświetliła błyskawica. Pies zaskomlał i przysunął się do mnie, ocierając o nogę. Dotknąłem jego łba i poczułem pod palcami wyschłe mięśnie. Uniósł nos, dotykając mojej dłoni.

- Chodź ze mną - powiedziałem cicho.

Zawahał się pierwszy razy, a później - gdy skinąłem głową - ruszył za mną, wlokąc sztywną nogę po trawie. Ruszyłem w drogę powrotną, do miejsca, z którego przyszedłem. Wokół słyszałem jedynie nieprzerwane dudnienie kropel o liście niczym odgłos setek kroków dolatujących ze wszystkich stron. Chwilę później ponownie ujrzałem bramę. Przyspieszyłem kroku, ale gdy to zrobiłem, poczułem, że pies się zawahał. Spojrzałem za siebie. Zwierzę stało nieruchomo z łbem zwróconym w kierunku ścieżki prowadzącej w głąb lasu.

- Co się stało?

Pies ani drgnął. Podeszedłem do niego.

- Co tam widzisz? - spytałem.

Zaczął węszyć, jakby poczuł zapach. Przykucnąłem, delikatnie dotykając jego grzbietu. Nie poruszył się. Kropla deszczu spadła na rękę i spłynęła na jego sierść.

- Co zobaczyłeś?

Zaskomlał ponownie, tym razem dłużej, a później ruszył z powrotem. Wracił do lasu, ciągnąc za sobą bezwładną nogę. Gwizdnąłem cicho, żeby go przywołać, ale mnie zignorował albo nie usłyszał.

Trzydzieści sekund później zniknął.

Zamarłem bez ruchu, próbując przeniknąć mrok w miejscu, gdzie pies rozpląnął się w powietrzu. Nie miałem pojęcia, co bym z nim zrobił, gdybyśmy wrócili do samochodu, ale zwierzę trzeba było opatrzyć. Powinien je zobaczyć weterynarz. Zagwizdałem nieco głośniej, ale deszcz, wiatr oraz szelest drzew sprawiły, że dźwięk pochłonęła noc. Zastanawiałem się, czy po niego wrócić, ale nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie.

Jakby ktoś mnie obserwował.

Powiodłem wzrokiem wzdłuż ścieżki, z jednej ściany drzew na drugą. Żadnego ruchu ani dźwięku. Jednak dziwne uczucie nie zniknęło. Brzęczało tuż pod powierzchnią skóry, nawet gdy dźwięki, które zdawały się dochodzić z drzew i gasnących promieni dnia, umilkły w ciemności.

W końcu dotarłem do Torowiska Umarłych.

Chociaż najkrótsza droga do domu prowadziła przez centrum miasta, postanowiłem zatoczyć łuk przez Whitechapel, Shoreditch i Finsbury. Krople deszczu bębniły o przednią szybę jak śrut z dubeltówki. Dochodziła dziewiętnasta, kiedy zaparkowałem samochód przed klubem młodzieżowym. Była sobota, więc wiedziałem, że ośrodek jest zamknięty; do czasu jego otwarcia pozostało trzydzieści sześć godzin, a ja nie mogłem czekać tak długo. Parłem przed siebie siłą rozpędu, a poza tym pragnąłem się rozejrzeć nieobserwowany przez nikogo.

Z boku wzdłuż domu biegła wąska alejka. Ruszyłem w kierunku tylnego parkingu wychodzącego na drogę równoległą do tej, przy której zostawiłem samochód. Teren był słabo oświetlony. Latarnie pobliskiej ulicy migotały, a na ziemi widać było jasny kwadrat światła rzucanego przez okno kuchni sąsiedniej restauracji.

Tylne drzwi klubu znajdowały się we wnęce. Wyjąłem komórkę i otworzyłem klapkę, aby oświetlić wejście. Podwójne drzwi. Zamek bębnekowy. Żadnej klamki od zewnątrz. Cofnąłem się i zlustrowałem budynek. Od frontu nie było systemu alarmowego, nic nie wskazywało również na to, aby zainstalowano go z tyłu. Jednak w dzisiejszych czasach alarmy były wszędzie. Skoro nie zauważyłem skrzynki, alarm musiał zostać podłączony po staremu do obwodu otwartego. System alarmowy wykorzystywał magnesy reagujące na otwarcie drzwi i wyłączał się po ich zamknięciu.

Rozejrzałem się wokół i wróciłem przez parking po parę prostych szpilek do włosów, które trzymałem w samochodzie. Otwieranie zamków wytrychem jest sztuką. Trzeba umieścić szpilki w odpowiednim miejscu i użyć odpowiedniego nacisku. Trzeba także rozróżniać dźwięki wydawane przez zamek i wyczuwać najslabsze drgania wędrujące od szpilek do palców. Jeśli mogłem, starałem się unikać tej roboty. Nie dlatego, że było to niezgodne z prawem, ale z uwagi na stopień trudności. Jakby na dowód tego, potrzebowałem dwudziestu frustrujących minut, żeby usłyszeć, jak szpilki trafiły we właściwe miejsce.

Lekko uchyliłem drzwi i zamarłem, żeby się przygotować, a później - najszybciej jak mogłem - pociągnąłem je ku sobie, wszedłem do środka i je zamknąłem. Rozległ się krótki sygnał, wysoki, trwający sekundę pisk. Chwyciłem klamkę i czekałem. Przyłożyłem ucho do drzwi. Alarm nie trwał długo, ale mógł zwrócić czyjąś uwagę. Dla pewności odczekałem pięć minut, a następnie otworzyłem komórkę i oświetliłem wnętrze budynku.

Po lewej stronie była kuchnia i okienko, przez które wydawano posiłki. Ruszyłem korytarzem, by po chwili znaleźć się w holu głównym. Po lewej stronie znajdowała się

poczekalnia, po prawej podwójne drzwi i frontowe wejście. Obok wejścia do ściany przybito tablicę informacyjną. Kiedy się zbliżyłem, rozpoznałem nazwiska i zdjęcia wszystkich, którzy uczęszczali do klubu, a powyżej fotografie pracowników prowadzących ośrodek, ubranych w identyczne zielone koszulki polo.

Oświetliłem zdjęcia światłem telefonu. Na samej górze widniała fotografia Neila Fletchera - kierownika Barton Hill. Caroline wspomniała o nim wcześniej. Fletcher okazał się czterdziestokilkuletnim mężczyzną o krótkich ciemnych włosach przyprószonych siwizną, jasnych oczach i brodzie. Nie był facetem z klubu Tiko, podobnie jak pozostali, których zdjęcia umieszczono na tablicy. Poniżej fotografii Fletchera widniały zdjęcia kobiety i dwóch przystojnych mężczyzn: Connora Pointona i Erica Castle'a. Obaj wyglądali podobnie, choć nie wydawali się ze sobą spokrewnieni. Dwadzieścia kilka lat, kwadratowa szczęka i podobna fryzura. Żaden nie pasował wiekiem do mężczyzny, z którym spotykała się Megan. Mimo to postanowiłem sprawdzić każdego z nich.

Przesuwając snop światła telefonu, ruszyłem w kierunku przeciwnych drzwi. Dźwięk kroków odbił się echem od ścian, otwierane drzwi zaskrzypiały w zawiasach. Po drugiej stronie znajdowały się toalety i biuro. To ostatnie było skromnie umeblowane i zimne. Pod jedną ze ścian stało biurko z krzesłem wsuniętym pod blat. Komputer na biurku wyglądał tak, jakby miał przynajmniej pięć lat. W prawym rogu za biurkiem spostrzegłem szafkę na dokumenty.

Otworzyłem ją. W środku były teczki dzieci, które uczęszczały do ośrodka, uporządkowane alfabetycznie według nazwisk. W kolejnej szufladzie znalazłem teczki pracowników Barton Hill. Każde nazwisko zostało sprawdzone w obszernym archiwum kryminalnym policji, co oznaczało, że chłopak Megan - jeśli faktycznie pracował w klubie - nie był wcześniej notowany.

Wyciągnąłem teczki, rozłożyłem je na biurku i zapaliłem światło. Gabinet nie miał okien, więc byłem pewien, że nie zobaczy mnie nikt z zewnątrz.

Teczek było siedemnaście. W pierwszej kolejności przejrzałem dokumenty trzech mężczyzn pracujących w ośrodku. Im dłużej czytałem o Fletcherze, tym gorszym kandydatem na podejrzanego się wydawał. Czterdzieści osiem lat, żonaty, dwójka dzieci. Jedna z córek miała prawie siedemnaście lat. Jeśli chodzi o dwóch pozostałych, Pointon był żonaty i miał małą córeczkę, a Castle przyleciał z Australii i przebywał w Wielkiej Brytanii na zagranicznej wizie wydanej na podstawie brytyjskiego obywatelstwa jego przodków. Poza tym nie było go w kraju, kiedy zniknęła Megan.

Przejrzałem resztę dokumentów. Dwie teczki rozpoznałem natychmiast: Megan

Carver i Leanne Healy. Megan pracowała w ośrodku wieczorami, na pół etatu. Leanne przestała się udzielać dwa miesiące przed zaginięciem, aby skupić się na szukaniu pełnoetatowej pracy, chociaż kilka notatek w formularzu obecności sugerowało, że wróciła parę razy, żeby pomóc. Nic oprócz tego, co już wiedziałem.

Pozostało dziewięć innych kobiet. Jeśli człowiek, który uprowadził Megan, stał za zniknięciem Leanne, trzeba by założyć, że potencjalną ofiarą jest każda kobieta, która kiedykolwiek przestąpiła próg klubu. Zapisałem ich nazwiska, żeby porównać je z listą zaginionych osób.

Trzy ostatnie teczki zawierały dokumenty mężczyzn.

Położyłem je przed sobą. Jeden musiał niedawno przekroczyć pięćdziesiątkę, więc odłożyłem jego teczkę na teczki z danymi kobiet. Z relacji Kaitlin wynikało, że mężczyzna, którego szukałem, miał trzydzieści, najwyżej czterdzieści lat. Dwaj pozostali pasowali. Obaj mieli trzydzieści pięć lat. Żaden nie był żonaty. Obaj przedstawili zaświadczenie o niekaralności wydane przez CRB, Krajowe Archiwum Kryminalne, i obaj pracowali w klubie młodzieżowym, gdy Megan i Leanne zniknęły. Spojrzałem na ich nazwiska. Daniel Markham i Adrian Carlisle. Z dokumentów wynikało, że Carlisle trzy miesiące temu zrezygnował z pracy w ośrodku. Markham nadal przychodził w poniedziałkowe popołudnia. W jego życiorysie jako pełnoetatową pracę wpisano „konsultant”, cokolwiek mogło to oznaczać.

Odnalazłem też numery telefonów i adresy obu mężczyzn. Zapisałem je w komórce i wydarłem zdjęcia dołączone do akt. Z mającej pięć centymetrów wysokości fotografii wynikało, że Carlisle był facetem, który doprowadził do doskonałości sztukę pustego uśmiechu, ale był przystojniejszy od kolegi: zgrabny, opalony, o ładnych włosach i lśniących zębach. Markham sprawiał wrażenie bardziej przyjacielskiego. Był w naturalny sposób przystojny, miał delikatne włosy i okulary w rogowej oprawce. Ponownie przejrzałem obie teczki, szukając wzmianki o tym, co Carlisle robił po odejściu z ośrodka. Spike mógłby się tego dowiedzieć, gdybym po powrocie do domu dostarczył mu szczegółów. Zebrałem wszystkie teczki i odłożyłem do szafki.

Wtedy coś usłyszałem.

Dwa krótkie sygnały, po których zapadła cisza.

Czy to alarm?

Cicho zamknąłem szafkę i zgasilem światło. Odsunąłem się od drzwi, czekając, by oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Po kilku sekundach wyszedłem na korytarz i ruszyłem w kierunku drzwi prowadzących do holu. Przykucnąłem przy ścianie, dotykając siedzeniem

podłogi. Uchyliłem drzwi na centymetr. Zamarłem, ponownie nasłuchując. Uchyliłem trochę bardziej jedno skrzydło i wyslizgnałem się na korytarz. Zatrzymałem się, pozwalając, aby drzwi zamknęły się cicho za moimi plecami. Teraz, gdy nie przyświecałem sobie komórką, pomieszczenie wydawało się ogromne, ogarnięte nieprzeniknioną ciemnością. Czekałem w przysiadzie, z kolanem opartym na podłodze. Po chwili rozpoznałem pojedyncze przedmioty, kształty i otwory drzwi. Zacząłem wypatrywać ruchu.

Niczego nie dostrzegłem.

Wolno ruszyłem korytarzem, przyglądając się uważnie poczekalni, w której stały wózki inwalidzkie. Dotarłem do drzwi kuchni i okienka, przez które wydawano posiłki.

Wtedy coś zobaczyłem. Ponownie wyciągnąłem telefon.

Skierowałem snop światła na przedmiot.

Początkowo nie wiedziałem, co to takiego. Zauważyłem jedynie, że jest różowego koloru. Podeszedłem krok bliżej i rozpoznałem kształt.

Plastikowa lalka.

Po kolejnym kroku spojrzała na mnie szklistymi niebieskimi oczami. Jej wykrzywione w wiecznym uśmiechu usta umalowano szminką. W miejscu jednej nogi był ciemny ziejący otwór. Tułów i głowa lalki były odwrócone w drugą stronę.

Poświeciłem w stronę holu, a następnie wzdłuż korytarza, do tylnych drzwi. Nie zauważyłem niczego niepokojącego. Tylne drzwi były zamknięte.

Jakby nikt tutaj nie wchodził.

□ □ □

Na dworze panował chłód. W kieszeni miałem zdjęcia, a w ręce lalkę. Kiedy na nią spojrzałem, szklane niebieskie oczy błysnęły i znikły pod powiekami.

Spojrzałem na parking w poświacie tylnej ulicy. Trzymając się cienia budynku, odwróciłem się w lewo, w kierunku drogi, przy której zostawiłem wóz. Za moimi plecami rozległ się klakson samochodu. Po chwili ryknął kolejny, nieco dłuższy i głośniejszy. Odruchowo obejrzałem się przez ramię i zauważyłem, że coś się poruszyło w ciemności.

Zamarłem i spojrzałem w tamtą stronę.

W cieniu rzucanym przez budynek rozpoznałem ludzką postać. Dostrzegłem czubek buta, fragment nogi i zgięty łokieć. Ruszyłem w kierunku alejki, początkowo powoli, a później coraz szybciej, próbując zmniejszyć dzielący nas dystans. Postać ani drgnęła - stała nieruchomo, zwrócona w moją stronę - dopóki nie znalazłem się w odległości mniej więcej sześciu metrów.

Wówczas rzuciła się do ucieczki.

Wyłoniła się z cienia, jakby wydarto ją nocy. Trzy metry dalej, kiedy puściłem się sprintem, przebiegła pod światłami ulicy. Dostrzegłem mężczyznę mającego około metra osiemdziesięciu wzrostu, ubranego w długi czarny płaszcz, czarne spodnie, czarne buty i czarną wełnianą czapkę. Cały czas był odwrócony plecami. Nawet gdy skręcał na rogu, biegnąc ile sił w nogach, przechylił głowę, żebym nie mógł zobaczyć jego twarzy.

Straciłem go z oczu, gdy ulica stała się węższa i ciemniejsza, nieoczekiwanie skręcając w prawo. Kiedy znalazłem się w hałaśliwym tłumie przechodniów na Euston Road, nieznajomy zniknął.

Był niedzielny ranek, siódma czterdzieści. Na podłodze pod skrzynką pocztową czekała na mnie policyjna teczka, którą obiecał podrzucić Ewan Tasker. Zawierała wszystko, co londyńska policja metropolitalna wiedziała o nocy, w której zginął Frank White. Jednak sprawa Franka musiała poczekać.

Robiąc sobie kawę, zauważyłem, że Liz wychodzi z domu i idzie w stronę samochodu. Powróciły wspomnienia piątkowej nocy. Przypomniałem sobie, jak się od niej odsunąłem i obserwowałem jej gasnące nadzieje. Kiedy podejmowałem decyzję, myślałem, że jest właściwa. Było na to za wcześnie, sprawa wydawała się zbyt poważna, poczucie winy zbyt duże do zniesienia. Ale teraz pozostał tylko żal, mrowienie w żołądku i tępy ból, którego nie potrafiłem stłumić.

Patrzyłem, jak się oddala, a następnie ruszyłem do salonu i rozłożyłem na stole zdjęcia zabrane z klubu młodzieżowego. Na wierzchu umieściłem fotografie Adriana Carlisle'a i Daniela Markhama. Wyciągnąłem komórkę i przepisałem numery telefonów i adresy obu. Carlisle mieszkał w pobliżu zbiorników Seven Sisters, a Markham miał mieszkanie w Mile End, niedaleko stacji metra. Miałem numer stacjonarny i komórkowy Carlisle'a oraz komórkę Markhama.

Na drugim końcu stołu leżała lalka. Jedno oko się zamknęło, a szminka lekko rozmazała. Przysunąłem lalkę i odwróciłem ją ku sobie, przypatrując się dziurze, w której kiedyś tkwiła prawa noga. Wtedy zauważyłem, że coś jest w środku. Chwyciłem nożyczki, powiększyłem otwór i wyjąłem to.

Moje serce stanęło.

Było to złożone na cztery zdjęcie: fotografia kobiecych ramion i szyi. Wykonano je w słabym świetle. Nie w całkowitej ciemności, ale w zbliżonych warunkach. Nie była widoczna żadna część głowy ani twarzy. Najmniejszego kosmyka włosów. Niczego powyżej szyi. Skóra była pokryta plamami, jakby sfotografowana osoba przed chwilą wyszła spod prysznic. Na krawędzi zdjęcia, w okolicy łopatki, widniał żółty siniak. Cień z boku biegł w kierunku karku, do wgłębienia u podstawy szyi. W prawym górnym rogu wycięto coś igłą kompasu lub czubkiem noża. Rozpoznałem cyfrę dwa.

Odwróciłem zdjęcie na drugą stronę, ale nie spostrzegłem żadnych śladów, które mogłyby pomóc w jego zidentyfikowaniu. Żadnego numeru zlecenia ani daty, które umieszcza się czasami na odbitkach wykonanych w zakładzie. Oznaczało to, że zostało

wydrukowane na kolorowej drukarce lub że odbitkę zrobiono w domu.

Czym domu?

Tego, kto śledził mnie do klubu młodzieżowego i zostawił lalkę. Ona sama musiała mieć jakieś znaczenie, w przeciwnym razie jaki byłby z niej pożytek? Jednak w obecnej chwili byłem bardziej zaniepokojony tym, że ktoś śledził moje ruchy i tak zrećźnie obserwował w ciemności, że tego nie wyczułem. Bo jeśli ktoś wiedział, że byłem w klubie, i przekazał mi wiadomość, w moim myśleniu była jakaś luka. A jeśli rzeczywiście tak było, wiedziałem, że z każdą chwilą będzie się powiększać.

Pochyliłem się nad zdjęciem, analizując otoczenie i tło. Wyglądało na to, że kobieta siedziała. Mimo słabego oświetlenia dostrzegłem pokój za jej plecami. Jej ciało otaczała granitowoszara otoczka przechodząca w ciemną ścianę. Może dziewczyną na zdjęciu nie była Megan. A może to była ona. Obie możliwości sprawiły, że przeszedł mnie zimny dreszcz.

Nagle zamarłem.

Przysunąłem zdjęcie bliżej.

W prawym rogu, nad prawym ramieniem dziewczyny majaczył jakiś kształt. Powiodłem po nim palcem.

Kartonowe pudła.

Ich kontury nagle się rozmazywały, ale można było rozróżnić wyraźny kształt litery L. Dostrzegłem cienką linię w miejscu, gdzie zbiegały się poziome i pionowe linie na najwyższym pudle. Zauważyłem coś jeszcze: małą jasną nalepkę przyklejoną z boku, widoczną jedynie częściowo. Napis był nieczytelny z powodu ciemności, ale zdołałem rozróżnić dwie linijki nagłówka skreślone grubymi czarnymi literami, chyba cyrylicą. Jeden znak przypominał symbol n.

Chwyciłem komórkę i wprowadziłem numer Spike'a.

- Musimy zaprzestać tej formy kontaktu - powiedział, używając identyfikacji numeru, z którego wykonano połączenie.

- Potrzebuję twojej pomocy. Znowu.

- Wpisz nazwę serwera.

- Nie chodzi o komputerową robotę.

- Ach!

- Muszę coś przetłumaczyć. Nie czuję się na tyle komfortowo, aby pójść do biura tłumaczeń. Liczyłem, że rzucisz na to okiem.

- Co masz?

- Krótki napis. Pewnie cyrylicą. Nie jest wykluczone, że to część numeru.

- Zgoda. Prześlij to na mój adres.

- Dzięki, Spike.

Przerwałem połączenie, a następnie użyłem aparatu w komórce, aby wykonać zdjęcia fotografii, starając się, żeby był na nich widoczny jak najmniejszy fragment ciała kobiety. Im mniej będzie pytał o to, kim była i co robiła, tym lepiej.

Kiedy otrzymałem kilka wyraźnych zdjęć, przesłałem je Spike'owi. Oddzwonił po trzech minutach. Muzyka, która wcześniej rozbrzmiewała w tle, ucichła. Nie słyszałem też stukania klawiatury ani dowcipów. Spike był maksymalnie skoncentrowany.

Z miejsca przeszedł do rzeczy.

- Miałeś rację. Ten symbol oznacza liczbę osiemdziesiąt. Co do reszty... - Przerwał na chwilę. - Masz pod ręką długopis?

- Tak. Wal.

- Oświetlenie jest fatalne, ale z tego, co mogę wyczytać... - Przerwał ponownie. Tym razem dało się słyszeć kilka kliknięć myszy. - W porządku. Widzę nagłówek, a pod nim jedną linijkę. W tej poniżej... człowieku, nie wiem nawet, jak to wymówić. - Kolejne kliknięcie myszy. - K-A-R-C-Y-N-O...

- Karcynogen?

- Tak. To możliwe. Co to takiego?

- Czynniki sprzyjające rozwojowi choroby nowotworowej.

- Jasna cholera - szepnął cicho.

Spojrzałem na fotografię. Spike przetłumaczył najbardziej wyraźną, najłatwiejszą część. Trudniejszy do odczytania był nagłówek.

- Domyślasz się pozostałej części?

- Trudno powiedzieć. Może to nazwa firmy. Może to F albo O. A później R i M. Nie jestem pewien, jaka jest piąta i szósta litera, ale siódma to z pewnością I.

Zapisałem. F-O-R-M-?-?-I.

- Świetnie! Dziękuję, Spike. Naprawdę doceniam... Urwałem i jeszcze raz spojrzałem na litery, które przed chwilą zapisałem. W miejscu znaków zapytania wpisałem A i L. F-O-R-M-A-L-I.

- Davidzie?

Rzuciłem długopis obok notatnika i odchyliłem się na krześle.

- Davidzie?

- To nie jest nazwa firmy - powiedziałem.

- Nie?

- To nazwa związku chemicznego.

- Form...?

- Formalina.

- Co to takiego?

- Wodny roztwór aldehydu mrówkowego.

Spike zaniemówił.

- Czy używają tego do balsamowania ciał?

- Tak - odpowiedziałem, dwukrotnie zakreślając to słowo - i do konserwowania ludzkich szczątków.

Dochodziła dziewiąta trzydzieści. Jechałem Whitechapel Road w kierunku Mile End, nastawiwszy ogrzewanie na pełny regulator. Byłem już w mieszkaniu Adriana Carlisle'a w Seven Sisters. Nie zastałem nikogo. Próbowałem zadzwonić na komórkę i pod numer stacjonarny, ale nikt nie odbierał. Czekałem godzinę na zewnątrz trzypiętrowego środkowego szeregowca, w którym zajmował górne piętro. Teraz, gdy wjechałem do Mile End, rozpoznałem piaskową cegłę i staloszary dach domu, w którym mieszkał Daniel Markham.

Był to pierwszy z sześciu identycznych pięciopiętrowych apartamentowców. Domy stały równoległe do siebie, zwrócone na zachód tak, że do żadnego mieszkania we wschodniej części budynku nie dochodziło światło słoneczne. Jak na ironię wszystkie domy nosiły nazwy różnych gatunków róż. Markham mieszkał w Albie na parterze. Szklane drzwi budynku były otwarte. W wejściu stały dwie kobiety, rozmawiając ze sobą, szczelnie opatulone płaszczami i chustkami.

W odległości trzech metrów od drzwi coś sobie przypomniałem.

Wejście.

Rozpoznałem budynek z fotografii Megan. Stała tam, gdzie te kobiety, spoglądając w obiektyw aparatu trzymanego przez faceta, z którym była. Z tym uśmiechem na twarzy. Markham. Czy to na niego patrzyła? Mężczyznę, z którym zaszła w ciążę? Tego, który ją porwał? Szybko wszedłem do środka i ruszyłem małym szarym korytarzem do mieszkania numer osiem na parterze.

Zapukałem dwukrotnie. Z innych części korytarza dolatywały stłumione dźwięki telewizora. Śmiech. Płacz dziecka. Tylko w mieszkaniu Markhama panowała cisza.

- Daniel?

Cisza.

- Danielu, nazywam się David Raker.

Milczenie.

Podszedłem bliżej. W drzwiach nie było judasza. Przyłożyłem ucho i zacząłem nasłuchiwać. Kilka sekund później usłyszałem jakiś dźwięk.

- Danielu, muszę z tobą porozmawiać.

Ponownie przytknąłem ucho do drzwi i usłyszałem jakiś hałas. Ten sam dźwięk. Skrzyp albo kliknięcie. Po chwili rozległ się znowu, tym razem zdecydowanie przypominając kliknięcie.

- Danielu?

Pochyliłem się, próbując rozróżnić dźwięki. Ze środka dolatywał nieprzerwany szum, być może lodówki, oraz inny słaby odgłos mogący dochodzić spoza mieszkania. I coś przypominającego klikanie. Tylko że tym razem poprzedził je delikatny warkot.

- Danielu?

Klik.

Z oddali doleciało wycie policyjnej syreny. Odstąpiłem od drzwi i czekałem, aż się nasili. Aż zagłuszy inne dźwięki dolatujące z wnętrza budynku. Później zrobiłem kolejny krok wstecz i kopnąłem w drzwi.

Otworzyły się z trzaskiem, uderzając o ścianę i odbijając się w moją stronę. Zatrzymałem je ręką. Oczekałem chwilę i spojrzałem na korytarz.

Później wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Po lewej stronie była łazienka, a obok niej drzwi sypialni. Przed sobą miałem krótki korytarz prowadzący do salonu i otwartej kuchni. Mieszkanie wyglądało tak, jakby ktoś wyszedł w połowie przeprowadzki i nigdy nie wrócił. Ściany pokrywała warstwa kurzu. Okna były niestarannie pomalowane białą farbą. Przez jedno z nich dostrzegłem ścieżkę prowadzącą do mieszkań oraz wejście. Dobra pozycja obserwacyjna dla Markhama - widział, czy ktoś się zbliża do budynku.

- Danielu?

Cisza. W salonie stała dwuosobowa kanapa, lampa i półka do połowy wypełniona książkami. Oprócz tego mieszkanie było puste. Żadnego telewizora ani wieży stereo, konsoli do gier, satelitarne dekodera lub odtwarzacza DVD. Ani jednego przedmiotu, który powinien mieć samotny mężczyzna.

Kuchnia też była właściwie pusta. Pozostało jedynie kilka przedmiotów. Czajnik i parę talerzy na suszarce. Miska na owoce. W rogu mruczała lodówka. Urządzenie było włączone, choć zostało rozmrożone. Drzwi lodówki i zamrażarki były otwarte. W żadnej nie było żywności. Podobna historia w sypialni: rama łóżka bez materaca, żadnego prześcieradła ani kołdry. Wbudowane szafy były otwarte. W środku dostrzegłem kilka ubrań. Parę koszul i spodni.

Klik.

Ponownie ten dźwięk. Wróciłem na korytarz i rozejrzałem się wokół. Dziwne dźwięki ucichły: nie dochodziły z mieszkania ani z dworu. Zapaliłem światło i ruszyłem w kierunku toalety. Ubikacja. Wanna. Umywalka. W górze poruszył się wiatraczek. Otworzyłem szafkę i zajrzałem do środka. Dezodorant, maszynka i krem do golenia. Nic więcej. Chciałem zamknąć szafkę, ale się nie udało. Spróbowałem drugi raz, ale drzwiczki znowu się

otworzyły. Zajrzałem do środka i spojrzałem na zamek. Zepsuty. Musiałem go uszkodzić, gdy otworzyłem szafkę.

Jakby właśnie tak miało się stać.

Jakby ktoś próbował zwrócić moją uwagę.

Podszedłem bliżej i przyjrzałem się wnętrzu szafki.

Przykręcono ją do ściany czterema umieszczonymi w rogach śrubami. Ująłem szafkę w dłoń i podniosłem. Chwilę stawiała opór, bo łebki śrub przywarły do otworów, w których tkwiły, ale kiedy użyłem większej siły, zdołałem wyrwać je ze ściany. Pomyślałem, że śruby celowo lekko odkręcono.

Z łebków uniósł się kurz, opadając na dno szafki. Pękający tynk chrupnął sucho.

Ściana za szafką miała kremową barwę, pierwotny kolor łazienki.

Pośrodku, między otworami po śrubach, ujrzałem wiadomość napisaną na ścianie.

Pomóż mi

Kiedy wróciłem do samochodu, deszcz w dalszym ciągu padał. Włączyłem silnik i nastawiłem ogrzewanie. W jednym z uchwytów stał kubek kupionej na wynos kawy. Z otworu w pokrywce unosiła się para.

Sięgnąłem po telefon. Na ekranie widniało zdjęcie wiadomości pozostawionej na ścianie. Umieściłem szafkę na miejscu, najlepiej jak umiałem, i zablokowałem drzwi wejściowe złożonym kawałkiem papieru. Gdyby ktoś wrócił do mieszkania, natychmiast zorientowałby się, że dokonano włamania. Jeżeliby wrócił, bo wszystko wskazywało na to, że w tym lokalu od dawna nikt nie mieszkał.

Zamknąłem zdjęcie, kiedy telefon w mojej ręce zadzwonił. Numer był zastrzeżony.

- David Raker.

- Davidzie, nazywam się Corine. Jestem przyjaciółką Spike'a.

Po przetłumaczeniu tego rosyjskiego napisu Spike zaproponował, że skontaktuje mnie z przyjacielem posiadającym stopień naukowy. Celowo wyrażał się niejasno. Do swojej pracy nie mieszał ludzi, których lubił.

- Spike powiedział, że masz kilka pytań.

Mówiła jak Angielka, delikatnie, z ledwie wyczuwalnym północnym akcentem. Ciekawe, jak poznała nielegalnego imigranta, który nigdy nie wychodził z domu.

- Tak. Miałem nadzieję, że będziesz mogła mi coś powiedzieć o formalinie.

- Formalinie? - Umilkła na chwilę. - Co chcesz wiedzieć?

- Używają jej do balsamowania zwłok, prawda?

- Już nie. Formaldehydy nie cieszą się obecnie najlepszą sławą. Niektóre europejskie kraje zakazały jej stosowania.

- Bo jest rakotwórcza?

- Tak. Formalina to trzydziestosięcioprocentowy roztwór formaldehydu. Reszta to metanol i woda. Mimo to ma niezwykle skuteczne działanie. Wystarczy zanurzyć zwierzę w wypełnionej nią kadzi, a tkanki zostaną natychmiast zakonserwowane. Spytaj Damiana Hirsta.

- Jak działa?

- Ogólnie mówiąc, formaldehyd utwardza. Przenika tkanki, wysusza protoplazmę i zastępuje płynny trwały składnikiem przypominającym żel. Nie tylko utrwala komórki i zachowuje kształt skóry, ale jednocześnie dezynfekuje tkanekę. Co więcej, jest

niewiarygodnie odporny na bakterie.

- Gdzie mógłbym ją dostać?

- Formalinę?

- Pytam teoretycznie. Gdzie można to kupić tak, żeby nikt się nie dowiedział?

- Ponieważ wspomniana substancja jest rakotwórcza, pozostaje pod ścisłą kontrolą.

Najlepiej byłoby ją sprowadzić spoza Europy lub z jakiegoś europejskiego kraju, w którym nie obowiązują tak ścisłe regulacje. Musiałbyś zaryzykować i wybrać jedną z tych dróg. I znaleźć kogoś, kto zechciałby ją przywieźć mimo ryzyka, które się z tym wiąże. Nie wiem, gdzie można znaleźć takich ludzi.

□ □ □

Godzinę później zjechałem przed cmentarz Kensal Green - siedemdziesiąt dwa akry pełne kamieni nagrobnych, mauzoleów i terenów parkowych rozpostartych w mieście niczym kobierzec. Objechałem długą kolumnadę, zaparkowałem na trawie i wyłączyłem silnik. Zza kolumny wyjrzała jakaś twarz, by chwilę później zniknąć. Wysiadłem z wozu i ruszyłem przed siebie. Pod kolumnami czuć było zapach starości i stęchlizny. Po prawej, w odległości około sześciu metrów ode mnie, spostrzegłem chudego Murzyna w żółtej czapce z włóczki i w lśniącej zielonej kurtce, zmierzającego w moją stronę.

Nazywał się Ray Smith.

Był drobnym oszustem, na którego policja miała haka, od kiedy pięć lat temu spartaczył robotę w banku w Mayfair. Czekał w wozie zaparkowanym przed wejściem, ale nie uciekał wystarczająco szybko. W gruncie rzeczy nie był złym facetem - po prostu zadał się z niewłaściwymi ludźmi. W zamian za nowe życie płatnego informatora wałęsał się po ulicach jako wolny człowiek. Właśnie wtedy go dopadłem i powiedziałem, że gazeta zapłaci mu dwukrotnie więcej niż londyńska policja. Gość był płotką, ale miał doskonały słuch. Właśnie temu faktowi zawdzięczał swoją ksywę. „Ray” nie było zdrobnieniem od imienia Raymond, ale od słowa „radar”, bo Smith zawsze wiedział, co się święci.

Zlustrowałem go od stóp do głów.

Przypominał sześćdziesięciokilogramowy kłębek energii zasilany mieszaniną adrenaliny oraz paranoi i był znany z okropnego gustu. Jego zielona skórzana kurtka przywodziła na myśl eksplozję nuklearną, a na środkowym palcu prawej ręki nosił ogromny pierścień ozdobiony brylantem.

- Podróżujesz incognito, Ray?

Smith przewrócił oczami i rozejrzał się wokół.

- Odpieprz się. Nie powinienem tu przychodzić i z tobą gadać. Przynosisz pecha.

- Jak to wykombinowałeś?

- Pamiętasz, kiedy ostatni raz ci pomogłem?

- Jasne. Będzie ze dwa lata temu.

- Właśnie. Wiesz, co się stało następnego dnia? Obili mi głowę, a później zdechł mój pies. Masz dotyk Meduzy. - Spojrzał w bok, ale po chwili ponownie popatrzył na mnie. - Słuchaj - zagaił i natychmiast przerwał. - No wiesz... słyszałem o twojej dziewczynie.

Skinąłem głową. Odwrócił się do mnie plecami i powiódł wzrokiem wzdłuż szeregu kolumn. Dałem mu chwilę. Za pomocą trwającego sekundę kontaktu wzrokowego Ray próbował wyrazić, że jest mu przykro z powodu Derryn. W naszej znajomości nie zdarzyły się jeszcze tak wzruszające chwile.

Zmieniłem temat.

- Nadal doisz podatników?

Zwrócił twarz w moją stronę.

- Tak, nadal to robię, ale stoję tu i oddycham tylko dlatego, że oficer kontaktowy trzyma mnie z dala od światła ramp.

Piętnaście lat temu policja wprowadziła nakaz, by detektywi rejestrowali swoich poufnych informatorów, co większość z nich uznała za jeden z najgorszych pomysłów w dziejach służb. Kiedy tajny informator dowiadywał się, że jego donosicielstwo zostało gdzieś odnotowane, informacje wywiadowcze przestawały napływać. Większość detektywów wpisywała dwóch lub trzech informatorów, z których usług nie zamierzała korzystać, i trzymała najlepszych jak najdalej od ksiąg. A Radar należał do najlepszych.

- Odwalasz dla nich dużo roboty?

- Tak, całkiem sporo - odparł, wzruszając ramionami. - Muszę. Jeśli tego nie zrobię, chłopcy w niebieskich mundurkach zapukają do moich drzwi i zakują w kajdanki. Nie bawi mnie perspektywa obijania się w więzieniu Pentonville.

- Naprawdę?

Zmarszczył brwi.

- I ty mówisz, że jestem zepsuty?

Roześmiałem się półgębkiem, tak by nie robić z tego sprawy. Ray nigdy nikogo nie zabił, ale przestrzegał surowego kodeksu postępowania, jakby był najgroźniejszym płatnym zabójcą na świecie. Podobnie jak w przypadku większości przestępców, jego kodeks był absurdalnie pokrecony. Nie krzywdzić kobiet ani dzieci. Wszystko, co miało związek z narkotykami, było w porządku, pod warunkiem że towar nie trafiał do dzieciaków poniżej

szesnastego roku życia. Użycie broni palnej nie wchodziło w grę, ale noży jak najbardziej. I żadnych dowcipów o upuszczaniu kostki mydła pod prysznicem, bo homoseksualizm był sprzeczny z prawem Bożym.

- Słuchaj, potrzebuję twojej pomocy.

Skinął głową i podszedł bliżej.

- Wyobraź sobie, że jestem importerem, który chce po cichu przywieźć do kraju pewną substancję chemiczną. Nie taką, która zrównałaby miasto z ziemią, ale wystarczająco szkodliwą, aby trudno ją było legalnie zdobyć na terenie Wielkiej Brytanii.

- O jakiej substancji chemicznej mówimy?

- Formaldehydzie.

- Co to za cholerstwo?

- Substancja, w której konserwuje się tkanki.

- Umarlaków?

- Właśnie.

- Nic mi się nie kojarzy.

- Przypuszczalnie sprowadzono go w postaci płynu. Nazywają to formaliną.

Ray natychmiast przestał się wiercić i utkwiał we mnie wzrok. Później otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- O co chodzi, Ray?

Kolejna dramatyczna pauza.

- Jest taki jeden, co ma dom w Beckton, niedaleko lotniska. Przyjechał z północy. Z Manchesteru albo okolic.

- Czym się zajmuje?

- Sprowadza do kraju przeróżne gówno, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent towaru jest legalna. W swojej chacie prowadzi czysty interes. Myślę, że jest dostawcą jakichś restauracji. Część towaru stanowi żywność, ale większość to wygrawerowane talerze, miski i inne cholerstwo.

- A pozostały jeden procent?

- Słyszałem, że facet ma znajomości. Gość jest jak magik. Idziesz do niego i mówisz, czego chcesz, a on to załatwia. Przywozi razem z miskami i porcelanowymi talerzami.

- Nadal czekam na sensację.

Ray przewrócił oczami.

- Nie słyszałeś, co powiedziałem? Gość nie dostarcza mi co tydzień pieprzonej inwentaryzacji. Nie jest moim przyjacielem, ale jeśli do miasta trafiła jakaś substancja

chemiczna, możesz iść o zakład, że maczał w tym palce.

Nie odpowiedziałem. Ray mrugnął, a jego twarz zamarała. Żadnego ruchu, żadnej oznaki, że coś przede mną ukrywa.

- W porządku - odrzekłem. - Jak się nazywa jego firma?

- Drayton Imports.

- Gość nazywa się Drayton?

- Tak, Derrick Drayton.

Wyciągnąłem długopis i zapisałem nazwisko oraz nazwę firmy na ręce.

- Kto korzysta z jego usług?

- Nie wiem.

Westchnąłem ciężko i spojrzałem na niego.

- Przestań chrzanić, Ray.

- Nie chrzanię.

- Nie wierzę.

- Niczego przed tobą nie ukrywam!

- Nie wierzę - powtórzyłem.

Tym razem się zawahał, a po chwili na jego twarzy pojawił się grymas, na który czekałem. Faktycznie coś wiedział.

- Ray?

Kolejna pauza.

- W porządku. Nie powinienem ci tego mówić...

- Czego?

- Policja wypytywała mnie o to gówno kilka miesięcy temu...

- Sekundę! Policja?!

- Tak.

- O co pytali?

- Czy słyszałem coś o Draytonie.

- Wyjaśnili, czemu pytają?

- Nie.

- Co powiedzieli?

- Nic. Zwyczajnie spytali, czy słyszałem o Draytonie, facecie, który prowadzi firmę importową. Kiedy powiedziałem im, co wiem, kazali, żebym trzymał gębę na kłódkę, jeśli ktoś zapyta.

Przerwałem na chwilę, powracając myślami do zdjęcia z kartonami formaliny w tle.

- Pytali, czy nie słyszałeś o jakiejś zaginionej dziewczynie?

Radar zmarszczył brwi.

- Nie.

- Wypytywali tylko o Draytona?

- Tak.

Zrobiłem pauzę.

- Skoro wiedzieli, że gość prowadzi nielegalną działalność, czemu go nie zgarnęli?

- Facet zniknął. Większość ludzi sądzi, że kupił bilet w jedną stronę i wyjechał z kraju, kiedy wyczuł, że coś się święci. Na zewnątrz interes Draytona był bez skazy. Pod jego nieobecność działalność w Beckton prowadzi rodzina. Będziesz musiał wykręcić dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, jeśli chcesz się dowiedzieć, jaką niespodziankę przygotowała mu policja, kiedy wróci. Szczególnie po... - Urwał nieoczekiwanie.

- Szczególnie po czym?

- Nieważne.

- Po czym?

Ray nie odpowiedział.

- Odezwij się, Radar.

Westchnął głęboko. Wsunął kilka palców pod czapkę, jakby próbował wyprostować zmarszczki na czole. W końcu ściągnął ją całą i przesunął dłonią po głowie. Krótkie włosy zjeżyły się pod palcami. Kolejne westchnienie, tym razem głośniejsze.

- Szczególnie po czym, Ray?

- Drayton ma kilka nieruchomości w tej części miasta. Nie tylko dom w Beckton. W jednej z nich... doszło do wypadku.

- O czym ty mówisz?

- Właśnie dlatego policja się nim interesowała. Z tego, co słyszałem, Drayton załatwił broń jakiejś zorganizowanej grupie przestępczej i pozwolił, żeby wykorzystali jeden z jego magazynów jako punkt przerzutowy.

- Zorganizowanej grupie przestępczej?

- Tak. Ruskim. Policja dostała cynk i wysłała kawalerię, ale operacja się nie udała... - Przerwał i spojrzał na mnie. - I kilku gliniarzy oberwało kulkę w głowę.

Spojrzałem na niego w milczeniu.

Jasny szlag.

On mówi o nocy, w której zginął Frank White.

Teczka Franka White'a leżała w bagażniku bmw, w kopercie, do której włożył ją Tasker. Zabrałem ją ze sobą, na wypadek gdybym znalazł czas na jej przejrzanie podczas podążania tropem Megan. Teraz dziwnym trafem Frank White wyłonił się z tła i połączył ze sprawą jej zniknięcia.

Usiadłem za kółkiem i zamknąłem drzwi, próbując zapanować nad mętlikiem w głowie. Na cmentarzu panowała cisza. Włączyłem wycieraczki na tryb pracy przerywanej, nasłuchując, jak przesuwają się po szybie. W pierwszej chwili nie dostrzegłem bezpośredniego związku. Istniała linia łącząca śmierć Franka z Rosjanami, Drayton Imports, formaliną i dziewczyną na fotografii, choć krąg nie był zamknięty. Czulem, że coś jest na rzeczy - że na pewnym poziomie te sprawy są ze sobą związane - ale nawet gdyby Megan była dziewczyną ze zdjęcia, co nie było żadną miarą pewne, że sprawą Franka White'a łączyło ją jedynie to, że kartony z formaliną widniejące na drugim planie fotografii zostały przypuszczalnie sprowadzone przez Draytona - właściciela magazynu, gdzie zginął Frank.

Nie podobała mi się wygodna łatwość tego rozumowania. Wygoda i zbieg okoliczności. Nie wierzyłem w zbiegi okoliczności. Wierzyłem w powiązania.

Ludzie byli ze sobą powiązani. Ludzie i zdarzenia.

Wszystko się ze sobą łączyło.

Zacząłem przeglądać teczkę. Zgromadzony materiał powtarzał niczym echo to, co Tasker przekazał mi przez telefon. Członkowie grupy operacyjnej zostali zdemaskowani przez czujki Rosjan i akcja przerodziła się w bezładną strzelaninę. Zespołowi SDC7 White'a towarzyszyło trzech antyterrorystów. Jeden z nich zdołał trafić skradzionego czarnego lexusa, którym uciekał chirurg, ale facetowi udało się zbiec. O dwudziestej trzeciej siedemnaście stwierdzono zgon Franka White'a. Inny detektyw, Kline, już wtedy nie żył. W wyniku strzelaniny zostali ujęci dwaj ludzie Akima Gobulewa, ale jeden zmarł w drodze do szpitala, a drugi nie chciał mówić. Detektywi podjęli pięć prób przesłuchania faceta, ale pięć stenogramów z przesłuchania dołączonych do teczki miało zaledwie po jednej stronie.

Wszystkim, co mieli, był chirurg.

Jednak nawet jego tak naprawdę nie mieli.

Wyniki analizy patologicznej, pobrane odciski palców i dane balistyczne potwierdzały to, co powiedział Tasker, ale spis dowodów był najdłuższy, jaki w życiu widziałem. Brak dymiącego gnata oraz to, że dwaj policjanci leżeli martwi na posadzce magazynu,

zmobilizowało ekipę kryminalistyczną. Zbadali każde włókno znalezione w budynku. Dla policjantów, którzy tam pracowali, sprawa nabrała osobistego wymiaru, gdy White i Kline przestali oddychać.

Przejrzałem listę. Wszystkie przedmioty pobrane na miejscu przestępstwa zostały skatalogowane i szybko zamazały obraz: liczby, nazwiska i opisy przelewały się z jednej strony na drugą. Włosy. Cząsteczki błota. Pyłki kurzu. Proch. Skóra. Na jedenastej i dwunastej stronie były dowody uzyskane od ludzi Gobulewa - żywych i martwych - obecnych na miejscu zdarzenia. Kolejne włókna. Odciski palców i nielegalna broń ze spiłowanym numerem seryjnym. Poniżej znajdowała się analiza dwóch dziewięciomilimetrowych pocisków, które zabiły Franka White'a. Oba miały wydrążony czubek, co oznaczało, że eksplodowały w klatce piersiowej, gdy tylko dosięgły celu. White musiał zginąć w jednej chwili.

Przejrzałem szybko resztę zawartości teczki - przesłuchania, zdjęcia z miejsca strzelaniny i to, co wiedzieli na temat chirurga - a gdy dotarłem do końca, rzuciłem teczkę na kolana i ponownie spojrzałem na cmentarz. Wokół panowała cisza. Żadnych ludzi. Żadnych samochodów. Tylko cichy szum wycieraczek.

Sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do Carverów. Odebrał James, ale w domu była także Caroline. Poprosiłem, żeby przełączył na tryb głośnomówiący, bo chciałem rozmawiać z obojgiem.

- Mam krótkie pytanie - powiedziałem. - Czy któreś z was słyszało nazwisko Frank White? Może Megan go znała? Może policja przelotnie wymieniła jego nazwisko?

- Nie przypominam sobie - odparł Carver.

Wyczułem napięcie panujące na linii. James mówił za siebie, a nie za ich dwoje.

- Ja też - dodała cicho Caroline.

Ludzie są ze sobą powiązani. Wydarzenia są ze sobą powiązane. Nic nie jest przypadkowe. Pożegnałem się i zadzwoniłem na komórkę Jill. Była poza domem. W tle słyszałem głosy rozmawiających ludzi.

- Nie przeszkadzam?

- Nie, absolutnie - odpowiedziała. - Jestem na zakupach.

- Mogę ci zadać kilka pytań?

- Oczywiście.

- Czy Frank kiedykolwiek wymienił nazwisko Megan Carver?

Pauza.

- Tej dziewczyny, która zaginęła?

- Tak.

- Nie sędzę.

- Nigdy nie wspomniał, że brał udział w jej poszukiwaniach?

- Nie, czemu pytasz?

Przerwałem na chwilę. Musisz ją spytać. Nie istnieje delikatny sposób zadania tego pytania.

- Czemu zdecydowałaś się przyjść na spotkanie grupy wsparcia akurat w tym tygodniu?

- O co ci chodzi?

O to, że już pracowałem nad sprawą Megan Carver, a kiedy się zjawiała, zacząłem badać także okoliczności śmierci twojego męża. Dziś dowiedziałem się, że może je łączyć jakiś związek.

- Zaciekał mnie związek czasowy, to wszystko.

Zawahała się. Wytrzymałem milczenie. Jill nie sprawiała wrażenia osoby pełnej zagadek. Jej ból po stracie męża wydawał się szczery. Podobnie jak nieśmiałość. Nie dostrzegalem innych motywów ukrytych za jej dołączeniem do grupy wsparcia oprócz pragnienia uporania się z bólem po śmierci ukochanej osoby. Mimo to nie mogła utrafić w lepszy czas. Poprosiła mnie o zbadanie okoliczności śmierci Franka czterdzieści osiem godzin po tym, jak Carverowie zlecili mi odszukanie Megan. W Londynie mieszkało siedem milionów ludzi, a jednak dziwnym trafem w odstępie zaledwie dwóch dni zacząłem się zajmować tymi dwiema sprawami.

- Davidzie, nie wiem... - Przerwała. - Nie wiem, o co ci chodzi.

- Wygląda na to, że sprawa Franka ma jakiś związek z Megan. Staram się ustalić jaki. Bo obecnie pracuję nad sprawą Megan. Wspominałem ci o niej. O nic cię nie oskarżam, staram się jedynie ustalić ten związek.

- Przysięgam, nie wiedziałam, że te sprawy są ze sobą powiązane.

Dysponowałem jedynie jej głosem. Delikatną modulacją brzmienia. Wznoszącą się i opadającą intonacją. Mówiła prawdę albo była doskonałym kłamcą.

- Próbowałam sobie poradzić z jego śmiercią - powiedziała. - Dlatego przyszedłam na spotkanie grupy wsparcia. Minał prawie rok, a mnie wcale nie było łatwiej. Pomyślałam, że mogą mi pomóc spotkania w małej grupie.

- Czy wiedziałaś, że chodzę na spotkania?

- Nie.

- Czy słyszałaś o mnie wcześniej?

- Nie.

Przerwałem na chwilę.

- W porządku.

- Powiedziała prawdę, przysięgam.

- Wierzę ci - odparłem, choć zrobiłem to bez przekonania. Nawet jeśli mówiła prawdę, coś mi tu nie pasowało. - Musiałem się upewnić.

- Rozumiem.

Teraz wyraźnie kłamała. Obraziłem ją sugestią, że zjawiała się na spotkaniu naszej grupy powodowana ukrytym motywem. Jakimś celem, którego nie chciała wyjawić.

Kiedy się zegnaliśmy, jej głos był cichy i daleki. Zacząłem ponownie przeglądać teczkę. Pracowałem z wytężoną uwagą. Badałem każdą linijkę, każde hasło, każdy szczegół. Do dwunastej strony drugie czytanie przyniosło niemal taki sam efekt jak pierwsze. Żadnych związków. Żadnych ludzi, żadnych wydarzeń i - co najważniejsze - żadnego ogniwa łączącego tę sprawę z dziewczyną, którą próbowałem odnaleźć.

Znalazłem coś dopiero na trzynastej stronie.

W połowie kartki była wzmianka, że technicy kryminalistyczni znaleźli kilka szarych włosów. Testy DNA wykazały, że nie należały do nikogo z obecnych na miejscu zdarzenia. W ogóle nie były ludzkie. Była to sierść psa.

Charta.

Nikt nie wspomniał, by na miejscu przestępstwa widziano psa, poza tym magazyn był zamykany, więc nie mógł służyć za schronienie błąkającym się zwierzętom, a to oznaczało, że ktoś musiał przynieść sierść ze sobą. Policja uznała pewnie, że pochodziły z jakiegoś salonu albo kuchni, ale ja od razu wiedziałem, że nie przyniesiono ich z domu.

Że pochodziły z Torowiska Umarłych.

Skręciłem w moją ulicę i od razu zauważyłem, że coś się święci. Ludzie stali w padającym deszczu i spoglądali w kierunku mojego domu. Sine światła kładły się na ścianach i błyskały w oknach. Policyjna taśma łopotała w powiewach lekkiego wiatru. Za taśmą stał policjant. Patrzył, jak nadjeżdżam. Zmrużył oczy, próbując odgadnąć, kim jestem i czego chcę. Gdy samochód znalazł się bliżej, zrobił taką minę, jakby miał zamiar powiedzieć, żebym zawrócił. Wtedy spojrzał mi w twarz i mnie rozpoznał. Obejrzał się za siebie. Przed domem stała furgonetka zespołu kryminalistycznego i trzy samochody osobowe, w tym dwa oznakowane radiowozy. Trzeci wóz marki Volvo nie miał policyjnych oznaczeń, ale na desce rozdzielczej stał migający kogut. Gdy zatrzymałem bmw przed taśmą, funkcjonariusz krzyknął coś w ich stronę i na moim podjeździe ukazało się dwóch mężczyzn.

Phillips i Davidson.

Wysiadłem z samochodu.

- Co tu się dzieje, do licha?

Żaden nie odpowiedział. Phillips szedł pierwszy, ubrany w długi czarny płaszcz, który powiewał za nim jak peleryna. Krok dalej podążał Davidson, trzymając w dłoni kubek kupionej na wynos kawy. Na jego twarzy nie widać było nawet cienia uśmiechu.

- Davidzie - powiedział Phillips.

Staliśmy po przeciwnych stronach policyjnej taśmy. Phillips spojrzał przez ramię na dom. Na podjeździe ukazała się funkcjonariuszka z zespołu kryminalistycznego, niosąc pudełko po butach. Jedno z tych, które trzymałem w szafie w pokoju gościnnym. Pełne rzeczy należących do Derryn, których nie zdążyłem przejrzeć.

- Dokąd to zabiera?

Phillips nie odpowiedział. Davidson wzruszył ramionami.

Spojrzałem gniewnie na Phillipsa.

- Wszystko, co znajduje się w tym pudełku, jest własnością mojej żony.

- Uspokój się, Davidzie - odpowiedział Phillips.

- Mam się uspokoić?!

- Uspokój się.

- Żądam natychmiastowego zwrotu tego pudełka!

- Posłuchaj - odparł Phillips, rzucając okiem w kierunku tłumu zebranego na końcu ulicy. Odruchowo się odwróciłem i spojrzałem na dom Liz. W jej oknach było ciemno.

W środku nikogo nie było. Odetchnąłem z ulgą, bo nie chciałem, żeby to oglądała. - Po prostu się uspokój - powtórzył - bo tylko pogorszysz swoją sytuację.

- Co robicie w moim domu?! - zapytałem, ignorując jego słowa. - Macie nakaz?!

Phillips pomacał kieszeń kurtki i wyciągnął kawałek papieru w plastikowej koszulce. Podniósł go.

- Skłamałeś pod przysięgą, żeby to zdobyć?

Nie odpowiedział, ograniczając się do wręczenia dokumentu.

Spojrzałem na kartkę. Brak światła powodował, że trudno było odczytać szczegóły, ale dostrzegłem swoje nazwisko u góry i widniejący u dołu podpis.

- Kto, do cholery, się pod tym podpisał?

- Chcę, żebyś ze mną poszedł - powiedział Phillips.

- Czemu miałbym to zrobić?

Na twarzy Davidsona pojawił się wyraźny uśmiech. Spojrzałem na niego.

- Masz mi coś do powiedzenia, grubasie?

Wzruszył ramionami, nie przestając się uśmiechać.

Phillips ciężko westchnął.

- Jak chcesz, Davidzie. Skoro tak, będziemy musieli to załatwić w formalny sposób.

W ręku Davidsona pojawił się notatnik i - mimo padającego deszczu - facet zaczął notować, co przed chwilą powiedziałem. Chociaż kipiałem gniewem, wiedziałem, że muszę się uspokoić, by nie powiedzieć czegoś, czego będę później żałował. Jednak gdy ponownie spojrzałem na pudełko po butach, które policjantka wkładała do furgonetki, gniew zakipiał na nowo. Schyliłem się i przeszedłem pod taśmą. Umundurowany funkcjonariusz ruszył w moją stronę. Phillips zauważył to i podniósł rękę.

- Davidzie! - rzucił ostrzegawczo.

- Mam nadzieję, że macie cholernie dobry powód, by tu być.

Phillips skinął głową.

- Davidzie Raker, aresztuję pana pod zarzutem porwania Megan Carver. Nie musi pan niczego mówić...

- Co?!

-...ale pana sytuacja w sądzie może ulec pogorszeniu, jeśli podczas przesłuchania nie wspomni pan o czymś, co zechce później wykorzystać do obrony. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte jako dowód. Czy zrozumiał pan, co powiedziałem?

- Żartujecie?!

- Zrozumiałeś, Davidzie?

Spojrzałem na obu. Davidson ciągle notował, a Phillips spoglądał w pustą przestrzeń między mną i stojącym z boku posterunkowym.

- Davidzie?

Utkwiłem w nim wzrok.

- Zrozumiałeś, co powiedziałem? Tak czy nie?

Davidson nadal notował za jego plecami.

- Tak czy nie?

Popatrzyłem mu w oczy.

- Tak.

Ponownie skinął posterunkowemu. Usłyszałem metaliczny brzęk kajdanek i poczułem, jak funkcjonariusz staje za moimi plecami. Chwycił moje dłonie i wykręcił do tyłu. Poczułem zimny, wilgotny dotyk metalu i usłyszałem kliknięcie. Stojący przede mną Davidson teatralnym gestem postawił kropkę w notatniku.

- To jakiś obłąd - wyjąkałem.

Phillips położył dłoń na moim ramieniu.

- Chodźmy.

To dopiero początek

Spała na materacu, przykryta dwoma kocami. Godzinę po jego drugiej wizycie w tym dniu, kiedy rzucił jej płyn do twarzy i waciki, zgasty światła i pomieszczenie pogrążyło się w całkowitej ciemności. Zapaliły się dopiero następnego dnia, podczas pierwszej wizyty, kiedy przyniósł jej jedzenie, potem ponownie zgasty i otoczyła ją wszechogarniająca cisza.

Początkowo darła się ile sił w płucach, żeby ktoś ją usłyszał. Po tygodniu zaczęła podejmować próby przekonania go. Dziesiątego dnia oznajmiła, że materac jest niewygodny. W końcu, po dwóch tygodniach, zmieniła taktykę, kiedy przyszedł z jedzeniem.

- Zabiję cię, draniu!

Spróbowała tylko raz.

Gdy na niego krzyknęła, zatrzymał się i wyprostował. Spojrzał na nią z góry. Na jego twarzy pojawił się uśmiech - cienka linia przypominająca bliznę po nożu, a jego usta lekko się rozwarły. Uświadomiła sobie, że nie był to uśmiech, ale ostrzeżenie. Dawał jej do zrozumienia, że nie zorientuje się, iż on nadchodzi, nawet jeśli już nigdy nie zmruży oka. Że zrobi z nią, co zechce, że po nią przyjdzie, kiedy będzie jej potrzebował.

Że jedyną rzeczą, którą zobaczy, będzie błysk w ciemności.

□ □ □

Sona się obudziła. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Był środek nocy. Przekręciła się na materacu, czując, jak uginają się sprężyny, i naciągnęła prześcieradło pod brodę. Gdy to zrobiła, pierwszy raz od chwili porwania usłyszała coś za zasłoną ciszy: delikatne kapanie deszczu. Stukanie kropeł dolatywało z oddali, ciche i uporczywe. Kiedy zamknęła oczy, próbując skoncentrować się na dźwięku, zabrzmiał tak, jakby krople padały na metalowe palenisko.

Psssssss.

Momentalnie otworzyła oczy.

Dół, w którym ją trzymał, był obmurowany ciemnymi cegłami, więc nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Ani jednej szczeliny, przez którą mógłby przedostać się promień światła. Nie mogła zobaczyć nawet własnej dłoni trzymanej przed nosem. Wszystko ginęło w ciemności, więc pozostawał jedynie dźwięk - teraz bardzo delikatny - dolatujący przez podłogę pokoju na górze i spływający po ścianach dołu. I rytmiczne dudnienie deszczu.

Leżała z otwartymi oczami. Zaczęła w myślach odmierzać czas - trzydzieści sekund,

jedna minuta, dwie, pięć - deszcz się nasilił. Po dziesięciu minutach poczuła się zmęczona. Powieki zaczęły opadać. Otworzyła oczy siłą woli i wpatrywała się w ciemność kolejnych sześćdziesiąt sekund. Później je zamknęła, zmęczona walką z nadciągającym snem.

Psssssss.

Poruszyła się gwałtownie i usiadła na materacu. Co to było? Tym razem dźwięk wydawał się bliższy. Sądziła, że zdoła coś dojrzeć, choćby najdrobniejszy kształt przez zasłonę mroku. Ale niczego nie spostrzegła. Żadnego światła. Żadnego kształtu. Wyciągnęła rękę, sięgając do miejsca, z którego pochodził dźwięk. Pochyliła się do przodu, opierając drugą rękę na podłodze, aby nie stracić równowagi.

Wtedy usłyszała go ponownie.

Rozpoznała dźwięk.

Statyczny trzask.

W rogu dołu zabłysła latarka, oślepiając ją na chwilę. Odruchowo zasłoniła oczy dłonią, ale kopnięcie pozbawiło ją oparcia i runęła przed siebie, uderzając twarzą o posadzkę. Zawirowało jej w głowie, przed oczami ukazały się gwiazdki. Kiedy przekręciła się na plecy, stał nad nią w rozkroku, z uśmiechem na twarzy.

Za jego plecami dostrzegła opartą o ścianę drabinę.

Zszedł do dołu, a ona niczego nie usłyszała.

Próbowała się wykręcić, uciec tak daleko, jak się da, ale położył jej but na gardle i przyszpilił do podłogi. Usłyszała statyczny trzask dolatujący z głośników w pokoju na górze.

- To dopiero początek - powiedział.

Chociaż był blisko, nie mogła rozpoznać jego rysów. Odwrócił latarkę od siebie, kierując snop światła w lewą stronę. Spowijał go cień, mrok nocy ogarnął każdy fragment jego twarzy.

- Zwrócisz mi moje życie.

Z błyskiem w oku zabrał nogę z jej gardła i postawił na podłodze. Zaczęła się szamotać, kopać, wymierzać kuksańce i gryźć, ale był zbyt szybki. Uderzył ją w skroń - zadał cios w okolicę prawego oka - poruszając się niemal ze świstem.

Runęła bokiem na materac i zemdląła.

CZEŚĆ TRZECIA

Zawieźli mnie na ten sam posterunek co wcześniej, ale tym razem nie trafiłem wprost do pokoju przesłuchań. Ten sam oficer dyżurny, który powitał mnie podczas pierwszej wizyty, siedział za biurkiem, gapiąc się w dół przez okulary połówki. Spojrzał na mnie, a następnie rzucił okiem na Phillipsa i Davidsona i wpuścił ich do środka. Cała trójka poprowadziła mnie w kierunku przeciwnym do tego, gdzie znajdowały się pokoje przesłuchań, przez podwójne drzwi do części, w której był areszt. Phillips zamknął metalową kratę za moimi plecami, a Davidson ruszył w lewo. Oficer usiadł za biurkiem, przedstawił się jako Fryer i poprosił Phillipsa, żeby zdjął mi kajdanki. Zaczął od poinformowania mnie, jakie mam prawa. Co kilka zdań przerywał i pytał, czy wszystko jest jasne. Nienawidzili ustawy o policji i dowodach przestępstw kryminalnych bardziej od mężczyzn i kobiet, których zatrzymali. Gdyby cokolwiek opuścili lub się pomylili, obrońca mógłby wnieść o oddalenie sprawy.

Po zakończeniu Fryer wyciągnął spod blatu aparat fotograficzny. Policja lubi robić zdjęcia na samym początku, na wypadek gdyby zatrzymany z jakiegoś powodu doznał obrażeń podczas przebywania w areszcie. Zrobił mi trzy zdjęcia. Potem poprosił, żebym podszedł do stołu, gdzie znajdował się zestaw do pobierania odcisków palców. Davidson cały czas wszystko obserwował. Rzuciłem mu wściekle spojrzenie, ale facet odpowiedział obojętną miną.

Następnie Fryer poprosił o przedstawienie okoliczności zatrzymania. Właśnie w tym celu Davidson robił notatki. Okazało się, że Phillips ich nie potrzebował. Opowiedział wszystko z pamięci. Kiedy skończył, Fryer spytał, czy mam coś do dodania. Czy nie chcę zakwestionować relacji Phillipsa? Zaprzeczyłem ruchem głowy.

Reszta formalności zajęła dwadzieścia minut. Opróżniłem kieszenie, spisano stan mojego posiadania. Później oddałem im pasek i sznurówki, a Fryer ponownie przypomniał mi moje prawa i spytał, czy chcę do kogoś zadzwonić lub skontaktować się z obrońcą. Tym razem zgłosiłem chęć wykonania telefonu, więc Phillips skierował mnie do pomieszczenia za obszarem spisywania aresztowanych. Była to mała salka ze ścianą z paneli ze wzmocnionego szkła. W środku znajdował się jeden stół i jedno krzesło - przytwierdzone do podłogi - oraz wiszący na ścianie telefon. Zaprowadzili mnie tam i zostawili. Gdy wyszli, wykręciłem numer komórki Liz. Odebrała po trzecim sygnale.

- Słucham?

- Liz, mówi David.

- Witaj, Davidzie - powiedziała takim tonem, jakby ucieszyła się, że dzwonię. - Jak się masz? Zapukałam do ciebie wczoraj, ale cię nie zastałam.

- Słuchaj, Liz...

Z miejsca wyczuła, że coś się stało.

- Wszystko w porządku?

- Zostałem aresztowany.

- Co?

- Policja przeszukała mój dom... - Przerwałem. - Popelnili błąd. Sądzą, że jestem zamieszany w zniknięcie Megan Carver. Nie wiem jak, ale... Posłuchaj, nie chcę mówić o tym przez telefon. Po prostu potrzebuję twojej pomocy. Możesz przyjechać?

- Tak, jasne. Oczywiście - odpowiedziała. - Sęk w tym, że nie jestem w Londynie.

Posmutniałem.

- A gdzie?

- Pojechałam do Warwick, żeby zobaczyć się z Katie.

Przypomniałem sobie, że przed ósmą rano widziałem, jak idzie do samochodu zaparkowanego na podjeździe. Warwick znajdowało się w odległości stu dwudziestu kilometrów od Londynu. Ponad godzina szybkiej jazdy. Tylko że w niedzielną noc autostrada do Londynu była zatłoczona i można było zapomnieć o szybkiej jeździe. Nawet gdyby natychmiast wyjechała, dotarcie na miejsce zajęłoby jej kilka godzin. Albo więcej, gdyby szczęście mi nie dopisało.

- Davidzie - powiedziała przyciszonym, opanowanym głosem - o co cię oskarżają?

- Myślą, że porwałem Megan.

Zamilkła na chwilę.

- Porwałeś ją?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Usłyszałem, jak cicho odetchnęła.

- W porządku. Posłuchaj uważnie. Zadam ci kilka pytań. Nie pomiń niczego. - Zamilkła, aby dotarło do mnie ostatnie zdanie. Przypominała mi, że gdy poprzednio mi pomagała, nie wspominałem o pewnych sprawach. - Pytanie pierwsze: sądzisz, że Megan nie żyje?

- Zaginęła pół roku temu.

- Czy mam to rozumieć jako potwierdzenie?

- Statystycznie rzecz biorąc, wszystko na to wskazuje, choćby czas, który upłynął od

jej zaginięcia. Nie mam jednak żadnego dowodu, który by to potwierdzał. Oni również. Nie zamknęli śledztwa.

- Skoro śledztwo jest w toku, mogą zakładać, że dziewczyna żyje?

- Tak.

- Wyjaśnię ci, o co chodzi. Masz prawo do darmowej porady prawnej. Na pewno ci to powiedzieli. Policja musi ją zapewnić zgodnie z ustawą o policji i dowodach przestępstw kryminalnych. Możesz podążyć tym tropem, a ponieważ mamy niedzielę wieczór, prawnik nie zjawi się na posterunku w ciągu pięciu minut. W ten sposób odwleczesz przesłuchanie, a ja zyskam czas, żeby wrócić. Ale...

- Ale?

- Ale... - Przerwała ponownie. Usłyszałem westchnienie i trzaski na linii. - Jeśli uznają, że istnieje realne i bezpośrednie zagrożenie życia kogoś związanego ze sprawą, na przykład dziewczyny, o której porwanie cię oskarżają, mogą zacząć przesłuchanie bez czekania na prawnika. Jeśli sądzą, że Megan żyje, bo wskazują na to dowody, i uważają, że wszelka zwłoka nieodwracalnie utrudni odnalezienie jej żywej, wówczas mogą rozpocząć przesłuchanie, gdy tylko zakończymy tę rozmowę.

Spojrzałem przez szybę na miejsce, gdzie Phillips, Davidson i Fryer mnie rejestrowali. Teraz przyłączyli się do nich Hart i facet, którego nie rozpoznałem. Gość był w mundurze. Pięćdziesięcioletni, szczupły. Na ramieniu koszuli widniał stopień. Korona z czerwoną lamówką, a pod nią cztery gwiazdki. Wyczuł, że mu się przyglądam, i odwzajemnił spojrzenie.

- Davidzie?

Obserwowałem go jeszcze chwilę.

- Kto podejmuje taką decyzję?

- Jaką decyzję?

- O nieczekaniu na przybycie adwokata.

- Komendant posterunku albo oficer wyższy stopniem.

Między Fryerem i Hartem stał komendant z formularzem mojego zatrzymania i wpatrywał się we mnie badawczym wzrokiem.

Dwadzieścia minut później siedziałem w pokoju przesłuchań numer cztery, a szpule magnetofonu już się kręciły. Między nami stały trzy kubki kawy z automatu. Żadna nie została tknięta. Pokój był mniejszy od tego, do którego zaproszono mnie poprzednim razem. Wszystko to było elementem przedstawienia. Mniejsze pomieszczenie. Mniej powietrza do oddychania. Pragnęli wykorzystać każdą psychologiczną przewagę, jaką mieli.

Phillips wcisnął przycisk nagrywania, przedstawił siebie i Davidsona dla potrzeb nagrania, a następnie poprosił, żebym podał swoje nazwisko i adres. Na biurku przed nim leżała cienka szara koperta, z której wystawały końce fotografii. Położył na niej łapę, jakby się obawiał, że może nagle zniknąć. Davidson przyjął wyluzowaną postawę z pierwszego przesłuchania: odchylił się na krześle, zdjął marynarkę i splótł ręce na brzuchu opiętym przyciasnym T-shirtem.

- W takim razie do roboty, Davidzie - powiedział. - Zacznę od zadania kilku podstawowych pytań, dobrze? Możesz nam powiedzieć, czym się zajmujesz?

Davidson posłał mi szydery uśmiech.

- Coś cię rozbawiło?

- Davidzie?

Odwróciłem się do Phillipsa, ale nie odpowiedziałem.

- Davidzie?

- Zajmuję się poszukiwaniem zaginionych osób.

Davidson skinął głową. Udawana szczerłość. Pochylił się na krześle i przysunął sobie jeden z kubków. Żeby było widać, że coś robi.

- Czemu akurat zaginionych? - spytał Phillips.

- Jakies cztery miesiące po moim odejściu z gazety jedna z przyjaciółek mojej żony poprosiła, abym zbadał okoliczności zniknięcia jej córki. - Przerwałem. Obaj na mnie spojrzeli. Phillips ani drgnął, za to Davidson przekręcił się na krześle. - Zrobiłem to. Później zgłosiła się inna para, a po niej kolejna.

I jeszcze jedna. Zanim zdążyłem się zorientować, stało się to moim głównym zajęciem.

- Zarejestrowałeś tę działalność?

- Gdzie? W Association of British Insurers? Nie, nie zrobiłem tego. Nie zapisałem się, żeby otrzymywać darmowy biuletyn informacyjny i kwartalnik „Investigators Journal”.

- W jaki sposób ludzie dowiadują się o twoim istnieniu?

- Z książki telefonicznej, internetu, od znajomych.

- Czy Carverowie usłyszeli o tobie od znajomych?

- Musisz ich o to spytać.

- Nie powiedzieli ci?

- Zwykle nie jest to dla mnie najważniejsze.

- To znaczy?

- Ludzie, którzy proszą mnie o pomoc, mają rozdarte serce, bo ich dziecko od miesiąca nie wróciło do domu. Nie prowadzę badań rynku. Próbuję jedynie odnaleźć najważniejszą osobę w ich życiu.

- Faktycznie to robisz?

- Co?

- Odnajdujesz ich?

Skinąłem głową.

- Zawsze.

- Jesteś dobry w tej robocie?

Spojrzałem na Davidsona, ale odpowiedziałem Phillipsowi.

- Myślę, że mamy odmienną definicję dobrego wykonywania swojej pracy.

Davidson pochylił się do przodu i położył obie dłonie na stole, jakby próbował się powstrzymać. Gdyby przesłuchanie nie było nagrywane, pewnie by coś palnął.

- Czego się dowiedziałeś o zniknięciu Megan Carver? - spytał Phillips, patrząc na zamkniętą teczkę leżącą na stole.

- Niewiele.

- Mógłbyś to rozwinąć?

Nie odpowiedziałem natychmiast, więc kiedy podniósł głowę, mógł zobaczyć moją minę. Niekoniecznie.

- Zniknęła ze szkoły trzeciego kwietnia tego roku - odrzekłem, zanim zdążył powiedzieć coś, co zostałoby nagrane i dostarczyło dowodu, że nie chcę współpracować. - Przeprowadziłem rozmowę z jej przyjaciółmi i rodziną. Sprawdziłem pocztę elektroniczną i telefony. Do tej pory niczego nie znalazłem.

Phillips zmrużył oczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Niczego?

- Niczego istotnego.

Wiedziałem o trzech rzeczach, których nie wiedziała policja. Jedna łączyła Megan z Torowiskiem Umarłych. Gdyby przejrzeni jej pocztę i obeszliz zabezpieczenia na stronie LCT, znaleźliby mapę szkolnego parkingu i wiadomość (*Spotkajmy się o drugiej trzydzieści po południu na romantycznym pikniku w lesie*), nie mieliby jednak pojęcia, o jaki las chodzi, więc ten trop do niczego by ich nie doprowadził. Bo nie wiedzieli o gościu z klubu Tiko. Gdyby zauważyli go na nagraniach wideo wykonanych sześć miesięcy przed zniknięciem Megan i połączyli ten fakt z wiadomością i mapą, wszystko ułożyłoby się w spójną całość. Jednak bez niego to, co mieli, było bezwartościowe.

Drugą rzeczą był klub młodzieżowy. O nim również wiedzieli, lecz nie zbadali sprawy dość głęboko. Niemal na pewno przesłuchali Daniela Markhama, ale ponieważ Kaitlin nie wspomniała im o ciąży Megan, pewnie prześlizgnął się przez ich sieci. Nawet jeśli raz wykręcił się z kłopotów, można było iść o zakład, że ponownie się w nie wpakuje. Policja wiedziała o związku łączącym Megan i Leanne: dwóch zaginionych dziewczyn, które pracowały w tym samym miejscu na część etatu. Jeśli Healy węszył wokół, nieoficjalnie badając sprawę zaginięcia córki, oznaczało to, że rozpaczliwie poszukiwał jakiegoś tropu. A to z kolei oznaczało, że policja w dalszym ciągu starała się ustalić, kto porwał Megan i Leanne. Kluczem do rozwiązania zagadki był Markham, a - na obecną chwilę - tylko ja wiedziałem o jego związku z Megan.

Poza tym na marginesie sprawy był Frank White. W noc strzelaniny znaleźli sierść psa w magazynie Drayton Imports. Byłem święcie przekonany, że należała do psa, którego spotkałem w lesie Hark's Hill. Oprócz tego nadal próbowałem znaleźć ogniwo łączące White'a z Megan. Może zdołam wykorzystać w tym celu Healy'ego? Facet szukał odpowiedzi w sprawie Leanne, a ja chciałem się dowiedzieć, jak do tej układanki pasował Frank White.

- Co wiesz o Charliem Bryancie? - spytał Phillips, wytrącając mnie z zadumy.

- Chłopak ma jakiś związek z jej zniknięciem. Nie ustaliłem jeszcze jaki i dlaczego. Sądzę jednak, że ten, kto go zabił, uprowadził Megan.

- Czemu go zamordował?

- Powiedziałem, że jeszcze tego nie ustaliłem.

- Musisz mieć jakieś domysły.

- Może wiedział coś, czego nie powinien.

- Na przykład?

Zmarszczyłem brwi.

- Chcecie, żebym przedstawił kilka fantastycznych hipotez? A może wolicie trzymać się faktów? Żadnych świadków. Żadnego nagrania z kamer wideo. Żadnych relacji, że Megan czuła się nieszczęśliwa lub była w depresji. Jestem pewny, że wasz kolega, detektyw inspektor Hart, powiedział wam, że to skomplikowana sprawa. - Przerwałem na chwilę. Hart. To on powinien prowadzić śledztwo w sprawie zaginięcia Carver. Jeśli tak, gdzie, u licha, był? Spojrzałem na Phillipsa. - Czy Hart nie powinien tu być? Przecież to on prowadzi dochodzenie, prawda?

Phillips skinął głową.

Skwapliwie wykorzystałem okazję do wyrażenia podejrzliwości.

- Największa nierozwiązana sprawa minionego roku, a on nie chce w tym uczestniczyć?

Phillips westchnął.

- Jeśli chcesz wiedzieć, Davidzie, detektyw inspektor Hart jest zajęty gruntowną i skrupulatną rewizją w twoim domu.

Zmarszczyłem czoło.

- Dlaczego?

Phillips zignorował pytanie i przesunął teczkę tak, by znalazła się przede mną. Wolno ją otworzył. W środku było pięć zdjęć, ułożonych przodem do dołu, jedno na drugim.

- A jak sądzisz? - zapytał.

Odwrócił górne zdjęcie. Fotografia z miejsca przestępstwa. Widniała na nim lalka, którą znalazłem w klubie młodzieżowym, leżąca na moim stole w salonie tak, jak ją zostawiłem. Odwrócił następne. Fotografia znaleziona przeze mnie w lalce - przedstawiająca ramiona i szyję kobiety - w plastikowej torebce na dowody rzeczowe.

- Ktoś mi to podrzucił.

- Gdzie?

- Do ogrodu - skłamałem.

- Kto?

Spojrzałem mu w oczy.

- Nie wiem.

- Kiedy?

- Nie mam pojęcia.

- Wiesz, skąd pochodzi ta lalka?

- Nie.

- Wiesz, kim jest kobieta na tym zdjęciu?

- Nie.

Odchylił się na krześle.

- Nie wiesz wielu rzeczy.

- Wolałbyś, żebym zmyślał?

Phillips pokręcił głową.

- Nie, skądże, Davidzie. Pozwól, że ci przypomnę, że jesteś w poważnych tarapatach.

- Bo jakiś czubek zostawił lalkę na moim trawniku?

Przyglądał mi się chwilę, a następnie przeniósł wzrok na pozostałe fotografie. Zabębnił palcami o blat, a po chwili zaczął się bawić obrączką, obracając ją to w jedną, to w drugą stronę.

- Czy wiesz, co oznacza ta dwójka na zdjęciu? - spytał Phillips, wskazując palcem cyfrę wrytą w górnym rogu fotografii kobiety.

- Nie.

- Myślę, że wiesz.

Wsunął palec pod trzecie zdjęcie i je odwrócił. Przedstawiało kuchenny blat w moim domu i leżącą na nim fotografię. Wykonano ją w tym samym miejscu co poprzednie zdjęcie. To samo przyćmione światło. Zdjęcie zrobiono kilka sekund przed lub po poprzednim. Była na nim kobieta, której nie rozpoznałem. Niebieskie oczy spoglądały lekko szklistym wzrokiem. Nie wyglądała na martwą, ale sprawiała wrażenie odurzonej. Była ładna, ale brudna i wyglądało, że ma siniak w okolicy prawego oka.

- Kto to? - spytałem.

- Nie wiesz?

- Nie.

- Nie zrobiłeś tego zdjęcia?

- Nie.

Phillips odwrócił czwartą fotografię. Widniało na niej pudełko po butach Derryn - to samo, które wyniosła z mojego domu policjantka - oświetlone jasnym światłem flesza. W środku było pełno jej rzeczy: nasze wspólne fotografie, biżuteria i notatnik. Na samej górze, pośrodku pudełka, leżało zdjęcie kobiety, którą Phillips pokazał mi przed chwilą. *In situ*. Brudna, odurzona narkotykiem twarz. Jasne włosy. Siniak.

Znaleźli je w pudełku.

- Wcześniej go tam nie było - powiedziałem.

- Tam je znaleziono.

- Nigdy go nie widziałem...

- Znaleźli to zdjęcie w pudełku po butach w twojej szafie, w twoim domu - powiedział Phillips. - Ta kobieta... - Przeniósł wzrok ze mnie na Davidsona. - Sądzymy, że ją porwał i torturował.

- Chyba żartujesz!

- Nie, Davidzie - odpowiedział. - Mówię śmiertelnie poważnie.

- Nawet jej nie znam. Nie widziałem tej kobiety w całym pieprzonym życiu. Nie wiem, kim jest ani jak jej zdjęcie znalazło się w moim pudełku po butach, ale...

Nagle coś sobie przypomniałem. Noc, gdy wróciłem od Jill o czwartej nad ranem. Całkiem o tym zapomniałem, ale teraz obrazy zaczęły powracać. Pojemnik na śmieci leżał przewrócony przed domem, na ścieżce walały się torby z odpadkami, a drzwi na werandę były lekko uchylone.

- Ktoś się włamał do mojego domu - powiedziałem cicho, niemal do siebie.

- Davidzie...

- Ktoś się włamał do mojego domu.

- Kto?

- Nie wiem. Byłem u przyjaciółki. Kiedy wróciłem nad ranem, na ścieżce leżały rozrzucone torby ze śmieciami, a drzwi na werandę były otwarte. Tego wieczoru je zamknąłem.

- Zawiadomiłeś policję?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie pomyślałem o tym.

- Albo ponownie nas okłamałeś - podsunął uczynnie Davidson.

- Czemu miałbym kłamać?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział. - A jak sądzisz?

- Nie kłamię.

- Kłamiesz - zaprzeczył Phillips.

Zamilkłem i spojrzałem na niego. W ustach Phillipsa zabrzmiało to bardziej rozstrzygająco, bardziej, niż gdyby powiedział to Davidson. Phillips zachowywał się spokojnie. Żadnego pozerstwa. Żadnych obietnic. Żadnych teatralnych gestów. Teraz oskarżył mnie o to, że kłamię podczas policyjnego przesłuchania.

- Nie kłamię - powtórzyłem.

Phillips przyglądał mi się chwilę, a później coś mignęło mu w oczach. Może lekkie rozczarowanie, jakby spodziewał się po mnie czegoś więcej.

Wtedy odwrócił ostatnie zdjęcie.

Zrobiono je w mojej kuchni. Numer dowodu został umieszczony na podłodze u podstawy pokrytych werniksem drewnianych paneli biegnących na długości około dwóch metrów obok jednego z blatów. Górny panel odchodził po prawej stronie. Zauważyłem to kilka dni temu, gdy przygotowywałem sobie obiad, i postanowiłem go naprawić, ale o tym zapomniałem. We wgłębieniu za panelem tkwił gwóźdź.

Na gwoździu coś wisiało.

Przysunął mi fotografię. Był to kawałek białej tkaniny, bawełna nosząca ślady krwi.

- Co to jest?

- Megan miała to na sobie w dniu zaginięcia - odpowiedział, stukając palcem w zdjęcie.

Najpierw pomyślałem, ile czasu zajmie Liz dotarcie na miejsce. W pokoju przesłuchań nie było zegara, a chociaż Phillips miał zegarek na rękę, schował go pod mankietem koszuli. Od czasu naszej telefonicznej rozmowy upłynęła godzina. Oznaczało to, że Liz obecnie znajduje się na południe od Oksfordu, jeśli wyruszyła w chwili, gdy odłożyłem słuchawkę. Spojrzałem między Phillipsa i Davidsona, zastanawiając się, czy poprosić o darmową poradę prawną, która mi przysługiwała. Nie przerwałoby to przesłuchania, jeśli sądzili, że Megan nadal żyje i grozi jej bezpośrednio niebezpieczeństwo, ale zmusiłoby ich do rozdzielenia się i sprawa by się trochę skomplikowała. Kiedy wszystko wróciłoby do normy, Liz byłaby odrobinę bliżej.

- Zaprzeczasz, że to tam schowałeś? - zapytał Phillips.

Skinąłem głową.

- Tak.

- Sugerujesz, że ktoś cię wrobił?

Ponownie przytaknąłem.

Davidson pokręcił głową.

- Chrzanisz. Wiesz, gdzie jest Megan Carver. Znaleźliśmy jej ubranie na ścianie twojego pieprzonego domu. Gdzie ona jest?

Spojrzałem na niego.

- Zastanów się, co mówisz. Czemu miałbym brać tę sprawę, skoro ją porwałem? Czemu miałbym się narażać na ryzyko zdemaskowania? Ktoś próbuje mnie wrobić. Człowiek, który się do mnie włamał, zostawił dla was to gówna.

- Tylko się pograżasz, Davidzie - rzekł Phillips i westchnął.

- Nie pograżam się. Ktoś uznał, że jestem zbyt bliski odkrycia prawdy, i chciał mnie wyeliminować.

- Zbyt bliski? - zdziwił się Phillips. - Przed chwilą stwierdziłeś, że wiesz tyle co my. Chcesz powiedzieć, że jest inaczej?

Lekko przechylił głowę, jakbym popełnił błąd.

- Nie - odpowiedziałem, obmyślając kolejne kłamstwo. - Chciałem powiedzieć, że musiałem trafić na coś, czego znaczenia jeszcze w pełni nie rozumiem, albo przypadkiem znalazłem się zbyt blisko niego.

- Niego? Kogo masz na myśli?

Westchnąłem.

- Wszyscy w tym pokoju wiedzą, że porywacz jest mężczyzną.

- Owszem - przytaknął Davidson. - Ty.

- Nie - zaprzeczyłem. - To nie ja, ale wszystkie statystyki na tej planecie wskazują, że porywacz jest facetem. Nie trzeba być geniuszem, żeby to wiedzieć.

Davidson ponownie pokręcił głową.

- Jak wpadliście na pomysł przeszukania mojego domu? - spytałem. - Skąd wiedzieliście, że znajdziecie tam te przedmioty? Po sześciu miesiącach nagle uznaliście, że nadają się na podejrzanego? Jestem pewny, że sędzia zwróci na to uwagę.

- Może dlatego, że zastaliśmy cię w domu, który nie był twoją własnością, a w środku leżały dwa trupy - odparł Davidson, pochylając się w moją stronę. - Na dodatek jedna z ofiar okazała się dzieckiem, a dziesięć centymetrów od ciała znaleźliśmy kawałek plastiku, który pochodzi z tego. - Postukał palcem w lalkę na zdjęciu. - Wiesz, do kogo należy ta lalka, Davidzie?

Nie wiedziałem, ale domyśliłem się z jego pytania.

- Do Megan - odpowiedział Phillips.

Lalka była własnością Megan. Cholera. Z trudem utrzymywałem głowę nad powierzchnią.

- Policyjne śledztwo zostało zakończone - powiedziałem, starając się zapanować nad głosem. - Wszyscy to wiemy. Gdybyście wiedzieli cokolwiek na temat miejsca pobytu Megan, gdybyście mieli jakikolwiek trop, nie zostałbym zatrudniony przez Carverów. Ktokolwiek to zrobił, wie, że nie stanowicie dla niego zagrożenia.

- W przeciwieństwie do ciebie? - spytał z ironicznym uśmiechem Davidson.

- Gdyby było inaczej, czemu miałbym zostawić te rzeczy w swoim domu? Facet mnie wrabia. Trafiłem na jakiś ślad, więc próbuje się chronić.

- Na co? - zapytał Phillips.

- Już wam powiedziałem. Nie wiem.

- Nie wiesz czy nie chcesz nam powiedzieć? - odparował. - Czy nie wiesz dlatego, że nakłamałeś jak cholera i masz nadzieję, że to kupimy?

- Chcecie alibi?

- Jasne, czemu nie? - odpowiedział ze złością w głosie. - Podaj nam swoje alibi w dniu zaginięcia Megan. Skoro o tym mowa, może mógłbyś przyprowadzić kilku świadków? Jednego z dnia, gdy na twoim trawniku w magiczny sposób pojawiła się lalka, i drugiego, który potwierdzi historyjkę, że ktoś włamał się do twojej kuchni, wyjął panel, wbił gwóźdź

w ścianę i powiesił na nim bluzkę Megan. - Potrząsnął głową. - Lepiej zacznij z nami współpracować, Davidzie.

Zdałem sobie sprawę, że muszę im coś dać. Coś, co skłoni ich do myślenia.

- Klub młodzieżowy.

Phillips odwrócił głowę, spoglądając na zdjęcia. Teraz rzucił okiem w moją stronę, jakby wyczuł, że rozmowa zmieniła kierunek. Davidson ponownie zmrużył oczy, przybierając znajomą minę. Gdy nie byłem w defensywie, natychmiast stawał się podejrzliwy. Pochylił się ku mnie, czekając na to, co powiem.

- Zajrzeliście do klubu młodzieżowego, prawda?

Phillips skinął głową.

- Człowiek, który porwał Megan, właśnie tam ją poznał.

Żaden się nie odezwał. Phillips spojrzał na zdjęcia, na swojego partnera, a później na mnie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo powiedziała mi o tym jedna z jej przyjaciółek. Kaitlin Devonish. Powiedziała, że Megan bardzo lubiła pewnego faceta, który się tam pokazywał. Że mogli nawet ze sobą chodzić.

Phillips spojrzał na mnie badawczo.

- Nigdy nam o tym nie wspomniała.

- Może nigdy nie spytaliście.

Wydał wargi. Wyglądał tak, jakby się zastanawiał, do czego zmierzam. Niezależnie od wniosku, do jakiego doszedł, przebieg rozmowy na chwilę uległ zmianie. Na kilka sekund zbiłem ich z pantafyku.

- Co to za jeden? - zapytał Davidson.

- Kaitlin nie wiedziała. Może dlatego nigdy wam o nim nie wspomniała. No bo czemu miałyby stawiać w podejrzanym świetle człowieka, który uszczęśliwił Megan?

- Bo zapytaliśmy ją, czy Megan z kimś się spotykała.

- Może nie chodzili ze sobą oficjalnie.

Zapadła cisza. Phillips zaczął znowu obracać obrączkę na palcu, a Davidson obserwował mnie, jakbym był figurą woskową stojącą w części muzeum, którą najmniej lubił.

- Rodzice Megan o tym nie wiedzieli - ciągnąłem - ale wiedzieli o innym chłopaku, z którym się spotykała. Jeśli umawiała się z drugim, robiła to po cichu. Nawet przyjaciółki Megan mogły o tym nie wiedzieć. Myślę, że Kaitlin się domyślała, że ze sobą chodzą, ale nie miała pewności.

- Czy Kaitlin to potwierdzi? - spytał Phillips.

Skinąłem głową.

- Na sto procent.

„Posłuchaj, Kaitlin”, powiedziałem, kiedy pierwszy raz wspomniała o klubie młodzieżowym i mężczyźnie, z którym Megan mogła zajść w ciążę. „Jeśli z jakiegoś powodu policja zacznie cię ponownie wypytywać, nie mów o ciąży... Najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo. Jeśli cię spytają, powiedz im o klubie młodzieżowym. Wspomnij, że mogła się spotykać z kimś stamtąd, ale na tym koniec, rozumiesz?”.

Przewidywałem, że policja kiedyś zainteresuje się tym, co robię. Może niekoniecznie w taki sposób, ale kiedy człowiek pracuje na peryferiach nierozwiązanej sprawy, często nadeptuje ludziom na odciski i ich wkurza. Nie chciałem mieszać w to Kaitlin. Była jeszcze dzieckiem, przerażonym dzieckiem, ale musiałem zaufać, że nie powie im o ciąży Megan. Że będzie wystarczająco przekonująca, aby skierować śledztwo na inne tory i odwrócić je ode mnie.

Był też dodatkowy problem w postaci klubu młodzieżowego. Po weekendzie zorientują się, że doszło do włamania, a choć uważałem, żeby nie pozostawić odcisków palców, zdjęcia, które zabrałem, nadal leżały obok koła zapasowego w bagażniku mojego bmw, zamiast gdzieś w domu, co otworzyłoby kolejną linię śledztwa nawiązującą do zniknięcia Carver, dodatkowo mnożąc znaki zapytania. Jediną rzeczą, jaką mogłem zrobić, było dalsze wywieranie presji, bo nie miałem zamiaru dać głowy za tę sprawę. Teraz ani kiedykolwiek.

Odwróciłem się do Phillipsa.

- Dostaliście anonimowe zawiadomienie?

- Kiedy?

- Dzisiaj. Dlatego zjawiliście się w moim domu?

Spojrzeli na siebie. Phillips odwrócił się do mnie.

- Nie mogę o tym mówić.

Wskazałem zdjęcia głową.

- Przepuście zdjęcie twarzy kobiety przez wasze laboratoria. Sprawdźcie, czy znajdziecie na nim moje odciski palców.

- Być może zbadamy zdjęcia - powiedział Phillips z napięciem w głosie, nie odwracając ode mnie wzroku. - Może to zrobimy i znajdziemy twoje odciski palców, a może nie, ale obaj wiemy, że jesteś w to zamieszany. A kiedy to udowodnimy, załatwimy cię na dobre.

Nie odpowiedziałem. Nie widziałem go tak rozgniewanego. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce. Trop prowadzący do klubu młodzieżowego okazał się niewystarczający. Spowolnił przesłuchanie, ale go nie przerwał. Odsunęli go na drugi plan jako interesującą linię dochodzenia, ale niczego to nie zmieniło. Nadal tkwiłem w tym po uszy.

Wtedy o czymś pomyślałem.

O czymś, o czym wspomniał Phillips podczas pierwszego przesłuchania. „Jedynym powodem, który mogę podać, jest to, że wścibiając nos, narażasz na szwank równoległe śledztwo”.

- Czy oficjalnie połączyliście zniknięcie Leanne Healy z zaginięciem Megan? - spytałem.

Długa pauza.

- Leanne Healy?

- Córki Colma Healy'ego.

- Wiem, kim ona jest.

- Pracowała w klubie młodzieżowym, podobnie jak Megan. Nawet jeśli nie wiedzieliście o facecie, którego Megan mogła tam poznać, z pewnością zauważyliście, że klub młodzieżowy był tym, co łączyło Megan i Leanne. - Kolejna pauza. Davidson odwrócił się ode mnie i zamrugał oczami. Phillips ani drgnął. - Czy jej zniknięcie zostało powiązane z zaginięciem Megan?

Żaden nie odpowiedział.

- Davidzie, nie wiesz, o czym mówisz... - wyjąkał w końcu Phillips.

- Obie były blondynkami. Wyglądały podobnie. Obie pracowały na pół etatu w tym samym miejscu. Obie nagle zniknęły i nie wróciły do domu.

Davidson spojrzał na Phillipsa, a ten odwzajemnił spojrzenie.

- Nie - odrzekł. - Nie wiążemy ze sobą tych dwóch spraw.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- W takim razie musicie coś wiedzieć o Leanne.

- Dlaczego?

- Bo w przeciwnym wypadku byście je powiązali.

- Czyżby?

- Przecież wiesz. Mielibyście dwie dziewczyny i powtarzający się schemat. - Spojrzałem między nich, tworząc hipotezę, łącząc ze sobą wszystko, czego się dowiedziałem, a jednocześnie próbując wyrzucić na nich presję. - W końcu mielibyście tego więcej.

- Więcej czego?

- Więcej kobiet. Jeśli jest jakiś wzorzec postępowania, istnieje człowiek, który się za nim kryje. Jeśli gość sprawił, że Healy i Carver rozplynęły się w powietrzu, można iść o zakład, że będzie to robił nadal, dopóki nie zostanie powstrzymany.

Phillips pokręcił głową i zaczął obracać obrączkę.

- To nie *Kryminalne zagadki Miami*, Davidzie. Nie będzie hollywoodzkiego zakończenia.

Równoległe śledztwo.

Ponownie spojrzałem między nich. Powiedziałem im o klubie młodzieżowym i dałem do zrozumienia, że wiem o Leanne. Przyszła pora na ryzykowny skok.

- Jak do tego wszystkiego pasuje Frank White?

Davidson odwrócił wzrok. Po chwili zaskoczenia zapaliło się ostrzegawcze światelko. Phillips przestał obracać obrączkę.

- Nie wiem, o czym mówisz - odpowiedział spokojnie.

- Pamiętasz go, prawda?

Phillips skinął głową.

- Jasne, że pamiętam.

- Te sprawy coś łączy.

- Jakie sprawy?

- Franka White'a i Megan Carver.

- Zgodnie z twoją filozofią wszystko jest ze sobą związane.

- Coś się wydarzyło tamtej nocy w magazynie, kiedy zginął. Szukaliście i znaleźliście związek łączący jego śmierć z Megan.

Spojrzelili na mnie. Nie byłem pewny, czy w ich oczach było niedowierzanie, czy panika. Uznałem, że to drugie. Najwyraźniej na coś trafiłem.

- Jego śmierć ma związek z Megan, prawda?

Phillips zaczął zbierać zdjęcia, wkładając je z powrotem do szarej koperty. Spojrzał na mnie.

- To my zadajemy pytania, Davidzie.

- Czy to ma jakiś związek z chirurgiem?

Krótką pauza. Phillips pochylił się nad magnetofonem, podając czas i mówiąc, że zarządza przerwę. Chwilę później obaj wstali i wyszli z pokoju.

Kiedy wychodzili, poprosiłem o pozwolenie skorzystania z toalety. Phillips kazał Davidsonowi pokazać mi, gdzie jest toaleta, i zniknął za pancernymi drzwiami łączącymi sale przesłuchań z główną częścią komisariatu. Davidson bez słowa poprowadził mnie przez inne drzwi, w miejsce, gdzie korytarz miał kształt litery L. Na rogu były dwie pary drzwi: jedne prowadziły do toalety dla mężczyzn, drugie dla kobiet.

- Zaczekam tutaj - powiedział.

W środku było chłodno i sterylnie. Stare okna w metalowych ramach i stalowa siatka na szybie. I porcelanowe umywalki przykręcone do podłogi. Żadnego mydła. Żadnej ciepłej wody. Szarzielone kabiny bez desek sedesowych. W zasadzie nie było tam niczego, co można by oderwać i użyć jako broni. Wewnątrz czuć było odór moczu przyprawiający o zawrót głowy. Kiedy wszedłem do jednej z kabin, zdałem sobie sprawę, że widzę parę wydobywającą się z moich ust. W pomieszczeniu było najwyżej pięć stopni Celsjusza.

Po upływie pół minuty usłyszałem, że Davidson z kimś rozmawia. Przez dochodzący z zewnątrz zgiełk ulicznego ruchu i stałe gulgotanie rezerwuaru mogłem zrozumieć jedynie pojedyncze słowa, ale wyglądało, jakby Davidson prosił umundurowanego funkcjonariusza, żeby mnie przypilnował.

Spuściłem wodę i podszedłem od umywalki. Myjąc ręce, usłyszałem inny głos. Męski. Niski. Niemal szept.

Facet odesłał posterunkowego w jakiejś sprawie.

Kilka sekund później w lusterku nad umywalką ujrzałem otwierające się drzwi. Zawiasy skrzypnęły i w toalecie ukazała się noga, a później twarz.

Colm Healy.

Spojrzał na mnie i nasze oczy spotkały się w lustrze. Później obejrzał się przez ramię w kierunku korytarza. Przesunął palcami po rudych włosach i potarł oko. Miał poobgryzane paznokcie człowieka, który czuwał całą noc, nie mogąc zasnąć, i żółte palce nałogowego palacza.

Odwróciłem się w jego stronę, otrząsając wodę z palców.

- Mamy nie więcej niż dziesięć minut, więc oszczędzę ci pustej gadki - powiedział. - Nie wierzę, że to zrobiłeś. Przejrzałem twoją teczkę. Wypytałem o ciebie. Nie byłeś notowany. Żadnego podejrzanego punktu na radarze. Dwa lata temu zmarła twoja żona. Mam uwierzyć, że podjąłeś się jakiejś... No właśnie, czego? Misji zemsty? Nie. To nie w twoim

stylu. Jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć, pomogę ci się z tego wypłatać. Zgoda?

- Ostatnim razem powiedziałaś już wszystko.

- Tak, słuchaj... - Umilkł na chwilę. Stał z ręką opartą na drzwiach. - Ten facet na zdjęciu, które mi pokazałeś... Milton Sykes. Co to za jeden?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem.

- Dlaczego wygląda jak Sykes?

- Skąd mam wiedzieć?

- Słuchaj, dam ci fory - rzekł. - Założę się, że czytałeś o Sykesie.

Skinąłem głową, próbując zgadnąć, do czego zmierza.

- Pamiętasz, jak policja połączyła go z zabójstwem Jenny Truman, prawda?

Poruszyłem głową, żeby przytaknąć, ale nagle zamarłem.

Mówił o jej sukience. Zapomniałem o tym podobieństwie i w zamieszaniu ostatnich godzin przeoczyłem oczywisty związek.

- Znaleźli sukienkę Jenny za deską w jego kuchni - powiedziałem.

- Bingo, a teraz znaleźli bluzkę Megan za panelem twojej. Myślę, że można przyjąć, że Sykes rajcuje tego, kto cię wrobił. Wygląda jak Sykes, a teraz chce być taki jak on.

- Może gość chce być jak Sykes. Może jest w jakiś sposób zamieszany w zaginięcie Megan, ale nie sądzę, żeby to on ją porwał.

- Dlaczego?

- Bo człowiek, który uprowadził Megan, pracował w klubie młodzieżowym.

Healy przerwał, przyglądając mi się uważnie. Wyjrzał na korytarz, a następnie przymknął drzwi na tyle, ile się dało.

- Czy podsunąłeś ten trop Phillipsowi i Davidsonowi? - Z mojej twarzy wyczytał potwierdzenie. - Dlaczego?

- Bo mnie wrobiono.

Poruszył się na miejscu. Ponownie wyjrzał na korytarz, a następnie spojrzął na mnie.

- Skąd wiesz, że Sykes nie pracował w ośrodku?

- Jeśli pracował, czemu nie figuruje w kartotece? Żeby pracować w takim miejscu, trzeba mieć świadectwo niekaralności wydane przez CRB. Gdyby je miał, jego zdjęcie i życiorys znajdowałyby się w kartotece klubu młodzieżowego. Gość nie miał nic wspólnego z tą placówką.

- Jeśli nie on, to kto?

Nie odpowiedziałem. Przyjrzałem mu się uważnie.

- Czemu miałbym ci zaufać?

- Bo jestem twoim jedynym przyjacielem w tym gmachu. Zapewniam cię, że będziesz potrzebował przyjaciela. Nawet jeśli wyjdiesz za kaucją, dowody przeciwko tobie nie znikną.

- Ekipa kryminalistyczna niczego nie znajdzie.

- Jesteś pewien?

- Na zdjęciach nie ma moich odcisków palców.

- Może i nie ma - odparł Healy, wyglądając na korytarz. - A może są. Może krew na bluzce należy do ciebie. Może ktoś, kto cię wrobił, obejrzał twoje mydło i umieścił włos łonowy wewnątrz lalki? Kto wie? Jeśli jest na tyle dobry, żeby cię wrobić, będzie w stanie dokończyć robotę. Chcesz beczynnie czekać, żeby się tego dowiedzieć, czy wolisz spróbować to zakończyć, zanim zostaniesz wrobiony za coś, czego nie zrobiłeś?

- Dokończyć robotę?

Spojrzał na mnie, ale nie odrzekł ani słowa.

- Co mamy dokończyć, Healy?

Jego oczy ponownie powędrowały w kierunku korytarza. Był zdenerwowany. Na krawędzi wytrzymałości. Wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale jedynie odchrząknął, żeby oczyścić gardło.

- Dlaczego nie powiązali sprawy zniknięcia Leanne z zaginięciem Megan?

Zmarszczył brwi.

- Co to znaczy?

- Obaj wiemy, że po cichu w dalszym ciągu prowadzisz dochodzenie. Próbujesz ustalić, co się z nią stało. Czemu nie łączą sprawy Leanne z zaginięciem Megan?

Spojrzał na mnie przeciągle, ale nie udzielił odpowiedzi.

- Pracowała w tym samym miejscu co Megan. Nawet trochę ją przypominała. Przecież wiesz. Wiesz, że tym, co je łączyło, był klub młodzieżowy. Wszyscy o tym wiedzą. Dlaczego Phillips powtarza, że te sprawy nie są ze sobą związane?

Cisza. Przyjrzałem mu się uważnie i zrozumiałem, że jego nerwowość nie wynikała z obawy, że może zostać przyłapany. Brała się raczej stąd, że go przyłapią, zanim się dowie, co się stało z jego córką. Był nabuzowany gniewem i żądzą zemsty, ale też smutny. Za jakiś czas taki koktajl emocji mógł się stać niebezpieczny, ale w obecnej chwili silne uczucia pomagały mu się skoncentrować. Żadnych błędów. Żadnych potknięć.

- Słuchaj, tkwię w tym gównie po szyję - powiedziałem.

- Obaj o tym wiemy. Mam własne cele, podobnie jak ty. Ty chcesz odnaleźć córkę. Ja

nie chcę dać się wrobić w to, co mi przyszykowali. Muszę być gotowy na błoto, którym chcą mnie obrzucić. Muszę być uzbrojony. Rozumiesz, prawda?

Po kilku sekundach skinął głową.

- Dobrze - powiedziałem, spoglądając na niego uważnie. Pomyślałem, że trudno będzie przeniknąć przez jego grubą skórę. Nie przywykłem do zdradzania szczegółów i dzielenia się informacjami. Sugerował, że to ja muszę wykonać pierwszy krok, a ja wiedziałem, że teraz, w sytuacji, w której się znalazłem, nie mam innego wyboru. - Daniel Markham.

Zamrugnął oczami.

- Markham?

- Myślę, że to on uprowadził Megan.

- Przesłuchaliśmy go.

- Najwyraźniej nie dość dobrze.

- Dlaczego on?

- Bo Megan z nim sypiała.

Przerwa.

- Co?

- I była w ciąży.

- Że jak? - Zamarł bez ruchu, świdrując mnie wzrokiem. Później potarł czoło dłonią i się odwrócił. - Z Markhamem?

- Przyjąłem takie założenie.

Coś błysnęło w jego oczach. Błysnęło i znikło. Przelotna myśl, że to Leanne, a nie Megan była w ciąży. Młoda dziewczyna, przerażona i sama z mężczyzną, którego rzekomo znała, choć w rzeczywistości nie miała pojęcia, kim jest.

- Od kogo wiesz?

- Od jednej z przyjaciółek Megan.

- Nie pomyślała, żeby powiedzieć o tym policji?

- Ostrzeżono ją.

- Kto ją ostrzegł?

- Charlie Bryant.

- Ten zamordowany dzieciak?

Skinąłem głową. Healy doskonale znał sprawę. Znał wszystkie dokumenty, nazwiska, każde słowo wypowiedziane podczas każdego przesłuchania. Nie musiałem mu niczego wyjaśniać.

- Ile wiedzą Phillips i Davidson? - zapytał.

- Że Megan mogła się spotykać z kimś z klubu młodzieżowego. Nie mają pojęcia, że była w ciąży.

- Czemu miałby ją ostrzec, żeby nie mówiła policji?

- Jeszcze nie wiem.

- Czego się dowiedziałeś o Markhamie?

Pomyślałem o jego mieszkaniu. O pustce, która w nim panowała, i wiadomości pozostawionej za szafką w łazience.

- Że jest w to na pewno zamieszany.

- To znaczy?

- Jego mieszkanie. Już tam nie przebywa, ale coś tam jest. Mogę ci pokazać, kiedy stąd wyjdę, ale chcę, żebyś w tym czasie dowiedział się o nim tyle, ile się da. CRB wydało mu świadectwo niekaralności, więc nie jest nigdzie notowany. Jednak musi coś być.

Healy skinął głową. Zaczął się gorączkowo zastanawiać. Na korytarzu dało się słyszeć jakiś hałas. Dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Wyrzął na zewnątrz.

- Gdzie posterunkowy Harrison? - spytał głos.

- Poszedł cię poszukać.

- Co tu robisz?

- Pilnuję twojego podejrzanego.

Krótką przerwą. Wyczułem falę podejrzeń sunącą korytarzem.

- Co tam robi tak długo? - zapytał Davidson.

- Pewnie się załatwia - odparł Healy.

- Powiedz mu, że ma minutę.

- Masz minutę! - krzyknął Healy, spoglądając w lewo, w stronę rzędu kabin. Podobny odgłos dolatujący z korytarza. Dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

- Muszę iść - powiedział Healy.

- Co wiesz o Franku Whicie?

Nieznaczone poruszenie twarzy.

- Healy?

- Facet był jednym z gliniarzy zastrzelonych w Bow.

- Wiem, że Phillips prowadzi inne, równoległe dochodzenie. Wiem, bo sam mi powiedział. Wiem, że Frank White i Megan są ze sobą jakoś związani. Coś się wydarzyło tamtej nocy w magazynie. - Healy nie odpowiedział. - Mam rację?

I tym razem nie odrzekł ani słowa, ale uchylił drzwi i wyrzął na korytarz. Kiedy zobaczył, że nikogo nie ma, zamknął je i spojrzął na zegarek.

- Chcesz odnaleźć córkę czy nie? - zapytałem.

- Co to za pytanie?! - Poruszył się i znowu wyjrzał na zewnątrz, by po chwili przenieść wzrok na mnie. - Powiem ci, kiedy się spotkamy w bezpieczniejszym miejscu.

- Chrzanisz, Healy. Zawarliśmy umowę.

Otworzył drzwi i na chwilę zamarł bez ruchu.

A później odszedł.

□ □ □

Pięćdziesiąt minut później wypatrywałem taksówki na frontowych schodach posterunku policji. Kaitlin przyszła mi z pomocą. Powiedziała policji, że w klubie młodzieżowym pracował facet, z którym Megan mogła być zaprzyjaźniona, Niestety, nie wiedziała nic więcej. Zostałem wypuszczony za kaucją, bez postawienia zarzutów. Formalnie rzecz biorąc, wypuszczono mnie „przed postawieniem zarzutów”, co oznaczało, że kiedy zespół kryminalistyczny zakończy badania, a policja zbada trop prowadzący do klubu młodzieżowego, ponownie zapukają do moich drzwi. Healy miał słuszość. Zostało mi kilka dni na ustalenie prawdy, zanim zniszczą mi życie i zaczną jeszcze bardziej naciskać.

Zadzwoiłem do Liz, która utkwiała na autostradzie, około dwudziestu kilometrów od Londynu. Kiedy odebrała, wydawała się zaskoczona i zdezorientowana.

- Wypuścili mnie - powiedziałem.

- Jak to?

- Za kaucją.

- W dalszym ciągu nie rozumiem.

- Kiedy wrócisz, zaproszę cię na drinka i wyjaśnię kilka spraw - powiedziałem. Nic nie odrzekła. - Tym razem niczego nie pominę.

Ponownie nie odpowiedziała, ale wyczułem zmianę, nawet przez telefon. Zrozumiała moje ostatnie słowa tak, jak należało. Domyśliła się, że to wyznanie. Że wcześniej ją okłamałem. Że powiedziałem jej nieprawdę i zataiłem pewne fakty. Cały czas trwała u mojego boku i mnie broniła, chociaż wiedziała, że w moim życiu były sprawy i decyzje, które nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Teraz zasygnalizowałem wolę zmiany.

Zakomunikowałem, że będzie inaczej, i obiecałem, że gdy będziemy ze sobą następnym razem, nie odsunę się od niej. Że nie będę miał wątpliwości. Że wezmę ją za rękę i przekroczę krawędź przepaści.

I nie obejrzę się za siebie.

Godzinę po przyjeździe do mojego domu inna grupa przeprowadziła rewizję w moim biurze. Kiedy otworzyłem drzwi i wszedłem do środka, zauważyłem ślady błota i wilgotne odciski butów tam, gdzie funkcjonariusze stali przy szafkach z dokumentami i przeglądali szuflady biurka. Zostawili włączony komputer z wygaszaczem ekranu pojawiającym się i gasnącym na monitorze. Rozejrzałem się wokół, aby sprawdzić, czy czegoś nie zabrali, ale wyglądało, że tego nie zrobili.

Napełniłem wodą ekspres do kawy i opadłem na fotel przy biurku. Kiedy kawa zaczęła się sączyć przez filtr, ponownie uruchomiłem umysł, wracając myślami do tego, co znaleźli w moim domu, do przesłuchania i Healy'ego, który cierpliwie czekał, aż wpakuję się w tarapaty.

Wystawiłem mu Markhama, a on nie dał mi w zamian niczego.

Obowiązywały inne zasady gry.

Po opuszczeniu posterunku zadzwoniłem do Spike'a, prosząc, żeby dowiedział się o adres i numer komórki Healy'ego. Było mi obojętne, jak to wszystko się skończy: z udziałem Healy'ego czy bez niego. Z drugiej strony nie zamierzałem odpuścić tego, co mi się należało.

Przysunąłem klawiaturę i wyświetliłem stronę Google'a. Megan zginęła trzeciego kwietnia. Wpisałem datę do wyszukiwarki i wcisnąłem „enter”. Ponad sto piętnaście milionów trafień. Encyklopedie, blogi, biuletyny informacyjne, elektroniczne wydania gazet, wpisy na Facebooku i albumy zamieszczone w serwisie Flickr. Przejrzałem kilka stron, starając się wypatrzeć cokolwiek choćby w odległy sposób związanego ze sprawą, ale oprócz doniesień prasowych zamieszczonych po jej zniknięciu nie znalazłem niczego. Wróciłem do pierwszej strony i otworzyłem witrynę z ważnymi wydarzeniami historycznymi - urodzinami, zgonami i tym, co się stało między nimi - które miały miejsce trzeciego kwietnia. Liczyłem na to, że gdzieś błysnie iskierka, ale zamiast niej dostałem więcej tego samego, co do tej pory. Niczego.

Przeniosłem wzrok z monitora na papiery leżące na biurku. Wydruki stron London Conservation Trust. Wydrukowałem je, żeby mieć punkt odniesienia. Wydrukowałem też e-mail od LCT, wysłany do Megan sześć dni przed jej zniknięciem. Pismo nosiło datę dwudziestego siódmego marca 2011 roku. Kiedy przesunąłem palcem wzdłuż cyfr, ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakbym stanął na progu jakiegoś odkrycia. Przypomnienie. Obraz

z pokładów pamięci. Zatrzymałem się i przysunąłem kartkę bliżej. Przyjrzałem się cyfrom.

Czyżby data zawierała jakieś przesłanie?

Na chwilę zignorowałem to przecucie i sprawdziłem w Google'u datę zaginięcia Leanne: trzeci stycznia 2011 roku. Po trzydziestu sekundach wiedziałem, że także ten trop do niczego mnie nie doprowadzi. Tak jak w przypadku wyszukania informacji związanych z datą zniknięcia Megan - tylko że tym razem nie było żadnych większych doniesień prasowych. Megan poruszyła wszystkie czułe punkty: biała i zamożna, inteligentna i piękna. Leanne była inna. Mniej atrakcyjna fizycznie, przeciętnie uzdolniona, pochodząca z klasy pracującej i mająca rodziców, których w przeciwieństwie do Carverów trudno było uznać za wzorowe małżeństwo. O zaginięciu Leanne pojawiła się tylko jedna wzmianka w "Evening Standard" i jedna w "Metrze". Przejrzałem oba artykuły, jeden po drugim. Oba miały wielkość dwóch akapitów i zawierały apel Healy'ego wzywający córkę do powrotu. Na końcu był numer telefonu zaufania dla osób zaginionych.

Co przeoczyłem?

Po raz drugi spojrzałem na wydruki leżące na biurku. Data. Sposób, w jaki ją zapisano: 27 03 11. Powróciło to samo uczucie. Może chodziło o coś, co wcześniej widziałem lub słyszałem, ale nie zwróciłem na to uwagi. A może w ogóle nie chodziło o datę.

Wydarłem kartkę z notatnika i zapisałem daty zaginięcia obu dziewcząt słownie - trzeci kwietnia i trzeci stycznia - a następnie cyframi: 03 04 11 i 03 01 11. Odchyliłem się w fotelu i zacząłem turlać długopis po blacie, nie odrywając wzroku od cyfr. Czuję, że w tych datach coś się kryło.

Coś, co umknęło mojej uwadze.

Pochyliłem się do przodu i przyłożyłem palec do daty zaginięcia Megan: 03 04 11. Sięgnąłem po długopis i skreśliłem zera oraz rok. Pozostało 3 i 4.

Trzy i cztery.

Albo trzydzieści cztery.

Wtedy mnie olśniło. Przyciągnąłem telefon i otworzyłem zdjęcia. Najpierw ostatnie, które zrobiłem: zdjęcie ściany policyjnego posterunku za pierwszym razem, gdy go odwiedziłem. Lekko zamazana fotografia Megan spoglądała na mnie z tablicy biura CID. Obok była mapa i inne fotografie, a dalej siedem umieszczonych pionowo przyklejonych karteczek z numerami. Mogłem odczytać tylko trzy z nich: pierwszy, szósty i siódmy - 2119, 3111 i 34.

Nie były to liczby.

Daty.

Pierwsza - 2119 - składała się z czterech cyfr. Ostatnia cyfra oznaczała rok, zatem policja wiedziała, że pozostałe były kolejnymi latami, od 2010 do 2011. Włączyłem komputer, wpisałem w Google'u „zaginęła 2 listopada” i wcisnąłem „enter”.

Na czwartym miejscu była strona, której szukałem.

Witryna poświęcona osobom zaginionym, z profilami mężczyzn, kobiet i dzieci na pierwszej stronie. Zdjęcie po zdjęciu. Jedna twarz po drugiej. Mnóstwo zaginionych osób, które gdzieś zniknęły lub jeszcze gorzej. Google odesłał mnie wprost do strony z osobami, które zaginęły drugiego listopada

2009 roku. Pośrodku było zdjęcie kobiety, której szukałem.

Uśmiechała się do obiektywu. Jasne włosy opadały wzdłuż twarzy długimi cienkimi kosmykami przypominającymi kaskady. Była ładna. Szczupła, ale nie chuda.

Kliknąłem jej profil.

Osoba zaginiona | Sprawa nr 09-004447891

Isabelle Connors

Wiek w dniu zaginięcia: 28

Isabelle zaginęła w Finchley, w północnym Londynie, drugiego listopada 2009 roku. Ostatni raz widziano ją na Lemon Street w Islington wsiadającą po pracy do samochodu. Później rozmawiała z przyjacielem przez telefon, aby potwierdzić, że dotarła do domu. Sądzi się, że zaginęła tego wieczoru albo następnego ranka, ponieważ nie pojawiła się w firmie, gdzie była zatrudniona jako graficzka.

Bliscy są bardzo zaniepokojeni zniknięciem Isabelle, bo takie postępowanie jest zupełnie niezgodne z jej charakterem. Kobieta ma metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, jest średniej budowy ciała, ma niebieskie oczy i jasne włosy. Kiedy ją widziano ostatni raz, miała na sobie niebieskie dzinsy, czarne czółenka, białą bluzkę i długi czarny płaszcz.

Kolejna zaginiona kobieta podobna do Megan i Leanne. Takie same włosy. Takie same oczy. Taka sama figura. Jediną różnicą był wiek. Odwróciłem wzrok, próbując przywołać listę z numerami na ścianie posterunku. Starłem się odtworzyć napis na drugiej, trzeciej, czwartej i piątej kartce. Zauważyłem daty, ale nie zdawałem sobie sprawy z ich znaczenia. Uznałem, że to ciąg złożony z przypadkowych liczb. Widziałem jedynie zamazaną smugę obok map, zdjęć i komunikatów.

Zacząłem powoli przeglądać kolejne strony, uważnie analizując zdjęcie każdej kobiety. Znalazłem coś sześć stron dalej. Blondynka. Niebieskie oczy. Zniknęła ósmego stycznia 2010 roku. Spojrzałem na zdjęcie karteczki wyświetlone na ekranie telefonu. Chociaż było niewyraźne, natychmiast dostrzegłem znaki wyglądające jak 8110. Druga liczba

na ścianie.

Osoba zaginiona | Sprawa nr 09-004447958

April Brunei

Wiek w dniu zaginięcia: 45

April zaginęła w Hackney, we wschodniej części Londynu, ósmego stycznia 2010 roku. Miejsce jej pobytu pozostaje nieznane. Zadzwoiła do przyjaciół wieczorem siódmego stycznia, mówiąc, że nie wpadnie na drinka, bo źle się czuje. Jej zniknięcie budzi coraz większe zaniepokojenie, bo jest całkiem niezgodne z jej charakterem. Ma metr sześćdziesiąt wzrostu, jest szczupłą, ma niebieskie oczy i blond włosy. Ostatni raz widziano ją w pracy, gdzie była zatrudniona na stanowisku księgowej.

Poczułem falę niepokoju wzbierającą w żołądku. Cztery zaginione kobiety, a było oczywiste, że będą jeszcze trzy. Ich odnalezienie zajęło mi kolejne pięć minut, podobnie jak przejrzanie profili zamieszczonych w internecie. Jayne Rickards, trzydzieści trzy lata, zaginiona czwartego kwietnia

2010 roku. Rickards miała numer 44. Kate Norton, lat dwadzieścia dziewięć, zaginiona dwunastego lipca 2010 roku. Numer 127. Erica Muller, dwadzieścia trzy lata. Zniknęła czwartego października 2010 roku. Numer 410. Wszystkie szczupłe, co najwyżej średniej budowy ciała, o jasnych włosach i niebieskich oczach. Wszystkie zniknęły.

I wszystkie były ze sobą powiązane.

Pub był mały i słabo oświetlony, rozbrzmiewał cichą muzyką. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się szereg boksów z czarnej skóry i drewna orzechowego. Wszystkie wychodziły na Camden High Street. Znalazłem dyskretny stolik w ciemnej tylnej części sali, z którego widać było dużą część pomieszczenia. O tej porze mieli tak niewielu klientów, że barman obiecał przynieść drinki do stolika. Zamówiłem dwa piwa i czekałem.

Healy zjawił się dziesięć minut później.

Zmrużył oczy i zlustrował salę. Zatrzymał na mnie wzrok. Rozejrzał się wokół - aby sprawdzić, czy nie widzi jakichś znajomych twarzy - i ruszył w moją stronę. Wszedł do boksu, nie mówiąc ani słowa.

Przysunąłem mu piwo. Podniósł butelkę i opróżnił w pół minuty. Gdy skończył, odwrócił się na krześle, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z barmanem.

- Wyświadczyć mi przysługę - powiedział, kiedy w końcu udało mu się złożyć zamówienie. - Obserwuj drzwi, bo jeśli zajrzy choćby najdalszy z moich znajomych, obaj utkwimy po uszy w gównie.

- Nie sądzę, żeby któryś z twoich kumpli tu zaglądał.

Spojrzał na mnie uważnie, marszcząc brwi, a później obejrzał się przez ramię, lustrując salę. Czterech gości przy barze. Dwóch w boksie kilka metrów dalej. Dwóch kolejnych na końcu sali, trzymających się za ręce na stole. Popatrzył na mnie ponownie.

- To bar dla gejów?

- Na to wygląda.

- W takim razie masz rację.

Zapadło milczenie.

Healy wyjął telefon, położył go na stole i obserwował barmana nadchodzącego z drinkiem. Chwycił butelkę bez zbędnych ceregieli. Tym razem, kiedy skończył, butelka była w połowie pusta. Odsunął ją na bok i pochylił się w moją stronę.

- Po co do mnie zadzwoniłeś?

- Chyba wiesz.

Zmierzył mnie wzrokiem.

- Słuchaj, wcześniej nie mogłem gadać. To było zbyt ryzykowne. Gdyby się dowiedzieli, że ci powiedziałem o... - Przerwał.

- O czym?

Nie odpowiedział.

- O pięciu innych kobietach?

Na jego twarzy mignął wyraz zdumienia.

- Nie wiem, co...

- Daruj sobie ten cyrk, Healy. - Sięgnąłem do kieszeni kurtki i położyłem na stole złożoną kartkę papieru. Podniósł ją i rozwinął. Przed sobą miał fotografie pięciu zaginionych kobiet, które odnalazłem w internecie, oraz zdjęcia Megan i Leanne. - Znalazłem je. Wiem, że istnieją. Widziałem je na ścianie na posterunku, dlatego wiem, że są ze sobą powiązane. Pytanie brzmi, czemu opinia publiczna o tym nie wie?

Zamrugnął oczami, ale nie powiedział ani słowa.

Pochyliłem się ku niemu, odsuwając na bok piwo.

- Czy ich rodziny wiedzą, że sprawy zaginionych są ze sobą powiązane? Czy ich bliscy w ogóle coś wiedzą? - Zamilkłem, czekając na odpowiedź, ale Healy milczał jak grób. - Chcesz wiedzieć, czego naprawdę nie rozumiem? Czemu godzisz się na takie prowadzenie sprawy, mimo że twoja córka jest jedną z ofiar.

Podniósł głowę, oplatając palcami butelkę.

- Healy?

- Nic nie rozumiesz... - odrzekł cicho.

- Czego nie rozumiem?

- Nie wiesz, jak to jest.

Tym razem to ja nic nie powiedziałem. Powiódł wzrokiem w stronę sali. Przez chwilę wyglądał tak, jakby zaglądał do wnętrza własnej głowy - obserwował gniew, smutek i agresję kipiące pod powierzchnią.

- Myślisz, że nie zależy mi na córce? - spytał w końcu, przypatrując się ludziom na ulicy. - Myślisz, że nie zależy mi na tym, żeby ją odnaleźć? Zależy mi. Zależy tak bardzo, że zżera mnie to od środka. - Posłał mi gniewne spojrzenie. - Musiałem się dowiedzieć, co wiesz o Megan Carver, bo zabrnąłem w ślepią uliczkę. Nie wiem już, gdzie szukać Leanne. Dlatego cię potrzebowałem, ale nie będę potrzebował ani tolerował, jeśli wejdiesz mi w paradę. Mam zamiar odnaleźć człowieka, który ją porwał, i zabić bydlaka. Nie zdołasz mnie powstrzymać, jak nie powstrzymają mnie te dupki.

Miał na myśli Phillipa i Harta. I Davidsona. Wszystkich.

- Sam prowadzisz dochodzenie w sprawie jej zniknięcia? - spytałem.

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo nikomu na niej nie zależy.

Odwrócił się w boksie, spoglądając w kierunku drzwi, jakby nie ufał, że będą pilnował wejścia. Później popatrzył na mnie spode łba.

- Policja ma to w dupie.

- Sprawę Leanne?

- Ma w dupie je wszystkie.

- Dlaczego?

Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Widziałem u niego tę reakcję już wcześniej. Żadnych błędów. Żadnych potknięć. Tak długo rozpracowywał sprawę zniknięcia córki, nieoficjalnie i bez wiedzy przełożonych, że całkowicie się odizolował. Nikt się nie dowie, co zdołał ustalić. Dopił piwo i skinął barmanowi, żeby przyniósł kolejne.

- W porządku. Powiem ci, jak to widzę - zacząłem, starając się podtrzymać rozmowę.

- Mamy siedem kobiet. Wszystkie wyglądają podobnie. Wszystkie zarejestrowano jako osoby zaginione, ale ich sprawy nie zostały ze sobą powiązane... przynajmniej oficjalnie. Co roku w samym Londynie ginie trzydzieści tysięcy osób, więc rozumiem, jak zdołali to utrzymać poza zasięgiem radaru. Nie rozumiem jednak, dlaczego policja nie upubliczniła sprawy.

Barman przyniósł trzecie piwo dla Healy'ego. Kiedy odszedł, Colm podniósł głowę i na jego twarzy pojawiła się mina wyrażająca odrazę.

- To tylko jedna część łamigłówki.

- Jaka jest druga?

Odwrócił butelkę piwa z tym samym wyrazem twarzy. Żadnych błędów. Żadnych potknięć, ale gdy ponownie na mnie spojrział, odgadłem, o czym myśli. Obaj graliśmy o wysoką stawkę. On prowadził nielegalne śledztwo pod nosem przełożonych. Ja byłem na zwolnieniu za kaucją, podejrzany o porwanie, a być może zamordowanie nastolatki.

- Druga to Frank White - powiedział.

Spojrzałem mu w oczy.

- Zatem miałem rację?

- Tak, miałeś.

- Co łączyło Megan i Franka?

- Twój najzgorzalszy fan, detektyw sierżant Davidson, nie pracuje dla Phillipsa, ale dla Harta. Hart prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa, kieruje zespołem badającym przypadki zaginięcia kobiet.

- Zatem to śledztwo w sprawie morderstwa?

- Zakładają, że wszystkie nie żyją.

Zamilkł nagle, jakby zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Że złożył córkę w grobie, jak pozostali. Na jego twarzy przelotnie mignęły emocje, aby po chwili zniknąć.

- Co Phillips ma z tym wspólnego?

- Phillips pracuje w tej samej komendzie co Hart, ale prowadzi inne śledztwo. Należy do SDC-siedem, podobnie jak White. Kieruje zespołem tropiącym Akima Gobulewa.

Zmarszczyłem czoło.

- Moment, Phillips pracuje w zespole do zwalczania przestępczości zorganizowanej?

- Tak.

- Dlaczego zatem mnie ściga?

Healy obejrzał się przez ramię, sprawdzając drzwi. Kiedy to zrobił, nagle wszystko stało się jasne. Znalazłem ogniwo łączące Megan i Franka White'a.

- Chirurg - powiedziałem cicho.

Colm Healy spojrzał na mnie znowu, gdy zacząłem odgadywać związek między Megan i Frankiem White'em.

- Podejrzewają, że chirurg jest zamieszany w sprawę zniknięcia kobiet?

- Nie podejrzewają - poprawił mnie Healy. - Uważają, że to on je porwał.

Gapilem się na niego, jakbym czekał, aż powie, że żartował. Kiedy jednak ujrzałem gniew na jego twarzy, sam poczułem w piersi palącą wściekłość. Sześć dni badałem sprawę zniknięcia Megan, a policja cały czas znała odpowiedź. Okłamali mnie. Okłamali Carverów.

Okłamali wszystkich.

- Czemu trzymają to w sekrecie? - zapytałem. W tym samym momencie zdałem sobie sprawę z brzmienia własnego głosu i tego, jak Healy na niego zareagował. Przez chwilę sądził, że znalazł we mnie bratnią duszę, kogoś odczuwającego ten sam gniew, to samo poczucie niesprawiedliwości. Wtedy zrozumiałem, że powinienem się wycofać, bo jeden z nas musiał zachować zimną krew.

- Phillips ma w środku swoich ludzi, którzy dostarczają identyczne dane wywiadowcze. Ten chirurg to świr. Na spotkania przychodzi w masce. Nosi rękawiczki chirurgiczne. Ma zabandażowane ramiona, żeby nie zostawić włókien ani śladów naskórka. Przestali mu już nawet płacić gotówką. W zamian za swoje usługi dostaje środki medyczne i szpitalny sprzęt. Skalpele, kleszcze, haki chirurgiczne, gumowe młotki. Krążyły pogłoski, że Rosjanie zgodzili się przywieźć mu aparat EKG. Robi im operacje plastyczne twarzy i zszywa rany tylko po to, żeby robić to, co go kręci.

- Kobiety.

- Tak. To zabójca. Teraz ma na karku dwie grupy operacyjne. Phillips chce go dopaść z powodu związku z Rosjanami, a Hart dlatego, że przechowuje gdzieś zwłoki siedmiu osób... Słowo „zwłoki” zawisło w powietrzu mimo zgiełku panującego w barze.

- Dlatego sprawę prowadzi dwóch inspektorów?

Healy skinął głową.

- Dlaczego nie upublicznili sprawy?

- Facet wpakował White'owi kulkę w głowę, awansując na pierwsze miejsce pieprzonej listy poszukiwanych londyńskiej policji. Sprawa nabrała osobistego wymiaru, ale naprawdę chodzi o to, żeby Phillips dopadł chirurga i wycisnął z niego wszystko, co gość wie, a później rozprawił się z Rosjanami działającymi w Londynie. - Healy podniósł głowę, obracając w rękach butelkę z piwem. - Gdyby upublicznili sprawę, ujawnili, że czub ma słabość do kobiet, zaszyłby się pod ziemię... a jego mały czarny notatnik wylądowałby w toalecie.

Potrzebowałem sekundy, żeby zrozumieć, co powiedział.

- Zaraz, zaraz. Wiesz, co mi przed chwilą powiedziałeś? - Kiedy nie zareagowałem, pochyliłem się w jego stronę. - Że dorwanie Ruskich będzie... większym sukcesem?

- Wiem, co powiedziałem.

- Tak. Powiedziałeś, że dla policji rozprawienie się ze zorganizowaną przestępczością jest ważniejsze niż odnalezienie siedmiu zaginionych kobiet, w tym twojej córki.

Czekałem na odpowiedź, ale Healy nie rzekł już nic więcej.

- Czy tak?

- Co chcesz zasugerować?

- To zmowa milczenia. Policja siedzi beczynnie, a te kobiety leżą gdzieś martwe.

- Oni mogą dopaść Ruskich.

- Oni to ty, Healy. Przecież jesteś policjantem.

- Nie jestem taki jak oni.

- Sądzisz, że ich postępowanie jest słuszne?

- Nie - odburknął, zaciskając palce na butelce piwa. - Myślisz, że bym z tobą rozmawiał, gdybym tak uważał? Pogrzebali moje dziecko w pieprzonym segregatorze. Postawię sprawę jasno. Kiedy ją znajdę, zabiję bydlaka, który ją porwał. Wyrwę mu serce i wcisnę do pieprzonego gardła. Czy wyraziłem się jasno? - Zmierzył mnie wzrokiem. - Możesz się do mnie przyłączyć albo wycofać. Ale jeśli się przyłączysz, lepiej przygotuj się na najgorsze.

Nie miałem pewności, czy mówi o odnalezieniu Leanne, czy wystąpieniu przeciwko policji.

- Wiesz, dlaczego chirurg przyjechał tamtej nocy?

- Do magazynu?

- Tak.

- Oprócz broni dostarczono coś jeszcze. Cokolwiek to było, gość czmychnął razem z towarem.

Wszystko jest ze sobą powiązane.

- To była formalina.

- Co?

- Wodny roztwór formaldehydu.

Healy zamilkł na chwilę.

- Substancja używana do konserwowania tkanek?

- Właśnie - przytaknąłem. - Do konserwowania tkanek. Przyłożył dłoń do czoła i zaczął je masować. Jeśli chirurg porwał siedem kobiet, nie musiałem wyjaśniać Healy'emu,

do czego była mu potrzebna formalina.

- Policja nie zdoła utrzymać tego w sekrecie - powiedziałem.

- Nie zdoła?

- Nie.

- Do tej pory im się udawało.

- Chirurg nie wyjdzie z kryjówki, dopóki nie będzie pewny, że jest całkowicie bezpieczny. Nie zaryzykuje powtórzenia tego, co się wydarzyło tamtej nocy w magazynie.

Healy wzruszył ramionami.

- Nie przekażą sprawy tych kobiet do wiadomości publicznej, bo jeśli chirurg uzna, że depczą mu po piętach, stracą faceta na dobre, a oprócz niego nazwiska i numery wszystkich pieprzonych Ruskich w mieście.

Odchyliłem się na krzesło. Hart spojrzał mi w oczy.

- Możemy sobie pomóc - powiedział. - Ty chcesz odnaleźć córkę Carverów, żeby dostarczyć im odpowiedzi, których my nie możemy, prawda? - Zmrużył oczy. - Prawda?

Skinąłem głową.

- A ja chcę go dopaść, żeby...

Umilkł. Przez chwilę widziałem w nim własne odbicie. Mężczyznę przygniecionego doznaną stratą. Niemogącego pochować córki. Niewiedzącego, gdzie ona się znajduje ani co się z nią stało. Ostatnim wspomnieniem, które zachował, była głośna domowa awantura. Zamazana linia oddzielająca to, co nakazywało prawo, od tego, co zamierzał zrobić, stała się praktycznie niedostrzegalna. Może w ogóle linia graniczna nie istniała.

- Jak połączyli faceta z zaginionymi kobietami?

Spojrzał, jakby oczekiwał, że zadam to pytanie.

- Przez naszyjniki.

Przypomniałem sobie plastikowe pudełko z rzeczami Megan. To, które wyjąłem z jej szafy. W środku były zdjęcia, listy i biżuteria - i kawałek wygładzonego obsydianu. Szkła.

- Masz na myśli szklany naszyjnik?

- Tak. Gość jest cały czas owinięty jak mumia. Nikt nie wie, jak wygląda ani jak się nazywa. Ruscy dali mu ksywę Doktor Glass z powodu szklanego naszyjnika, który nosi. Wygładzonego kawałka obsydianu z literami PC wyrytymi na odwrocie. To jedyna rzecz, jaką o nim wiadomo.

Na obsydianie Megan były wyryte litery MC.

- To jego inicjały?

Healy wzruszył ramionami.

- Kto wie? Wszystkie zaginione kobiety miały podobny z własnymi inicjałami, więc może tak być. - Przerwał, a na jego twarzy mignął smutek. - Wszystkie kobiety... z wyjątkiem Leanne.

- Nie miała naszyjnika?

Utkwił wzrok w blacie.

- Phillips dużo ci dzisiaj nakłamał, ale nie skłamał o Leanne. Nie mogą jej w stu procentach połączyć z Megan ani którąś z pozostałych.

- Bo nie miała naszyjnika?

- Tak. - Spojrzał na mnie. - Mieliśmy wiele problemów. Często się kłóciliśmy. Na papierze... Leanne była dobrą kandydatką na uciekinierkę z domu. - Zamilkł. Na jego twarzy pojawił się smutek, a po nim niezachwiane postanowienie. - Wiem, że porwał moją dziewczynkę. Po prostu wiem.

Skinąłem głową, dając mu chwilę wytchnienia.

- Rozumiem...

- Co?

- W ten sposób połączyli faceta z siedmioma kobietami.

Popatrzyłem mu w oczy. Nie odpowiedział.

- To słabe ogniwo. A jeśli taki naszyjnik można kupić w supermarketach sieci Asda? Nagle się okaże, że ma go chirurg i pięćdziesiąt tysięcy innych ludzi.

Na chwilę zapadła cisza.

- Czego mi nie powiedziałaś, Healy?

Spojrzał przez ramię w kierunku drzwi. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś rzec, ale się powstrzymał. Kiedy się odwrócił, podniósł palec.

- Jest coś jeszcze - szepnął. - Ale... - Przerwał, ponownie lustrując otoczenie. - Powiem ci, ale nie tutaj.

- Przecież powiedziałaś mi o innych rzeczach.

- Muszę ci to pokazać - odparł.

Zacząłem gorączkowo się zastanawiać, próbując odgadnąć, co miał na myśli.

- Czy inne zaginione miały związek z klubem młodzieżowym?

- Nie, tylko Leanne i dziewczyna Carverów.

- To znaczy, że będziesz musiał poszukać w przeszłości Daniela Markhama - powiedziałem - bo w obecnej chwili facet jest najlepszym sposobem ustalenia, co się z nimi stało.

Healy wpadł po mnie o siódmej rano następnego dnia. Było jeszcze szaro. Tylna kanapa jego vauxhalla kombi była pokryta słomą i śladami ubłoconych łap. W środku pachniało mokrym psem. Pomyślałem, że z wyjątkiem krawatu facet miał na sobie to samo ubranie, co poprzedniego wieczoru. Chociaż odsunął fotel maksymalnie, brzuchem niemal dotykał kierownicy i musiał wyginać nogi. Healy właściwie nie był otyły, ale potężnie zbudowany, a trzydzieści dodatkowych kilogramów oznaczało znaczny przyrost ciała.

Od Mile End dzieliła nas odległość około dwudziestu kilometrów. Przez pierwsze pół godziny prawie nie rozmawialiśmy. Sytuacja rozwijała się w ślimaczym tempie. Odniosłem wrażenie, że podobnie jak ja Healy musi przetrwać to, czego się wczoraj dowiedział. Naszą rozmowę z poprzedniego wieczoru i wszystko, co nas jeszcze czekało. W pewnej chwili zaczął grzebać w bocznej kieszeni drzwi. Po kilku sekundach wyciągnął teczkę i mi ją podał.

- Chcesz kawy?

Spojrzałem na niego.

- Jesteś kawoszem?

Jechaliśmy drogą biegnącą na wschód od Paddington, przed nami była kawiarnia sieci Starbucks. Healy zaparkował przy krawężniku i włączył światła awaryjne.

- Rano potrzebuję kawy, żeby funkcjonować - wyjaśnił, wskazując kopertę. - Przyda ci się kapka, żeby to przejrzeć.

Zajrzałem do teczki. W środku były dane siedmiu zaginionych kobiet.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- Bez komentarza.

Wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku kawiarni.

Otworzyłem kopertę i wyciągnąłem dokumenty. Na wierzchu była teczka Megan. Przejrzałem ją. Policyjne śledztwo wносиło niewiele do sprawy. Wspomnieli o e-mailu London Conservation Trust jako potencjalnym kierunkiem dochodzenia i mapie zamieszczonej na stronie internetowej, ale oba tropy zaprowadziły ich w ślepią uliczkę. Tak jak podejrzewałem, nie wiedzieli o facecie z klubu Tiko, nie mieli pojęcia o Sykesie i jego związku z lasem. Do teczki dołączono przesłuchania przeprowadzone ze wszystkimi, którzy pracowali w klubie młodzieżowym. Odszukałem tekst przesłuchania Daniela Markhama i przeczytałem uważnie. Było wystarczająco nijakie, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Markham udzielał konkretnych i wiarygodnych odpowiedzi. Podobnie jak w dokumentach

ośrodka młodzieżowego, wymieniono go jako osobę samotną, choć tym razem dodano, że rozwiódł się ze swoją żoną, Susan.

Chociaż w samochodzie było niewiele miejsca, podjąłem próbę rozłożenia siedmiu teczek na desce rozdzielczej, jedna obok drugiej. Dopiero wtedy odkryłem, że było ich więcej.

Nie siedem, ale osiem.

Ósma teczka była cienka, inna od pozostałych. W środku znajdowała się kartka formatu A4 z zastrzeżonymi informacjami zamazanymi czarnym markerem. Żadnego nazwiska. Żadnego adresu. Żadnych informacji osobistych oprócz daty urodzenia i sytuacji rodzinnej. Matka zmarła. Ojciec nadal żył. Jedna siostra. Jediną rzeczą, którą pozostawiono, było zdjęcie. Kobieta. Jasne włosy. Niebieskie oczy.

Odłożyłem ją na bok i zacząłem po kolei przeglądać pozostałe.

Ujrzałem przed sobą zdjęcia kobiet. Żadna z nich nie była notowana, więc fotografie miały charakter prywatny, zostały zrobione przez przyjaciół lub członków rodziny. Siedemnastoletnia Megan była najmłodsza, co najmniej o trzy lata młodsza od pozostałych. Inne zaginione miały od dwudziestu do czterdziestu pięciu lat.

W przypadku seryjnego mordercy tak duża rozpiętość wieku wydawała się niezwykłą, ale zabójca wybierał swoje ofiary na podstawie wyglądu, a nie wieku. Jakie kryteria spełniały jasnowłose, niebieskookie kobiety średniej budowy ciała? Po kilku minutach lektury odkryłem, że wszystkie były samotne lub nie spotykały się z nikim na stałe. Większość robiła karierę zawodową, nie zadowolając się zwykłą pracą w celu spłaty hipoteki. Były inteligentne, atrakcyjne i wykształcone. Nawet Megan, choć nadal chodziła do szkoły, mogła zostać za taką uznana. Jediną, która nie pasowała do tej gromadki, była Leanne: przeciętne wyniki w nauce, bardziej pospolita od pozostałych.

Jak pasował do tego Daniel Markham? Musiał poznać Megan - a przypuszczalnie także Leanne - w klubie młodzieżowym, ale pozostałe nigdy nie postawiły stopy w Barton Hill. Wnioskując na podstawie teczek, nie były w żaden sposób ze sobą związane. Z drugiej strony nie były przypadkowymi ofiarami. Morderca wydawał się działać w niezwykle metodyczny sposób. Obmyślał intrygę, planował i analizował możliwości. Był zorganizowany i towarzyski, inteligentny i nieodstający od otoczenia. Może właśnie taki był Markham albo Doktor Glass. A może obaj? Może ze sobą współpracowali albo byli jedną osobą.

Pomyślałem o rodzinach modlących się o szczęśliwy powrót córek albo - w najczarniejszej godzinie - mających nadzieję na odnalezienie ciała, żeby móc je pochować.

Policja cały czas wiedziała, że sprawa sięga głębiej. Phillips, Hart, Davidson i inni mieli tego pełną świadomość. Poczułem falę gniewu wzbierającą w żołądku.

Kilka sekund później Healy wyłonił się ze Starbucksa, niosąc kartonową tacę z dwoma gigantycznymi kubkami kawy. Uprzątnąłem teczki z deski rozdzielczej, zebrałem razem i wziąłem kubek, który mi podał.

- Do roboty - powiedział, ruszając samochodem od krawężnika. - Czas zacząć działać.

□ □ □

Minęliśmy Hyde Park rozciągający się na południe od drogi i skręciliśmy na północ, w kierunku Regent's Park. Healy delikatnie przyhamował, pochylił się i podkręcił ogrzewanie. Było zimno. Na przednią szybę zaczęła wpełzać mgielka, a krople deszczu zabębniły o szybę. Trzymając nogę na hamulcu, zdjął wieczko kubka i zajrzał do środka.

- Dowiedziałeś się czegoś o Markhamie? - zapytałem.

- Być może. Nie figuruje w PNC, ale jeśli dostał zaświadczenie o niekaralności od CRB, przypuszczalnie nie był nigdzie notowany. Jako adres domowy podał ten na Mile End, który już znamy.

- Nie ma innego adresu?

- Nie, facet jest Panem Przeciętnikiem. Czytałeś tekst jego przesłuchania, prawda?

- Tak, jako zawód podał „konsultant”.

- Pracował u świętego Jana.

- W szpitalu?

- Tak, niecałe dwa kilometry od domu. - Healy przerwał i spojrzał mi w oczy. - Zadzwoń, żeby o niego spytać. Był psychiatrą.

- Nie pasuje na chirurga plastycznego.

Healy przytaknął.

- Nie sądzę, żeby to on był Doktorem Glassem.

- Jestem podobnego zdania.

- W takim razie jak pasuje do naszej układanki?

- Czy któraś z zaginionych kobiet była jego pacjentką?

- Nie.

Zabębniłem palcami o deskę rozdzielczą.

- Facet był rozwiedziony.

- Tak.

- Czy ktoś próbował odnaleźć jego byłą żonę?

- Nie było to szczególnie trudne.

- Jak to?

- Kilka lat temu została umieszczona w szpitalu psychiatrycznym w Hertfordshire. Markham próbował ją leczyć, ale jego magia okazała się nieskuteczna. Kiedy po pierwszej rundzie przesłuchań skreślono go z listy podejrzanych, uznano, że nie warto ciągnąć tego wątku.

- Przyjrzałeś się sprawie?

- Poprosiłem o jej kartę chorobową, kiedy wyszedłeś za kaucją. Przeszła poważne załamanie nerwowe po rozwodzie. Skończyło się na tym, że wywalono ją z roboty. Później zachorowała i spędziła cały rok na usiłowaniu popełnienia samobójstwa. Markham musiał ją od siebie uzależnić emocjonalnie.

- Nadal jest w szpitalu?

- Nie.

- Gdzie przebywa?

- Wygląda na to, że została wypisana w maju ubiegłego roku.

- Może warto z nią porozmawiać.

- Jeśli zdołasz ją odnaleźć. Wczoraj zadzwoniłem do szpitala, żeby zdobyć jej ostatni adres, ale nie pokazała się na żadnym spotkaniu poszpitalnej grupy wsparcia. Nigdy więcej jej nie widzieli.

- Ani razu?

Pokręcił głową.

- Ani razu.

Spojrzelśmy na siebie. Wiedziałem, że pomyśleliśmy o tym samym. To nie przypadek, że kolejna kobieta związana z Markhamem rozplynęła się w powietrzu.

- Czy facet miał alibi w dniu zaginięcia Megan?

- Był w robocie.

- Zapytałeś w szpitalu, czy facet dziś pracuje?

- Tak. Powiedzieli, że choruje od dwóch dni.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Złapał jakiegoś wirusa grypy.

- Wczoraj nie znalazłem w jego mieszkaniu fervexu. Właściwie niewiele tam było. Chata wyglądała, jakby ktoś ją wysprzątał.

- Może dlatego nie przychodzi do roboty.

Tylko że jego mieszkanie nie wyglądało na kompletnie opuszczone. Zostawił tam

pewne przedmioty. Meble. Włączone ogrzewanie i działające światła.

W końcu samochody ruszyły. Spojrzałem na Healy'ego.

- Zauważyłem, że jest ósma teczka - powiedziałem.

Podniósł kubek i przełknął łyk kawy. Gdy go odstawił, palce mu zadygotały, jak poprzedniego wieczoru. Kiedyś musiał dużo palić, choć obecnie zerwał z nałogiem. Nie śmierdział tytoniem ani nie było go czuć w samochodzie. W środku nie zauważyłem papierosów i - choć od godziny byliśmy w drodze - ani razu nie wyraził chęci zapalenia. Jednak nałóg nadal go pożerał, a palce w dalszym ciągu drżały, nie mając czego trzymać.

- Healy?

Położyłem teczki na kolanach tak, by zdjęcie ósmej kobiety było odwrócone w moją stronę. Spojrzał na mnie, a potem na fotografię.

- Później - odparł cicho.

Statyczny trzask

Kiedy Sona otworzyła oczy, zewsząd otaczało ją światło. Natychmiast zamknęła powieki, przekreśliła się na bok i zaczęła pełznąć w kierunku ściany dołu. Tylko że nie było żadnej ściany. I nie znajdowała się w dole.

Powoli otworzyła oczy po raz drugi. Wokół niej zaczęły się wyłaniać jakieś kształty. Cztery białe ściany pokoju, w którym się znajdowała. Dwa cienkie paski światła w górze wydające nieprzerwany szum. Szklany panel w jednej ze ścian, biegnący od sufitu do połowy wysokości pomieszczenia. Przyjrzała mu się bliżej i odkryła, że to lustro weneckie. Zobaczyła odbicie pokoju, ale nie dostrzegła niczego po drugiej stronie.

Usiadła. W ścianie znajdowały się drzwi przylegające do lustra, a obok nich stolik, na którym stała szklanka wody. Obok szklanki dostrzegła małą kartkę złożoną na pół. Widniała na niej strzałka wskazująca wodę, a pod spodem napis: *Wypij to*. Po drugiej stronie stołu leżał fartuch lekarski, a na nim druga kartka z napisem: *Włóż to*. Pomyślała o czasach, gdy była małą dziewczynką i matka czytała jej *Alicję w Krainie Czarów*. Po chwili przerażenie rozproszyło wspomnienia.

Stała przed lustrem i przyjrzała się sobie uważnie. Nie była pewna, jak długo przebywała w dole. Po tygodniu straciła rachubę czasu. Dostrzegła zmianę w swoim wyglądzie. Miała siniak na twarzy, w miejscu, gdzie uderzył ją ostatnim razem. Jedno oko sprawiało wrażenie lekko opuchniętego. Jej spojrzenie przypominało spojrzenie ludzi cierpiących na bezsenność. Przesypiała większą część nocy, ale nigdy głębokim snem. Jakaś część jej jaźni pozostawała czujna, nasłuchiwała jego nadejścia.

Ale to nie siniak ani oczy uległy największej zmianie.

Zmieniła się jej skóra.

Podeszła do lustra i dotknęła palcami szyby. Na wystających kościach policzkowych, brodzie i czubku nosa utworzyły się małe plamki światła, pozbawione połysku i matowe. Jej skóra miała woskową barwę. Kiedy jej dotknęła, pozostawiła ślady na palcach.

Wtedy coś się poruszyło.

Cofnęła się i spojrzała w kierunku okna. Jakiś kształt mignął za szybą. A może tylko się jej zdawało? Poczowała w piersi lęk, docierający wraz z krwią do mięśni i kości.

- Jest tam kto? - spytała cicho.

Cisza.

Wypij to. Włóż to.

Wzięła ze stołu fartuch lekarski. Był z cienkiej bawełny, z dwoma tasiemkami na wysokości szyi i w pasie. Sięgnęła po szklanę i wypila łyk wody. Z fartuchem w dłoni ruszyła w przeciwległy róg pokoju. Odwróciła się plecami do szyby i zaczęła się rozbierać. Przez cały czas pobytu w dole nie zmieniła ubrania, ale przez odór potu nadal czuła inne zapachy. Woń perfum i środka nawilżającego. Czuła nawet zapach szamponu użytego w dniu, w którym Mark zabrał ją na piknik do lasu.

Kiedy miała na sobie jedynie bieliznę, obejrzała się w stronę okna. Kolejny ruch. Niewyraźna smuga przypominająca kształt ukryty w cieniu. Przypatrywała mu się chwilę, czując, jak jej myśli („obserwuje mnie”) wywołują falę strachu przesuwaną się w dół kręgosłupa. Wsunęła ręce w rękawy fartucha i zaczęła go wiązać na szyi i plecach. Gdy skończyła, odwróciła się do drzwi.

Coś się zmieniło.

Rozejrzała się po pokoju, obracając się na pięcie. Ściany. Okno. Stół. Woda. Jej ubranie leżące na podłodze. W lustrze widziała jedynie wnętrze pomieszczenia i samą siebie.

Wtedy zrozumiała: nie chodziło o coś, co można zobaczyć.

Podniosła głowę. Paski światła nad głową przestały brzęczeć.

Nagle pierwsze błysnęło jak błyskawica, by po chwili całkowicie zgasnąć. Ściany straciły dawną jasność. Podłoga przestała błyszczeć. Cofnęła się kilka kroków ze wzrokiem utkwionym w jedynym źródle światła i z lękiem ściskającym gardło. Nastąpiła brzemienne pauza. Długa, potworna chwila, w której milcząco błagała, żeby światło nie zgasło. Później światło zamigotało i zgasło jak pierwsze.

Ogarnęła ją ciemność.

Ruszyła w kierunku drzwi, a gdy nie zdołała ich odnaleźć, wpadła w panikę. Oddech uległ spłyceniu, serce zaczęło łomotać w piersi.

- Proszę - wyszeptała, czując łzy napływające do oczu.

Brzęk.

Usłyszała hałas z lewej strony, a później zobaczyła linię światła wylaniającą się z ciemności. Drzwi. W wejściu pojawił się jakiś kształt, a za nim biały korytarz oświetlony słabą żarówką.

- Błagam, nie rób mi krzywdy - szepnęła z lękiem w głosie, cofając się od drzwi.

Cień widoczny na tle korytarza wpłynął do pokoju i drzwi się zamknęły.

- Proszę - powtórzyła błagalnie.

Żadnej odpowiedzi. Żadnego ruchu.

Niczego, dopóki pięć sekund później nie usłyszała statycznego trzasku.

Wyczuła jakiś ruch z boku.

- Mark?

- Niczego nie poczujesz - usłyszała głos dobiegający ze środka pokoju.

Później poczuła dłoń na twarzy, chustkę przyłożoną do ust i nosa. Kilka sekund później straciła przytomność.

Healy i ja ruszyliśmy ścieżką prowadzącą do Alby, bloku przy Mile End, w którym mieszkał kiedyś Daniel Markham. Drzwi były otwarte. W korytarzu jakaś kobieta zmywała mopem podłogę, otoczona dużymi kałużami wody. Nawet nie podniosła głowy, gdy przeszliśmy za jej plecami, kierując się w stronę mieszkań na parterze.

Była ósma trzydzieści. Pora dojazdu do pracy. Kilku mieszkańców zamykało drzwi, ubranych tak, jakby udawali się do roboty. Stanęliśmy przed drzwiami mieszkania Markhama, nasłuchując dźwięków dolatujących z wnętrza budynku. Dźwięku telewizorów. Odgłosów rozmów w mieszkaniu obok. Nic nie wskazywało, że ktoś zamierzał wyjść ze swojego mieszkania. Chwyciłem klamkę drzwi z numerem osiem i delikatnie je uchylilem. Złożony kartonik, który wetknąłem, upadł na podłogę. Healy cofnął się o krok, pozwalając mi zajrzeć do środka. Żadnych zmian, żadnego śladu, który wskazywałby na powrót Markhama. Wszystko wyglądało tak samo jak za pierwszym razem.

Healy skierował się do salonu, a ja poszedłem do łazienki. Zapaliłem światło. Szafka była nadal otwarta, zamek w dalszym ciągu zepsuty. Niczego nie ruszono. Ująłem dłońmi boki szafki i zdjąłem ją ze ściany. *Pomóż mi.*

- Healy!

Zjawił się po kilku sekundach. Spojrzał na mnie, a później na napis widniejący na ścianie.

- Myślisz, że Markham to napisał?

- A ty?

Przyjrzał się ścianie i wzruszył ramionami.

- Czemu miałby prosić o pomoc? I czemu zadał sobie tyle trudu, aby ukryć napis tam, gdzie nikt go nie znajdzie?

- Ja znalazłem.

- Przypadkiem.

- Ale znalazłem.

- O co ci chodzi?

- Może chce, żeby ktoś go powstrzymał - odparłem, ponownie przypatrując się literom. - Może facet w coś się wpakował, jest przerażony i pragnie, żeby ktoś powstrzymał kogoś innego.

- Kogo? Doktora Glassa?

- Właśnie tego musimy się dowiedzieć.

Klik.

Odgłos dochodził zza moich pleców. Spoza łazienki.

Kiedy podszedłem do drzwi, powróciło dawne wspomnienie. Stałem za drzwiami z przyłożonym do nich uchem, nasłuchując dolatującego z wnętrza klikania.

Wszedłem na korytarz i rozejrzałem się wokół. Pomieszczenie było wąskie i puste. Na ścianie wisiał obrazek przedstawiający zachód słońca. Nic więcej. Healy minął mnie i ruszył do kuchni. Skręciłem do sypialni. Rama łóżka bez materaca. Puste szafki. Żadnej nocnej lampy. Healy otwierał i zamykał szafy w salonie. Wszedłem do środka i rozejrzałem się wokół. Tak samo jak w innych pomieszczeniach. Niczego nie ruszono. W pokoju nic się nie zmieniło od czasu, gdy byłem tu ostatnim razem. Healy zamknął szafę, wyczuł moją obecność i podniósł głowę.

- Wszystko w porządku?

- Słyszałeś?

Podniósł się.

- Co?

W mieszkaniu panowała kompletna cisza. Jedyne dźwięki dolatywały z zewnątrz: szum przejeżdżających ulicą samochodów, rozmowy ludzi w sąsiednim mieszkaniu, dalekie zawodzenie policyjnych syren. Zlustrowałem pokój.

- Co? - spytał ponownie Healy.

- Coś przypominającego kliknięcie.

- Kliknięcie?

Wtedy dostrzegłem ją nad drzwiami.

Stała na małej czarnej półce, ukryta w cieniu. Wystający kabel zniknął w małym otworze wywierconym w suficie.

Kamera wideo.

- Ktoś nas obserwuje - szepnąłem.

Zanim zdążył zareagować, wciągnąłem go do salonu, tak abyśmy znaleźli się poza zasięgiem kamery. Nie zauważyłem jej za pierwszym razem. Mała, w czarnej obudowie, stała na czarnej półce w najciemniejszej części mieszkania. Łatwo było ją przeoczyć. Gdyby nie kliknięcie zoomu, mógłbym nigdy nie pomyśleć o spojrzeniu w tamtą stronę. Kątem oka podążyłem za kablem wychodzącym z urządzenia i znikającym w suficie.

Prowadzi do mieszkania piętro wyżej.

Healy wyrwał mnie z zamyślenia. Ruszył przez salon po stołek stojący w rogu pokoju.

- Co robisz?

Zatrzymał się i spojrzął na mnie, jakbym zadał najgłupsze pytanie, które słyszał tego dnia.

- A jak ci się zdaje? Ściągnę kamerę.

- To kiepski pomysł.

Prychnął i odwrócił się na pięcie, jakby moja głupota ponownie go zaskoczyła.

- Co? Mamy tu stać z fiutem w dłoni?

- Musimy zostawić ją chwilę na miejscu.

- Czemu mielibyśmy to zrobić?

- Bo przekazuje obraz do mieszkania piętro wyżej.

Spojrzał na sufit, a później skierował wzrok na mnie, jakby sądził, że chcę go wykiwać.

- Na co mamy czekać?

- Trzeba to dobrze rozegrać.

- Dobrze? - Potrząsnął głową. - Nie wiesz, do kogo mówisz? Chcesz mnie uczyć?!

- Uspokój się, Healy - odpowiedziałem spokojnie.

W jego oczach błysnął gniew. Przemknęło mi przez głowę, że skorzystanie z jego pomocy nie było najmądrzejszą decyzją. Chociaż zapoznał mnie ze szczegółami, których ustalenie mogłoby mi zająć wiele tygodni, wniósł też brak opanowania i pragnienie zemsty. Wyczułem to, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, a teraz dostrzegłem ponownie. Na ułamek sekundy mignęło mi przed oczami, gdzie obaj będziemy za kilka godzin lub dni. Ujrzałem, jak rozpaczliwie próbuję go powstrzymać, ale w końcu nie jestem w stanie tego zrobić.

- Posłuchaj - powiedziałem, ścisząc głos. - Jeśli wystrzelisz jak rakietą, tylko skomplikujesz naszą sytuację. Wiem, jak się czujesz, pamiętam o tym. Wiem, jak to jest, gdy człowiek straci kogoś bliskiego, ale musisz się uspokoić przed kamerą. Musisz się odwrócić i zacząć przeczesywać mieszkanie, jak do tej pory. Zrozumiałeś? Musimy się zachowywać tak, jakbyśmy jej nie zauważyli albo nie wyciągnęli właściwych wniosków.

- A ty co będziesz robił?

- Pobiegnę na górę.

- Chcesz go dopaść?

- Tak.

- Idę z tobą.

Pokręciłem głową.

- Jeden z nas musi zostać.

- Sam sobie zostań.

- Nie - powiedziałem, pierwszy raz podnosząc głos. - Straciłeś koncentrację. Musisz tu zostać i się uspokoić. - Przerwałem. - Musimy udawać, że nie zamierzamy się stąd ruszyć.

Utkwił we mnie wzrok. Czyżby doszedł do wniosku, że mam rację? A może obmyślił alternatywny plan, w który nie zamierzał mnie angażować. Nie znałem go wystarczająco dobrze, aby wybrać którąś z możliwości. Na dodatek zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle nie powinienem był korzystać z jego pomocy. Kiedy gniew opadł, Healy zamienił się w kamienną ścianę. Jego twarz stała się pozbawiona wyrazu, nie zdradzała żadnych uczuć. Umiałem czytać w ludzkich myślach, ale jego nie potrafiłem wyczuć. A jeśli tego nie potrafiłem, nie mogłem mu ufać.

- W porządku - powiedział spokojnym głosem. - Rób, co musisz.

Odwrócił się ode mnie. Oczekałem chwilę, zastanawiając się, czy właściwie to rozegrałem, a później ruszyłem w kierunku kamery, starając się nie patrzeć w obiektyw, udając, że ponownie zmierzam do sypialni.

Wtedy wszystko się posypało.

Kiedy dotarłem do drzwi sypialni, Healy wyrósł za moimi plecami i pchnął mnie do środka. Byłem kompletnie zaskoczony. Wpadłem do pokoju i wylądowałem na najbliższej szafie. Zatrzasnął za mną drzwi. Usłyszałem, jak wybiega z mieszkania. Ciężkie, szybkie kroki. Frontowe drzwi trzasnęły o ścianę, gdy otworzył je mocnym szarpnięciem. Później doleciał mnie słabnący tupot kroków na korytarzu.

Healy, głupi sukinsynu! - wykrzyknąłem w myślach.

Usłyszałem ruch na schodach.

Wybiegłem na korytarz co sił w nogach. Healy zniknął na klatce schodowej, kierując się na pierwsze piętro. Echo jego kroków rozbrzmiewało w całym budynku. Skoczyłem na górę, sadząc po dwa stopnie. Dotarłem na piętro w chwili, gdy drzwi jednego z mieszkań otworzyły się na oścież. Ze środka wyskoczyła jakaś postać i rzuciła się pędem w drugą stronę. Rozpoznałem mężczyznę. Tego samego, którego ujrzałem w alejce obok klubu młodzieżowego. Długi czarny płaszcz, czarne spodnie, czarne buty i czarna czapka z włóczki. Healy miał go niemal w zasięgu ręki. Biegł trzy metry za nim, skracając dystans z każdym krokiem.

Na końcu korytarza było dwoje drzwi, po lewej i prawej stronie. Prowadziły na zewnętrzne schody: lewe w dół, a prawe w górę. Mężczyzna dobiegł do końca i sięgnął do lewych drzwi. Drgnęły. W pierwszej chwili stawiały opór, ale w końcu ustąpiły, jednak nie otwarły się dość szeroko. Nie mógł się przez nie przecisnąć. Wtedy skoczył do prawych i szarpnął z całej siły - nie drgnęły ani o centymetr, a jego ręka ześlizgnęła się z klamki.

Był w pułapce.

Sekundę później dopędził go Healy.

Złapał faceta za ramię, próbując przyciągnąć do siebie. Jego twarz się wykrzywiła. Nabrała rumieńców. Gwałtowny, wściekły gniew eksplodował niczym pękająca linia uskoku. Ale tamten był szybszy. Zadał mu dwa ciosy: jeden w klatkę piersiową, drugi w krtań. Healy się zachwiał, chwytając dłonią tchawicę. Wymierzył kopniaka, trafiając tamtego w kolano i odrzucając w bok. Wyrznął plecami w lewe drzwi, które otwarły się z hukiem.

Tym razem Healy natarł na niego mocniej, wyciągając ręce i zaciskając zęby. Przez chwilę wziął nad nim górę swoją wielkością. Nie otyłością i wagą ciała, ale siłą, zmotywowany niesprawiedliwością, cierpieniem i pragnieniem zemsty. Wszystkie emocje, które odczuwał w ciągu minionych dziesięciu miesięcy, wreszcie znalazły ujście. Sekundę

później skoczył mu do gardła, pchając na ziemię i chwytając zbielałymi palcami. Ścisnął go i popychał. Jednak po chwili wszystko zwolniło. Byłem w odległości zaledwie trzydziestu centymetrów, gdy coś błysnęło w rękawie płaszcza tamtego. Strzykawka. Dźgnął Healy'ego w najbliższe miejsce, które było w jego zasięgu. Healy zamarł na ułamek sekundy, co wystarczyło tamtemu, aby go odepchnąć i skoczyć na nogi. Spojrzał na mnie.

Rozpoznałem faceta z klubu Tiko.

Wyglądał jak Milton Sykes.

Wsunął strzykawkę do kieszeni płaszcza i sięgnął do drugiej po kolejny przedmiot. Sekundę później błysnęło ostrze. Rozpoznałem nóż myśliwski. Miał około dwudziestu centymetrów długości, gumowaną rękojeść oraz hak do skórowania i patroszenia zwierzyny. Obrócił nim w dłoni, chwytając hakiem do przodu, a następnie zamachnął przede mną w powietrzu. Zrobiłem krok wstecz, uderzając piętami o drzwi czyjegoś mieszkania, ale ani na chwilę nie spuściłem go z oczu. Widziałem Healy'ego na prawo od siebie. Stał oparty o ścianę, trzymając się ręką nad sercem, tam gdzie weszła igła. Zauważyłem krew na jego koszuli. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał stracić przytomność. Jego wzrok błędził, zapalając się i gasnąc, jak zepsuty telewizor.

Tamten próbował mnie obejść, zmierzając w kierunku jedynej drogi ucieczki, z nożem wyciągniętym przed sobą. Kiedy spojrzał w dzielącą nas przestrzeń, zauważyłem coś dziwnego: jego oczy szybko się poruszały, ale reszta twarzy pozostawała nieruchoma. Zastygła w bezruchu. Niemal sparaliżowana. Jego spojrzenie wydawało się dziwne i dalekie. Gdy skoczyłem ku niemu, ponownie dźgnął nożem powietrze, jakby chciał mnie ostrzec. Zrobił to jeszcze raz, omijając mnie. Obszedł mnie całkowicie. Teraz musiał się jedynie odwrócić i uciec.

Zbliżyłem się do niego.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił - uprzedził.

Spojrzał na Healy'ego, a później na mnie. Mówił cicho, choć głos miał ostry i urywany, jakby próbował ukryć jego brzmienie.

- Nie masz dokąd uciec - powiedziałem, robiąc kolejny krok w jego stronę. Dźgnął po raz trzeci, z palcem wskazującym wyprostowanym na krawędzi rękojeści i ostrza. Trzymał nóż jak skalpel. Niczym chirurg.

- Nie uciekniesz - powtórzyłem.

Coś błysnęło w jego oczach.

- Ty i ja... - syknął, rzucając okiem na Healy'ego, a jednocześnie wskazując nożem, że zwraca się do mnie. - Ty i ja mamy coś wspólnego.

- Odłóż nóż.

- Coś nas łączy. - Uśmiechnął się nieznacznie zaciśniętymi wargami. - Słyszałeś?

Spojrzałem na niego uważnie.

- Daj spokój, odłóż nóż.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Odłóż nóż.

Dźgnął ponownie. Kolejny nieznaczny uśmiech.

- Nie zdołasz mnie prześcignąć - powiedziałem.

- Wiem. - Spojrzał między Healy'ego i mnie. Healy był teraz prawie nieprzytomny. -

Dlatego tu zostaniesz.

- Zapomnij o tym.

- Zobaczysz.

Świsnął nożem, zataczając ostrzem łuk w prawo.

- Zobaczysz... Zostaniesz tam, gdzie jesteś... - Zatrzymał się i zerknął na Healy'ego. -

Albo rozplątam gardło jego córce, od ucha do ucha.

- Najpierw będziesz musiał ją dopaść - powiedziałem.

- Popelniasz błąd - sapnął, ponownie dźgając nożem. - Nie masz nad niczym kontroli, Davidzie. To ja panuję nad sytuacją. Cały czas tak było. Wszystko zaplanowałem. Jeśli nie wrócę, jego córka... - Wykonał wymowny gest w poprzek krtani. - Wykrwawi się jak zarzynane prosię.

Healy jęknął na podłodze.

Tym razem nie spojrzał na niego, ale utkwiał wzrok we mnie. Rzucił okiem w stronę mieszkania, z którego wyszedł.

- Nie musisz tego robić - powiedziałem.

Nadal gapił się na otwarte drzwi.

- Po prostu oddaj nóż...

- Zamknij się! - wrzasnął.

Nagle znalazł się na krawędzi, jakby coś go rozwścieczyło. Przeniósł wzrok ze mnie na mieszkanie, by ponownie spojrzeć mi w oczy. Kolejny krok i kolejne wahanie.

Wtedy zrozumiałem, że popełnił jakiś błąd.

Że o czymś zapomniał.

W jego oczach mignęło coś na kształt emocji, gdy zrównał się ponownie z mieszkaniem i rzucił do środka ostatnie uporczywe spojrzenie. Przysunął się do drzwi, jakby się zastanawiał, czy podjąć ryzyko. Później odwrócił się ku mnie i zrozumiał, że nie da

radę.

Wtedy uciekł.

Pięć minut później Healy zaczął wracać do siebie, choć nadal nieskładnie bełkotał, a jedna strona jego ciała - stopa, noga, ramię i palce - była pozbawiona czucia i nie reagowała. Oparłem go o ścianę i spojrzałem mu w oczy.

- Jak się czujesz?

Przeniósł na mnie wzrok.

- W porządku.

- Świetnie. Jeszcze jedno: nigdy nie pchaj mnie od tyłu, jak ostatnio, jasne?

Skinął głową i rozmasował miejsce na środku klatki piersiowej, gdzie tamten wbił mu igłę.

- Rozejrzę się po mieszkaniu.

Nie czekałem na odpowiedź.

Lokal wyglądał identycznie jak mieszkanie Markhama, z tą różnicą, że był całkiem pusty. Gołe ściany, goła podłoga, żadnych zasłon ani mebli. Mieszkanie, do którego nigdy się nie wprowadzono. Z sufitu zwisał biały przewód, ale bez żarówki. Jedyne źródłem światła były okna w salonie. Na środku pokoju stała drewniana skrzynia i pojemnik na śmieci odwrócony do góry dnem.

Na skrzyni leżał laptop.

Jeden kabel biegł do kontaktu, a drugi po podłodze w kierunku małego otworu w rogu pokoju. Musiał łączyć laptop z kamerą piętro niżej. Podeszedłem do niego. Pulpit był pusty. Po prawej stronie pod ikoną twardego dysku spostrzegłem dwa katalogi. Jeden nosił nazwę „Wczytaj stopklatki”, a drugi „Zdjęcia”. Pośrodku ekranu widniało wypełniające się stopniowo okno ładowania. Przed chwilą pokazało dziewięćdziesiąt dwa procent. Podeszedłem bliżej.

I zrozumiałem, że nie był to proces ładowania.

Komputer kasował zawartość twardego dysku.

Kliknąłem przycisk „cancel”, ale nic się nie stało.

Tamten chciał skasować wszystko, co znajdowało się na twardym dysku laptopa. Spróbowałem komendy „wymuś zakończenie” i z całej siły uderzyłem klawisz „enter”. Znowu nic. Strata czasu. Proces kasowania trwał nieprzerwanie. Im dłużej myślałem, jak go zatrzymać, tym więcej danych znikало. Kliknąłem na pulpit i otworzyłem katalog „Wczytaj stopklatki”. W środku były czterdzieści dwie fotografie. Wyświetliłem pierwszą. Healy i ja

w mieszkaniu piętro niżej przed piętnastoma minutami. Zamknąłem i otworzyłem kolejne. Identyczne zdjęcie, tylko tym razem patrzyłem w obiektyw kamery. Kadry filmu umieszczone w katalogu zaczęły znikać od dołu, ale wszystkie zostały zmodyfikowane w ciągu ostatniej godziny, co oznaczało, że przedstawiają mnie i Healy'ego.

Dziewięćdziesiąt cztery procent.

Kliknąłem katalog „Zdjęcia”. W środku było dziesięć fotografii. Zaznaczyłem wszystkie i dwukrotnie kliknąłem. Spowolnione przez proces usuwania, otwierały się jedna po drugiej.

Dziewięćdziesiąt sześć procent.

Pierwsze zdjęcie: ja i Healy zbliżamy się do Alby. Przeszedłem do następnego. Healy odbierający mnie sprzed domu dziś rano.

Dziewięćdziesiąt siedem procent.

Trzecie zdjęcie wykonano z końca ulicy tamtej nocy, gdy Phillips i Davidson mnie aresztowali. Padał deszcz. Stałem obok samochodu, za policyjną taśmą, wskazując palcem twarz Phillipsa. Po lewej stronie byli jacyś ludzie, w których rozpoznałem sąsiadów. Cały czas stał wśród nich.

Włamał się do mojego domu i mnie wrobił.

A później obserwował, jak się rozwinię sytuacja.

Kolejne zdjęcie przedstawiało mnie przed klubem młodzieżowym w noc, kiedy włamałem się do środka, ukrytego w cieniu i manipulującego w zamku spinkami do włosów.

Dziewięćdziesiąt osiem procent.

Dwa zdjęcia zniknęły jednocześnie z katalogu i pulpitu. Szybko przejrzałem pozostałe obrazy. Piąte i szóste zdjęcie pokazywały mnie na leśnej ścieżce, podczas wizyty na Torowisku Umarłych. Rozpoznałem okolicę. Przed chwilą minąłem tory i zbliżałem się do polany. Zdjęcie wykonano z tyłu, zza jednego z drzew, z odległości pięciu metrów. Na piątym zdjęciu spoglądałem w kierunku aparatu. Jakbym go widział.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Zniknęło kolejne zdjęcie. Pozostało tylko jedno.

Mężczyzna zwrócony plecami do aparatu i kobieta odwrócona twarzą do niego. Rozmawiali ze sobą przed wejściem do jakiegoś biurowca. Wokół poruszali się ludzie. Wszystko było niewyraźne, lekko zamazane. Zdjęcie wykonano na maksymalnym zbliżeniu, a aparat drżał w trakcie wyzwiania migawki.

Przysunąłem się bliżej.

Przyjrzałem się uważnie mężczyźnie i kobiecie.

Jej twarz była niewyraźna. Zarys postaci zamazany. Brak ostrości fotografii sprawił, że jej oczy przypominały czarne plamy. Mimo to ją rozpoznałem.

Kobieta z ósmej teczki Healy'ego.

Stojący obok mężczyzna wydał mi się znajomy. Później dostrzegłem krawędź okularów, kosmyki kręconych czarnych włosów, starannie dobrane, schludne ubranie. Wtedy zrozumiałem, kto to.

Daniel Markham.

Wyciągnąłem komórkę, otworzyłem klapkę i włączyłem aparat fotograficzny. Chciałem zrobić zdjęcie, żeby pokazać je Healy'emu, ale na wyświetlaczu telefonu ukazał się ziarnisty obraz ekranu laptopa. Proces usuwania plików dobiegł końca.

Fotografia znikła na dobre.

Dwukrotnie kliknąłem ikonę twardego dysku, próbując odnaleźć ślad pliku. Komputer powrócił do ustawień fabrycznych. Wiedziałem, że istniały sposoby wydobycia informacji, odzyskania usuniętych zdjęć. Pliki nigdy nie były w pełni kasowane, usuwano jedynie ich nazwy, podczas gdy dane pozostawały. Jednak jedyną osobą, która mogła je dla mnie szybko i dyskretnie odzyskać, był Spike.

Zamknąłem laptop i wtedy zauważyłem coś na blacie w kuchni.

Wstałem i podszedłem bliżej. Był to metalowy pojemnik długości około trzydziestu centymetrów ze zdejmowaną pokrywką. Kiedy zacząłem mu się przyglądać, przypomniałem sobie wahanie tamtego gościa, gdy staliśmy naprzeciw siebie w korytarzu. Jego oczy zerkające w kierunku otwartych drzwi.

Jakby o czymś zapomniał.

Jakby zapomniał właśnie tego.

□ □ □

Healy nadal siedział tam, gdzie go zostawiłem. Uciskał klatkę piersiową palcami. Odwrócił się w moją stronę i podniósł głowę, krzywiąc się na moment. W jednej ręce trzymałem laptop, a w drugiej metalowy pojemnik.

- Jak się czujesz?

- Przeżyję - jęknął i ostrożnie stanął na nogach. Spojrzał na moje ręce, a później popatrzył mi w oczy. - To facet z nocnego klubu?

- Tak - odpowiedziałem, podnosząc laptop. - Zostawił komputer. Włączył proces usuwania wszystkiego, co choćby w najmniejszym stopniu go obciążało. Większość plików została usunięta, kiedy dotarłem na miejsce.

Healy skinął głową.

- Co to?

Patrzył na metalowy pojemnik. Przykucnąłem, kładąc na podłodze obie rzeczy, które trzymałem w rękach. Healy przysiadł obok, ciężko dysząc. Otworzyłem pojemnik.

W środku znajdował się cylindryczny szklany słoik długości mniej więcej dwudziestu pięciu i o średnicy dziewięciu centymetrów wypełniony przezroczystym płynem. Oba końce były hermetycznie zamknięte.

- Jasna cholera - jęknął cicho Healy.

Wewnątrz były dwa ludzkie serca.

Serce dorosłego i serce dziecka.

O dwunastej Healy i ja zaparkowaliśmy w uliczce w Beckton, naprzeciw szeregu identycznych magazynów. Na froncie jednego z nich widniał czerwony napis:

DRAYTON IMPORTS

Magazyn należał do Derricka Draytona, faceta będącego również właścicielem magazynu w Bow, w którym zginął Frank White. Tego samego, który dostarczył Ruskim skrzynkę broni i, jak podejrzewałem, karton formaliny dla chirurga.

- Jeśli liczysz na to, że Drayton spadnie ci z nieba, będziesz musiał długo czekać - powiedział Healy, gdy siedzieliśmy ze wzrokiem utkwionym w magazyn.

- Słyszałem, że Drayton wyjechał.

- Jego rodzina nic nie wie.

Spojrzałem na niego.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Grupa operacyjna trzy dni przesłuchiwała cały klan - odparł Healy. - Żonę, matkę, ojca, brata i siostrę. Sprawiali wrażenie przerażonych.

- To nie oznacza, że niczego nie wiedzą.

Przez całą drogę Healy masował miejsce, gdzie wbito mu igłę.

Gdy opuszczaliśmy mieszkanie Markhama, utrzymywał, że czuje się dobrze, ale nie chciałem ryzykować, więc zaproponowałem, że poprowadzę. Laptop leżał na tylnej kanapie, a słoik u jego stóp, ukryty w metalowym pojemniku. Do tej pory żaden z nas nie wspomniał o jego zawartości.

Healy spojrzał na mnie uważnie.

- O co ci chodzi? - zapytałem.

- Myślisz, że to jej? - W dalszym ciągu obserwował magazyn i mężczyzn wyładowujących pudła z ciężarówki. Kiedy nie odpowiedziałem, spojrzał na mnie ponownie.

- Myślisz, że to serce Megan?

Popatrzyłem na metalowy pojemnik.

- Tak, to możliwe.

- A drugie...

- Może należeć do jej dziecka.

Pomyślałem, że oglądał dużo gorsze rzeczy. Widział zło ukryte w człowieku -

morderców, gwałcicieli i zwyrodnialców, którzy żyli na tej ziemi, zamieniając ją w piekło. Sam byłem tego świadkiem. Stapałem po krwi, przestępowałem ciała. Czasami miałem wrażenie, że ludzie wyzbyli się wszelkiego człowieczeństwa, że przestały obowiązywać wszelkie reguły. Obaj widzieliśmy gorsze rzeczy niż serce wyjęte z człowieka. Jednak obecność dziecka zmieniała wszystko. W tym przypadku mogło nawet chodzić o nienarodzone dziecko. Healy w dalszym ciągu masował klatkę piersiową.

- Zakonserwowano je w tej substancji?

Spojrzałem na niego.

- Formalinie? Tak sądzę. Przypuszczam, że Drayton załatwił Rosjanom broń, a chemikalia dostarczono razem z nią. Taką monetą płacili Doktorowi Glassowi. Formaliną.

Kiedy ponownie spojrzałem na Healy'ego, kąciki ust mu opadły, a oczy stały się zwierciadłem jego myśli. Myśli o Leanne i formalinie, i całej reszcie, którą trudno było sobie nawet wyobrazić.

W magazynie ktoś zamknął tylne drzwi ciężarówki. Na ulicy dał się słyszeć głośny metaliczny szczęk. Odwróciliśmy się jak na komendę, obserwując kierowcę obchodzącego przód samochodu i znikającego w drzwiach biura. Wyszedł dwie minuty później, wsiadł do ciężarówki i ruszył. Wóz zniknął w ciągu trzydziestu sekund.

Widzieliśmy ludzi krzątających się w biurze. W tylnej części magazynu znajdowały się zaparowane kolorowe szyby. Słabe światło dnia przenikające na zewnątrz powodowało, że można było dojrzeć kontury postaci. Naliczyłem pięć, może sześć osób. Trudno było odgadnąć, jak wyglądało pomieszczenie, oprócz tego, że wydawało się ogromne i puste.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedział Healy, ponownie uciskając klatkę. - Pamiętaj, że wyszedłeś za kaucją.

W lusterku wstecznym ujrzałem niebieskiego nissana skręcającego w naszą ulicę i jadącego w stronę Drayton Imports.

- Wiem - przytaknąłem, obserwując samochód. Nissan zwolnił i stanął przed magazynem, parkując przy krawężniku. Healy usłyszał hałas i się obejrzał.

- To on - szepnął.

- Syn Draytona?

- Tak.

- Co o nim wiesz?

Healy wzruszył ramionami.

- Tylko to, co słyszałem. Pamiętam, że Phillips przebąkiwał, że dzieciak może coś ukrywać, ale sam wiesz, jaki jest Phillips.

Syn Draytona wysiadł z samochodu. Kilku ludzi w magazynie pomachało w jego stronę i po chwili facet zniknął w drzwiach biura.

- Jesteś gotowy? - zapytałem.

Healy spojrzał na mnie.

- Zróbmy to.

Biuro było małe i skromnie urządzone. Po lewej stronie niemal całą długość zajmował kontuar, za którym znajdowało się okno wychodzące na część magazynową. W środku panował bałagan: do ścian przyczepiono pinezkami faktury i dokumenty przewozowe, trzyczęściowy kalendarz, pokwitowania, a nawet zdjęcia rodzinne. W poczekalni stały trzy zużyte, niepasujące do siebie krzesła i okrągły stolik. Wszystko pachniało żywnością. Syn Draytona stał pochylony za kontuarem, jakby coś pisał. Podniósł głowę, gdy Healy do niego podszedł. Zauważyłem, że gorączkowo myśli, próbując go sobie przypomnieć. Cały czas stałem w drzwiach.

- Luke Drayton?

Facet spojrział na Healy'ego, a potem na mnie.

- Czy my się znamy?

Healy sięgnął do kieszeni i wyciągnął legitymację policyjną. Położył ją na kontuarze, przyciskając portfel do blatu. Wiedziałem, co robi. Zakrywał nazwisko koniuszkami palców.

- Jesteśmy z policji.

Drayton spojrział między nas.

- Znowu?

- Mamy kilka pytań.

- W jakiej sprawie?

- Pańskiego ojca.

Drayton przewrócił oczami.

- Powiedzieliśmy wam wszystko za pierwszym razem. A później za drugim i trzecim.

Chcecie, żebym coś wymyślił?

O to wam chodzi?

Healy podszedł do Draytona i pochylił się nad kontuarem.

Nie odezwał się ani słowem.

- Ojciec nas wyrolował - podjął Drayton. - Zniszczył dobre imię firmy. Podtrzymuję wszystko, co powiedziałem. Mam nadzieję, że smaży się w piekle. Że nigdy nie zazna spokoju, gdziekolwiek jest.

Healy skinął głową.

- Faktycznie, gadasz, jakbyś za nim tęsknił.

Drayton zmarszczył brwi i pokręcił głową.

Zostawiłem ich, pozwalając, żeby drzwi się za mną zamknęły, i ruszyłem wzdłuż magazynu. Z tyłu znajdowało się wybetonowane podwórko otoczone półtorametrowym murem zakończonym drutem kolczastym. Wyjrzałem na drugą stronę: mały wózek widłowy, dwa samochody i furgonetka. Kilka nieoznakowanych beczek i duży stos kartonów przykryty plandeką. Wokół nich krzątali się dwaj mężczyźni. Jeden trzymał podkładkę i coś notował, a drugi wnosił kolejne kartony z magazynu - przypuszczalnie stanowiły część wcześniejszej dostawy.

Ruszyłem ścieżką biegnącą wokół działki. Na końcu znajdował się strumień, najpewniej uchodzący do Royal Albert Dock. Płynął wzdłuż wszystkich siedmiu magazynów, znikając wśród rosnących drzew. Zauważyłem, że tylny mur terenu magazynowego zabezpieczono potrójną siatką z drutu kolczastego. Nie było bramy ani drugiego wyjścia, chyba że chciałeś porwać sobie skórę na strzępy.

Wróciłem tą samą ścieżką i ponownie obejrzałem mur. Jediną osobą, która pozostała na dziedzińcu, był facet z podkładką. Stał na prawo od stosu kartonów, przesuwał palcem wzdłuż spisu towarów. Pudła były różnego kształtu i wielkości, ułożone w kilka mniejszych stert.

Z magazynu wyszedł robotnik przenoszący pudła. Tym razem trzymał przed sobą ogromny karton w kształcie sześcianu, sięgając ramionami do połowy jego boków. Chwiejnym krokiem okrążył stos tak, aby się nie potknąć. Pokonawszy dwie trzecie drogi, pochylił się i położył karton na stosie. Siła rozpędu spowodowała, że środek ciężkości przemieścił się do przodu. Mężczyzna zawadził czubkiem buta o jedno z pudeł leżących u dołu. Karton lekko się przesunął i pod nim ukazała się linia wyżłobiona w betonowej posadzce.

Mężczyzna przykucnął, ujął pudło w dłonie i postawił na właściwe miejsce nad linią. Kilka sekund później na betonie widać był jedynie ślady opon i pył.

□ □ □

Wróciliśmy do samochodu. Healy zerknął w kierunku magazynu.

- Facet coś ukrywa - wycedził.

- Powiedział coś?

- Nic.

- Co wzbudziło twoje podejrzenia?

- Sam nie wiem - odrzekł i popatrzył na mnie. - Może uznasz mnie za paranoika, ale jeśli gość wymyślił tę historyjkę, jest cholernie dobrym kłamcą.

Okna samochodu zadrżały pod uderzeniem wiatru.

- Znalazłeś coś z tyłu? - zapytał.

Skinąłem głową.

- Musimy tu przyjść o zmroku.

- Dlaczego?

Spojrzałem w kierunku tylnych drzwi magazynu i podwórka, które się za nim rozciągało.

- Bo jest tam ukryta zapadnia.

Kilka przecznic od East India Dock Road Healy znalazł kawiarnię z widokiem na Millennium Dome rysujący się po drugiej stronie rzeki na tle szarego nieba zasnutego mgiełką. Już mieliśmy wejść do środka, kiedy kawałek dalej spostrzegłem znajomą sylwetkę Arona Crane'a. Miał na sobie garnitur. Tym razem nie było z nim Jill.

Powiedziałem Healy'emu, że dołączę do niego w środku. Aron sprawiał wrażenie zamyszonego. Szedł ze wzrokiem utkwionym w odległe drapacze chmur Canary Wharf przesywające nisko wiszące obłoki. Spostrzegł mnie, gdy do drzwi kawiarni zostało nie więcej niż sześć metrów.

Uśmiechnął się i przystanął.

- Cześć, Davidzie!

- Jak się masz, Aronie?

- Znakomicie. - Uścisnęliśmy sobie dłonie. - Co porabiasz w tej części świata?

- Umówiłem się na kawę z przyjacielem. - Skinąłem głową w stronę kawiarni. Healy stał oparty o ladę. Spoglądał na zewnątrz, między naszymi głowami. - Szczerze mówiąc, to tylko znajomy.

Aron zerknął na Healy'ego.

- Wygląda na wkurzonego.

- Uśmiecha się do własnego wnętrza - powiedziałem, a Aron zachichotał. - Pracujesz w okolicy?

- Tak. Coś w tym rodzaju. Przez następne dwa tygodnie. Doradzam Citigroup i HSBC. Pewnie dlatego patrzę tysiąc metrów przed siebie.

- Wspominałeś, że pracujesz w bankowości.

- Nie wykorzystuj tego przeciwko mnie.

Uśmiechnąłem się. Zapadła krótka chwila milczenia, wystarczająca, abyśmy zdali sobie sprawę, co nas dzieli.

- Jak się miewa Jill?

- Znakomicie. - Kolejna pauza. - Wspominała, że wczoraj dzwoniłaś.

Nie wyczułem żadnej niechęci w jego głosie, ale gdy na mnie spojrział, zrozumiałem, że dawał do zrozumienia, iż ją wkurzyłem.

- Nie chciałem jej obrazić.

Skinąłem głową.

- Wiem.

- Słuchaj... - Natychmiast się powstrzymałem. Pilnowałem się, żeby nie ujawnić za dużo o sprawie, którą się obecnie zajmowałem. Pewnie i tak wszystko mu opowiedziała. Są ze sobą blisko. On wie, co jej powiedziałem. - Pojawiły się nieoczekiwane związki łączące to, co spotkało Franka, ze sprawą, którą się obecnie zajmuję. Wydawały się zbyt oczywiste. Musiałem zapytać Jill, co wie. Czy w ogóle coś wie.

Skinął głową i powiódł dłonią po włosach, jakby nie był pewny, co zrobić.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć.

- Zobaczycie się dziś wieczorem?

- Nie. - Spojrzał na zegarek. - Idę do Canary Wharf po swoje rzeczy. O czwartej lecę do Paryża na naradę. Mam wyrzuty sumienia, bo jutro wieczorem jest spotkanie grupy wsparcia, a ja obiecałem Jill, że się pojawię. Niestety, nie wrócę aż do środy.

Całkiem zapomniałem o spotkaniu.

- Pójdiesz?

- Chciałbym - odpowiedziałem. Mógłbym pogadać z Jill, spojrzeć jej w oczy i ustalić, co wie. - Ale mogę być zajęty. Przekaż jej moje przeprosiny, gdybyś się jednak zdecydował pójść.

- Nie pójdę, ale potem do niej zadzwonię i o tym wspomnę. Podziękowałem mu skinieniem głowy.

- W porządku. Muszę już iść - powiedział.

Ponownie uścisnęliśmy sobie dłonie i Aron ruszył dalej.

Pomyślałem, że stara się zachować neutralność, ale trudno mu to wychodzi. Żałowałem, że uraziłem Jill, ale nie żałowałem, że zadałem jej to pytanie.

Bo coś było wyraźnie nie tak.

Kawiarenka była mała. Stołki stały przy oknach, zwrócone w stronę rzędów dwupiętrowych szeregowców i nowego apartamentowca z chromu i szkła. Zamówiłem czarną kawę oraz kanapkę z serem i pastrami, a Healy dużą kawę i bułkę z wołowiną i musztardą. Usiedliśmy przy oknie wychodzącym na ulicę. Dochodziła druga. Zaczęło padać. Mieliśmy do zabicia dużo czasu.

- To miejsce musi być dla ciebie bardzo obce - zauważył.

Ugryzłem kęs kanapki.

- Kiedyś mieszkałem niedaleko stąd, w Wapping.

- Zrezygnowałbyś z dziennikarstwa, gdyby twoja żona... - przerwał i spojrzał na mnie
- gdyby to się nie stało?

- Chyba nie. - Przysunąłem sobie kawę. Krople deszczu zaczęły bębnić o szybę, a na dworze lekko pociemniało. Skinąłem głową w kierunku strużek wody spływających po szybie. - Mógłbym zostać w gazecie, żeby się uwolnić od tej pieprzonej pogody.

- Spędzałeś dużo czasu za granicą?

Ugryzłem kolejny kęs. Kanapka była dobra.

- Tak, całkiem sporo. Bardzo często zabierałem ze sobą Derryn. Była wykwalifikowaną pielęgniarką, ale brała krótkie kontrakty, więc przyjeżdżała i mieszkała ze mną, o ile nie pracowałem w strefie działań wojennych. Spędziliśmy półtora roku w Stanach i rok w Republice Południowej Afryki, ale najczęściej miesiąc tu, a miesiąc tam. Przylatywała i pomagała mi nie zwariować.

Zamilkliśmy. W ciągu paru minut kapuśniaczek ustał, a jego miejsce zajęła lekka mżawka.

- A ty?

- Co ja?

Spojrzałem na niego. Wydłubywał z bułki krojone korniszony. Po kilku sekundach podniósł głowę i wzruszył ramionami.

- Przecież wiesz.

- Czyżby?

Uśmiechnął się.

- Wiedziałeś o Leanne... założę się, że znasz moją najnowszą historię.

Nie odpowiedziałem.

Uśmiechnął się ponownie.

- Przyjmuję to jako potwierdzenie.

- Jak chcesz - odrzekłem i wziąłem łyk kawy. - Możesz mi powiedzieć albo nie. To zależy od ciebie.

Znów zapadła cisza.

Dokończyłem kanapkę. Healy w dalszym ciągu skubał bułkę i wpatrywał się w kawę.

- Prowadziłem kiedyś pewną sprawę - zaczął w końcu. Wydłubał z bułki ostatni kawałek korniszona i położył pieczywo na wołównie. - W New Cross zamordowano dwie dziewczynki. Bliźniaczki. Osiem lat. Sąsiad zawiadomił policję, bo nie widział ich od tygodnia. Zostały zgwałcone i uduszone. Matka leżała martwa w pokoju obok, dźgnięta w klatkę piersiową. Ojciec... kto wie, gdzie był. Dziewczynki nigdy go nie poznały. Nie uczestniczył w ich życiu. Nawet matka nie знаła jego nazwiska. Zrobił dla nich tylko jedno... i to na dziewięć miesięcy przed ich urodzeniem.

Zamilkł na chwilę, wsypał do kawy torebkę cukru i zamieszał.

- Nic dziwnego, że pierwszym podejrzanym był dealer mamusi. Dziewczynki wróciły ze szkoły i zastały mamę z dealerem w mieszkaniu. Między dwójką dorosłych wywiązała się kłótnia. Dealerowi odbiło, dźgnął mamusię i zaatakował dziewczynki. Albo skatował matkę i zmusił ją do patrzenia, jak się zabawia z dziewczynkami, dopóki ona nie zapłaci tego, co była mu winna. Sekcja wykazała jednak, że zmarła przed nimi. - Przerwał i wzruszył ramionami. - Tak czy owak, oboje sprawili, że chciało mi się rzygać.

Ugryzł bułkę, otarł usta i ponownie wzruszył ramionami.

- Zgarnęliśmy tego gnojka. Nędzny śmieć. Chociaż odpowiadał za połowę nieszczęść w New Cross, nie był zabójcą. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Badania kryminalistyczne nie dały żadnego rezultatu. Znaleźli włókna i odciski palców, ale nie pasowały do nikogo w naszej bazie danych. Tydzień zamienił się w dwa. Dwa w trzy. Po trzech tygodniach dochodzenia w sprawie morderstwa zaczyna się robić nieciekawie. Ogarniają cię wątpliwości. Zadajesz sobie pytania: „Co przeoczyłem? Co pominąłem? Czego nie dostrzegłem?”. Później zaczynasz kręcić się w kółko. Krążysz między miejscem popełnienia morderstwa i komputerem. Nękaś kryminologów. Po miesiącu potrafisz myśleć tylko o tym, że na wolności łązi facet, który uśmiercił dwie niewinne dziewczynki.

Healy znowu przerwał.

- Nikt nie zrozumie odpowiedzialności, którą w takich miejscach odczuwasz wobec ofiar, tym bardziej gdy mają osiem lat... a ty nie umiesz znaleźć gnojka, który im to zrobił, w całym pieprzonym mieście. Nikt nie zdoła pojąć, co to za uczucie. Nawet niektórzy goście

z policji. A jeśli tego nie kapują, jak, do licha, mają zrozumieć, co czuje rodzina?

Skinąłem głową w milczeniu.

- Uplłynął prawie miesiąc, kiedy odkryłem, że się z kimś spotyka - powiedział, tym razem mając na myśli żonę. - Gdybym dowiedział się o tym w innym czasie, byłbym pewnie tylko rozgniewany. Może i rzuciłbym jakimś meblem, wetknął stopę między drzwi a futrynę. Potrafię się wkurzyć. Taki już jestem. Mam czterdzieści sześć lat. Za późno, żeby się zmienić. Ale chwila była najmniej odpowiednia. Odkryłem, że się puszcza, kiedy miałem przed oczami zdjęcia dwóch ośmiolatek z ranami wokół wszystkich otworów ciała. Media chciały krwi, a szef dobierał mi się do dupy... - Umilkł i spojrzał na mnie. - Najgorsze było to, że nie miałem żadnych pieprzonych podejrzanych. Ani jednego. Czuję, że mam dług wobec tych dziewczynek... nigdy wcześniej tak boleśnie tego nie przeżywałem. Dlatego kiedy Gemma mi powiedziała, zupełnie straciłem nad sobą panowanie.

- Wszyscy zrobiliśmy rzeczy, których żałujemy.

Uśmiechnął się blado.

- Co ty zrobiłeś?

Spojrzałem mu w oczy. Zabiłem kilku ludzi. Ludzi, którzy na to zasłużyli. Ludzi, którzy pozbawiliby mnie życia, gdybym im go nie odebrał. Mimo to zabiłem i będę sądzony tak jak oni. Kiedy nie odpowiedziałem, wyrzwał przez okno. Przed nim leżało prawie nietknięte jedzenie, a kawa całkiem wystygła.

- Człowiek nigdy nie pozna innych do końca - powiedział wreszcie. - Nawet tych, których kocha. Gemma i ja sądziliśmy, że się znamy. Okazało się inaczej.

Minął jakiś czas. Obserwowałem, jak pociera kciukiem palec wskazujący prawej dłoni. Chętnie sięgnąłby po papierosa. Po chwili podszedł do lady i zamówił świeżą kawę, a następnie zniknął w toalecie. Wrócił po kilku minutach, osłodził kawę i pociągnął długi łyk. Jego nastrój uległ zmianie. Byłem ciekaw, o czym teraz myśli. O swojej żonie? O nocy, kiedy wyznała mu, że spotyka się z innym? O chwili, gdy ją uderzył? A może o bliźniaczkach i Leanne?

- Kiedy człowiek godzi się z odejściem drugiej osoby? - spytał cicho.

Spojrzałem na niego uważnie. Pytanie Healy'ego mnie zaskoczyło, choć starałem się tego nie okazać. Nie spodziewałem się, że je zada. Nie sądziłem, że bolesne uczucia znajdują się tak płytko pod powierzchnią.

- Z każdym jest inaczej. Nie ma w tym nic złego, jeśli człowiek kurczowo trzyma się nadziei. To żaden wstyd wierzyć, że zaginiona osoba może w każdej chwili stanąć w drzwiach.

Healy nie odpowiedział.

Dałem mu kilka sekund, a następnie nacisnąłem ponownie.

- Powiesz mi czy nie?

Spojrzał na mnie.

- O czym?

- O kobiecie z ósmej teczki.

Zerknął na ulicę. W jego oczach odbił się ruch i światła, i świat istniejący za oknem.

- Sona.

- Tak miała na imię?

Skinął głową. Niezwykle imię. Nawet mi się podobało, choć nie słyszałem go nigdy wcześniej. Healy zaczął szukać czegoś w kieszeni.

- Jej matka urodziła się za granicą - powiedział. - W Europie Wschodniej. - Podał mi złożony kawałek papieru, który wyjął z kieszeni. Taka sama kartka, jaką wcześniej widziałem w teczce, ale na tej nie zostały zamazane dane. Wszystko było widoczne jak na dłoni.

- Jaki ma związek z tą sprawą?

Spojrzał na mnie.

- To jedyna, której udało się uciec.

Ta, która uciekła

Sona obudziła się i otworzyła oczy tak szybko i gwałtownie, aż coś pękło. Z jej powiek zwisały dwa plastry. Rozejrzała się wokół. Leżała na szpitalnym łóżku. Z jednej strony stał metalowy stolik z narzędziami chirurgicznymi i aparatem EKG. Z drugiej - żółty defibrylator i dwie metalowe łopatkki ułożone po bokach urządzenia do przezskórnej gastrostomii endoskopowej. W pokoju było pięć drzwi: jedno po lewej, jedno po prawej i trzy naprzeciw niej.

Usiadła, przyciągając coś do klatki piersiowej. Spod fartucha wysunęły się przewody połączone z EKG. Wyczuła dwie elektrody umieszczone pod piersiami. W prawej dłoni tkwił cewnik połączony z woreczkiem płynu zwisającym na metalowym stojaku. Przez chwilę czuła zawroty głowy, jakby została zbyt szybko wydarta ze stanu nieświadomości. Chwilę później uderzyła ją rzeczywistość. Poczwała lęk, zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. To nie było do niego podobne. Powinien tu być. Przecież wiedziałby dokładnie, kiedy się obudzi. Patrzył i nasłuchiwał.

W takim razie czemu jeszcze po nią nie przyszedł?

Ponieważ powinnam jeszcze spać, przemknęło jej przez głowę.

Została znieczulona. Zostawił ją, bo uznał, że podał jej wystarczającą ilość środka odurzającego, by straciła przytomność.

Ale było inaczej. Obudziła się.

Muszę się stąd wydostać, pomyślała.

Odkleiła plastry z powiek, wyciągnęła cewnik i zdjęła elektrody z klatki piersiowej. Na ekranie monitora ukazała się prosta linia EKG, a monotonne pikanie zastąpił długi nieprzerwany dźwięk. Stała pośrodku sali, wpatrując się w drzwi. Musiał się w którychś pojawić. Musiał po nią przyjść, ale minęła minuta, a jego nadal nie było.

Zauważyła stolik na kółkach. Na stoliku leżały nożyczki długości około piętnastu centymetrów, rozwarte pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Nożyczki chirurgiczne. Obok rozłożono cały zestaw skalpeli różnej wielkości, o rozmaitych ostrzach i kształtach, oraz inne narzędzia, niektóre przypominające młotek, a także strzykawkę i wiertło. Na koniec spostrzegła butelkę z przezroczystym płynem.

Z tą samą substancją, którą kazał jej przemyć twarz.

Dotknęła policzka. Skóra miała woskowy połysk, a twarz sprawiała wrażenie odrętwiałej. Niczego nie czuła, jakby była martwa. Nie zareagowały żadne zakończenia

nerwowe. Żadnego wrażenia ruchu towarzyszącego otworzeniu i zamknięciu szczęk. Niczego. Jej twarz była kompletnie pozbawiona czucia. Pomacała drugą stronę, a kiedy nie wyczuła niczego pod palcami, cofnęła rękę. Jej pierś zadrżała z przerażenia, bo palce były umazane krwią.

Nagle owładnęła nią potworna świadomość, otaczając zewsząd niczym plama oleju: użył płynu, żeby przygotować moją skórę do operacji. Naciął moją twarz.

Chwyciła jeden ze skalpeli. Chodź, draniu, pomyślała. Próbowiła wpompować trochę adrenaliny do swojego organizmu, żeby wywołać jakąś reakcję. Była w połowie pokoju, kiedy usłyszała jakiś ruch.

Szybkie kroki odbijające się echem w korytarzu za najbliższymi drzwiami.

Statyczny trzask.

Zamarła niczym przymarznięta do podłogi. Żadnych kroków.

Kolejny trzask. Przełożyła skalpel z jednej ręki do drugiej i wyciągnęła ją przed siebie, w stronę drzwi. Czekała. Później zdała sobie sprawę, że statyczne trzaski dochodzą ze środka pokoju. Spojrzała w lewo, w górny róg pomieszczenia. W ciemności rozpoznała kształt głośnika wbudowanego w ścianę, dla niepoznaki pomalowanego tą samą farbą.

- SSSSSSSono.

Głos dochodził z głośnika.

Nagle spostrzegła, że klamka drgnęła.

Serce podskoczyło jej do gardła. Zrobiła krok w prawo i ruszyła do przodu, stając za drzwiami, które zaczęły się otwierać w jej stronę. Przełknęła ślinę. Raz, a później drugi. Za trzecim razem prawie zakaszła. Była tak przerażona, że miała wrażenie, jakby wokół szyi zaciskały się palce. Zasłoniła usta dłonią, próbując powstrzymać najmniejszy dźwięk - jęk przerażenia, oddech, który mógłby wydobyć się z krtani. Drzwi w dalszym ciągu się otwierały. Ani mru-mru, nakazała sobie w myślach. Jeszcze kilka centymetrów. Ani...

Drzwi przestały się otwierać.

Spojrzała w dół i ujrzała krawędź czarnego buta. Nic więcej.

Aparat EKG wydał głośny pisk. Do jej uszu doleciały kolejne statyczne trzaski, ale ona słyszała jedynie bicie własnego serca, uderzającego tak gwałtownie, że zagłuszało inne dźwięki. Z trudem znalazła w sobie dość siły, żeby unieść skalpel w zbiegających palcach. Gotowa do ataku, czekała, aż on wejdzie do pomieszczenia.

Czekała.

Ale on się nie poruszył. Później dźwięki z głośnika w rogu pokoju na chwilę się nasiliły. Trzask odbił się donośnym echem, zmieniając wysokość i barwę.

Dźwięk dochodził z głośników obok niej i po drugiej stronie drzwi. Fala przerażenia opanowała jej nogi, na krótką chwilę paraliżując mięśnie. Cofnęła się o krok, dotykając ściany, żeby nie osunąć się na ziemię. Ruch wywołał ledwie słyszalny hałas. Pisk bosej stopy na wypolerowanej posadzce.

Wystarczyło.

Drzwi przysunęły się do niej tak szybko, że ledwie zdążyła to zarejestrować. Ułamek sekundy później uderzyły ją w twarz. Twarde drewno trafiło w kość policzkową. Zachwiała się, próbując utrzymać skalpel przed sobą i starając się zachować czujność. Przez ułamek sekundy mózg sygnalizował, że powinna odczuwać ból, ale nie miała żadnych doznań.

Wtedy skoczył na nią zza drzwi.

Był w jasnoniebieskim fartuchu lekarskim, miał czepek na głowie i maskę na twarzy. Dostrzegła błyszczące niebieskie oczy i przewód wychodzący spod maski, opadający wzdłuż fartucha. W mgnieniu oka przeniosła wzrok z przewodu na niego. Dłoń chwyciła ją za gardło i ścisnęła.

Kolejny statyczny trzask.

Pchnął ją na posadzkę. Spojrzała na niego. W jego oczy. Były wąskie, owładnięte pragnieniem, by wyrządzić jej krzywdę. Przyparł ją do podłogi, gdy nogi się pod nią ugięły. Jakby chciał jej pokazać, kto jest panem sytuacji. Uścisk sprawił, że zaczęła się krztusić, płuca próbowały wypchnąć powietrze przez krtań. Kciuk mocniej nacisnął tchawicę. Była na krawędzi utraty przytomności.

Wtedy odezwał się instynkt przetrwania.

Zareagowały nerwy. Napięły się mięśnie.

Ścisnęła skalpel z całej siły i dźgnęła w grzbiet jego prawej dłoni. Zawył z bólu. Początkowo krzyk został stłumiony przez maskę, ale chwilę później jego zniekształcony wrzask ryknął z głośników. Puścił ją. Dźwięk zamarł. Jęk bólu zastąpiły statyczne trzaski.

Dźwignęła się na nogi, obeszała go i popędziła do drzwi. Długi szary korytarz. Betonowe ściany. Przez całą drogę pasy światła. Spojrzała w jedną i w drugą stronę. Korytarz skręcał w lewo pod kątem prostym. Za rogiem rozciągał się mrok. Po prawej znajdowały się ciężkie metalowe drzwi z ogromnymi nitami.

Skoczyła w lewo.

- Cholerna dziwko!

Biegła, słysząc za plecami głos oprawcy. Dochodził z głośnika umieszczonego wysoko na ścianie. Chwilę później rozległ się tupot kroków.

Spojrzała za siebie. Stała w drzwiach i natychmiast ją spostrzegł. Na fartuch

i spodnie kapą krew ze zranionej ręki. Z góry doleciał statyczny syk, a później w jej stronę popłynął złowieszczy szept.

- Nie masz dokąd uciec.

Odwróciła się i popędziła naprzód ile sił w nogach. Za zakrętem ujrzała kolejny korytarz, krótszy od poprzedniego. Dostrzegła kilka skrzyń stojących przy ścianie, trzy szklane panele po lewej i kolejną betonową ścianę po prawej stronie. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, oddalone o jakieś czterdzieści metrów od niej, łączące korytarz, którym uciekała, z lepiej oświetlonym pomieszczeniem.

- Dokąd biegiesz, Sono?

Minęła kolejny głośnik.

- Nie masz dokąd uciec!

Usłyszała kroki za plecami, ale tym razem się nie odwróciła. Nie odrywała wzroku od drzwi na końcu korytarza. Nie zawahała się ani razu. Nie zwolniła tempa, ignorując ból, który pojawił się w okolicy policzków i czoła. Ignorując wewnętrzny głos, który krzyczał, że nigdy mu nie ucieknie.

Mijając szklane panele, zdała sobie sprawę, że to okna.

Pierwsze należało do wyglądającego znajomo pomieszczenia. Białe ściany. Biały sufit. Zauważyła stół oraz kartki wskazujące wodę i fartuch lekarski. W rogu leżały jej złożone na kupkę ubrania. Wszystko oprócz bielizny.

Przyspieszyła.

Następny pokój był identyczny, tylko pusty.

Dotarła do trzeciego.

Jakaś kobieta siedziała w kącie na podłodze, z nogami przyciągniętymi do brody i twarzą ukrytą między kolanami.

Trzyma tu więcej takich jak ja, pomyślała.

Usłyszała hałas za plecami. Spojrzała za siebie.

Był coraz bliżej.

Nagle ujrzała przed sobą jasno oświetlony pokój za otwartymi stalowymi drzwiami. Pomieszczenie miało powierzchnię około dziewięciu metrów kwadratowych i grube przeciwpożarowe drzwi na drugim końcu.

- Pomocy! - krzyknęła, nie przestając biec. - Niech ktoś mi pomoże! - Przez dwa cienkie szklane panele ujrzała stalowe szafki i zarys dołu, w którym była trzymana.

Odkoczyła do tyłu, chwyciła ciężkie stalowe drzwi i zaczęła je zamykać. Skrzypnęły i zadrżały, gdy je popchnęła. Był coraz bliżej. Sześć metrów, może mniej. Naparła mocniej,

czując, że jej twarz ogarnia fala bólu, sięgając nosa, warg i policzków. Wtedy drzwi drgnęły.

Był trzy metry od niej.

Zamknijcie się, błagała w myślach.

Dwa i pół.

Zamknijcie się, powtórzyła.

Dwa.

- Zamknijcie się do cholery! - wrzasnęła.

Drzwi przesunęły się i uderzyły o stalową framugę. Rozejrzała się wokół, szukając czegoś, by je podeprzeć. Przypominały właz łodzi podwodnej - duże, masywne, o skomplikowanej budowie - ale były pozbawione koła, więc nie mogła nim zakręcić, aby je zamknąć. W połowie pokoju spostrzegła metalową rurę - element jakiegoś rusztowania - opartą o ścianę. Podbiegła, żeby ją podnieść.

Drzwi skrzypnęły.

Napierał z drugiej strony.

Sona oparła jeden koniec rury o pęknięcie w posadzce, a drugi przytknęła do drzwi w połowie wysokości. Na chwilę wytrzyma, ale nie na długo.

- Sono?

Zamarła, aby po chwili się odwrócić. W pomieszczeniu nie było nikogo, ale na przeciwległej ścianie, ponad drzwiami przeciwpożarowymi, dostrzegła kolejny głośnik. Zmarszczyła brwi i zrobiła krok w jego stronę.

- Sono? - głos ponownie zasyczał.

Podeszła bliżej, przypatrując się chwilę głośnikowi. Później przez szybkę w drzwiach spostrzegła dół, w którym ją przetrzymywał. W kącie stała sarta plastikowych pojemników i częściowo widoczna drabina wsparta o przeciwległą ścianę. W ten sposób schodził do dołu.

- Nie uciekaj.

Podniosła głowę i ponownie popatrzyła na głośnik. Głos przybrał delikatne, niemal czułe brzmienie. W jej oczach błysnęły łzy.

- Pozwól mi odejść - powiedziała cicho. - Pozwól mi tylko odejść...

- Pozwolę - usłyszała w odpowiedzi.

- Mówię poważnie!

- Ja również.

Rzuciła okiem w kierunku drzwi, a następnie popatrzyła na głośnik.

- Nie wierzę ci.

Tym razem nie otrzymała odpowiedzi.

- Nie wierzę ci! - wykrzyknęła, czując łzy ciekące po twarzy. Była zrozpaczona i przerażona. Otarła policzki, próbując wziąć się w garść.

Usłyszała trzask.

Zgrzyt.

Odwróciła się do drzwi. Nie przestawał na nie napierać. Przesunęły się nieznacznie, a oparta o posadzkę rura lekko się wygięła. Nagle z góry doleciało ją kapanie deszczu.

Podniosła głowę.

Dwa metry wyżej widniał okrągły otwór w suficie. Studzienka kanalizacyjna. Obok otworu znajdowała się spuszczana drabina. Rozejrzała się wokół. Na ścianie obok drzwi ze szklanym oknem dostrzegła trzy włączniki. Pierwsze dwa służyły do zapalania światła w pokoju z dołem i tym, w którym teraz była. Trzeci umieszczono w pewnej odległości od pozostałych.

Sona podeszła do niego i nacisnęła.

Drabina zgrzytnęła i zaczęła się opuszczać z metalicznym terkotem. Zatrzymała się przed nią w odległości sześćdziesięciu centymetrów od posadzki.

- Jeśli wejdiesz na drabinę, zabiję cię!

Spojrzała na głośnik.

- Wytropię cię i poćwiartuję na kawałki! Nie żartuję! Wypruję ci flaki, jeśli postawisz choć stopę na drabinie!

Zrobiła to.

- Ty głupia dziwko! - Kolejny zgrzyt. Rurka blokująca drzwi wygięła się jeszcze bardziej pod wpływem nacisku. Walił pięściami z drugiej strony jak w bęben. - Jesteś trupem! Pieprzonym trupem!

W połowie długości drabiny Sona zatrzymała się na chwilę i spojrzała w dół. W górze nadal padał deszcz. Drzwi w dole rozwarły się szerzej. Dostrzegła skrawek jego jasnoniebieskiego lekarskiego fartucha.

- Nie zapomnisz o mnie! - ryknął z dołu.

Pchnęła pokrywę wjazdu, odsuwając ją na bok. Krople deszczu spadały z nieba, kapiąc do pokoiów w dole. Wytknęła głowę na zewnątrz.

- Będziesz o mnie pamiętać codziennie, kiedy spojrzysz w lustro.

Wtedy podciągnęła się w górę i uciekła.

CZEŚĆ CZWARTA

O osiemnastej pociemniało. Czekaliśmy w cieniu, w alejce po drugiej stronie magazynu. Przez szklane drzwi biura widać było Luke'a Draytona piszącego coś za kontuarem. Magazyn był już zamknięty. Ogromne drzwi rampy wyładowniczej zasunięto i zamknięto na kłódkę.

- Duża ta zapadnia? - spytał Healy.

Wzruszyłem ramionami, nie odrywając wzroku od Draytona.

- Trudno powiedzieć. Była zastawiona pudłami. Wyglądała jak okrągła studzienka kanalizacyjna. O średnicy nie większej niż metr.

Ponownie zapadło milczenie. Minęło dziesięć minut. Dwadzieścia. Trzydzieści. O osiemnastej czterdzieści Drayton nadal pracował, licząc coś na kalkulatorze.

- Może facet mieszka w tej norze - powiedział Healy.

Uśmiechnąłem się. Czasami, gdy patrzyłem na Healy'ego, przelotnie widziałem faceta, którym kiedyś był. Całkiem innego gościa, który nie kierował się chęcią zemsty i wyrzutami sumienia, ale lepszymi motywami: sympatią i poczuciem humoru. Lubiałem dawnego Healy'ego i zastanawiałem się, ile czasu będzie potrzebował, żeby odzyskać tę stronę swojej osobowości, jeśli kiedykolwiek zdoła to uczynić.

Kilka minut później zadzwonił jego telefon leżący na desce rozdzielczej. Spojrzał na ekran.

- Jasna cholera!

- Co jest?

Bez słowa otworzył klapkę.

- Healy, słucham.

Chociaż padał deszcz, natychmiast rozpoznałem głos w słuchawce.

- Healy? Mówi Phillips. Gdzie jesteś?

- Wziąłem dzień wolnego.

- Nie został zaznaczony na tablicy.

- Powiedziałem Moirze.

- Nie został zaznaczony na tablicy - powtórzył Phillips.

- Jutro zaznaczę.

Pauza. Healy spojrzał na mnie.

- Wiesz, gdzie jest David Raker? - zapytał Phillips.

- Kto?!

- David Raker.

Healy przerwał, spoglądając na Draytona, który nadal tkwił za kontuarem.

- Raker? - udał zdziwienie. - Facet, którego wczoraj przywieźliście?

- Tak.

- Skąd mam wiedzieć, gdzie jest?

- Davidson powiedział, że was wczoraj przyłapał.

- Co z tego?

- Czemu byłeś z nim sam?

- Bo Davidson go zostawił. Pomyślałem, że nie byłoby dobrze, gdyby facet stanowiący najlepszy trop w sprawie Carverów dał nogę z posterunku i wszelki śluch po nim zaginął.

- Nie masz własnych spraw? - zapytał Phillips.

- Posłuchaj...

- To ty posłuchaj - odparował Phillips. - Nie wiem, co ci chodzi po głowie, ale cokolwiek miałoby to być, jest niezgodne z prawem.

Healy nie odpowiedział.

- Wiesz, że nie bez powodu wykluczono cię z naszej grupy dochodzeniowej i każdej innej. Nie można ci ufać. Jesteś kłamcą, Healy.

- Coś powiedział?!

- Słyszałeś. Próbowaliśmy namierzyć Rakerę, ale wyłączył komórkę. Nie było go u siebie cały dzień. Zajrzeliśmy do jego domu. Wygląda jak mauzoleum. Później wstąpiliśmy do ciebie, bo... no wiesz, miałaś wziąć dzień wolnego. I zgadnij co?

- Wyszedłem z żoną na miasto.

- Chrzanisz, Healy. Wiem, że jesteś z Rakerem.

- Jestem z żoną.

- Raker tobą manipuluje. Ten facet manipuluje wszystkimi. Wysłał nas do klubu młodzieżowego w pogoni za cieniem. Zgadnij, co znaleźliśmy?

Healy milczał.

- Nic! Nic, jak ostatnim razem!

Healy spojrział na mnie znowu i wolno pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest Raker - rzekł w końcu.

Phillips wydmuchnął powietrze do mikrofonu. Połączenie osłabło.

- Przed chwilą zakończyłeś swoją karierę w policji... zdajesz sobie z tego sprawę?

Healy nie odpowiedział.

- Rozumiesz?! - powtórzył Phillips. Także tym razem nie uzyskał odpowiedzi. - Ufasz Rakerowi bardziej niż kolegom z posterunku?! Bardziej niż ludziom, z którymi rozwiązałeś tyle spraw? Którzy stali przy tobie i pracowali za darmo, kiedy zginęła Leanne?

Obserwowałem reakcję Healy'ego, gdy Phillips wspomniał o jego córce. Policzki Colma zapłonęły.

- Nie zrobiliście niczego. Leanne nie jest nawet na waszym radarze.

- Próbowaliśmy ci pomóc w odnalezieniu...

- Nie mów, że próbowaliście pomóc ją odnaleźć! - wybuchnął Healy z gniewem w oczach. - Ludzie, którzy najbardziej mi pomogli, nie należeli do waszego zespołu. Ty i Hart... mieliście ją gdzieś. Nie dałeś mi nikogo do pomocy. Ani jednej osoby.

- Leanne nie jest oficjalnie powiązana...

- Nie chrzań, że nie może być łączona z tą sprawą, draniu! - wrzasnął do telefonu. - Ten zwyrodnialec Doktor Glass porwał moją córkę. Wiesz, co mam zamiar zrobić? Znajdę bydlaka i wypruję mu flaki.

- Healy, pójdziesz siedzieć - wycedził Phillips.

- Mam to gdzieś.

Healy spojrzał na mnie, a później przeniósł wzrok na Draytona po drugiej stronie ulicy. Wskazał głową biuro. Wchodzimy. Położył rękę na klamce i otworzył drzwi.

- Tkwisz w gównie, Healy - powiedział Phillips. - Po same uszy. Podobnie jak Raker, z którym jesteś w zмовie. Choćbyś się ukrył w mysiej dziurze. Powiem wprost, żeby sprawa była jasna. Dopadniemy cię, kapujesz? Znajdziemy was. - Phillips zamilkł na chwilę - i załatwimy obu.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, kierując się do biura. Healy szedł przodem. Jego twarz poczerwieniała z gniewu, zaciskał i otwierał pięści. Facet był gotów pokonać każdą przeszkodę, rozrywać na strzępy.

- Healy - zagadałem, starając się zachować spokój, aby jego głowa ochłonęła. -
Zaczekaj.

Nie posłuchał. Podeszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Rozwarły się tak gwałtownie, że grzmotnęły o ścianę, a szklana szyba zadrżała w ramie. Drayton spojrział zza kontuaru, wytrzeszczając oczy.

- Co robicie...

Healy złapał go za potylicę i pchnął do przodu. Usłyszałem głośny plask, gdy policzek zetknął się z blatem. Drayton jęknął, a Colm nachylił się nad nim i szepnął do ucha:

- Co jest pod zapadnią?

- Jaką zapadnią... - zaczął Drayton, ale jego głos stłumiła dłoń Healy'ego zasłaniająca usta.

- Lepiej powiedz, co tam jest.

Drayton spojrział między nas.

- Healy... - powtórzyłem.

Popatrzył na mnie.

- Czego?!

- Uspokój się.

- Siedź cicho! - odburknął, przyciągając Draytona do siebie, dźwigając jego drobne ciało w górę i rzucając przez kontuar. Drayton upadł na twarz i jęknął, a później potoczył się zwinięty po dywanie, jakby oczekiwał gradu ciosów. Kiedy na niego nie spadły, podniósł głowę i spojrział na nas. Po policzku spływała mu krew.

Healy sięgnął w dół, postawił go na nogi i przyciągnął do siebie tak, że znaleźli się nos w nos.

- Otwórz klapę.

- Nie wiem, o czym...

- Otwieraj, ale już.

Drayton popatrzył przed siebie. Cofnąłem się do drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Ulica była ciemna i pusta. Słysząc było jedynie bębnienie kropel o blaszany dach. Kiedy spojrzełem

do środka, Healy odwrócił Draytona i położył mu dłoń na karku. Wyprowadził go z biura i powiódł wzdłuż frontu w kierunku rampy wyładowniczej. Tej, którą zamknięto na kłódkę.

- Otwieraj.

- Nic tam nie ma...

Healy pchnął go twarzą na metalowe drzwi. Hałas rozszedł się po budynku jak zmarszczka na powierzchni wody.

- Mówię ci, że nic tam nie ma - powtórzył Drayton drżącym głosem.

- Otwieraj, sprawdzimy.

Drayton włożył rękę do kieszeni i wyciągnął pęk kluczy. Odnalazł mosiężny klucz oznaczony czerwoną farbą i wsunął do kłódki. Kliknęła. Healy sięgnął przez niego, zdjął kłódkę z metalowego skobla i cisnął na ziemię. Otworzył szarpnięciem jedno skrzydło i wepchnął Draytona do środka. W magazynie panowała całkowita ciemność z wyjątkiem jednego bladego prostokąta pomarańczowego światła wpadającego przez okno nad naszymi głowami.

- Gdzie jest włącznik?

- Tam. - Drayton skinął głową.

Skierował wzrok na tablicę z białymi przełącznikami na lewo ode mnie. Włączyłem wszystkie. Światłówki zaszumiały, a później na suficie pojawiły się pasy ostrego światła.

Tylne drzwi były mniej więcej takiej wielkości jak drzwi na froncie rampy wyładowniczej. Drayton w sekundę otworzył kłódkę innym oznaczonym na czerwono kluczem, a Healy użył go w charakterze tarana, pchając na drzwi, aż te otworzyły się wystarczająco szeroko, żebyśmy mogli wejść do środka. Na podwórku natychmiast zapaliły się cztery światła alarmowe umieszczone na słupach wbudowanych w ogrodzenie. W ich poświacie otoczyła nas zasłona deszczu.

Healy spojrzał na mnie i skinął głową w kierunku sterty pudeł.

- Pokaż mu.

Spojrzałem między niego i Draytona, a następnie obszedłem miejsce, które zauważyłem kilka godzin wcześniej, i odsunąłem na bok kilka większych kartonów. Spod jednego ukazała się krawędź klapy.

- Co to jest? - spytał Healy, ciągnąc Draytona za kark.

- To przestrzeń magazynowa.

- Nie chrzań!

Odsunąłem kolejne kartony. Po minucie oczyściłem miejsce. W snopie reflektorów naszym oczom ukazał się wycięty w podłodze okrągły właz o średnicy około sześćdziesięciu

centymetrów. Przypominał studzienkę. Miał rączkę i zamek. Pochyliłem się, chwyciłem palcami i pociągnąłem. Właz ani drgnął.

Popatrzyłem na Draytona.

- Którym kluczem go otworzę?

Brak odpowiedzi.

Healy pchnął Draytona tak, że zatrzymał się niemal nad włazem.

- Który to klucz? - wycedził przez zęby.

Drayton rzucił pęk kluczy, wylądowały na posadzce obok mnie.

- Mały srebrny, z niebieską kropką.

Odnalazłem klucz i wsunąłem do zamka. Kliknął. Chwyciłem rączkę i pociągnąłem.

Ujrzeliśmy pustą skrytkę o głębokości niecałych trzydziestu centymetrów.

W środku była złożona kartka formatu A4.

Deszcz się nasilił, a krople zabębniły o blaszany dach magazynu. Sięgnąłem po kartkę, wsunąłem ją do wewnętrznej kieszeni kurtki i dałem znak Healy'emu, że możemy iść. Ten pchnął Draytona przed sobą i wróciliśmy do budynku.

Rozłożyłem kartkę.

- Co to jest?

Rysunek przypominał mapę ulic. Natychmiast rozpoznaliśmy styl: czarny marker, same linie. Żadnych nazw ulic. Żadnych nazw miejsc. Żadnych oznaczeń. Identyczny z mapą szkoły, którą znalazłem na stronie LCT. Tym razem mieliśmy przed sobą jedną prostą drogę z domami przedstawionymi jako kwadraty tej samej wielkości. W połowie ulicy jeden z domów zaznaczono na czerwono. Od kwadratu odchodziła linia prowadząca do liczby dwadzieścia dziewięć. I na tym koniec.

Spojrzałem na Draytona.

- Kto ci to dał?

Popatrzył na mnie, milcząc.

- Kto ci dał tę mapę? - zapytał Healy.

Kiedy Drayton i tym razem nie odpowiedział, Colm zacisnął mu palce na szyi.

- Powiesz, kto ci dał mapę i co przedstawia, albo klnę się na Boga, że następnym razem obudzisz się z własnymi jajami w ustach.

Drayton utkwiał we mnie wzrok. Przez chwilę wyglądał tak, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Później się powstrzymał, zrobił niewinną minę na użytek Healy'ego i wzruszył ramionami.

Healy grzmotnął go pięścią w skroń. Rozległ się odgłos plaśnięcia, jakby o ścianę

uderzyła mokra flanelowa ścierka. Drayton nie zrobił wiele hałasu - po prostu opadł na kolana, a później przekręcił się na plecy. Spojrzał na Healy'ego, a z nosa pociekła mu krew.

- Healy...

Odwrócił się do mnie.

- Co?!

Zrobiłem krok w jego stronę. Rzuciłem mu spojrzenie mówiące: „Uspokój się”. Właściwie odczytał minę, a później popatrzył na moje nogi, jakbym przed chwilą naruszył jego osobistą przestrzeń. Zdjął kurtkę i cisnął ją na najbliższe pudło.

- Kto ci dał tę mapę?

Nadal brak odpowiedzi.

- Kto ci dał tę pieprzoną mapę?!

Drayton nie odrzekł ani słowa.

Healy głośno wypuścił powietrze.

- Jesteś dupkiem, wiesz?

- Drayton - powiedziałem, próbując zapanować nad Healym. - To proste. Powiedz nam, kto ci dał mapę, a sobie pójdziemy i nigdy więcej nas nie zobaczysz.

Spojrzał na mnie z podłogi bezradnym wzrokiem, dając do zrozumienia, że jestem jedyną osobą, która może zapanować nad sytuacją. Później odwrócił się do Healy'ego, z krwią między zębami, i popatrzył mu w oczy.

Cisza.

- Chyba będziemy musieli wyczyścić ci uszy - powiedział Healy. Naprzeciw nas znajdowały się kręte metalowe schody prowadzące do platformy, z której rozciągał się widok na magazyn. Na platformie stało biurko i krzesło. Healy zerknął na nie, a następnie zatrzymał wzrok na rolce szarej taśmy leżącej na pudle obok nas.

Sięgnął po nią, podniósł Draytona i powłókł go przez magazyn, po drodze rozwijając taśmę. Kiedy dotarli do schodów, pchnął go na górę. Drayton się odwrócił i popatrzył na mnie błagalnie, jakby chciał powiedzieć: „Powstrzymaj to”.

- Healy...

Colm posłał mi gniewne spojrzenie.

- Jeśli ci się nie podoba, zaczekaj w wozie.

Gdy dotarli na górę, pomaszzerowali w kierunku krzesła. Healy pchnął Draytona na siedzisko. Ruszyłem za nimi.

- Pogrywasz z nami?! - warknął gniewnie Healy, wciąż rozwijając taśmę.

Jedną ręką przywiązał nadgarstek Draytona do poręczy krzesła. Kiedy skończył, zrobił

to samo z drugim, a później zajął się nogami. Drayton utkwiał we mnie wzrok, a potem przeniósł go na Healy'ego, który wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zwinął w kulkę. Wcisnął ją Draytonowi do ust, a następnie oderwał kawałek taśmy i zakleił knebel.

- Nie masz dzieci - wycedził, pochylając się nad Draytonem i przysuwając nos do jego nosa. - Spójrz na siebie, sam wyglądasz jak dzieciak. Nie masz pojęcia, co czuje mężczyzna do drugiej osoby z własnego ciała i krwi. Nie wiesz, jaka to więź. Nie masz pojęcia, ile jest gotów zrobić, żeby tę osobę chronić. Co zrobi, żeby ją pomścić. - Wyprostował się, wysoko podwijając rękawy. - Nie wiesz, ale wkrótce się dowiesz.

Zamachnął się szybko, uderzając Draytona z całej siły w brzuch. Chłopak zgiął się wpół, wypuszczając powietrze z płuc i zaciskając palce na poręczach krzesła.

Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Zrobiłem krok naprzód.

- Drayton, przestań się wygłupiać. Powiedz nam, kto ci dał mapę, a to wszystko się skończy.

Zwiesił głowę. Z jego ust spływała ślina zmieszana z krwią.

- Drayton - powtórzyłem.

Nadal nic.

Healy uśmiechnął się do niego.

- Jesteś pieprzonym idiotą, wiesz?

Drayton nawet się nie poruszył. Jedynie milczenie, krew i ślina, i odgłos płytkiego oddechu.

Healy się odwrócił i zaczął szperać w szufladach biurka. W trzeciej znalazł coś, co go zainteresowało. Nóż do papieru.

Długi i cienki, o dwóch ostrych krawędziach. Wyciągnął go, a później podniósł głowę Draytona za włosy tak, że spojrzeli sobie w oczy.

- Pamiętasz, co powiedziałem? - zapytał.

Drayton nie odpowiedział.

- Że obudzisz się z własnymi jajami w ustach?

Na twarzy Draytona mignął strach. Wypuścił powietrze nosem. Próbował się przekręcić, przenosząc wzrok z Healy'ego na nóż.

- Za chwilę się przekonasz, że nie żartowałem.

- Healy - powiedziałem, ale mnie zignorował. Schylił się i rozpiął pasek Draytona. - Healy.

Tym razem się zatrzymał i spojrzał na mnie uważnie.

- Myślisz, że nam coś powie, jeśli grzecznie zapytamy? Naprawdę tak ci się zdaje?

- To jeszcze dzieciak.

- Co z tego?

- Tylko popatrz na siebie.

Zamilkł. Spojrzał na pot przenikający koszulę Draytona i na krople krwi wsiąkające w materiał, a później zwrócił ku mnie pozbawioną wyrazu twarz. Przez moment wyglądało, jakby stracił parę. Następnie odwrócił się znów do Draytona.

- Mam gdzieś, czy jesteś dzieckiem - powiedział cicho. Wtedy zrozumiałem, że to się nie skończy, jeśli czegoś nie zrobię.

Drayton drgnął na krześle, kiedy Healy zaczął znowu gmerać mu w spodniach. W jego oczach błysnął lęk. Zaczął oddychać szybko przez nos. W kilka sekund Healy rozpiął mu spodnie i opuścił do kostek. Dzieciak zaczął wrzeszczeć. Przez knebel dał się słyszeć jeden długi, nieprzerwany jęk przypominający skomlenie udręczonego zwierzęcia. Healy spojrzał na mnie, ściągnął Draytonowi bokserki i sięgnął pod koszulę, chwytając penis. Drayton wydał jeszcze dłuższy i głośniejszy ryk, wybałuszając oczy. Wielkie, przerażone oczy lśniące od łez. Kiedy Healy uzyskał reakcję, na której mu zależało, odpuścił, zerwał knebel i pochylił się nad nim.

- Gadaj - wycedził.

- Dobrze, dobrze - wysapał Drayton. - W porządku.

- Gadaj - powtórzył Healy.

- Ten mężczyzna... - zaczął Drayton, patrząc na nas.

- Jaki mężczyzna?

- Nie powiedział, jak się nazywa.

- Co powiedział?

Drayton rzucił szybkie spojrzenie w lewo. Healy jakby tego nie zauważył. Kipiał gniewem, nabuzowany adrenaliną. Po chwili chłopak spojrzał szybko przez ramię w kierunku magazynu.

- Co ci powiedział?

- Żeby schować mapę w bezpiecznym miejscu. Żeby nikomu jej nie pokazywał, nie kopiował ani nie przepisywał. Krótko mówiąc, miałem ją trzymać pod kluczem.

- Dlaczego?

Drayton się zawahał.

- Dlaczego?

- Facet jest...

Drayton znowu odwrócił głowę. Na ułamek sekundy.

- Kim jest? - naciskał Healy.

- Stałym klientem.

- Nie znasz nazwiska stałego klienta? - prychnął Colm. Pochylił się nad Draytonem, opierając ręce na poręczach krzesła. - Liczę do trzech. Jak Boga kocham, oderżnę ci jaja.

Drayton wciągnął powietrze i poruszył głową z boku na bok, jakby zastanawiał się, co zrobić. Później powiedział cicho:

- Nie znam jego nazwiska.

Healy pokręcił głową.

- Zła odpowiedź.

- Sekundę! - jęknął Drayton. - Zaczekaj sekundę... Healy podniósł chusteczkę z podłogi, wepchnął mu ją do ust i zakleił szarą taśmą. Chłopak zaczął się drzeć przez knebel. Ponownie przystąpiłem do Healy'ego, naruszając jego przestrzeń osobistą. Popatrzył na mnie i zakłósał się do tyłu.

- Chcesz mnie powstrzymać?

Spojrzałem w kierunku tylnych drzwi magazynu. Na zewnątrz szalała ulewa, krople deszczu waliły w podwórko. Zerwał się wiatr, uderzając w ogrodzenie i unosząc plastikową plandekę znad pudeł.

- Nie ruszaj się - powiedziałem. - I nic nie rób.

- Dokąd idziesz?

- Po prostu się nie ruszaj.

Zbiegłem po stopniach i wyszedłem na zewnątrz, naciągając kaptur kurtki. Pudełka, które przesunąłem, pociemniały od deszczu. Wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk i dźgnąłem ostrzem wierzch najbliższego kartonu, a następnie odgiąłem w kształt litery L. W środku były chińskie woki oddzielone warstwą pianki. Odsunąłem pudło i sięgnąłem po kolejne. Porcelanowe naczynia. W następnym były patelnie. Cofnąłem się o krok i zajrzałem głębiej pod plastikową plandekę. Na samym środku, otoczony ze wszystkich stron, stał wysoki cienki karton oznaczony małym czarnym symbolem.

Odsunąłem pudła, przedzierając się do środka i próbując zrobić miejsce, żeby wysunąć karton na zewnątrz. Gdy do niego dotarłem, pociągnąłem, chcąc go przesunąć. Był ciężki. Ważył ze dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilogramów. Z obu stron wykroiłem otwory na dłonie, a następnie wsunąłem palce i wyciągnąłem pudło. Mimo bębniących kropli deszczu i wyjącego wiatru, przesuważąc karton, wyczułem, że coś porusza się w środku. Wyraźnie usłyszałem chlupot.

Kiedy zaciągnąłem go do magazynu, Healy spojrzał w dół z grymasem zdziwienia na twarzy. Zauważyłem, że Drayton próbuje się odwrócić.

- Co to jest?

Przyciągnąłem karton do podstawy schodów, żeby obaj go widzieli. Drayton spojrzał tak, jakby coś w nim pękło, jakby ujawniono wielką tajemnicę. Dostrzegłem w jego oczach ledwie zauważalny ruch, który był jednak na tyle wyraźny, abym wiedział, że coś ukrywa. Oczy nie są jedynie bramą duszy, są także doskonałym wykrywaczem kłamstw.

- Co to jest? - powtórzył Healy.

Wbiłem ostrze w wierzch pudła i wyciąłem otwór.

- Formalina - powiedziałem, wskazując palcem symbol widniejący na kartonie. - To liczba osiemdziesiąt zapisana cyrylicą. - Jak symbol PI. Widziałem go już wcześniej na pudłach w tle zdjęcia, którego użyto, żeby mnie zrobić. - W środku jest około osiemdziesięciu pojemników z roztworem aldehydu mrówkowego. Założę się, że ten, kto naszkicował mapę dla Draytona, liczył, że zostaną dostarczone pod wskazany adres.

Drayton nie wydał żadnego dźwięku.

Wszedłem po schodach.

- Gdzie to jest? - zapytałem, podnosząc mapę z biurka.

Kiedy na mnie spojrzał, zrozumiałem, że tkwi w tym tak samo głęboko jak ojciec. Że jest równie dobrym kłamcą jak on. Kłopot w tym, że nie był tak dobrze zorganizowany i nie zacierał śladów tak dobrze jak stary. Okazał się niedbały. Przechowywał sprowadzony towar u siebie, zamiast go przesłać do innego magazynu. Sądził, że wystarczy ukryć formalinę między importowanymi naczyniami kuchennymi. Może by wystarczyło, gdybym nie rozmawiał ze Spikiem i nie wiedział, co oznacza symbol widoczny na zdjęciu.

Colm pochylił się i wyciągnął mu knebel.

- Mówił, że wie o naszych nielegalnych interesach - wybełkotał Drayton. - Że dysponuje dowodami i dostarczy policji listę tego, cośmy sprowadzili. Mówił, że nas wykończy.

- Co to za jeden?

- Nie wiem - odpowiedział płaczliwym głosem. - Nie umiem prowadzić interesu tak dobrze jak ojciec. Po prostu nie potrafię. Nienawidzę tego, ale obiecałem, że spełnię jego wolę. Że zaopiekuję się rodziną. Przyrzekłem, że nigdy go nie zawiodę, ale nie zdołałem zrobić dla niego nawet tej jednej rzeczy. Wskazałem mapę.

- Gdzie to jest?

- Walthamstow. Pine Terrace. Numer dwadzieścia dziewięć.

- Czy tam mieliście dostarczyć formalinę?

Drayton skinął głową.

- Kiedy?

- Jutro.

- Jakie instrukcje dostałeś?

Drayton spuścił głowę.

- Zostawić pudło przed frontowymi schodami.

- To wszystko?

- Tak - potwierdził. - Za każdym razem otrzymujemy identyczne dyspozycje. Od miesięcy sprowadzam dla niego różne rzeczy. Kiedy przychodzi, zawsze mówi to samo. Zapamiętaj nazwę ulicy. Niczego nie zapisuj. Niczego nie kopiuj. Ukryj mapę w bezpiecznym miejscu. Jeśli piśniesz komuś choć słowo, pogrzebiesz rodzinny interes.

- Czy facet jest w domu, kiedy dostarczasz towar? Drayton pokręcił głową.

- Dom nie jest zamieszkały. Był tam pożar. Okiennice zabito płytami, ale można zajrzeć do środka przez jedno z okien. Salon spłonął doszczętnie. Żadnych dywanów ani mebli. Ogród z tyłu przypomina dżunglę, a front wygląda niczym śmietnisko. Wszędzie walają się puszki, puste opakowania i psie gówna.

- Masz czekać w pobliżu po dostarczeniu towaru?

- Nie. Mam zostawić przesyłkę i natychmiast się zwinąć. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnąłem zdjęcie, które wydarłem z teczki osobowej przechowywanej w klubie młodzieżowym. Podetknąłem mu je pod nos.

- To ten człowiek?

Drayton przyjrzał się fotografii.

- Tak, to on.

Daniel Markham.

Pine Terrace okazało się małym zapomnianym kompleksem szeregowców, które nie wyglądały tak, jakby miały za sobą najlepsze lata, ale jakby te nigdy nie nadeszły. Każdy dom miał identyczny ogród otoczony białym murkiem, chociaż domostwa pstrzyły się bezładną mieszaniną kolorów, jak nieudane dzieło sztuki nowoczesnej. Jedne były czerwone, inne kremowe, brzoskwiniowe i zielone, krzykliwe nawet w słabym świetle ulicy, w strugach ulewnego deszczu. W połowie szeregu domów znajdowała się okopconca posesja numer dwadzieścia dziewięć. Drayton trafnie opisał wygląd domu: betonowa ścieżka zamieniła się w gruzowisko, drzwi były pokryte pęcherzami i zwichrowane, kawałki szkła wały się po tym, co zostało z trawnika. Ktoś ozdobił ściany sprayem, a na drzwiach wejściowych widniało do połowy odklejone zawiadomienie lokalnych władz ostrzegające przed wchodzeniem do środka.

Healy zaparkował kawałek dalej. Wysiadłem z samochodu, postawiłem kołnierz i przyjrzałem się ulicy. Jeśli Markham kazał Draytonowi zostawić karton przed frontowymi schodami, musiał być pewny, że odbierze przesyłkę, zanim ta wzbudzi zainteresowanie przechodniów. To z kolei oznaczało, że gdy Drayton - albo któryś z jego pracowników - zajedzie przed dom, Markham będzie go obserwował. Spojrzałem na domy po drugiej stronie ulicy. Wydawały się pozbawione życia. Całą okolicę spowijała przygnębiająca mroczna atmosfera. Nie miałem wątpliwości, że Markham właśnie dlatego wybrał to miejsce.

- Co za dziura - mruknął Healy, przechodząc obok mnie i przyglądając się ciemnemu frontowemu oknu. W ręku trzymał latarkę, którą zabrał z samochodu. Kiedy ruszył podjazdem, gruz zachrząścił mu pod stopami. Zajrzał do środka przez otwór w szybie. Kilka sekund później zapalił latarkę i oświetlił wnętrze domu. W snopie światła dostrzegłem poczerniałe ściany, kominek i - z tyłu - drzwi prowadzące na patio.

- Wiesz, od jak dawna nikt tu nie mieszka? - Healy oświetlił zawiadomienie widniejące na frontowych drzwiach, a następnie przesunął promień w kierunku salonu. - Od trzech lat. Nic dziwnego, że w środku śmierdzi, jakby ktoś odwinął kitę. Połowa londyńskich meneli miała tu darmowy nocleg ze śniadaniem.

Ruszyłem za Healym, sprawdzając domy po przeciwnej stronie. Ich okna, umieszczone wysoko, były doskonałym punktem obserwacyjnym, a jednocześnie dobrą kryjówką. Gdyby Markham wykorzystał w tym celu domy sąsiadujące z posesją numer dwadzieścia dziewięć, musiałby być bardziej ostrożny, ale miałby jeszcze lepszy widok. Po

chwili uznałem, że żaden się do tego nie nadawał. W tym po prawej przez firanki dostrzegłem parę staruszków siedzących przed telewizorem. W domu po lewej na parapetach wały się rozrzucone dziecięce zabawki, a przez zaciągnięte zasłony widać było zapalone światło.

Healy spojrzał na mnie znacząco.

- Lepiej wstrzymaj oddech.

Wzdłuż krawędzi drzwi biegła odblaskowa taśma umieszczona przez lokalne władze, która miała powstrzymać ludzi przed wejściem do środka. Healy zerwał ją, odsunął się i kopnął drzwi. Zadrżały i otworzyły się na oścież, ukazując ciemne wnętrze.

Korytarz był mały i wąski, ze ścianami osmolonymi jak fasada budynku. Do środka wraz z nami wtargnął powiew wiatru. Krople deszczu zaczęły spadać na nadpalone, pokryte pęcherzami ściany, tworząc kałuże wśród rozsypanego u wejścia szkła, które lśniło w świetle latarki.

Po trzech krokach uderzył nas odór. Dusząca woń spalenizny. Smród moczu i potu, alkoholu i wymiocin. Healy oświetlił latarką wnętrze salonu. Na podłodze leżało dwóch mężczyzn przykrytych kocami. Jeden był zwrócony w naszą stronę, drugi w przeciwną. Obaj byli pijani. Healy cicho gwizdnął. Ten odwrócony ku nam otworzył oczy i spojrzał na nas, nie mogąc skupić wzroku. Ten drugi ani drgnął. Chwilę później ponownie odpłynął.

Dywan, na którym spali, był upstrzony plamami, resztę podłogi pokrywały odsłonięte deski i - w niektórych miejscach - wypalone czarne dziury. Za mężczyznami widać było zniszczone schody i kolejną taśmę. Obok schodów znajdował się kominek, a za nim kuchnia.

Leżący na podłodze mężczyźni poruszyli się. Pierwszy mruknął coś pod nosem, a drugi stęknął, jakby znajdował się w agonii. Między nimi leżały puste puszki i butelki. Jeden z bezdomnych narobił pod siebie.

- Jasna cholera - szepnął Healy. - Pewnie urządzili sobie tutaj Dzień Świętego Patryka.

Przeszliśmy przez salon. Colm ruszył do wyjścia, ale ja przystanąłem i spojrzałem na schody. Zauważyłem podest. Miejscami ściany były przepalone na wylot, podobnie jak sufit w salonie.

Snop światła przesunął się w moją stronę.

- Idziesz czy nie?

Zignorowałem go i podszedłem do kominka.

- Podaj latarkę - powiedziałem.

Wyciągnął ją w moją stronę. Spojrzałem na niego, nie ruszając się z miejsca, czekając, aby mi ją przyniósł. W końcu pokręcił głową i ruszył w stronę kominka, stąpając po odłamkach szkła i kawałkach drewna. Wcisnął mi ją do ręki.

- Chcesz spowodować kolejny pożar?

Nie odezwałem się i poświeciłem latarką. Był to typowy kominek gazowy: sztuczne bryłki węgla leżały na palenisku, w niegdyś eleganckiej srebrnej komorze. Kominek nie był na stałe przytwierdzony do ściany. Od muru dzieliło go półtora centymetra, a gdy oświetliłem szczelinę, okazało się, że w środku niczego nie ma, jedynie pusta przestrzeń.

- Pomóż mi - powiedziałem do Healy'ego, który stanął z drugiej strony kominka. Włożyliśmy palce w szparę i odciągnęliśmy srebrną komorę od ściany. Początkowo stawiała opór, wydając tępy zgrzyt. Później ustąpiła i wysunął się ruszt z bryłkami węgla.

Sięgnąłem po latarkę.

W ścianie znajdował się otwór wysokości około dziewięćdziesięciu i szerokości stu dwudziestu centymetrów. Skierowałem światło do środka. Ze ściany wyjęto cegły, usunięto izolację i poszerzono wnękę.

Z drugiej strony znajdowało się sąsiednie mieszkanie.

Przebieżem przez otwór na czworakach, przez tynk i pył, odłamki szkła i kawałki cegieł. Healy ruszył w ślad za mną.

Mieszkanie miało taki sam układ jak to pod numerem dwadzieścia dziewięć. Pokój był urządony po spartańsku: wysoka lampa podłączona do włącznika czasowego; wysłużona kanapa; nowiuteńki telewizor na szafce w rogu pokoju, z odtwarzaczem DVD i bardzo starym wideo, pod którym leżały taśmy VHS. Na kuchennym blacie wały się sztucce i otwarte pojemniki z niedokończonym jedzeniem. Na schodach nie było dywanu.

Obok frontowego okna stały dwa manekiny. Oba bez ubrania. Pierwszy nie miał ręki i coś zwisało mu z twarzy. Przypominało cienki kawałek plastiku przyklejony do głowy.

Podszedłem bliżej i dotknąłem go palcem.

Okazało się, że nie był to plastik.

Lateks.

Z jednej strony był gładki i kremowy, niemal wypolerowany. Z drugiej strony miał wyraźniejszą barwę i teksturę. Naciągnąłem go na twarz manekina. Healy stanął za mną i zajął mi przez ramię.

- Co to jest, do licha?

Wyglądziłem lateks na głowie manekina.

- Twarz.

Cofnęliśmy się o krok. Na parapecie za naszymi plecami leżały rozrzucone zabawki, zza zasłon wyglądały pluszowe misie i plastikowe zwierzęta. Kontury przedmiotów widoczne z zewnątrz miały sprawiać wrażenie, że w środku toczy się normalne życie.

Ale było inaczej.

Manekin spoglądał w naszą stronę, a jego martwe oczy wycierały przez otwory cienkiej lateksowej maski. Przez wycięcie na usta widać było cienkie, wydęte wargi. Maskę zaczęła się ponownie odklejać. Najwyraźniej klej nie był wystarczająco mocny, by ją utrzymać. Jednak zanim odpadła, zdaliśmy sobie sprawę, kto na nas patrzy.

Milton Sykes.

Zdarłem maskę z plastikowej głowy manekina. Healy stanął obok mnie i obaj spojrzeliśmy na wykonaną z lateksu podobiznę mordercy.

Była zręcznie zrobiona, choć żadną miarą nie można było jej uznać za doskonałą - miejscami się odbarwiła, a na skórze były grudki kleju i drobiny werniksu. Mimo to

wydawała się dostatecznie przekonująca. Sięgała od czubka czoła do uszu i poniżej brody. Człowiek, który ją wykonał, zadbał o to, żeby warstwa na czole była grubsza, imitując najbardziej uderzającą cechę Sykesa. Grubość lateksu w okolicy czoła była niemal czterokrotnie większa niż na pozostałej części twarzy. Gdyby ktoś podszedł wystarczająco blisko, odgadłby, że coś jest nie tak, ale na urywanym czarno-białym zapisie z kamery wideo w klubie Tiko wyglądała jak prawdziwa twarz.

Przypomniałem sobie mężczyznę w mieszkaniu Markhama. Osobliwy wyraz twarzy, sposób, w jaki poruszały się jego oczy i usta, choć cała reszta pozostawała nieruchoma.

Teraz wiedziałem dlaczego.

Przeszukaliśmy salon. Ani śladu gliny i narzędzi rzeźbiarskich. Ani kropli płynnego lateksu. Żadnej farby. Żadnych materiałów czy zdjęć odnoszących się do Sykesa. Nic nie wskazywało, że maskę wykonano w tym domu. W przypadku tak skomplikowanej i czasochłonnej roboty, jak modelowanie i nadawanie ostatecznego kształtu lateksowej masce, zostałyby jakieś ślady, ale dom był niemal pusty. Musiał ją tu przynieść gotową.

Healy przeszedł przez pokój i spojrzał w górę, w ciemną przestrzeń. Włączył latarkę i przesunął promień światła po schodach, aby sprawdzić, w jakim są stanie. Wcisnął przełączniki na sąsiedniej ścianie, ale nic się nie stało. Spojrzał na mnie i skinął głową, dając znak, że się rozejrzy na górze. Odpowiedziałem ruchem głowy. Kiedy zniknął w mroku, mając za przewodnika jedynie snop światła, ruszyłem na tyły domu.

Stuk, stuk, stuk.

Coś się poruszyło w kuchni. Przebiegło z lewej strony na prawą. Podszedłem z boku i zajrzałem za blat. Niczego nie zobaczyłem. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku, z wyjątkiem dolatujących z góry odgłosów wydawanych przez Healy'ego i desek skrzypiących pod jego ciężarem.

Zrobiłem kolejny krok.

Stuk, stuk, stuk.

Chwilę później usłyszałem cichy skrzyp, jakby poruszyły się zardzewiałe zawiasy.

Wyjąłem telefon, otworzyłem klapy i skierowałem światło wyświetlacza na przeciwległą część blatu. Szczur. Czmychnął w kąt, stukając pazurkami o linoleum. Ułamek sekundy później zniknął w otworze między szafką i kuchenką.

Kiedy obszedłem kuchenny blat, zauważyłem drugiego szczura. Tłusty różowy ogon wystawał na zewnątrz, a reszta tułowia była ukryta za szafką. Szczur nie piszczał i z całą pewnością się nie poruszał. Mimo to wydawał jakieś dźwięki - wilgotne odgłosy mlaskania. Kątem oka dostrzegłem schodzącego z góry Healy'ego, który oświetlał sobie drogę latarką.

Spojrzał na mnie i pokręcił głową. Nie znalazł niczego. Wtedy przed nosem przeleciała mi mucha. Kiedy ją odpędziłem, zauważyłem kolejną, powolną i ospałą. I jeszcze jedną. Sekundę później usłyszałem ich więcej.

Były wszędzie.

Nagle zrozumiałem. Zwierzęta, krew i odór rozkładu.

Ponownie otworzyłem komórkę, oświetlając niebieskim światłem przestrzeń za ladą. Tym razem szczur się poruszył, czmychając tą samą drogą co poprzedni.

Stuk, stuk, stuk.

Gryzoń pozostawił za sobą ślad: sznur małych czerwonych znaków.

Odcisków łapek.

Z drugiej strony o kuchenne szafki opierało się ciało mężczyzny. Ręce spoczywały wzdłuż tułowia, z dłońmi zwróconymi ku górze i palcami wygiętymi niczym szpony. Jego oczy spoglądały w mrok, wybałuszone i blade, a ubrania rozrzucone na linoleum wokół niego były pokryte krwią. T-shirt był do połowy rozdarty, na klatce piersiowej widać było kilka ran kłutych, zadanych prawdopodobnie nożem z ząbkowanym ostrzem. Pchnięto go tak głęboko i szybko, że wraz z nożem wyszła skóra, mięśnie i tkanka tłuszczowa. Nogawki spodni były podwinięte, a jedna skarpetka leżała z drugiej strony kuchni, wśród rozbryzgów krwi, które wyglądały tak, jakby ich źródłem był krwotok tętniczy.

- I co, do kurwy nędzy, mamy teraz zrobić? - usłyszałem za plecami głos Healy'ego, oświetlającego latarką twarz mężczyzny spoczywającego na podłodze.

Znaleźliśmy Daniela Markhama.

Healy omiótł światłem latarki ciało Markhama, starając się nie naruszyć miejsca zbrodni. W końcu musieliśmy zawiadomić policję, ale wpierw trzeba było uporządkować myśli. Zresetować się. Człowiek, który był naszym najlepszym tropem, leżał w kałuży krwi na podłodze opuszczonego domu.

- Trudno powiedzieć, jak długo tu leży - powiedział Healy - chyba że chcesz mu wsadzić w dupę termometr i zmierzyć temperaturę.

Przesunął snop światła wzdłuż ramienia Markhama. Pod skórą rysowały się wyraźne sine żyły. W okolicy nóg, stóp i krzyża utworzyła się kałuża krwi, która nie pochodziła z ran klatki piersiowej. Healy użył latarki, żeby wskazać łydkę denata. Fragment ciała będący w bezpośrednim kontakcie z linoleum nie był wypełniony krwią, w odróżnieniu od miejsc wyżej.

- To plamy pośmiertne - wyjaśnił.

Kiedy górę bierze siła ciężenia, krew spływa do miejsc najniżej położonych, ale skóra mająca bezpośredni kontakt z zewnętrzną powierzchnią nie wypełnia się krwią, bo naczynia krwionośne są ściśnięte.

Healy omiótł światłem kuchnię.

- Ciało nie zostało przesunięte - ciągnął. - Krew opada i już pozostaje w danym miejscu. Gdyby przedtem leżał na brzuchu, krew napłynęłaby do goleni, kolan i górnej części ud oraz przedniej części klatki piersiowej. Nie byłaby tam, gdzie jest teraz.

- Wygląda na to, że doszło do stężenia pośmiertnego - zauważyłem.

Healy zamarł, by po chwili odwrócić się w moją stronę, mrużąc oczy.

- Powiedziałem ci coś, czego nie wiesz? - Był wściekły, że zabrnęliśmy w kolejną ślepią uliczkę, i musiał się na kimś wyładować. - Może chcesz mi powiedzieć, że dorabiasz na boku jako patolog i policjant?

Zignorowałem obrazę.

- Co?

- O co my się kłócimy, Healy?

- Chciałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia!

Potarłem czoło palcami. Znałem go krótko, ale wiedziałem, że można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest przewidywalny.

- Chcę wiedzieć, kogo zabrałem na przejażdżkę! - warknął powtórnie. - Nie chcę

żadnych niespodzianek! Nie chcę skończyć z nożem w plecach!

Spojrzałem na niego.

- O co ci chodzi?

- Nie udawaj, dobrze wiesz.

- Nie wiem nawet, co cię tak wkurzyło. Wiem, jak wygląda stężenie pośmiertne. Co z tego?

- To, że ci nie ufam.

- Nie musisz mi ufać. Musisz jedynie ze mną współpracować. Kiedy to wszystko się skończy, będziemy mieli dość czasu, żeby znaleźć jakiś zaciszny kąciek i pogadać o tym, co wiemy o ludzkim ciele po śmierci.

Ponownie zmrużył oczy.

- Co ty wiesz o śmierci?!

Natychmiast zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, ale nie należał do ludzi gotowych przeproszać. Najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić, było nieokreślone wydęcie ust. Typowa reakcja Healy'ego - bezsensowna kłótnia wypływająca ze świadomości, że nie panuje nad sytuacją.

Zatrzymał snop światła na twarzy Markhama.

- Tak. Gość zeszywniał - powiedział cicho.

Stężenie pośmiertne rozpoczyna się od mięśni twarzy, a następnie przenosi się na szczęki, krtań i resztę ciała. Dzięki temu można w przybliżeniu określić czas śmierci, ale nawet patolog miałby problem z jego dokładnym określeniem w warunkach, w jakich się znaleźliśmy. Oznaki stężenia pośmiertnego wskazywały, że do zgonu doszło przed niecałymi trzydziestoma sześcioma godzinami. Zastój krwi w dolnych partiach ciała sprawił, że przybrały ciemnofioletową barwę. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych dwa miesiące szwendałem się po laboratorium kryminalistyki sądowej w Pretorii, pisząc artykuły o czasach po zniesieniu apartheidu w RPA, i widziałem kilka miejsc zbrodni. Największe zsinienie występowało w ciągu sześciu do dwunastu godzin po zastoju. Wynikało z tego, że Markham żył jeszcze tego ranka.

- Jeśli zawiadomimy policję - powiedział Healy, kierując światło latarki na zwłoki Markhama i przesuwając promień wzdłuż jednej z ran - będzie po sprawie.

Skinąłem głową. Miał rację. W obecnej chwili mieliśmy przewagę, a policja nadganiała zaległości.

Zacząłem przetrząsać pokój, zaglądając za meble i odsuwając kanapę od ściany. Starąłem się znaleźć jakikolwiek ślad. Healy przestąpił Markhama i zabrał się do kuchni,

otwierając i zamykając kolejne szuflady.

Podszedłem do szafki z telewizorem i sterty taśm wideo. Uklęknąłem i zacząłem je wyciągać z okładek, rzucając jedną na drugą.

W połowie się zatrzymałem.

Druga taśma od końca była w czerwonym opakowaniu, inna od pozostałych, bez tytułu. Wyjąłem kasetę. Pośrodku naklejki czarnym markerem napisano wiadomość.

Pomóż mi.

Kiedy włączałem wideo, wsuwałem taśmę i nastawiałem telewizor, żaden z nas nie odzywał się ani słowem. Czarny ekran po kilku sekundach ożył i ujrzeliśmy twarz Markhama.

Miał łzy w oczach.

Jego brązowe włosy były krótsze niż na zdjęciu, które zabrałem z klubu młodzieżowego, nie miał też okularów w rogowej oprawce. Czarne oczy wpatrywały się w nas, kłując jak drewniane drzazgi. Zarost się najeżył, kiedy Markham potarł dłonią szczękę. Był w dobrej formie, elegancko ubrany: miał na sobie koszulkę polo bez logo i dżinsy. I był bosy.

Wypuścił powietrze i zaczerpnął głęboki oddech. Odwrócił wzrok, by po chwili ponownie spojrzeć w kamerę. Nagranie wykonano za dnia, na środku salonu. Na drugim planie widać było kuchnię i kawałek schodów. Przeciągnął palcami po włosach, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

Później odchrząknął.

- Nazywam się Daniel Markham - zaczął drżącym głosem. Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie, a w oczach błysnęły łzy. - Ten film to moja spowiedź.

Doktor

Jedenaście miesięcy temu

Daniel Markham otworzył drzwi gabinetu. Wszedł do środka i natychmiast poczuł uderzenie ciepłego powietrza. W szpitalu było zwykle albo duszno i gorąco, albo lodowato zimno, nigdy umiarkowana temperatura. Mimo początku listopada od tygodnia było nienaturalnie ciepło, ale system centralnego ogrzewania w tej części budynku nie został ustawiony, jak należy. Markham złożył dwie skargi, ale żadna nie spotkała się z odzewem. Typowy sposób działania National Health Service.

Powiesił kurtkę na wieszaku i podszedł do okien, otwierając je tak szeroko, jak się dało. W pokoju powiał lekki wietrzyk. Markham usiadł za biurkiem i włączył komputer, a następnie zaczął przeglądać pocztę. Na wierzchu tacy z korespondencją przychodzącą leżał notatnik z datami spotkań, który sekretarka wypełniała na początku tygodnia. Bez niej za nic by sobie nie poradził. Pamiętał twarze pacjentów, ale nie zawsze ich nazwiska, a tym bardziej terminy umówionych spotkań. Jedynymi spotkaniami, o których pamiętał, były poniedziałkowe popołudniowe sesje w klubie młodzieżowym Barton Hill. W ramach polityki szpitala, który zapewniał konsultantów-wolontariuszy ośrodkom w terenie, spędzał pięć godzin z rodzicami dzieci cierpiących na porażenie mózgowie, pomagając im, jak potrafił.

Początkowo uważał wolontariat za stratę czasu. Kiedy otrzymał pierwszy e-mail w tej sprawie, pomyślał, że to żart. Szpitalny system ledwie dawał sobie radę przy obecnej liczbie pacjentów w stosunku do liczby personelu medycznego. Popołudniowa wyprawa do placówki w terenie wydawała się gwarantować, że mniej ludzi otrzyma odpowiednią opiekę, a do dyrekcji wpłynie więcej skarg. Jednak władze szpitala były zdecydowane spełnić obietnicę złożoną lokalnej społeczności podczas szerokiej kampanii PR w ubiegłym roku, a Markham - po początkowych wątpliwościach - zaczął naprawdę lubić wizyty w klubie. Rodzice chorych dzieci byli zupełnie inni od pacjentów, których miał w szpitalu. Wydawali się niezwykle pozytywni, mimo cierpienia, którego doświadczali. Jego pacjenci stanowili ich jaskrawe przeciwieństwo - wrogo nastawieni i cyniczni, pogrążający się coraz głębiej w niszczycielskiej otchłani rozpacz.

Usunąwszy połowę otwartych wiadomości, sięgnął po notes leżący na tacy i otworzył na trzecim listopada. Jego podzielony na godzinne sesje dzień był wypełniony spotkaniami od ósmej rano do trzynastej i od czternastej do osiemnastej. Pierwsze nazwisko należało do kategorii tych, których nie rozpoznawał. Sykes. Pewnie jakiś nowy pacjent. Odwrócił się do

monitora, zalogował do e-diary i kliknął hasło „Sykes” przypisane do ósmej rano. Na ekranie pojawiła się karta choroby pacjenta. Złamana ręka w wieku dziewięciu lat. Zwichnięcie nadgarstka w wieku siedemnastu. Standardowe wizyty lekarskie przez resztę życia z wyjątkiem dwóch ostatnich tygodni, kiedy zjawił się pięć razy w ciągu dziesięciu dni, narzekając na bezsenność, napady lękowe, silny ból w klatce piersiowej i problemy z koncentracją w pracy. Markham przeszedł na koniec dokumentu i kliknął uwagi lekarza ogólnego. Pacjent został poddany badaniom podczas ostatniej wizyty w przychodni, ale niczego nie wykryto. Fizycznie nic mu nie dolegało. Markham postawił diagnozę w dwie sekundy. Depresja.

Zadzwonił telefon na biurku.

Podniósł słuchawkę.

- Markham, słucham.

- Przyszedł pan Sykes - oznajmiła sekretarka.

Markham spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Dochodziła ósma.

- W porządku. Dawaj go.

Przeszedł w róg gabinetu, gdzie stały dwie kanapy ustawione w literę L. Były zwrócone w stronę odchylanego skórzanego fotela z wysokim oparciem. Pomiędzy meblami stał niski stolik, na którym leżały grube, nudne książki, które kupił na rynku za dziesięć funtów. Chciał, żeby pokój nie przypominał gabinetu w ogromnym anonimowym szpitalu, próbował stworzyć domową atmosferę.

Dwa puknięcia do drzwi.

- Proszę.

Sykes wszedł do środka. Dobiegał czterdziestki i miał metr osiemdziesiąt wzrostu, ale wyglądał na znacznie niższego. Był zgarbiony, niemal zgięty w pasie. Brązowe włosy, ciemne oczy, kilkudniowy zarost i zmęczony wyraz twarzy. Markham przyjrzał się pacjentowi uważnie. Niektóre ze wspomnianych cech były wynikiem braku dostatecznej ilości snu, ale nie wszystkie. Sykesa spowijała atmosfera nieokreślonego smutku.

- Pan Sykes?

Mężczyzna skinął głową.

- Tak, doktorze Markham.

- Proszę usiąść - odparł Markham, wskazując kanapy.

Sykes skinął głową, rozejrzał się po gabinecie i usiadł na najbliższej kanapie. Właściwie przysiadł na jej krawędzi z nogami złączonymi w kolanach, rozglądając się nerwowo.

- Podać coś do picia?

- Dziękuję, niczego mi nie trzeba - odpowiedział Sykes, spoglądając przelotnie na Markhama i odwracając wzrok. Miał spojrzenie jak wielu innych, którzy przyszedli tu pierwszy raz. Pełne przerażenia i nadziei.

Markham usiadł na skórzanym fotelu.

- Co pana do mnie sprowadza?

Sykes skinął głową i zawahał się chwilę.

- Ja... - Przerwał i ponownie rozejrzał się wokół, bębniąc palcami o kolana. - Źle się dziś czułem.

- Coś nie dawało panu spokoju?

Sykes podniósł głowę.

- Tak.

- Co?

- Wiele rzeczy. Mnóstwo różnych spraw. Zamartwiam się tak bardzo, że mam napady lękowe... czuję, jak ogarniają mnie potężne fale paniki.

- Co pana niepokoi?

- Odczuwam bóle w klatce piersiowej - wyjaśnił Sykes, spoglądając w przestrzeń za plecami Markhama. Do tej pory niemal żadnego kontaktu wzrokowego. - Pod względem fizycznym nie znaleziono niczego podejrzanego, ale czuję, że coś mnie zżera od środka.

Markham milczał chwilę.

- W porządku. Zróbmy kilka kroków wstecz. Czym się pan zajmuje?

Sykes spojrzał mu przelotnie w oczy.

- Jestem wolnym strzelcem... jeśli tak można powiedzieć.

- Co pan robi?

- Zajmuję się ludźmi.

- Jest pan menedżerem?

- Nie. Obserwuję ludzi, a później podejmuję odpowiednie działania.

Markham zmarszczył brwi.

- Mógłby pan to szerzej opisać?

- Nie mogę skupić się na pracy, dosłownie na niczym. Siedzę cały dzień, gapiąc się w ekran komputera. Siedzę i obserwuję, jak się we mnie wpatruje.

- O kim pan mówi?

Sykes nie odpowiedział. Spoglądał na swoje kolana i palce, które na nich oparł. Jedna noga lekko drżała, a podeszwa stukwała o podłogę.

- Panie Sykes?

Żadnej odpowiedzi. Markham pochylił się do przodu.

- Kto patrzy na pana z ekranu?

Sekundę później Sykes całkowicie znieruchomiał, jakby odcięto mu dopływ powietrza. W dalszym ciągu wpatrywał się w kolana, opierając na nich palce.

- Panie Sykes? - Markham pochylił się głębiej, próbując zajrzeć mu w twarz. - Kogo pan widzi?

Sykes drgnął. Przesunął palcami wzdłuż ud. Rozluźnił nogi, a jego ciało się rozszerzyło, jakby zostało napompowane. Nagle każdy centymetr tego ciała stał się widoczny. Wyprostował zgarbione plecy. Markham cofnął się w fotelu, zdając sobie sprawę, że z jakiegoś nieznanego powodu Sykes przeistacza się w kogoś innego. Zniknęły nerwowość i niepewność, postawa oczekiwania i wahania. Sykes uniósł głowę i utkwiał wzrok w Markhamie, a na jego twarzy zagościł uśmiech. W tym momencie Markham zrozumiał, że wszystko było grą.

- Pyta pan, kogo widzę, doktorze Markham? - zapytał zmienionym głosem. - Chce pan wiedzieć, kogo widzę? Kto wpatruje się we mnie codziennie z dołu w mojej podłodze? - Zamilkł na chwilę. Jego oczy błysnęły złowrogo i były mroczne jak wejście do grobu. - Widzę pana żonę.

W domu panowała zupełna cisza. Widoczny na ekranie Markham przestał mówić i wytarł oczy. Przed chwilą opowiedział, jak poznał Glassa.

Healy odwrócił się w moją stronę.

- Glass porwał żonę Markhama?

- Teraz wiemy, dlaczego nie udało się jej odnaleźć. Spojrzeliśmy na Markhama. Obraz był zamazany, a stary telewizor powodował, że jego skóra była pozbawiona koloru. Przesunął się na krzesło, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca.

- Zatem Markham był tylko pionkiem - stwierdził Healy.

- Na to wygląda.

- Dlaczego? Dlaczego Glass postanowił wykorzystać Markhama?

Pokręciłem głową.

- Może niebawem się dowiemy.

Przenieśliśmy wzrok na ekran. Markham w dalszym ciągu próbował nad sobą zapanować.

- Ten Glass. - szepnął Healy, naciskając przycisk pauzy, jakby nagle przyszło mu coś do głowy. - Ten Glass miał kartę choroby. Słyszałeś, co powiedział Markham. Złamana ręka, napady lękowe, bóle w okolicy klatki piersiowej. Namierzemy go.

- Karta nie należała do niego.

- Jak to?

- Jeśli Markham miał przed sobą kartę choroby pacjenta, nie należała ona do Glassa. Facet jest zbyt ostrożny. Nie popełnia błędów.

Zamilkliśmy. Nacisnąłem przycisk odtwarzania.

- Wszystko, co się później stało, było kłamstwem - podjął opowieść Markham. - Zrobiłem to, żeby uratować Sue. Nie potrafiłem znieść myśli, że może wyrządzić jej krzywdę. Stale do mnie wydzwaniał, grożąc okropnymi rzeczami, które jej zrobi. Że ją potnie, zadźga, poderżnie gardło. Początkowo próbowałem się opierać. Starłem się go odnaleźć, ale on dobrze wiedział, co robi. Cały czas mnie obserwował. Nie potrafiłem znaleźć śladu Sykesa. Niczego. Jego karta medyczna okazała się sfalszowana. Nie można było namierzyć jego telefonu komórkowego. - Rozejrzał się wokół. - Nie sądzę, aby był właścicielem tego głównianego domu, w którym kazał mi zamieszkać. Po jakichś trzech, czterech dniach od pierwszego spotkania zadzwonił, żeby pokazać, kto tu rządzi. Zmusił mnie do słuchania, jak

moja żona błaga o życie.

Długa przerwa. Czekaliśmy w milczeniu, aż ponownie zacznie mówić.

- Wiedział, że się go bałem. Wykorzystywał mój strach. Kiedy wracałem do domu, dostrzegałem małe, ledwie widoczne zmiany. Przesuwał moje rzeczy z miejsca na miejsce, aby dać do zrozumienia, że tam był. Zostawiał nowe zabawki na parapecie, zmieniał ustawienie manekinów lub nakładał na ich twarze gumowe maski. Raz porzucił bluzkę Sue na środku salonu. Była poplamiona krwią. Wtedy naprawdę się przestraszyłem.

Pociągnął nosem i przekręcił się na krześle. Spojrzałem na Healy'ego i zobaczyłem, że wolno pociera kciukiem palec wskazujący. Tym razem nie czuł głodu nikotynowego, przytłoczyła go atmosfera nieuchronności. Przerazenie i oczekiwanie, że najgorsze dopiero nadejdzie. Zachowywał się tak, jakby za chwilę ktoś miał wyrwać mu serce.

- Przyprowadziłem mu trzy - ciągnął Markham, spoglądając w kamerę. Poczułem, że siedzący obok mnie Healy zeszytniał. - Powiedział mi, które chce, a ja je przyprowadziłem... W przeciwnym razie zabiłby Sue. Byłem... po prostu nie potrafiłem...

Kolejna pauza. Odwróciłem się i spojrzałem na Healy'ego. Zauważył ruch. Jego oczy skierowały się w moją stronę, by za chwilę znowu utkwić w ekranie.

- Nie musisz tego oglądać - wyszeptałem.

- Muszę.

- Obejrzę film i opowiem ci wszystko, co powinieneś wiedzieć.

- Obejdzie się - odrzekł, zgrzytając zębami.

Markham poruszył się na krześle. Nie był przyzwyczajony do takich wyznań. Chociaż w jego oczach błysnęły łzy, sprawiał wrażenie powściągliwego, jakby bał się własnych uczuć.

Po chwili podjął opowieść:

- Po rozwodzie z Sue miałem poczucie winy. Jej stan szybko się pogorszył. - Kolejna pauza. - Wysłałem ją na przymusowe leczenie psychiatryczne. Kto wysłała do psychiatryka własną żonę? - Znowu przerwał. - A później, kiedy wyszła, nawet się z nią nie skontaktowałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie potrafiłem spojrzeć jej w oczy. Nie umiałem się z tym uporać. Myślę, że Sykes to wykorzystał. Zrobił z tego użytek. Wykorzystał moje poczucie winy, zasugerował, że już nigdy nie będę miał okazji jej przeprosić.

Healy pokręcił głową. Poczułem zapach jego potu.

- Dlatego przyprowadziłem mu Leanne.

Kiedy Markham wypowiedział jej imię, wyraz twarzy Healy'ego uległ nieznacznej zmianie. Zbyt mocno cierpiał, żeby znieść to, co miał za chwilę usłyszeć. Mógłby się zemścić, ale nic nie wypełniłoby pustki, która powstała po stracie córki. Koniec końców cała

frustracja, cała agresja i przemoc nie miały większego znaczenia.

- Musiał mnie zauważyć w klubie młodzieżowym - mówił dalej Markham. - Pewnie obserwował to miejsce... obserwował Leanne i Megan. Zobaczył mnie tam w poniedziałek. Chyba mi ufały. To znaczy... - Przerwał na chwilę. - Czemu miałyby mi nie ufać?

Rzuciłem okiem na Healy'ego, który zamarł.

- Powiedział, że Leanne będzie próbą. Miałem zasugerować, że pragnę z nią być. Zagroził, że jeśli dam się złapać, jeśli zostawię choćby najdrobniejszy ślad, zerwie ze mną kontakt i nigdy więcej nie ujrzę żony. - Markham na chwilę odwrócił głowę. - Posłuchałem go. Sprawilem, by Leanne pomyślała, że ją lubię. Wkroczyłem siłą do jej życia. Później ją omotałem... i oddałem jemu.

- Healy... - powiedziałem.

- Dam radę.

- Możesz...

- Wytrzymam - wycedził przez zęby, odwracając się w moją stronę. Mimo przyćmionego światła zauważyłem, że coś zamigotało w jego oczach. Potem ponownie utkwiał wzrok w Markhamie, który wstał z krzesła. Pociągnął nosem i przeszedł obok kamery. Nagle obraz pociemniał.

Po chwili nagranie zaczęło się na nowo.

Markham wyszedł zza kamery i ruszył na swoje miejsce. Tym razem wydawał się bardziej opanowany.

- Odniosłem wrażenie, że Megan była dla niego ważniejsza od Leanne. Nie wiem dlaczego... po prostu tak mi się zdawało. Zaplanował wszystko z Leanne, ale w przypadku Megan był jeszcze bardziej drobiazgowy. Może dlatego, że Leanne było łatwiej omotać. Nie była szczególnie inteligentna i pochodziła z rozbitej rodziny. Matka miała romans, a ojciec rzadko bywał w domu.

Spojrzałem na Healy'ego. Żadnej reakcji.

- Megan była inna. Miała zamożnych rodziców, a zamożność oznacza środki. Gdyby zniknęła, mogliby je wykorzystać. Mogliby użyć wszystkiego, żeby ją odnaleźć. Leanne po prostu mu przyprowadziłem, ale w przypadku Megan postawił kilka warunków.

Ponownie spojrzałem na Healy'ego. Pot przesiąknął jego koszulę, wystąpił pod pachami i kołnierzykiem. Odwrócił ku mnie pozbawioną wyrazu twarz.

- Jakie warunki miał na myśli?

- Sądzę, że chodziło o London Conservation Trust - odpowiedziałem, naciskając pauzę. - Glass założył fundację, żeby nie można było go odnaleźć. Używał fikcyjnych

biuletynów, w których ukrywał wiadomości oraz szczegółowe informacje o miejscu spotkania. Megan sądziła, że wiadomości pochodziły od Markhama, ale było inaczej. Ich nadawcą był Glass.

- Nie uznała tego za dziwne?

Wzruszyłem ramionami.

- Może, ale pamiętaj, że Markham był dwadzieścia lat starszy od niej. Formalnie rzecz biorąc, nie była nawet pełnoletnia. Pewnie Glass kazał mu to wykorzystać, skłonił Markhama, aby jej powiedział, że wykonuje zawód zaufania publicznego i nie może ryzykować skandalu. Markham musiał ją przekonać, że dopóki nie osiągnie pełnoletności, bezpieczniej będzie komunikować się przez stronę fundacji. Później mieli powiedzieć ludziom o związku, który ich łączył.

- Do licha, co ta dziewczyna sobie myślała?

- Markham był pierwszym mężczyzną, w którym się zakochała. Jej przyjaciółka powiedziała, że z nikim nie była tak mocno związana. Po prostu straciła głowę.

- Nigdy nie rozmawiali przez telefon?

- Wątpię, aby Glass pozwolił Markhamowi komunikować się w inny sposób niż przez strony fundacji. Żadnych e-maili, SMS-ów, telefonów. Niczego, co mogłoby pozostawić jakiś ślad. Tylko osobiście, w klubie młodzieżowym lub za pośrednictwem strony internetowej. Po co mieliby zawracać sobie głowę zakładaniem fundacji, gdyby mogli się porozumiewać za pomocą komórek?

Healy potrząsnął głową, wyciągnął rękę i wcisnął przycisk odtwarzania.

- Z Megan wszystko poszło jak z płatka - ciągnął Markham lekko drżącym głosem. - Zdołałem ją przekonać, podobnie jak Leanne, że moje uczucia są szczerze. Kiedy uwierzyła, łatwo ją było oszukać w innych sprawach, choćby strony internetowej. - Zamilkł na chwilę. Przesunął palcami po twarzy, tym razem bliżej oczu. - Później ten chłopak zapukał do moich drzwi. Krzyczał i groził... - Markham nieznacznie skulił się w sobie. - Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale nic mnie bardziej nie zraniło od tego, co powiedział. Nazwał mnie zboczeńcem, pedofilem...

Markham spuścił głowę i pociągnął nosem. Zapadła cisza. Healy spojrzał na mnie.

- Mówi o tym chłopaku? O Bryancie?

Przypomniałem sobie, co Kaitlin powiedziała o Charliem.

„Zadurzył się w Megan. Bez reszty. Czasami dostawał świra i wszystkie miałyśmy pietra... łąził za nią”.

- Musiał ją obserwować - wyjaśniłem. - Powiedział Markhamowi, żeby trzymał się od

niej z daleka. Charlie był zazdrosny, ale było już za późno. Megan zakochała się w Markhamie, a przynajmniej w człowieku, za którego go uważała.

Markham odchrząknął, wydając dźwięk zniekształcony przez głośniki telewizora.

- Może i miał rację... Może byłem zbrojcem. - Odchrząknął kolejny raz. Kiedy ponownie zaczął mówić, jego głos drżał. - To był wypadek - szepnął. - Po prostu wypadek. Mówiła, że wzięła pigułkę.

Healy spojrzał na mnie.

- Myślisz, że ten dzieciak, Bryant, o tym wiedział?

- Że Megan była w ciąży? Oczywiście. Przecież ostrzegłem Kaitlin, żeby nie mówiła o tym policji, pamiętasz? Megan mogła mu powiedzieć albo dowiedział się o tym w inny sposób. Może poszedł za nią do supermarketu, przychodni lub apteki. Może widział, jak kupuje test ciążowy.

Obraz wideo drgnął, na ekranie ukazały się poziome paski. Markham podjął opowieść.

- Kiedy zadzwonił do mnie następnego dnia, powiedziałem, że mamy problem. Że Charles Bryant wie o Megan i o mnie, o tym, że Megan jest w ciąży. Miałem nadzieję, że w końcu odczepi się od Sue i ode mnie, ale on nie był wściekły. - Zmarszczył brwi. - Po prostu zaczął się śmiać, a później powiedział: „Danielu, to się idealnie składa. Naprawdę idealnie”.

- Czemu się ucieszył, że Megan jest w ciąży? - spytałem, zatrzymując taśmę. Healy spojrzał na mnie i wzruszył ramionami. Odwróciłem się do telewizora. - A jednak to coś wyjaśnia.

- Co?

- Dlaczego zamordowano Charliego i jego ojca.

- Chłopak znalazł się zbyt blisko.

Skinąłem głową. Zamilkliśmy na chwilę. Zauważyłem, że Healy gorączkowo myśli. W końcu odwrócił się w moją stronę.

- W takim razie dlaczego? - odezwał się.

- Dlaczego co?

- Dlaczego zaczął używać Markhama? Przecież bez jego pomocy porwał pięć kobiet przed Leanne. Później wprowadził razem z nim trzy kolejne, Leanne, Megan i Sonę. Dlaczego?

- Może chciał się zabezpieczyć.

- Czemu nie postępował tak od początku?

Zrozumiałem, do czego zmierza.

- Z powodu Franka White'a?

- Właśnie. Myślę, że Glass świetnie sobie radził do dwudziestego piątego października ubiegłego roku. Ciała pięciu kobiet leżały w workach, a nikt nie potrafił wpaść na jego trop. Po strzelaninie w magazynie sytuacja się skomplikowała. Frank White zginął i nagle facet poczuł się śmiertelnikiem. Zdał sobie sprawę, że wystarczy jeden błąd, aby runął cały domek z kart. Dlatego przycisnął Markhama.

- Z powodu jego kontaktów w klubie młodzieżowym?

- Tak. Glass zobaczył gdzieś Megan... na ulicy, w autobusie, gdziekolwiek... i śledził ją do klubu młodzieżowego. Tam spostrzegł Markhama, mógł zauważyć, jak Megan na niego patrzy lub coś w tym rodzaju. Wtedy zdał sobie sprawę, że może go wykorzystać, aby dopaść Megan bez podejmowania osobistego ryzyka. Na dodatek była premia...

- Susan Markham.

Healy przytaknął.

- Glass sprawdził Markhama i odkrył, że łączy go nie tylko związek z Megan, ale można nim manipulować przy pomocy żony.

Przeniosłem wzrok z Healy'ego na ekran telewizora, by po chwili spojrzeć na niego ponownie. Patrzył na mnie oczami bez wyrazu, zalaatywał potem i płynem po goleniu. Może właśnie tak radził sobie z emocjami: tłumił je w środku i wypierał, aż pewnego dnia nie mógł nad nimi zapanować i kończyło się tym, że robił coś, czego później żałował. Chwytał małżonkę za szyję lub klócił się z córką. Albo mówił szefowi, że rozedrze na strzępy faceta, który porwał mu dziecko.

Uruchomiłem taśmę, która kliknęła i zaterkotała.

- Jeśli oglądacie ten film, pewnie mnie zamordował - powiedział Markham, zatrzymując się na chwilę. - Szukałem sposobu, żeby się od niego uwolnić. Dłużej tego nie zniosę. Nie widzę końca. Najpierw były Leanne i Megan. Później zrezygnował z klubu i wybrał Sonę... - Markham spojrział w oko kamery. - Wiem, że jeśli nie odmówię, będzie to robił bez końca. Stale będzie się mną posługiwał. Chociaż...

Przerwał. W jego oczach błysnęły łzy. W pewnym sensie było mi go żal. Porządny człowiek, który wbrew własnej woli dał się uwikłać w koszmarną sytuację. Z drugiej strony nie mogłem mu przebaczyć tego, co zrobił tym kobietom. Czasami gdy człowieka ogarniają ciemności, trzeba kroczyć po omacku, trzeba mieć dość wiary i odwagi, aby podjąć próbę zrobienia tego, co słuszne. W przypadku Markhama słuszną drogą była obrona.

Markham poruszył się na krześle i wyciągnął zdjęcie. Spod nogi lub z niewidocznej kieszeni. Pokazał je do kamery.

- To Sue - wyjaśnił. Była ładna, drobna, niebieskooka, o jasnych włosach. Na zdjęciu sprawiała wrażenie nieśmiałej. Lekko odwrócona od aparatu, z uśmiechem na twarzy. Miała na sobie białą bluzkę i łańcuszek ze srebrnym serduszkim na szyi. - Jeśli ktokolwiek znajdzie tę taśmę, proszę przekazać jej wiadomość ode mnie. Możecie jej powiedzieć, że choć zrobiłem straszne rzeczy i nie zasługuję na przebaczenie, bardzo... - głos uwiązł mu w gardle - po prostu bardzo mi przykro.

Później podszedł do kamery i obraz zniknął.

Healy się nie poruszył. Kiedy na niego spojrzałem, nadal wpatrywał się w czarny ekran. Po kilku sekundach drgnął, spojrzał na mnie i potarł jedno oko. Potem odwrócił wzrok.

- Znajdziemy go - powiedziałem.

Nie odpowiedział ani się nie poruszył.

- Obiecuję ci, że go znajdziemy.

Czterdzieści minut później jechaliśmy City Road w kierunku domów komunalnych King's Cross. W jednym z nich, ukryta przed światem, mieszkała jedyna kobieta, której udało się uciec.

Ucieczka Sony stanowiła wielki przełom. Jej odnalezienie oznaczało radykalny zwrot w śledztwie. Niestety, wszystko o tej sprawie starannie ukryto. Sonę umieszczono w bezpiecznym domu. Rodzina wiedziała o jej zniknięciu i cały miesiąc czekała na telefon, liczyła na wiadomość, że ktoś ją widział. Na najdrobniejszą wzmiankę, na choćby najmniejszy strzęp informacji. Mogli czekać jeszcze miesiąc albo rok, bo policja nie zamierzała ich powiadomić. Chcieli wycisnąć z Sony wszystko, co pamiętała, żeby dopaść Doktora Glassa i ukryć całą resztę. Chciało mi się rzygać, gdy o tym pomyślałem.

- Jej bliscy nie wiedzą, że wróciła?

Healy pokręcił głową.

- Nie. Wie tylko policja.

- Przecież nie mogła się przenieść do policyjnej kryjówki za sprawą czarów. Ktoś musiał ją widzieć, kiedy uciekła. Musieli być jacyś świadkowie. Gdzie są?

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Oglądasz wiadomości, Raker?

Wtedy mnie olśniło.

Przypomniałem sobie materiał telewizyjny z ubiegłego tygodnia, który widziałem dwukrotnie - raz w kawiarni nieopodal szkoły średniej Newcross i raz przez frontowe okna domu Liz. Kobieta wyłowiona z Tamizy.

- To była Sona?

Healy skinął głową.

- Sądziłem, że wróciła do rodziny.

- Tak jak reszta świata.

Poczułem, jak żółć podchodzi mi do gardła, jak gniew napina mięśnie.

- Zatem wszystko było kłamstwem?

- Z wyjątkiem wiadomości o jej odnalezieniu i świadkach. Resztę wymyślono. Sona nie prosiła o zachowanie anonimowości. Nie prosiła o nic.

- Co się stało?

- Wyrzuciło ją na brzeg Tamizy o siódmej rano. Zauważono ją z pustej łodzi

wycieczkowej. Jeden z przewodników wykręcił dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Była lekko wyziębiona i miała wstrząs mózgu. Czuła się oszołomiona i zagubiona. Niewiele mówiła. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Nie wiedziała, gdzie była ani co się z nią stało, poza tym była poważnie poturbowana.

- Jakie miała obrażenia?

- Dużo siniaków i ran. Krwawiła.

- Co się stało, kiedy została wyłowiona?

- Zawieziono ją na ostry dyżur, a przewodnik powiadomił media. Następnego dnia zamieszczono materiał w wiadomościach krajowych. Dopiero wtedy Phillips i Hart wyniuchali, że to coś dla nich. Na szczęście połowa twarzy Sony była posiniaczona, więc trudno było ją opisać. Przewodnik wycieczki powiedział wszystkim dziennikarzom, ale niewiele tego było. Kolejnego dnia z grupy dochodzeniowej wyciekła wiadomość, że policja „sądzi”, że odnaleziona kobieta dobiega pięćdziesiątki...

Dzięki temu nie zaliczała się do grupy wiekowej zaginionych kobiet, co niweczyło wszelkie nadzieje, jakie mogła żywić rodzina. Załatali kolejną dziurę, przez którą mogłoby coś wyciec.

- Po kilku dniach Phillips podsunął mediom następną bajeczkę, że ona i jej rodzina pragną zachować anonimowość. Koniec pieśni.

Spojrzałem w noc, zaciskając pięści i zgrzytając zębami. Misterna konstrukcja z kłamstw wznoszących się jedno na drugim.

- W jaki sposób zdołali ukryć fakty?

- O co ci chodzi?

- Czemu nie zareagowali ci z wewnętrznego? Wiesz, ludzie gadają. Chcesz mi powiedzieć, że żaden z członków grupy dochodzeniowej nie puścił pary?

- Tak, trzymali gębę na kłódkę.

- Nic im się nie wymknęło?

Healy wzruszył ramionami.

- Grupa operacyjna jest mała. To zaufani ludzie. Woleliby umrzeć, niż pisać słówko tym z wewnętrznego. Gliniarze, którzy tropią kolegów, to niższa forma życia.

Przypomniałem sobie, co Phillips powiedział Healy'emu podczas niedawnej rozmowy telefonicznej: „Nie bez powodu wykluczono cię z naszej grupy dochodzeniowej i każdej innej. Nie można ci ufać”.

- Skoro wszyscy milczą, skąd tyle wiesz?

- Kiedy zniknęła Leanne, jeden z chłopaków pomagał mi w poszukiwaniach. Znałem

go od dawna. Szepnął mi to i owo. Reszty dowiedziałem się sam.

Spojrzałem na niego i domyśliłem się reszty. Szukał tam, gdzie nie powinien, i odkrył rzeczy, o których wiedzieli jedynie członkowie obu grup dochodzeniowych. Właśnie to miał na myśli Phillips, mówiąc, że Healy'emu nie można ufać. Nie chodziło o powstrzymanie Healy'ego przed wypaplaniem komuś prawdy. Był zbyt pochłonięty myślą o pomszczeniu córki, aby przejmować się tym, że zdradzi jakiś sekret. Szło o to, żeby uniemożliwić mu obalenie wszystkich filarów, na których wzniesli dochodzenie w sprawie Glassa i jego małej czarnej listy.

- Czy Sona pamięta, jak znalazła się w Tamizie?

- Nie. Właściwie jeszcze nie zaczęła mówić.

- O tym, co się stało?

- O wszystkim.

- Nic a nic?

- Powiedziała trochę, ale niewiele. Facet zupełnie pomieszał jej w głowie albo naprawdę nie pamięta. Lekarze sądzą, że dostała czegoś w rodzaju nerwicy pourazowej, niewykluczone, że cierpi także na lekką amnezję. Musieli jej założyć czternaście szwów na głowie.

- Nie chce powiadomić rodziny, że żyje?

- Phillips, Hart, Davidson i cała reszta wykorzystują jej strach. Sona jest przekonana, że musi milczeć, bo Glass po nią wróci.

- To jakiś obłąd.

- Uprzedzałem cię.

Przypomniałem sobie, co mi powiedział poprzedniej nocy: „Możesz się do mnie przyłączyć albo wycofać. Ale jeśli się przyłączysz, lepiej przygotuj się na najgorsze”.

- Czy policyjna ochrona będzie dla nas problemem dziś wieczorem?

Potrząsnął głową.

- Nie. Nasi już się wynieśli, bo ich obecność mogłaby wzbudzić podejrzenia. To okolica o gęstej zabudowie. Dużo okien i sąsiadów. Ludzie z grupy operacyjnej dzwonią do niej kilka razy dziennie, ma też guzik alarmowy na wypadek zagrożenia. Najlepiej odwiedzić ją nocą. Nie niepokoją jej po dziewiętnastej, chyba że da znak, że czuje się zagrożona. Wszyscy sąsiedzi zaciągają zasłony, więc nie zwrócimy niczyjej uwagi.

Pogrążyliśmy się w milczeniu.

Healy włączył radio i zaczęliśmy słuchać transmisji z derby rozgrywanego w północnym Londynie na Emirates Stadium. Pięć minut później Healy skręcił w prawo,

w krótką uliczkę, na której końcu stał szereg dwupiętrowych segmentów z szarej cegły. Wyglądały, jakby przeniesiono je żywcem z jakiegoś kraju bloku wschodniego i zrzucono na środek miasta, żeby legły w gruzach. Wąska ścieżka pod łukowatą bramą wiodła wprost na podwórko. Na zewnątrz nie było drzwi. Sąsiadujący z domami parking spowijał półmrok. Pojedyncza latarnia pełniła samotną wartość, oświetlając okolicę migającym pomarańczowym światłem. Healy zaparkował na wolnym miejscu i wyłączył silnik.

Sekundę później zadzwonił mój telefon. Był wyłączony cały dzień, ale wieczorem, kiedy opuściliśmy Walthamstow, włączyłem go na krótko, żeby sprawdzić wiadomości, i zapomniałem wyłączyć. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem aparat, przygotowany na to, aby w każdej chwili się rozłączyć.

Okazało się, że to Jill.

Wcisnąłem przycisk odbioru.

- Słucham?

Cisza. Trzask przypominający zakłócenie na linii.

- Jill?

W słuchawce zapanowała cisza. Spojrzałem na Healy'ego. Spoglądał przez okno na grupę nastolatków stojących pod latarnią, ale nasłuchiwał każdego słowa. Oddzwoniłem, ale po dziesięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

- Co chcesz zrobić? - spytał, nie patrząc na mnie.

Zamknąłem telefon.

- W jakiej sprawie?

- Jill.

Najwyraźniej uznał za słabość moje zatroskanie Jill. Zignorowałem go, wracając do niej myślami. Czemu miałyby do mnie dzwonić, skoro nie zamierzała odbierać? A nawet jeśli przypadkiem wprowadziła mój numer, czemu nie odebrała, kiedy oddzwoniłem?

- Nie stać nas na marnowanie czasu.

- Wiem.

- Gdzie ona mieszka?

- W Acton.

Wzniósł oczy do nieba i odwrócił głowę w kierunku nastolatków, którzy wyciągnęli dużą flaszkę jabłecznika i paczkę papierosów.

- Acton to wiele kilometrów stąd.

- Wiem, Healy - uciałem rozmowę.

Spojrzał ostentacyjnie na zegarek, jakby mi nie wierzył. Otworzyłem telefon

i wprowadziłem numer Jill, żeby go wkurzyć. Usłyszałem sygnał połączenia.

Po dziewięciu dzwonekach się rozłączyłem. Wyświetliłem książkę telefoniczną i odnalazłem numer stacjonarny Jill. Chwilę później uzyskałem połączenie. Także tym razem nikt nie odbierał przez pół minuty, ale gdy chciałem się rozłączyć, ktoś podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Jill?

- David?

- Wszystko w porządku?

- Tak, czemu pytasz?

- Bo... zadzwoniłem do ciebie minutę temu i nie odebrałaś. Zawahała się.

- Nie odebrałam?

- Chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku.

- Nic mi nie jest.

- Na pewno?

- Na pewno, tylko... - Zamilkła w pół zdania.

- Tylko co?

Pauza.

- Nic. Chyba znowu mam przywidzenia... To wszystko.

- Jakie przywidzenia?

- Nie wiem. Siedzę sama w domu...

- Co się stało?

Nie odpowiedziała.

- Jill?

- Tylko że... - Przerwała ponownie. - Tylko, widzisz...

- Co?

- Jestem pewna, że przed chwilą kogoś widziałam.

- Kogo?

- Tego samego mężczyznę co wcześniej. W czerwonym fordzie. Tego, który obserwował mój dom, gdy przyjechałeś tamtej nocy. Jestem pewna, że co jakiś czas przejeżdża obok.

Spojrzałem na Healy'ego. Pochylił głowę w moją stronę i przysunął się bliżej, jakby przysłuchiwał się temu, co mówi Jill. Po chwili znowu ostentacyjnie spojrział na zegarek, aby mi przypomnieć, że naszym priorytetem jest osoba, która znajduje się w domu pięćset metrów dalej.

- Możesz zadzwonić do Arona?

- Nie. Poleciał do Paryża.

Przypomniałem sobie, że tego dnia wspomniał o locie do Francji.

- Rozumiem. Posłuchaj uważnie. Zadzwonię do przyjaciela i poproszę, żeby do ciebie przyjechał. Nazywa się Ewan Tasker. Poproszę, żeby dotrzymał ci towarzystwa, dopóki nie przyjadę.

- Dziękuję, Davidzie.

- Nie ruszaj się z domu.

Zakończyłem rozmowę i nie patrząc na Healy'ego, który po raz kolejny zerknął na zegarek, wykręciłem numer Taskera. Odebrał po trzecim sygnale. Powiedziałem, czego potrzebuję, a on natychmiast zgodził się pojechać do Jill. Podziękowałem, na wszelki wypadek przekazałem mu jej numer i się rozłączyłem. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, Healy spojrzał na mnie.

- Na co czekasz? - zapytałem.

Domy wchodzące w skład kompleksu, w którym mieszkała Sona, były rozmieszczone na planie kwadratu tak, aby frontowe drzwi wychodziły na wewnętrzne podwórko. Były to dwupiętrowe budynki z oddzielnymi mieszkaniami na każdym piętrze oraz klatką schodową prowadzącą na górę. Wszystkie wyglądały identycznie: białe parapety okienne, niebieskie drzwi, szary łupkowy dach.

Minęliśmy bramę i weszliśmy na dziedziniec. Był duży i zarośnięty. Pośrodku w nocnym mroku wznosił się ogromny dąb. W rogach podwórka stały latarnie świecące stłumionym kremowym światłem. Każda grupa złożona z dziesięciu domów nosiła inną nazwę. Mieszkania od numeru pierwszego do dwudziestego nazywały się Randall, od dwudziestego pierwszego do czterdziestego - Chance, a od czterdziestego pierwszego do sześćdziesiątego - Wren. Gdy dotarliśmy do numerów dwadzieścia sześć i dwadzieścia siedem, Healy nagle się zatrzymał.

- To tutaj?

- Tak, tutaj - odparł, ruszając w kierunku schodów prowadzących na piętro. Rozejrzał się w obie strony, a później cztery razy zapukał do drzwi, zrobił pauzę i zapukał ponownie. - Rób to, co ja - wyszeptał. - I nie bądź zaskoczony.

Spojrzałem na niego pytająco, unosząc brwi.

- Nie bądź zaskoczony - powtórzył.

Usłyszałem pukanie dochodzące ze środka.

Colm pochylił się, jakby czegoś oczekiwał.

- Charlie, hotel, alfa, November, Charlie, echo. Sprawa numer osiemset dwadzieścia siedem myślnik czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć.

Żadnej odpowiedzi. Zerknął na zegarek i spojrzał na mnie z ukosa, kiwając nieznacznie głową, jakby właśnie tak miało być.

- Zima.

Kobięcy głos. Tak cichy, że przez chwilę nie byłem pewny, czy nie dochodzi z innego domu. Colm znowu się pochylił.

- Golteria - powiedział.

- Wiosna - odrzekł głos.

- Trampolina - odparował Healy.

Ponownie zapadła cisza. Kiedy tak czekaliśmy, zza drzwi doleciał mnie ledwie

słyszalny dźwięk telewizora. Kłótnia dwojga ludzi. Healy odwrócił się ku mnie, a później spojrzął na drzwi. Hasło potwierdzało, że należy do grupy operacyjnej, choć nie było to prawdą. Odpowiedzi na jej pytania były znane jedynie osobom bezpośrednio zaangażowanym w śledztwo - zaufanym członkom zespołu opisanym przez Healy'ego.

- Czego chcesz?

Jej głos. Nieco wyraźniejszy, choć nadal słaby.

- Nazywam się detektyw sierżant Colm Healy - odpowiedział delikatnym głosem, jakiego u niego nigdy nie słyszałem. - Biorę udział w operacji Latarnia Gazowa. Nie poznaliśmy się wcześniej, ale mam nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać kilka minut. Doszło do przełomu w śledztwie, chciałbym skonsultować z tobą parę rzeczy.

Odniosłem wrażenie, że słyszę jakiś hałas. Szelest przewracanych kartek.

- Twoje nazwisko nie figuruje na mojej liście.

- Wiem. - Spojrzął na mnie. Wyraz jego twarzy wskazywał, że sytuacja nie rozwija się zgodnie z planem. - Podejdź do okna, to pokażę ci swoją legitymację policyjną.

Szelest kartek, a później odgłos kroków. Healy cofnął się i podszedł do okna przylegającego do drzwi. Przytknął dokument do szyby. Zasłona drgnęła i lekko się uchyliła. W otworze w kształcie litery V ujrzeliśmy zarys kobiety trzymającej skraj materiału. Jej wzrok przeniósł się z legitymacji na Healy'ego, a później na mnie. Zasłona wróciła na miejsce. Znowu kroki.

- Kim jest twój kolega?

- To David. Zajmuje się poszukiwaniem zaginionych osób. Próbuje odnaleźć Megan Carver.

- Jego też nie ma na liście.

- Megan Carver została uprowadzona przez tego samego człowieka, który porwał ciebie.

Znowu cisza. Chociaż wiedziałem, że Healy zasadniczo mówi prawdę, miałem wrażenie, że jego słowa brzmią podejrzanie. Była dziesiąta wieczór, a na progu jej mieszkania stało dwóch facetów niefigurujących na liście osób przekazanej przez grupę operacyjną. Tylko jeden miał legitymację. Drugi nawet nie pracował w londyńskiej policji metropolitalnej. Nie byłbym zaskoczony, gdyby nie wpuściła nas do środka. Jednak zamiast tego usłyszałem zgrzyt otwieranego zamka. Drzwi uchyliły się lekko na łańcuchu.

Przez szparę ujrzałem jasne włosy i fragment twarzy. Oko, część nosa i policzka. Spojrzała na nas, a później w stronę podwórka.

- Mogę jeszcze raz zobaczyć twoją legitymację? - zapytała.

Healy skinął głową.

- Oczywiście.

Wyciągnął mały czarny portfel i wyjął z niego legitymację policyjną, a następnie pokazał jej przez szparę w drzwiach. Wzięła ją i na chwilę zniknęła, by po sprawdzeniu oddać ją z powrotem. Popatrzyła na mnie.

- A ty?

Sięgnąłem po portfel. Wyjąłem prawo jazdy i wizytówkę i podałem jej przez drzwi. Przyjrzała się im, a następnie znowu zniknęła. Z oddali doleciało nas ciche stukanie. Minutę później się pojawiła. Spojrzała na prawo jazdy i na mnie. W końcu zwróciła mi dokumenty i zamknęła drzwi. Usłyszeliśmy brzęk zdejmowanego łańcucha. Healy ponownie utkwiał we mnie wzrok, tym razem milcząco, choć na jego twarzy było wypisane to samo przesłanie: nie bądź zdumiony.

Drzwi się otworzyły.

Sona stała w drzwiach, patrząc gdzieś między nas. Miała blond włosy, niebieskie oczy i piękną twarz o cienkim nosie i wysokich kościach policzkowych. Była ubrana w spodnie od dresu i podkoszulek odsłaniający ramiona. Chociaż dobiegała czterdziestki, zachowała szczupłą sylwetkę, skóra na ramionach była jasnoróżowa, dłonie pozbawione plam i gładkie jak u dwudziestolatki, a palce długie i pełne wdzięku. Przypomniałem sobie, że w jej teczce była informacja, że kiedyś pracowała jako modelka. Mogłem to sobie bez trudu wyobrazić.

I teraz mogłem polegać wyłącznie na wyobraźni.

Glass był w połowie operacji, kiedy się przebudziła. Jej twarz pokrywały blade wybroczyny, niczym barwnik rozlany pod skórą. Oba policzki całkowicie zbieleły. Jeszcze jaśniejsze linie powstały w zmarszczkach na czole i delikatnym dołeczku na brodzie, jakby coś spłynęło po jej twarzy i się tam zebrało. Dziwne ślady widać było także na szyi. Po prawej stronie twarzy, wzdłuż linii włosów, biegła blizna. Druga, identyczna, znajdowała się po lewej stronie. Tam gdzie nie zdążyły powstać wybroczyny, były siniaki - w rejonie grzbietu nosa niemal czarne, jak w zaawansowanym stadium odmrożenia. Pod oczami widać było sinopurpurowe smugi sięgające policzków. Spojrzała na mnie oczami przypominającymi kawałki niebieskiego kamienia, lekko zmrużonymi w oczekiwaniu na moją reakcję. Uśmiechnąłem się i skinąłem głową, ale nie oderwałem od niej wzroku. Odstąpiła od drzwi, spojrzała na Healy'ego i zaprosiła nas do środka.

Za drzwiami był wąski korytarz prowadzący do salonu połączonego amfiladą z trzema kolejnymi pomieszczeniami.

Pierwszym była kuchnia. W zlewku leżały sterty naczyń ułożonych jedno na drugim.

Dalej sypialnia, w której znajdowało się jedynie łóżko i wolno stojąca szafa. Ostatnim pomieszczeniem była łazienka. Gdy weszliśmy, wiatraczek jeszcze się kręcił, lustro pokrywała mgielka pary, a na środku podłogi leżał ręcznik.

Salon był skromnie umeblowany: dwie pięcioletnie kanapy i telewizor stojący na kartonowym pudle, połączony kablami z dekoderm telewizji satelitarnej Sky umieszczonym na podłodze tuż za nim. W rogu stał mały niski stolik, na którym leżały dwie sterty książek: przeczytanych i całkiem nowych. Między jedną z kanap i telewizorem leżał magazyn otwarty na stronie z niemal rozwiązaną krzyżówką. Na kanapie stał włączony laptop, na którego klawiaturze przed chwilą coś wystukała. Rzuciłem okiem na ekran i zauważyłem, że sprawdziła moje nazwisko w wyszukiwarce Google. Od razu trafiła na stronę BBC, gdzie zamieszczono artykuł o sprawie, którą prowadziłem przed świętami Bożego Narodzenia. Było też zdjęcie pokazujące, jak opuszczam posterunek w towarzystwie Liz.

Sona opadła na kanapę. Obok leżał pilot. Podniosła go i wyłączyła telewizor.

Colm i ja usiedliśmy.

- Jak się czujesz? - spytał Healy, uśmiechając się. Dziwnie było widzieć go uśmiechniętego. Najwyraźniej nie przychodziło mu to łatwo, choć był całkiem przekonującym Panem Przyjemniaczkiem.

- W porządku - odrzekła cicho.

Patrzyła przed siebie, czekając, jak zareagujemy na jej twarz. Kiedy żaden nic nie powiedział, skinęła głową w kierunku kartki papieru leżącej na telewizorze. Była to lista nazwisk, o której wcześniej wspomniała. Z miejsca, w którym siedziałem, wyglądało, że zawierała tylko sześć pozycji. U góry widniał napis: *Operacja Latarnia Gazowa*, a u dołu, tym samym charakterem pisma: *TYLKO z tymi osobami*.

- Dlaczego nie jesteś na liście? - zapytała Healy'ego.

Healy spojrzał na mnie, a później na Sonę. Pochylił się ku niej.

- W porządku, czas na prawdę. Współpracuję z nimi, ale z zewnątrz. Nie tak blisko, jak bym chciał.

Na jej twarzy mignął strach.

- Nie bój się, wszystko jest w porządku - powiedział, podnosząc rękę. Przerwał i spojrzał na mnie. Kolejna przerwa, jakby nie był pewny, czy powinien się odsłonić. - Dziewięć miesięcy temu porwano moją córkę... tak jak ciebie.

Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Miejsce strachu zajęło zdumienie. Spojrzała na nas, ale nie powiedziała niczego.

- Wiem, że za jej zniknięciem stoi człowiek, który cię porwał. Wiedziałem o tym od

chwili, kiedy cię znaleźli. Wiedziałem, że ten kutas. - Przerwał. - Przepraszam.

Sona milcząco skinęła głową.

- Tydzień temu rodzina Megan Carver zwróciła się do Davida z prośbą o zbadanie sprawy zniknięcia córki. Kiedy to się stało... gdy dowiedziałem się o tym, co odkrył... zrozumiałem, że pora coś zrobić, że czas najwyższy dopaść drania. Nikomu nie zależało na odnalezieniu mojej córki. Sądziło się, że uciekła z domu, bo... - Przerwał, spoglądając na mnie kątem oka. - Bo nie układało się u nas najlepiej.

Odwróciłem się do Healy'ego, zdumiony jego szczerością. Może uznał, że już dość jej nakłamali. Może pomyślał o bredniach, którymi karmił ją Markham, które powtarzali Phillips i Hart, pragnąc, żeby w nie uwierzyła. A może pomyślał, że to najlepszy sposób, aby skłonić ją do mówienia. Sęk w tym, że Sona nie była zwykłą ofiarą, a Healy nie był zwykłym detektywem. Był osobiście zainteresowany jej odpowiedziami i potrzebował Sony bardziej niż ona jego. Wydawała się cicha, zamknięta w sobie, zastraszonego przez człowieka, który ją porwał. Skłonienie jej do tego, żeby się otworzyła, mogło zająć długie tygodnie, a my dysponowaliśmy zaledwie godzinami.

- Pomyślałem sobie - podjął - że moglibyśmy pomówić o tym, co cię spotkało, aby go znaleźć i powstrzymać.

Spotkał się z taką reakcją, jakiej się spodziewałem. Cisza. Odwróciła głowę w stronę laptopa, na którym nadal widniało zdjęcie przedstawiające mnie i Liz.

Colm pochylił się ku niej, przybierając łagodną minę.

- Sono?

- Nic nie pamiętam - powiedziała.

Spojrzał na mnie.

- Rozumiem. - Zmienił pozycję, szykując się do tego, aby zacząć wszystko od początku. - Porozmawiajmy o człowieku, który cię porwał. O Danielu Markhamie. O ile pamiętam, mówiłaś mu Mark.

Lekko się wzdrygnęła, ale nie odpowiedziała.

- Mogłabyś mi o nim opowiedzieć?

Cisza.

- Sono?

- Nie pamiętam - odrzekła.

Colm pochylił się jeszcze bardziej, ale widać było, że nic nie wskóra. Należało znaleźć szczelinę w jej skorupie i powoli ją otworzyć, żeby wszystko wyszło na zewnątrz. Wiedziałem, że zadawanie szeregu pytań lub formułowanie na nowo tego samego nie da

żadnego rezultatu.

- Zapamiętałaś cokolwiek z dnia, kiedy cię porwał? - spytał.

Spojrzała w przestrzeń.

- Jakiś szczegół? Choćby najdrobniejszy?

Pokręciła głową.

- Nawet taki, który uważasz za nieważny?

Kolejna dłuższa cisza. Healy przerwał. Poruszył się na kanapie. Czuję, że jest coraz bardziej sfrustrowany, ale tylko dlatego, że mieliśmy naprawdę mało czasu. W życiu przeprowadził tysiące przesłuchań. Umiał przyhamować albo przyspieszyć, ale zwykle nie musiał obserwować wskazówek zegara. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że im mocniej naciskał, tym mniej mógł uzyskać, jedynie pogłębiając własną frustrację. Przesunął się na krawędź kanapy.

- Sono, musimy powstrzymać tego człowieka.

Spojrzała na kolana. Przypatrywaliśmy się jej chwilę, ale gdy nie wykonała żadnego ruchu w naszą stronę, Healy popatrzył na mnie pytająco. Pokręciłem głową, dając mu znak, aby nic nie mówił. Tym razem popatrzył na mnie znacząco, jakbym wyszedł z roli, którą wyznaczył mi w swojej głowie. Był zbyt blisko tego, co się działo - za bardzo zależało mu na jej odpowiedziach - żeby zrozumieć, dlaczego chowała się w skorupie. W innych okolicznościach, prowadząc dochodzenie w innej sprawie, dostrzegłby to wyraźnie. Ale nie teraz.

- Nie musisz czuć się samotna - powiedziałem.

Podniosła głowę i na mnie spojrzała.

- Kiedyś będzie inaczej - ciągnąłem. - Czujesz się zdradzona, doskonale cię rozumiem. Zdradzona i porzucona nie tylko przez Daniela Markhama, ale także przez policję. Umieścili cię tutaj i zapomnieli o twoim istnieniu. Masz wrażenie, że wszystkim zależy wyłącznie na twoich odpowiedziach.

Popatrzyła na Healy'ego, a później na mnie. Pochyliła się do przodu, krzyżując ramiona, jakby próbowała objąć samą siebie.

- W nocy nie możesz spać, bo się boisz, że po ciebie przyjdzie, ponieważ tak powiedziała policja.

Przysunąłem się bliżej i przycupnąłem na krawędzi kanapy tak, że nasze kolana niemal się stykały.

- Pozwól, że coś ci powiem, Sono. On nie wie, gdzie jesteś. Nie wróci po ciebie. Nie jesteś też całkiem sama.

Odsunąłem się. Rzuciła okiem na Healy'ego, by w końcu utkwić wzrok we mnie. Nie odezwała się jednak ani słowem. Spojrzałem na Colma, dając mu znak, żeby się nie wtrącał.

- Skąd wiesz, że po mnie nie przyjdzie?

Jej głos wydawał się cichy i słaby. Healy znowu się ku niej nachylił.

- Przepraszam, że o tym zapomniałem - powiedział.

Ale Sona patrzyła na mnie.

- Skąd wiesz, że nie przyjdzie?

- Bo nie wie, gdzie jesteś - odpowiedziałem. - Nie wie i się nie dowie.

Zawahała się, jakby myśl o cofnięciu się do tamtych wydarzeń wydawała się zbyt bolesna. Splotła palce i przesunęła po nogach, przyciągając kolana do tułowia. Ochronny gest podświadomie wytwarzający barierę między nami. Na chwilę odwróciła wzrok, spoglądając w kierunku salonu. Później popatrzyła na nas ponownie.

- Zgoda - wyszeptała. - Możemy zacząć od Marka.

Stopniowo - kroczek po kroczeniu - Sona zaczęła opowiadać, jak poznała Markhama. Była recepcjonistką w szpitalu Świętego Jana, gdzie pracował Markham. Pewnego dnia podszedł i zaczął z nią rozmawiać. Powiedział, że nienawidzi imienia Daniel i że większość ludzi ze szpitala mówi mu Mark. Nie próbował ukryć swojej tożsamości - wszyscy w klubie młodzieżowym wiedzieli, jak się nazywa - więc wydawało się prawdopodobne, że gdy wspomniał Sonie o swoim imieniu, choć raz mówił prawdę.

Wcześniej pewnie nawet na nią nie spojrział, mimo że pracowali w tym samym miejscu. To Glass dowiedział się o jej istnieniu, być może śledząc Markhama do szpitala. I to on kazał Markhamowi nawiązać znajomość. Miała jasne włosy i niebieskie oczy. Jej wygląd przemówił do jego spaczony, chorej wyobraźni.

Sona powiedziała, że Markham początkowo wydawał się zdenerwowany i nieśmiały, jakby nie miał doświadczeń z kobietami. W rzeczywistości wcale nie był zażenowany - po prostu zżerała go myśl, że pcha kolejną kobietę w ręce psychopaty.

- Pamiętasz dzień, w którym cię zaatakował? - spytał Healy.

Zmarszczyła brwi i przesunęła palcami po włosach.

- Słabo - odparła cicho. - Zabrał mnie na piknik z okazji urodzin. Mógł mi podać jakiś narkotyk lub coś w tym rodzaju. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zaczęło mi lekko wirować w głowie. Trochę mnie bolała. Czułam dziwny ucisk między oczami.

- Pamiętasz, dokąd pojechaliście?

Wzruszyła ramionami.

- Założył mi opaskę na oczy, ale nie czułam się przerażona. Możecie pomyśleć, że to dziwne, ale wcale tak nie było, a przynajmniej tak się nie czułam. Powiedział, że chce mi zrobić niespodziankę z okazji urodzin. Całkowicie mu ufałam. Spotykaliśmy się od ponad pół roku.

Od ponad pół roku. Zatem Glass napuścił Markhama na Sonę zaledwie kilka dni po uprowadzeniu Megan.

- Co się stało, kiedy zdjął ci opaskę? - zapytał Healy.

Potrząsnęła głową.

- Nie pamiętam. Naprawdę. Zapamiętałam tylko fragmenty: rozłożył koc i piknikowy koszyk. Pamiętam... - Przerwała. Jej twarz przeszył dreszcz. - Kiedy mnie zaatakował... spojrzałam w górę, a wtedy powiedział...

- Co?

- "Więcej nie dam rady".

Skinęliśmy głowami, ale żaden z nas nie odrzekł ani słowa.

Sona zamilkła. Spojrzała w prawo, jakby próbowała wydobyć wspomnienia z mroku niepamięci. Znalaziono ją trzy tygodnie po uprowadzeniu i choć ekipa kryminalistyczna pobrała próbki moczu, trzeba było siedemdziesięciu dwóch godzin, żeby wykryć podejrzaną substancję. W tym czasie policja mogła jedynie spekulować na temat przyczyn amnezji. Utrata pamięci mogła być spowodowana przez flunitrazepam, lepiej znany pod handlową nazwą rohypnolu. Tłumaczyłoby to bóle głowy i przejściową utratę pamięci. Objawy mógł spowodować także inny specyfik. W końcu Glass był chirurgiem. Wiedział, jakiego środka użyć i jak ukryć swoje zamiary.

- Wróćmy na chwilę do pikniku - podjął wątek Healy. - Zapamiętałaś jakieś szczegóły otoczenia? Mogą być drobne, pozornie bez znaczenia.

- Mam pustkę w głowie... wszystko zapomniałam.

- Wspomniałaś o kocu - podsunął Healy. - Było tam dużo drzew?

Spojrzała na mnie.

- Nie jestem pewna.

- Sądźmy, że zawiózł cię do lasu Hark's Hill. Czy ta nazwa brzmi znajomo? Czy Markham kiedykolwiek o niej wspominał?

Milczała, mrużąc oczy i próbując sobie przypomnieć.

W końcu pokręciła głową.

- Przepraszam...

- W porządku - odparłem, podnosząc rękę. - W zeznaniach wspomniałaś o jakichś głosach.

- Tak. Nie zapamiętałam żadnych obrazów, jakby od przeszłości oddzielał mnie czarny mur. - Przerwała na chwilę, dotykając palcem twarzy. - Ale pamiętam, że coś słyszałam.

- Jak sądzisz, co to było?

Zamilkła.

Pochyliłem się ku niej.

- Sono?

Popatrzyła na mnie.

- Jakiś niezrozumiały dźwięk...

Spojrzałem na Healy'ego i pokręciłem głową. Wrócimy do tego. Najgorszą rzeczą,

jaką mogliśmy zrobić, było zmuszanie jej, żeby coś sobie przypomniała.

Gdybyśmy próbowali wycisnąć z niej odpowiedź, wspomnienie zapadłoby jeszcze głębiej albo próbowałaby coś wymyślić pod presją.

- Mogę spytać o niego? - zapytałem.

- Marka?

- Nie. O człowieka, który cię więził.

Skinęła głową i poruszyła się nerwowo. Poczułem ulotny zapach jej perfum. Wiatraczek w łazience w końcu przestał się obracać.

- Miałaś okazję mu się przyjrzeć?

- Nigdy w świetle dziennym, ale widziałam go parę razy, gdy spoglądał na mnie znad krawędzi dołu.

- Jak wyglądał?

- Ciemne włosy, ciemne oczy... nieprzyjemny typ. Miał wydatne czoło i odrażający uśmiech, który wyglądał tak, jakby nigdy... sama nie wiem, jakby nigdy nie mógł do końca się uformować.

Healy i ja spojrzeliśmy na siebie. Maska Milтона Sykesa.

- Czy do ciebie mówił?

- Tak, ale zawsze przez mikrofon. Kiedy mówił, słychać było statyczne trzaski. Sprzężenie. W miejscu, gdzie mnie trzymał, zamontowano szereg głośników. To przez nie słyszałam jego głos. To było... - Zamarła na chwilę. - To było przerażające. Czemu waszym zdaniem to robił?

- Aby zawsze móc się z tobą komunikować. Aby cię przestraszyć, powiedzieć, czego od ciebie chce, nawet gdy był w innym pomieszczeniu.

Skinęła głową.

- Jak uciekłaś? - zapytał Healy.

- Obudziłam się - odpowiedziała. - Obudziłam się, choć miałam się nie obudzić. Znieczulił mnie... - Kolejna pauza. Zaczął mnie kroić, pomyślała. -...ale się obudziłam. - Na ułamek sekundy spojrzała za siebie w kierunku łazienki. - Czasami, gdy patrzę na swoje odbicie w lustrze, żałuję, że tak się stało.

W teczce, którą dostałem od Healy'ego, napisano, że miała hipopigmentację - całkowitą utratę barwy skóry - wywołaną zbyt głębokim chemicznym złuszczeniem naskórka. W jej skórze znaleziono małe ilości fenolu i oleju krotonowego, substancji stosowanych w chirurgii plastycznej jako środki złuszczące. Usunięcie zewnętrznych warstw skóry miało ożywić jej twarz, jednocześnie wygładzając zmarszczki. Niestety, zdjęto zbyt grubą warstwę,

usuwając wraz z nią kolor i piegi. Glass od tygodni przygotowywał jej twarz do zabiegu, prosząc, żeby dwa razy dziennie nakładała płynną substancję nawilżającą. Mimo to rezultat okazał się potworny.

I właśnie to mnie martwiło.

Glass mógł być chirurgiem do wynajęcia, ale to, co widzieliśmy do tej pory, wydawało się czystą amatorszczyzną. Z drugiej strony facet był skrupulatny i staranny. Zacierał za sobą ślady. Wiedziałyby, jak daleko można się posunąć w peelingu twarzy, nawet jeśli rezultaty nie byłyby tak oszałamiające jak w klinice z zachodniego Londynu, gdzie zabieg kosztuje kilkadziesiąt tysięcy funtów. Czemu zatem doprowadził do tak znacznego złuszczenia naskórka? I dlaczego w ogóle chciał przeprowadzić operację? Czyżby krojenie kobiet dostarczało mu przyjemności? Bardzo w to wątpiłem. Człowiek taki jak on musiał mieć plan. Operował kobiety, bo służyło to jakiemuś wyższemu celowi.

Obserwowałem, jak Sona przesuwając palcami po twarzy, wzdłuż nosa, a później blizny biegnącej na linii włosów. Jej nos wyglądał okropnie, ale wiedziałem, że odzyska dawny kształt. Blizny wokół uszu były czerwone, lecz z czasem zbledną. W jej teczce obrażenia określono mianem „spowodowanych we wczesnym stadium operacji plastycznej nosa i chirurgicznego usunięcia zmarszczek”. Glass naciął nos od wewnątrz i kroił wzdłuż grzbietu. Tłumaczyło to obecność siniaka w tej okolicy. Jeśli chodzi o plastykę twarzy, wykonał cięcie wzdłuż linii włosów sięgające aż do małżowiny usznej i przechodzące na tył głowy. Celem było oddzielenie skóry od tkanki i jej naciągnięcie dla poprawy wyglądu. Nie dotarł do tego etapu, bo Sona się przebudziła. Przymuszczałnie zdawała sobie sprawę, ile miała szczęścia. Operacja plastyczna twarzy to bardzo skomplikowana procedura. Wystarczyło uszkodzić jakiś nerw, żeby pacjent wyglądał jak po udarze.

- Co się stało, kiedy uciekłaś?

Odwróciła się w moją stronę.

- Biegłam.

- Potrafisz opisać miejsce, w którym cię trzymał?

- W tym czasie moja twarz... - Przerwała i potrząsnęła głową. - Czułam się tak, jakby ogarnął ją ogień. Byłam przerażona. Nigdy w życiu tak mnie nie bolało. Jeden z lekarzy w szpitalu powiedział, że tak głęboki peeling powinien być przeprowadzany pod narkozą, ale ja się obudziłam. Kiedy odnalazłam drogę ucieczki, znieczulenie przestało działać. Moja twarz odzyskała czucie. Wszystko czułam. Z trudem stawiałam jedną stopę przed drugą.

Spojrzała między nas, a później podniosła rękę, jakby chciała przeprosić.

- Pamiętam jedynie, że przypominało kanał ściekowy... tylko że nic tamtędy nie

przepływało. To miejsce było suche. Czyste. Jakby zostało zaadaptowane. W środku zbudował kilka pomieszczeń z dużymi szklanymi szybami.

- Pomieszczeń?

- W jednym z nich była dziewczyna.

- Przyjrzałaś się jej? - spytał Healy, przysuwając się na kanapie.

- Nie.

- Żyła?

- Tak.

- Widziałaś kogoś jeszcze?

Potrząsnęła głową.

- Nie... nikogo.

Colm odchylił się do tyłu, myśląc gorączkowo. Podjąłem rozmowę, starając się nie stracić impetu.

- Zatem byłaś pod ziemią?

- Tak, uciekłam przez pokrywą studzienki... przez coś w rodzaju tunelu technicznego... do kuchni starego domu. Pamiętam zniszczone i popękane ściany. Wokół panował nieopisany bałagan. Było tam kiedyś jeszcze jedno piętro, ale nie miało podłogi. Po prostu jeden ogromny pokój. Dach też się zawalił. Ściany były umazane graffiti, na podłodze wałały się kawałki szkła.

- Zauważyłaś jakieś ślady wskazujące, że ktoś tam mieszkał?

- Nie. - Pokręciła głową. - To wykluczone. Opuszczono go dawno temu.

- Pamiętasz coś jeszcze?

- W górze były drzewa... widziałam je przez otwór w dachu. Oprócz tego niewiele pamiętam. Przepraszam... wybiegłam stamtąd ile sił w nogach i zaczęłam uciekać.

- Dokąd?

- W kierunku rzeki.

- Zatem dom stał na brzegu rzeki?

- Tak.

- Jak wyglądał z zewnątrz? - spytałem.

- Był betonowy. Wokół rosły drzewa. Winna latorośl oplatała zewnętrzne ściany i wdzieriała się do środka przez otwór w dachu.

- A otoczenie?

- Niewiele pamiętam. - Pokręciła głową. Zauważyłem, że górę zaczynają brać emocje. Przesunęła palcem po oku. - Po prostu uciekłam.

- W stronę rzeki?

- Tak, co sił w nogach.

- Czy coś na brzegu zwróciło twoją uwagę?

- Rzeka była wąska. Bardzo wąska. Właściwie to bardziej przypominała kanał. Miała szerokość około dwóch metrów. Z drugiej strony ciągnął się betonowy mur: wysoki... przed nim nie było ścieżki. - Otarła oczy, ale wspomnienia zaczęły ponownie napływać. - Po mojej stronie była ścieżka; wyboista, pełna dziur i błota. Później już niewiele pamiętam.

- Dlaczego?

- Gonił mnie.

- Biegł za tobą?

- Tak.

- Ale cię nie dopadł?

- Nie.

- Bo wpadłaś do rzeki?

Skinęła głową.

- Byłam bosa, a ścieżka... bardzo nierówna. Niebezpieczna. Mogłam skrócić kostkę albo wpaść do rzeki... no i w końcu wpadłam do wody. - Pochyliła się do przodu, rozdzielając palcami włosy na czubku głowy. Wzdłuż czaszki biegła krwawa czerwona linia, na której założono szwy. - Rozbiłam sobie głowę i musiałam na chwilę stracić przytomność, a potem się ocknęłam.

- Co się stało później?

- W rzece był silny nurt. Pamiętam, że on patrzył, jak unosi mnie woda. Początkowo za mną biegł, ale gdy się zorientował, że zbyt szybko odpływam, przystanął. Wszystko było zamazane, jakbym patrzyła przez szal z gazy. Widziałam zarysy drzew. Pamiętam, że po chwili ścieżka się urwała. Dostrzegłam kolejne betonowe zabudowania i więcej drzew. Koryto musiało lekko skrócić... - Sona przerwała i rozmasowała bliznę na czaszce -...bo po chwili drzewa zniknęły mi z oczu.

- Coś jeszcze? - zapytał Healy.

Zmrużyła oczy, próbując przywołać wspomnienia.

- W porządku, Sono - powiedziałem, starając się ukryć ton oczekiwania. - Jeśli to wszystko, co pamiętasz, to dobrze.

- Może trzymał mnie w jakimś magazynie - podjęła cichym głosem - ale pamiętam, że nurt był naprawdę szybki, a kiedy mnie uniósł, poczułam silny ból. Później straciłam przytomność.

- Znalaziono cię w rejonie Royal Docks, prawda?

Skinęła głową.

- Powiedzieli, że fartuch, w który mnie ubrał, nadął się na powietrzu i zadziałał jak prowizoryczna kamizelka ratunkowa. Prąd zniósł mnie do Tamizy.

Z bocznego dopływu, co ograniczało wybór do dwóch dopływów: Barking i Bow. Oba wpadają do Tamizy po stronie, gdzie ją znalaziono. Barking był łatwiejszy do zbadania, bo płynął przez miasto, przecinając Creekmouth i Beckton, a następnie podążał wzdłuż North Circular do Ilford. Po dotarciu do Barking płynął jednym korytem na północ. W przypadku Bow było inaczej: pływowe ujście rzeczne, liczące trzy kilometry długości, wpadało do rzeki Lea, zamieniając się w wielokilometrową drogę wodną. Opis Sony był tak niejasny, że niewiele by nam pomógł. Im bliżej Londynu, tym bardziej przemysł wyznaczał koryto rzeki. W końcu po obu stronach stały magazyny o dachach z blachy falistej i nowe nieruchomości wzniesione na pozostałościach starych. Mogło pomóc to, że budynek znajdował się w ruinie, ale system rzeczny miasta przypominał labirynt. Do jego obejścia trzeba by długich miesięcy, nawet po zawężeniu terenu poszukiwań do odległości, którą mogła przebyć niesiona falą odpływu Sona.

Odwróciłem się do Healy'ego.

- Czy policja odnalazła ten budynek?

Popatrzył przed siebie. Pokręcił głową.

- Nie, i wcale się na to nie zanosi. - Z jego twarzy wyczytałem: Bo nie powiedziała więcej od czasu, gdy ją znalaziono.

Kiedy odwróciłem się do Sony, wyglądała na zmęczoną. Zasłoniła bok twarzy i w tym momencie zadzwoniła jej komórka. Zerknęła na ekran.

- Jamie Hart.

- Powinnaś odebrać - zasugerowałem.

- Nie wydaje mi się, żeby był to najlepszy pomysł - wtrącił Healy.

Wbiłem w niego wzrok.

- Jak sądzisz, dlaczego do niej dzwonią? Bo się domyślili, że tu przyjedziemy. Pewnie są już w drodze. Za późno. - Zwróciłem się do niej. - Możesz odebrać, Sono.

Otworzyła klapkę.

- Słucham?

- Cześć Sono, mówi Jamie Hart.

Słyszeliśmy go wyraźnie. Sona popatrzyła na mnie pytająco. Uśmiechnąłem się i skinąłem głową, żeby kontynuowała.

- Cześć - odrzekła cicho.

- Chciałem powiedzieć, że do ciebie jedziemy.

Spojrzałem na Healy'ego, a później na Sonę.

Healy wstał z kanapy, podszedł do okna i wyjrzał na podwórko, lekko rozsuwając zasłony. Przytknął twarz do szyby, żeby spojrzeć na ścieżkę łączącą drogę z podwórkiem.

- Będziemy za dwie minuty - poinformował Hart.

- Dobrze.

- Niebawem się zobaczymy.

Rozmowa dobiegła końca.

- Musimy zmiatać - oznajmił Healy. Spojrzałem na Sonę, która miała taką minę, jakby zaczęła mieć wątpliwości, czy powinna była nam zaufać.

- Muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie.

- Raker - prychnął Healy. - Musimy wiać!

Podniosłem rękę.

- Wiem, tylko jedno.

Patrzyła na nas.

- Powiedziałaś, że słyszałaś jakieś niezrozumiałe odgłosy, zanim Markham cię uderzył i zemdliałaś. Co to było?

Healy rzucił okiem na zegarek.

Sona zmarszczyła czoło.

- Słyszałam jakieś dziwne dźwięki.

- Co przypominały?

Milczenie.

Chwilę później wyszeptła:

- Kiedy Mark powiedział: „Więcej nie dam rady”, wszystko pociemniało, ale... - umilkła na moment -...ale jestem gotowa przysiąc, że coś słyszałam. Coś przypominającego skomlenie.

Zbiegając po schodach, zauważyliśmy, jak Hart i Davidson mijają wejście do kompleksu nieoznakowanym fordem focusem. Jechali prosto na parking.

- Zobaczą mój wóz - jęknął Healy, ciężko dysząc.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - odpowiedziałem. - Namierzyli twój telefon.

Przemknęliśmy pod łukiem łączącym podwórko z ulicą, a następnie przykucnęliśmy, patrząc, jak Hart i Davidson wysiadają z focusa. Chociaż ze sobą nie rozmawiali, poruszali się w zgodny, zdecydowany sposób. Chwycili nasz trop szybciej, niż sądziłem.

Hart szedł przodem, a Davidson ostrożnie podążał jego śladem. Stanowili komiczną parę. Davidson chyba nigdy nie był szczupły. Kiedyś mógł być krępy, ale upływ czasu i tego go pozbawił. Bolesnie chudy Hart stanowił dokładne przeciwieństwo kolegi: żadnych mięśni, żadnych ścięgien, same kości.

Wróciliśmy na podwórko. Po prawej stronie, naprzeciw bezpiecznej kryjówki, rozciągał się długi pas cienia. Ukryliśmy się w mroku, przykucnięci w oczekiwaniu. Pojawili się pół minuty później i pognali w lewo, znikając nam z oczu.

Wtedy Healy skoczył przed siebie.

Próbowałem go złapać, pociągnąć do tyłu, ale już wystartował, wykorzystując zasłone ciemności. Głupi, desperacki krok. Healy nie chciał dać się złapać. Nie teraz i nie im, ale gdyby poczekał kilka minut, moglibyśmy się wymknąć bez trudu. Spojrzałem w kierunku Harta i Davidsona. Healy poruszał się ostrożnie, ale nie dość cicho. Pod jego stopami zachrzęścił żwir. Zaklekotała luźna płyta chodnikowa. Dwaj detektywi ukazali się ponownie i go zobaczyli.

- Healy! - krzyknął Davidson.

Skoczyli za nim ile sił w nogach. Hart natychmiast objął prowadzenie. Popatrzyłem na Healy'ego. Był silny, ale nie szybki. W przejściu potknął się i runął na jedną ze ścian. Kiedy rzucił okiem za siebie, spostrzegł, że tamci są coraz bliżej. Zrozumiał, że go dopadną, zanim dobiegnie do samochodu. Rozejrzał się wokół, przerażony, wściekły i pełen winy. Wytrzeszczył oczy, ciężko dysząc.

Wiedział, że jego plan wali się w gruzy.

Musiałem coś zrobić.

Wyszedłem z ciemności, zastępując drogę Hartowi. Zwolnił i zatrzymał się półtora metra od miejsca, w którym stałem. Davidson był trzy, cztery sekundy za nim.

- W porządku! - zawołałem, unosząc rękę.

Hart rzucił okiem na Healy'ego. Obejrzałem się przez ramię i zauważyłem, że zwalnia, a po chwili się zatrzymuje. Kiedy odwróciłem się ponownie do Harta, ten świdrował mnie wzrokiem.

- Mylisz się, Davidzie.

- Raker? - usłyszałem głos Healy'ego.

- Weź samochód i zrób, co musisz, Healy! - krzyknąłem, nie odrywając oczu od Harta. Davidson dobiegł do niego, z trudem oddychając. Niemal zgiął się wpół, oparł dłonie na biodrach i patrzył to na Healy'ego, to na mnie. - Rób, co musisz!

Hart znowu popatrzył na Healy'ego, nie kryjąc zdumienia.

Obejrzałem się przez ramię.

Healy szedł ku nam ze wzrokiem wbitym w Harta i Davidsona i z rękami w kieszeniach.

- Healy! Nie słyszałeś? Zabieraj wóz i...

Wtedy zrobił coś głupiego.

Wyciągnął pistolet.

Zaskoczył wszystkich. Wcześniej nie zauważyłem u niego broni, nie pomyślałem nawet, żeby jej szukać. Mimo to w ciągu ułamka sekundy przewinałem taśmę do chwili, kiedy przyjechał po mnie tego ranka. Nagle wszystko nabrało sensu. Powinienem był się domyślić. Powinienem zauważyć. Healy był człowiekiem zdany na pastwę demonów, samotną postacią opętaną pragnieniem zemsty, które zżerało go od środka. Teraz stał przed dwoma mężczyznami, których uważał za winowajców, mierząc do nich z pistoletu i przesuwając palcem po spuście. Broń wyraża osobowość swojego właściciela: pokazuje przeciwnikowi, że panuje nad sytuacją albo że nie ma nad nią żadnej kontroli.

- Cofnij się, Hart! - wycodził Healy.

Hart zrobił krok w tył, wyciągając przed siebie rękę. Śledził nas obu wzrokiem.

- Do licha, co ty wyprawiasz, Healy? - mruknął stojący obok niego Davidson.

- Healy - poprosiłem łagodnie.

- Stul pysk!

- Healy, to kiepski pomysł...

- Stul pieprzony pysk! - wrzasnął na mnie.

Hart skinął głową w kierunku pistoletu.

- Uspokój się, Colm.

- Jestem spokojny - odpowiedział.

- W ten sposób nie odnajdziesz Leanne.

- A niby jak mam ją odnaleźć?! - warknął Healy. - Na twój sposób? - Zamilkł, by po chwili pogardliwie prychnąć. - Phillips palnął mi już kazanie.

Hart uniósł ręce odrobinę wyżej.

- Nie wiem, co czuje człowiek, który stracił córkę, jak ty, Colm. Przyznaję. Ale zapewniam cię, że w ten sposób nie załatwisz sprawy. Jeśli dysponujesz dowodami w sprawie faceta, który ją porwał, powinienesz je przedstawić zgodnie z obowiązującymi procedurami. To... - Przerwał i spojrzał na pistolet. - To nie jest właściwy sposób.

Hart zerknął na mnie, dając do zrozumienia: Zrób coś, Davidzie. Chciał, żebym powstrzymał Healy'ego, wyrwał mu pistolet i powalił na ziemię. Healy znalazł się na niebezpiecznej równi pochyłej. Był nieprzewidywalny i groźny. Gdyby na jego drodze nie pojawili się Hart i Davidson, zrobiłby to ktoś inny. Wcześniej czy później ktoś znalazłby się na linii ognia.

Z drugiej strony wiedziałem, że w obecnej chwili nie mogę wystąpić przeciwko niemu.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że w głębi duszy czuję do niego sympatię, nawet gdy mierzył do nas z pistoletu. Był przekonany, że koledzy, z którymi pracował, go opuścili. Ludzie, z którymi przeżył znaczną część życia. Nie mogłem odmówić mu racji. Nienawidził Harta i Davidsona, Phillipsa i całej reszty, bo mimo spraw, które wspólnie prowadzili, mimo wszystkich ofiar i miejsc zbrodni, które wspólnie oglądali, potraktowali Leanne jak każdą inną ofiarę. Czasem miał poczucie, że nie zrobili nawet tego. Nie wiążąc jej zaginięcia z dochodzeniem prowadzonym w sprawie zniknięcia innych kobiet, uczynili ją anonimową ofiarą pozbawioną związku z czymkolwiek. Rozumiałem uczucie, które wywołała taka niesprawiedliwość, i potrzebę odkrycia, co się stało z osobą, którą kochał najbardziej na świecie.

- Colm - podjął Hart. - Odłóż pistolet i...

- I co?! - przerwał mu Healy, zbliżając się do nich krok po kroku. Spojrzałem na Harta, który skwitował moją decyzję kolejnym nieznacznym ruchem oczu. - Odnajdziesz Leanne dla mnie? - ciągnął Healy. - Przyznasz, że popełniłeś błąd, i włączysz ją do śledztwa, podobnie jak pozostałe? Zapomnij o tym! Nie potrzebuję cię! Ciebie, Phillipsa i waszych robotów z posterunku. W ciągu jednego dnia dowiedziałem się więcej niż przez dziewięć miesięcy pracy z tobą!

- Colm... - Hart podjął ostatnią próbę przekonania Healy'ego.

- Nie mów do mnie „Colm”! W ogóle się do mnie nie odzywaj!

- Rozpoczniemy na ciebie obławę.

- Możecie sobie robić, co chcecie! To dla mnie bez znaczenia! Powiem ci coś wyraźnie: Zabiję sukinsyna, który uprowadził moją córkę! Nie będzie aresztowania! Nie będzie przesłuchań! Wpakuję mu kulkę w łeb, zostawię jego ścierwo na pastwę pieprzonych much! Jeśli będziesz chciał mi przeszkodzić, rozejrzyj się za trumną, bo klnę się na Boga, że zabiję i ciebie!

Twarze Harta i Davidsona pobladyły. Wszyscy wiedzieliśmy, co to oznacza. Healy przekroczył linię, za którą nie było odwrotu. Jego kariera - owoc pracy całego życia - była skończona. On sam był skończony. Przestrzeń między nami wypełniły niewypowiedziane słowa, milczące potwierdzenie, że to już koniec. Chwyciłem Healy'ego za ramię i popędziliśmy do samochodu.

Ruszyliśmy na wschód pustymi ulicami miasta. Deszcz dudnił o szyby, a uliczne latarnie i wystawy sklepowe tworzyły smugi światła na tle nocy, gdy Healy pruł Commercial Road.

Powrót do naszych domów nie wchodził w grę, bo Phillips i Hart z pewnością wysłali tam swoich ludzi, tkwiących teraz w samochodach. Dopóki to się nie skończy - nieważne, kiedy i jak - musieliśmy stale wyprzedzać ich o krok i nie dać się złapać. I musieliśmy odnaleźć Glassa. Wiedzieliśmy, że jeśli tego nie zrobimy, następnym razem zobaczymy słońce podczas spaceru na więziennym dziedzińcu.

- Czy ludzie z grupy dochodzeniowej wiedzą to, co Sona powiedziała nam dziś wieczorem?

Healy wzruszył ramionami.

- Nie sądzę. Nigdy wcześniej tyle nie wyjawiała.

- Nie wyjawiała, gdzie ją trzymano?

- Dziś wspomniała, że to miejsce przypominało kanał ściekowy. Pamiętam, że przeczytałem o tym w zeznaniach, ale nie było tam nic więcej. Na pewno wiedzą, gdzie ją znaleźli, więc Phillips i Hart wysłali ludzi, żeby na piechotę przeszukali rejon obu rzek.

- Znaleźli coś?

- Masz pojęcie, jak długie jest koryto rzeki na północ od dopływu Bow?

Pokręciłem głową.

- Ponad czterdzieści kilometrów. Podąża w górę, obok M-dwadzieścia pięć. Na piechotę to szmat drogi.

- Zrobili coś więcej oprócz pieszego przeszukania?

- Poprosili Thames Water o plany kanałów i sprawdzili sieć kanałów w okolicy obu dopływów. Nie znaleźli niczego, co pasowałoby do opisu podanego przez Sonę. W rejonie dróg wodnych, o których mowa, nie ma starych kanałów ściekowych. - Spojrzał na mnie. - Nie trzymał jej w kanale ściekowym, jeśli o tym sobie pomyślałeś. Może zaadaptował jakąś istniejącą budowlę, ale nie wchodziła w skład systemu kanalizacyjnego.

Skinąłem głową i wyrzałem przez okno. Po szybie spływały strużki wody. Chociaż Healy włączył ogrzewanie, czułem idący z zewnątrz chłód.

- To dobrze - stwierdziłem w końcu.

- Co dobrze?

- Że nikt nie wykombinował, dokąd ją zabrał.

- Dlaczego, u licha?

- Kazał ją zawieźć do lasu Hark's Hill, więc wydaje się całkiem naturalne, że tam ją przetrzymywał. Tylko pomyśl, co łączy się z tym miejscem: Glass miał obsesję na punkcie Sykesa, Sona wspomniała o budynku, w którym się znalazła, gdy wyszła studzienką na powierzchnię, o drzewach, które rosły wokół. Na koniec stwierdziła, że usłyszała skomlenie na chwilę przedtem, zanim Markham ją uderzył.

- Co z tego?

- Usłyszała psa. Jego psa.

- Skąd wiesz?

- Kilka dni temu odwiedziłem Torowisko Umarłych. W pewnej chwili spomiędzy drzew wyszedł kundel. Był kompletnie wycieńczony. Wyglądał, jakby przypalono mu futro, jakby go maltretowano. - Przerwałem. Zabrzmiało to idiotycznie, chociaż widziałem psa na własne oczy. - Miał wygolony fragment pyska, w który wszczepiono kawałek skóry.

Healy spojrzał na mnie w osłupieniu.

- Myślę, że Glass przeprowadzał na nim badania.

- Jakie badania?

- Wykorzystywał psa w charakterze laboratoryjnego szczura. Sprawdzał, czy wszczepiona skóra się przyjmie.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia, ale przypomnij sobie, co zrobił Sonie. - Zamilkłem, widząc niedowierzanie w oczach Healy'ego. - Chcesz poznać moje domysły? Glass planował coś wielkiego i nie chciał ryzykować, że uszkodzi kobiety.

Zamilkliśmy. Obaj wiedzieliśmy dlaczego. Jego córka była jedną z nich. Krople deszczu wypełniały ciszę, bębniąc coraz mocniej o dach samochodu i rozpryskując się na karoserii.

- Co teraz? Będziemy szukać z maltretowanego psa? Pokręciłem głową.

- Będziemy szukać domu, który opisała Sona. Pies będzie tam, gdzie dom, bo to zwierzak Glassa.

Healy ciężko westchnął.

- To obszar o powierzchni półtora kilometra kwadratowego. Nie ma tam nic oprócz drzew. Wiesz, ile budynków z nim graniczy?

- Pamiętaj, co powiedziała. Nie szukamy domu, który jest zamieszkały, ale takiego, który ledwie stoi. Bardzo konkretnego domu.

- Czyjego?

Sięgnąłem ręką do kieszeni i namacałem notes.

- Milтона Sykesa.

Healy uśmiechnął się pod nosem.

- Spóźniłeś się jakieś siedemdziesiąt lat, Raker. W czasie wojny wyburzyli całą ulicę i na jej miejscu zbudowali fabrykę.

- Nie będziemy szukali jego domu przy Forham Avenue - wyjaśniłem, kładąc palec na adresie Ovlan Road 42. - Ale domu, w którym się urodził.

Jechaliśmy na wschód Derry Road, ulicą, przy której wcześniej zaparkowałem. Na końcu skręciliśmy w lewo, w kanion biegnący między porzuconymi fabrykami i starymi domami z cegły. Okolica wyglądała tak, jakby niedawno nawiedziło ją trzęsienie ziemi. Z obu stron mijaliśmy zwalone dachy i ściany, a przy ścianach domów wśród wybujałych chwastów lśniły odłamki szkła.

- To miejsce przyprawia o gęsią skórę - powiedział Healy.

Przyglądałem się budynkom, oknom i drzwiom spowitym przez gęsty mrok. Choć wiele lat mieszkałem i pracowałem w Londynie, nigdy nie widziałem tak wymarłego i opuszczonego miejsca. Healy miał rację: dziwna okolica przyprawiała o dreszcze.

Na końcu drogi skręciliśmy ponownie w lewo, tam gdzie kiedyś była Forham Avenue, ulica prowadząca do Ovlan Road. Teraz cały odcinek nosił nazwę Peterson Drive. Nic nie przypominało domów, które kiedyś znajdowały się w tej okolicy. Po prawej przy drodze stały duże metalowe magazyny, a po lewej ciągnął się skraj lasu. Drzewa były ogrodzone dwuipółmetrową drucianą siatką, miejscami dziurawą. Co trzydzieści metrów umieszczono tabliczki z napisem: UWAGA, NIEBEZPIECZEŃSTWO! NIE ZBLIŻAĆ SIĘ! Droga dochodziła do strefy przemysłowej, którą widziałem na zdjęciach satelitarnych.

Healy zawrócił przed bramą, a następnie ustawił wóz wzdłuż Peterson Drive. Deszcz nieco osłabł, ale w świetle ulicznych latarni widać było nabrzmiałe, niskie obłoki. Obaj spojrzeliśmy na zegarek. Pierwsza trzydzieści.

- Gdzie ten dom? - spytał. Pochylił się do przodu, z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy, próbując przeniknąć wzrokiem ścianę drzew. - W lesie?

Wypowiedział te słowa na pół drwiąco, ale później spostrzegł moją minę.

- Naprawdę myślisz, że jest w lesie?

- Przy południowym wejściu nie ma ogrodzenia ani znaków ostrzegawczych - powiedziałem, wskazując znaki w kształcie rombu z napisem UWAGA. - Dlaczego umieszczono je tutaj?

- Bo z tej strony jest niebezpiecznie?

- Może dlatego dom miał adres pocztowy Ovlan Road. Może nie stał przy tej ulicy, ale znajdował się w obrębie lasu.

Healy potrząsnął głową.

- Jak to wykombinowałeś?

- To moje przypuszczenia, Healy. Rozumiesz? Jeśli przyjdzie ci do głowy lepszy pomysł, chętnie go wysłucham.

Zapadła cisza. Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który bardziej mnie wkurzał, a jednocześnie budził większe współczucie.

- Dom, o którym opowiadała Sona, znajdował się w ruinie - powiedział cicho. Spojrzałem na niego i zrozumiałem, że to jego przeprosiny. - To samo zeznała wcześniej. Cały był zniszczony.

Skinąłem głową.

- Nie miał podłogi. Przez otwór w dachu widać było drzewa. Co ci to przypomina?

Healy spojrzał w kierunku ogrodzenia.

- Tę okolicę.

- Od śmierci Sykesa minęło sto lat. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęły podupadać tutejsze fabryki. To oznacza, że granica lasu poszerzała się co najmniej siedemdziesiąt lat, bez żadnej kontroli, nietknięta przez człowieka. To dość czasu, aby zniknęły pewne rzeczy. Nawet duże.

- Przecież wyburzyli wszystkie domy, kiedy Sykes zadyndał na stryczku.

- Wyburzyli wszystkie domy przy drodze.

- Co sugerujesz? Że ogrodzili jeden i zapomnieli o jego istnieniu?

- To tylko przypuszczenia. W tamtych czasach królowały przesady. Tak jak obecnie moda na zdrowie i bezpieczeństwo. Rada miejska chciała zabezpieczyć miejsce, żeby ludzie tam nie chodzili. Zabezpieczyć dom tak stary i rozchwiany, że mógł runąć pod wpływem najsłabszego powiewu wiatru. Gdyby zaczęli się tam szwendać, spać i palić ogniska, w końcu doszłoby do tragedii. Dlatego ostrzegli ludzi, żeby się nie zbliżali.

- I otoczyli teren murem.

Miał na myśli betonowy mur po drugiej stronie rzeki, który opisała Sona. Przytaknąłem.

- Idę o zakład, że postawiono go, gdy ostatnim razem wymieniono ogrodzenie z siatki. Żeby powstrzymać nieproszonych gości i zapewnić większe bezpieczeństwo.

- Co było po drugiej stronie muru?

- Rzeka, której nurt zniósł Sonę do Tamizy.

- A na drugim brzegu...

- Domyślałam się, że właśnie tam będzie dom, którego szukamy...

Na chwilę zapadła absolutna cisza. Umilkł daleki szum samochodów. Krople deszczu przestały bębnić o dach. Jakby las i to, co się w nim znajdowało, pochłaniał wszystkie

dźwięki nocy.

Wtedy zadzwonił mój telefon.

Ewan Tasker.

- Cześć, Task. Z Jill wszystko w porządku?

- Nie wiem.

- Jak to, nie wiesz?

- Nie ma jej tutaj. Dom przypomina kostnicę. Żadnych świateł, nikt nie otworzył drzwi. Dzwoniłem tyle razy, że chyba zepsułem dzwonek.

- Próbowalesz zadzwonić na jej komórkę?

- Jest wyłączona, a stacjonarnego nikt nie odbiera.

Spojrzałem na Healy'ego, który rzucił na mnie okiem.

- Znalazłeś jakieś ślady włamania?

- Sprawdziłem z tyłu i od frontu.

- I nic?

- Zero.

Cholera. Ponownie spojrzałem na Healy'ego. Tym razem nawet nie próbował ukryć zainteresowania. Odwrócił się w fotelu, zwracając twarz w moją stronę.

- Kim jest ten drugi? - zapytał Tasker.

- Jaki drugi?

- Drugi facet. Wiem, że jestem stary, ale nie potrzebuję, żeby ktoś mnie trzymał za rękę, Raker. Zapewniam cię, że mógłbym się opiekować większością z nich.

- O kim ty mówisz?

Tasker zamilkł, wyraźnie zakłopotany.

- Sądziłem, że go przysłałeś.

- Kogo?

- Kiedy przyjechałem, zastałem jakiegoś faceta był z tyłu w ogrodzie. Pokazał mi odznakę. Powiedział, że się wszystkim zajmie.

- Głina?

- Tak. Nie przysłałeś go?

- Nie. Co to za jeden?

- Nie mam pojęcia. Nie przedstawił się. - Głos Taskera odpłynął. Usłyszałem daleki klakson samochodu. - Chodzi o to...

- O co?

- Mógłbym przysiąc, że przed chwilą wyszedł z domu. Jakby był w środku, o coś się

zatroszczył i zamknął za sobą. Nie wzbudzał zaufania. Wydawał się spięty. Zlekceważyłem to przeczucie, bo sądziłem, że facet jest od ciebie.

Poczułem skurcz przerażenia w piersi.

- Jak wyglądał?

- Średniego wzrostu, czarne włosy.

- Coś jeszcze?

- Miał dziwny odruch.

- Odruch?

- Bez przerwy bawił się obrączką na palcu.

Nagle pewna myśl uderzyła mnie niczym młot. Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz zawieźli mnie na posterunek. Davidson i ja czekaliśmy na parkingu, a Phillips poszedł do swojego wozu po komórkę.

- Gość był Szkotem?

- Tak.

- Widziałeś jego samochód?

- Tak - odparł Tasker. - Czerwony ford mondeo. Identyczny miał Phillips.

Z takiego samego ktoś obserwował dom Jill.

Spaliśmy na zmianę po półtorej godziny, czekając nadejścia świtu, żeby łatwiej było poruszać się w lesie. O piątej trzydzieści, kiedy chmury się przerzedziły i pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo, wyszliśmy z samochodu i podeszliśmy do ogrodzenia. Dwadzieścia metrów dalej drucziana siatka zaczęła rdzewieć, a drut pokrywała brunatna odpadająca skorupa. Healy miał w bagażniku skrzynkę z narzędziami, z której wyjął nożyce do metalu. Uklęknął na ziemi i zaczął wycinać otwór, zwijając siatkę w górę. Po pięciu minutach powstała dziura wystarczająco duża, abyśmy mogli wsunąć ręce do środka i odgiąć drut.

Minutę później byliśmy w środku.

Północna strona lasu wydawała się równie gęsta jak południowa, ale w tej części nie było ścieżki. Między pniami drzew spostrzegliśmy słabe szare światło dochodzące z polany leżącej dwadzieścia pięć metrów dalej. Ruszyłem pierwszy po nierównym gruncie, przedzierając się przez gęste zarośla i czując na twarzy gałęzie mokre od rosy. Na polanie sklepienie drzew się przerzedziło, a niebo zaczęło nabierać barw.

Healy odsunął sprzed twarzy długą gałąź i stanął obok. Przed nami rozciągał się mroczny rząd pni, między którymi trudno się było przecisnąć.

- Teraz rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc o tym miejscu - powiedział cicho. Nie byłem pewny, czy chodziło mu o gęstwinę, czy atmosferę przenikającą las. Podobnie jak za pierwszym razem, odniosłem wrażenie, że w miarę posuwania się w głąb, temperatura spadała. Z oddali dolatywał nieprzerwany szelest poruszanych wiatrem liści.

Przypominał ludzką mowę.

Podążaliśmy ostrożnie na południe. Warstwa liści stawała się coraz grubsza, a światło słabło, bo promienie słońca nie przenikały przez sklepienie drzew, gąszcz pni i konarów. W końcu gęstwina stała się tak wielka, że musieliśmy się zatrzymać i cofnąć. Obeszliśmy zarośnięte miejsce nieco niżej, gdzie małe promyki porannego światła zdołały się przedrzeć przez liście nad naszymi głowami.

Nagle wyrósł przed nami mur.

Ściana pojawiła się znikąd. Sądziłem, że będzie pokryta poszarzałą farbą położoną dziesięć, najwyżej dwadzieścia lat temu, ale okazała się niemal czarna, naznaczona wiekiem, pokryta mchem i błotem. Wyglądała na co najmniej czterdzieści lat. Od powierzchni spadały kawałki tynku. Zauważyłem niewielkie graffiti, jakby nawet dzieci bały się zapuszczać tak daleko. Oparłem na niej dłoń. Do palców przywarł pył i lepki osad

przypominający żywicę. Podniosłem głowę. Nad nami rozpościerały się olbrzymie jodły, a pod stopami chrzęściły sosnowe szyszki.

Trzask.

Obaj z Healym odwróciliśmy się w stronę, z której doleciał hałas. Healy spojrzął na mnie i ponownie utkwił wzrok w ciemności.

- Co to było, u licha? - spytał cicho.

Nie odpowiedziałem, bacznie nasłuchując. Ogarnęła nas denerwująca cisza. Nagle wszystkie głosy ucichły, a jedynym dźwiękiem był oddech Healy'ego stojącego obok mnie. W tym lesie naprawdę było coś niepokojącego. Bywałem już w miejscach, gdzie śmierć odcisnęła piętno na ścianach, ulicach i ludziach, ale jeszcze nigdy w takim miejscu jak to. Chociaż nie wierzyłem w duchy, jakaś część tego, co tu zaszło, co pogrzebano pod ziemią, pozostała w lesie.

Odwróciłem się, chwyciłem się wierzchołka muru i podciągnąłem w górę.

Usiadłem na murze i rozejrzałem się wokół.

Poniżej biegła rzeka, dokładnie taka, jaką opisała Sona. Miała ze dwa metry szerokości, ale nurt był zdumiewająco silny. Woda bulgotała i szumiała, znikając po prawej. Po drugiej stronie koryta wila się zarośnięta ścieżka, z której Sona musiała spaść do wody. Wyglądało, jakby kiedyś stał tam mur, być może na granicy posiadłości. Spomiędzy żwiru i błota wystawały odłamki czerwonych cegieł. Za ścieżką z ziemi wyrastały ogromne drzewa niczym grube ramiona sięgające chmur. Za drzewami, otoczone przez przyrodę, majaczyły ruiny dawnej Ovlan Road. Za drogą ujrzałem dom, który opisała Sona.

Cztery ściany pozbawione dachu. Mroczne, puste wnętrza.

Przebiegłem na drugą stronę i czekałem na Healy'ego. Był większy i wolniejszy, ale poruszał się całkiem zręcznie.

- Będziemy musieli przeskoczyć rzeczkę - powiedziałem, odwracając się do niego. Nie wydawał się uradowany tą perspektywą.

Wybrałem kępę trawy po lewej i dałem susa. Lądowanie było twarde, ale niezbyt bolesne. Wyprostowałem się i spojrzałem na Healy'ego, który mierzył odległość wzrokiem. Gdyby chybił, mógłby wylądować na ceglach lub kamieniach i skrócić kostkę. Zerknął na mnie, a następnie utkwił wzrok w miejscu, w którym chciał upaść. Popatrzył i skoczył. Usłyszałem ciężki odgłos uderzenia ciała o ziemię. W górę poleciał żwir i błoto.

- Nic ci nie jest? - zapytałem.

Skinął głową, poruszając się ostrożnie.

- Przeżyję.

Kiedy podeszliśmy bliżej, dom wydał się jeszcze większy i bardziej złowieszczy. Otwór drzwi frontowych przypominał rozwarte usta, a samotne okna - oczy. Czarny mech porastał cegły i otwory w ścianie, jakby opuszczone domostwo wyrzucało z siebie wspomnienia. Nad ścianami pochylały się drzewa, sięgając do środka konarami, jakby jakaś siła przyciągała je do wnętrza. Nagle ponownie ustały wszystkie dźwięki. Słyszać było jedynie szum rzeki i szelest liści.

Nic więcej.

W kieszeni miałem latarkę Healy'ego. Zapaliłem ją i skierowałem snop światła do wnętrza. Na górze były dwa okna rozbite dawno temu. Ogromne konary oplatały tylną część budynku. Chociaż zachowała się część desek drewnianej podłogi, były wyszczerbione i porysowane, popękane od ciężaru spadających gałęzi i cegieł. Wszędzie walał się gruz: kamienie i odłamki betonu, kawałki drewna i kafelków.

W głębi domu było jeszcze chłodniej. Pojawił się też nowy odgłos - daleki, ale wyraźnie słyszalny. Odwróciłem się do Healy'ego.

- Słyszałeś?

Podszedł bliżej i zaczął nasłuchiwać.

Wiatr powiał przez otwory, na chwilę zagłuszając dźwięk. Później, kiedy wszystko ucichło, znów to usłyszeliśmy.

- Coś trzeszczy - szepnął Healy.

Przykucnąłem i skierowałem promień światła na środek pokoju. Wszędzie wznosiły się sterty gruzu. Po lewej stronie dostrzegłem fragment ściany, która oddzielała kuchnię od salonu. Tu też był gruz i cegły, i trawa wystająca przez pęknięcia w podłodze. Po prawej resztki salonu: wbudowany w ścianę kominek, kilka oryginalnych desek i goła posadzka, która rozciągała się pod nimi. Wstałem i podszedłem do miejsca, w którym nie było desek. Oświetliłem posadzkę latarką. W kącie czmychnął szczur. Jeszcze więcej pyłu, gruzu i cegieł.

I włąz ukryty w ciemności.

Podbiegliśmy do wyrwy w deskach. Choć wszystko wokół miało kilkadziesiąt lat, właz wyglądał na całkiem nowy. Był pomalowany czarną farbą. Pośrodku była dźwignia w kształcie litery T, ukryta we wgłębieniu. Chwyciłem ją w dłonie i odwróciłem. Pisnęła i po chwili zaczęła się obracać. Dolatujące z drugiej strony trzaski nie ustawały. Żaden z nas się nie odzywał.

W końcu przesunąłem dźwignię do końca i usłyszeliśmy delikatne szczęknięcie.

Spojrzałem na Healy'ego, skinąłem głową i uniosłem właz. Pokrywa była ciężka, ale stosunkowo łatwa do przesunięcia. Odsunąłem ją na bok i położyłem cicho na posadzce wśród gruzu. Później pochyliłem się nad otworem i zajrzałem do środka.

Nieco niżej znajdował się głośnik i to właśnie z niego dolatywały statyczne trzaski. Obok w ścianie tkwiło małe plastikowe pudełko wielkości dziesięciofuntowego banknotu. W środku były dwa światełka LED, czerwone i zielone. System alarmowy. Zielone migotało coraz szybciej. Musiało się zmienić na zielone w chwili, gdy odsunąłem klapę. Szybsze migotanie oznaczało, że w innym miejscu rozległ się alarm.

Czekał na nas.

W mrocznym kręgu ginęły szczeble drabiny. Oświetliłem ciemną przestrzeń. W dole dostrzegłem polerowaną podłogę, ale niewiele więcej. Być może szafkę i drzwi po prawej, ale światło zaczęło słabnąć. Baterie były stare, a promień przygasł, bo nieprzerwanie używaliśmy latarki w domu Markhama. Za piętnaście minut tak osłabnie, że nie będzie prawie nic widać, a za dwadzieścia zgaśnie na dobre.

Spojrzałem na Healy'ego. Skinął głową, że wszystko w porządku, ale nagle wydał mi się stary i przygarbiony. Atmosfera tego miejsca, przecucie tego, co nas czeka, utarczki i zdrady, którymi naznaczona była jego podróż, nagle dały o sobie znać.

- Healy? - spytałem cicho.

Milczał chwilę, jakby próbował wziąć się w garść i zapanować nad strachem. W końcu się udało.

- Nic mi nie jest - odparł po chwili, opuszczając się do studzienki i schodząc w dół, jakby chciał tego dowieść. Położyłem palec na ustach, dając mu do zrozumienia, żeby poruszał się powoli. Kiedy zaczął stawiać stopy na drabinie, słyszałem delikatny chrzęst podeszew na szczeblach. Gdy był w połowie drogi, zacząłem się zastanawiać, czy właśnie o to chodziło: każda powierzchnia, każdy ruch wywoływały dźwięk.

Po dziesięciu sekundach widziałem jedynie głowę Healy'ego. Pochyliłem się w dół i podałem mu latarkę. Z ciemnego kręgu wyłoniła się dłoń i odebrała ją z mojej ręki. Wszedłem do otworu, szykując się do zejścia. W dole słyszałem, jak pokonuje ostatnie szczeble. Chrup, chrup, chrup. A później cisza. Musiał dotrzeć do końca. Przystanąłem i spojrzałem w mrok. Snop światła przesunął się z lewej na prawo, odsłaniając ściany, kolejne drzwi i szafkę, której fragment zauważyłem wcześniej.

Ruszyłem w ślad za Healym. Naliczyłem trzydzieści osiem szczebli. Wszystkie były wilgotne. Może od rosy, która zebrała się na podeszwach butów Colma. A może od smaru. Substancja wydawała się gęstsza od wody, ale nie pozostawiała śladów na skórze. Kiedy dotknąłem posadzki stopami, wytarłem dłonie o spodnie i rozejrzałem się wokół, szukając Healy'ego. Stał po prawej z latarką na wysokości ramienia. Promień oświetlał dużą szklaną szybę w narożnych drzwiach. Próbował je otworzyć, ale okazały się zamknięte. Chociaż w środku było ciemno, promień latarki wydobył przedmioty przypominające stalowe szafki na narzędzia chirurgiczne. Światło odbijało się od powierzchni, gdy omiatał pokój latarką, przesuając snop z jednej strony na drugą. Pośrodku podłogi zauważyłem otwór - tak ciemny i tak głęboki, że nie mogliśmy dojrzeć dna. Dół.

Healy uniósł brwi. Tutaj Glass trzymał Sonę.

Nagle wokół nas zahuczało.

Zasłoniliśmy uszy, a Healy oświetlił wnętrze, szukając drugiego głośnika. Znalazł go wysoko na przeciwległej ścianie. Chwilę później dźwięk ustał równie nagle, jak się rozległ, a pokój ogarnęła cisza przypominająca falę uderzeniową.

Healy sięgnął do kieszeni i wyciągnął pistolet.

Podążyłem za kręgiem światła, którym omiótł pomieszczenie. Colm miał latarkę i pistolet, ja nie miałem niczego. Byłem zdany na niego. Nie podobało mi się, że nie mam kontroli nad sytuacją. Nie żebym nie ufał, że będzie mnie osłaniał, obawiałem się raczej, że nie będzie chronił samego siebie.

- Co to za miejsce? - wyszeptał.

Pomieszczenia nie były fragmentem systemu kanalizacyjnego. Nie były też schronem przeciwlotniczym, a przynajmniej nie zostały w tym celu zbudowane. Mogły być pozostałością fabrycznych zabudowań na wschodnim skraju lasu: jakimś tunelem transportowym. Healy ponownie oświetlił właz. Wyglądał, jakby zrobiono go niedawno, jakby został wydrążony, żeby połączyć ruiny domu z podziemnymi pomieszczeniami, w których się znaleźliśmy. Zaciekało mnie, jak Glass dostarczył w to miejsce niezbędny sprzęt oraz ile czasu zajęło mu wykonanie roboty. Pomyślałem, jaki był dokładny i cierpliwy.

Że koniec końców czas i wyzwania logistyczne się nie liczyły. Że zrobiłby to i - czego już dowiodł - zabiłby każdego, kto mu stanie na drodze.

Healy znowu omiół pomieszczenie światłem latarki, zatrzymując promień na wzmocnionych drzwiach. Przypominały właz łodzi podwodnej, czarne i zardzewiałe, z pustym miejscem pośrodku, tam gdzie kiedyś znajdowało się koło. Właz wydawał się nie pasować do framugi, była za duża. Przez szpary u dołu sączyło się słabe światło, a z głośnika na górze dochodził nieprzerwany szum.

Przeszliśmy pomieszczenie. Healy szedł krok przede mną, z latarką i pistoletem wyciągniętymi przed sobą, z palcem zaciśniętym na spuście. Sprawiał wrażenie człowieka, który już go wcześniej używał, nie tylko na strzelnicy. Na legitymacji policyjnej widniał specjalny znak, jeśli funkcjonariusz miał prawo do noszenia broni. Na legitymacji Healy'ego go nie było. Nie miałem pojęcia, gdzie nauczył się strzelać i jaki użytek zrobił z broni, ale wiedziałem, że nie uczynił tego w granicach prawa.

Kiedy dotarliśmy do drzwi, pociągnąłem klapę włazu. Drgnęła i zazgrzytała, a później otworzyła się na nas, skrzypiąc w zawiasach. Po drugiej stronie był częściowo oświetlony korytarz, a po prawej rząd szklanych paneli. Ściany były z czerwonej cegły, natomiast posadzka z gładzonego betonu. Na końcu korytarza mimo ciemności niewyraźnie majaczyła okrągła ściana. Z kolejnego trzeszczącego głośnika wychodziły przewody. Kiedy weszliśmy do środka, okazało się, że szklane panele były oknami.

Tak jak powiedziała Sona.

Trzy okna otwierały się na trzy małe pomieszczenia o powierzchni około sześciu metrów kwadratowych. Wszystko pomalowano na biało: ściany z cegły, sufit, betonową podłogę i drzwi po drugiej stronie. W pierwszym pomieszczeniu stał pusty stół. Ruszyliśmy dalej. Drugie pomieszczenie było całkiem puste.

Z przodu doleciał nas jakiś hałas.

Healy skierował latarkę w stronę ciemności na końcu korytarza, który skręcał w prawo obok czterech nieoznakowanych beczek. Gdy ruszyliśmy dalej, w kierunku trzeciego okna, statyczne trzaski się nasiliły. Dwa metry nad nami był kolejny głośnik. Słychać było ciągły szum, jakby ktoś nastawił pusty kanał w telewizorze.

Dotarliśmy do trzeciego okna.

Pośrodku pokoju stało szpitalne łóżko z białym materacem. Leżała na nim kobieta, nogi miała częściowo okryte pościelą. Była półprzytomna, ubrana w jasnoniebieską nocną koszulę. Leżała na boku, w pozycji embrionalnej. Jedna dłoń spoczywała na brzuchu. Jej palce zaczęły delikatnie gładzić brzuch przez sen. Podążyły śladem jego krągłości.

Brzemiennosci. Po chwili przekręciła się na materacu, odwracając głowę w naszą stronę.
Rozpoznałem Megan Carver.

Do pokoju nie można było wejść z korytarza, a szyba wydawała się lustrem weneckim wykonanym ze wzmocnionego szkła. Kiedy w nią uderzyłem, nie wydała dźwięku, a jedynie głucho klaśnięcie. Trzeba wezwać policję i karetkę pogotowia. Wyciągnąłem telefon i otworzyłem klapkę, ale pod ziemią nie było zasięgu. Chociaż wyjście na powierzchnię i zadzwonienie zajęłoby mi tylko kilka minut, najpierw musiałem uwolnić Megan. Nie zamierzałem jej tak zostawić. Nie teraz.

Ruszyliśmy przed siebie, w mrok spowijający korytarz. Healy przesuwiał promień latarki z lewej na prawą. Spojrzałem na niego i zauważyłem, że narasta w nim rozpacz. Na linii włosów pojawiły się kropelki potu, choć w korytarzu panował chłód. Jego ramiona były napięte, mięśnie stwardniały. Przed nami z ciemności wyłoniły się beczki. Wszystkie cztery były nieoznaczone, z wyjątkiem numeru seryjnego napisanego cyrylicą u podstawy. Healy oświetlił je latarką.

Wtedy snop światła zgasł.

Healy uderzył latarką o dłoń, próbując tchnąć życie w wyczerpane baterie. Wyciągnąłem komórkę i ponownie ją otworzyłem. Niebieskie światło ekranu omiotło ściany i podłogę, oświetlając drogę na trzy metry przed nami. Spojrzałem na kieszeń jego kurtki, dając mu do zrozumienia, aby wyjął komórkę.

- Jeden z nas musi iść przodem - powiedziałem ściszym głosem. - Musimy iść w odległości dwóch metrów od siebie, żeby oświetlić dłuższy odcinek korytarza.

Skinął głową, ciskając latarkę na podłogę. Uniósł pistolet, umieścił lewą dłoń pod rękojeścią i chwycił telefon zębami. Zobaczyłem klawiaturę i jasnopomarańczowy wyświetlacz. Na twarzy Healy'ego mignęło zdenerwowanie i strach.

Za zakrętem przyspieszyliśmy do truchtu. Odgłos kroków niósł się echem po korytarzu niczym stłumione dudnienie bębna. Na końcu było dwoje drzwi: jedne po lewej, ciężkie, z nitami, a drugie po prawej, przypominające właz łodzi podwodnej. Kiedy dobiegliśmy do prawych, sięgnąłem po rączkę. Healy spojrzał na głośnik i cofnął się w moją stronę. Przeszedł nas lodowaty dreszcz. Poczuliśmy ogromny niepokój. Chwyciłem mocniej pokrętkę i pchnąłem drzwi.

Z drugiej strony znajdowała się wąska sala długości dwudziestu metrów. Kamienne ściany były nierówne, a sufit niski, miejscami sięgający trzech metrów wysokości. W środku panował chłód. Pod stopami skrzypiało zielone linoleum, a nad głowami migotały paski

światła. Pomieszczenie było zupełnie puste z wyjątkiem stojącego pośrodku szpitalnego łóżka. Otaczał je pełen zestaw urządzeń medycznych: aparat EKG, cewnik, stojak do kroplówki z woreczkiem soli fizjologicznej i przewody z elektrodami wiszące na jednym ze słupków łóżka. Po drugiej stronie stał metalowy wózek z narzędziami: nożycami chirurgicznymi, skalpelami, młotkiem, rozwieraczami i kleszczami. Obszar medyczny był nieskazitelnie czysty, jaskrawo oświetlony. Reszta pokoju przypominała pomieszczenie przeniesione żywcem ze średniowiecza, wydarte z ruin starego zamku.

Wszedłem nieco głębiej i dostrzegłem troje białych drzwi, częściowo ukrytych w mroku. Nie miały klamek, jedynie otwór na klucz. Za najbliższymi znajdowała się Megan. Ruszyłem w ich stronę, odwracając się do Healy'ego, ale ten zniknął. Wrócił na korytarz i otworzył drzwi z nitami. Przed nim stanęła nieprzenikniona ściana mroku niczym ogromna ciemna paszcza.

- Healy, zaczekaj.

Spojrzał na mnie bez słowa. Sprawiał wrażenie oszołomionego, jakby nie był pewny tego, co robi. Cały czas trzymał palec na spuście.

- Nie idź sam.

Jego wzrok powędrował w ciemność, a później spoczął na mnie. Wiedział, że mam rację. Wiedział, że powinien poczekać na wsparcie. Wiedział, ale tego nie zrobił. Uniósł pistolet, wsadził komórkę między zęby i przestąpił próg. Chwilę później zniknął w mroku. Pozostał po nim tylko słaby blask telefonu.

Jasna cholera!

Odwróciłem się w stronę pokoju, w którym spała Megan. Był zamknięty. Drzwi drgnęły, kiedy je nacisnąłem dłonią. W dotyku wydały się tanie, puste w środku. Dwie warstwy drewna z wolną przestrzenią pomiędzy.

Wycofałem się na odległość kilku kroków i spojrzałem za Healym. Powinienem pobiec, żeby mu pomóc, ale Megan bardziej mnie potrzebowała. Healy mógł sobie poradzić, Megan zaś nie dałaby rady. Przebywała tutaj sześć miesięcy, a teraz oddzielał mnie od niej jedynie kawałek drewna.

Zrobiłem kolejny krok.

Cofnąłem się i naparłem ramieniem.

Drzwi trzasnęły i wypadły z framugi, uderzając z impetem o ścianę. Dziewczyna nawet się nie poruszyła.

- Megan?

Podszedłem do łóżka, żeby zobaczyć jej twarz.

- Megan?

Nadal żadnej reakcji. Była pod wpływem silnych środków uspokajających. Oddychała cicho. Chwyciłem telefon w zęby, podszedłem do łóżka i wziąłem ją na ręce. Nie była ciężka, mimo ósmego miesiąca ciąży. Przytuliłem ją do siebie, czując krągłość brzucha i głowę, która oparła się na mojej piersi.

Poruszałem się szybko. Wybiegłem z białego pomieszczenia na korytarz, stając na chwilę w drzwiach z nitami. Z mroku nie dochodziły żadne dźwięki. Nie dostrzegłem żadnego światła ani ruchu. Chciałem zawołać Healy'ego, ale jego imię zamarło mi na ustach, gdy rozległy się kolejne statyczne trzaski. W głębi serca wiedziałem, że jest źle. Zbyt łatwo nam szło. Wszystko było zbyt proste. Kiedy spojrzałem na Megan, przestałem o tym myśleć i pobiegłem korytarzem w drugą stronę. Minąłem drzwi, pędząc w kierunku włazu i drabiny. Może istniał łatwiejszy sposób wydostania się na zewnątrz, a może nie, ale nie mogłem ryzykować. Musiałem ją stąd zabrać. Musiałem ją obudzić, a później pomóc wejść po drabinie. Na powierzchnię, gdzie będzie bezpieczna.

Ale drabiny nie było.

Spojrzałem w górę. Właz był nadal otwarty. Nad nami dostrzegłem krąg błękitnego nieba. Ktoś podciągnął drabinę. Była zbyt daleko od podłogi, abym zdołał jej dosięgnąć. Nie minął nas, więc albo drabiną dało się zdalnie sterować, albo Glass znajdował się na górze i wciągnął ją własnoręcznie, co oznaczało, że istniało drugie wyjście. W obecnej sytuacji nie miało to bez znaczenia. Mogliśmy jedynie wrócić do drzwi z nitami, choć myśl o tym napawała mnie lękiem. Jak, u licha, mam zapewnić jej bezpieczeństwo, skoro sam nie wiem, co mnie czeka?

Delikatnie ułożyłem Megan na podłodze i odsunąłem włosy z jej twarzy. Była zimna. Wokół nosa zauważyłem zakrzepłą krew i smarki, poza tym wyglądała w porządku. Miała nieco bardziej zaokrągloną twarz, ale przecież była w ciąży. Rozejrzałem się dookoła. Jedyne światło pochodziło z trzech pomieszczeń w sąsiednim korytarzu. Resztę spowijał mrok. Musiałem obudzić Megan, a dopiero później poszukać wyjścia - bo gdybym niósł ją nieprzytomną na rękach, stanowilibyśmy łatwy cel.

Spojrzałem na nią, zastanawiając się, jak to zrobić.

Tym razem otworzyła powieki.

Patrzyła na mnie wytrzeszczonymi oczami. Na jej twarzy zastygł lęk, jakby zamrożono ją w bryle lodu. Zaczęła pełznąć do tyłu, odsuwając się ode mnie. Zasłoniła brzuch ręką, chroniąc siebie i życie, które nosiła.

- Nie bój się, Megan - powiedziałem delikatnie, opadając na kolana.

Zamrugła oczami. Była przerażona.

- Nazywam się David Raker. - Podniosłem rękę, nie ruszając się z miejsca. - Twoja mama i twój tata mnie przysłali. Wydostanę cię stąd, rozumiesz?

W jej oczach błysnęły łzy.

- Ale musisz mi pomóc. Możesz mi pomóc, Megan?

Rozejrzałem się po pokoju, używając światła komórki. W tylnej części stał rząd dwumetrowych metalowych prętów.

- Nie pozwolę, żeby spotkało cię coś złego, Megan. Ty i dziecko jesteście bezpieczni, ale potrzebuję twojej pomocy. Muszę się zorientować, jak stąd wyjść.

Nie odpowiedziała.

- Megan?

Nagle statyczne trzaski ustały. Korytarzem przetoczyła się fala ciszy. Pięć sekund całkowitej nicości. Spojrzeliśmy na głośnik umieszczony nad włazem.

Chwilę później rozległ się przeraźliwy krzyk.

- Neeeeeeeeeee! Nie! Nie! Nie!

Z głośnika popłynęły zniekształcone słowa. Serce zamarło mi w piersi. To był Healy.

- Cholerny draniu! Pieprzony sukinsynu!

Znalazł Leanne.

Healy wrzasnął coś z całej siły, ale jego słowa były zniekształcone i przerywane. Po chwili przerodziły się w jeden przeciągły, potworny jęk. Później wybuchnął płaczem, uginając się pod naporem emocji. Próbował zagłuszyć cierpienie słowami, nadać jakiś sens temu, co się stało, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. W końcu wrzasnął ponownie.

- Gdzie jesteś?! Gdzie, kurwa, jesteś?!

Moje serce zaczęło szybko walić. W głowie zawirowały gorączkowe myśli. Czy powinienem odszukać Healy'ego? Czy zabrać ze sobą Megan? A może zaryzykować i ją zostawić, zakładając, że jest bezpieczna? Mogłem podeprzeć drzwi metalowymi prętami. Po chwili uznałem, że najpierw muszę znaleźć chirurga. Każda decyzja łączyła się z ryzykiem. Gdybym ją zostawił, zachęciłbym go, żeby po nią przyszedł. Z kolei zabierając dziewczynę ze sobą, nie wiedziałbym, co nas czeka.

Wtedy zrozumiałem. Healy.

Jego krzyk dochodził przez głośniki. Brzmiał tak, jakby ktoś zwiększał głośność.

Albo się zbliżał.

- Wypruję mu flaki, Davidzie!

Z głośnika doleciał szept.

A potem wszystko zamilkło.

Trzydzieści sekund później staliśmy w nitowanych drzwiach, wstępując w mrok. Zabrałem ze sobą Megan, trzymałem jej dłoń w swojej. Słyszałem jej oddech - cichy, krótki, pełen przerażenia - i wiedziałem, że podejmuję ryzyko, ale musiałem zapewnić bezpieczeństwo dziewczynie i dziecku. I musiałem odnaleźć Healy'ego.

Weszliśmy do środka. Poczułem jej wahanie i spojrzałem za siebie. Wytrzeszczone ze strachu oczy błyszczały w niebieskiej poświacie komórki. Ucisnąłem jej rękę i poświeciłem dookoła. Pomieszczenie było duże. Sufit znajdował się tak wysoko, że nie dosięgało go światło. W tej części labiryntu korytarzy nie było głośników. W miarę posuwania się naprzód statyczne trzaski zastępował cichy szum przypominający odgłos płynącego prądu. Ogarnęło nas przeraźliwe zimno. Na wysokości kostek poczułem lekki ruch powietrza, chłodny wiaterek owiewający twarz i dłonie.

Powietrze. Wyjście.

Po prawej stronie w odległości około pięciu metrów wyrastała ściana z czerwonej cegły, przy której stały drewniane skrzynie. Lewą stronę spowijał mrok. Między skrzynkami wiała się ścieżka. Niektóre były połamane i puste, inne nie zostały jeszcze otwarte. Po czterdziestu sekundach marszu hałas się nasilił. Teraz był to wyraźny szum prądu - napięcia zasilającego coś dużego.

Spojrzałem w prawo, przesuwając snop światła komórki.

Chwilę później serce podeszło mi do gardła.

Z ciemności wyłoniły się manekiny. Stały obok siebie, spoglądając w naszą stronę. Niektóre nie miały rąk, inne nóg. Wszystkie były nagie i przedstawiały kobiety. Wszystkie były przytwierdzone do podstawy metalowym prętem.

I wszystkie miały lateksowe maski.

Milton Sykes, jeden, drugi, trzeci. Każda maska różniła się nieco od pozostałych, będąc prototypem dla następnej. Zmieniony nos. Przerobione policzki. Większa broda. Mniejsza broda. Bardziej wydatne czoło. Inna barwa. Niektóre były rozdarte i ledwo się trzymały. Inne wyglądały tak realistycznie w słabym oświetleniu, że zdradzał je jedynie wystający spod spodu manekin. Megan zaczęła krzyczeć, by po chwili zasłonić usta dłonią. Oddychała ze świstem przez nos, krótkimi spazmami.

Z lewej strony doleciał nas jakiś hałas.

Odwrociłem się i uniosłem telefon. Niebieskie światło sięgało na odległość sześciu

metrów. Gładka betonowa posadzka ginęła w ciemności. Na krawędzi światła dostrzegłem coś w rodzaju podstawy przypominającej cokół. Zrobiłem kilka kroków, ciągnąc za sobą Megan. Światło oświetliło dziwną budowlę. Jeden stopień, a po nim drugi. Tak, zdecydowanie cokół.

Nagle zrozumiałem, co spoczywało na górze.

Trumna.

Przezroczysta trumna ze wzmocnionego plastiku. Każda powierzchnia i każdy kąt lśniły w świetle komórki. W środku dostrzegłem dwie bryłki, ale natychmiast zrozumiałem, że są to stopy. Przesunąłem telefon wzdłuż boku trumny. Naszym oczom ukazały się stopy, nogi, dłonie i ramiona. Kobieta. Jej głowa była zwrócona w prawo, tyłem do nas, a włosy unosiły się wokół twarzy jasnymi wężowymi kosmykami. Była naga i zanurzona w formalinie.

- Jasny szlag - szepnąłem cicho, podchodząc do trumny i spoglądając w dół przez wieko. Jej skóra była biała, ale poza tym wyglądała tak, jakby unosiła się pod powierzchnią wody. Z wyjątkiem włosów była zupełnie nieruchoma. Ciało stwardniało. Ramiona wyciągnięte wzdłuż tułowia, nogi złączone, oczy szeroko otwarte. Przed śmiercią została poddana operacji. Wzdłuż twarzy biegła blizna od ucha ku tyłowi głowy. Zrobił jej operację plastyczną. Ranę zszyto, ale nie do końca. Szwy kończyły się na wysokości wierzchołka ucha, jakby chirurg zrezygnował z dokończenia roboty. W miejscu, gdzie nie założono szwów, widać było ciało.

Rozpoznałem Isabelle Connors.

Pierwszą z kobiet, która zaginęła dwa lata temu.

Spojrzałem na Megan. Patrzyła na kobietę w trumnie, a po jej twarzy spływały łzy. Przyciągnąłem ją do siebie, żeby zasłonić widok i stłumić szloch.

Ruszyliśmy dalej.

Z ciemności wyłoniły się kolejne kształty zastygłe w świetle telefonu. Kolejne trumny. Kolejne kobiety. Wszystkie były blondynkami, wszystkie ułożone tak, jakby spoczywały zanurzone w wodzie. Kiedy podszedłem do następnej, zorientowałem się, że została poddana identycznej operacji, z tą różnicą, że tym razem rozcięto także skórę na brodzie. W miejscach, gdzie nie założono szwów, wystawał silikon. April Brunel. Druga porwana. Trumny ustawiono w porządku chronologicznym.

Dobiegł mnie jakiś hałas za plecami.

Tępe uderzenie.

Zacząłem nasłuchiwać, czekając, żeby się powtórzył, ale nie usłyszałem niczego

z wyjątkiem elektrycznego szumu. Miałem rację, źródłem dźwięku był generator.

Raptem zapaliły się światła.

Straciłem orientację i dopiero po chwili zrozumiałem dlaczego. Światła miały fioletową barwę. Na suficie zainstalowano rząd świetlówek, którymi przepływało blade światło, wywołując efekt rozmycia zwiększający intensywność kolorów. Nagle ujrzeliśmy niewyraźnie wszystkie kształty.

Pomieszczenie okazało się mniejsze, niż sądziłem w ciemności, ale sufit był wysoko - jakieś osiemnaście metrów nad posadzką - i miał półowalny kształt, jakbyśmy znajdowali się w środkowej części tunelu kolejowego. Wszędzie stały skrzynie, ale najwięcej po lewej stronie. Z prawej dostrzegłem rząd trumien. Za nimi rysowało się duże sklepienie przejście prowadzące do sali, w której niczym armia stały kolejne manekiny.

W przeciwległym rogu sali bieląła ściana z dwoma rzędami zdjęć zaginionych kobiet. Cztery u góry i pięć u dołu, w tym Jill. Wszystkie twarze pokrywała siatka kropkowanych linii. Znaki chirurgiczne. Wokół zdjęć wisiały inne dokumenty: wycinki z gazet, rysunki anatomiczne, przekroje twarzy, plany budynków. Inne zdjęcia. Markhama. Franka White'a. Jamiego Harta. Charliego Bryanta. Mojego domu. Mojej kuchni. Mojego salonu. Liz i ja na frontowej werandzie.

Wtedy światła zgasły.

Zapanowała całkowita ciemność.

Megan przysunęła się bliżej, przyciskając twarz do mojej piersi. Miała zamknięte oczy. Czulem, że płacze. Czulem dygotanie jej szczęki i cichy odgłos stłumionego szlochania. Położyłem rękę na jej głowie i przytuliłem ją, a następnie ruszyłem przed siebie.

Spostrzegłem słabą pomarańczową poświatę na posadzce.

Telefon Healy'ego.

Na krawędzi światła zauważyłem rękę i pistolet leżący trzydzieści centymetrów dalej. Kiedy zrobiliśmy kolejny krok, ukazał się Healy. Leżał na brzuchu, a z jego głowy płynęły strużki krwi. Obok, z pyskiem przy jego piersi, przywarł pies. Kawałek przeszczepionej skóry sprawiał wrażenie zainfekowanego. Pies spojrzał na nas, zmrużył ślepia pod wpływem światła, a następnie odwrócił łeb i czmychnął w drugą stronę.

Jeśli w środku jest pies, musi być wyjście.

Ścisnąłem dłoń Megan, dając znak, że idziemy dalej. Gdy dotarłem do Healy'ego, wydawał ciche odgłosy przypominające syk powietrza spuszczanego z balonu. Jeszcze żył, ale gonił resztkami sił. Smugi krwi widniały na posadzce i stojącej obok trumnie.

Szóstej.

Leanne.

Spoglądała przez wieko szeroko otwartymi oczyma, a jej skóra miała barwę śniegu. Poczułem, że owładnęło mną pragnienie zemsty, którego doświadczał. Poczułem jego ból. Palącą wściekłość. Chęć odpłaty.

- Uhhhhh...

Kiedy Healy jęknął, generator ożył i fioletowe światło zapaliło się ponownie. Kątem oka dostrzegłem ruch. Coś przesunęło się w lewą stronę. Dobiegł mnie odgłos stóp uderzających o posadzkę. Próbuje mnie zdezorientować, domyśliłem się. Mocniej przytuliłem Megan i spojrzałem jej w oczy.

Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na swoje dłonie.

Palce, dłonie i nadgarstki lśniły fluorescencyjnym pomarańczowym światłem. Jego smugi widać było także na rękawach kurtki. Obejrzałem siebie i spostrzegłem, że ślady były widoczne także na spodniach i butach. Lśniły również ramiona Megan i jej koszula, tam gdzie dotknąłem jej rękami, przytulając do siebie.

Spojrzałem na Healy'ego.

Wyglądał podobnie. Dłonie, ramiona i nogi, ubranie i buty, wszystko lśniło fluorescencyjnym światłem. Nagle - odrobinę za późno - zrozumiałem, co się dzieje. To, co wyczułem na szczeblach drabiny, nie było rosą ani smarem. Żarówki na suficie emitowały ultrafioletowe światło. Nie dawały żadnego wizualnego efektu, dopóki nie zetknęły się z fluorescencyjną farbą.

Farbą, którą byłem pokryty.

- Witaj, Davidzie!

Odwróciłem się. Stał za moimi plecami, cały w czerni, z kawałkiem czarnego szkła wiszącym na łańcuszku u szyi. Usta i nos zasłaniała maska chirurgiczna. Wybałuszył płonące oczy, jakby próbował mnie wciągnąć do środka.

- Łatwiej cię znaleźć, kiedy świecisz jak choinka - wycedził i dźgnął mnie skalpelem.

W ułamku sekundy odepchnąłem Megan i uniosłem ramię. Skalpel utkwiał w ciele powyżej łokcia. Ostrze miało nie więcej niż pięć centymetrów długości, ale natychmiast poczułem ostry ból. Przeszedł ramieniem i ogarnął klatkę piersiową.

Usłyszałem tupot nóg Megan, która zniknęła w ciemności. W mojej świadomości mignęło poczucie ulgi, że zdołała uciec. Glass na chwilę odwrócił głowę, podążając za hałasem. Kiedy zrozumiał swój błąd, było za późno. Skoczyłem na niego, zadając cios w twarz i skroń, a później w klatkę piersiową. Runęliśmy na podłogę. Skalpel brzęknął o ziemię gdzieś daleko. Glass był ogłuszony, ale nadal walczył. Chwytał mnie za gardło. Poczulem rękawiczki chirurgiczne na twarzy, palce chwytające nos i oczy.

Odepchnąłem go i walnąłem ponownie, wkładając w uderzenie całą wściekłość i odrazę. Coś chrupnęło. W słabej poświacie telefonu Healy'ego ujrzałem, jak Glass przewrócił oczami. Zrozumiałem, że złamałem mu nos. Krew sączyła się wolno spod maski.

Leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

Wstałem i zacząłem szukać Megan w słabej poświacie ultrafioletowego światła.

- Megan? - Cisza. Ruszyłem w kierunku ciemnej części pomieszczenia, czując lekki powiew. - Megan? Już wszystko dobrze, kochanie. Wszystko dobrze.

Nagle sala ponownie pogrzyżyła się w mroku. Usłyszałem tupot kroków. Odwróciłem się na pięcie, przygotowując się na atak Glassa, ale ten nie nastąpił. Minął mnie odgłos kroków. Usłyszałem huk spadających skrzynek, a później brzęk jakiegoś przedmiotu o podłogę. Za trumnami mignął prostokąt kremowego światła.

Drzwi.

Glass spojrział na mnie i zniknął w środku.

Popędziłem za nim. Korytarz przypominał tunel techniczny. Ściany były popękane, a cement zamieniał się w pył. Na końcu zauważyłem klatkę schodową i kręte schody ginące w górze. Glass obejrzał się, a później zaczął biec w ich kierunku.

Schody wznosiły się na wysokość około dziewięciu metrów. Na szczycie były zaspawane drzwi zasłonięte płytami. Z boku przez nieczynny otwór odpowietrzający wpadało stłumione dzienne światło. Glass skoczył do środka, objając się o metalowe ściany. Dotarłem na podest i ruszyłem w ślad za nim. Kanał biegł prosto na długości dwunastu metrów, a następnie zaczynał piąć się w górę. Glass dotarł do końca i wciągnął się na powierzchnię. Jego nogi zawisły w powietrzu, a chwilę później zniknął. Półtora metra przed końcem

rozejrzałem się wokół i spojrzałem w górę.

Nad głową zauważyłem ten sam system alarmowy z lampkami LED. Otwór zasłaniała do połowy druciana siatka. Przez nią dostrzegłem gęste sklepienie drzew i fragment błękitnego nieba. Glass nie stał na krawędzi otworu, ale mógł się czaić w pobliżu. Gdyby miał pistolet Healy'ego, pewnie by go użył. Z drugiej strony mógł mieć zapasowy nóż, a z dołu nie mogłem stawić mu czoła.

Poruszałem się wolno i cicho, zajmując odpowiednią pozycję.

Następnie chwyciłem krawędź otworu i podciągnąłem się w górę. Otwór wentylacyjny prowadził do małego ceglanego budynku o betonowej posadzce. Zamiast dachu nad głową ujrzałem drzewa.

Za mną, obok jednej z ocalałych ścian, leżały podkłady kolejowe zasnutę pajęczyną. Podkłady linii kolejowej, której nigdy nie ukończono.

Torowisko Umarłych.

Rozejrzałem się za jakąś bronią. Znalazłem zardzewiałą łopatę opartą o podkłady, a potem szybko obszedłem budynek. Po lewej stronie biegła niewyraźna ścieżka porośnięta wysoką trawą, po prawej inna, długości może dwudziestu metrów, dochodząca do nieprzeniknionej ściany drzew.

Ruszyłem w lewo.

Sklepienie konarów było gęste, a ścieżka szybko zamieniła się w błoto i kamienie. Po chwili przecięły ją biegnące poprzecznie tory. Szedłem dalej, cały czas oglądając się za siebie, z łopatą przygotowaną do ciosu. Nagle między drzewami powiał wiatr, zaszeleściły liście. Po chwili znowu jakieś dźwięki, tym razem jeszcze bardziej przypominające ludzkie głosy. Może byłem po prostu wystraszony. Dziś sam już nie wiem. Rozejrzałem się wokół, czując, że ktoś mnie obserwuje.

Zauważyłem, że trawa po prawej jest inna. Została wyrównana i usunięta w kilku miejscach. Dostrzegłem rząd ponumerowanych białych słupków stojących w równych odstępach.

Ogarnęło mnie dziwne wrażenie.

Chwilę później zrozumiałem dlaczego. Jest za mną, pomyślałem.

Odwrociłem się. Wytrzeszczył oczy spod zakrwawionej maski, unosząc nóż. Zrobiłem unik, ale było za późno. Zadał szybki cios, przecinając skórę ramienia. Skuliłem się z bólu i cofnąłem, nie puszczając łopaty.

Zaatakował znowu, mierząc w szyję i wykonując płynny ruch, jakby chciał poderżnąć mi gardło. Cofnąłem się, ale on nie przestawał napierać, zmuszając, żebym trzymał ręce przy

sobie dla ochrony, i nie pozwalając, abym się zamachnął łopata. Za trzecim razem ostrze trafiło w fałdy mojej kurtki. Usłyszałem, jak przecina tkaninę, i poczułem czubek ostrza sunący po skórze.

W chwili gdy Glass się cofał, zamachnąłem się łopata. Uderzyłem go w bark. Runął na wilgotną ziemię, przewracając się na bok. Kiedy się na niego rzuciłem, wyciągnął przedramię, a łopata ponownie stuknęła o kości. Ryknął z bólu, a jego głos rozszedł się echem po Torowisku Umarłych. Zamachnąłem się ponownie, trafiając w krzyż. Osunął się na mech jak worek cementu.

Znieruchomiał.

Podszedłem bliżej z uniesioną łopata. Teraz wyraźnie ujrzałem słupki. Trzynaście, wszystkie niedawno wbite w ziemię. Każdy w odległości około półtora metra od sąsiedniego. Zatrzymałem się, przenosząc wzrok z jednego na drugi, czując, jak dojrzewa we mnie przyprawiająca o mdłości świadomość. Byłem w tym miejscu. Od strony drzew zerwał się wiatr. Krótki i gwałtowny jak ostatni oddech trzynastu kobiet, które sto lat temu pozbawił życia Milton Sykes.

To cmentarz Sykesa.

Glass go znalazł. Znalazł i roztoczył nad nim opiekę.

Podszedłem bliżej i stanąłem za Glassem. Rosa przesiąkła jego chirurgiczny fartuch. Maską zsunęła się na czubek głowy. Długie źdźbła trawy zasłaniały twarz.

- Odwróć się - powiedziałem, zgrzytając zębami. Nie zareagował. Szturchnąłem go końcem łopaty. - Przekręć się, śmieciu.

Żadnej reakcji.

Wsunąłem łopata pod niego i przekręciłem ciało. Odwrócił się na plecy. Choć jego oczy były zamknięte, nagle stał się kimś innym.

Kimś, kogo znałem.

Aronem Crane'em.

Nie był to jednak Aron, którego zapamiętałem z grupy wsparcia. Nie tamten mężczyzna siedzący obok Jill. Nawet nieprzytomny, wydawał się inny: ciemniejszy i bardziej niebezpieczny. Nie był człowiekiem, który zabiegał o względy Jill. Człowiekiem, na którego niby przypadkiem wpadłem wczoraj. Nie był nikim, kogo pamiętałem.

- Aron?

Poruszył się błyskawicznie, chwytając mnie za kostkę, próbując ją przekręcić i powalić mnie na ziemię. Zaciśnął zęby. Jego oczy błysnęły, adrenalina uderzyła do głowy, gdy dostrzegł ostatnią szansę zmiany sytuacji. Zmusił mnie do wykonania półobrotu

i w ułamku sekundy stanął na nogi. Chwycił mnie za szyję i pchnął na ziemię. Nagle znalazłem się pod nim, siedział na mnie i zaciskał mi palce na gardle. Kiedy mnie dusił, zacząłem tracić czucie w dłoniach, zdrętwiały mi palce, dłonie i nadgarstki.

Później jego uścisk osłabł na chwilę.

Nieznacznie, ale wystarczyło.

Nerwy w rękach ożyły. W palcach zamrowiło. Ponownie poczułem łopatę. Drewno i żelazo. Ciężar.

Chwyciłem ją z całej siły, uniosłem i uderzyłem. Ostra krawędź pierwsza dosięgła celu, z chrzęstem uderzyła o czaszkę za uchem. Palce puściły moją szyję. Przewrócił oczami i zakołysał się na nogach, a później runął w bok, padając na wilgotną ziemię w odległości paru centymetrów od trzynastego grobu.

Zaczął siąpić słaby kapuśniaczek, sącząc się przez sklepienie drzew, skrapiając moją twarz delikatną mgiełką.

Na Torowisku Umarłych słychać było jedynie stukanie kropli deszczu.

CZEŚĆ PIĄTA

Dziesięć minut po moim telefonie pod północną granicę lasu zajechała policja. Zaciągnąłem Crane'a do budynku gospodarczego i związałem drania, a później odnalazłem Megan i wyprowadziłem ją na powierzchnię. Czekaliśmy przytuleni do siebie, pod resztką dachu, jak najdalej od Crane'a. Kiedy w szybie wentylacyjnym ukazała się głowa Jamiego Harta ubranego w biały kombinezon używany przez policję na miejscu przestępstwa, Crane odzyskał przytomność, ale był mocno oszołomiony. Krew płynęła mu po twarzy, mieszając się z kroplami deszczu wpadającymi do środka przez dziurawy dach. Hart podszedł do Megan w towarzystwie umundurowanego funkcjonariusza i poinformował, że zabiorą ją w bezpieczne miejsce. Spojrzała na mnie, oczekując potwierdzenia, a gdy powiedziałem, że wszystko będzie dobrze, podziękowała i ją zabrali. Minutę po jej zniknięciu byłem w kajdankach.

□ □ □

Trzy godziny później Hart i Davidson siedzieli naprzeciw mnie w pokoju przesłuchań. Byłem zmęczony. Nie spałem od trzydziestu godzin i bardzo boleśnie to odczuwałem. Zabrali mi ubranie jako dowód rzeczowy i wysłali umundurowanego funkcjonariusza do mojego domu, aby przywiózł świeże. Jednak czyste rzeczy i kawa z automatu nie pomogły. Moje ciało pragnęło odpoczynku i doładowania.

- Jak się czuje Healy? - spytałem.

Hart wypełniał jakieś papiery, ale na dźwięk tego nazwiska podniósł głowę i spojrzał mi w oczy. Odłożył długopis i zaczął bębnić po stole kościstymi palcami.

- Twój współnik? - spytał cicho.

- Żyje?

Przez chwilę żaden nie odpowiedział.

Później Hart wolno skinął głową.

- Żyje. Właśnie go operują. Kiedy się obudzi, pożałuje, że nóż nie utkwił kilka centymetrów w lewo.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

Hart i Davidson podnieśli głowy, obserwując, jak umundurowany funkcjonariusz wpuszcza do pokoju Liz. Miała na sobie czarne spodnium i kremową bluzkę. Jej włosy opadały na ramiona. Wyglądała fantastycznie. Przyszła prosto z biura, z teczką w jednej

i torbą na laptop w drugiej ręce. Ucieszyłem się na jej widok, nie tylko dlatego, że była moim prawnikiem.

Spojrzała na mnie, ale się nie uśmiechnęła.

- Wszystko w porządku?

Skinąłem głową.

Odwróciła się do Harta i Davidsona.

- Mam nadzieję, że tego nie nagrywacie.

Hart pokręcił głową.

- Nie, jeszcze nie zaczęliśmy...

- Znakomicie, bo chciałabym porozmawiać z moim klientem. Nie tutaj i nie w waszej obecności, bo będziecie notowali każde słowo. - Obejrzała się za siebie. - Czy jest tu jakieś miejsce, w którym mogłabym pomówić z klientem na osobności?

Davidson skrzywił się. Wolałby taką rozmowę jak za pierwszym razem, kiedy mnie tu przywieźli samego, bez prawnika. Hart się uśmiechnął - próbując swoich gierek - ale niepotrzebnie marnował czas na Liz. Kiedy spojrzała na niego twardym wzrokiem, natychmiast zrozumieli, że im się nie uda. Hart odchylił się na krzesło i z rezygnacją spojrział na umundurowanego funkcjonariusza.

- Posterunkowy Wright, zaprowadźcie panią Fenny i pana Rakerę do sali C. - Popatrzyl na Liz. - Dajcie mi znać, kiedy będziecie gotowi.

□ □ □

Przez godzinę opowiadałem jej o sprawie. O każdym szczególe, który zapamiętałem. Mówiła niewiele, co dodatkowo wzmacniało panującą między nami atmosferę. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Po prostu zapisywała wszystko na komputerze, kilka razy prosząc mnie o przeliterowanie nazwisk lub przypomnienie pewnych wydarzeń. Nie zachowywała się jak Liz, którą znałem.

Kiedy skończyliśmy, odchyliła się na krzesło i przyjrzała mi uważnie.

- Jesteś w niezłych tarapatach.

Skinąłem głową.

- Wiem.

- Gdzie jest ten Healy?

- W szpitalu.

- Zginął?

- Nie.

Położyła dłonie na stole.

- Masz dla nich propozycję?

- Może.

- Co?

Opowiedziałem jej o kobietach, o tym, że policja powiązała ich sprawy, ale zataiła ten fakt przed rodzinami.

- Jasny szlag - powiedziała, kiedy skończyłem. Utkwiła we mnie ciemne oczy, gorączkowo myśląc. Przeczytała fragment swoich notatek na ekranie laptopa, a później ponownie na mnie spojrzała. - Mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Czemu to robisz?

Zmarszczyłem brwi.

- Taką mam pracę.

- Nie o to mi chodziło. Czemu... - Przerwała i odgarnęła włosy z twarzy. - Wiem, że zajmujesz się poszukiwaniem zaginionych. To rozumiem.

Popatrzyła na mnie przenikliwym wzrokiem, nie mówiąc ani słowa. Uśmiechnąłem się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem... ale nie takim jak zwykle.

- O co chodzi, Liz?

Przeniosła wzrok na ekran laptopa.

- Liz?

W końcu podniosła głowę.

- Pamiętasz, kiedy ostatni raz byliśmy w podobnej sytuacji?

- Oczywiście.

- Rok temu, w związku ze sprawą, którą prowadziłeś na północy kraju. Pamiętasz?

Podniosłem rękę i pokazałem paznokcie.

- Te blizny nie pozwalają mi zapomnieć - odparłem z uśmiechem, próbując przebić dzielący nas mur.

- Kiedy uporaliśmy się z policją, pomyślałam o tym, co zrobiłeś, jak daleko byłeś gotowy się posunąć, żeby skończyć to, co zacząłeś. - Popatrzyła na mnie uważnie. - Wiem, że nie byłeś ze mną całkiem szczery, że nie powiedziałeś o wszystkim, co się stało. W porządku. Dostarczyłeś mi dość materiału. Zdołaliśmy cię wyciągnąć. Wtedy tylko to się liczyło. Zignorowałam tę sprawę, uznałam, że zajmę się nią później, jeśli... jeśli między nami coś wyniknie.

Przesunęła palcem wzdłuż dolnej wargi.

- Nawet gdybyś nigdy mi nie powiedział, co się wydarzyło, nie byłabym zatroskana, jeżeli chodziłoby o jednorazowy incydent. - Spojrzała mi w oczy. - Ale to nie był pojedynczy epizod.

- Taką mam pracę, Liz. Tym się zajmuję. Nie... - Teraz to ja przerwałem. Wyciągnąłem rękę i oparłem dłoń na jej dłoni. Cofnęła swoją. - Odnajduję ludzi.

- Odnajdujesz zwyrodnialców, Davidzie. Narażasz siebie, narażasz własne życie i masz nadzieję, że jakimś cudem przejdiesz żywy na drugą stronę. Nie obchodzi mnie, jakie kłamstwa od ciebie usłyszę i co przemilczysz. Ale obchodzi mnie, dlaczego to robisz. - Umilkła i spojrzała na mnie przeciągle. - Dlaczego, Davidzie?

- Prowadziłem inne sprawy.

- Doprawdy?

- Tak.

- Ile od ostatniego roku?

- Cztery.

- W ciągu dziesięciu miesięcy?

- Ostatnia sprawa... - Spojrzałem na paznokcie. - Ostatnia sprawa wiele mnie kosztowała. Potrzebowałem czasu, żeby wrócić do siebie, ale sprawy takie jak tamta i ta... - Uśmiechnąłem się. - Są nietypowe.

- Mimo to je bierzesz.

- Nie umiem przewidzieć, jaki obrót przybiorą. Gdybym potrafił, nie zajmowałbym się szukaniem zaginionych, ale grą na loterii.

- Tak, ale większość ludzi odwróciłaby się na pięcie i odeszła, gdyby sytuacja przybrała niepokojący obrót - powiedziała. - Czy sądzisz, że ktoś inny sprzymierzyłby się z Healem, pokazałby policji, żeby się pieprzyła, i ruszył do kryjówki takiego psychopaty jak Glass?

- Trzeba było go powstrzymać.

- To zadanie policji.

Ponownie dotknąłem dłoni Liz, tym razem jej nie cofnęła.

- Czasami robimy pewne rzeczy dlatego, że są słuszne... nawet jeśli nie są zgodne z prawem.

Opuściła głowę, a kosmyki włosów wyslizgnęły się z za uszu. Uścisnąłem jej dłoń, żeby na mnie spojrzała, ale tego nie zrobiła. Pozostała nieruchoma. Milcząca.

- Liz?

Podniosła oczy.

- Nie mogę z nią rywalizować.

Zmarszczyłem brwi.

- O kim ty mówisz?

- O Derryn. Nie mogę z nią rywalizować, Davidzie.

- Co? Nie musisz rywalizować...

- Nie posiadasz mechanizmu, który mówi człowiekowi, kiedy przestać. Nie wiesz, kiedy się zatrzymać. Próbujesz naprawić świat, bo wiesz, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. Sądzisz, że twoje zadanie polega na oszczędzeniu innym podobnych cierpień. Robisz to dla niej, Davidzie. To dla niej zajmowałeś się sprawą na północy kraju. I obecna. Starasz się wypełnić pustkę, którą po sobie zostawiła, przeżywając cierpienie innych ludzi. Nie mogę rywalizować z tym pragnieniem.

Puściłem jej dłoń. Spojrzała na mnie, a po policzku spłynęła łza, ciągnąc za sobą wodnistą smugę tuszu. Popatrzyłem jej w oczy, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Nie potrafiłem znaleźć żadnego argumentu.

Bo w głębi duszy wiedziałem, że może mieć rację.

Przesłuchanie trwało dwie i pół godziny. Liz siedziała obok mnie, przerywając, jeśli czuła, że mogę powiedzieć coś, co mi zaszkodzi. Hart i Davidson zaatakowali mnie zajadle, jak rozjuszone psy, próbując zagonić w ślepią uliczkę. Starali się wykorzystać moją relację z Healym. Próbowali wykazać, że nasz związek był silniejszy i bardziej wykalkulowany niż w rzeczywistości. W tym celu przypomnieli sytuację, do której doszło w pobliżu mieszkania Sony, kiedy Healy wyciągnął broń. Hart zwrócił uwagę, że nie uczyniłem niczego, aby go powstrzymać.

- Powiedziałem, żeby odłożył broń.

- Tylko raz - odparł Hart. - Raz i bez przekonania. Za drugim razem, gdy dałem ci znak głową, zignorowałeś mnie. Później zniknąłeś w mroku razem z nim.

- Czułem...

- Czułeś, że jesteście sobie bliscy, Davidzie.

- Nie.

- Uważałeś, że postąpił słusznie.

- Nie. - Westchnąłem ciężko.

- W takim razie czemu to zrobiłeś?

Zamilkłem na chwilę. Spojrzałem na Liz, a później przeniósłem wzrok na nich.

- Wiedziałem, że źle postąpił... ale kierowały nim słuszne motywy.

Davidson prychnął z irytacją.

- Ciekawe, skąd wiedziałeś?

- Myślę, że Healy był sfrustrowany.

- Z czyjego powodu?

- Waszego.

Zapadła cisza. W pokoju panował zaduch, a jedynym odgłosem był szum klimatyzatora.

- Spójrzcie na to z jego punktu widzenia - podjąłem. - Zamietliście pod dywan sprawę zniknięcia jego córki, tak jak sprawę siedmiu pozostałych, ale nie mieliście nawet tyle przyzwoitości, aby połączyć jej zaginięcie z Glassem.

W pokoju wyczuwało się napięcie.

Davidson pobladał. Hart skrzyżował ręce i odchylił się na krześle.

- O czym ty mówisz, Davidzie?

- Dobrze wiesz.

Nie odpowiedzieli. Nie chcieli, żeby wypowiedziane słowa znalazły się na taśmie. Z ich twarzy wyczytałem, że starają się przejrzeć moje atuty. Odgadnąć, ile wiem. Czy Healy mi powiedział? Od kogo uzyskał tę wiedzę? Trzymałem ich za jaja i nie mieli dokąd uciec.

- Rozumiem - odrzekłem. - Wszystkiemu zaprzeczacie, zachowujecie milczenie. Kłopot w tym, że krąg milczenia został przerwany. Nie jesteście jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, co się stało. Cały świat może sądzić, że w Hark's Hill przypadkiem znaleźliśmy siedem kobiet, ale my wiemy, że było inaczej.

Davidson odwrócił głowę. Hart utrzymał kontakt wzrokowy, ale jego ręka zawisła nad magnetofonem, rozpaczliwie pragnąc, żeby przesłuchanie się skończyło. Skinąłem głową, by nacisnął stop.

Przerwał nagrywanie.

Liz pochyliła się do przodu.

- Posłuchajcie - powiedziała. - Proponujemy wam następujący układ: David wyjdzie stąd bez zarzutów. Odstąpicie od ścigania go w przyszłości. Zakończycie wątek śledztwa, który miał związek z jego osobą. W zamian pan Raker zachowa dystygowane milczenie.

Spojrzelili na nas.

W końcu Hart skinął głową.

- Muszę wykonać kilka telefonów.

□ □ □

Zostawili mnie samego w pokoju przesłuchań z kubkiem kawy oraz kanapką z szynką i serem. Liz zniknęła, żeby zadzwonić do kancelarii i się dowiedzieć, co ją ominęło. Uśmiechnęła się na odchodnym - dotykając mojego ramienia i mówiąc, że świetnie to rozegrałem - ale nie wspomniała o naszej wcześniejszej rozmowie. Byłem zbyt zmęczony i niewyspany, aby zastanawiać się nad tym, czy powstała między nami rysę będzie można kiedykolwiek zatrzeć. Z drugiej strony byłem rad, że udało mi się uzyskać jakąś reakcję z jej strony.

W pokoju przesłuchań nie było zegara, ale miałem wrażenie, że upłynęło piętnaście minut, gdy drzwi się otworzyły. Odwróciłem się, spodziewając się ujrzeć Liz.

Zamiast niej zobaczyłem Phillipa.

- Jak się masz, Davidzie? - spytał, siadając. Uśmiechnąłem się ironicznie.

- Wspaniale, po prostu wspaniale.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak - odpowiedziałem, przysuwając mu pusty kubek. - Poproszę o jeszcze jedną kawę... i wyjaśnienie, co, u diabła, robiłeś w domu Jill.

Skinął głową, jakby się spodziewał tego pytania.

- Zadzwoiła do mnie.

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Znałimy się z Frankiem od lat. Razem pokonywaliśmy kolejne szczeble policyjnej kariery. To ja załatwiłem mu robotę w policji. Znałem Jill od wieków.

- Dlatego krążyłeś wokół jej domu?

- Zostawiła dziwną wiadomość na mojej automatycznej sekretarce. Nic nie powiedziała. Milczała dziesięć sekund, a kiedy oddzwoniłem, nie podniosła słuchawki.

Nagle wszystko stało się jasne. Wczorajszej nocy zadzwoniła do mnie, ale nie odebrała, kiedy oddzwoniłem. Później dziwnie się zachowywała, gdy zatelefonowałem pod jej numer stacjonarny. Bo Crane po nią przyszedł. Pierwszy telefon był wołaniem o pomoc. Musiała wówczas zadzwonić także do Phillipsa. Kiedy zatelefonowałem następnym razem, Crane kazał jej powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Pewnie miała nóż na gardle.

- Jej zachowanie mnie zaniepokoiło - ciągnął Phillips - więc przyjechałem na miejsce... - Spojrzał za siebie, choć drzwi były zamknięte. - Wszedłem do domu... - Tak, jak podejrzewał Ewan Tasker, pomyślałem -...ale jej nie zastałem. Zniknęła.

Spojrzałem na niego.

- Którejś nocy zadzwoniła do mnie spanikowana, mówiąc, że ktoś obserwuje jej dom. To byłeś ty. Widziała twój samochód.

- Tak, to byłem ja. Wóz też był mój. - Przerwał, wolno wypuszczając powietrze. - Frank i ja mieliśmy... coś w rodzaju umowy. Coś sobie obiecaliśmy.

- Że będziecie się o siebie troszczyć?

- Tak. Gdyby jeden z nas. - Zamilkł na chwilę. - Kiedy składałem mu obietnicę, nie przyszło mi do głowy, że będę musiał jej dotrzymać. Stało się inaczej. Od czasu do czasu sprawdzam, co się dzieje u Jill. Wczoraj wieczorem w drodze na posterunek kilka razy przejechałem obok jej domu. Tamtej nocy... gdy do niej przyjechałeś... pewnie nie ukryłem się dość starannie. Miałem męczący dzień.

Nie odpowiedziałem, przypatrując się mu w milczeniu.

- Jesteś wkurzony - powiedział. - Rozumiem.

- Naprawdę?

Skinął głową, próbując rozładować sytuację.

- Możesz w to wierzyć albo nie, ale tak było.

- W takim razie gdzie jest Jill?

- Nie wiemy.

- Nie znaleźliście jej w kryjówce Crane'a w lesie?

- Nie. Znaleźliśmy siedem ciał kobiet... ale nie było jej wśród nich.

- Siedem?

- We wgłębieniu w ścianie leżało ciało Susan Markham.

Nie została umieszczona razem z innymi. Żadnej trumny.

Żadnej formaliny. Nie była elementem jego planu. Stanowiła argument, który miał skłonić Markhama do współpracy. Pozostałe kobiety - nawet Leanne - zaliczały się do innej grupy. Wszystkie jasnowłose. Wszystkie niebieskookie.

Wszystkie warte uwiecznienia.

- Tak czy siak - podjął Phillips - Jill tam nie było. Przeszukaliśmy wszystko dokładnie.

- Nie wróciła do domu?

- Nie. O ile wiemy, nigdzie jej nie widzieli. W domu, w pracy ani u rodziny.

Crane wie, gdzie jest, uświadomiłem sobie.

- On ci nie powie?

- Do tej pory nie powiedział ani słowa, ale znaleźliśmy jej zdjęcia w jego kryjówce. Fotografie Jill, jej domu i przyjaciół. Byłeś na niektórych. - Jego palce dotknęły obrączki i zaczęły nią obracać. Odchylił się na krześle. - Porwał ją... obaj to wiemy. - W końcu spojrzął mi w oczy. - Posłuchaj, Davidzie...

Wiedziałem, do czego zmierza, i nie miałem zamiaru ułatwiać mu sprawy.

- Wiem, że mógłbyś wykorzystać swoją wiedzę przeciwko nam.

- Masz cholerną rację, mógłbym. To, co zrobiliście w sprawie tych kobiet... - Nie odpowiedział, spoglądając na mnie w milczeniu. Obserwując Phillipsa i czekając na usprawiedliwienie, czułem, jak narasta we mnie furia. - To było niewłaściwe.

- Fakt.

- A jednak to zrobiliście?

- Trzymając Glassa w niewiedzy, mogliśmy się zbliżyć do Rosjan. To nas nie usprawiedliwia. Nie wymazuje sprawy tych kobiet, ale mamy na głowie wiele innych spraw: zabójstwa, handel narkotykami, prostytutkę, handel ludźmi, przemyt broni, pranie brudnych pieniędzy. Czy warto było złożyć taką ofiarę? - Wzruszył ramionami. - Wszystko zależy od punktu widzenia.

- Mieliście prawny i moralny obowiązek zawiadomić rodziny.

- Powiedz to, stojąc nad ciałem dziesięcioletniej prostytutki z uszkodzonymi otworami

ciała. Albo przy furgonetce, którą właśnie wjechało do kraju siedemnaście kobiet i dzieci, które się udusiły, bo samochód nie miał wentylacji. Albo nad transportem przemywanej broni i narkotyków, które codziennie zabijają wielu ludzi. Sytuacja nie jest taka jednoznaczna.

- Jest.

Pochylił się ku mnie.

- Siedem kobiet czy siedem dziesięciolatek?

- To nie jest kwestia wyboru... ale zajmowania się wszystkim naraz.

Phillips się uśmiechnął.

- Jesteś idealistą.

- Może, ale ty postępujesz niewłaściwie.

Zaczął ponownie manipulować obrączką. Później spojrzął na zegarek.

- Nie ma na to czasu. Musimy odnaleźć Jill.

- Zróbcie to.

Spojrzał na mnie, nie mówiąc ani słowa.

Co się tu, u licha, dzieje? - pomyślałem.

- Hart utrzymuje, że powinniśmy iść z tobą na układ - powiedział w końcu. -

Zważywszy na to, ile wiesz, uważam, że ma rację. Co się jednak stanie z twoim nowym przyjacielem Healym?

- Co z nim?

- Nie chcesz mu pomóc?

- Jak?

- Facet idzie na dno, Davidzie. Kiedy się wykuruje na tyle, żeby wyjść ze szpitala, zakują go w kajdanki i postawią przed sędzią. A później trafi za kratki. Wiesz, co tam robią z byłymi gliniarzami?

- Co z tego?

- W zamian za przysługę potraktujemy go łaskawie.

- Jaką przysługę?

- Chcemy, żebyś przesłuchał Arona Crane'a - odpowiedział po chwili milczenia.

Phillips zaprowadził mnie i Liz do małego pokoju z ogromnym lustrem weneckim i metalowymi regałami, na których stało mnóstwo sprzętu elektronicznego. Przez szybę ujrzałem Arona Crane'a siedzącego samotnie w pokoju przesłuchań, z rękami skutymi kajdankami przytwierdzonymi do metalowego uchwytu w stole. Gapił się w ścianę, ze złamanym nosem i siniakami z boku głowy, tam gdzie walnąłem go łopata. Jeśli coś poczułem, to chyba wyłącznie zadowolenie z tego, że go zraniłem.

Przy komputerze obok sprzętu audio siedział funkcjonariusz ze słuchawkami na uszach. Na ekranie widać było kolorowy obraz z kamery wideo. W pokoju byli również Jamie Hart i umundurowany komendant posterunku. Zapamiętałem go ostatnim razem, kiedy przywieźli mnie na przesłuchanie. Wstał i podszedł, żeby nas przywitać. Podał dłoń Liz, ignorując moją obecność. Przedstawił się jako Ian Bartholomew. Najważniejszy glina na posterunku. Podziękował mi przez zęby za współpracę, ale nie wydawał się rad z pomysłu, aby przymknąć oko na to, co zrobiliśmy z Healyem. Było oczywiste, że Hart i Davidson przekonali go, żeby odpuścić. Po przywitaniu się Bartholomew usiadł w końcu pokoju i skinął głową Phillipsowi.

- Facet mówił najwyżej minutę od czasu, gdy go przywieźliśmy - wyjaśnił Phillips.

Drzwi do pokoju się otworzyły i umundurowany funkcjonariusz wniósł tacę z kupioną w kawiarni kawą. Teraz, gdy potrzebowali mojej pomocy, nie musiałem pić paskudztwa z automatu. Sięgnąłem po kubek, zdjąłem pokrywkę i obserwowałem Crane'a. Siedział bez ruchu jak głaz.

- Odtwórz - polecił funkcjonariuszowi przy komputerze Phillips.

Mężczyzna kliknął kilka pól i po chwili na ekranie ukazał się kadr filmu wideo.

- Nie możesz milczeć cały dzień - mówił Hart.

Crane siedział ze wzrokiem wbitym w stół. Podniósł głowę i spojrzał na Harta, przez chwilę utrzymując kontakt wzrokowy, a następnie utkwiał wzrok w blacie. W rogu ekranu widniał zegar wskazujący 01:57:43. Przez godzinę i pięćdziesiąt siedem minut przesłuchania nie powiedział ani słowa.

- Możesz w każdej chwili poprosić o adwokata - dodał Hart. - Masz do tego prawo. - Nadal nic. Żadnej reakcji. - Daj spokój, Aron, gdzie jest Jill White?

Crane pociągnął nosem.

- A może powiesz nam coś o Davidzie Rakerze? - podsunął uczynnie Phillips.

Crane na ekranie w końcu podniósł głowę.

- Czemu miałbym to zrobić?

- Facet cię interesuje.

- Czyżby?

- Znaleźliśmy jego zdjęcie na ścianie twojej kryjówki.

Crane wyduł wargi, jakby nagle zrozumiał, że Phillips miał rację.

- Coś ci powiem - wycedził. - Sprowadź tu Rakera, a dostaniesz swoje zeznanie.

- Wiesz, że nie możemy tego zrobić, Aronie - odpowiedział Phillips.

Crane wzruszył ramionami.

- W takim razie niczego nie usłyszycie.

- Czemu chcesz mówić z Davidem Rakerem?

Cisza.

- Aronie?

Bez reakcji. Głowa Crane'a ponownie opadła. Facet zaczął się gapić w blat. Kilka sekund później wyłączono kamerę. Koniec.

- O czym chciał z tobą gadać? - spytał Bartholomew.

- Nie mam pojęcia. - Spojrzałem na Crane'a. - Chyba uważa, że coś nas łączy.

- Na przykład co? - zapytał Phillips.

Pokręciłem głową.

- Skąd mam wiedzieć?

- To bardzo nietypowa sytuacja - stwierdził Bartholomew. Siedzący obok Hart poruszył się na krześle, składając kościste dłonie na kolanach. - Nie urządzimy cyrku na komendzie.

- Świetnie, nie będę z nim gadał.

Bartholomew i Phillips spojrzeli na siebie. Komendant podniósł się i podszedł do mnie.

- Nie podoba mi się to wszystko, panie Raker - powiedział. - Nic a nic.

- W takim razie jest nas dwóch - odrzekłem.

- Czemu jest pan dla niego tak wyjątkowy?

- Nie wiem - powiedziałem, sącząc kawę i podchodząc od szyby. - Nie wiem, ale mam wrażenie, że się dowiem.

Kiedy wszedłem, Aron Crane podniósł głowę. Policjant w mundurze zamknął za mną drzwi. W pokoju było ciepło. Żadnych okien. Żadnego zegara. Żadnego dziennego światła. Mogła być dowolna pora dnia. Crane trwał w całkowitym bezruchu. Oparł dłonie na blacie stołu i utkwiał we mnie wzrok. Kiedy usiadłem, rzucił szybkie spojrzenie w stronę weneckiego lustra.

- Witaj, Davidzie - powiedział cicho.

Przyjrzałem się uważnie jego twarzy.

- Czego chcesz?

Spojrzał na mnie z lekkim uśmiechem, ale nie odpowiedział.

- Jeśli będziesz milczał, wstanę i wyjdę. Obiecuję ci, że już nigdy nie wrócę.

Skinął głową.

- Sprawiedliwy układ.

- Gdzie jest Jill?

- Możemy zacząć od początku? - Przesunął językiem po rozciętej wardze. Wolną dłonią podwinął rękaw. Na wewnętrznej stronie ręki ukazała się blizna przypominająca ślad po oparzeniu. - To Isabelle Connors.

Pierwsza kobieta, którą zamordował.

- Co masz na myśli? Isabelle ci to zrobiła?

Spojrzał na ramię.

- Doprawdy urocza dziewczyna - powiedział - ale miała paskudny charakter. Była odrobinę... nieprzewidywalna. Nie spodobał się jej cały ten... - Poruszył palcami prawej ręki przed twarzą. - Wybudziła się z narkozy nieco szybciej, niż sądziłem, i zanim się obejrzałem, wylała mi na rękę pół butelki kwasu siarkowego. - Przerwał i wytrzeszczył oczy. - Au!

Dotknął blizny palcem. Była ciemnoróżowa, pokryta cętkami.

- Jakie wnioski wyciągnąłem? Nigdy nie kupować rumuńskiego tiopentalu. Po tym incydencie zmieniłem środki używane do znieczulenia. Sprowadziłem trochę eteru dietylowego z Rosji i na jakiś czas wystarczyło... ale w końcu znudziło mnie sprzątanie rzygowin. Ten środek powoduje, że człowiek staje się chorobliwie błądy... - Nagle zamilkł, przypatrując mi się uważnie. - Powiedz, kiedy zacznę cię nudzić.

Nie zareagowałem.

- Później zacząłem używać halotanu, który spisywał się znakomicie aż do Sony.

Niestety, po raz drugi spartaczyłem robotę i nie wykonałem częściowego znieczulenia, jak należy. Teraz już wiesz, czemu uczą tego siedem lat.

Odchylił się na krześle, jakby skończył.

- Nie jesteś lekarzem?

- Pięć lat szkoły medycznej, rok stażu, dwa lata praktyki ogólnej, rok specjalizacji na chirurgii plastycznej. Wiem, jak zrobić operację plastyczną twarzy, jeśli o to ci chodzi. Czy jestem wykwalifikowanym chirurgiem plastycznym? Nie, nie jestem. - Potarł palce kciukiem.

- Na drugim roku specjalizacji pojawiły się bardziej obiecujące możliwości zarobkowania od łązenia za konsultantem i podawania mu nożyczek.

- Masz na myśli zorganizowaną przestępczość?

- Wiesz, ile wyciąga chirurg plastyczny pracujący w państwowej służbie zdrowia?

Pokręciłem głową, starając się przejrzeć jego grę. Odgadnąć, dokąd zmierza i jakie pułapki próbuje na mnie zastawić.

- Najgorsi wyciągają jakieś siedemdziesiąt patyków. Dobrzy osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt. Najlepsi dochodzą do stu. Wiesz, ile zgarnąłem za operację twarzy tego Rosjanina? - Miał na myśli Akima Gobulewa. Ducha. Lekko przechylił głowę. - Davidzie?

- Ile?

Uśmiechnął się szeroko.

- Pomyślałem, że na chwilę przysnąłeś.

- Ile?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Za jedną twarz. W siedem godzin zarobiłem więcej niż najlepszy chirurg w państwowej służbie zdrowia przez cały rok. Tam zajmują się mikrochirurgią. Szlachetnymi procedurami, jak ratowanie spieprzonych nóg ofiar wypadków motocyklowych lub przeszczepy mięśni. Wyciągam dwa razy więcej, wkładając w robotę połowę wysiłku. Cofnąłem mu szczękę, powiększyłem kości policzkowe, podniosłem oczy, naciągnąłem skórę twarzy, wysmukliłem nos, przesunąłem kości, wykonałem liposukcję, zrobiłem nacięcie i wypełnienie. To skomplikowane, ale... - Przyłożył palec do warg, jakby chciał powiedzieć: „cicho sza”. - Gość był brzydki jak noc, więc nikt się nie połapał, że spartaczyłem robotę.

Spojrzałem mu w oczy.

- To musiało być wspaniałe uczucie.

- Jak to?

- Stałeś się jak twój bohater, Milton Sykes. - Wskazałem głową jego rękę przykutą do metalowego uchwytu stołu. - Obaj traficie do podręczników historii.

Roześmiał się.

- Fakt, ale on nie zarobił półtora miliona w jeden rok.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Jeden z paznokci lewej ręki był oderwany. Rana wyglądała na całkiem świeżą. Na czubku środkowego palca widać było opuchnięte zasinienie.

Przesunął po stole dłonią przypominającą pająka, wyciągając palec.

- To wspaniale być bogatym, Davidzie - powiedział cicho. Zignorowałem go.

- Dlaczego akurat kobiety?

- Każdy ma jakieś gusta.

- Czemu je operowałeś?

Wzruszył ramionami, nie odpowiadając.

- Co chciałeś przez to osiągnąć?

Popatrzył w stronę weneckiego lustra, a później spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Stworzyć armię sobowtórów! - Wybuchnął śmiechem, odchylając się na krześle. Nagle zamilkł, jakby stracił przytomność. - Nie. Poważnie mówiąc, po prostu lubię ciąć kobiety.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Między nami zapadło milczenie. Spojrzałem na niego. Twarz Arona wyglądała tak, jakby została odlana w betonie. Nie potrafiłem niczego z niej wyczytać.

- Skoro tak, czemu nie pociąłeś Megan?

Nie odpowiedział.

- Kręci cię mordowanie kobiet, ale nie tykasz nastolatek w ciąży? - Coś błysnęło na jego twarzy. - Wiem, że to nieprawda.

Zmarszczył brwi.

- A to czemu?

- Pamiętasz pojemnik, który zostawiłeś w Mile End?

Nie odpowiedział.

- Było w nim serce dorosłego i serce dziecka.

Pomyślałem o pojemniku, który policja znalazła w wozie

Healy'ego po dotarciu do lasu. W tej chwili znajdował się pewnie w jakimś laboratorium kryminalistycznym.

- Niczego sobie nie przypominasz?

Ponownie nie udzielił odpowiedzi. Jego twarz przybrała kamienny wyraz.

- Czy któraś jeszcze była w ciąży? - Nadal nic. W końcu stało się jasne, że nie zdołam

go namówić do zwierzeń. Odwróciłem się w kierunku szyby. - Czy któraś z zamordowanych urodziła? Miała cesarskie cięcie? Przeszła depresję poporodową? - Pauza, a po niej kliknięcie.

- Nie. - Odpowiedzi Phillipa towarzyszył pogłos echa. W pokoju przesłuchań ponownie zapadła cisza. Spojrzałem na Crane'a.

- Czyje to serca?

Popatrzył na mnie, pocierając palcem wskazującym o kciuk lewej dłoni. Robił tak, kiedy się zastanawiał. W końcu wzruszył ramionami.

- To bez znaczenia dla tej sprawy.

- Jakiej sprawy?

- Sześciu kobiet.

Przyjrzałem mu się uważnie.

- Chcesz powiedzieć, że zamordowałeś więcej kobiet?

Prychnął.

- Ta szóstka była jedynie próbą. Pociąłem je, bo sprawia mi to przyjemność. Lubię ciąć ludzi, ale zrobiłem to także w celach badawczych.

- Jakich?!

- Chciałem się przekonać, jak bardzo można zmienić ludzką twarz. Potraktuj te kobiety jako pierwsze z dwóch płócien. Drugie miało być arcydziełem.

- Co przez to rozumiesz?

Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Zabębnił palcami o blat stołu.

- Po prostu lubię blondynki, Davidzie. Co mam ci powiedzieć?

- Jakie to cele badawcze? - spytałem, zaciskając pięści.

- Szukałem Marilyn Monroe... - Uśmiechnął się ponownie. - A może przypominały mi matkę.

- Czemu to powiedziałaś?

- Czyż nie o to wszystkim nam chodzi?

- Nam?!

- Seryjnym mordercom. - Jego wargi wykrzywiły się w uśmiechu. - Daj spokój, Davidzie. Wiesz równie dobrze jak ja, że seryjny morderca musi się trzymać swojego modus operandi. To bardzo ważne. Cóż, te kobiety poruszyły we mnie wszystkie czułe struny. Blondynki. Ładne, wyraźne rysy. Kilka skaz, ale nic, czemu nie dałoby się zaradzić szybkim. - Użył wolnej ręki, by pokazać cięcie noża. - Były kobiece. Śliczne, nie sama skóra i kości. Chciałem poprawić im figurę. Gdybym pragnął szkieletów, byłbym je zakopał.

- Gdzie je poznałeś?

Spojrzał mi w oczy. Jego twarz była całkiem nieruchoma z wyjątkiem oczu, które nieustannie śledziły moją twarz.

- Tu i tam. Zadziorną Isabelle na warsztatach, w których brałem udział.

- Lekarskich?

- Nie. Uczyłem się, jak robić maski. Było to coś w rodzaju dorywczego zajęcia. Przecież nie miałem stałej roboty, a nie można bez końca kupować ferrari za brudny szmal. - Oczy mu błysnęły. - Pomysł podsunął mi jeden z konsultantów, za którym łąziłem na specjalizacji. Dziwaczny mały jegomość. Zamawiał lateksowe maski i nakładał je na manekiny, żebyśmy zawsze mieli przed sobą twarz, kiedy rozmawiamy o operacji. Sądził, że to dobry sposób, aby wszystko uczłowieczyć, nawet plastikową lalkę. Jeśli będziesz miał przed oczami twarz, będziesz postępował uważniej. Tylko że miałem gdzieś to jego chrzanie. Spoglądałem na maski i myślałem, jak bym się czuł w skórze kogoś innego.

- Dlaczego akurat Sykes?

- Uznałem go za intrygującą postać.

- Bo zamordował trzynaście kobiet?

- Nie, bo ludzie nadal się go boją. Nawet dziś. Jeśli pojedziesz do Hark's Hill i wypowiesz jego nazwisko, starsi ludzie z miejsca narobią w portki. Wspomnisz o nim dzieciakom w okolicy, które mogły o nim nie słyszeć, a będą wiedziały jedno: to miejsce jest nawiedzone. Przecież tam byłś, Davidzie. Czułeś to, prawda?

Nie odpowiedziałem.

Uśmiechnął się.

- Wiem, że czułeś. Zakopał w lesie ciała trzynastu kobiet tak, że nikt nie mógł ich odnaleźć. Dopóki nie odkopano zwłok, miejsce zachowywało swoją moc. W końcu zadowolili się zbudowaniem betonowego muru i drucianego ogrodzenia, pozwalając, żeby przyroda zajęła się resztą. Próbowali zapomnieć o ciałach i domu, w którym przyszedł na świat, ale to miejsce nawiedzały duchy. - Przerwał i pochylił się w moją stronę, ścisząc głos do szeptu. - Ja o nich nie zapominałem. Odnalazłem ich ciała.

- Dlaczego?

- Nazwijmy to zdobyciem psychologicznej przewagi. Kiedy odnalazłem ciała, Sykes przestał sprawować władzę nad tym miejscem. Przestał być tatusiem. - Umilkł, by po chwili mrugnąć okiem. - Teraz byłem nim ja.

- Odbiło ci!

- Czyżby?

- Posłuchaj samego siebie.

- Słucham. - Przytknął wolną dłoń do ucha. - Wspaniale brzmię, Davidzie. Kapujesz, jestem człowiekiem, który odnalazł zwłoki ofiar Milтона Sykesa. Policja powinna być mi wdzięczna. Rozwiązałem zagadkę sprzed stu lat.

- Skąd wiedziałeś, że tam są?

Pochylił się ponownie w moją stronę, pocierając palcem złamany nos.

- Pies je znalazł.

- Chart?

- Przygarnąłem kundla, kiedy szwendał się po lesie. Zaczął za mną łązić. Nasłuchiwał. Później zaczął kopać w lesie dzień w dzień, aż w końcu wrócił z kością udową.

- Ładnie go nagrodziłeś.

- Prawda? Czyż nie?

- Oparzenia od petów, przeszczepiona skóra, wycięty bok pyska. Większość właścicieli nagradza swoich pupilów pedigree chum.

Uśmiechnął się.

- Czasami mnie wkurzał, kiedy indziej było mi go żal.

- Wątpię.

- Miał raka skóry. Pobrałem wycinek skóry z uda jednej z kobiet i przyszyłem psu. Przyznaję, że to niezbyt naukowe podejście, ale... do licha, dziewczyna była już martwa. - Wzruszył ramionami. - Widzisz? Nawet ja potrafię być miłym facetem.

Minęło trzydzieści sekund. Żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Patrzyliśmy na siebie. W końcu przerwał milczenie.

- Ciekawe miejsce to Hark's Hill - powiedział. - Za zasłoną drzew kryje się całkiem obcy świat, choć większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia. A może po prostu zapomnieli. Właśnie tam Sykes zabrał Jenny Truman, wiesz? Przekonał ją, żeby z nim uciekła, a później zaprowadził do tunelu wychodzącego ze starej fabryki. - Przerwał, a jego oczy zabłysły. - Dobra kryjówka, co? Te zabite drzwi obok tunelu wentylacyjnego? Korytarz prowadzi aż do starej fabryki amunicji z drugiej strony lasu. Przetransportowałem nim wszystko. Materiały, sprzęt, a kiedy skończyłem, zaspawałem na amen.

- Czemu zostawiałeś naszyjniki? - zapytałem.

- Dla zabawy.

- W ten sposób cię złapano.

- Czyżby?

- Gdyby nie naszyjniki, nikt nie powiązałby kobiet, a tym bardziej nie skojarzył ich z tobą. Sam się zdradziłeś.

Wzruszył ramionami.

- Byłem bliski ukończenia mojego małego przedsięwzięcia.

- Jak to?

- Naszyjniki były ważnym elementem planu. Podobał mi się pomysł zostawienia czegoś dla policji. Małej wizytówki. Czegoś, co ich wkurzy i wystawi na próbę. Nie zamierzałem stale tego robić. Jeszcze jedna po Jill i moje badania byłyby zakończone.

- Chciałeś się po prostu wycofać?

Uśmiechnął się.

- Niezupełnie.

- To co?

- Jeszcze nie zdecydowałem.

Spojrzałem na niego badawczo. Przesuwał palcem wolnej dłoni po krawędzi stołu. Skóra zahaczyła o odpryski.

- Ile zabiłeś?

Westchnął, wodząc palcem po stole w drugą stronę.

- Nie wiem, Davidzie - powiedział, podnosząc głowę i spoglądając mi w oczy. - A ty?

Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. Cały czas obok mnie stał kubek z parującą kawą. Podniosłem go, wypilem kilka łyków, a później odstawiłem i pochyliłem się do przodu, kładąc dłonie na stole.

- Czy Aron Crane to twoje prawdziwe nazwisko?

Wzruszył ramionami, opierając się o krzesło.

- Nazwiska i liczby nie mają znaczenia, Davidzie. Nie są ważne. Imię to zwykły kawałek papieru. Możesz się nazywać, jak chcesz, nie zmieni to tego, kim jesteś lub co robisz. Nazwisko to jedynie sposób umożliwiający przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Jak mała scena.

- Zatem Aron Crane był sceną?

Skinął głową, wpatrując się we mnie z uporem, jakby pragnął, żebym odwrócił oczy, co miałoby oznaczać, że odniósł zwycięstwo. Tak się jednak nie stało. Nie było mu dane zwyciężyć ani teraz, ani kiedykolwiek.

- Czemu wplątałeś w to Markhama?

Westchnął.

- Przecież wiesz.

- Wykorzystałeś go po strzelaninie w magazynie Drayton Imports w Bow.

- Poprawna odpowiedź! - Klepnął wolną ręką o blat stołu, a później nagle zamilkł.

Przybrał poważną minę i utkwiał we mnie wzrok. - W obławie na Ruskich brali udział gliniarze pod przykrywką, a operacje Drayton Imports zaczęły budzić coraz większe podejrzenia. Wcześniej czy później by mnie dopadli.

Frank White i jego kolega weszli mi w drogę, więc ich zabiłem i odszedłem w swoją stronę.

- Ot tak, po prostu?

- Wszystko jest proste, jeśli dobrze się przygotujesz.

Otworzył szeroko oczy i odchylił się na krześle, napinając kajdanki.

- Gdzie znalazłeś Markhama?

- Zwróciłem na niego uwagę, kiedy śledziłem Megan. Obserwowałem ją od jakiegoś czasu. Wydawała się... - Znowu pochylił się do przodu i wyszeptał: - Wydawała się w moim typie. Wiesz, co mam na myśli? - Mrugnął porozumiewawczo. - Musiałem się wycofać, kiedy White zaczął węszyć, a Markham wydawał się odpowiednią osobą. Przyjaźnił się z Megan, dziewczyna mu ufała. Na dodatek miał żonę, której się popieprzyło, a to oznaczało słaby punkt. - Zmrużył oczy i zrobił poważną minę. - Ludzie, których kochamy, zwykle są naszym słabym punktem.

Coś błysnęło w jego oczach, by po chwili zniknąć.

- Po śmierci Franka White'a w mediach pojawiło się dużo materiałów na jego temat. Kiedy zabijesz gliniarza, robi się taki huk, jakby zrzucono bombę atomową, prawda? Wywiady z kolegami z biura, z rodziną, z przyjaciółmi... na koniec z Jill. Zapłakana wdowa. Od razu wpadła mi w oko. Pasowała do reszty. Zacząłem chodzić na poranną kawę tam gdzie ona. Po tygodniu w końcu powiedziała „cześć”. Po dwóch tygodniach zaczęliśmy rozmawiać, a po miesiącu miałem ją w garści. Kiedy chcę, potrafię być czarujący.

- Czemu nie skłoniłeś Markhama, żeby ją do ciebie przyprowadził?

- Nie potrafiłem usiedzieć na miejscu, patrząc, jak robi różne śmieszne rzeczy. Na dodatek facet nie mógł nadążyć za moim apetytem. Szczerze mówiąc, był gówniarzem. Trzeba było mówić jak do dziecka, żeby zrozumiał wszystkie reguły. Pochlastanie Markhama przyniosło korzyść wszystkim, możesz mi wierzyć.

Przerwał, by teatralnie odchrząknąć.

- Obserwowałem, jak wchodzisz do domu Carverów półtora tygodnia temu. Zwracałem uwagę na wszystko, co miało związek z Megan. Chciałem się upewnić, że nadal jestem bezpieczny. Dopóki trwało policyjne śledztwo, wszystko było w porządku. - Skinął głową w kierunku szyby, a następnie ściszył głos, ale tak, by słyszeli go w pokoju obok. - Oni nie mieli pojęcia, kim jestem, Davidzie. Zielonego pojęcia.

Dlatego postanowił chodzić na spotkania grupy wsparcia. Chciał mieć na mnie oko.

- Śledziłeś mnie?

- Można tak powiedzieć. Kiedy Jill zaczęła mi ufać, podsunąłem jej pomysł grupy wsparcia, żeby cię poznać. Później zrozumiałem, że muszę sprawdzić, na co cię stać. Przekonałem ją, żeby zaapelowała do twojego sumienia i skłoniła do zbadania sprawy śmierci Franka.

- Po co ryzykowałeś?

- Nie było żadnego ryzyka. Powtarzała mi wszystko, co jej powiedziałeś. To znacznie lepsze od poruszania się na ślepo, żeby ustalić, co wiesz, a czego nie. Wystarczył jeden wieczór w grupie wsparcia, aby cię ocenić. W końcu to rozumiałe. Spójrzmy prawdzie w oczy, w takiej grupie człowiek zapomina o ambicjach. - Mrugnął ponownie i się uśmiechnął. - Bez urazy, Davidzie. Jestem pewny, że pomogło ci w tym patrzeć, jak twoja żona traci włosy i resztki ludzkiej godności.

Poczułem, jak wściekłość ściska mi gardło i napina mięśnie. Miałem ochotę grzmotnąć go pięścią w twarz. Usłyszeć pękające kości. Pozwoliłem jednak, by drzenie przeszło wzdłuż rąk i palców. Spojrzałem w jego kamienną twarz. Nie uśmiechał się, patrząc na mnie oczami bez wyrazu.

- Gdzie jest Jill?

Brak reakcji. Najmniejszego ruchu twarzy. Jakby mnie nie słyszał.

- Nie jesteś panem sytuacji, Aronie. Gdzie ona jest?

- Włamałem się do twojego domu, Davidzie - powiedział, jakby nadal mnie nie słyszał, kontynuując opowieść głosem pozbawionym emocji. - Widziałem jej zdjęcia. Twojej żony. Derryn była piękną kobietą. Wiesz, przedtem. Jasne włosy. Zgrabna figura. Nie była chuda, nie wyglądała jak chłopczyca. Mamy ten sam gust.

- Nic nas nie łączy.

- Czyżby?

- Jesteś pieprzonym zwierzęciem. Gdybym za to, co chcę zrobić, mógł stąd odejść wolno, wepchnąłbym cię do grobu.

Otworzył szeroko oczy.

- Och, Davidzie! Cóż za odwaga!

Nie zareagowałem. Nie chwyciłem przynęty.

- W każdym razie - ciągnął, strząsając wyimaginowany włos z więziennego kombinezonu - jest, jak jest. Odgrywałeś rolę zacnego, pogrążonego w cierpieniu wdowca. Tak ci pasowało. Kobiety uwielbiają takie rzeczy. Założę się, że twoja prawniczka pochlipie,

patrzac, jak odgrywasz silnego, wzraliwego faceta. - Wzial dlugi, glęboki oddech i spojrzal na stol, a pozniej uniosl glowe i sie usmiechnal. - Co to za uczucie rznac ja po tylu latach pieprzenia sie z ta sama kobieta? Jest jakaś różnica? - Oblizal wargi dla wzmocnienia efektu. - Jest bardziej ciasna?

- Pozwól, że cię o coś spytam - powiedziałem, nachylając się ku niemu.

Jego oczy się poruszyły. Nie uzyskał reakcji, jakiej pragnął, ale na jego twarzy pozostał połowiczny uśmiech; komunikujący, że nadal sprawuje kontrolę. Popatrzyłem na niego. Myślę, że wiem, dlaczego nie zabiłeś Megan, przemknęło mi przez głowę. Myślę, że wiem, do kogo należą te serca.

- Gdzie pochowano twoją żonę?

Odchylił się na krześle.

- Przedstawię ci moją teorię, Aronie, doktorze Glass lub jak tam się, u licha, nazywasz. To wszystko jest twoją próbą odkupienia. Pragniesz ją odzyskać. Myślę, że zabiłeś jedyną osobę, którą naprawdę kochałeś.

Próbował ukryć emocje, ale coś się wymknęło zza maski. Słaby błysk.

Trafiłem w czuły punkt.

- Może ją zamordowałeś, żeby zaspokoić swój „apetyt”, a może zrobiłeś to przez przypadek. Teraz tego żałujesz, a wszystkie te kobiety... ich wygląd i sposób, w jaki je tniesz... są jej namiastką. - Przysunąłem się bliżej. - Sęk w tym, że niezależnie od tego, ile kobiet zabijesz i jak je potniesz, żeby wyglądały jak ona... nie wskrzesisz kobiety, którą kochałeś. Przyjmij te słowa od człowieka, który sam to przeżył.

Jego uśmiech zniknął. Dopadłem drania. Moje domysły okazały się słuszne.

- Czy twoja żona była w ciąży, kiedy zginęła?

Skrzywił się, jakbym go dotknął paralizatorem.

- Czy serca, które znalazłem, należały do nich?

Położył dłonie na stole przede mną.

- Megan wygląda dokładnie tak jak twoja żona, prawda? - zapytałem. - Wystarczyłoby kilka drobnych zmian, żeby przywrócić ją do życia. Może była nieco młodsza, ale z tym byś sobie poradził. Dlatego zadałeś sobie tyle trudu, żeby stworzyć stronę London Conservation Trust. Dlatego powiedziałeś Markhamowi, żeby nigdy do niej nie dzwonił i nie wysyłał e-maili. Bo w przypadku tej jednej nie chciałeś ryzykować. W końcu liczyła się tylko Megan.

Siedział w milczeniu, wdychając i wydychając powietrze.

- Wszystkie pozostałe przypominały ciała, na których się uczyłeś w szkole medycznej. Sama tkanka i kości. Manekiny. Nic więcej. Były obiektem twoich badań. Twoim małym

projektem. Kroiłeś ich twarze i nosy, aby nie pokpić sprawy, kiedy przyjdzie pora na tę, która naprawdę się liczyła. W końcu ją znalazłeś. Znalazłeś Megan. Markham uważał jej ciążę za pecha, ale ty uznałeś to za znak. Za siedem tygodni twoja misja byłaby skończona. Poddalbyś Megan operacji plastycznej, oprócz żony odzyskując swoje nienarodzone dziecko.

Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

- Istnieje tylko jeden problem, Aronie. Całe to przedsięwzięcie było chore. Jesteś psychopata. Jestem pewien, że jakiś psychiatra uzna cię za fascynujący przypadek, bo potrafisz mordować z zimną krwią, jednocześnie zachowując pozytywny związek emocjonalny z jakąś ludzką istotą. Dla mnie jesteś czarno-biały. Jesteś postacią bez tajemnic. Kolejnym pozbawionym wartości śmieciem.

Cisza.

Wytrzymałem jego spojrzenie. Po dłuższej chwili odwrócił wzrok. Lewa dłoń przykuta do stołu złapała metalowy uchwyt. Kajdanki brzęknęły o blat. Sprawiał wrażenie, jakby zapadł w sen, ale chwilę później poruszył się na krześle. Kajdanki brzęknęły po raz drugi. Puścił uchwyt, spojrzał na mnie i zadrżał.

Ale nic nie powiedział.

Wstałem. Powiódł za mną wzrokiem, choć jego ciało pozostało nieruchome. Podeszedłem do wyjścia i nacisnąłem przycisk interkomu. Drzwi otworzyły się do środka. W korytarzu czekał umundurowany funkcjonariusz, żeby zaprowadzić mnie do sąsiedniego pomieszczenia. Kiedy się obejrzałem, Crane spoglądał na mnie spode łba. Na jego twarzy mignął cień uśmiechu. Tym razem prawdziwego. Uniósł kącki ust. Zrobił wielkie oczy, jakby pragnął wchłonąć całe światło znajdujące się w pokoju.

- Skończyliśmy - powiedziałem do niego.

Przesunął językiem po wargach.

- Naprawdę? - spytał cicho.

Jego prawo

Cela aresztu śledczego była mała i zimna. Białe ściany wyglądały tak, jakby niedawno je odświeżono, ale w rogach i na środku beżowokremowego sufitu łuszczyła się farba. Wewnątrz znajdowała się przytwierdzona do ściany prycza i metalowa toaleta przykręcona do podłogi.

Aron Crane siedział na skraju łóżka. Jego ubrania spakowano do toreb i zabrano. Teraz miał na sobie ciemnogranatowy sweter, czarne spodnie i czarne kapcie na gumowej podeszwie. Przy drzwiach pełnił wartę umundurowany funkcjonariusz. Kiedy okienko się przesunęło, Crane widział fragment jego głowy i skrawek białej bawełnianej koszuli. Czasami do środka zaglądali inni policjanci, jedni w mundurach, drudzy po cywilnemu.

Wszyscy chcieli na własne oczy zobaczyć Doktora Glassa.

Siedział tak od godziny, kiedy drzwi otworzyły się ze zgrzytem. W wejściu stanęli dwaj policjanci. Jeden z nich trzymał w ręku kajdanki. Weszli do środka i kazali mu wstać, a następnie skuli nadgarstki i wyprowadzili z celi. Zaprowadzili go do pokoju, gdzie wcześniej rozmawiał z Rakerem.

Raker.

Crane go nie docenił. Pomyślał, że zdoła go wykorzystać, bo facet miał kilka wrażliwych punktów. Kilka słabości. Niestety, Raker okazał się spostrzegawczy i sprytny. Użył żony Crane'a jako przynęty. Próbował dostać się do wnętrza jego głowy, zmusić do reakcji. Nie miał nic przeciwko temu, choć David mógł pokrzyżować jego plany. Bo Crane miał wobec niego plan.

Niebawem się zemści.

Skręcili za rogiem, wprowadzili go do pokoju przesłuchań i posadzili przy stole. Przykuli mu rękę do metalowego uchwyty przyspawanego do blatu, a następnie wyszli.

□ □ □

Niebawem dowiedzą się o Phedrze. Wiedział o tym. Jeśli się postarają, odkryją, gdzie ukrył jej ciało. Obok niego znajdą drugie. Zrozumieją, że napis wyryty na naszyjniku - PC - to jej inicjały, on sam zaś stanowił kiedyś jej własność.

Ale nigdy nie odkryją, co się stało.

Nawet on nie był do końca pewien. Rozmyślał o tym wiele razy. Czasami był przekonany, że zginęła przypadkowo, czasami przed oczami stawała mu inna wersja

wydarzeń. Widział, jak niesie tacę na tarasie na dachu ich domu i się potyka. Kiedy indziej na niego krzyczała. Wrzeszczała, że do porodu zostały dwa miesiące, że powinien się nią zajmować. Wtedy ją popchnął. Jedno było pewne, gdy znad krawędzi dachu spoglądał na jej ciało rozpostarte na trawie.

Patrzyła na niego, czując, jak uchodzi z niej życie.

□ □ □

Do pokoju weszli dwaj policjanci ubrani po cywilnemu. Hart i Phillips. Hart spytał go, jak się czuje. Crane nie udzielił odpowiedzi. W ogóle niewiele się do nich odzywał. Pragnął im jedynie powiedzieć, że chce, aby to Raker zadawał pytania. Teraz podjęli kolejną próbę.

- Panie Crane - zaczął Hart - proszę nam powiedzieć, gdzie jest Jill White.

Crane przyjrzał się mu uważnie. Facet przypomina szkielet, przemknęło mu przez głowę.

- Panie Crane?

Wyglądasz, jakby trzeba było zakopać cię w ziemi, dodał Crane w myślach.

- Chciałbym wykonać jeden telefon.

Spojrzeli na niego. Uśmiechnął się do siebie. Powiedział coś, co ich zamurowało. Hart spojrzał na Phillipsa, a później przeniósł wzrok na Crane'a.

- Chce pan adwokata?

Crane skinął głową.

- Możemy go panu wyznaczyć.

- Mam własnego.

- Zgoda, zadzwonimy...

- Nie - odparł Crane. - To ja zadzwonię.

- Dlaczego teraz? - zapytał Phillips.

- Bo mam takie prawo.

- Tak, ale dlaczego teraz?

- Bo mam takie prawo.

Ponownie na niego spojrzeli. Hart pochylił się do przodu, a Phillips lustrował go wzrokiem z przekrzywioną głową, jakby próbował go rozszyfrować. Crane nic nie mówił, więc trwali chwilę bez ruchu, wpatrując się sobie w oczy. Wiedział, że Phillips coś o nim wie. Pod wieloma względami przypominał Rakera: obaj byli czujni, bacznie śledzili przebieg rozmowy, wypatrywali dziwnych sygnałów. W końcu Phillips przestał kręcić obręczką i wolno skinął głową.

- W takim razie niech pan zadzwoni do swojego adwokata - stwierdził.

Dochodziła dziewiąta wieczór, kiedy dotarłem do Derry Road. Sznur policyjnych radiowozów stał u wejścia do alejki prowadzącej do Torowiska Umarłych, a cała ulica została otoczona kordonem. Wysiadłem z taksówki na południowym końcu i poczekałem, aż umundurowany policjant powiadomi Phillipsa przez krótkofalówkę o moim przyjeździe. Minutę później uniósł policyjną taśmę, a ja pochyliłem się i ruszyłem chodnikiem w kierunku oka cyklonu. Ludzie wyglądali z otwartych okien, światła policyjnych kogutów barwiły beton na niebiesko. W chłodnym powietrzu zapowiadającym deszcz od domów unosiła się woń jedzenia.

Na środku ulicy zauważyłem dwóch antyterrorystów. Jeden z nich, z glockiem siedemnastką w kaburze na biodrze, siedział na tylnej kanapie radiowozu, sprawdzając pistolet maszynowy Heckler & Koch MP5. Drugi przycupnął z przodu, rozmawiając przez telefon i zapisując coś na kartce, którą przyciskał do deski rozdzielczej. Za nim stała policyjna furgonetka marki Mercedes Sprinter. Na zewnątrz samochodu czekało dwóch funkcjonariuszy. Wokół mercedesa w półkolu stało kilka wozów policji metropolitalnej. W ich sąsiedztwie dostrzegłem Phillipsa i Harta. Rozmawiali ze sobą, a Hart wskazywał zamknięte tylne drzwi policyjnej furgonetki.

W środku był Aron Crane.

Kiedy podszedłem, Hart uniósł głowę, a Phillips podążył za jego wzrokiem. Obaj pozdrowili mnie skinieniem głowy. Nie chcieli, żebym tu był. Ja też nie miałem na to najmniejszej ochoty. Crane obiecał im, że pokaże, gdzie jest Jill - pod warunkiem że będę na miejscu. Hart i Phillips mieli wypisane na twarzach, że ich zdaniem byłem w to jakoś zamieszany. Jedno wiedziałem na pewno: ta cała historia kryje w sobie coś bardzo niedobrego. Coś niebezpiecznego i złowieszczego.

Crane od miesięcy śledził Jill, jednocześnie zmuszając Markhama do uwiedzenia Megan i Sony. Pomyślałem, że spodobał mu się pomysł polowania na żonę mężczyzny, którego zabił. Że łechtał jego ego. Jego poczucie władzy. Sprawowania kontroli nad sytuacją. Nawet teraz, mimo tylu ludzi, samochodów i demonstracji siły, tylko jedna osoba kierowała przedstawieniem. Aron Crane.

Phillips oznajmił, że za chwilę do mnie podejście, a później obaj odwrócili się do mnie plecami, żeby porozmawiać na stronie. Było mi wszystko jedno. Nie musiałem znać ich strategii, aby wiedzieć, że sytuacja wygląda kiepsko.

Wokół nich zebrała się grupa policjantów. Niektórzy byli z psami, inni z latarkami. Dwaj uzbrojeni antyterrorysty obserwowali okolicę z tyłu furgonetki. Jeden bawił się zamkiem swojego glocka. Wyjął pistolet z kabury, sprawdził go i włożył na miejsce. Za chwilę drzwi się otworzą i Crane wyjrzy na zewnątrz. Będzie zachwycony chaosem, który spowodował.

W końcu Phillips i Hart obgadali sprawę i Hart odszedł na bok. Phillips zachowywał się tak, jakby dowodził operacją. Hart był zawodowym gliną. Solidnym i godnym zaufania, inteligentnym, ale pozbawionym naturalności. Awansował na kolejne stopnie, bo osiągał dobre rezultaty i mówił to, co należało. Phillips był inny. Potrafił prowadzić grę, będąc jednocześnie dobrym w swoim fachu. Ludzie oczekiwali, że to właśnie on obejmie dowodzenie.

Podszedł do mnie.

- Crane wyjdzie z rękami i nogami w kajdankach - oznajmił, nie tracąc czasu na powitanie. - Przodem pójda dwaj policjanci z latarkami, kilku innych będzie osłaniać skrzydła. Antyterrorysty nie odstąpią go na krok. Oprócz broni będą mieli latarki.

Przerwał. Podeszła do nas policjantka, żeby spytać, czy chce, aby odsunąć dalej przedstawicieli mediów. Zatrzymał na niej wzrok, odwracając się w moją stronę.

- Byłeś w środku? - spytałem.

- Tak.

- Znalazłeś coś?

- Nie. Crane powiedział, że to w odległości około dwudziestu minut drogi od kryjówki, ale nie podał kierunku. - Przerwał, jakby dostrzegł coś na mojej twarzy. - Przeanalizowaliśmy ryzyko. Sądzę, że wzięliśmy pod uwagę każdą ewentualność.

- Będzie bardzo ciemno.

- Do rana Jill może już nie żyć. - Miał rację, ale nie poprawiło mi to nastroju. - Karetka i dwie drużyny wsparcia z psami zjawia się lada chwila. Jedna pójdzie przodem, druga podąży naszym śladem. Pozostaje inspektor Hart, ja i ty.

- Sprowadziliście zespół kryminalistyczny?

- Nie, ale będą czekali w pogotowiu. Zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi. Później wezwę Davidsona. - Przeniósł wzrok, spoglądając na Davidsona rozmawiającego z umundurowanym funkcjonariuszem po drugiej stronie policyjnej furgonetki. - I tak jest nas za wielu.

Jeden z antyterrorystów stojących w pobliżu szcęknął komorą swojego glocka.

- Są tu na wszelki wypadek - wyjaśnił Phillips. - Lepiej nie ryzykować z człowiekiem,

który ma na sumieniu sześć kobiet.

Wiemy o sześciu, pomyślałem, a następnie spojrzałem na alejkę prowadzącą w głąb lasu.

- Co z jego adwokatem?

- Zadzwoił do niego, ale facet się nie pojawił.

- Jak to?

- Crane milczy jak zakłęty.

Popatrzyłem na Phillipsa.

- Nie podoba mi się to.

Nie odpowiedział, ale w jego oczach wyczytałem: Mnie również. Obaj pomyśleliśmy o tym, żeby się wycofać. Phillips musiał powrócić myślami do oceny ryzyka, którą przeprowadzili na posterunku, o starannym zaplanowaniu operacji i antyterrorystach, których ze sobą zabrał. Uznał, że są przygotowani, jak należy. Może miał słuszność. Liczyłem na to, ale nie stałem się dzięki temu spokojniejszy, bo znałem Crane'a. Nie zaprowadziłby nas do Jill, gdyby nie mógł odwrócić sytuacji na swoją korzyść.

- Nie rozmawiaj z nim bez wyraźnej potrzeby - powiedział Phillips. - Facet traktuje to jako grę. Chcemy jedynie odnaleźć Jill.

Skinąłem głową. W końcu liczyła się tylko ona.

- Kiedy ją znajdziemy, wezwiemy ekipę kryminalistyczną i się zmywamy.

Od lewej strony podszedł Hart.

- Witam, panie Raker.

- Dobry wieczór, inspektorze Hart.

- Jesteśmy gotowi? - zapytał Phillipsa.

- Tak, jak cholera.

- Świetnie, zatem do roboty.

Skinął jednemu z umundurowanych funkcjonariuszy, żeby otworzył tylne drzwi furgonetki. Dwaj antyterrorysty zajęli miejsca po bokach, z lufami pistoletów maszynowych skierowanymi do ziemi.

Wśród zebranych przeszedł szmer.

Drzwi mercedesa otworzyły się z głuchym stuknięciem.

Aron Crane siedział w środku, z rękami skutymi w nadgarstkach. Z naszego miejsca nie było widać jego twarzy, bo kryła się w cieniu. Później uniósł głowę i zastygł na chwilę w eksplozji barw - w pomarańczowej poświacie ulicznych latarni i niebieskich migoczących światłach radiowozów. Jego oczy błyszczały. Przebiegł wzrokiem tłum, jakby kogoś szukał.

Chwilę później zrozumiałem, kogo wypatrywał.

Bydlak szukał mnie.

Kiedy pomogli mu wysiąść z samochodu, nasze oczy się spotkały. Skinął raz głową i odwrócił wzrok. Otoczyła go policyjna obstawa i ruszyli alejką w stronę lasu. Phillips i Hart zaprowadzili mnie do nich, zajmując miejsce za plecami Crane'a. Kolumnę zamykali przewodnicy z psami. Crane obejrzał się przez ramię i natychmiast mnie rozpoznał. Tym razem na jego twarzy ukazał się słaby uśmiech.

Ruszyliśmy w kierunku Torowiska Umarłych.

Stanęliśmy po drugiej stronie fabrycznych zabudowań. Dotarliśmy do bramy. Po drodze nikt nie odezwał się ani słowem. Szliśmy w milczeniu przez ruiny budynków i wysypiska śmieci. Policyjne latarki omiatały teren z lewej strony na prawą. Przez chwilę światła odbijały się w ocalałych oknach, migotały w kawałkach szkła rozrzuconych pod naszymi stopami. Później zeszliśmy z betonu i stanęliśmy przed ścianą lasu. Ciemności zgęstniały, a światła zginęły w nocnym mroku.

Zaczęliśmy przechodzić przez bramę jeden po drugim. Crane spojrzął na mnie i ponownie skinął głową. Phillips to zauważył i popatrzył na mnie tak, jakbym odebrał jakieś sekretne przesłanie. Crane zdobył przewagę: bez słowa wywołał konflikt między ludźmi stojącymi po przeciwnej stronie.

Jeden z idących przodem psów zaszczekał. Wszyscy stanęli.

Phillips wysunął się na czoło i dołączył do opiekuna zwierzęcia. Zaczęli rozmawiać, a spaniel wpatrywał się w ciemną ścianę po prawej stronie ścieżki. Drugi pies, stojący za mną owczarek niemiecki, spoglądał w tym samym kierunku, chwytając powietrze w nozdrza. Phillips odwrócił się na pięcie i polecił jednemu z funkcjonariuszy, aby oświetlił krzaki latarką. Sekundę później jasny snop odsłonił gęstą kępę zarośli za dwoma potężnymi dębami. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, jedynie wysoką trawę kołyszącą się na wietrze i krople mżawki migoczące w promieniu latarki.

Ruszyliśmy dalej.

W lesie było niewyobrażalnie ciemno. Sklepienie konarów i liści całkowicie zasłaniało ścieżkę, zatrzymując poświatę księżyca i blask świateł dochodzący z ulicy za naszymi plecami. W sumie mieliśmy sześć latarek - dwie z przodu, dwie po bokach i dwie zamocowane na pistoletach - które omiatały ścieżkę i to, co porastało jej krawędzie. Powinienem być zabrać własną, pomyślałem. Ponownie byłem zdany na innych ludzi, choć ufałem wyłącznie sobie.

Policjant idący przodem musiał coś zauważyć. Przystanął. Osiem metrów dalej w świetle latarki ujrzałem pierwszy z opuszczonych torów przebiegający w poprzek szlaku.

Dziesięć minut później psy zaczęły ujadać. Tym razem wszystkie. Zwróciły się w prawo, w stronę lasu, rozwierając nozdrza i wyęzając wzrok. Trzej umundurowani funkcjonariusze oświetlili zarośla. Na krótką chwilę drzewa, liście i trawa zamarły, a krople deszczu zadudniły mocniej.

Phillips wysunął się do przodu i zaczął rozmawiać z przewodnikiem. Tym razem nie było wiatru, więc wszyscy słyszeli, o czym rozmawiają.

- To jakieś zwierzę?

- Możliwe - odparł bez przekonania przewodnik. Psy były tak wyszkolone, że potrafiły wyczuć zapach ludzkiej krwi. Pracowały w zawałonych budynkach i ratowały rannych. Umiały wywęszyć narkotyki, broń i środki wybuchowe. Nie wystraszyłyby się z powodu jakiegoś jeża. Wszyscy pomyśleli o tym samym, a kilku spojrzęło w kierunku Crane'a, jakby szukali potwierdzenia. Aron nawet się nie odwrócił w stronę, z której doleciał hałas. Patrzył przed siebie, ze wzrokiem utkwionym w ciemność.

Kilku policjantów opuściło ścieżkę i weszło w zarośla tak głęboko, jak się dało. Ugięta pod stopami trawa po chwili się podniosła. Za pniami drzew przesunęły się snopy światła.

- Znaleźliście coś?! - spytał ze szlaku Phillips.

- Nic! - odkrzyknął jeden z nich.

Wrócili minutę później, z rosą na spodniach i kamizelkach ochronnych. Crane spojrzął na mnie i się uśmiechnął.

- Chcesz coś powiedzieć? - zapytałem.

Wszyscy popatrzyli na mnie, a później na niego. Uśmiech zniknął. Był tak krótki, że nie zobaczył go nikt oprócz mnie. Większość funkcjonariuszy przeniosła wzrok na mnie.

- Proszę się uspokoić, panie Raker - powiedział idący przodem Hart. - A ty... - skinął głową w stronę Crane'a - patrz na ścieżkę.

Pięć minut później dotarliśmy do polany, którą odkryłem kilka dni wcześniej. Do miejsca, w którym Markham zostawił Megan na pastwę Crane'a. Deszcz głośno dudnił, wpadając przez otwory między liśćmi.

- Bębnią krople, bębnią krople - zanucił Crane. Kilku z nas spojrzęło w jego stronę. Miał opuszczoną głowę, ręce skute z przodu kajdankami. - Bębnią krople, bębnią krople, kap, kap, kap.

Phillips przystąpił do niego.

- Co powiedziałeś?

- Bębnią krople, bębnią krople. Pada deszcz, inspektorze Phillips. Zapowiada się niezła ulewa. Lepiej chodźmy dalej, bo cali przemokniemy.

Crane zlustrował grupę. Dwóch policjantów szło przodem, omiatając drogę snopami światła. Dwaj uzbrojeni antyterrorysty eskortowali go po bokach. Dwóch przewodników z psami wysunęło się do przodu, oświetlając teren latarkami. Dwaj umundurowani

funkcjonariusze stali z boku, jeden w wysokiej trawie na polanie, drugi na krawędzi lasu. Obok mnie szła ratowniczką, a Phillips i Hart podążali w ślad za nią. Przeniosłem wzrok na Phillipsa.

Najwyraźniej coś się święciło.

Poczułem, że powinniśmy zawrócić i ruszyć w przeciwną stronę. Crane był zabójcą i kłamcą. Ufanie mu równało się samobójstwu.

- Zaczekajcie.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Policjanci i Crane. Phillips był wyraźnie poirytowany, ale zrobił kilka kroków wstecz, w moją stronę.

- Co jest?

- On... - Skinąłem głową w stronę Crane'a. - Robimy błąd.

Phillips przypatrywał mi się chwilę w milczeniu, a później zwrócił się do Crane'a. Po jego minie odgadłem, że myśli podobnie jak ja. Że podziela moje obawy, ale nie zamierza się wycofać. Nie teraz. Bo sprawy zaszły za daleko.

- Gdzie jest Jill?

- Niedaleko stąd.

- Nie próbuj nas kiwać, Crane. Jeśli to kawał, spuszczę cię w toalecie. Rozumiesz?

Crane się uśmiechnął.

- Już niedaleko - powtórzył.

Zajęliśmy poprzednie pozycje i ruszyliśmy ścieżką. Pod osłoną drzew deszcz nieco zelżał. Przed nami zawirowały krople deszczu i mżawki unoszone przez delikatne powiewy zawodzącego wiatru. Sto metrów dalej zatrzeszczała czyjaś krótkofalówka. Przytłaczająca cisza wzmocniła dźwięk. Krótkofalówka jednego z antyterrorystów. Mężczyzna sięgnął do pasa i wyregulował urządzenie. Ponownie zapadła kompletna cisza przerywana jedynie kapaniem deszczu i szumem wiatru.

Wtedy w lesie po lewej coś trzasnęło.

Stanęliśmy jak wryci. Psy wyprężyły się na smyczach, wyciągając nosy i wpatrując się w ciemność.

- Co widzisz? - spytał jeden z przewodników. Spaniel wciągnął powietrze, a następnie powrócił do poprzedniej pozycji, zwrócony w stronę źródła dźwięku. Dwaj mundurowi przesunęli się na skraj lasu i ponownie zaświecili latarkami. Dziesięć sekund później ruszyli następni.

Spojrzałem na naszą kolumnę. Jeden z uzbrojonych policjantów spoglądał w przeciwną stronę, w las, skąd dochodził hałas. Drugi obserwował mundurowych

przechesujących teren. Zbiliśmy się w ciasną gromadkę. Crane znalazł się nagle bliżej mnie. Tak blisko, że mógłbym go chwycić rękami za gardło i przerwać zabawę, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Hart stał po lewej stronie w trawie na granicy drzew. Phillips zamarł kilka kroków za nim, ze wzrokiem utkwionym w mrok.

Kolejny trzask.

Antyterrorysta obejrzał się przez ramię. Ratowniczką spojrziała w tamtą stronę, a jej fluorescencyjna kamizelka błysnęła w przesuwającym się snopie światła. Jeden z przewodników ruszył w kierunku drzew, a drugi podążył w ślad za nim. W ciągu dwudziestu sekund Crane i ja znaleźliśmy się sami, mając za towarzyszy jedynie uzbrojonych funkcjonariuszy. Reszta była za drzewami lub obserwowała skraj lasu. Światła latarek błyskały to tu, to tam.

- Pamiętaj, co powiedziałem, Davidzie? - szepnął Crane. Jeden z antyterrorystów spojrział w jego stronę, zaciskając palce na lufie MP5. Drugi zauważył ruch kolegi i zrobił to samo. Skinąłem im głową, dając znak, że nic się nie stało, ale żaden się nie poruszył. Spojrzeli podejrzliwie na Crane'a. - Że coś nas łączy?

Nie odpowiedziałem, zastanawiając się gorączkowo, o co mu chodzi i dlaczego chce mnie wciągnąć w rozmowę. Światła latarek zataczały coraz szersze kręgi. Widziałem kontury policjantów, wyłaniające się i znikające w ciemności. Hart wyciągnął komórkę i otworzył ją. Phillips stał obok niego.

- Nie powinienem był tak mówić o twojej żonie.

Spojrzałem na niego. Co ty wygadujesz, Crane? - pomyślałem.

- Wtedy... wiesz, nie powinienem był mówić o niej takich rzeczy.

- Wyświadczyć sobie uprzejmość i się zamknij.

Jeden z funkcjonariuszy zrobił krok w naszą stronę. Spojrzałem na niego, a później na Crane'a i odwróciłem się w stronę drzew. Światło latarki wdzierало się w gęstwinę na głębokość około sześciu metrów. Jeden z mundurowych zaklął głośno, bo zaczęły wyczerpywać się baterie.

- Jestem taki jak ty, Davidzie.

Obejrzałem się na niego. Pusta, pozbawiona wyrazu twarz. Najmniejszego śladu rozbawienia. Wytrzymał moje spojrzenie. Popatrzyłem na uzbrojonego antyterrorystę i zbliżyłem się do Crane'a.

- Powiedziałem ci, że nie jesteśmy tacy sami.

- Ależ tak - odparł Aron i spojrział na mnie z uśmiechem. - Przejrzałeś mnie. Domyśliłeś się, że miałem żonę, że spodziewała się dziecka. Sądziłem, że dobrze to ukryłem.

Nauczyłeś się wyczuwać poczucie straty, obcując z nim tak często. Sprawy, których się podjąłeś, aż od niej kipiały. Poza tym miałeś w domu tyle zdjęć żony. Tyle fotografii. Filmów wideo. Jej kolekcja płyt leżała nietknięta w rogu salonu.

- Uważaj, co mówisz - warknąłem ostrzegawczo.

Rozejrzał się wokół, lustrując wzrokiem ciemności.

- Chciałem tylko powiedzieć, że cię rozumiem, że wiem, co czujesz. Też kogoś straciłem, jak ty. Ja zabiłem i ty zrobiłeś podobnie.

Rzuciłem mu wściekłe spojrzenie.

- Co?!

Z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Wiem wszystko o sprawie, którą prowadziłeś na północy, Davidzie. Nie mówię o wersji, którą przedstawiłeś policji.

Spojrzałem na antyterrorystów, a później na niego.

- Daj spokój, Davidzie - powiedział, wydając głośne cmoknięcie. Ściszył głos do szeptu. Uzbrojeni policjanci przyglądali się bacznie nam obu. - Oglądałem cię w telewizji po tym, co się stało. Jak wszyscy... Masz często do czynienia ze stratą, wyczuwasz to uczucie u innych ludzi. - Zamilkł na chwilę. - Spędzasz tyle czasu z zabójcami, że możesz robić to, co oni.

- Odbiło ci.

- Jesteś zabójcą, Davidzie. Niechętnym, przyznaję, ale mimo to zabójcą. Dostrzegam to w tobie. Czytam w twoich myślach, jak ty w moich. Dlatego ty i ja... jesteśmy tacy sami.

Crane mrugnął tak, żebym tylko ja mógł to zobaczyć, i cofnął się kilka kroków, odsłaniając antyterrorystów. Szum drzew i wypowiedziane szeptem słowa sprawiły, że trudno im było cokolwiek usłyszeć. Mimo to wiedzieli, że coś się święci.

- Nie przejmuj się - ciągnął, ponownie mrugając - nie zdradzę twojej tajemnicy. Może chciałbyś sobie przypomnieć, jak to jest... no wiesz... - Zrobił pistolet z palców wolnej dłoni, udając, że strzela. - Może chciałbyś ponownie tego doświadczyć. To wszystko.

Spojrzałem na niego. Może miałbym ochotę ponownie użyć broni, pomyślałem.

- O co ci chodzi? - spytałem, ale Crane nie odpowiedział. Z lasu zaczęły wracać ekipy poszukiwawcze. Zakończyli przeczesywanie okolicy. Phillips spojrzał na nas podejrzliwie, a później wszyscy zaczęli zajmować wyznaczone pozycje.

- Phillips, zaczekaj...

Utkwił we mnie wzrok.

- Co znowu?

- Musimy się wycofać.

- Dlaczego?

Obejrzałem się na Crane'a. Patrzył na mnie oczami bez wyrazu.

- On ma plan. Ma jakiś popieprzony plan. Nie wiem jaki, ale komuś stanie się krzywda.

Phillips spojrział na nas, a później rzucił okiem na Harta. Inspektor gapił się na mnie tak, jakby był przekonany, że to ja mam plan.

- Co powiedział?

- Zaczął chrzanić, że będę musiał użyć broni.

- Co?!

- Mówi zagadkami. Facet zwyczajnie... - Spojrzałem ponownie na Crane'a. Jego twarz przypominała maskę. Czystą tablicę. - Słuchaj, wiem, że czujesz to, co ja. Wszystko jest nie tak. Pakujemy się w pułapkę. Myślę, że powinniśmy się wycofać, dopóki nie ustalimy, co jest grane.

Phillips popatrzył na naszą grupę. Wszyscy spoglądali to na niego, to na mnie. Wiedziałem, że nie zawrócimy. Może Phillips miał podobne przecucie, ale uznał je za przeszkodę w podjęciu decyzji. Za wyzwanie rzucone jego planowi. Jego pozycji. Gdyby się teraz wycofał, powiedziałby każdemu z obecnych: Podjąłem niewłaściwą decyzję.

- Idziemy dalej - odparł cicho.

- Robisz błąd, Phillips.

- Raker - warknął - nie ty tu dowodzisz. Nie wyrażasz swoich opinii. Nie podejmujesz decyzji. Wykonujesz moje polecenia, i basta. Jasne?

- Pełniasz błąd.

- Jasne?!

Zrobił to na pokaz. Nie zasługiwał na odpowiedź. Choć podobnie jak ja wierzył i czuł, że coś jest nie tak, zignorował głos instynktu, aby zachować twarz. Po chwili ciszy cała grupa ruszyła w dalszą drogę.

Phillips zwrócił się ponownie do Crane'a.

- Gdzie jest Jill, ty pokręcony draniu?!

- Niedaleko.

- Powiedziałeś to pół kilometra wcześniej.

- Teraz jest naprawdę blisko.

Krople deszczu zaczęły ponownie bębnić o sklepienie drzew. Gdy z prawej strony minęliśmy kolejne zardzewiałe tory, zerwał się wiatr. Liście zaszeleściły, zakotłosały się

trawy. Minutę później promień jednej z latarek przesunął się po kępie trawy, omiatając wygięty, skręcony pień sykomory. Jeden konar drgnął, wydając cichy odgłos przypominający westchnienie. Kilku policjantów skierowało latarki w tamtą stronę, jakby pomyśleli, że doleciał ich ludzki głos. Takie było to miejsce. Miejsce, w którym pogrzebano sekrety. Gdzie odebrano ludzkie życie.

Później jedna z latarek oświetliła kształt, który wyrósł dwadzieścia metrów przed nami.

Snop światła przesunął się wstecz. Rozpoznałem skrzynię z kryjówki Crane'a, o boku długości półtora metra, na którym widniał napis wykonany cyrylicą. Stała na polanie po prawej stronie ścieżki, gdzie przerzedzały się drzewa. Wszyscy przystanęli.

- Co to? - zapytał Phillips.

- To Jill! - wykrzyknął Crane.

Spojrzelismy na skrzynię, przekonani, że jest tym, po co przyszliśmy do lasu. Phillips wydał polecenia, aby wszystko odbyło się, jak należy. Kazał pójść ze sobą jednemu z antyterrorystów, przewodnikowi z psem, dwóm umundurowanym funkcjonariuszom i ratownicze. Hart też dołączył do tej grupy. Reszta miała nie ruszać się z miejsca.

Spojrzałem na Crane'a i przysunąłem się bliżej, podejrzewając, że mógłby wykorzystać zamieszanie do ucieczki. Poczułem, że w piersi narasta mi strach. Czemu przyprowadziłeś nas tutaj, ty pieprzony sukinsynu? - myślałem. Stał obok mnie, uważnie obserwując rozwój sytuacji i unosząc kąciki ust w lekkim uśmiešku.

Tylko że wcale nie patrzył.

Kiedy zrobiłem krok w jego stronę, zauważyłem, że choć ciało było zwrócone do przodu, oczy pozostały utkwione w lesie po prawej stronie. Podążyłem za jego wzrokiem, w nieprzeniknioną ciemność. Słaby promień latarki oświetlał skraj drzew. Za nimi nie było niczego widać. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Niczego, co tłumaczyłoby jego skupienie uwagi na tym miejscu.

Ciszę przerwał głos Phillipsa. Z odległości dwudziestu metrów, w nasilającym się deszczu, trudno było wyraźnie usłyszeć jego słowa. Odgadłem, że obchodzi grupę, wyjaśniając każdemu, czego od niego oczekuje.

Sprawdziłem, czy Crane się poruszył. W dalszym ciągu obserwował drzewa po prawej stronie, więc przystąpiłem do niego. Zauważył, że znalazłem się w jego polu widzenia. Przestał się uśmiechać. Wyglądał tak, jakby się zastanawiał, czy się czymś nie zdradził.

- Chciałbyś coś powiedzieć? - spytałem.

Uśmiechnął się ponownie.

- Po prostu cieszę się przedstawieniem, Davidzie.

Odwrócił się, żeby obserwować scenę, która rozgrywała się przed naszymi oczami, patrzeć, jak Phillips i jego ludzie wciągają gumowe rękawiczki. Phillips podszedł do skrzyni i chwycił palcami wieko. Skinął głową pozostałym i zaczął je podnosić. Ani drgnęło. Spojrzał znad wieka na Crane'a i spróbował jeszcze raz.

Nic.

Crane ponownie łypnął na prawo, a później wbił wzrok w Phillipsa, który razem z Hartem oglądał skrzynię, próbując ustalić, dlaczego nie można jej otworzyć.

- Posterunkowy - zwróciłem się do jednego z umundurowanych policjantów

z latarkami. Spojrzał na mnie badawczo. - Moglibyście oświetlić tę część lasu?

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

Popatrzyłem na Crane'a. Gapił się na mnie ze stoickim spokojem.

- Tylko na chwilę.

Posterunkowy był młodym, dwudziestokilkuletnim mężczyzną. Pewnie cieszył się, że mnie wezwano, bo nie był już na samym końcu łańcucha pokarmowego. Pokręcił przecząco głową.

- Nie! Wykonuję polecenia inspektora Phillipsa, a nie pańskie!

Spojrzał w kierunku ścieżki i pozostałych członków grupy. Zbuntowany młodzieniec.

Obok mnie stał antyterrorysta. Odwróciłem się do niego.

- Możesz mu powiedzieć, żeby oświetlił latarką tamte drzewa?

- Dlaczego? - zapytał.

- Bo Crane'a nie obchodzi, co się tam dzieje - wyjaśniłem, wskazując głową grupę skupioną wokół skrzyni - tylko cały czas popatruje w kierunku drzew.

Przenieśli wzrok ze mnie na Crane'a, a później na las. Crane nie spojrzał na nich, udając, że obserwuje Phillipsa, Harta i umundurowanych policjantów, próbujących unieść wieko. Chwilę później rozległ się trzask. Hart coś powiedział, ale jego słowa zagłuszył deszcz. Wieko drgnęło.

Uzbrojony policjant przyglądał mi się chwilę, z pistoletem MP5 zawieszonym na piersi.

- Dobrze - zgodził się i spojrzał na posterunkowego. - Zrób, co powiedział.

Trzask.

Wieko skrzyni puściło. Wszyscy się cofnęli i Phillips został sam. Ujął wieko w dłonie i podniósł. Upadło na ścieżkę z głuchym tąpnięciem. Zebrani podeszli do skrzyni i zajrzeli do środka.

- Tu niczego nie ma! - krzyknął Hart.

W tej samej chwili posterunkowy skierował promień latarki na drzewa.

W odległości pięciu metrów od nas ukazało się Drzewo Wisielca - dąb o charakterystycznym kształcie przypominającym literę T, który widziałem na zdjęciach w internecie. Miejsce, w którym Milton Sykes w dzieciństwie zbudował sobie domek na drzewie. Do pnia była przywiązana Jill. Skrępowana i zakneblowana. Na szyi miała pętlę, która przyciskała ją do kory. Z górnej części twarzy zwisał półokrągły płat skóry. Po dwóch lub trzech sekundach zrozumiałem, że to jej czoło. Odcięta skóra zakrywała jedno oko.

Drugie było zamknięte. Miała siniaki na całym ciele. Na twarzy, ramionach i obojczykach. Jej ubranie - dżinsy i cienki sweter z długim rękawem - były przesiąknięte krwią i deszczówką. Przez rozerwany sweter widać było brzuch. W poprzek wypisano na skórze czarnym atramentem cyfry 8,5.

Phillips ruszył pędem w naszą stronę, nie spuszczać oka z Jill. Krzyknął, żebym się cofnął. Chciałem podbiec do Jill, odwiązać ją od drzewa i rozerwać Crane'a na strzępy. Patrzył na mnie, odwrócony do niej plecami. Nie mogłem dłużej czekać. Przeszedłem obok niego, w odległości metra od linii drzew, nie mogąc oderwać oczu od postaci przywiązanej do drzewa.

- Co zrobiłeś, do licha?! - spytałem.

- Nie miałem czasu jej dokończyć - wyjaśnił rzeczowym tonem, unosząc skute kajdankami ręce, żeby podrapać się w okolicy oka. - Będziemy ją nazywać ósmą i pół. Szkoda, że nie miałem czasu zająć się jej tragiczną skórą. Chociaż wolę kończyć to, co zacząłem, tę jedną przyjmę taką, jaka jest. - Zamilkł na chwilę, spoglądając na drzewa za moimi plecami. - Jako znak.

Sekundę później upadł na ziemię.

Paf, paf.

Głowa antyterrorysty po prawej stronie eksplodowała fontanną krwi. Jego pistolet odleciał na bok, uderzając głucho o trawę. Paf. Obok niego osunął się posterunkowy z kulą w piersi, w okolicy serca. Runąłem na ziemię i potoczyłem się w kierunku kępy trawy nieopodal przeciwległej linii drzew.

Cholera, zakląłem w myślach. To zasadzka.

W miejscu, gdzie przed chwilą stałem, spośród drzew wyłoniło się dwóch mężczyzn w kominiarkach, uzbrojonych w pistolety z tłumikiem. Przykucnięty przy skrzyni policjant uniósł MP5. Paf. Kolejny mundurowy runął na skrzynię, miażdżąc ją swoim ciężarem. Paf. Upadła następna osoba. Może Hart. Trudno się było zorientować.

Uzbrojony policjant otworzył ogień.

Rozległ się ogłuszający huk, przetaczając się falą przez drzewa i powracając echem z oddali. Dwaj mężczyźni wycofali się w bezpieczne miejsce, za zasłonę drzew i krzaków. Jeden człowiek przeciwko nieznanym wrogom czającym się w mroku.

Chwyciłem MP5 leżący na ziemi obok martwego policjanta i przebiegłem na drugą stronę ścieżki, gdzie stała Jill skryta za zasłoną nocy. Paf. Paf. Kule trafiły w ziemię niedaleko moich stóp. Ciało wykonało odruchowy unik. Straciłem równowagę i poleciałem przed siebie, wpadając z impetem w krzaki za linią drzew. Ułamek sekundy później kolejna kula utkwiała

w drzewie, piętnaście centymetrów na lewo ode mnie. Kiedy próbowałem zaszyć się głębiej w ciemności, odprysł kawałek kory, zasypując mnie pyłem.

Paf. Paf. Paf.

Ktoś krzyknął. Kobieta.

Ratowniczka.

W pobliżu usłyszałem odgłos ciała osuwającego się na trawę. Później rozległo się szczekanie psów. Nie byłem pewien, kto stoi na nogach, a kto nie żyje. Szczęknęła kolejna seria z MP5, na krótko rozświetlając szlak. Zauważyłem, że Crane przywarł do ziemi. Obok niego leżały rozpostarte ciała. Jedna latarka oświetlała ścieżkę, druga las, w którym ukryli się napastnicy.

Na krawędzi światła rozpoznałem zarys postaci.

Mężczyzna przykucnął za pniem drzewa, zmieniając magazynek. Uzbrojony policjant nie mógł go trafić zza skrzyni. Nawet go nie widział.

Ale ja widziałem.

Wolno podniosłem MP5, przykładając kolbę do ramienia. Zacisnąłem palec na spuście. Spowijał mnie oleisty mrok, gęsty jak w grobie. Wiedziałem, że gdy strzelę, zdradzę swoją pozycję. Musiałem zrobić wszystko, jak należy.

Wyceluj.

Skoncentruj się.

Przypomniałem sobie, jak ojciec uczył mnie strzelać. Jak chodziliśmy do lasu za farmą, kiedy byłem nastolatkiem, żeby strzelać z repliki beretty do celów, które ojciec przygotował.

Skoncentruj się.

Nacisnąłem spust.

Rozległ się ogłuszający huk. Wstrząsnął ścieżką chwilę po tym, jak kula trafiła w twarz tamtego. Przeleciała na wylot. Na granicy światła ujrzałem czerwoną fontannę. Mężczyzna osunął się na ziemię i przewrócił na bok. Jego ciało leżało w połowie na ścieżce, a w połowie w lesie.

Zerwałem się na nogi i zacząłem biec.

Paf. Paf.

Kule przeleciały przede mną. Walnąłem ramieniem w drzewo, nie widząc go w ciemności, oddalając się od dwóch latarek na ścieżce. Chwilę później wyrząłem w kolejne i omal się nie przewróciłem. Runąłem w zarośla.

Zapadła cisza.

Żadnego odgłosu z wyjątkiem delikatnego bębnienia deszczu o sklepienie drzew. W głowie wirowały mi myśli. Czy ci na drodze usłyszeli kanonadę? Ile czasu zajmie przysłanie posiłków? Dotarcie na miejsce zabrało nam pół godziny. Biegiem można było pokonać ten dystans w piętnaście minut. Przekręciłem się na bok. Trawa i gałęzie złamały się pod moim ciężarem.

Po drugiej stronie drzew, dziesięć metrów na prawo ode mnie, leżał kolejny martwy posterunkowy. Oświetlał go promień latarki sięgający twarzy. Snop barwił skórę na czerwono, powodując, że krew, która napłynęła do ust, wydawała się jeszcze bardziej czerwona. Nieco dalej spostrzegłem to, co pozostało ze skrzyni. Nieokreślony kształt na tle nocy. I martwego posterunkowego rozciągniętego obok niej. Crane nadal leżał na ziemi w miejscu, z którego przybiegłem. Nie poruszał się. Oznaczało to, że drugi z antyterrorystów nadal żył albo zabójca nie był pewny, czy go sprzątnął. Gdyby miał pewność, Crane po prostu by wstał i odszedł.

Zauważyłem jakiś ruch.

Naprzeciw mnie, po drugiej stronie ścieżki. Po drugiej stronie lasu. Zmrużyłem oczy, wpatrując się w mrok. Nic. Tylko linia drzew i rozciągające się za nią ciemności.

Kolejne poruszenie.

Nagle od strony skrzyni poleciała seria z MP5, rozświetlając okolicę. Ujrzałem ciała leżące na ścieżce i nieco dalej Jill przywiązaną do pnia. Crane'a rozpostartego na ziemi. Uzbrojony antyterrorysta z MP5 przy ramieniu strzelał tam, gdzie zauważyłem poruszenie. Był tam drugi zabójca, ukryty za drzewem, zwrócony w moją stronę.

Patrzyliśmy na siebie.

Wycelował we mnie broń.

Przykucnąłem, a ułamek sekundy później dwie kule świsnęły nad ścieżką, trafiając w drzewo za moimi plecami. Chybiły o centymetry. Na chwilę ujrzałem go z boku przez zarośla. Później zniknął. Antyterrorysta przestał strzelać.

Torowisko Umarłych ogarnęła ciemność.

Żadnego dźwięku z wyjątkiem kapania deszczu.

Ostrożnie usiadłem i odsunąłem się na bok. Pełznąłem na tyłku, wlokąc ciało przez zarośla tak szybko i cicho, jak umiałem. Po trzech metrach uderzyłem barkiem o drzewo. Zatrzymałem się. Podniosłem MP5 do ramienia i wycelowałem w kierunku strzelca.

Klik.

Antyterrorysta przeladowywał broń. Byłem teraz bliżej skrzyni, więc usłyszałem słaby dźwięk wsuwanego magazynka. Krótka chwila ciszy.

Huknęła kolejna seria.

Kule z pistoletu antyterrorysty utkwiły w drzewie, za którym ukrywał się wróg. Był dobrze osłonięty.

Ale popełnił błąd.

Nadal wpatrywał się w miejsce, które przed chwilą zajmowałem. Kiedy seria z MP5 rozświetliła las, oddał dwa strzały, ale mnie już tam nie było. W celowniku optycznym dostrzegłem jego kominiarkę i oczy. I wahanie, kiedy zrozumiał, że jestem gdzie indziej. Zlustrował drzewa, poruszając się w lewo, wzdłuż granicy szlaku. Później w oczach błysnęło zdumienie, gdy dostrzegł mnie w odległości dziesięciu metrów od siebie.

Wyceluj. Skoncentruj się.

Traf w cel.

Nacisnąłem spust.

Jego głowa eksplodowała. Krew obryzgała drzewo, a ciało odleciało w tył, spadając na trawę. Żadnego dźwięku. Kątem oka dostrzegłem, że antyterrorysta spogląda w moją stronę i kiwa głową. Wiedział, że tu byłem. Śledził moje ruchy od pierwszego strzału. Odpowiedziałem ruchem głowy. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że mnie wykorzystał. Oświetlił mi cel i stworzył okazję, wierząc, że trafię. Nie byłem strzelcem wyborowym. Gdybym miał mniej czasu na przygotowanie się do strzału, mógłbym chybić. Ale znałem się na tym wystarczająco dobrze, by trafić dwa nieruchome cele, które nie miały pojęcia o moim istnieniu. A może antyterrorysta wiedział, na co mnie stać. Może zapoznał się z moją teczką. Albo po prostu zaryzykował. Tak czy owak, udało się.

Zauważyłem ruch po lewej stronie i odwróciłem się na pięcie.

Crane skoczył na równe nogi i zaczął uciekać.

Rzuciłem się za nim, chwytając latarkę leżącą obok twarzy martwego posterunkowego. Nad ścieżką unosiła się przyprawiająca o mdłości woń prochu zmieszana z ciężkim zapachem świeżej krwi. Crane odwrócił się i spojrzał na mnie, a później skoczył w prawo, znikając między drzewami. Pobiegnęłam za nim. Oświetlałam sobie drogę latarką. Zobaczyłem go pięć metrów przed sobą. Krew dudniła mi w uszach, dłonie pokrywał pot i krople deszczu. Próbował zwiększyć dzielący nas dystans. Wysforować się do przodu. Zgubić mnie i zniknąć w mroku nocy. Tylko że bez latarki las przypominał labirynt.

Chwilę później Crane się przewrócił.

Z ciemności wynurzył się ogromny dąb, wyłaniając się niczym drewniana ściana. Crane wyrznął ramieniem w pień, próbując go ominąć. Potknął się i przesunął w lewo. Kiedy próbował uniknąć upadku, jego stopa zaplątała się w jeżynach. Poleciał przed siebie i łupnął

z całej siły o ziemię, wypuszczając powietrze z płuc. Dłonie skute kajdankami utkwiły pod tułowiem. Przekreślił się na plecy i spojrzał w górę. Przed jego twarzą pojawił się obłok pary.

Przez chwilę nie mógł się skoncentrować. Spoglądał nieprzytomnie w moją stronę. Nagle szarpnął głową z lewej na prawą, zamrugał powiekami i skupił wzrok. Utkwił we mnie spojrzenie. Oświetliłem go latarką, przesuwając snop światła z twarzy, aby mógł mnie zobaczyć na tyle wyraźnie, na ile pozwalały ciemności.

- Co to za ludzie? - spytałem.

- Rosjanie. - Zakaszłał, a później się uśmiechnął, odsłaniając zęby umazane krwią i śliną. - Bali się, że mógłbym powiedzieć coś policji. Mogli mnie wyciągnąć z więzienia, ale nie z policyjnego aresztu. Zawarliśmy umowę.

- Umowę?

- Duch chciał, żebym zrobił mu kolejną operację twarzy. Facet jest paranoikiem. Myśli, że policja cały czas depta mu po piętach. - Przerwał, przesuwając językiem po zębach. - Powiedziałem jego ludziom, że jeśli mnie wyciągną, powstrzymam policję i zoperuję Gobulewa za darmo.

- Chciał zrobić sobie lifting?

- Nie, Davidzie - odpowiedział. - Chodziło o bezpieczeństwo. Masz pojęcie, jaki jestem cenny dla policji? Co widziałem? Rosjanie chcieli się zabezpieczyć. Poza tym ilu chirurgów plastycznych w tym kraju byłoby gotowych zoperować człowieka pokroju Gobulewa? - Zamilkł na chwilę. - Jestem świadkiem koronnym. Jestem kluczem. Jestem Bogiem.

Z warg na brodę spłynęła strużka krwi. Uniósł nadgarstki skute kajdankami i otarł krew.

- Jak się dowiedzieli? - zapytałem.

- Poprosiłem o możliwość wykonania telefonu, ale nie zadzwoniłem do adwokata.

Kiedy patrzyłem na Crane'a, zawiął lodowaty wiatr, omiatając trawę, krzaki i liście. Podmuchiowi towarzyszył delikatny szept przypominający daleki szmer, niczym rozlegający się raz za razem głos.

Crane przypatrywał mi się z ziemi.

- Czujesz to?

- Niczego nie czuję.

- Wiesz, o czym mówię. - Otworzył szeroko oczy z rozkoszy, przesuwając wzrok po mojej twarzy. - To miejsce kryje w sobie moc. Wszystkie tajemnice i kłamstwa, śmierć i zniszczenie. Odciska swoje piętno.

- Jesteś skończony - powiedziałem cicho.

Potrząsnął głową.

- Jeszcze nie skończyłem, Davidzie.

Spojrzałem na niego badawczo. Jego oczy błysnęły w słabym świetle latarki. Sięgnąłem po MP5 i przystawiłem mu broń do głowy. Zrobił zeza, spoglądając w lufę ponad oczami, a później ponownie skupił na mnie wzrok.

- Jesteśmy tacy sami - szepnął.

Poczułem spust pod palcami. Lewa dłoń zacisnęła się na lufie. Przytknąłem kolbę do ramienia. Tyle niedoli. Tyle cierpień. Gdybym pociągnął za cyngiel, nikt by za nim nie zapłakał. Nikt by nie zatęsknił. Zostałby pochowany na cmentarzu, gdzie nikt nie stanąłby nad jego grobem. Gdybym strzelił, nikt by go nie opłakiwał.

- Jesteśmy tacy sami, Davidzie.

Pomyślałem, że gdybym nacisnął spust, przyznałbym mu rację.

Cofnąłem MP5 i odrzuciłem w krzaki za plecami. Mina mu zrzędła. Sądził, że ma nade mną przewagę, nawet gdy spoglądał w lufę pistoletu. Sądził, że jesteśmy tacy sami. Ale nigdy nie będziemy.

Ani teraz, ani kiedykolwiek.

- Miałeś rację co do mnie - powiedziałem cicho. - Zabiłem człowieka, ale zrobiłem to, żeby przeżyć. Zrobiłem to, bo w przeciwnym razie sam bym zginął. Codziennie żałuję, że nie zachowałem się inaczej, chociaż ludzie, których skrzywdziłem, byli tacy jak ty. Niczego nie czuli, pozbawiając życia innych. Nie było dnia, żebym nie myślał o tym, co zrobiłem. Możesz mnie prześladować, torturować, próbować zabić. Kto wie, może pewnego dnia ci się uda. - Pochyliłem się, chwyciłem go za kołnierz i postawiłem na nogi. - Ale nie mów więcej, że jesteśmy tacy sami, bo nigdy mnie nie zrozumiesz.

Później zaprowadziłem go z powrotem przez mrok otaczający Torowisko Umarłych.

Minęły trzy tygodnie. Policja w dalszym ciągu próbowała przeniknąć zasłonę kłamstw otaczającą Arona Crane'a - poznać prawdę o jego żonie i dziecku, ofiarach i motywach działania. Punktem odniesienia były zwłoki sześciu kobiet zakonserwowane w formalinie. Mógł je zakopać jak Milton Sykes, ale im bardziej zbliżał się dzień operacji Megan, tym bardziej potrzebował możliwości ponownego przeanalizowania napotkanych problemów oraz błędów popełnionych podczas wcześniejszych zabiegów.

Początkowo, podobnie jak za pierwszym razem, odmówił składania zeznań. W końcu nieco się otworzył. Policja sprowadziła najlepszego psychologa, jakiego udało się znaleźć, a ten wyciągnął z Crane'a kilka szczegółów. Na przykład w jaki sposób zepchnął Phedre z tarasu na dachu ich domu. Chociaż psycholog używał różnych forteli, nie zdołał uzyskać wyznania, co Aron czuł, pochylając się nad poręczą balustrady i spoglądając na martwą żonę w ciąży. Żadnego znaku, że za nią tęsknił, że żałował tego, co zrobił. Pochował ich w lesie. Wydawało się, że to jego jedyny słaby punkt. Jedyny sposób skłonienia go do mówienia. Crane przypominał ścianę milczenia, a Phedra małą rysę na jej powierzchni, której nie zdołał zatrzeć.

Chociaż przyznał się do zamordowania sześciu kobiet, które zakonserwował w formalinie, do zamordowania Susan Markham i porwania Megan, Jill oraz Sony, podczas procesu nie powiedział nic oprócz potwierdzenia swojego nazwiska. Po trwającej cztery dni rozprawie ława przysięgłych uznała go za winnego i skazała na siedem wyroków dożywocia. W tym czasie codziennie śledziłem doniesienia w mediach, wypatrując egoistycznego błysku w jego oczach, wiadomości, że uśmiechał się do sędziów podczas opisu potworności, których się dopuścił. Jednak reporterzy nieodmiennie charakteryzowali go jako przygaszonego. Dopiero później zorientowałem się, że nie miał po co żyć, pozbawiony możliwości realizowania swojego szalonego projektu, przechodzenia do jego kolejnych faz. Kiedy nie był w stanie wyrazić najmniejszego żalu z powodu tego, co zrobił żonie i dziecku, stało się jasne, że jest pozbawiony ukrytej głębi. Wszystko zostało zmyślane. Aron Crane nie istniał bez kontroli i władzy.

Po zakończeniu przeszukiwania Torowiska Umarłych mniejszy zespół kryminologów przeniósł się na miejsce pochówku odkryte przez Crane'a, w którym miały być zakopane ciała trzynastu kobiet zamordowanych przez Milтона Sykesa. Odnaleźli zwłoki dwunastu. W trzynastym grobie były tylko zwierzęce kości. Domyśliłem się ich wniosków, zanim

antropolodzy przystąpili do badania ciał. Sykes znał ten las lepiej od innych - małe jary i szlaki, polany i kryjówki. Mieszkał całe życie na jego granicy. Crane miał szczęście, odnajdując zwłoki dwunastu Hindusek, ale gdzieś na pięćdziesięciu akrach pozostały ukryte szczątki Jenny Truman. Dopóki nie zostaną znalezione, las będzie spowijać ponura atmosfera wywołująca wrażenie, że ktoś próbuje się wydostać na powierzchnię, rozgarniając ziemię pazurami, aby w końcu znaleźć ukojenie.

□ □ □

Śledztwo w sprawie rosyjskiej mafii trwało nadal po zakończeniu procesu Crane'a. Przez długie miesiące policja odwiedzała go w więzieniu, próbując sformułować akt oskarżenia.

Nikt spoza grupy dochodzeniowej nie wiedział, ile Crane był gotów powiedzieć, ile naprawdę wiedział, ale kilka osób powiedziało mi, że w więzieniu na prośbę policji wyznaczono paru strażników do jego ochrony. Żeby zapobiec jego ucieczce, bo jeszcze nigdy nie byli tak blisko schwytania Akima Gobulewa.

Może faktycznie tak było, ale miałem nadzieję, że policja nie zapomni, jaką cenę zapłacono, żeby to osiągnąć. Nie zapomni sześciu martwych kobiet, w tym Leanne. Trzy kolejne miały szczęście i zdołały przeżyć. Miałem nadzieję, że będą pamiętali o Susan Markham oraz żonie i dziecku Crane'a.

□ □ □

W końcu odwiedziłem Jill w jej domu. Nadal miała obandażowane czoło w miejscu, gdzie chirurdzy przyszyli skórę. Poza tym wyglądała ładnie. Ledwie widoczne siniaki, niewiele śladów obrażeń. Stałem w drzwiach, kiedy parzyła kawę, i słuchałem opowieści o nocy, w której przyszedł po nią mężczyzna podający się za Arona Crane'a.

Kiedy rozmawialiśmy, bawiła się medalikiem świętego Michała zawieszonym na szyi, od czasu do czasu spoglądając na zdjęcie mężczyzny, który obserwował nas z kominka. Dostrzegłem w niej siebie samego - musiała sobie ciągle przypominać, że jedyna osoba, na której mogła polegać, której mogła zaufać, odeszła na zawsze. Gdy w końcu się pożegnaliśmy i ruszyłem do samochodu, zdałem sobie sprawę, że po tym, co zrobił jej Crane, może upłynąć sporo czasu, zanim nabierze wystarczającego dystansu, aby zaufać ponownie.

□ □ □

Megan wyszła ze szpitala tego samego dnia co Jill. Miała kilka guzów i siniaków, ale

dziecku nic się nie stało. James i Caroline Carver odebrali ją ze szpitala. Oboje płakali, przedzierając się do samochodu przez tłum dziennikarzy. Wkrótce także Megan zaczęła płakać. Wyznała, że żałuje, iż nie powiedziała o wszystkim rodzicom i zaufała Danielowi

Markhamowi. Kiedy wrócili do domu, łączyli na chwilę usta i Carverowie opowiedzieli jej o tym, co się stało pod jej nieobecność. Później zaprowadzili córkę na górę, do jej sypialni. Usiedli we troje na krawędzi łóżka, obejmując się wzajemnie, a Leigh bawił się na podłodze.

Megan urodziła dziewczynkę tydzień przed terminem. Nazwali ją Faith. Nigdy nie pozna swojego ojca, co - zważywszy na to, czego się dopuścił - jest chyba najlepszym rozwiązaniem. Któregoś dnia Megan pewnie powie córce, jakie piekło musiała przejść, żeby ją urodzić - ile miała wątpliwości i ile cierpień przeżyła.

□ □ □

Rodzina Healych pochowała Leanne trzeciego listopada. Zorganizowano duże katolickie nabożeństwo w ogromnym kościele niedaleko ich domu w St Albans. Irlandzka część rodziny przyleciała z Cork, zajmując przednie ławki, a przyjaciele Leanne wypełnili środek kościoła. Siedziałem z tyłu obok Phillipsa, komendanta Bartholomew i kilku innych członków grupy dochodzeniowej, którzy pomagali Healy'emu w poszukiwaniach podczas pierwszych tygodni po zniknięciu córki.

Gdyby nie strzelanina w lesie Hark's Hill, Healy nie życzyłby sobie obecności Phillipsa na nabożeństwie, a ten nie zjawiłby się w kościele. Lecz gdy Phillips oberwał w nogę, a Healy został raniony nożem w pierś, wytworzyła się między nimi szczególna więź. Phillips zgodził się zaświadczyć o charakterze Healy'ego podczas jego przesłuchania przed sądem. Pod wieloma względami był to samolubny gest, mający zapobiec temu, aby Healy wypowiadał się publicznie o sprawach, które policja chciała wyciszyć. Z drugiej strony Phillips był wysoko ceniony, więc jego poparcie miało dla Healy'ego duże znaczenie. Po zakończeniu przesłuchania zamienili ze sobą niezręcznie kilka słów, a później Phillips wziął miesiąc zwolnienia lekarskiego. Po przesłuchaniu Directorate of Professional Standards zawiesił

Healy'ego na czas nieokreślony, a Phillips pokuśtykał o kulach i pojechał do swojego domu na przedmieściach Londynu.

Większość pozostałych, którzy byli z nami tamtej nocy, nie miała tyle szczęścia. Jamie Hart spędził trzy dni podłączony do aparatury podtrzymującej życie po tym, jak kula przeszła mu płuco i utkwiała w krtani. Czterdzieści osiem godzin później żona podjęła decyzję o odłączeniu go od maszyny. Na miejscu zginęli również trzej umundurowani

funkcjonariusze, a ratowniczką zmarła po przewiezieniu jej do szpitala Whitechapel. Antyterrorysta, który mnie osłaniał, został ranny, ale przeżył, podobnie jak jeden z przewodników psów. Aron Crane nie oddał ani jednego strzału, ale to on był odpowiedzialny za krwawą jatkę.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, opuściłem czuwanie przy zwłokach i wróciłem Verulamium Park do samochodu. Uruchomiłem silnik i spojrzałem na ulicę. Wtedy zobaczyłem Gemmę Healy idącą trawnikiem w kierunku mojego bmw. Dobiegała pięćdziesiątki, ale świetnie się trzymała: ciemne włosy, zgrabna figura, niewielkie zmarszczki okalające zielone oczy. Siła i pewność ruchów wskazywały, że znała cierpienie i radziła sobie lepiej od męża. Początkowo sądziłem, że idzie do kościoła, ale gdy nadal się do mnie zbliżała, zaczekałem i opuściłem szybę.

- Witam - powiedziała cicho. Miała irlandzki akcent bardziej wyraźny od męża. - Nie poznaliśmy się, ale wiem, kim pan jest.

Uśmiechnąłem się.

- Nie jestem pewny, czy to dobrze, czy źle.

- Dobrze - odpowiedziała z lekkim uśmiechem. - Chciałam podziękować za to, co pan zrobił. Niezależnie od mojego męża. - Przerwała, aby po chwili się poprawić. - Byłego męża.

- Nie rozumiem.

- On pana potrzebował. Potrzebował kogoś silnego, kto zapanowałby nad jego wybrykami. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co pan znalazł w tamtym miejscu, ale byłam żoną Colma wystarczająco długo, aby wiedzieć, że zaprowadzenie go tam i zapanowanie nad jego temperamentem wymagało ogromnej siły. Musiał pan stawić czoło jego arogancji, wściekłości i zniechęceniu. Z własnego doświadczenia wiem, że wymaga to pewnego wysiłku.

Skinąłem głową, nie wiedząc, jak zareagować.

- Dlatego panu dziękuję - dodała cicho.

Odwróciła się, żeby odejść. W tej samej chwili wyłączyłem silnik. Obejrzała się, marszcząc brwi i przyglądając się mojej twarzy.

- Czy Colm powiedział pani, dlaczego to zrobił?

Wiedziała, o co mi chodzi. Podświadomie dotknęła twarzy, tam gdzie ją uderzył, i rozmasowała skórę palcami. Po chwili potrząsnęła głową.

- Nie zrobił tego z powodu pani romansu - powiedziałem, obserwując, jak na jej policzkach wykwitają rumieńce. - Zrobił to, bo uważał, że wszyscy odwrócili się do niego plecami.

- Mimo wszystko nie powinien był tego robić.

- Całkowicie się z panią zgadzam.

- I nie mogę mu wybaczyć.

Dałem jej do zrozumienia, że to także rozumiem.

- Wiem, czemu pani odeszła. Wiem nawet, czemu zrobiła pani to, co zrobiła. Wiem o samotności, którą pani odczuwała przed podjęciem decyzji, i o samotności, której Colm doświadczył w ciągu ostatnich miesięcy. Odczuwał ją, kiedy poszukiwaliśmy państwa córki. Pani go nienawidziła, podobnie jak Leanne. Prowadził sprawę, która bez reszty go pochłaniała. Tłumił w sobie uczucia, ale część emocji musiała wypłynąć. Nie twierdzę, że to było słuszne, mówię tylko, że jeśli pani sądzi, że Colm odwrócił się do pani plecami, on czuł podobnie.

Przyjrzała mi się uważnie, ale nie rzekła ani słowa.

- Przepraszam - powiedziałem. - To nie moja sprawa.

- Nie - zaprzeczyła, unosząc rękę. - W porządku. Ja tylko... Colm, o którym pan mówi, nie jest mężczyzną, którego znałam przez ostatni rok.

Odrzekłem, że ją rozumiem, i ruszyłem do samochodu.

Gemma odprowadziła mnie wzrokiem, jakby chciała o coś spytać, ale po chwili odwróciła się na pięcie i zaczęła się oddalać. Po pięciu krokach stanęła i obejrzała się w moją stronę.

- Jak długo to trwa? - spytała delikatnie.

Spojrzałem w jej oczy, lśniące w przyćmionym świetle zachodzącego słońca. Dwa dni wcześniej Healy zadał mi to samo pytanie. Ciekawe, dlaczego oboje sądzili, że znam odpowiedź. Może otaczała mnie atmosfera smutku, jak plama widniejąca na skórze. A może dostrzegli słaby promyk nadziei. Nadziei na odzyskanie spokoju, jak człowiek, który stoi w ciemności i nagle widzi światło na końcu drogi.

- W końcu się z nimi żegnamy - odpowiedziałem. Słońce skryło się za kępą drzew za naszymi plecami. - Ale prawda jest taka... że nigdy nie pozwalamy im odejść na zawsze.

Szum prysznicza obudził mnie o szóstej trzydzieści. Powoli otworzyłem oczy i spojrzałem w sufit. Przez półotwarte drzwi łazienki wpływał do sypialni obłok pary. Łóżko było puste, sypialnia chłodna. Naciągnąłem kołdrę i spojrzałem na fotografię Derryn stojącą na nocnym stoliku. Doskonale znałem każdy centymetr jej twarzy: kształt oczu, sposób, w jaki unosiła kącki ust, kiedy się uśmiechała, piegi, krągłości ciała. Obok ramki stał kubek z czarną kawą, z której unosiła się para.

Szum prysznicza ustał.

Usiadłem na łóżku, pijąc kawę i obserwując szparę w drzwiach. Doleciał mnie dźwięk otwieranych drzwi kabiny. Ujrzałem ramię sięgające po ręcznik, fragment ciała i krople wody spływające po skórze, pozostawiające ślady na talii i biodrach.

Deszcz bębnił o szyby.

Ponownie spojrzałem na zdjęcie Derryn i podszedłem do okna. Pierwsze promienie słońca przenikały chmurę wiszącą nad domem po drugiej stronie ulicy. Włożyłem bokserki i patrzyłem, jak jeden z sąsiadów ładuje do wozu furę rupieci. Kiedy skończył, na podjeździe pojawiła się jego żona. Podeszła i go ucałowała, a później patrzyła, jak wsiada do wozu i odjeżdża.

- Dzień dobry.

Odwróciłem się. Liz stała w drzwiach. Obserwowała mnie, opasana ręcznikiem. Jej mokre włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze. Opadły na jedno ramię niczym gruby ogon.

- Dzień dobry - odparłem z uśmiechem, podnosząc kubek. - Dziękuję za kawę.

- Bardzo proszę. - Obeszła łóżko i przysiadła na brzegu z mojej strony. Usiadłem obok niej. - Jak się czujesz? - zapytała.

- Doskonale, a ty?

Skinęła głową.

- Szkoda, że muszę wyjść tak wcześnie.

- Będiesz dzisiaj w sądzie?

- Nie - odpowiedziała, a jej wzrok błędził po mojej twarzy. - Pojadę do Warwick, żeby zobaczyć się z Katie. W przyszłym tygodniu idzie na rozmowę do banku inwestycyjnego w sprawie stażu dla absolwentów. Pogadam z nią jak matka z córką, a później pewnie pojedziemy na zakupy do Birmingham.

- Cieszysz się, że znowu ją zobaczysz?

- Bardzo.

Przypomniałem sobie fotografie, które widziałem w domu Liz. Katie była bardzo podobna do matki. Piękna jak ona, ale miała jeszcze dłuższe i ciemniejsze włosy.

- Przepraszam.

Spojrzałem na Liz.

- Za co?

- Że muszę tak odejść.

- Przecież nie odchodzisz - zaprotestowałem. - Wychodzisz, żeby zobaczyć się z córką. Czy istnieje lepsze usprawiedliwienie? - Pociągnąłem kolejny łyk kawy. - W każdym razie to słaba kawa na rozstanie.

Pochyliła się i mnie pocałowała. Później się odsunęła i utkwiała we mnie spojrzenie. Miała taką minę, jakby oczekiwała, że odwrócę wzrok.

- Nie żałuję tego, co zrobiliśmy - powiedziałem.

- Na pewno?

Po jej twarzy spłynęła kolejna strużka wody. Położyła dłoń na mojej nodze, przypatrując się mi uważnie, szukając oznak niepewności.

- Przez piętnaście lat Derryn była częścią mojego życia - powiedziałem, kładąc rękę na jej udzie. - Była pierwszą kobietą, którą pokochałem, jedyną, która się dla mnie liczyła. Jeśli chcesz mnie spytać, czy nie mam wątpliwości, czy nie sądzę, że nasza znajomość zbyt szybko się rozwija, odpowiem, że czasami będę się tak czuł. Jeśli spytasz jednak, czy nie żałuję tego, co zrobiliśmy, czy nie żałuję nocy, którą ze sobą spędziliśmy, zaprzeczę. Nie żałuję. Czekalaś na mnie. Wspierałaś mnie i pocieszałaś. Trwałaś przy moim boku. Nie żałuję tego, co zrobiłem.

Jej oczy na chwilę zabłyśły.

Dotknąłem palcami jej twarzy, tam gdzie strużki wody spływały obok ucha na szyję.

- Wczoraj powiedziałem ci, że nie musisz z nią konkurować.

- Zrozumiałam - odparła cicho.

- Zawsze będę kochał Derryn - ciągnąłem - jakaś częśćka mnie będzie ją kochała bez względu na wszystko.

Skinęła głową.

- Ale... - Zamilkłem na chwilę i spojrzałem jej w oczy. - Czuję się zmęczony samotnością. Zmęczony strachem przed pożegnaniem. Zmęczony patrzeniem na jej fotografie i odczuwaniem wyrzutów sumienia, bo chcę dalej żyć. Czuję się winny, choć Derryn wcale by tego nie chciała. Nie chciałaby, żebym ją wspominał przez resztę życia. To nie w jej stylu.

Gdyby zobaczyła, jak dwa lata tkwię samotnie w domu, bojąc się dalej żyć... nigdy by mi tego nie wybaczyła. Pragnęłaby, abym zrobił następny krok.

Pogładziłem włosy Liz, a później pochyliłem się i ją pocałowałem.

- Właśnie to robię...

□ □ □

Patrzyłem, jak samochód Liz znika w deszczu. Pomyślałem o tym, co mi powiedziała. „Próbujesz naprawić świat, bo wiesz, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. Sądzisz, że twoje zadanie polega na oszczędzeniu innym podobnych cierpień”.

Miała rację.

Zrozumiała to wcześniej ode mnie. Dałem się namówić Derryn do wzięcia pierwszej sprawy, bo widziałem, co się z nią działo. Bo wiedziałem, że nadchodzi koniec, i nie chciałem, żeby ktokolwiek cierpiał tak jak ja. Żeby doświadczał poczucia straty i bezradności. Nieuchronności. Pragnąłem pomóc tym rodzinom zmienić bieg własnego życia, przebić się przez ciemność na drugą stronę.

I sprowadzić zza zasłony śmierci ludzi, którzy byli dla nich najważniejsi.

Od autora

Czytelnicy mający najbłedsze pojęcie o geografii Londynu bez trudu zorientują się, że w *Zanurzyć się w mrok* pozwoliłem sobie na pewną dowolność. Mam nadzieję, że mieszkańcy wschodniego Londynu wybaczą mi, że uczyniłem ich dom terenem, na którym grasował słynny seryjny zabójca czasów wiktoriańskich i obłąkany chirurg plastyczny. Mówiąc wprost, lasy i otaczające je fabryki w rzeczywistości nie istnieją.

Podziękowania

Czasami trzeba przyznać, że dopisało nam szczęście. Czuję się rad, że moją redaktorką okazała się Stefanie Bierwerth. Jej życzliwość, wsparcie i rady, a także wiedza edytorska pozwoliły mi skupić uwagę na kolejnych wersjach rękopisu. Moja agentka literacka, Camilla Wray, osoba obdarzona niezwykłym darem snucia opowieści, pomagała mi nadawać jej kształt od chwili, gdy książka wylądowała na jej biurku. Jakby tego było mało, stała się mistrzynią w uspokajaniu moich skołatanych nerwów, co było ważne w (częstych) chwilach wątpliwości. *Zanurzyć się w mrok* nie powstałoby bez tych dwóch wspaniałych kobiet.

Szczególne podziękowania kieruję pod adresem znakomitego zespołu wydawnictwa Penguin (w tym dla Toma, Jessiki, Jennifer, Andrew, Shony, Caroline i wielu innych), dzięki któremu opowieść o przygodach Rakera dotarła do rąk czytelników. Jestem wdzięczny, że niestrudzenie mi pomagali. Dziękuję także paniom z agencji literackiej Darley Anderson, które od pierwszego dnia zachęcały mnie i promowały moje pisarstwo.

Dziękuję również Mike'owi Hedgesowi, jednemu z najlepszych policjantów w kraju. Z cierpliwym entuzjazmem dzielił się ze mną wiedzą i doświadczeniem, podsuwając pomysły i szczegóły, które zmieniłem dla potrzeb książki. Oczywiście wszystkie błędy zostały zawinione przeze mnie. Wyrażam podziękowania także Bruce'owi

Bennettowi, który podzielił się ze mną interesującymi sugestiami w pierwszej fazie pisania powieści. Chirurg plastyczny Rob Warr byłby pewnie przerażony sposobem, w jaki przedstawiłem jego fach, choć uprzedzałem, że akcja książki może przybrać niemiły obrót. Mam nadzieję, że mi wybaczy.

Krewni w Anglii i Republice Południowej Afryki wyszli daleko poza granice obowiązku nakazującego wspieranie pisarzy. Dziękuję każdemu z nich. Muszę jednak w sposób szczególny wymienić moją mamę i mojego tatę. Nie bez powodu właśnie im dedykowałem tę książkę.

Na koniec dziękuję dwóm paniom Weaver: Erin, która budziła mnie o szóstej rano, choć poprzedniego dnia pisałem do pierwszej w nocy, oraz Sharle, która nigdy nie narzekała, gdy pan Raker i ja znikaliśmy na długie miesiące. Bez was obu byłbym zgubiony.

¹ Senior Investigating Officer (ang.) - starszy oficer śledczy.